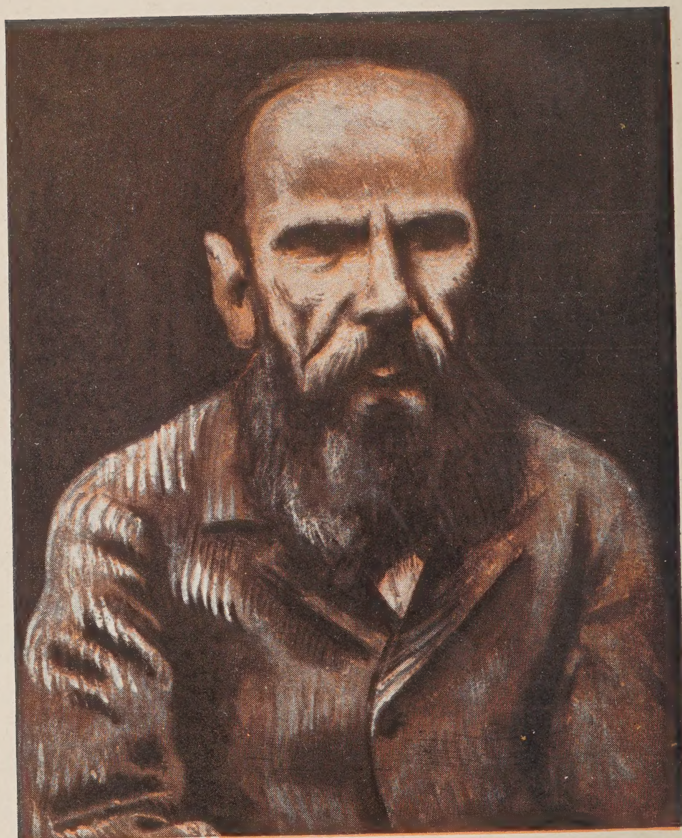
TEODOR DOSTOJEWSKI

# DZIEŁA

Serja 1. Tom III

POD REDAKCJĄ
MELCHJORA WAŃKOWICZA
POPRZEDZONE STUDJUM
ANDRZEJA STRUGA



TEODOR DOSTOJEWSKI

## TEODOR DOSTOJEWSKI

# ZBRODNIA I KARA



1928

Towarzystwo Wydawnicze „Rój"

PRZEŁOŻYŁ Z ORYGINAŁU
DR. J. P. ZAJĄCZKOWSKI

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Szpitalna 12

# DOSTOJEWSKI

(1821 — 1881)

W Polsce współczesnej znajomość Dostojewskiego jest nader nikłą a co najmniej o wiele niższą, niż w kulturalnych narodach Europy. Pokolenia Królestwa Kongresowego, wychowane w szkole rosyjskiej, czytały Dostojewskiego w oryginale i, czerpały z jego wiekopomnych dzieł wieści o głębinach i zagadkach duszy rosyjskiej i duszy człowieczej. W zaborze austrjackim, w zaborze pruskim znów, dzięki szkole obcej, czytywano potrosze Dostojewskiego w przekładach niemieckich. Zaś szeroki ogół polski znał Dostojewskiego bodajże jeno ze sławy jego imienia, które pod koniec ubiegłego stulecia przez Francję i przez Niemcy weszło w poczet nieśmiertelnych postaci literatury światowej.

Długo nie mieliśmy żadnych przekładów dzieł Dostojewskiego, a potem zrzadka pojawiły się ułamkowe niedbałe i wręcz ułomne tłumaczenia, które nikły, nie wywołując większego zainteresowania. Dziś, gdy wymierają już potrosze ci, co z musu ucząc się w rosyjskiej szkole, mogli byli czytać w oryginale wielkiego pisarza rosyjskiego, nastręcza się nowa i natarczywa potrzeba wydania wszystkich jego dzieł w nowoczesnych nietylko poprawnych ale i współtwórczych

przekładach. Na tę pracę musimy się zdobyć dla młodego pokolenia niepodległej Polski. Nie może dlań pozostać obcym i dalekim pisarz światowego znaczenia, którego wpływ potężny urabiał i urabia do dziś dnia niejeden wielki talent, ucząc ich jak sięgać jak najgłębiej w możliwości duszy ludzkiej, dostrzegać dookoła siebie nieprzebraną fantastyczną rozmaitość zjawisk psychicznych — i nie lękać się niczego, co jest prawdą. Gdyby miało zostać jak jest, byłoby to zubożeniem naszej kultury, stratą niepowetowaną dla czytelnictwa polskiego.

I jeszcze jedno.

Dla nas, Polaków, znajomość Dostojewskiego jest bardziej ważną niż dla jakiegokolwiek innego społeczeństwa i to już z przyczyn nie mających nic wspólnego z literaturą. Byliśmy w niewoli u Rosjan, toczyliśmy wojny z Rosją dawną i z Rosją dzisiejszą a obecnie sąsiadujemy bezpośrednio z jej tłoczącym organem, z jej nierozwikłaną zagadką. Musimy poznać do głębi ten kraj i ludzi, musimy podążać za faktami, obserwować i badać zjawiska, nastroje i przemiany olbrzymiego eksperymentu rewolucyjnego. Młoda Literatura rosyjska daje nam mnóstwo żywych dokumentów z tego zawiłego procesu dziejowego i usiłuje okazać światu nową duszę nowej Rosji, wyłonionej z przewrotu. Ale wbrew woli utalentowanych nieraz autorów nie dostrzegamy w ich utworach tej odnowionej duszy rosyjskiej. Duch narodu, znamiona jego rasy, urobione w warunkach przyrodzonych danego kraju, w jego przestrzeni i klimacie, jego wiekowe tradycje, dziedzictwo długiego szeregu pokoleń nie przeobrażają się tak szybko wraz ze zmianą ustroju społecznego i politycznego. Przewrót, zniszczenie wszystkiego co dawne, morze krwi przelanej w wojnach domowych, nowe idee i hasła, nowe bogi, nowe prawa, nowy obyczaj nie spra-

wiają jeszcze odmiany w tem, co jest w narodzie istotą jego najgłębszą, jemu tylko właściwą, tą treścią jego jedyną w swoim rodzaju, osobliwą, którą nazywamy duszą narodu. Wbrew wszystkiemu pozostaje ona sobą i wierną sobie, jest oporną i upartą, potężną w swoim bezwładzie. I tak jak dawniej w mikołajewskiej pańszczyźnianej Rosji, jak w Rosji Aleksandra II-go i okresu „wielkich reform" — tak i dzisiaj w Rosji Sowieckiej i w Rosji emigracyjnej widzmy te same odwieczne cehcy plemienne.

Klucz do duszy rosyjskiej dał nam Dostojewski. I gdy niemal pół stulecia ubiega od zgonu wielkiego pisarza ziemi rosyjskiej, znajdujemy w jego dziełach, jak żywe postacie i rysy, znamiona i cechy dzisiejszych władców i poddancyh nowej Rosji. Sprawiła to jego genjalna, nieomylna wizja, sięgająca do najtajniejszych głębin duszy tam, gdzie w całej niczem nieosłonionej bezwstydnej prawdzie leżą sama istota i sam rdzeń pobudek i porywów człowieka, źródło jego świętości lub zbrodni, jego żądz, jego poświęceń, jego szaleństwa. Dostojewski jako artysta — wizjoner odgadywał to, co w człowieku niepojęte, wznosił się na wyżyny niemal prorocze i widział daleką przyszłość swego narodu, albowiem zgłębił jego duszę, pełną poczwarnych dziwów, zapowiedzi najbardziej fantastycznych, pełną możliwości szlachetnych, nikczemnych, olbrzymich jak świat, potwornych jak piekło, mądrych, warjackich i wszelkich.

Oto jeszcze jeden wzgląd, domagający się od nas poznania i zgłębienia Dostojewskiego. Jest on wtórny, całkowicie uboczny, ale w dzisiejszej epoce naszego bytu narodowego gra on doniosłą rolę, kojarząc bezinteresowną i czystą dziedzinę sztuki z wiedzą o otaczających nas zjawiskach życia.

Najwybitniejszą cechą genjusza Dostojewskiego jest nieporównana głębia analizy psychologicznej, uporczywość w szukaniu utajonej prawdy w człowieku. Nie cofa się on przed żadną okropnością, zakopaną na dnie duszy ludzkiej, przeciwnie, dociera do samej otchłani zagadek i odsłania je bez strachu i bez wstydu z całą bezwzględnością, niemal z okrucieństwem. Postacie w jego utworach a zwłaszcza główniejsze — to ludzie obarczeni jakąś ideą uporczywą, manją wyłączną, zmagający się ze sobą i z życiem w ciężkich zapasach. Miotają się jak w pajęczynie w splocie jakiejś intrygi, zadzierzgniętej na ślepe węzły, walcząc ze sobą, wznosząc się na szczyty wzniosłości i poświęcenia, grzęzną w bagnie nikczemności lub zbrodni, obnażają swe dzikie instynkty, cierpią, pokutują, przez cierpienie dochodzą do najwyższego ukojenia, lub giną, zmiażdżeni przez własną namiętność, przez fanatyzm jakiejś trudnej nierozwikłanej idei, która jest ich opętaniem, ich zatraceniem.

Dla Dostojewskiego jako artysty istnieje tylko wewnętrzna, duchowa strona człowieka. To wyłączna jego dziedzina, poza którą nie wykracza nigdy. W tajnikach duszy odkrywa on niezmierzone przestwory, całe światy zjawisk i powikłań, niewyczerpane, nieskończone w swych odmianach. Fabuła, opowieść o kolejach i losach jego postaci bywa zazwyczaj nader urozmaicona, pełna powikłań i niespodzianek, ale służy ona zawsze i niezmiennie tylko jako ilustracja, jako widomy rezultat zmagania się namiętności, instynktów ludzkich. To wyraz czysto zewnętrzny zjawisk psychicznych, nieraz głęboko ukrytych. Istota całej akcji zawiera się w utajonem działaniu sił psychicznych, w nurtowaniu żądz, idei natrętnych i porywów potężnych a nieokreślonych, nie dających się ogarnąć żadną logiką, nieraz dla człowieka wręcz zabójczych a nieodpartych, pełniących swo-

je dzieło poza jego wolą i wiedzą jak przeznaczenie. Nad każdym niemal bohaterem Dostojewskiego ciąży jakieś fatum, wobec którego jest on bezbronny. Ono go wciąga w wir wydarzeń, wtrąca go w położenia tragiczne, bez wyjścia i najczęściej odbiera mu wszystko i miażdży go moralnie. To fatum nie ma nic wspólnego ze starożytnem klasycznem pojęciem tego słowa. To nie zawiść, nie zemsta urażonych bogów, to nie kara za jakoweś winy. Bohater Dostojewskiego nosi swoje fatum w samym sobie — jest to siła niszcząca bądź jego własnych instynktów i namiętności, bądź przemożnych urojeń psychicznych.

W dziedzinie najzawilszych zjawisk duchowych Dostojewski jest mistrzem niedoścignionym. Dokonał on przewrotu w pojmowaniu zadań powieści psychologicznej, i w dziejach literatury światowej imię jego jest i pozostanie na zawsze kamieniem granicznym. Otwiera on nowy okres w badaniu duszy ludzkiej i wywoływaniu jej żywego obrazu. W dziełach swoich zgromadził olbrzymie bogactwo typów i postaci przedziwnych i najosobliwszych, nieraz poczwarnych i niemal fantastycznych przy całym ich realizmie i niezaprzeczonej ich obecności w życiu codziennem, w powszednim bycie społecznym. Pomawiano go o rozmyślne rozlubowanie się w typach chorobliwych lub wręcz chorych, dzieło jego nazwano po stokroć razy szpitalem obłąkanych, muzeum potworności psychicznych, niepodobieństwem... Nie. Oto są ludzie — zdaje się mówić Dostojewski — nic jeno ludzie. Trzeba zajrzeć głębiej w tajemną pomrokę duszy każdego z nas a znajdziemy tam instynkty, zechcenia, upodobania, porywy hamowane przez wolę, przez wstyd, wreszcie przez strach. W ludziach z pozoru zrównoważonych, cnotliwych i rozsądnych znajdziemy momenty obłędu i szaleństwa, haniebne pokusy, gotowość do upodlenia i podłości, zdolność

do zbrodni. Znajdziemy w człowieku zadowolonym i szczęśliwym niepojęty śmiertelny głód cierpienia, w zbrodniarzu — porywy szlachetne, zdolność do poświęcenia.

Dostojewski odsłania i wyzwala te siły ukryte i tłumione. Buduje swoje postacie mocno, jednolicie i stawia nam je wprost przed oczy z niebywałą odwagą twórczą, z całym rozmachem natchnienia, nie liczącym się z niczem jeno z własną namiętną potrzebą doszukania się w człowieku jego istoty. Jest bezwzględny, nie zna litości. Przeprowadza swoich bohaterów przez wszystkie piekła walk wewnętrznych i udręczeń, poddaje ich wiwisekcji, doświadcza ich wszelką torturą.

I dla czytelnika jest ciężki. Nie zaprząta się jego wiecznemi jak świat wymogami, tym nałogiem łatwego czytania w spokoju i pogodzie, bez trudu i zachodu. Nie opowiada przygód, nie wzrusza przyjemnie, nie daje i nie obiecuje bynajmniej szczęśliwego zakończenia udręczeń przez swoich nieszczęsnych bohaterów. Męczy. Zmusza do wysiłku myśli i wyobraźni. Podstępnie wciąga czytelnika do swej pracowni badań i każe mu przebywać pokolei z niemałym mozołem wszystkie kalwarje pospołu ze swojemi ofiarami. Zaiste powieści i opowiadania Dostojewskiego są czemś więcej niż literaturą. To niemal wiedza, zbiór żywych dokumentów ludzkich, śmiałych eksperymentów i olśniewających odkryć, to rewelacja wiedzy ukrytej, nauka wtajemniczenia.

Dzieło Dostojewskiego zniewala czytelnika, jego siła przemożna, jego nieposkromiony rozpęd twórczy, jego niesamowita wyobraźnia wchłaniają nas i porywają za sobą w światy nieznane. Sam opętany w swojem natchnieniu opętuje i nas i wtrąca jakby w sen, pełen dziwów i koszmarów. Nie da spocząć, nie da się opamiętać — panuje niepodzielnie. W tem urok jego genjuszu i władza wielkiego artysty.

Dostojewski jest twórcą żywiołowym, nieopanowanym, pierwotnym, bez żadnego umiaru, bez cienia świadomej kultury w formie, która i w jego epoce była wielką troską literatury i miarą artysty. Przepaść dzieli go od harmonji Turgieniewa i Tołstoja, a wobec rówieśnika swego Flauberta Dostojewski wydaje się nieokrzesanym dzikim barbarzyńcą. Pisał porywczo, gorączkowo, niedbale. Nie budował swoich utworów, powstawały one i wznosiły się jakby same przez się, piętrzyły się pod jego piórem, rozpościerały się poczwarnie, urągając wszelkim nakazom i kanonom estetyki pisanego słowa. Takim był od początku swej działalności literackiej i nie poprawił się do końca, został wiernym sobie. Temu uporowi zawdzięczamy zjawisko najdziwniejsze, pełne posępnego uroku i swoistego czaru — ów samorodny, przepotężny styl Dostojewskiego. Nie dbając najzupełniej o formę stworzył on jedyny w swoim rodzaju wyraz dla swej twórczości, idealnie odpowiadający jego temperamentowi, jego zamiarom i celom. Porwany kipiącą nieokiełznaną wyobraźnią, goniąc za swoją wizją, brnąc w głębiny analizy psychologicznej, przekraczał on wszelkie granice i z chaosu swego artystycznego tworzywa, z zamętu, ze splątanej gęstwiny swoich niezliczonych postaci wynurzał się wreszcie jako zwycięzca i zdobywca — oto wydarł duszy ludzkiej jej tajemnicę i okazał ją światu. Ta ciężka praca badania, osobliwość wydarzeń i osób działających nie da się pomyśleć w innej formie, jak ta właśnie, w którą przyoblókł ją i jak nam podaje autor. I czytelnik rychło porozumiewa się z nim pod tym względem i bez trudu godzi się na taką formę, a zagłębiwszy się w przepastnych odmętach opowiadania, czyni odkrycie, że niepodobna było inaczej jak jeno właśnie tak wyobrazić i wypowiedzieć istotę ludzi i spraw, które występują na niezmiernej, mrocznej arenie Dostojewskiego. Nawet

dzisiejszy czytelnik, zepsuty w kulturze formy i w zagadnieniach „czystej formy“, nawykły do skrótów, przemilczeń, pominięć, symbolów i skoków — i ten nie zdoła się oprzeć urokowi genjalnego wielomówstwa Dostojewskiego, rozpasania jego wyobraźni w niezliczonych szczegółach, dygresyj, rozpraw, i nieskończonych monologów. Albowiem jest w tem wszystkiem artystyczna konieczność, organiczna, przyrodzona nierozerwalna jedność formy i treści. Opowieść Dostojewskiego pochłania, wiąże, opętuje — jest to dziwne słowo o dziwnych sprawach.

Surowy realizm życia i ludzi, rzeczywistość całkiem powszednia splatają się u Dostojewskiego i niejako graniczą stale — z fantastycznością. To cecha wybitna jego twórczości, to źródło niesamowitego uroku i osobliwego nastroju jego powieści. Zdoła on i zdoła zawsze, gdy zechce przenieść nas nieznacznie z określonego dnia i miejsca, z pośród określonych okoliczności i ludzi, jakgdyby w inny świat — i naraz wszystko staje się przywidzeniem, mitem, snem. Akcja jakgdyby się przerywa, jakowaś mgła ogarnia ludzi i ich sprawy, wchłania ich słowa. Zapomina się na chwilę o całej powieści wraz z jej bohaterami, epizodami, problematami. Nastaje martwa cisza i ślepy mrok, budzące zgrozę. Zarysowuje się, majaczy przed nami i przechodzi nawskroś przez naszą duszę widmo jakiejś najgłębszej treści, samej istoty naszego bytu i naszych przeznaczeń, wizja niepoznawalnego, wyczucie mocy nami władających. Z odmętu tajemnic wyłania się jakgdyby przeczucie niepojętej prawdy, która jest streszczeniem wszystkich prawd o człowieku. Te momenty zawrotne rozsiane są we wszystkich naczelnych powieściach Dostojewskiego a po raz pierwszy zjawiają się w jego dziele najgłębszem i najbardziej skończonem artystycznie w „Zbrodni i Karze“, gdzie autor objawił się już cały w swoim zupełnym wyrazie.

Fantastyczność zjawia się u Dostojewskiego w wielu jego osobliwych postaciach i w licznych epizodach, które wydzierają się z realizmu opowieści i rzucają na całe dzieło koloryt posępny, niepokojący. Ci ludzie nieodgadnieni, ich zamierzenia i czyny nieświadome, zagadkowe, obłędne, ich myśli zagmatwane majaczą przed nami jak mary senne, niepodobne do niczego, niemożliwe. Jakże często autor ukazuje ich rozmyślnie w środowisku ponurem, dręczącem lub wręcz obrzydłem. Daje za tło ich walk wewnętrznych, ich męczarni duchowych, gdy ważą się ich losy, gdy dochodzą do swego czynu, do zbrodni, do samobójstwa — jakiś okropny cuchnący wieczór upalny w Petersburgu, jakąś plugawą lepiącą się od brudu szynkownię, pełną wrzawy, czadu i odoru pijackiego, jakiś zaułek nędznego miasteczka, tonący w błocie, w ciemną noc, w straszną szarugę listopadową. gdy psa nie godzi się wygnać... Tem wzmaga on powielekroć siłę wrażenia i nastroju, wprowadza nas w atmosferę gorączkowego koszmaru. Targa naszemi nerwami, zostawia nas sam na sam z męką duchową człowieka, pogrąża nas na samo dno jego sumienia i każe słuchać najtajemniejszych spowiedzi, szeptanych w grozie, w pomroce strachu.

Wyobraźnia Dostojewskiego zaiste nie zna miary w dobieraniu postaci najosobliwszych, najbardziej zagmatwanych i zagadkowych. Poczet ich jest olbrzymi i niewyczerpany w swych typach, w wiecznie nowych odmianach ich przyrodzonej dziwności. Ten tłum ludzki razem wzięty jest jakby odrębnem społeczeństwem z jakiejś nieznanej krainy. To ludzie Dostojewskiego.

— Gdzie są tacy? — pytamy oszołomieni — nie znamy ich, to dziwolągi rozpasanej wyobraźni — kłamstwo ponure, dręczące i niemożliwe.

— Oni są wszędzie, żyją pośród nas samych, gdzieś

na samem dnie, w pozaświadomem utajeniu. Tak odpowiada twórca Raskolnikowa, Swidrygajłowa (Zbrodnia i Kara), Wierchowieńskiego — syna, Stawrogina, Szatowa, Kiriłowa (Biesy), księcia Myszkina, Nastasji Filipowny, Rogożyna (Idjota), Iwana i Dymitra Karamazowych, Katieryny Iwanowny, Gruszeńki, Smerdiakowa (Bracia Karamazow). Są to główne postacie czterech naczelnych dzieł Dostojewskiego. Obok nich występuje nieprzebrane mnóstwo osób drugo i trzecioplanowych a każda z nich nosi w sobie jakiś rys znamienny, znaczący i wplata się organicznie w tłum postaci działających jako pierwiastek potrzebny, niemal niezbędny, mający swoją odrębną rolę w strukturze powieści. Wszystkie utwory Dostojewskiego są przeludnione. Rzecz dzieje się u niego zawsze w gęstwie ludzkiej, w gmatwaninie krzyżujących się wzajemnie oddziaływań, w jaskrawych konfliktach życiowych, wśród powikłań i intryg. Tworzy to fabułę urozmaiconą, nieraz pochłaniającą całkowicie uwagę powierzchownego czytelnika. Ale sedno rzeczy — cel autora streszcza się zawsze w głębinach dusz, nie wykracza nigdy poza świat zjawisk wewnętrznych.

Dostojewski nie jest nigdy zimnym, objektywnym badaczem fenomenów psychicznych. Jego sztuka nie zamyka się w granicach wypowiedzenia się li tylko artystycznego. Całe jego olbrzymie dzieło i z małemi wyjątkami niemal każdy poszczególny utwór mają swój cel, służą czemuś. Są to wielkie, naczelne prawdy i zagadnienia moralne. Autor zmaga się z nimi w ciągu całej swojej działalności pisarskiej jako artysta i jako publicysta i każe zmagać się z niemi swoim bohaterom — i swoim czytelnikom. Pierwowzorem i szczytem tego zmagania się jest jego powieść „Zbrodnia i Kara", gdzie zawiera się już w zarodku wszystko, co jest istotą Dostojewskiego. Ten utwór, od którego datuje się

rozgłos i sława autora (rok 1866) jest do głębi przesiąknięty pierwiastkiem moralnym. Jego cechy artystyczne i ideowe są tak doskonale ze sobą związane, problemat moralny występuje już tak wybitnie, że według licznych głosów krytyki rosyjskiej cały dalszy ogromny dorobek Dostojewskiego jest jeno rozwinięciem i komentarzem tego centralnego dzieła.

Moralność Dostojewskiego opiera się na boskiej postaci Chrystusa i na jednej jedynej księdze — na Ewangelji. Nieutuloną i wieczną jest jego tęsknota do Chrystusa i do królestwa bożego na ziemi. Jego bohaterowie, nawet ludzie nędzni, a nieraz nawet podli zbrodniarze noszą w głębi nikczemnych swych serc obraz Chrystusa, drżą z trwogi przed Jego wielkością, drżą ze wstydu przed Jego czystością i brnąc dalej w brudach swego żywota jednak wierzą tajemnie, że i nad nimi wypełni się kiedyś łaska nieprzebranego miłosierdzia Syna Bożego. Powieści Dostojewskiego zawierają *in extenso* wielkie traktaty religijno moralne (nauki mnicha Zosimy w „Braciach Karamazowych"), mieszczą w sobie całe odrębne zamknięte w sobie utwory, poświęcone idei Chrystusowej i ogromowi Jego postaci. Mówiąc o Chrystusie Dostojewski dochodzi do szczytów natchnienia twórczego, jak w nieśmiertelnej legendzie o „Wielkim Inkwizytorze" („Bracia Karamazow").

Nieustannie dręczy i nęka jego duszę wieczne zagadnienie istnienia zła na ziemi, jego przewagi i niszczącej mocy. Nie buduje on teoryj filozoficzno - etycznych, jego serce miłosierne poprostu buntuje się przeciwko złu z całą fanatyczną żywiołową siłą. Dostojewski wszędzie widzi krzywdę, ucisk, niszczenie i zatracanie najświetniejszych sił człowieka, zgnębienie szlachetnych porywów, trwonienie skarbów uczucia, mądrości, woli. Kto temu wszystkiemu wi-

nien?! — pyta z mocą i uporem proroka, opętanego straszliwością i absurdem zjawisk życia, z któremi świat pogodził się od wieków . On nie godzi się z tem ani na jedną chwilę. Pytanie — kto winien? — powtarza się u niego wiecznie. Szuka winnego, szuka winnych — i nie znajduje ich. A więc, jeżeli niema winnego, to znaczy, że winni są wszyscy — i każdy. Każdy dźwiga brzemię odpowiedzialności za grzechy świata, nikomu nie wolno powiedzieć o sobie, że jest bez winy.

Krzywdą krzywd, zbrodnią świata, nad którą niema cięższej jest dla niego — krzywda dziecka. Postacie dziecięce występujące w całym swym uroku nader często w jego powieściach i opowiadaniach, otoczone są nieprzebraną ojcowską czułością autora, ale zazwyczaj ukazuje on je na tle niedoli, nędzy i okrucieństwa, których są ofiarą. I wówczas ogniem świętego gniewu zapala się jego bunt przeciwko ślepej sile zła, gdy spada ona na te istoty czyste i jedyne wśród ludzi, które są bez skazy, bez plamy i winy. Krzywda dziecka jest dla niego najjaskrawszą miarą bezecności świata.

Dostojewski czarno patrzy na świat i ludzi. We „Wspomnieniach z Martwego Domu“, które Lew Tołstoj uważał za najmocniejsze dzieło w całej literaturze rosyjskiej, autor z porywającą siłą i głębią opowiada o swoich czterech latach katorgi i przedstawia całkiem odrębny świat, osobliwą społeczność zbrodniarzy. Ale nawet w tych najgorszych, którzy już dawno zatracili wszelkie oblicze ludzkie dostrzega on okruchy i ślady lepszych instynktów, jeno zmiażdżone, splugawione przez warunki wychowania i otoczenia i zniszczone do cna przez okrucieństwo i hańbę katorżnego bytu. Tak samo a co najmniej podobnie patrzy on na całe współczesne sobie życie społeczne. Jest to coś w rodzaju olbrzymiej turmy, gdzie męczą się masy ludzi i w walce o byt wy-

zbywają się lepszych pierwiastków duszy, czynią się zatwardziali, nieczuli na cudzy ból, popełniają mnóstwo codziennych występków i coraz głębiej brną w nieprawościach żywota. Odbicie tego czarnego obrazu rzeczywistości mamy w szeregu powieści Dostojewskiego. I autor otoczony przez twory swojej wyobraźni zda się mówić do tych wszystkich ludzi nieszczęśliwych, występnych, szalonych, pogmatwanych w sobie, zbłąkanych na manowcach życia — pokój wam! Roztaczając obrazy opętania, zwyrodnienia, nędzy, Dostojewski daleki jest od pesymizmu. Nigdy nie traci nadziei, bodaj na lepsze jutro ludzkości, w dalekiej wizji przeczuwa jakiś świat pogody i szczęścia, ziemię obiecaną — królestwo boże na ziemi. Zawsze szuka ratunku dla zbłąkanej duszy, a widząc dookoła siebie nieprawość i cierpienie zapatrzony w odmęt niedoli ludzkości odkrywa i wskazuje z zapamiętałą fanatyczną wiarą jedyny lek — dobrowolne poddanie się cierpieniu, podjęcie swojego krzyża, jako pokutę i odpłatę za grzechy swoje i za grzechy świata. Cierpienie koi i oczyszcza duszę. W dobrowolnie przyjętem na się cierpieniu odradza się człowiek, w poniżeniu samego siebie osiąga spokój, zbliża się do Boga. Ta dziwna nauka cierpienia jako panacaeum na wszelkie choroby i klęski ducha jest w Dostojewskim cechą głęboko i rdzennie rosyjską. Nie budowały jej natchnienia mistyków, ani dociekania filozofji narodowej, od wieków tkwiła ona w duszy ludu rosyjskiego, taiła się w masach wciągu stuleci ich niewoli i ucisku, w atmosferze mrocznego surowego mistycyzmu sekt religijnych, wśród głębokiej ciemnoty. Dostojewski z odwagą fanatyka wydobył na jaw i głosił tę naukę cierpienia — prawdę ludu rosyjskiego.

Lud był dla Dostojewskiego olbrzymią skarbnicą sił moralnych, był źródłem wiedzy o człowieku i o Bogu. Lud

rosyjski niósł w sobie przyszłe dzieje Rosji i całe jej losy. W nim była jedyna nadzieja na odrodzenie ojczyzny, w nim przyszła potęga i świętość plemienia rosyjskiego, któremu sądzonem jest świat zbawić i przebudować w myśl słów Chrystusa o Królestwie Bożem na ziemi... A znał on swój lud prawosławny, jego wady, grzechy, nałogi i jego martwą ciemnotę. Ale ukochał on lud „integralnie", takim jakim był w rzeczywistości, wraz ze wszystkiem złem i dobrem. Gorzko i surowo wyrzucał on inteligencji rosyjskiej jej oderwanie się od ludu, wyzbycie się jego ewangelicznej prostoty i wiary. Wróżył przyszły cud jedności i genjuszu narodu rosyjskiego, który Boga niesie w sobie.

Jakiego Boga? — „Chrystusa rosyjskiego", albowiem „każdy naród ma swego własnego Boga", a Bóg rosyjski uosobniony w cerkwi prawosławnej zwycięży wyobrażenia i pojęcia bogów innych. „Europa (i w katolicyzmie, i w protestantyzmie) odrzuciła Chrystusa" i „zaprawdę niema już chrześcijaństwa na Zachodzie"... Oto rola światowa Rosji i prawosławia.

To ubóstwienie ludu, Rosji, prawosławja zachodziło u Dostojewskiego za daleko, odrywało go od smutnej rzeczywistości rosyjskiej i wiodło w marzenia o nieokreślonej świetlanej dali wieków. Jak we wszystkiem, tak i w tem błądził brakiem umiaru, roznamiętnieniem, rozpętaniem natchnienia, nie liczącem się z niczem. „Wszędzie i w każdej sprawie — pisał o sobie — dochodzę aż do kresu: zawsze przez całe życie przekraczałem wszystkie granice".

Mówi Dostojewski: świat jest zły, człowiek cywilizowany żyje bez jutra, brnąc w błędach, bo jest jak ślepy, bo odszedł od wiary, oddalił się od Chrystusa i oddala się od Niego coraz bardziej z każdym dniem, w każdem nowem pokoleniu. Zaufał on swej złudnej potędze i triumfuje...

„Ukórz się, dumny człowieku i skrusz swoją pychę!".

Ten okrzyk z mowy Dostojewskiego, wygłoszonej w roku 1880 na obchodzie pięćdziesięciolecia śmierci Puszkina rozegrzmiał po całej Rosji jako jego hasło naczelne. Mowa ta wywołała olbrzymie wrażenie. Było to jego ostatnie słowo przedśmiertne, rzucone jako wyzwanie, jako ostrzeżenie i nakaz dla Rosji i dla świata. Odrzucając cały układ i ustrój życia współczesnego, Dostojewski nie dał się skusić cywilizacji Zachodu. Podczas czterokrotnego pobytu zagranicą poznał Niemcy, Francję, Szwajcarję, Anglję i Włochy i nie poddał się urokowi kultury tych krajów, wobec których Rosja współczesna była dziką pustynią. Co więcej, znienawidził on Europę i twierdził z nieporównaną odwagą, że pierwotna, nieokrzesana i ciemna Rosja bliższa jest prawdy i odrodzenia, niż cywilizowany Zachód. Przewidywał, że nie skądinąd, lecz właśnie z Rosji przyjdą moc i światło, które odrodzą świat, zaprowadzą harmonję i jedność wśród ras i narodów.

Swoje idee religijno-moralne propagował on przez całe życie zarówno w publicystyce, której oddawał się gorliwie, jak i w swojej twórczości artystycznej. Marzeniem jego było dać postać jedyną i całkowitą jako idealne wcielenie swojej wiary. Miarą usiłowań jego jest postać młodego księcia Myszkina (tytułowa postać powieści „Idjota" — 1868). Sam autor przyznaje, że chciał przedstawić w nim człowieka „pozytywnie dobrego" o dobroci ewangelicznej. Książę Myszkin ma w sobie prostotę i szczerość dziecka, a przy całej swej nieznajomości świata posiada zdolność intuicyjnego, niejako instynktownego, odgadywania ludzi i samego sedna ich powikłanych spraw. Jest przytem uroczo a zarazem niemożliwie niezgrabny i niedołężny w życiu. Przyciąga do siebie sympatje całego swego otoczenia i mi-

łość kobiet, jest powołany do rozstrzygania najzawilszych konfliktów uczuciowych między ludźmi, uchodzi za mędrca, za świętego — za chorego umysłowo (jest on jeszcze jednym z licznych epileptyków Dostojewskiego), wreszcie nie wytrzymuje próby życia i schodzi ze sceny w cichym obłędzie jako — „idjota". Sam autor uznał i opinja krytyki potwierdziła to zdanie, że zamiar jego nie został osiągnięty, ale dziwna ta postać posiada wśród znawców Dostojewskiego zastęp gorących wiebicieli, którzy uważają księcia Myszkina za najlepszy wyraz idealnych pojęć autora o człowieku dobrym, rzuconym na fale życia. Nigdy nie stworzył Dostojewski jednolitej postaci, wcielającej całość jego idei moralno-religijnych. Jego tezy rozsiane są wszędzie w jego utworach; zbierając je skrzętnie i grupując, możnaby odtworzyć coś w rodzaju wizyjno-mistycznego światopoglądu. Niepodobna jednak żadną miarą ująć ideologji jego w jakiś system, dzięki nieopanowaniu myśli, licznym przeciwieństwom logicznym i owemu typowemu dlań „przekraczaniu wszelkich granic" zarówno w twierdzeniach jak i w negacji. Jego wspaniałe wzloty ku ideałowi przyszłej Rosji godziły się w nim jakoś z wiarą w cara, jako „ojca narodu". Umiłowanie, nawet przeubóstwienie ludu nie przeszkadzało mu nienawidzić fanatycznie młodego pokolenia „narodników" (ludowców), którego hasłem było „wszystko dla ludu" i które zostawiło w dziejach Rosji pamięć najczystszego bohaterskiego poświęcenia dla sprawy obudzenia ludu. Nienawidził nietylko terrorystów „narodowolców", ale i umiarkowanych konstytucjonalistów, liberałów swojej epoki. Możnaby go nazwać czarnym reakcjonistą, gdyby nie jego swoisty rewolucjonizm, który odrzucał wręcz całą „bezbożną" kulturę współczesnego świata, opartą na fałszu, gdyby nie jego najszczerszy poryw ku rady-

kalnej odmianie stosunków społecznych przez rewolucję moralną. Dostojewski pomimo sławy i niezmiernego wpływu na współczesnych w przeciwieństwie do Lwa Tołstoja nie stworzył szkoły moralno - społecznej, nie zostawił nawet doktryny, związanej z jego imieniem.

Był on dla swojego pokolenia, jest i dla nas i pozostanie na długie lata nadewszystko genjalnym artystą, władcą dusz, niedoścignionym mistrzem analizy psychologicznej.

*

Życie Dostojewskiego było posępne i niespokojne. Od wczesnej młodości, już w Szkole Inżynieryjnej, stał się samotnikiem, gdyż nie mógł zbliżyć się z nikim z kolegów. Czytał wiele i w tajemnicy zaczynał pisać. Ukończywszy szkołę, otrzymał jakiś przydział i dalej czuł się obcym w nowem środowisku urzędniczem. Zagłębił się w sobie, otoczył się książkami i coraz wyraźniej, coraz bardziej świadomie gotował się do pracy literackiej. Już wówczas w dwudziestym czwartym roku życia, ukazał się w druku jego pierwszy utwór p. t. „Biedni ludzie" i wywołał wielkie wrażenie, którego rzecznikiem był znakomity krytyk Bieliński. Powodzenie upoiło młodego autora, przez pewien czas mniemał, że pod względem talentu dorównał Gogolowi — to znów wpadał w rozpaczliwe zwątpienie o sobie. Wszedł w bliskie stosunki ze światem literackim stolicy, w którym w okresie lat 1840 — 1850 wrzało bujne życie ideowe. Nareszcie znalazł sobie środowisko o wysokim poziomie intelektualnym, do którego tęsknił oddawna. Ale nie zespolił się w głębi duszy ani z grupą literacką Bielińskiego i Niekrasowa, ani z ówczesnemi kołami konspiracyjnemi Durowa i Pietraszewskiego, gdzie studjowano i omawiano na posiedzeniach systemy socjalne Roberta Owena, Cabe-

ta, Proudhona a zwłaszcza Fourriere'a. Były to koła czysto dyskusyjne. Dostojewski bywał na zebraniach, zabierał głos, ale naogół był w opozycji do wszystkich systemów. Odrzucał formuły Zachodu, uważając, że dla Rosji nie mają one zastosowania. Zato całą swą uwagę, całą wolę skierował na walkę o zniesienie poddaństwa włościan, zagadnienie, które wówczas górowało ponad wszystkiem innem w opinji przodowniczych sfer rosyjskich.

Na wiosnę roku 1849, aresztowano całą grupę Pietraszewskiego. Pomimo braku jakichkolwiek dowodów czynów występnych, przeciwko państwu, za same sympatje postępowe tego kółka, „znamionujące zamiary zamachu na państwowo - historyczny ustrój Rosji", po ośmiu miesiącach śledztwa, wszystkich 34 oskarżonych skazano na karę śmierci przez rozstrzelanie. Był to jeszcze okres wiosny ludów w Europie i car Mikołaj I-y na schyłku swoich rządów tępił ze ślepą nienawiścią każdy najlżejszy objaw niezależnej myśli wśród swoich poddanych. Poprowadzono skazanych na plac kaźni, odczytano im wyrok i na komendę żołnierze wzięli na cel. Przed ostatnią komendą — „pal!" wytrzymano skazanych przez straszliwie długą chwilę i oznajmiono im, że są ułaskawieni i zesłani na ciężkie roboty. Dostojewski wytrzymał tę potworną próbę, ale zostawiła ona głęboki ślad w jego psychice na całe dalsze życie.

Cztery lata katorgi, a potem pięć lat służby karnej jako szeregowy w bataljonie syberyjskim w Semipałatyńsku, a licząc od dnia uwięzienia — dziesięć lat życia spędził Dostojewski w niewymownie okropnych warunkach. Jego zdrowie zostało zrujnowane raz na zawsze. Na czasy ciężkiej „mikołajewskiej" służby żołnierskiej wypadają pierwsze napady epilepsji, która odtąd gnębiła go do końca życia. Pogłębiła się jeszcze bardziej wrodzona skłonność do sa-

motnictwa duchowego i posępność jego usposobienia. Te lata urobiły w nim cechy rezygnacji. Wychodząc na wolność wyrzekł się raz na zawsze wszelkich zakusów i prób buntu czynem przeciwko ciężkiej rzeczywistości rosyjskiej nie ze strachu, ale w poczuciu zupełnej bezcelowości i bezużyteczności wszelkiej walki bezpośredniej z danym ustrojem państwowo politycznym. Miażdżąca potęga katorgi, obcowanie z bezmiernem cierpieniem i zdziczeniem towarzyszów świata zbrodniczego nauczyły go, że odmiana świata zacząć się winna od odrodzenia duchowego człowieka. Zagłębił się w sobie, w swoich wizjach mistycznych, uodpornił się na wszelkie wpływy i prądy ideowe swojej epoki i takim został już do końca.

Na samym wstępie do nowego życia czekały go wielorakie troski a przedewszystkiem kłopoty pieniężne, które odtąd już nie opuszczają go aż do ostatnich niemal lat żywota. Pisze gorączkowo, dla kawałka chleba — są to opowiadania o nikłej wartości artystycznej, nic nie znaczące w dorobku wielkiego pisarza. Nareszcie pod sam koniec roku 1859, po wielu rozpaczliwych i bezgranicznie wiernopoddańczych suplikach wysyłanych na „Najwyższe Imię"— nowego cesarza Aleksandra II uzyskuje prawo zamieszkania w stolicy. Dziesięciolecie od 1860 do 1870 roku było dla Rosji okresem tak zwanych Wielkich Reform, gdy to stare czasy mikołajewskie przeobrażały się w nową epokę t. zw. liberalizmu cara Aleksandra II-go. Dostojewski, jako publicysta, bierze udział w ożywionym ruchu umysłowym tego okresu. Pod koniec roku 1861 zakłada własny miesięcznik „Wremia" („Czas") o kierunku liberalnym, co najbliższy jego współpracownik N. Strachow komentuje w sposób następujący: „Mało kto wie i rozumie, że liberał rosyjski winien być właściwie konserwatystą a nie postę-

powcem i przenigdy w żadnym razie — rewolucjonistą. Jest to ów zdrowy liberalizm, któremu Dostojewski hołdował aż do końca życia". To też w ocenie wrzenia w Królestwie Kongresowem i powstania narodowego r. 1863 Dostojewski jako „liberał" tego typu niczem nie różnił się od nacjonalistów rosyjskich w nienawiści do „szlacheckiego" powstania i gorąco brał w obronę uciśniony lud polski. Rzecz znamienna, że „Wremia" zostało zamknięte przez rząd właśnie za artykuł Strachowa o wybuchu powstania polskiego, w którym zbyt gorliwa cenzura dopatrzyła się sympatji dla Polski, gdy w istocie autor potępiał surowo „arystokratyzm patrjotyzmu polskiego, wrogi ludowi polskiemu"... Zamknięcie pisma było dla Dostojewskiego zupełną ruiną materjalną.

Ukazuje się powieść „Skrzywdzeni i Poniżeni", w której krytyka dopatruje się wielu cech autobiograficznych, a mianowicie odbicie jego pierwszego wielkiego uczucia ku p. Isajew, swej przyszłej żonie. Dopiero „Wspomnienia z Martwego Domu" (1862) dają Dostojewskiemu rozgłos. „Wspomnienia" były istną rewelacją nieznanego świata katorgi, rzuconą w oczy społeczeństwu rosyjskiemu. Plastyka i wstrząsająca prawda z jaką oddany jest tłum postaci katorżników, głębia ludzkiego uczucia, którem autor otacza tych upadłych i wyklętych przez społeczeństwo, jego potężne wołanie o ludzkość i sprawiedliwość stawiają tę książkę w rzędzie arcydzieł Dostojewskiego.

Po wielu zachodach udaje się bratu Dostojewskiego wskrzesić „Wremia" jako nowe wydawnictwo p. t. „Epoka". Dopiero w lutym r. 1864 wychodzi pierwszy jej numer. Jest to rok jeden z najcięższych dla Dostojewskiego. Traci on swą ukochaną żonę, którą mimo burzliwego pożycia i ciężkiego jej charakteru kochał głęboko, traci naj-

bliższego przyjaciela i współpracownika Apollona Grigorjewa — wreszcie jedynego brata Michała. Śmierć brata wywołuje upadek nowego pisma, przyśpieszony przez barbarzyńskie i idjotyczne prześladowanie cenzury. Wydawnictwo bankrutuje i długi wynoszące 25.000 rubli spadają na Dostojewskiego, jako wspólnika i poręczyciela. Przybywają nowe obowiązki — los całej rodziny zmarłego brata spoczywa na jego głowie... — O mój drogi przyjacielu — pisze do barona Wrangla: — wróciłbym chętnie na katorgę na nowe cztery lata, gdybym wiedział, że przez to spłacę długi i będę nareszcie wolny"...

Dostojewski miota się w ciężkich troskach, zabija się pracą, układami z wierzycielami, kłopotami z cenzurą, walką ze swoim wydawcą, niejakim Stełłowskim, którego imię stało się w dziejach literatury rosyjskiej symbolem wyzyskiwacza i zdiercy. Wreszcie Shylock - Stełłowski uzyskuje wyrok i policja przybywa po Dostojewskiego, żeby go zabrać do więzienia za długi. W czerwcu 1865 roku za pieniądze pożyczone od przyjaciół, u których już i tak jest zadłużony po uszy, Dostojewski ucieka zagranicę. Pięć miesięcy, spędzonych zagranicą, przeważnie w Niemczech, było jednym nieprzerwanym ciągiem nędzy i rozpaczy. Jego listy do przyjaciół z tego czasu, przepełnione błaganiami o pieniądze, odsłaniają całą okropność jego położenia w obcym kraju, chorego, nieraz głodnego, bez grosza przy duszy, obdłużonego, na łasce hotelarzy i sklepikarzy... Mimo to pracuje z zapamiętaniem, upija i zabija się pracą. Nad czem?

Pracuje dalej i po powrocie do kraju, po pięciu miesiącach nędzy, wciąż chory, przy coraz częściej powtarzających się napadach epileptycznych, które druzgotały go fizycznie i moralnie, pogrążając go za każdym razem w ciężkiem

przygnębieniu — wciąż w długach, w opędzeniu się lichwiarzom, wyczerpawszy źródła kredytu u wszystkich swoich przyjaciół, w niezliczonych kłopotach, w rozpaczy codziennej... I w roku następnym, w „Russkim Wiestniku" ukazuje się ów szczyt genjusza Dostojewskiego, najwyższa, najgłębsza jego miara, jego arcydzieło — „Zbrodnia i Kara". Powieść ta wywarła ogromne wrażenie, jej powodzenie było bezprzykładne. Autor dźwignął się na duchu i mógł spłacić bodaj część długów. Ale wampir Stełłowski, który skupił był jego weksle, trzymał go nadal w niewoli, zmuszał go do pracy ponad siły, żądając dostarczania rękopisów na termin co do dnia i godziny, grożąc wekslami, gdy Dostojewski chory nie był zdolny do pracy. I oto na miesiąc przed terminem „dostarczenia powieści co najmniej dziesięcioarkuszowej większego formatu" jak opiewała umowa, przyjaciel jego, A. Milukow, zastaje go w ostatniej rozpaczy. Nieszczęsny autor ma tylko ogólną koncepcję powieści, ale nie napisał jeszcze ani jednego wiersza. Radzą. Milukow wpada na pomysł, aby grono przyjaciół literatów rozebrało między siebie poszczególne rozdziały powieści i napisało je pod kierunkiem autora, który podpisze ten utwór swojem imieniem. Dostojewski rozważa na serjo ten dziki projekt i wreszcie odmawia. Przyjaciele radzą dalej: sprowadzają stenografistkę, która pod dyktandem autora może wydążyć na termin. Dostojewski nigdy nie dyktował swych utworów, nie wie nawet jak zabrać się do tego, ale przemaga się i rękopis jest gotów na czas. Przy wspólnej pracy nastąpiło zbliżenie między autorem i sekretarką, panną Snitkin i w tym samym roku — 1867 odbył się ich ślub. Tym trafem, przy gorączkowej pracy nad powieścią „Gracz", Dostojewski pozyskał wierną towarzyszkę życia, która stworzyła mu dom i rodzinę, dbała o jego zdrowie i w ciągu paru lat

doprowadziła wreszcie do ładu jego okropne interesy, walcząc mężnie z terrorem i lichwą Stełłowskiego.

Małżonkowie wyjeżdżają na parę miesięcy zagranicę i spędzają tam całe cztery lata. Dlaczego? Autor rozgłośnego, rozchwytywanego dzieła „Zbrodnia i Kara" nie może się pokazać w kraju, gdyż znowu ścigają go lichwiarze, znowu grozi mu więzienie za długi. Zagranicą będzie mógł przynajmniej pracować w spokoju, w nadziei, że spłaci swe należności i że będzie mógł dopomóc rodzinie brata. Ale nędza ściga go w Dreznie, skąd Dostojewski czyni rozpaczliwe wypady bądź do Hamburga, bądź do Baden - Baden, miejscowości słynnych w tych czasach z rulety. Już w „Graczu" znajdujemy wspomnienia i wrażenia nieszczęśliwej gry Dostojewskiego. Tak i teraz — fortuna kusi go, łudzi i zawsze zdradza. Dostojewski powraca z tych wycieczek zgrany do nitki i wraz z żoną żyje z wybłaganych pożyczek lub zastawiając w lombardzie co się tylko da. Wreszcie w wędrówkach swoich małżonkowie przybywają do Genewy z 30 frankami w kieszeni. Tu w nadwyraz ciężkich warunkach powstaje wielka i ogromna rozmiarami powieść „Idjota". W Vevey rodzą się „Wieczny Mąż" i „Notatki z Podziemia". Wreszcie w roku 1869 wraca do Drezna i pogrąża się całkowicie w pracy nad „Biesami". Nad tą powieścią spędza dwa lata wciąż w biedzie, wśród niezliczonych kłopotów, coraz ciężej zapadając w swoją straszną chorobę. „Biesy" ukazują się w atmosferze sensacji, sprzecznych sądów, gorących polemik, powieść ta jest bowiem nieubłaganem i świadomem wyzwaniem, rzuconem przez autora liberalizmowi swojej epoki i t. zw. „nihilizmowi", oraz rewolucyjnym kołom spiskowym, których działalność miała się niebawem wyrazić w szeregu zamachów na cesarza Aleksandra II, zakończonych jego śmiercią 1.III 1881 r.

Wreszcie w lipcu roku 1871 Dostojewski z żoną i dzieckiem, wykupiwszy się z trudem z długów drezdeńskich, wracają do Rosji ze swego wygnania. Żrącą tęsknota za krajem przezwycięża w nich wszelkie obawy przed wierzycielami, którzy wciąż trzymają w zawieszeniu nad głową Dostojewskiego uprawomocniony wyrok, skazujący go na więzienie za długi.

W takich warunkach powstawały dzieła genjalnego pisarza. Prawie przez całe życie, wyjąwszy kilka lat ostatnich, był on w ścisłem rozumieniu tego słowa wyrobnikiem pióra, zaprzedanym niewolnikiem. Ani chwili swobody, ani chwili wytchnienia. Życie było dlań bez miłosierdzia. Jego żelazna odporność i ta niezmożona siła wewnętrzna, które pozwalały mu przezwyciężać swój los i tworzyć, zaiste wprawiają w zdumienie. Jest to zjawiskiem wręcz niepojętem, by człowiek sterany przez katorgę, dotknięty jedną z najstraszliwszych chorób, nędzarz i tułacz bezdomny mógł ocalić w sobie ów płomień genjusza, który bije z jego dzieł. Po powrocie do Petersburga w życiu Dostojewskiego nastaje wreszcie okres spokoju i dobrobytu. Żona dzielnie prowadzi jego interesy i w końcu wydobywa go z odmętu długów i z pod terroru wydawców. Wciągu dwóch lat Dostojewski redaguje tygodnik księcia Mieszczerskiego — „Grażdanin“ (Obywatel), organ ultra - konserwatywny, cieszący się dużym rozgłosem i opieką władz. Następnie zakłada własne pismo, ukazujące się w nader nierównych odstępach czasu — „Dziennik Pisarza“. Wypełnia je sam jeden, jest to jego wolna trybuna, jego spowiedź publiczna, jego *credo* w ocenie prądów epoki i w obserwacji wydażeń dnia. Wpływ jego na szeroką opinję Rosji jest w tym okresie ogromny. Jego głosu słuchają ludzie najrozbieżniejszych przekonań. Tutaj tak samo jak w swoich powieściach wy-

suwa on na czoło zagadnienia moralne. Jego filozofja ma podstawy czysto religijne — istota życia zawiera się w religji. Człowiek nie jest wszystkiem — jest coś ponad nim, jakaś siła wyższa, którą trzeba odgadnąć i uszanować, Lud, ta niema masa tai w swej głębi rozwiązanie wszystkich zagadnień przez miłość, przez ukorzenie się wobec świętości i przez niezłomną wiarę w dobro.

W roku 1875 ukazuje się „Wyrostek", gdzie w jeszcze jednej postaci odżywa u Dostojewskiego proces formowania się i dojrzewania młodego człowieka, wchodzącego w życie wśród ciężkich zawodów i przeciwieństw.

Ostatnie lata życia Dostojewskiego dają nam dzieło najbardziej czytane do dziś dnia i może najwybitniej rosyjskie u pisarza tak wyłącznie rosyjskiego — to „Bracia Karamazow". Jest to olbrzymi epos, księga jednej rodziny, dzieje ojca i czterech braci na rozległem tle obyczajowem, które w tej powieści zarysowuje się najwszechstronniej. Autor myślał nad tą powieścią od lat dziesięciu, nosił ją w sobie i hodował a pisał ją w ciągu 3 lat 1876 — 1878. Początkowo zamierzał dać jej tytuł „Żywot wielkiego grzesznika" a jak sam powiada „główne zadanie, któremu ma być poświęcone jest tem samem, które dręczyło mnie przez całe moje życie — to zagadnienie istnienia Boga". (Listy do Majkowa 1869 i 1870 r.). Gdy krytyka wynosi na naczelne miejsce „Zbrodnię i Karę" i „Wspomnienia z Martwego Domu", sam autor uznawał „Braci Karamazow" za utwór najważniejszy z całego swego dorobku.

W tem już ostatniem wielkiem dziele autor skupił i streścił wszystkie doświadczenia swego życia, swe najdroższe idee, a pod względem artystycznym osiągnął doskonałą pełnię wyrazu. Jego niewyczerpana i nieposkromiona wyobraźnia stworzyła znowu tłum postaci mocnych, prze-

dziwnych w swej osobliwości, niemal fantastycznych a żyjących. Cynizm i brud rozpusty, jej odchłań niemal mistyczna,—świętość młodej czystej duszy,—zimny bezduszny sceptycyzm intellektu, odrzucający Boga, jego nakazy i całe jego dzieło, — świat i ludzi, — bezład i niechlujstwo życia, szaleństwo namiętności w „szerokiej“ duszy rosyjskiej zdolnej do czynu szlachetnego i gotowej na zbrodnię, — ponura zatajona nienawiść do ludzi skrzywdzonego przez los wyrzutka - psychopaty — oto rysy głównych postaci powieści. Są to ojciec Karamazow, synowie Aleksy, Iwan i Dymitr oraz czwarty jego syn, podrzutek Smerdiakow z krwi Karamazowych, lokaj w domu Karamazowych.

Dookoła nich rozsnuwa się ogromny obszar życia rosyjskiego, bogaty w wydarzenia, pełen ludzi, zatargów, wybuchów namiętności, rozpraw i sporów teoretycznych i owej nieubłaganej u Dostojewskiego praktyki życia — strasznej okrutnej rzeczywistości, niemal fantastycznej w swoim realizmie.

Na tej wspaniałej powieści urywa się dzieło Dostojewskiego. Znużony troskami życia i pracą ponad ludzkie siły wielki pisarz przedwcześnie w wieku lat sześćdziesięciu schodzi z tego świata. 28 stycznia 1881 r. umiera we chwale, doczekawszy u schyłku żywota spokoju, dobrobytu i sprawiedliwej oceny u współczesnych. Jego pogrzeb był wielką manifestacją narodową. Sto tysięcy ludzi odprowadzało go na miejsce wiecznego spoczynku, a w ich liczbie — rzecz dotychczas w Rosji niebywała — ministrowie i paru wielkich książąt.

Dzieło Dostojewskiego było, jest i długo jeszcze będzie badane i komentowane przez krytyków i historyków li-

teratury. Niedawno wydobyta została z archiwów jego olbrzymia korespondencja, niedrukowane rękopisy, mnóstwo artykułów, rozsianych po czasopismach, zarysy dzieł zamierzonych, które był odumarł. Pomimo wielu dociekań i opracowań, które tworzą już całą bibljotekę, puścizna jego nastręcza niejedną zagadkę. Pisze przyjaciel jego Strachow: „Zabrał on ze sobą do grobu swoją wielką tajemnicę i nam zostawił troskę i trud by ją odkryć". Cóż to za tajemnica?

Nie da się ona sformułować w ścisłych słowach ale odkrywa ją dla siebie każdy czytelnik, który umiłował dzieło Dostojewskiego. Wchłania ją w swoich nastrojach i wrażeniach i w owych momentach jakby objawienia, które przeszyją duszę nawskroś przeczuciem jakiejś niewyrażalnej prawdy, ukażą jej wizję lub pogrążą go na jedną sekundę jakby w sen gdzie w błyskawicowym skrócie przeżyje on jakiś byt niepojęty, dotknie — tajemnicy. Tak udziela się czytelnikowi wieszcze natchnienie, ekstaza twórcza genjalnego pisarza, — zjawisko najrzadsze w literaturze i najtrudniejsze do osiągnięcia nawet dla wielkich mistrzów słowa.

Dostojewski jako artysta podjął zadanie najcięższe. Jako malarz życia zstąpił w jego mroki i głębiny, w podziemia serc i dusz. By człowiek w tysiącu odmian i postaci ujrzał i poznał samego siebie, żeby ukochał ideał i zapamiętał się w szukaniu ku niemu dróg, żeby walczył ze sobą i dobył się z pomroki niewiedzy na światło dnia. Ludzie Dostojewskiego mają dusze obnażone, ich tajemnice dopowiedziane są do ostatniego słowa. Wiążą się oni z bóstwem przez ukorzenie się w wierze, przez negację i bunt, przez rozpaczliwe poszukiwanie. Szarpią się w namiętnościach, w niszczących pętach nędzy, w cierpieniach sumienia. Poniewierają się w brudach żywota i tęsknią ku czystości...

Jego potężne postacie towarzyszą nam jak żywi ludzie, ich cienie odbijają się w naszym świecie wewnętrznym i wchodzą w dorobek naszych obserwacyj i doświadczeń życiowych. Wszystkie utwory Dostojewskiego leżą jakby w jednym planie i wraz z całem nieprzebranem bogactwem swych odrębności, swoich tematów i swoich ludzi — jest to jakby jedna olbrzymia powieść. Jasny genjusz Francji, Balzac, nazwał swe dzieło Komedją Ludzką. Świat Dostojewskiego, posępnego syna ziemi rosyjskiej, nazwaćby należało — Dramatem Człowieka.

*A. STRUG.*

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## I.

W początku lipca, w dzień nadzwyczajnie upalny, przed wieczorem, wyszedł na ulicę z nędznego pokoiku swego, odnajmowanego od rodziny, zamieszkałej w S-kim zaułku, pewien młody człowiek i wolnym krokiem, jakby niezdecydowanie, skierował się w stronę K-go mostu.

Tym razem uniknął szczęśliwie spotkania na schodach z gospodynią swoją. Pokoik jego, mieszczący się na samem poddaszu, przypominał raczej szafę, aniżeli mieszkanie ludzkie. Zaś gospodyni jego, od której odnajmował komórkę swoją z usługą i obiadami, mieszkała o piętro niżej, zajmując oddzielne mieszkanie, wobec czego musiał każdorazowo, wychodząc na ulicę, bezwzględnie przechodzić obok jej kuchni. zawsze naoścież otwartej. I każdorazowo, przechodząc obok kuchni, doznawał jakiegoś chorobliwego uczucia lęku, nieomal tchórzostwa, którego się wstydził, wobec którego aż się żżymał cały. Był u gospodyni po uszy zadłużony i bał się spotkania z nią.

Nie dlatego, żeby miał być tchórzem, albo do tego stopnia zahukany; raczej wręcz przeciwnie; jednakże od pewnego czasu był w stanie naprężenia nerwowego i silnego podrażnienia, graniczącego z hipochondrją. Do tego stopnia zamknął się w sobie i oderwał się od wszystkich, że bał się jakiegokolwiek spotkania, nietylko więc z gospodynią. Nędza go zupełnie przygniotła; ale nawet podobnie przygniatające warunki materjalne przestały mu ostatniemi czasy ciążyć. Codziennemi sprawami swojemi przestał, zresztą... nie

chciał się interesować. W gruncie rzeczy nie obawiał się żadnej gospodyni, cokolwiekby przeciw niemu knuła. Ale zatrzymywać się na schodach, ciągle wysłuchiwać te bzdury życia codziennego, które go nic a nic nie obchodziły, to ciągłe napastowanie go o komorne; skargi, groźby, a przytem być zmuszonym ciągle się wykręcać, przepraszać, kłamać, — o, nie, to już znacznie lepiej przekraść się jakoś, jak kot, po schodach i zmykać, by nikt go nie zauważył.

Zresztą, tym razem strach wobec wierzycieli samego go przeraził, gdy się już znalazł na ulicy.

„Na taki czyn chcę się przecież odważyć, a równocześnie boję się podobnych drobnostek! — pomyślał z dziwnym uśmiechem. — Hm... istotnie... wszystko jest właściwie w mocy człowieka, i wszystko mu z przed nosa ucieka, jedynie dzięki tchórzostwu... to — aksjomat... Ciekawe też, czego się ludzie najbardziej boją? Jakiegoś nowego czynu swojego, nowego słowa, czy też boją się najbardziej... Zresztą, za dużo gadam. Właśnie dlatego nic nie robię, że gadam. Może raczej odwrotnie: dlatego właśnie gadam, że nic nie robię. Nauczyłem się tyle gadać wciągu ostatniego miesiąca, kiedy całemi dniami leżałem w swojej norze i myślałem... o niebieskich migdałach. Właściwie, po co teraz idę? Czy jestem zdolny do tego? Czy *to* można traktować poważnie? Bzdury. Głupia fantazja, papierowe bohaterstwo; dziecinada! Tak, tak, bodaj-że tylko dziecinada!“

Na dworze był okropny upał, przytem nieznośny zaduch, tłok, na każdym kroku — wapno, rusztowania, kurz i specyficzne zapaszki, tak dobrze znane każdemu petersburżaninowi, który nie jest w stanie wynająć letniska, — wszystko to razem działało wstrząsająco na nadszarpane już nerwy młodzieńca. A nieznośny odór, buchający z szynków, których w tej części miasta jest szczególnie dużo, i pijani, spotykani na każdym kroku, mimo że był to dzień powszedni, dopełniał ohydnego i ponurego obrazu. Na subtelnej twarzy młodego człowieka odbiło się uczucie najgłębszego wstrętu. Zauważyć należy, że był bardzo ładny, miał piękne ciemne oczy, ciemny szatyn, wzrostu wyżej średniego, wysmukły

i ładnie zbudowany. Po chwili jednakże wpadł jakby w głęboką zadumę, a raczej w stan jakby zapomnienia i poszedł dalej, nie spostrzegając już nic dookoła siebie, zresztą, nie chcąc już nic widzieć. Chwilami tylko coś mruczał pod nosem, z przyzwyczajenia do monologów, do czego dopiero teraz sam się sobie przyznał. Równocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że chwilami mu się myśli plączą, i że jest bardzo osłabiony: już drugi dzień z rzędu nic nie jadł.

Był do tego stopnia nędznie ubrany, że inny na jego miejscu, przyzwyczajony nawet do tego, krępowałby się w biały dzień wychodzić na ulicę, w podobnych łachmanach. Zresztą, była to taka dzielnica, że żadnym strojem nie można było nikogo zadziwić. Bliskość Siennego, obfitość pewnych zakładów i przeważająca tu ludność rzemieślnicza i cechowa, stłoczona w tych centralnych petersburskich ulicach i zaułkach — wzmagała pstrokaciznę ogólnej panoramy obecnością takich indywiduów, że dziwnem wydawałoby się zwracanie uwagi na tego rodzaju postacie. Ale w sercu młodego człowieka zebrało się tyle okrutnej pogardy, że, nie bacząc na całą właściwą mu, choć częstokroć bardzo młodzieńczą, drażliwość, najmniej krępował się na ulicy łachmanów swoich. Inna sprawa — spotkania z niektórymi znajomymi albo z dawnymi kolegami, z którymi wogóle nie lubił się spotykać... Jednakże, gdy pewien pijany jegomość, którego niewiedzieć dlaczego i dokąd przewozili właśnie ogromną pustą platformą, zaprzężoną w ogromnego ciężarowego konia, krzyknął mu w przejeździe: „Hej, te, kapelusiarzu szwabski!" i ryknął na cały głos, pokazując na niego palcem, młodzieniec stanął, jak wryty i schwycił się kurczowo za kapelusz. Był to kapelusz o wysokiem denku, okrągły, cymermanowski, ale cały już podarty, zupełnie zrudziały, dziurawy jak sito i poplamiony, bez ronda i najobrzydliwiej załamany jakoś nabok. Ale bynajmniej nie wstyd, a zgoła inne uczucie, podobne raczej do przestrachu, opanowało go w tej chwili.

„Wiedziałem, że tak będzie! — mruczał bezradnie, — myślałem nawet o tem! To już jest najgorsze! Właśnie taka, pozornie nic nie znacząca, drobnostka, taki idjotyczny szcze-

gół, może zepsuć całe przedsięwzięcie! Istotnie, to jest zbyt rzucający się w oczy kapelusz... Komiczny, dlatego też rzucający się w oczy... Do moich łachmanów koniecznie potrzebna jest jakaś czapka, choćby spłaszczona, jak placek, byle nie to straszydło. Nikt nic podobnego nie nosi, o wiorstę zauważą, poznają... a najważniejsze, że później sobie zapamiętają i poszlaka gotowa. Tu trzeba jak najmniej rzucać się w oczy... Szczegóły, szczegóły — to najważniejsza rzecz!... Właśnie szczegóły zdradzają zawsze wszystko...“

Miał bardzo blisko, wiedział nawet, ile kroków jest od bramy domu jego: akurat siedemset trzydzieści. Raz nawet, kiedy wpadł w trans, przeliczył je dokładnie. Wówczas sam jeszcze nie wierzył w te urojenia swoje i tylko podniecał się tą potworną, choć kuszącą, czelnością. Teraz zaś, po upływie miesiąca, zaczął się już na to zapatrywać inaczej i, nie bacząc na judzące monologi o własnej bezsilności i niezdecydowaniu, „potworne“ urojenie mimowoli przyzwyczaił się już traktować jako przedsięwzięcie, jakkolwiek sam sobie jeszcze nie dowierzał. Nawet szedł teraz dla wypróbowania samego siebie, lecz z każdym krokiem zdenerwowanie jego coraz bardziej się wzmagało.

Z zamierającem sercem i nerwowem drżeniem zbliżał się do przeolbrzymiego domu, który jedną ścianą wychodził na kanał, a drugą — na -ską ulicę. Dom ten tonął cały w małych mieszkankach i zamieszkiwany był przez najróżnorodniejszych przedstawicieli drobnego przemysłu, — krawców, ślusarzy, kucharki, różnych Niemców, dziewojc, zarabiające własną osobą, drobnych urzędników i t. p. Aż się roiło od tej masy wchodzących i wychodzących z obydwu bram i z podwórza. W domu tym było trzech albo czterech dozorców. Młodzieniec był bardzo zadowolony, że nie spotkał ani jednego z nich, i niepostrzeżenie prześlizgnął się tuż z bramy na prawe schody. Schody były ciemne i wąskie, „kuchenne“, ale on już to wszystko znał i dokładnie zbadał i warunki te podobały mu się: w takich ciemnościach nawet ciekawe oko nie było niebezpieczne. „Jeżeli się w tych warunkach tak boję, cóżby było, gdyby rzeczywi-

ście miało dojść do samego *czynu?...*" — pomyślał mimowoli, wchodząc na trzecie piętro. Tu mu drogę zastąpili wysłużeni żołnierze - tragarze, którzy wynosili z jakiegoś mieszkania meble. Przedtem już wiedział, że w mieszkaniu tem mieszkał pewien Niemiec z rodziną, urzędnik: „to znaczy, że Niemiec się teraz przeprowadza, czyli na trzeciem piętrze, na tych schodach i na tej klatce pozostaje przez pewien czas zamieszkałe jedno tylko mieszkanie staruchy. To bardzo dobrze... na wszelki wypadek..." — pomyślał znowu i zadzwonił do mieszkania staruchy. Dzwonek słabo jakoś brzęknął, jakgdyby zrobiony był z blachy, a nie z miedzi. W tego rodzaju małych mieszkaniach podobnych domów prawie wszystkie dzwonki są takie. Wyszedł mu już z pamięci dźwięk tego dzwonka i teraz, osobliwy ten brzęk jakby mu coś przypomniał i wyraźnie zarysował... Aż drgnął, do tego stopnia osłabione miał tym razem nerwy. Po chwili uchyliły się lekko drzwi: właścicielka mieszkania oglądała przybysza przez wąską szparkę z widoczną nieufnością; widział tylko błyszczące w ciemności oczki. Lecz gdy zauważyła w sieni dużo osób, nabrała odwagi i całkiem otworzyła drzwi. Młodzieniec przestąpił próg do ciemnego przedpokoju, w którym za przegródką urządzono minjaturową kuchnię. Starucha milczała, pytająco na niego spoglądając. Była to minjaturowa, zasuszona starucha, w wieku lat sześćdziesięciu, o przenikliwych, złych oczkach, maleńkim zadartym nosku. Wypłowiałe jasne włosy były gęsto wysmarowane tłuszczem. Dokoła cienkiej szyi, przypominającej szyję kurzą, miała okręcony jakiś flanelowy gałgan, i ubrana była, nie bacząc na upał, w wystrzępiony i pożółkły serdak futrzany. Starucha co chwila kaszlała i stękała. Widocznie, młodzieniec przez nieostrożność spojrzał na nią jakiemś osobliwem spojrzeniem, bo oczy jej zaczęły naraz znowu zdradzać poprzednią nieufność.

— Raskolnikow jestem, student, byłem u pani z miesiąc temu, — pośpiesznie bąknął młodzieniec z lekkim ukłonem, przypomniawszy sobie, że musi z nią być możliwie najgrzeczniejszy.

— Pamiętam, paniczu, bardzo dobrze pamiętam, że pan był u mnie, — odpowiedziała wyraziście staruszka, w dalszym ciągu nie spuszczając z niego pytającego wzroku.

— A no więc... znowu jestem, w takiej samej sprawie... — dodał Raskolnikow, stropiony nieco i zdziwiony nieufnością staruchy.

„Zresztą, może zawsze jest taka, ale poprzednim razem tego jakoś nie spostrzegłem“, — pomyślał z uczuciem przykrości.

Starucha przez chwilę milczała, jakby coś rozważając, wreszcie, wskazując na drzwi do pokoju, raczyła się odezwać, prosząc gościa naprzód:

— Proszę wejść, paniczu.

Niewielki pokój, do którego wszedł młody człowiek, o żółtych tapetach, z geranją i muślinowemi firaneczkami, oświetlony był w tej chwili jaskrawie zachodzącem słońcem. „A więc wtenczas też tak będzie słońce świecić!...“ przeszło błyskawicznie przez myśl Raskolnikowowi, i rzucił nieznacznie spojrzenie na cały pokój, żeby wszystko dokładnie zbadać i możliwie zapamiętać rozkład mieszkania. Ale w pokoju nie było nic osobliwego. Meble, bardzo stare, z żółtego drzewa, składały się z kanapy z ogromnem wygiętem drewnianem oparciem, stołu owalnego przed kanapą, toaletki lustrzanej pod ścianą między oknami, krzesełek pod ścianami i dwóch-trzech groszowych obrazków w żółtych ramkach, które przedstawiały Niemki z ptakami na rękach, — oto całe umeblowanie. W rogu, przed niewielkim obrazem świętym, paliła się lampka oliwna. Wszystko było bardzo czyste; meble, podłogi były tak oczyszczone, że aż wszystko błyszczało. „Ręka Lizy“, pomyślał młodzieniec. W całem mieszkaniu nie można było znaleźć ani odrobiny kurzu. „To u złych i starych wdów panuje taka czystość“, rozumował dalej Raskolnikow i z zaciekawieniem rzucił nieznacznie okiem na perkalikowe portjery na drzwiach, prowadzących do drugiego maleńkiego pokoiku, w którym stała komoda i łóżko starowiny, i do którego ani razu jeszcze nie udało mu się zajrzeć. Całe mieszkanie składało się z tych dwóch pokoi.

— Czem mogę panu służyć? — tonem oficjalnym zapytała starucha, wchodząc za nim do pokoju i stojąc znowu twarz w twarz, by mu mogła patrzeć prosto w oczy.

— Zastaw przyniosłem, proszę! — I wyjął z kieszeni stary płaski srebrny zegarek. Na odwrotnej kopercie wygrawerowany był globus. Dewizka była stalowa.

— Ale już najwyższy czas na poprzedni zastaw. Onegdaj minął już miesiąc.

— Wpłacę pani procenty za następny miesiąc. Niech pani zaczeka.

— A to już moja dobra wola, mój panie: czekać czy też natychmiast zastaw pański sprzedać.

— Ile pani może dać za zegarek, Aleno Iwanowno?

— E, znosisz, panie ładny, rupiecie, pewnie bez żadnej wartości. Za pierścioneczek wypłaciłam panu zeszłym razem dwa papierki, a nowy taki kupić można u jubilera raptem za półtora rubla.

— Ze cztery ruble pani da; wykupię, bo to pamiątka po ojcu. W krótkim czasie mam otrzymać pieniądze.

— Półtora rubla, jeżeli pan chce, i procenty naprzód.

— Półtora rubla! — zawołał młodzieniec.

— Jak pan sobie chce. — I starucha oddała mu zpowrotem zegarek. Młodzieniec wziął go i tak się rozłościł, że chciał już wyjść; lecz pohamował się, uprzytomniwszy sobie, że, właściwie mówiąc, niema więcej dokąd pójść, i że przyszedł w innej jeszcze sprawie.

— Daj pani! — odezwał się brutalnie.

Starowina wygrzebała z kieszeni klucze i poszła za portjery do drugiego pokoju. Pozostawszy sam w pokoju, młodzieniec pilnie nasłuchiwał i coś planował. Słychać było, jak starowina otwiera komodę. „Prawdopodobnie górna szuflada, — zgadywał. — A klucze nosi, jak widać, w prawej kieszeni... Wszystkie w jednym pęku na kółku stalowem... Jeden klucz jest tam większy od innych, trzy razy większy, bródkę ma zębatą, oczywiście, to nie od komody... Widocznie więc ma jeszcze jakąś szkatułę albo inną skrytkę. ...To ciekawe. Wszystkie kasetki mają takie klucze... Zresztą, jakie to wszystko podłe...“

Starowina wróciła.

— Proszę: jeżeli liczyć, jak zawsze, po dziesiątce miesięcznie od rubla, to za półtora rubla wypadnie piętnaście kopiejek za miesiąc zgóry. A za dwa ruble poprzednie należy się jeszcze od pana według tego samego rachunku za dwa miesiące zgóry dwadzieścia kopiejek. Razem wyniesie to więc trzydzieści pięć kopiejek. Wobec tego dostaje pan za swój zegarek ogółem rubel piętnaście kopiejek. Oto pieniądze.

— Jakto! To już rubel piętnaście kopiejek!

— Tak jest.

Młodzieniec nie próbował oponować i wziął pieniądze. Patrzył na starowinę i zatrzymał się jeszcze, jakgdyby chciał coś jeszcze powiedzieć, czy zrobić, i jakby sam nie wiedział, co...

— A może pani w tych dniach przyniosę jeszcze jedną rzecz... srebrną... ładną... taką papierośnicę... jak tylko wrócę od przyjaciela... — Stropił się przytem i zamilkł.

— No, to mamy czas o tem mówić, panie kochany.

— Żegnam panią... Pani ciągle siedzi w domu sama, siostrzyczki niema? — zapytał możliwie najbardziej nonszalancko, wychodząc do przedpokoju.

— A pana co ona obchodzi, kochany panie?

— Nic nadzwyczajnego... tak sobie. A pani zaraz Bóg wie co... Do widzenia, Aleno Iwanowno!

Raskolnikow wyszedł zupełnie zmieszany. Zmieszanie to potęgowało się z każdą chwilą. Schodząc ze schodów, przystawał nawet kilka razy, jakgdyby czemś się nagle przeraził. Wreszcie, już na ulicy, zawołał:

— O, Boże! Jakież to wszystko obrzydliwe! I czyżbym ja... czyżbym... nie, to — bzdury, absurd! — dodał zdecydowanie. — Że też podobna potworność mogła mi przyjść na myśl?! Do jakiej ohydy zdolne jest jednakże serce moje. A grunt, że to wszystko brud, paskudztwo, ohyda, ohyda!... I to ja przez cały miesiąc...

Lecz ani słowami, ani okrzykami nie był w stanie wyrazić swego wzburzenia. Uczucie bezgranicznego oburzenia, które go zaczęło gnębić i ciężyć na sercu, jeszcze w chwili,

gdy szedł do staruchy, doszło do takiego napięcia i tak jaskrawie uwypukliło się, że z rozpaczy nie wiedział, gdzie się podziać. Szedł chodnikiem, jak pijany, nie spostrzegając przechodniów i popychając ich, tak, że oprzytomniał dopiero na następnej ulicy. Rozejrzawszy się dokoła, zauważył, że stoi przed piwiarnią, do której schodziło się z chodnika po schodkach nadół, do sutereny. W tej chwili właśnie wychodziło stamtąd dwóch pijanych, którzy, podtrzymując się nawzajem i wymyślając sobie, wdrapywali się na ulicę. Niedługo myśląc, Raskolnikow zeszedł nadół. Nigdy przedtem nie wchodził do szynków, ale teraz kręciło mu się w głowie, przytem męczyło go okropne pragnienie. Miał ochotę napić się zimnego piwa, tem bardziej, że nagłe osłabienie swoje przypisywał, między innemi, temu, że był głodny. Zajął miejsce w ciemnym, brudnym kącie, przy lepkim stoliku, zażądał piwa i chciwie wypił pierwszy kufel. W głowie mu się nagle rozjaśniało, spadł mu kamień z serca, jakby ręką zdjęło. „To wszystko — wierutne głupstwa, — powiedział sobie z nadzieją, — nie było się czego przejmować! Poprostu wyczerpanie fizyczne! Jeden marny kufel piwa, kawałek sucharka, — i w jednej chwili wzmacnia się umysł, rozjaśnia się myśl, krzepną zamiary! Tfy, jakie to wszystko razem nędzne, znikome!...“ Nie bacząc na to pogardliwe splunięcie, rozjaśniła mu się już twarz, jakgdyby zrzucił z siebie nagle jakiś okropny ciężar i przyjaznem już okiem spojrzał po obecnych w lokalu. Ale w tej-że chwili jakby przez mgłę wyczuwał, że cała ta skłonność do poprawy była też chorobliwa.

W szynku było o tej porze bardzo mało gości. Oprócz tych dwóch pijanych, których spotkał na schodach, wyniosła się jeszcze cała banda, z pięć osób, z jakąś dziwką i z harmonją. Po ich wyjściu było jakoś ciszej i przestronniej. Pozostali jeszcze: jeden zlekka wstawiony, przy piwie, z wyglądu mieszczuch; kolega jego, zupełnie pijany, spał na ławce i od czasu do czasu, niespodziewanie, jakby przez sen, ni stąd ni zowąd strzelał palcami, rozkładając ręce i podskakiwał jakoś górną częścią ciała, nie podnosząc się z ławki,

przyczem rzucił coś niesłychanie głupiego, usiłując przypomnieć sobie wiersze w rodzaju:

Cały rok pieściłem żonę...
ca-ały rok pie-eściłem żo-onę...

Albo, budząc się nagle, znowu zaczynał:

Przez Podjacką szedł ulicę,
Spotkał dawną swą dziewicę...

Ale nikt nie podzielał jego szczęścia; milczący kompan jego traktował nawet wszystkie te wybryki wrogo i nieufnie. Był tu jeszcze jeden osobnik, z wyglądu przypominający niejako emerytowanego urzędniczynę. Siedział oddzielnie, przy swoim kuflu, odpijając od czasu do czasu łyk i rozglądając się dokoła. Zdawał się być też trochę podniecony.

## II.

Raskolnikow nieprzyzwyczajony był do tłumu i, jak się już rzekło, unikał wszelkiego towarzystwa, szczególnie w ostatnich czasach. Ale w tej chwili coś go do ludzi ciągnęło. Coś się w nim jakgdyby budziło nowego i równocześnie zapragnął towarzystwa ludzi. Do tego stopnia znużył go ten miesiąc samotności, rozterki i ponurej podniety, że pragnął choćby na chwilę odetchnąć w innym świecie, w jakimkolwiek, i nie bacząc na otaczające go brudy, z przyjemnością siedział w tym szynku.

Właściciel zakładu był w drugim pokoju, ale często wchodził do głównej sali, do której schodził skądś po schodkach, przytem najpierw ukazywały się jego eleganckie wysmarowane dziegciem buty z czerwonemi wyłogami. Miał na sobie rodzaj sukmany i strasznie zaplamioną kamizelkę atłasową, był bez krawata, a twarz miał jakby całą tłuszczem wysmarowaną, jak jaka kłódka żelazna. Za bufetem stał jakiś chłopak czternastoletni; był jeszcze drugi chłopak, który usługiwał gościom, stały pokrajane na plasterki ogórki, czarne suchary, pokrajana na kawałeczki ryba; wszystko to okropnie cuchnęło. Było tak nieznośnie duszno,

że trudno było usiedzieć i wszystko było do tego stopnia przesiąknięte zapachem wódki, że, zdawało się, od samego zapachu tego można było się już upić.

Zdarzają się tego rodzaju spotkania, nawet z zupełnie nieznajomymi ludźmi, którymi zaczynamy się interesować na pierwszy rzut oka, nagle jakoś, niespodziewanie, przedtem, nim zamienimy jedno słowo. Takie właśnie wrażenie sprawił na Raskolnikowie ów gość, który siedział, przypominając emerytowanego urzędnika. Młodzieniec niejednokrotnie potem przypominał sobie wrażenie to, przypisując je nawet przeczuciu. Ciągle spoglądał na urzędnika, między innemi, dlatego, że i tamten uporczywie się w niego wpatrywał i widać było, że ma ogromną ochotę wszcząć z nim rozmowę. Na resztę zaś obecnych w szynku, nie wyłączając gospodarza, urzędnik spoglądał jakoś z wyrazem nudy, a zarazem z góry, z odcieniem lekceważenia, jak na ludzi niższej kategorji i poziomu umysłowego, z którymi niema właściwie o czem mówić. Był to człowiek w wieku powyżej pięćdziesięciu lat, średniego wzrostu i dość silnej budowy, szpakowaty, o dużej łysinie, o obrzękłej od ciągłego pijaństwa żółtej, a nawet zielonkawej twarzy i podpuchniętych powiekach, z pod których świeciły wąziutkie, na kształt szparek, ale ożywione, zaczerwienione oczy. Ale coś miał w sobie dziwnego; spojrzenie jego miało nawet wyraz uduchowienia, — bodaj-że przebijał w niem i rozum i mądrość, — równocześnie jednak zdradzał coś jakby obłędnego. Ubrany był w stary, doszczętnie obdarty czarny frak, bez guzików. Jeden guzik jakoś się jeszcze trzymał i na ten guzik właśnie się zapinał, chcąc, widocznie, zachować pozory przyzwoitości. Z pod nankinowej kamizelki sterczał biały gors, cały zmięty, wybrudzony, oblany. Twarz miał wygoloną, jak na urzędnika przystało, ale już dawno temu, tak że zaczęła mu już gęsto przebijać niebieskawa szczecina. Nawet w ruchach miał coś z solidności urzędnika. Ale był czegoś niespokojny, czochrał włosy i opierał chwilami ze smutku głowę na dłoniach, stawiając dziwacznie obdarte łokcie na zalanym, lepkim stole. Wreszcie jednak spojrzał wprost na Raskolnikowa i głośno dobitnie odezwał się:

— Czy mogę się ośmielić, szanowny panie, zwrócić się do pana dla przyzwoitej pogawędki? Bo choć wygląd ma pan nieszczególny, ale doświadczone oko moje widzi w panu człowieka wykształconego i z trunkami nieoswojonego. Zawsze miałem w poszanowaniu wykształcenie, związane z szczerością serca i uczuć, a poza tem, jestem radcą tytularnym. Marmeładow — tak się nazywam; radca tytularny. Ośmielam się zapytać: pan jest urzędnikiem?

— Nie, na studjach jestem... — odpowiedział młodzieniec, zdziwiony poczęści górnolotnym stylem mówiącego, jak również tem, że zwrócono się do niego wprost, bez ogródek. Nie bacząc na niedawne pragnienie jakiegokolwiek ludzkiego towarzystwa, przy pierwszem, zwróconem bezpośrednio do niego, słowie, doznał zwykłego swego uczucia podrażnienia i wstrętu wobec każdej obcej osoby, dotykającej lub mającej zamiar dotknąć osobiście.

— A więc — student, albo były student! — zawołał urzędnik, — tak też przypuszczałem! Doświadczenie, szanowny panie, wieloletnie doświadczenie! — i na znak domyślności przyłożył palec do czoła! Był pan studentem albo przechodził pan dział naukowy! Pozwoli pan...

— Wstał, zatoczył się, zabrał swoją butelczynę i szklaneczkę i przysiadł się do stolika Raskolnikowa. Był niezupełnie trzeźwy, ale mówił płynnie i ze swadą, niekiedy tylko plącząc się i ględząc. Z jakąś chciwością nawet uczepił się Raskolnikowa, jakgdyby też już z miesiąc z nikim nie rozmawiał.

— Dobrodzieju szanowny, — zaczął omal że uroczystym tonem, — ubóstwo człowieka hańbi, to święta prawda. Wiem, że i pijaństwo nie jest zaletą — z całą pewnością. Ale nędza, szanowny panie, nędza — to straszna wada. W ubóstwie zachowuje się jeszcze szlachetność uczuć wrodzonych, ale w nędzy — nikt i nigdy na świecie. Za nędzę nietylko kijem wypędzają, ale miotłą wymiatają z ludzkiego towarzystwa — dla tem cięższej obelgi; i słusznie, bo w nędzy człek gotów jest sam siebie obrażać. Stąd też pijaństwo. Dobrodzieju szanowny, miesiąc temu żonę moją pobił p. Lebeziatnikow, a żona moja — to nie ja!

Zrozumiałe! Pozwoli pan jeszcze zapytać, tak sobie, z prostej ciekawości: raczył pan kiedy nocować na Newie, na barkach z sianem?

— Nie, nie miałem takiego wypadku, — odpowiedział Raskolnikow. — Co to znaczy?

— Widzi pan, a ja stamtąd właśnie idę, już piątą nockę z rzędu...

Nalał sobie szklaneczkę, wypił i zamyślił się. Istotnie, na ubraniu jego, a nawet we włosach sterczały jeszcze resztki siana. Bardzo prawdopodobne było, że przez pięć dni nie rozbierał się ani się umywał. Szczególnie brudne miał ręce: zatłuszczone, czerwone, z czarnemi paznokciami.

Rozmowa jego zdawała się zwracać ogólną, choć stosunkowo leniwą uwagę. Chłopcy bufetowi parskali śmiechem. Zdaje się, że nawet sam gospodarz przyszedł z górnego pokoju, żeby posłuchać „figlarza" i usiadł opodal, leniwie, choć z powagą, poziewając. Widoczne było, że Marmeładow był tu oddawna znany. Prawdopodobnie skłonność do wyszukanego sposobu wysławiania się nabył również dzięki częstym rozmowom z przygodnymi gośćmi w szynkach. Przyzwyczajenie to przechodzi u niejednego w potrzebę, szczególnie u tych, z którymi w domu obchodzą się zbyt surowo i którymi pomiatają. Dzięki temu może starają się przy kieliszku wśród kompanów pozyskać sobie niejako usprawiedliwienie, a, jeżeli się udaje, to nawet szacunek.

— Figlarzu! — nagłos odezwał się gospodarz. — A czegój nie pracujesz, czegój na służbie nie jesteś, jeżeliś jest urzędnikiem?

— Dlaczego nie pracuję, panie szanowny, — podchwycił Marmeładow, zwracając się wyłącznie do Raskolnikowa, jakgdyby on mu to pytanie zadał, — dlaczego nie pracuję? A czy mnie samego serce nie boli, że się tak wałęsam bez pożytku. Kiedy p. Lebeziatnikow miesiąc temu małżonkę moją pobił własnoręcznie, a ja leżałem pijaniusieńki — czy wtenczas nie cierpiałem? Przepraszam szanownego pana, czy zdarzyło się panu... hm... no, powiedzmy, prosić o pożyczkę beznadziejnie?

— Owszem... ale jakto beznadziejnie?

— Niby zupełnie beznadziejnie, zgóry wiedząc, że nic z tego nie będzie. Oto, naprzykład, wie pan zgóry i z wszelką pewnością, że dany osobnik, najspokojniejszy i najpożyteczniejszy obywatel, za nic na świecie pieniędzy panu nie pożyczy, bo i, proszę pana, z jakiej racji miałby pożyczać? Przecież wie doskonale, że mu nie oddam. Z litości? Ale p. Lebeziatnikow, który śledzi za nowemi prądami myśli tłumaczył niedawno, że litość w naszych czasach zabroniona jest nawet przez naukę, i że tak już dzieje się w Anglji, gdzie jest ekonomja polityczna. Więc z jakiej racji, pytam ja się pana, miałby pożyczać? I oto, zgóry wiedząc, że nie pożyczy, wybiera się pan w drogę...

— Pocóż się więc wybierać? — zapytał Raskolnikow.

— A jeżeli niema się do nikogo innego zwrócić, jeżeli niema dokąd pójść?! Przecież musi być tak, żeby każdy człowiek miał dokądkolwiek pójść. Albowiem nadchodzi taki moment, kiedy człowiek za wszelką cenę musi dokądkolwiek pójść! Kiedy jedynaczka - córka moja po raz pierwszy poszła za żółtą książeczką, ja też wtedy poszedłem... (bo córka moja ma żółtą książkę... — dodał nawiasem, spoglądając z pewnem zaniepokojeniem na młodzieńca). To nic, panie dobrodzieju! — dodał pośpiesznie, chcąc się, widocznie, zdobyć na spokój, gdy parsknęli śmiechem chłopcy bufetowi i uśmiechnął się sam właściciel. To nic! Owo kiwanie głów mało mnie wzrusza, albowiem wszyscy już o wszystkiem wiedzą, i wszystkie tajemnice zostały ujawnione; i nie z pogardą, a z pokorą do tego się odnoszę. Niech tam sobie! Niech sobie! „Ecce homo!“. Pozwoli pan, młody człowieku: czy pan może... Albo nie, powiem mocniej i dobitniej: nie czy pan może, a czy się pan *ośmieli*, spoglądając w tej chwili na mnie, stwierdzić pozytywnie, że nie jestem świnią?

Młodzieniec nie odpowiedział.

— A no więc, ciągnął dalej mówca, solidnie i z pewną nawet robioną tym razem godnością, przeczekawszy chichot, który znowu rozległ się na sali. Zgoda, niech ja będę świnią, a ona damą! Ja podobny jestem do bydlaka,

a Katarzyna Iwanowna, małżonka moja — osoba wykształcona i z pochodzenia córka oficera sztabowego. Dobrze, niech ja będę szubrawcem, ona zaś — i serca szlachetnego i uczuć wyszlachetnionych przez wychowanie pełna. A jednak... o, gdybyż się nade mną chciała ulitować! Panie szanowny, dobrodzieju, przecież każdy człowiek musi mieć choć jeden taki zakątek, gdzieby się i nad nim litowano! A Katarzyna Iwanowna jest to dama, choć i wspaniałomyślna, ale niesprawiedliwa... I chociaż sam dobrze rozumiem, że gdy nawet za czuprynę mnie targa, to targa ją jedynie z serdecznego współczucia, z bólem serca (bo, bez wstydu wyznaję, targa mnie rzeczywiście za czuprynę, młody człowieku, — potwierdził z zdwojoną godnością, usłyszawszy znowu chichot), ale Boże święty, coby było, gdyby tak choć jeden jedyny raz... Ale nie! Nie! Wszystko to — nadaremno, i niema o czem mówić! Niema o czem mówić!... albowiem nieraz już urzeczywistniało się życzenie moje, nieraz już przytulali mnie, ale... taka już jest natura moja, a ja jestem — zdecydowane bydlę!

— Ba! — zauważył ziewający właściciel.

— Taką już mam naturę! Czy pan wie, czy uwierzy pan, panie dobrodzieju, że nawet pończochy jej przepiłem? Nie buciki, bo toby choć było do czegoś podobne, a pończochy, pończochy jej przepiłem! Szal jej z koziego puchu też przepiłem, darowany, dawny, jej własny, nie mój, a mieszkamy kątem, w nieopalonem mieszkaniu, więc ubiegłej zimy przeziębiła się i zaczął się już kaszel, odrazu z krwią. Mamy przytem troje małych dzieci, a Katarzyna Iwanowna w jarzmie jest od rana do nocy, szoruje, czyści, dzieci myje, bo do czystości od kolebki jest przyzwyczajona, a piersi ma słabe, do suchot skłonne i ja to doskonale czuję. O, czuję to. I im więcej piję, tem głębiej odczuwam. Dlatego też piję, że w takowym stanie współczucia i miłości szukam... Piję, bo jeszcze większych pragnę cierpień! — I jakby z rozpaczy oparł się głową o stół.

— Młody człowieku, — zaczął znowu, podnosząc głowę, — w twarzy pańskiej widzę jakby pewną boleść. Jak tylko pan wszedł, wyczytałem to i dlatego się do pana zwró-

ciłem. Albowiem, opowiadając panu dzieje żywota mojego, nie na hańbę chcę się wystawiać wobec tych nieużytków, nierobów, którzy i tak już wszystko to znają, a uczuciowego wykształconego człowieka szukam. Trzeba panu wiedzieć, że małżonka moja wychowywała się w arystokratycznym gubernjalnym instytucie szlacheckim i przy opuszczaniu instytutu tańczyła z szalem wobec gubernatora i innych osobistości, i za to otrzymała złoty medal i nagrodę. Medal... no, medal sprzedaliśmy... już dawno... hm... nagrodę dotychczas ma w kuferku, niedawno pokazywała ją gospodyni. I chociaż ma z gospodynią bezustanne kłótnie, ale chciało się jej wobec kogokolwiek pochwalić się i opowiedzieć o minionych dniach szczęścia. I nie ganię jej za to, nie ganię, albowiem są to piękne resztki, które jej pozostały jako wspomnienia, a wszystko inne poszło na marne! Tak, tak: dama to zapalczywa, ambitna i niezłomna. Sama podłogę szoruje i o razowym chlebie żyje, a na nieposzanowanie wobec swojej osoby nie pozwoli. Dlatego też nie mogła darować p. Lebeziatnikowowi impertynencji jego i jak pan Lebeziatnikow za to ją pobił, nietyle z bólu, ile z nadmiaru uczuć zachorowała. Jako już z wdową, z nią się ożeniłem, z trojgiem małych dzieci, jedno od drugiego mniejsze. Wyszła zamąż za pierwszego męża swojego, oficera piechoty, z miłości i z nim uciekła z domu rodzicielskiego. Męża kochała niewymownie, ale wdał się w karcięta, został pod sąd oddany i z tem do grobu poszedł. Bił ją pod koniec; a ona, choć mu dłużna nie zostawała, co mi jest na podstawie dokumentów dokładnie wiadomem, jednak po dzień dzisiejszy wspomina go ze łzami w oczach i mnie go wytyka, a ja rad jestem, bardzo rad, bo chociaż w wyobraźni widzi się niegdyś szczęśliwą... I została po jego śmierci z trojgiem nieletnich dzieci w dalekim zbydlęciałym powiecie, gdzie i ja wówczas się znajdowałem i znalazła się w tak beznadziejnej nędzy, że chociaż dużo już widziałem najróżnorodniejszych przygód, ale tego nawet opisać nie jestem w stanie. Rodzina zaś jej się wyrzekła. A była ambitna, za bardzo ambitna... I wtedy to, mości dobrodzieju, wtedy właśnie

ja, również wdowiec, z czternastoletnią córką od pierwszej żony, poprosiłem ją o rękę, bo patrzeć się nie mogłem na podobną nędzę i cierpienia. Może pan z tego choćby wnosić, do czego dochodziła jej nędza, że ona, wykształcona i dobrze wychowana, z znanej rodziny, zgodziła się wyjść za mnie! Ale wyszła! Z płaczem, szlochaniem, załamywaniem rąk — a wyszła! Albowiem nie miała dokąd pójść. Czy pan rozumie, rozumie pan, dobrodzieju szanowny, co to znaczy, kiedy niema już dokąd pójść? O, nie! Tego pan jeszcze nie rozumie... I przez cały rok wypełniałem obowiązki swoje święcie i bogobojnie i tego nie dotykałem się (pokazał palcem na butelkę), bo mam uczucia. Ale i tem nie mogłem jej dogodzić; a tu jeszcze posadę straciłem, również nie z winy mojej, a dzięki redukcji etatów, i wtedy dopiero zacząłem do butelki zaglądać!... Półtora roku już minęło, jak po długiej włóczędze i niezliczonych nieszczęściach znaleźliśmy się w tej oto wspaniałej i upiększonej szeregiem pomników stolicy. I tu otrzymałem posadę... Otrzymałem i znowu straciłem. Rozumie pan? Tu już straciłem z winy własnej, bo natura moja przemówiła... Mieszkamy zaś teraz kątem, u gospodyni Amelji Teodorowny Lippenwechsel, a czem żyjemy i z czego płacimy — nie mam pojęcia. Mieszka tam wielu jeszcze oprócz nas... Sodoma, najprawdziwsza... hm... tak... W tym czasie wyrosła córka moja od pierwszego małżeństwa i ile się nacierpiało dziecko moje, dorastając, od macochy swojej — to już wolę przemilczeć! Żadnego wychowania, rozumie pan chyba, Sonia nie otrzymała. Że cztery lata temu próbowałem przechodzić z nią geografję i historję powszechną, że zaś sam niebardzo tęgi w przedmiotach onych jestem, a porządnych podręczników nie było, bo jeżeli jakieś nawet były, to... hm... słowem, już ich niema, tych książek niby, to na tem się skończyła cała nauka. Stanęliśmy na Cyrze perskim. Potem już, gdy dojrzała, przeczytała kilka książek treści romantycznej i niedawno temu, za pośrednictwem pana Lebeziatnikowa, jeszcze jedną książkę *Fizjologję* Louisa — zna pan to? — przeczytała z ogromnem zajęciem i nawet niektóre urywki

nam nagłos wyrecytowała: oto cała jej oświata. Teraz zwracam się do pana, dobrodzieju mój szanowny, ze swej strony z osobistem, że tak powiem, pytaniem: czy, zdaniem pana, czy dużo może zarobić biedna, uczciwa panna uczciwą pracą?... Piętnastu kopiejek na dzień, dobrodzieju, nie zarobi, jeżeli jest uczciwa i nie posiada nadzwyczajnych talentów i to pracując bez wytchnienia! A i tak radca stanu Klopfstock, Iwan Iwanowicz, — słyszał pan o nim? nie tylko nie zapłacił dotychczas za uszycie pół - tuzina koszul holenderskich, ale jeszcze z obelgą ją wypędził, tupając nogami i nieprzyzwoitem słowem ją zwymyślawszy, pod pretekstem, że koszula uszyta jest nie według miary i krzywo. A tu głodne dzieci... Tam znowu Katarzyna Iwanowna po pokoju biega, ręce załamuje, a na policzkach występują jej plamy czerwone — przy tej chorobie zawsze tak bywa: „Mieszkasz, powiada, u nas, darmozjadzie jeden, żresz, pijesz, w cieple sobie siedzisz“, a co tu żresz i pijesz, kiedy nawet dziatki po trzy dni skórki od chleba na oczy nie widzą! Leżałem ci wtedy... e, co tam! leżę zupełnie pijaniusieńki i słyszę, jak Sonia moja (bo to stworzenie łagodne i głosik ma taki pokorny... blondyneczka i twarzyczkę ma zawsze bladziuchną, chudziutką) mówi: „Cóż zrobić, Katarzyno Iwanowa, miałabym pójść na taką drogę?“... A Darja Francewna, kobieta szkodliwa i w policji niejednokrotnie notowana, ze trzy razy już dowiadywała się o nią przez gospodynię. „Bo i cóż, — odpowiada Katarzyna Iwanowna z kpinami, — co tu chować? Cnotka! Nie widział kto takiego skarbu!“. Ale niech pan jej nie potępia, nie, nie potępiaj pan jej! To nie było powiedziane spełna rozumu, a w gniewie i rozpaczy, w chorobie i wśród płaczu żałosnego głodnych dzieci, a i to więcej dla obelgi, jak w dosłownem znaczeniu: bo Katarzyna Iwanowna ma już taką naturę, że jak dzieci się rozpłaczą, choćby nawet z głodu, zaraz je tłuc zaczyna. Patrzę, a tak koło godziny szóstej Sonia włożyła chusteczkę na głowę, żakiecik stary i wyszła z domu, a po ósmej już wróciła. Przyszła i wprost do Katarzyny Iwanowny i wykłada jej na stół bez słowa całe trzydzieści rubli. Ani słówkiem nie odezwała się, nie spojrza-

ła nawet na nikogo, wzięła tylko naszą dużą chustkę kortową (mamy taką wspólną chustkę rodzinną, kortową), okryła się przez głowę i położyła się na łóżku, twarzyczką do ściany i tylko widać było, jak jej drgają ramiona i cała się, biedactwo, trzęsie... A ja, jak i przedtem, leżałem w tym samym stanie... I potem widziałem, młody człowieku, widziałem na własne oczy, jak potem Katarzyna Iwanowna, też bez jednego słowa, podeszła do łóżka Soni i cały wieczór na klęczkach u nóg jej stała, nogi jej całowała, podnieść się nie chciała, aż obie zasnęły, objąwszy się... obie... obie... tak, tak... a ja... leżałem pijaniusieńki.

Marmeładow zamilkł, jakgdyby mu się urwał głos. Po chwili szybko nalał sobie wódki i wypił.

— Od owego czasu, dobrodzieju mój, — ciągnął po chwili milczenia, — dzięki przypadkowi i doniesieniu niegodziwych ludzi, — do czego głównie się przyczyniła Darja Francewna, podobno dlatego, że jej za mało szacunku okazywano, — od owego czasu, powiadam, córka moja, Zofja Semionowna, zmuszona była otrzymać żółtą książeczkę i z takowego powodu nie mogła już razem z nami zamieszkiwać. Albowiem ani gospodyni, Amelja Fiodorowna pozwolić na to nie chciała (a sama przecież przedtem Darji Francewnie pomagała), ani też pan Lebeziatnikow... hm... Właśnie całą tę awanturę z Katarzyną Iwanowną miał o Sonię. Przedtem sam napastował Sonię, a tu odrazu ambicja przez niego przemówiła: „Jakto, — powiada, — ja, człowiek oświecony, będę mieszkać z taką pod jednym dachem?". A Katarzyna Iwanowna nie darowała mu tego, ujęła się za nią... i tak się to zaczęło... A Soniusia zachodzi do nas teraz przeważnie o zmroku, pomaga czem może Katarzynie Iwanownie i pieniędzmi ją wspiera... Mieszka u krawca Kapernaumowa, jako sublokatorka, a Kapernaumow jest kulawy i jąka się i cała jego bardzo liczna rodzina się jąka. I żona jego też się jąka... Gnieżdżą się w jednym pokoju, a Sonia ma oddzielny, z przegródką... Hm, tak... Nędzarze i jąkały... tak... Jak tylko wstałem nazajutrz z rana, włożyłem swoje łachmany, podniosłem ręce do nieba i udałem się do ekscelencji Iwana Afanasjewicza.

Zna pan ekscelencję Iwana Afanasjewicza?... Nie? O, to nie zna pan człowieka Bożego! To — wosk... wosk, jako świeczka Panu Bogu, taje jako wosk!... „No, Marmeładow, raz już mnie zawiodłeś... Przyjmuję cię jeszcze raz na osobistą odpowiedzialność moją!... — tak dosłownie powiedział, — pamiętaj, powiada, możesz sobie iść!". Całowałem ślady stóp jego, rozumie się, w myśli, bo naprawdę nie pozwoliłby, będąc wysokim dygnitarzem i człowiekiem nowego, naukowego kierunku; wróciłem do domu i, Boże, co się tam działo, kiedy opowiedziałem, że znowu zostałem przyjęty!...

Marmeładow silnie zdenerwowany znowu przerwał. W tej chwili wpadło z ulicy nowe towarzystwo pijaków, już zupełnie pijanych i przy wejściu rozległy się dźwięki najętej katarynki i ochrypły głos siedmioletniego dziecka, które śpiewało „Chutorek". Zrobiło się gwarno. Gospodarz i kelnerzy zajęli się gośćmi. Marmeładow, nie zwracając najmniejsze uwagi na przybyłych, opowiadał dalej. Widocznie było, że bardzo osłabł. Im bardziej się upijał, tem gadatliwszy się stawał. Wspomnienia o niedawnem powodzeniu w urzędzie ożywiły go nawet, że aż twarz mu się rozjaśniła. Raskolnikow uważnie słuchał.

— Było to więc, panie kochany, pięć tygodni temu. Tak... Jak się tylko obie o tem dowiedziały, niby Katarzyna Iwanowna i Sonia... Boże święty, jakgdyby się w Królestwie Niebieskiem znalazł! Dawniej traktowali mnie, jak jakie bydlę, leżałem, a dokoła wymyślania i nic więcej. A potem: na paluszkach chodzą, dzieci uspakajają: „Semion Zacharycz zmęczył się w biurze, odpoczywa, sz... sz...!" Kawunię mi zrana dają, śmietankę gotują! Prawdziwą śmietanę zaczęli kupować, słyszy pan! I zupełnie nie rozumiem, skąd wydostały na nowe umundurowanie moje jedenaście rubli pięćdziesiąt kopiejek! Buty, półkoszulki płócienne — piękne, mundur galowy, wszystko skleciły w cudowny sposób za jedenaście i pół rubla. Przychodzę pierwszego dnia z urzędu, patrzę, a Katarzyna Iwanowna gotuje obiad z dwóch dań: zupę i boczek z chrzanem, o czem do-

tychczas nie mieliśmy wyobrażenia. Nie miała sukni na sobie... dosłownie nic a nic, a tu odrazu wystroiła się, jakby się z wizytą gdzieś wybierała i to nie byle jak, poprostu z niczego wszystko zrobić potrafią: uczeszą się, kołnierzyk jakiś przyfastrygują, mankieciki, koroneczki i — jakby nie ta sama osoba, odmłodniała, wypiękniała. Soniuchna, kochanie moje, tylko pieniędzmi pomagała, bo, powiada, do czasu nie wypada jej często u nas bywać, chyba że o zmroku, żeby nikt nie zauważył . Posłuchaj pan, posłuchaj! Przyszedłem po obiedzie, chciałem się zdrzemnąć, i oby pan myślał, przecie nie wytrzymała Katarzyna Iwanowna: tydzień temu pokłóciła się przecież z gospodynią, Amelją Fiodorowną tak, że jej od najostatniejszych nawymyślała, a teraz ją na kawkę poprosiła. Dwie godziny siedziały i cały czas sobie szeptały: że niby Semion Zacharycz pracuje teraz i pensję dostaje, osobiście zameldował się ekscelencji i jak to ekscelencja sam wyszedł z gabinetu, wszystkim kazał czekać, a Semiona Zacharycza przy wszystkich za rękę wziął i do gabinetu zaprosił. Słyszy pan, słyszy pan? „Pamiętam, powiada, Semionie Zacharyczu, zasługi pańskie i chociaż pan ma tę lekkomyślną słabostkę, ale jako że pan teraz obiecuje i że bez pana źle się u nas działo (niech pan słucha!), to wierzę, powiada, pańskiemu słowu honoru“, słowem, wszyściuteńko co do joty, powiadam panu, zmyśliła sobie i nawet nie z lekkomyślności, a dla przechwały tylko! Mało tego, sama we wszystko wierzy, własną fantazją się pociesza, jak Boga kocham! Nie mam jej tego nawet za złe, o, tego — nie! A kiedym sześć dni temu przyniósł pierwszą pensję swoją — dwadzieścia trzy ruble czterdzieści kopiejek — i oddałem jej wszystko do grosza, rybeczką mnie nawet nazwała: „Rybeczko, powiada, ty moja kochana!“. I to sam na sam, rozumie pan? Co ona może we mnie widzieć i co ze mnie za małżonek? A ona nic, uszczypnęła mnie nawet w policzek: „Rybeczko ty moja!“ — powiada.

Marmeładow huknął się pięścią w czoło, zęby zacisnął, uśmiechnął się, ale nagle zaczęła mu dziwnie drgać dolna szczęka. Zresztą, pohamował się siłą woli. Cały szynk ten,

wygląd zboczeńca, pięć nocy na barkach z sianem i butelka — obok jakiejś chorobliwej miłości do żony i rodziny, zupełnie zbijało z tropu słuchacza. Raskolnikow słuchał z napięciem niemal chorobliwem.

— Szanowny panie, szanowny panie! — zawołał Marmeładow, gdy się już opanował, — o, dobrodzieju szanowny, dla pana są to może kpiny, jak i dla wszystkich innych i niepokoję może pana temi śmiesznemi bzdurami mojego codziennego życia rodzinnego, ale dla mnie to nie są kpiny! Bo ja to wszystko czuję... I wciągu całego dnia rajskiego życia mojego i całego wieczoru tego sam bujałem w obłokach i marzyłem: niby o tem, jak wszystko urządzę, dzieci poodziewam, córkę jedyną z pohańbienia na łono rodziny nawrócę... I wiele jeszcze, wiele... To mi chyba wolno było, panie. I oto, mój panie (Marmeładow niespodziewanie jakoś drgnął, podniósł głowę i spojrzał mu przenikliwie wprost w oczy) i oto nazajutrz, bezpośrednio po tych wszystkich marzeniach (a było to równo pięć dni temu), pod wieczór, niepostrzeżenie, jak świętokradca, wykradłem Katarzynie Iwanownie klucz od jej kufra i pokryjomu wyjąłem wszystko, co pozostało z pensji mojej, nie pamiętam już ile i oto spójrzcie na mnie, wszyscy! Piąty dzień, jak z domu uciekłem, a tam mnie szukają. I koniec już mojej karjery służbowej i mundur galowy leży już w szynku na moście Egipskim, wzamian którego otrzymałem ten oto strój... wszystkiemu koniec!

Marmeładow huknął siępięścią w czoło, zęby zacisnął, zacisnął oczy i oparł się mocno łokciami o stół. Ale po chwili twarz mu się w okamgnieniu zmieniła, z wyrazem jakiejś udanej przebiegłości i z równie udaną bezczelną miną spojrzał na Raskolnikowa, roześmiał się, i powiedział:

— A dzisiaj byłem u Soni, wyprosiłem na otrzeźwienie! Hi, hi!...

— Czyżby dała? — krzyknął ktoś z przybyłych gości i ryknął śmiechem na cały głos.

— O, ta właśnie butelczyna kupiona jest za jej pieniądze, — odpowiedział Marmeładow, zwracając się wyłącznie do Raskolnikowa. Trzydzieści kopiejek mi dała,

własnemi rączkami, wszystko co miała, na własne oczy widziałem... Ani słowa nie wyrzekła, tylko spojrzała na mnie w milczeniu... Tak nie na ziemi a tam... cierpią za ludzi, płaczą po nich, ale wyrzutów nie robią, nie robią wyrzutów! Trzydzieści kopiejek, tak. A przecież i jej są one teraz potrzebne, nie? Jak pan myśli, szanowny panie? Przecież ona musi teraz dbać o czystość. A przecież pieniądze kosztuje ta czystość, wiadomo jaka, rozumie pan? Czy pan to rozumie? Niby pomadkę do ust kupić trzeba, bez tego ani rusz, jakiś buciczek kokieteryjny, żeby można było sukienkę podnieść, kiedy się przez błoto przechodzi. Czy rozumie szanowny obywatel, co znaczy owa czystość?! A ja, ojciec rodzony, te trzydzieści kopiejek ostatnie wyciągnąłem na otrzeźwienie. I piję! I już przepiłem!... I któżby się nad takim jak ja ulitował, co?... Żal mnie panu teraz, czy nie? Niech pan mówi, żal, czy nie żal? Hi, hi, hi, hi!...

Chciał sobie nalać wódki, ale w butelce nic już nie było. Wszystko wypił.

— A ktoby cię żałował? — krzyknął gospodarz, który się znowu znalazł obok nich.

Rozległ się śmiech, a nawet wymyślania. Śmiali się i wymyślali wszyscy, ci co słuchali i ci co nie słuchali, patrząc poprostu na postać byłego urzędnika.

— Żałować! A pocóż mnie żałować! — krzyknął rozpaczliwie Marmeładow, wstając z wyciągniętą przed siebie ręką, w zdecydowanem natchnieniu, jakby tylko czekał na te słowa. — Poco, powiadasz, żałować? Słusznie! Żałować niema mnie za co! Ukrzyżować mnie trzeba, do krzyża przybić, a nie żałować! Lecz ukrzyżuj, sędzio, ukrzyżuj, a ukrzyżowawszy, ulituj się nad nim! Wówczas sam przyjdę do ciebie na mękę ukrzyżowania, albowiem pragnę nie uciech, a umartwienia i łez! Myślisz może, handlarzu, że ta twoja butelka na dobre mi poszła? Cierpień, umartwienia szukałem na jej dnie, cierpień i łez, i znalazłem je, doświadczyłem; a ulituje się nad nami Ten, Kto nad wszystkimi się ulitował, Kto wszystko, wszystkich po wsze czasy rozumiał; On Jedyny, On — Sędzia. W dniu sądu

ostatecznego z wysokości tronu Swego zapyta: „Gdzie bo jest córa, co dla złej macochy, suchotami toczonej, dla cudzych dzieci nieletnich siebie w ofierze złożyła? Gdzie bo jest córa, co nad ojcem swoim ziemskim, utracjuszem i pijanicą szkodliwym, nie brzydząc się opuszczenia jego, się ulitowała?" I powie: „Przybądź do mnie! Odpuściłem ci raz już winy twoje... Odpuściłem już raz... Godne są przebaczenia i teraz liczne grzechy twoje jako że i ty miłość bliźniego w sercu żywiłaś... I daruje winy Sońce mojej Najwyższy, święcie przekonany jestem, że daruje... Sercem to odczułem, jakem do niej przyszedł i spojrzałem na nią!... I wszystkim sprawiedliwość uczyni, i dobrym i złym, i buńczucznym i pokornym... I gdy już Najwyższy ukończy sąd nad wszystkimi, wezwie i nas przed Swe oblicze i powie: Przyjdźcie, powie, i wy! Przyjdźcie opoje, przyjdźcie poczwary, przyjdźcie pohańbieni!" I staniemy wszyscy przed obliczem Jego, wstydu zapomniawszy. I usłyszymy głos Jego: świnie w postaci ludzkiej! Parszywe owce w stadzie ludzkiem. Bydło obmierzłe, życie zwierząt pędzące! Jakoż przyjdźcie i wy!" I rzekną mędrcy, i rzekną szlachetni: „Boże! łaski Swej im udzielasz?" I tako Pan im odrzecze: „Dlatego łaski Swej im udzielam, o mędrcy, o prawi synowie moi, że ani jeden z nich nigdy nie pomyślał nawet, że godnym jest jej dostąpić..." I wyciągnie ku nam ramiona Swoje. Krzyżem przed Nim padniemy, przez łzy gorzkie przejrzymy... wszystko zrozumiemy! O, wtenczas wszystko zrozumiemy!... Wszyscy przejrzą... nawet Katarzyna Iwanowna... i ona zrozumie... Boże, przyjdź Królestwo Twoje. Amen!...

I opadł wyczerpany bezsilnie na ławkę, nie patrząc na nikogo; zapomniał jakgdyby o całem otoczeniu i pogrążył się w głęboką zadumę. Słowa jego wywarły głębokie wrażenie; na chwilę zapanowała niezmącona cisza; wkrótce jednak rozległ się znowu cyniczny chichot i wymyślanie.

— Rozgrzeszył!

— Zatrajlował!

— Gryzipiórek! Urzędniczyna!

I t. p. i t. p.

— Chodźmy stąd, dobrodzieju, — odezwał się naraz Marmeładow, podnosząc głowę i zwracając się do Raskolnikowa, — niech pan mnie odprowadzi... Dom Kozela, w podwórzu. Czas już... do Katarzyny Iwanowny...

Raskolnikow miał już dawno ochotę wyjść i sam myślał właśnie o tem, żeby mu pomóc. Jak się okazało, Marmeładow był znacznie mocniejszy w mowie, aniżeli w nogach, wobec czego oparł się mocno o Raskolnikowa. Mieli ze dwieście - trzysta kroków drogi. Wzruszenie i strach w miarę zbliżania się do domu coraz bardziej opanowywały pijaka.

— Nie Katarzyny Iwanowny boję się teraz i nie tego, że mnie zacznie targać za włosy, — bełkotał nerwowo. — Co mi tam włosy! Włosy głupstwo! Mówię panu! To może nawet i lepiej, że zacznie targać, ale tego się nie boję... a... oczu jej się boję... tak... oczu... Czerwonych plam na policzkach też się boję... i jeszcze — jej oddechu... Widziałeś kiedy, jak w chorobie tej oddychają w stanie zdenerwowania? Płaczu dzieci też się boję... Bo, jeżeli Sonia nie nakarmiła, to — pojęcia nie mam, co się tam dzieje! Pojęcia nie mam! A bicia się nie boję!... Wiedz, dobrodzieju, że takie bicie nietylko mi bólu nie sprawia, ba, nawet pewną rozkosz... Bo bez tego już się nie mogę obejść... Lepiej tak. Niech pobije, ulży sobie na sercu... tak lepiej... O, tu — mój dom. Dom Kozela. Ślusarza, Niemca, bogatego... prowadź!

Weszli od podwórza na trzecie piętro. Im wyżej, tem ciemniej było na schodach. Było już około jedenastej wieczór, ale o tym czasie w Petersburgu niema właściwej nocy, mimo to jednak na schodach trzeciego piętra było zupełnie ciemno.

Niziutkie, zakopcone drzwi w końcu sieni były otwarte. Dopalająca się świeczka oświetlała nędzny pokoik długości niespełna dziesięć kroków; całe wnętrze widać było z sieni. Wszystko było porozrzucane, w nieładzie, głównie różne łachmany - dziecięce. Kąt wgłębi pokoju zawieszony był dziurawem prześcieradłem. Za niem stało prawdopodobnie łóżko. W całym pokoju było wszystkiego dwa krzesełka i ceratowa, strasznie obszarpana kanapa, przy której stał

niemalowany i niczem nienakryty kuchenny stół sosnowy. Na brzegu stołu stała w żelaznym lichtarzyku dogasająca świeczka. Jak się okazało, Marmeładow mieszkał nie kątem, a w oddzielnym pokoju, zato pokój był przechodni. Drzwi do dalszych pokoi, a raczej klitek, na jakie podzielone było mieszkanie Amelji Lippewechsel, były uchylone. Słychać było stamtąd krzyki, hałasowanie. Śmiali się głośno. Zdaje się, że grali w karty i pili herbatę. Używali od czasu do czasu słów zupełnie niecenzuralnych.

Raskolnikow natychmiast odgadł, która jest Katarzyna Iwanowna. Była to strasznie wychudzona kobieta, wysmukła, dość wysoka i przystojna, z pięknemi jeszcze ciemno - blond włosami i, istotnie, z czerwonemi plamami na policzkach. Chodziła z kąta w kąt po niewielkim pokoiku swoim, z zaciśniętemi na piersiach rękami, z spieczonemi wargami i miała nierówny przyśpieszony oddech. Oczy błyszczały jej jakby w gorączce, ale spojrzenie miała ostre, nieruchome. Ta suchotnicza twarz sprawiała okropne wrażenie przy dogasającym, mieniącym się płomyku świeczki. Wyglądała na lat trzydzieści i Raskolnikow pomyślał sobie, że to, rzeczywiście, żona nie dla Marmeładowa... Nie zauważyła nawet ani usłyszała wchodzących; zdawała się być w stanie jakiegoś zapomnienia, nie słyszała i nie widziała. W pokoju było bardzo duszno, jednakże okna nie otwierała; z klatki schodowej okropnie cuchnęło, drzwi jednak nie zamykała; z sąsiedniego pokoju waliły przez uchylone drzwi kłęby dymu od papierosów, okropnie kaszlała, a jednak drzwi nie przymykała. Najmłodsza dziewczynka, lat sześciu, spała na podłodze, skulona, w jakiejś dziwnej siedzącej pozie, z głową wtuloną w kanapę. Chłopiec, o roczek starszy od niej, drżał w kącie na całem ciele i płakał. Widoczne było, że go przed chwilą wygrzmocono. Starsza dziewczynka, lat dziewięciu, wysoka i cienka, jak zapałka, w jednej nędznej podartej koszulinie i w narzuconym na ramionka obdartym sukiennym kaftaniku, sprawionym jej prawdopodobnie ze dwa lata temu — bo nie dochodził jej teraz nawet do kolan, stała w kącie obok młodszego braciszka, obejmując go długą, wychudłą, jak zapałka, ręką. Zdawała się go uspakajać,

coś mu szeptała, różnemi sposobami usiłowała go namówić, żeby się znów nie rozbeczał, równocześnie zaś ze strachem śledziła za matką wielgachnemi ciemnemi oczyma swojemi, które wydawały się na jej wychudłej i wystraszonej twarzyczce jeszcze większe, niż były w rzeczywistości. Marmeładow stanął, nie wchodząc do pokoiku, u samego wejścia, na klęczkach, a Raskolnikowa pchnął do wnętrza. Kobieta, spostrzegłszy nieznajomego, stanęła jakby w roztargnieniu przed nim, ocknąwszy się na chwilę i jakgdyby siliła się odgadnąć, poco tu wszedł. Ale najprawdopodobniej pomyślała sobie, że idzie do dalszych pokoi, bo jej pokoik był przechodni. W tem przekonaniu przestała na niego zwracać uwagę i skierowała się do drzwi od sieni, żeby je przymknąć i nagle krzyknęła z przestrachu, zauważywszy stojącego na progu na klęczkach męża.

— A-a!... — wrzasnęła, wpadając w szał, — wrócił! Kajdaniarz! Wyrzutek!... A gdzie pieniądze? Co masz w kieszeni, pokaż mi tu. I w innem ubraniu! Gdzie masz ubranie? Gdzie pieniądze? Gadać mi tu!...

Zerwała się do niego i zaczęła go rewidować. Marmeładow rozłożył natychmiast jak najszerzej ręce, żeby jej nie utrudniać rewizji po kieszeniach. Nie znalazła ani kopiejki.

— Gdzie masz pieniądze?! — wrzasnęła. — Boże Święty, wszystko przepił?! Przecież dwanaście rubli zostało w kufrze!... I naraz z wściekłością złapała go za włosy i wciągnęła do pokoju. Marmeładow robił wszystko, żeby jej nie przeszkadzać, pełznąc za nią pokornie na klęczkach.

— I to mi rozkosz sprawia! Nie ból, a roz-kosz, szanow-ny do-bro-dzieju, — wykrzyknął, trzęsąc się od targania go za włosy i stuknąwszy się raz nawet głową o podłogę. Dzieciak, który spał na podłodze, obudził się i zaczął płakać. Chłopak, jakgdyby szału dostał, zerwał się z kąta i rzucił się ku siostrze w okropnym strachu. Starsza dziewczynka drżała jak liść.

— Przepił! Wszystko, wszystko przepił! — krzyczała zrozpaczona biedna kobieta, — i ubranie inne ma! Głodne, głodne! (i załamując ręce, wskazywała na dzieci). O, życie

przeklęte! A panu, panu nie wstyd, — rzuciła się nagle na Raskolnikowa, — z szynku! Z nim chlałeś? Tyś też z nim pił! Wynoś mi się stąd!

Młodzieniec wyniósł się natychmiast bez słowa protestu. Zwłaszcza, że otworzono naoścież drzwi z sąsiedniego pokoju i ukazały się zaciekawione twarze kilku osobników. Wyjrzały cynicznie roześmiane twarze z papierosami w zębach, fajeczkami, w jarmułkach. Niektórzy byli w zupełnie rozpiętych szlafrokach, inni znowu — w nieprzyzwoicie wydekoltowanych letnich kostjumach, z kartami w rękach. Szczególnie bawili się, gdy Marmeładow, targany za włosy, krzyczał, że to mu rozkosz sprawia. Zaczęli nawet wchodzić do pokoju; wtem rozległ się groźny przeraźliwy pisk: wdzierała się do pokoju we własnej osobie Amelja Lippewechsel, żeby, okropnie wymyślając, po swojemu się rozprawić i po raz setny nastraszyć biedną kobietę rozkazem natychmiastowego wyniesienia się z mieszkania. Wychodząc, Raskolnikow zdążył wsunąć rękę do kieszeni, wyjąć ile się dało miedziaków, które mu pozostały z zmienionego w piwiarni rubla i położyć je niepostrzeżenie na oknie. Gdy już był na schodach, rozmyślił się i chciał nawet wrócić.

„Co też za głupstwo popełniłem, — pomyślał sobie, — oni tu mają Sonię, a mnie przecież samemu potrzebne“. Ale, zdecydowawszy, że zabrać je zpowrotem jest niemożliwe i że, zresztą, i tak nie zrobiłby tego, machnął ręką i skierował się do domu. „Soni potrzebne są przecież również pomadki, — rozumował dalej, idąc ulicą i złośliwie się uśmiechając; — ta czystość porządnie kosztuje... Hm! A przecież Sonia bodaj-że też może dziś - jutro zostać na lodzie, bo, po pierwsze, jest tu pewne ryzyko, a po drugie — może się nie udać polowanie na zwierza... poszukiwanie złota... no i zostaną jutro wszyscy na lodzie bez moich pieniędzy... To ci zuch— Sonia! Jaką studnię jednak wykopali! I korzystają przecież z niej! A przecież korzystają! I przyzwyczaili się. Popłakali i przyzwyczaili się. Te łotrzyki - ludzie do wszystkiego się przyzwyczajają“.

Zamyślił się.

„A co, jeżelim zełgał, — zawołał mimowoli, — jeżeli wcale nie jest *łotrem* człowiek sam przez się, to jest cały ród ludzki, czyli że wszelkie skrupuły — to tylko przesądy, strachy na lachy, i nie istnieją żadne przeszkody moralne i taki powinien być porządek rzeczy!“...

## III.

Nazajutrz obudził się późno, miał bardzo niespokojny sen, który go bynajmniej nie pokrzepił. Obudził się bardzo zły, zirytowany, zgryźliwy i z nienawiścią oglądał klitkę swoją. Była to ciasna komórka, długości sześciu kroków i miała strasznie nędzny wygląd ze swojemi pożółkłemi, zakurzonemi, odstającemi wszędzie tapetami, że człowiekowi słusznego choćby wzrostu wydawaćby się musiało, że lada chwila głową o sufit uderzy. Meble dostosowane były do wyglądu mieszkania: stały trzy stare, połamane krzesełka, malowany stół w kącie, na którym porozrzucane były książki i kajety; z tego choćby, że były strasznie zakurzone widać było, że ludzka ręka dawno ich nie dotykała; wreszcie, stała wielka koszlawa kanapa, która zajmowała pół pokoju. Kanapa ta była niegdyś pokryta płótnem, a teraz — obszarpana, dziurawa — służyła Raskolnikowowi za łóżko. Nieraz spał na niej, tak jak był, w ubraniu, bez prześcieradła, pod swojem starem, znoszonem paltem studenckiem, na jednym jaśku pod głową, pod który podkładał całą swoją bieliznę, czystą i brudną, żeby mu było nieco wyżej. Przy kanapie tej stał mały stolik. Trudno było o większe opuszczenie i niechlujstwo, w jakie wpadł Raskolnikow; ale czuł się nawet w tym stanie wcale dobrze.

Uciekł zdecydowanie od ludzi, zasklepił się, jak żółw, w skorupie, i nawet na widok służącej, która mu usługiwała, dostawał czegoś w rodzaju drgawek konwulsyjnych. Zdarza się to manjakom, którzy skupiają się na jednej jakiejś rzeczy. Gospodyni jego już od dwóch tygodni przestała go stołować, a jemu nawet przez myśl nie przeszło pomówić z nią, mimo, że siedział bez obiadu. Nastasja, kucharka i jedyna

służąca gospodyni zadowolona była poniekąd z tego stanu sublokatora i zupełnie przestała mu sprzątać i zaledwie raz na tydzień brała miotłę do ręki. Właśnie tego rana obudziła go.

— Wstawaj, czego się wylegujesz! — wrzasnęła nad samem uchem jego, — już dziesiąta godzina. Herbatem ci przyniosła: no, napijesz się, czy nie? Zupełnie z ciała opadłeś.

Sublokator otworzył oczy, drgnął i poznał Nastasję.

— Gospodyni herbatę przysyła, nie? — zapytał, podnosząc się ociężale.

— Jaka tam gospodyni!

Postawiła przed nim własny popękany imbryk z herbatą już napoczętą i położyła dwie kostki żółtego cukru.

— Masz, Nastasjo, weź to, — powiedział, grzebiąc w kieszeni (tak spał w ubraniu) i wyjął kilka miedziaków, — zejdź i kup mi bibułkę. Weź też w wędliniarni troszkę kiełbasy, byle tańszej.

— Bułkę ci zaraz przyniosę, panoczku, a czy zamiast kiełbasy nie chciałbyś lepiej trochę barszczu gorącego? Fajny barszcz, wczorajszy. Jeszcze ci wczoraj zostawiłam, ale wróciłeś, panoczku, za późno. Dobry barszcz.

Gdy przyniosła barszcz i Raskolnikow zaczął go jeść, Nastasja usiadła przy nim i zaczęła gadać. Była to wiejska baba i dlatego była bardzo gadatliwa.

— A Praskowja Pawłowna już chce się na pana poskarżyć do policji, — zaczęła.

Raskolnikow mocno się skrzywił.

— Do policji? A czego ona chce?

— Pieniędzy nie płacisz i z mieszkania się nie wynosisz. Wiadomo.

„Do stu djabłów, tego mi jeszcze brakowało, — mruknął, zgrzytając zębami; — psiakość, to mi teraz... nie bardzo... Idjotka, — dodał już głośno. — Dzisiaj do niej zajdę, pomówię z nią.

— Idjotka bo idjotka, taka jak i ja, a ty, mądralo,

czego leżysz, jak kłoda i żadnego pożytku z ciebie niema? Dawniej, pedałeś, na lekcje do dzieci chodziłeś, a teraz kiego djabła nic nie robisz?

— Robię, robię... — niechętnie i ze złością odpowiedział Raskolnikow.

— Co robisz?

— Robotę...

— Jaką robotę?

— Myślą pracuję, — poważnie odpowiedział po chwili milczenia.

Nastasja aż parsknęła śmiechem. Wogóle była śmieszka, i gdy ją rozśmieszono, pękała bezdźwięcznie ze śmiechu, kołysząc się i cała się trzęsąc, aż ją mdłości brały.

— A dużoś sobie ta pieniędzy wymyślił? — wymówiła wreszcie.

— Bez butów trudno jest dzieci uczyć. Zresztą, gwizdać mi na to.

— Gwiżdż, gwiżdż, a jak tobie gwizdną!

— Za dzieci grosze płacą. Co za taki pieniądz można zrobić? — mówił dalej bardzo niechętnie, odpowiadając raczej własnym myślom.

— A tybyś chciał odrazu cały kapitał?

W tym momencie spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Właśnie, duży kapitał, — zdecydowanie odpowiedział po chwili milczenia.

— Wolnego, wolnego, bo konie spłoszysz; ażem się zlękła. No, no, polecieć po bułkę, czy nie?

— Jak chcesz.

— Ach, tak, zapomniałam! Wczoraj list przyszedł.

— List! Do mnie! Od kogo?

— Nie wiem, od kogo. Trzy kopiejki własne zapłaciłam listonoszowi. A oddasz mi je?

— Na rany Boskie, dawaj go tu! — zawołał podniecony Raskolnikow, — Boże święty!

Po chwili otrzymał list. Tak, zgadłem: od matki, z R-skiej guberni. Aż zbladł, biorąc list do ręki. Od dłuższego czasu nie otrzymywał już listów; ale nie to, całkiem co innego ścisnęło go nagle za serce.

— Nastasjo, wyjdź, błagam cię, wyjdź; masz swoje trzy kopiejki, tylko, na miły Bóg, wynoś się jak najprędzej

List drżał w rękach jego; nie chciał go przy niej otwierać: pragnął zostać z listem tym *sam na sam*. Po wyjściu Nastasji, szybkim ruchem podniósł list do ust i pocałował go; potem długo jeszcze wpatrywał się w charakter pisma, w znane mu i tak kochane nierówne literki, wypisane starą ręką matki, która go niegdyś uczyła czytać i pisać. Nie miał odwagi odpieczętować listu, jakgdyby się czegoś bał. Wreszcie wziął na odwagę: był to wielki, ciężki list, ważący ze dwa łuty; dwa arkusze papieru dużego formatu były szczelnie zapisane drobnem pismem.

„Kochany mój Rodio, — pisała matka, — oto już minęły dwa długie miesiące, jak nie gawędziłam z tobą na piśmie, sama przez to cierpiałam i spędziłam niejedną noc bezsenną, myśląc o tem. Ale nie będziesz mi chyba miał za złe tego przymusowego milczenia mojego. Wiesz przecież, jak Cię bardzo kocham. Ja i Dunia jednego mamy Ciebie, Tyś dla nas wszystkiem, całą nadzieją, całą wiarą. Trudno sobie wyobrazić, co się działo ze mną, kiedym się dowiedziała, że już od kilku miesięcy porzuciłeś uniwersytet z braku środków do życia, i że lekcje i inne źródła również Cię zawiodły! Czem Ci mogłam być pomocna, mając sto dwadzieścia rubli rocznej emerytury? Piętnaście rubli, które Ci przesłałam cztery miesiące temu, pożyczyłam, jak wiesz, na poczet tej-że emerytury od tutejszego kupca naszego Wasyla Iwanowicza Wachruszyna. To jest dobry człowiek i był jeszcze przyjacielem ojca twojego. I dając mu prawo na podjęcie za mnie emerytury, musiałam czekać aż spłacony zostanie dług, co właśnie dopiero teraz się skończyło, tak że przez ten cały czas nie mogłam Ci nic więcej wysłać. Ale teraz dziękować Bogu mogę Ci znowu coś przesłać, zresztą, mogę się teraz wogóle pochwalić bogactwem, o czem właśnie chcę Ci zakomunikować. Po pierwsze, czy zgadłeś już, kochany Rodio, że siostra twoja już półtora miesiąca razem mieszka ze mną i już się więcej nie rozłączymy. Skończyły się już dzięki Bogu jej tortury, zresztą... opowiem Ci wszystko po porządku, żebyś się dowiedział,

cośmy przeżyły, a co ukrywałyśmy dotychczas przed Tobą. Pamiętasz, pisałyśmy ze dwa miesiące temu, że słyszałeś od kogoś jakoby Dunia znosi bardzo przykre rzeczy w domu państwa Swidrygajłowów i żądałeś ode mnie szczegółowych wiadomości? Cóż Ci mogłam wtenczas odpisać? gdybym Ci była napisała całą prawdę, tobyś napewno wszystko rzucił i choćby na piechotę do nas przyszedł, bo przecież znam twój charakter i serce, i nie pozwoliłbyś krzywdzić siostry swojej. Sama byłam w rozpaczy, ale co mogłam na to poradzić? Nawet ja całej prawdy wtenczas nie znałam. A najgorsze było to, że Dunia, idąc w zeszłym roku do nich za guwernantkę, wzięła zgóry całe sto rubli, pod warunkiem, że będą jej strącać z miesięcznej pensji, a więc, nie mogła, niestety, porzucić posady przed spłaceniem długu. A prawdę powiedziawszy, (teraz Ci mogę już wszystko powiedzieć, najdroższy mój chłopcze) pieniądze te wzięła właściwie dlatego, żeby móc tobie wysłać sześćdziesiąt rubli, które Ci były tak bardzo potrzebne, i które otrzymałeś od nas w zeszłym roku. Obie Cię wtedy oszukałyśmy, pisząc, że to są zaoszczędzone jeszcze dawniej pieniądze Duni, ale tak nie było, a teraz komunikuję Ci całą prawdę, bo nagle się wszystko odmieniło z woli Pana Boga na lepsze. O, gdybyś mógł wiedzieć, jak Ciebie Dunia kocha i co to za złote serce! Rzeczywiście, pan Swidrygajłow początkowo obchodził się z nią okropnie po grubijańsku i prawił jej przy stole różne impertynencje i kpinki... Ale nie chcę się wdawać w te wszystkie bolesne szczegóły, żeby Ciebie niepotrzebnie nie denerwować, zwłaszcza, że to wszystko już się skończyło. Krótko mówiąc, nie bacząc na dobry i szlachetny stosunek Marty Pietrowny, małżonki p. Swidrygajłowa, oraz wszystkich domowników, Duni było bardzo ciężko, szczególnie, gdy p. Swidrygajłow był starym zwyczajem pułkowym pod wpływem Bachusa. Ale co się potem okazało? Wyobraź sobie, że ten warjat już oddawna zapałał do Duni namiętnością i uczucia swoje ukrywał pod pozorem grubijaństwa i nienawiści ku niej. Możliwe, że sam się tego wstydził i bał, wiedząc przecież, że jest już w podeszłym wieku i ojcem rodziny, wobec czego rozumiał

może, że płonne są jego nadzieje i dlatego właśnie był mimowoli zły na Dunię. A możliwe, że grubijańskiem traktowaniem i kpinami chciał tylko ukryć istotny stan rzeczy wobec innych. Ale po pewnym czasie nie wytrzymał i ośmielił się zrobić jawnie Duni bezecną propozycję, obiecując jej złote góry, a ponadto porzucić wszystko i wyjechać z nią do innej wsi, albo choćby i zagranicę. Możesz sobie wyobrazić jej cierpienia. Porzucić natychmiast posady nie mogła, nietylko z powodu długu, ale i oszczędzając Martę Pietrownę, która mogłaby powziąć jakieś podejrzenie, a tem samem rozstroiłaby życie rodzinne. Poza tem byłby to również skandal dla Duni, bo tak gładko przejść to nie mogło. Był jeszcze szereg innych powodów, tak że przed upływem sześciu tygodni Dunia w żadnym razie nie mogła liczyć na możliwość wyrwania się z tego okrutnego domu. Oczywiście, znasz dobrze Dunię, wiesz, jaka jest mądra i jaki ma mocny charakter. Dunia potrafi bardzo dużo znieść i nawet w najgorszej sytuacji znajdzie w sobie tyle mocy, żeby się nie poddać rozpaczy. Nawet mi wszystkiego nie napisała, żeby mnie zbytnio nie rozstrajać, a przecież często korespondowałyśmy z sobą. Ale rozwiązanie nastąpiło szybko i niespodziewanie. Marta Pietrowna podsłuchała przypadkowo męża swojego, błagającego Dunię w ogrodzie i zrozumiawszy wszystko naopak, ją o wszystko oskarżyła, w przekonaniu, że ona jest wszystkiemu winna. Tuż na miejscu, w ogrodzie urządziła jej straszną scenę: Marta Pietrowna uderzyła nawet Dunię, nie chciała nic słuchać, a sama wrzeszczała całą godzinę, wreszcie, kazała natychmiast Dunię odwieźć do mnie do miasta na zwyczajnej chłopskiej furze, na którą zwalili, jak popadło, wszystkie jej rzeczy, bieliznę, sukienki, tak jak było, nie upakowane i nie związane. A tu jak na złość spadł ulewny deszcz i Dunia, dotknięta do żywego i shańbiona, musiała przejechać z chłopem całe siedemnaście wiorst otwartą furą. Pomyśl więc, co Ci mogłam napisać o tem wszystkiem w odpowiedzi na Twój list z przed dwóch miesięcy? Byłam sama w rozpaczy; nie miałam odwagi napisać prawdy, boś Ty sam był wtedy nieszczęśliwy, zdenerwowany i zrozpaczony, zresztą, cobyś Ty na to mógł

poradzić? A znowu wypisywać różne głupstwa, kiedy ma się na sercu taki ciężar, — tego nie mogłam. Przez cały miesiąc utrzymywały się w mieście naszem o tej historji niesłychane plotki i do tego doszło, że nie mogłyśmy już nawet z Dunią chodzić do cerkwi, żeby nie widzieć wszystkich tych pogardliwych spojrzeń i nie słyszeć szeptów, a nawet głośnych rozmów przy nas prowadzonych. Wszyscy znajomi usunęli się od nas, przestali się nawet kłaniać, a potem dowiedziałam się z pewnego źródła, że subjekci sklepowi i niektórzy kanceliści zamierzali nas publicznie napiętnować przez wysmarowanie bramy naszego domu dziegciem, tak, że gospodarze zaczęli się domagać, byśmy się wyprowadziły. Wszystkiemu winna była Marta Pietrowna, która zdążyła już oczernić i shańbić Dunię we wszystkich domach. Wszyscy ją tu znają i akurat tego miesiąca co chwila przyjeżdżała do miasta i wobec tego, że jest trochę gadatliwa i lubi rozpowiadać o swoich sprawach rodzinnych, szczególnie skarżyć się na męża swojego każdemu napotkanemu, a to jest bardzo nieładnie, to rozgadała całą tę historję w bardzo krótkim czasie nietylko w mieście a nawet w powiecie. Ja zachorowałam, a Dunia okazała się silniejszą od mnie. Gdybyś mógł widzieć, jak ona to dzielnie znosiła, i jak jeszcze mnie pocieszała i podtrzymywała na duchu! To — anioł! Ale z łaski Boga męki nasze się skończyły: pan Swidrygajłow rozmyślił się, żałując tego, co zrobił i, prawdopodobnie, litując się nad Dunią, przedstawił Marcie Pietrownie wystarczające i oczywiste dowody niewinności Duni, a mianowicie: list, który Dunia jeszcze przedtem, zanim Marta Pietrowna zastała ich w ogrodzie, zmuszona była napisać i wręczyć mu, żeby uniknąć osobistych rozmów i potajemnych spotkań, których on się domagał. List ten po wyjeździe Duni został u p. Swidrygajłowa. W liście tym z całym temperamentem swoim i najwyższem oburzeniem wyrzucała mu właśnie całą nieszlachetność zachowania się jego względem Marty Pietrowny, wskazywała mu, że jest ojcem rodziny i, że wreszcie, jak to podle jest z jego strony męczyć i unieszczęśliwiać i tak już nieszczęśliwą i bezbronną pannę. Słowem, kochany Rodio, list ten

był tak szlachetnie i rozczulająco napisany, że rzewnie płakałam, czytając go i dotychczas nie mogę czytać go bez łez. Oprócz tego na dowód niewinności Duni przemówiła wreszcie służba, która widziała i wiedziała znacznie więcej, niż mógł przypuszczać p. Swidrygajłow, jak to zwykle bywa. Marta Pietrowna była niesłychanie zdumiona i „znów zrozpaczona", jak się sama nam przyznała, ale za to ostatecznie przekonana o niewinności Duni i zaraz nazajutrz, w niedzielę, przyjechała wprost do soboru, upraszając na klęczkach i ze łzami w oczach Najświętszą Panienkę, by jej pozwoliła znieść to nowe doświadczenie i wypełnić swoją powinność. Potem, wprost z soboru, nie wstępując do nikogo, przyjechała do nas, opowiedziała nam wszystko, rzewnie płakała i z całkowitą skruchą obejmowała Dunię i błagała ją o przebaczenie. Tego samego rana, nie zwlekając ani chwili wprost od nas objechała wszystkich swoich znajomych w mieście i w słowach pełnych chwały dla Duni, ze łzami w oczach, udowodniła niewinności Duni i szlachetności jej uczuć oraz zachowania. Wiecej nawet, wszystkim pokazywała i czytała nagłos własnoręczne pismo Duni do pana Swidrygajłowa i pozwalała nawet robić odpisy tego listu (co, zdaje się, było już zupełnie zbyteczne). W ten sposób musiała kilka dni z rzędu odwiedzać wszystkich w mieście, bo niektórzy czuli się dotknięci, że innym okazała pierwszeństwo, tak że ustanowiona została kolejność wizyt i w każdym domu naprzód już wiedzieli i wszyscy o tem wiedzieli, że takiego a takiego dnia Marta Pietrowna będzie odczytywać ten list, a na każde takie czytanie zbierali się nawet ci, którzy go już słyszeli kilkakrotnie u siebie i u innych znajomych po kolei. Mnie się wydaje, że bardzo, bardzo wiele zbytecznego tu było; ale Marta Pietrowna ma już takie usposobienie. W każdym razie Marta Pietrowna całkowicie zrehabilitowała Dunię i cała ohyda sprawy tej odbiła się niezatartem piętnem na jej mężu, jako na głównym winowajcy, tak że nawet żal mi go teraz. To już było zbyt okrutne dla tego warjata. Dunię zaczęli zaraz zapraszać na korepetycje do niektórych domów, ale kategorycznie im odmówiła. Wogóle wszyscy zaczęli się do niej odno-

sić z szczególną uwagą. Wszystko to razem, między innemi, było przyczyną faktu, dzięki któremu, rzec śmiało można, zmienia się gruntownie nasz los. Dowiedz-że się, kochany Rodio, że Duni oświadczył się narzeczony, i że ona zdążyła już wyrazić swoją zgodę, o czem właśnie śpieszę Cię jak najprędzej zawiadomić.

Chociaż stało się to wszystko bez twojej rady, ale najprawdopodobniej nie będziesz miał do nas urazy, bo sam się przekonasz, że sprawy wzięły taki obrót, że odkładać decyzję do otrzymania od Ciebie odpowiedzi było dla nas rzeczą niemożliwą. Zresztą, nie mógłbyś nawet ocenić dokładnie wszystkiego zaocznie. A stało się to wszystko tak. On jest już radcą, nazywa się Piotr Pietrowicz Łużyn i jest dalekim krewnym Marty Pietrowny, która w znacznej mierze do tego się przyczyniła. Zaczął od tego, że przez nią wyraził chęć poznania nas, został przyjęty, jak się patrzy, na kawce, a zaraz nazajutrz nadesłał list, w którym w bardzo uprzejmej formie oświadczył się i prosił o szybką i decydującą odpowiedź. Jest to człowiek bardzo zajęty, pracowity, śpieszy się właśnie teraz do Petersburga, tak że niema ani chwili do stracenia. Rozumiesz chyba, że w pierwszej chwili byłyśmy niezmiernie zdumione, bo to wszystko stało się tak szybko i niespodziewanie. Rozmyślałyśmy i zastanawiałyśmy się nad tem obie przez cały ów dzień. Jest to człowiek, który ma przyszłość zabezpieczoną, solidny, ma aż dwie posady i zebrał już własny kapitalik. Co prawda, ma już 45 lat, jednakże jest zupełnie miły i może się jeszcze podobać kobietom, słowem jest wogóle bardzo przyzwoity i solidny, może tylko trochę ponury i jakby chory. Możliwe jednak, że robi tylko takie wrażenie na pierwszy rzut oka. Chcę cię uprzedzić, kochany Rodio, że jak się z nim zobaczysz w Petersburgu, co nastąpi w najbliższym czasie, nie wydawaj o nim sądu zbyt pochopnie i prędko, jak to zwykle u Ciebie bywa, gdyby nawet na pierwszy rzut oka miałoby Ci się coś w nim niepodobać. Mówię Ci to na wszelki wypadek, choć przekonana jestem, że sprawi na tobie jaknajlepsze wrażenie. Wogóle uważam, że aby kogokolwiek poznać, należy traktować go z wszelką ostrożnością, żeby

zbyt pośpiesznie nie uprzedzić się do niego, bo to jest bardzo trudno potem wykorzenić. A Piotr Pietrowicz, przynajmniej wszelkie pozory za tem przemawiają, jest człowiekiem całkowicie godnym szacunku. W czasie pierwszej wizyty swojej oświadczył nam, że należy do ludzi pozytywnych, lecz pod wielu względami podziela, jak sam się wyraził, „poglądy nowego pokolenia naszego" i jest przeciwnikiem wszelkich przesądów. Dużo jeszcze wypowiedział, bo jest jakgdyby trochę chełpliwy i lubi bardzo, by go słuchano, ale to przecież bodajże nie jest wadą. Oczywiście, mało z tego zrozumiałam, ale Dunia wytłumaczyła mi, że choć ma niewielkie wykształcenie, ale wydaje się być człowiekiem rozsądnym i nawet dobrym. Znasz przecież charakter siostry swojej. Jest to dziewczyna o twardym charakterze, rozsądna, cierpliwa i szlachetna, chociaż może za bardzo popędliwa, co w niej doskonale poznałam. Przyznać należy, że ani z jej, ani z jego strony niema tu nadzwyczajnej miłości, ale wiesz przecież, że Dunia — to mądre dziecko, poza tem niesłychanie wyrozumiała istota, słowem istny anioł i będzie uważała za swój obowiązek otoczyć opieką i dać szczęście mężowi, któryby ze swej strony dbał również o jej szczęście, a co do tego ostatniego nie mamy narazie specjalnych powodów wątpić, jakkolwiek bardzo prędko wszystko to się skleciło. Trzeba zauważyć, że on jest jednak człowiekiem mądrym i wyrachowanym i, rozumie się, sam się przekona, że jego własne szczęście małżeńskie będzie miał tem bardziej zapewnione, im szczęśliwsza będzie z nim Dunia. A że tam są jakieś braki charakteru, jakieś może dawne przyzwyczajenia i pewna niezgodność poglądów (czego nie można uniknąć w najszczęśliwszych małżeństwach), to pod tym względem sama Dunia mi powiedziała,że ona liczy tylko na siebie, że niema się tu co niepokoić i że potrafi bardzo dużo znieść pod warunkiem, że przyszłe stosunki będą uczciwe i sprawiedliwe. A wygląd zewnętrzny człowieka jest bardzo złudny. Naprzykład, i mnie się wydał w pierwszej chwili jakby trochę obcesowy, ale może to właśnie stąd wynika, że jest to człowiek otwarty, myślę, że nawet napewno tak jest. Naprzykład, w czasie dru-

giej wizyty, już po otrzymaniu zgody, wyznał w rozmowie, że przedtem jeszcze, nie znając Duni, postanowił pobrać się z dziewczyną uczciwą, ale bez posagu i obowiązkowo taką, która już zaznała biedy; bo, jak się wyraził, mąż nie powinien uważać się za dobrodzieja swojej żony, ale żona powinna męża swego uważać za dobrodzieja. Dodać muszę, że on to wszystko wypowiedział nieco grzeczniej i serdeczniej, jak to ja ci piszę, ale zapomniałam, jak się dokładnie wyraził, pamiętam tylko sens, a zresztą, powiedział to bynajmniej nie z premedytacją, a najwidoczniej poprostu wygadał się w toku rozmowy, tak że starał się potem nawet osłabić wrażenie; a mimo wszystko wydało mi się to jakby zbyt obcesowem i podzieliłam się potem wrażeniem swojem z Dunią. Ale Dunia z pewną nawet urazą odpowiedziała mi, że „słowa to jeszcze nie czyny" i, rozumie się, ma słuszność. Zanim wyraziła jeszcze ostateczną zgodę, Dunia nie spała caluchną noc i, przypuszczając, że ja już śpię, wstała z łóżka i całą noc chodziła z kąta w kąt, wreszcie uklękła przed obrazem świętym i długo i gorąco modliła się, a nazajutrz zrana oświadczyła, że gotowa jest go przyjąć.

„Wspomniałam Ci już, że Piotr Pietrowicz wybiera się właśnie do Petersburga. Ma tam bardzo poważne sprawy, chce bowiem założyć w Petersburgu wielką kancelarję adwokacką. I oddawna już zajmuje się różnemi sprawami sądowemi i w tych dniach wygrał nawet wielką sprawę. Do Petersburga dlatego jeszcze musi jechać, że ma tam poważną sprawę w senacie. W takim razie, kochany Rodio, i tobie się bardzo przyda, będzie Ci mógł być we wszystkiem pomocny, i myśmy nawet razem z Dunią już zdecydowały, że mógłbyś choćby już od teraz rozpocząć swoją przyszłą karjerę i możesz uważać los swój za zupełnie zdecydowany. O, gdybyż to się urzeczywistniło! Byłoby to coś takiego, że musielibyśmy to traktować nieinaczej, tylko niby łaskę Najwyższego dla nas. Dunia marzy tylko o tem. Odważyłyśmy się nawet napomknąć coś niecoś o tem Piotrowi Pietrowiczowi. Z dużą ostrożnością odpowiedział, że, oczywiście, bez sekretarza obejść się nie może i, rzecz naturalna, woli

płacić pensję krewnemu, niż obcemu, jeżeli tylko okaże się na tem stanowisku zdolnym (Ty miałbyś się nie okazać zdolnym!), i zaraz zaznaczył, powątpiewając, czy twoje prace uniwersyteckie pozwolą Ci poświęcić czas dla jego biura. Tym razem rozmowa na tem się skończyła, ale Dunia o niczem więcej nie myśli, jak tylko o tem. Od kilku dni chodzi jakby w gorączce i ma już cały projekt o tem, że w przyszłości możesz zostać nieodstępnym kolegą, a nawet wspólnikiem Piotra Pietrowicza do jego spraw sądowych, zwłaszcza, że jesteś przecież na wydziale prawnym. Zgadzam się z nią najzupełniej, mój kochany, i podzielam wszystkie jej plany i nadzieje, bo urzeczywistnienie ich jest całkiem prawdopodobne; i nie bacząc na obecne zupełnie zrozumiałe uchylanie się Piotra Pietrowicza (bo przecież zupełnie Cię nie zna), Dunia jest najświęciej przekonana, że wszystko przeprowadzi dobrocią i wpływem swoim na przyszłego męża, i w to wierzy jak najmocniej. Rozumie się, że broń Boże, nie zdradziłyśmy się wobec Piotra Pietrowicza ani jednem słówkiem o naszych marzeniach na przyszłość, a głównie o tem, że ty jesteś jego przyszłym wspólnikiem. Jest to człowiek praktyczny i przyjąłby to napewno bardzo oschle, bo wydawałoby mu się to wszystko bujaniem w obłokach. Również ani ja ani Dunia ani jednem słówkiem nie wspomniałyśmy mu o tem, że głęboko wierzymy w to, że on dopomoże nam w utrzymywaniu Ciebie w Petersburgu, dopóki jesteś na uniwersytecie; a dlatego nie mówiłyśmy o tem że, po pierwsze, w przyszłości to się samo przez się zrobi i on z pewnością sam Ci to zaproponuje (niemożliwe, żeby on odmówić miał tego Duni), tem więcej, że napewno zostaniesz w kancelarji prawą ręką jego, a pomoc jego nie będzie miała charakteru dobrodziejstwa, a poprostu zapracowanej przez Ciebie pensji. To chce przeprowadzić Dunia, a ja się z nią zupełnie zgadzam. Po drugie, dlatego jeszcze nie mówiłyśmy mu o tem, że miałam ogromną chęć przy najbliższem spotkaniu waszem postawić Cię narówni z nim. Kiedy Dunia opowiadała mu o tobie z zachwytem, odpowiedział, że każdego człowieka należy zbadać osobiście i bliżej, żeby móc o nim wydawać sąd, i że właśnie on sam

chce sobie wyrobić o tobie pojęcie po osobistem poznaniu się z tobą. Wiesz co, najdroższy mój synu, z pewnego względu zdaje mi się (zresztą, to bynajmniej nie ma nic wspólnego z Piotrem Pietrowiczem, a tak, sama od siebie z pewnych, może babskich względów, czy starczych kaprysów), że może lepiej zrobię, jeżeli będę może po ich ślubie mieszkać oddzielnie, jak teraz sobie mieszkam, a nie razem z nimi. Przekonana jestem, że on będzie o tyle szlachetny i delikatny, że sam mnie zaprosi i zaproponuje mi nie rozstawać się więcej z córką i jeśli jeszcze nie wspominał o tem dotychczas, to, oczywiście, dlatego tylko, że to się samo przez się rozumie; ale ja się na to nie zgodzę. Nieraz w życiu przekonywałam się, że teściowe niebardzo przypadają do gustu zięciom, a ja nietylko dla nikogo na świecie nie chcę być najmniejszym choćby ciężarem, ale sama chcę być zupełnie swobodną, dopóki mam jeszcze własne okruchy i takie dzieci, jak ty i Dunia. Jeżeli to będzie możliwe, zamieszkam, synu, przy was obojgu, bo, widzisz, najprzyjemniejszą nowinę zachowałam na ostatek; dowiedz-że się, kochanie, że może w bardzo krótkim czasie zejdziemy się znowu we troje i uściśniemy się po prawie trzyletniej rozłące! *Ostatecznie* już jest postanowione, że ja i Dunia wyjeżdżamy do Petersburga, nie wiem jeszcze kiedy, ale już bardzo - bardzo prędko, może nawet za tydzień. Wszystko zależy od zarządzenia Piotra Pietrowicza, który natychmiast po przyjeździe do Petersburga rozejrzy się tam i da nam znać. Z pewnych względów pragnie on przyśpieszyć możliwie akt ślubu i nawet w miarę możności wyprawić wesele już w nadchodzącą Wielkanoc, a jeżeli się to nie uda, ze względu na krótki czas, to zaraz po Wniebowstąpieniu. O, jakże uszczęśliwiona uściskam cię, kochanie! Dunia aż drży z radości na samą myśl zobaczenia się z tobą i raz nawet jakby żartem powiedziała, że choćby dla tego samego wyszłaby zamąż za Piotra Pietrowicza. To istny anioł! Ona nie dopisuje się teraz do listu, ale kazała ci napisać, że ma tyle z tobą do pomówienia, tak bardzo dużo, że nie wiedziałaby od czego zacząć, bo w kilku wierszach niczego nie napisze, a tylko się zdenerwuje; kazała cię bardzo serdecznie uścisnąć i prze-

słać ci miljon całusów. Pomimo tego, że może się w najbliższej przyszłości zobaczymy, postaram się wysłać ci w tych dniach pieniądze, możliwie najwięcej. Teraz, kiedy się dowiedziała, że Dunia wychodzi zamąż za Piotra Pietrowicza, mój kredyt też się powiększył i jestem przekonana, że Afanasij Iwanowicz zawierzy mi teraz na poczet emerytury nawet do siedemdziesięciu pięciu rubli, tak, że będę ci może nawet mogła wysłać z dwadzieścia pięć rubli, a może i trzydzieści. Wysłałabym ci więcej, ale obawiam się, że może nam nie wystarczyć na koszta podróży. Chociaż Piotr Pietrowicz był tak łaskawy, że przyjął na siebie część kosztów wyjazdu naszego do stolicy, mianowicie, podjął się, na własny rachunek, dostarczyć nasze manatki i wielki kufer (ma to jakoś zrobić przez swoich znajomych), mimo to jednak musimy brać w rachubę przyjazd do Petersburga, dokąd nie można pokazać się bez grosza chociażby na pierwszy czas. Zresztą, wszystkośmy już z Dunią ściśle obliczyły i okazało się, że droga niewiele pieniędzy pochłonie. Do kolei mamy wszystkiego dziewięćdziesiąt wiorst i na wszelki wypadek zgodziłyśmy już pewnego znajomego chłopka — furmana; a dalej doskonale się przejedziemy trzecią klasą. Możliwe więc, że uda mi się omal napewno wysłać ci nie dwadzieścia pięć rubli, a trzydzieści. Ale dosyć już tego: zapisałam całe dwa arkusze, tak że już więcej miejsca nie mam. To — wszystkie dzieje nasze. Bo też ile się przez ten czas zebrało! A teraz, najukochańszy mój synu, ściskam cię serdecznie i błogosławię macierzyńskiem błogosławieństwem swojem. Kochaj Dunię, siostrę swoją, mój Rodio. Kochaj ją tak, jak ona ciebie kocha, wiedz o tem, że ona kocha cię bezgranicznie, więcej jak samą siebie. Dunia — to anioł, a ty Rodio, jesteś dla nas wszystkiem, — całą naszą nadzieją, naszem szczęściem. Bądź tylko ty szczęśliwy, to i my przez to samo będziemy szczęśliwe. Czy modlisz się jeszcze do Boga, Rodio, tak jak dawniej, czy wierzysz w dobroć i wszechmoc Stwórcy i Zbawcy naszego? Drżę na myśl o tem, że i ciebie mogła nawiedzić modna dzisiaj niewiara. Jeśli tak jest, to ja modlić się za ciebie będę. Przypomnij sobie, kochanie, jak to jeszcze w dzieciństwie, za

życia ojca twego, szczebiotałeś modlitwy na kolanach moich i jacyśmy byli wówczas wszyscy szczęśliwi! Żegnaj, a raczej *dowidzenia!* Najserdeczniejsze uściski i miljony całusów.

„Twoja do grobowej deski
„Pulcherja Raskolnikowa".

Przez cały czas czytania listu, od początku do końca, Raskolnikow miał twarz mokrą od łez: lecz gdy skończył, zbladła i konwulsyjnie drgała i sarkastyczny, zabójczy, zły uśmieszek wykrzywiał wargi jego. Oparł się głową o swoją nędzną poduszkę i zamyślił się. Serce waliło mu, jak młotem i myśli mu się mąciły. Po pewnym czasie zrobiło mu się duszno i ciasno mu było w tej żółtej komórce, podobnej raczej do szafy albo do kufra. Oczy i myśli domagały się powietrza, przestrzeni. Chwycił więc za kapelusz i wyszedł, nie bojąc się już tym razem jakiegokolwiek spotkania na schodach: poprostu zapomniał o tem. Skierował się zaś ku wyspie Wasyljewskiej, przechodząc przez W — — ą ulicę, jakgdyby się dokądś spieszył w ważnej sprawie, i, zwyczajem swoim, szedł, nie widząc drogi, szepcąc coś do siebie, a chwilami nawet mówiąc coś nagłos, co niepomiernie dziwiło przechodniów. Wielu z nich uważało go za pijanego.

## IV.

List matki strasznie go zmęczył. Ale co do najgłówniejszego, kapitalnego punktu, nie miał wątpliwości ani na chwilę, nawet w trakcie czytania listu. Co do sedna rzeczy, niedługo myśląc, zdecydował ostatecznie: „Póki życia mego, tego małżeństwa nie będzie, do wszystkich djabłów z panem Łużynem!".

„Przecież to jest sprawa oczywista, — mruczał sam do siebie, uśmiechając się boleśnie i triumfując złośliwie zgóry, w przekonaniu o zwycięstwie swojej decyzji. — O, nie, mateczko, nie, Duniu, nie nabierzecie mnie!... A jeszcze przepraszają, że nie prosiły mnie o radę i beze mnie

powzięły decyzję! Ha, ha! Myślą, że teraz już nie można zerwać. Zobaczymy, czy można, czy też nie! Jaka kapitalna wymówka: „To taki niby solidny człowiek, ten Piotr Pietrowicz, taki zajęty, że nawet żenić się inaczej nie może, jak tylko galopem, omal nie w wagonie". Nie, Duniu, wszystko widzę i wiem, o czem to ze mną masz tak wiele do pomówienia; wiem również, o czem tak dumałaś całą noc, chodząc z kąta w kąt po pokoju, i dlaczego tak żarliwie się modliłaś przed obrazem Matki Boskiej Kazańskiej, która wisi w sypialni mateczki. Ciężko jest iść na Golgotę. Hm... A więc sprawa już ostatecznie zdecydowana: za solidnego i pozytywnego człowieka raczy pani wychodzić zamąż, Awdotjo Romanowno, posiadającego swój kapitalik (*już* posiadającego swój kapitalik — to brzmi solidniej i bardziej imponująco), mającego dwie posady i podzielającego poglądy nowego pokolenia naszego (jak pisze mateczka) i, *zdaje się*, dobrego, jak zauważyła Dunia. To *zdaje się* jest najkapitalniejsze! I ta sama Dunia wychodzi zamąż za to samo *zdaje się!*... Bajkowo! Bajkowo!

„...Ciekawe jednak, dlaczego mi matka pisze o tem „nowem pokoleniu"? Czy poprostu dla scharakteryzowania osoby, czy też z ukrytym jakimś celem: żeby mnie może korzystnie usposobić do p. Łużyna? O, przebiegłe są! Pragnąłbym wyjaśnić jeszcze jedną okoliczność: do jakiego stopnia były szczere ze sobą owego dnia, owej nocy i cały czas potem? Czy wszystko zostało wyraźnie i otwarcie wypowiedziane, czy też obie zrozumiały, że jedna i druga ma jednakowy ciężar na sercu, jednakowo rozumują, więc niema co już wypowiadać się szczerze nagłos i niepotrzebnie się zdradzać. Prawdopodobnie tak właśnie poczęści było; to z listu widać: mateczce wydał się *nieco* zbyt obcesowym, a naiwna mateczka odrazu wyrwała się wobec Duni ze swojemi uwagami. A ona, oczywiście, rozłościła się i „odpowiadała zagniewana". Myślę sobie! Kogóżby to nie rozwścieczyło, kiedy sprawa jasna jest bez naiwnych pytań, i kiedy wszystko już zostało zdecydowane, tak że niema tu o czem mówić. I jak to mi jeszcze pisze: „Kochaj Dunię, Rodio, a ona kocha ciebie więcej jak samą siebie"; czy to nie wyrzuty

sumienia męczą ją wgłębi duszy za to, że zgodziła się poświęcić córkę dla syna? „Tyś naszą nadzieją, tyś dla nas wszystkiem!" O, mateczko!... Złość coraz bardziej w nim wzbierała, i zdawało mu się, że gdyby zaraz spotkał wielmożnego pana Łużyna, zabiłby go na miejscu!

„Hm, co prawda, — szedł dalej śladem plączących się chaotycznie w głowie jego myśli, — co prawda, człowieka, żeby go poznać, trzeba istotnie „badać ostrożnie i delikatnie"; ale pana Łużyna widzę jak na dłoni, a najgłówniejsze, że jest to „człowiek solidny i, *zdaje się*, dobry": ho, ho, to nie żarty, przyjął na siebie przewóz rzeczy, wielki kufer przewozi na swój rachunek! No i jakżeby mógł nie być dobrym? A one, niby *narzeczona* i matka, zgodziły już chłopka z furą, nakrytą rogożą (jeździłem przecież tak)! Głupstwo! „Wszystkiego dziewięćdziesiąt wiorst", a dalej „doskonale się przejedziemy trzecią klasą", z tysiąc wiorst. I słusznie: poznać pana po cholewach; a pan niby, panie Łużyn? Przecież to pańska narzeczona... i nie mógł pan przecież nie wiedzieć, że matka pożycza sobie pieniądze na drogę pod zastaw emerytury? Rozumiem, w pańskiem pojęciu jest to obrót handlowy, przedsiębiorstwo na podstawie obustronnych korzyści i równych udziałów, czyli że wydatki też pół na pół; kochajmy się jak bracia, a liczmy się jak żydzi—wedle przysłowia. Ale ten solidny człowiek trochę je tu orżnął: bagaż wynosi przecież mniej, niż przejazd i bodaj-że bez żadnej opłaty. Cóż to, żadna z nich nie widzi tego, czy też nie chce widzieć? Bo przecież zadowolone są, bardzo zadowolone! I pomyśleć tylko, że to dopiero kwiatki, a właściwe owoce czekają je jeszcze! A najważniejsze, że nie idzie tu o skąpstwo, nie o sknerstwo idzie, a *o ton* całej tej rzeczy. Toć jest to ton przyszłości, po ślubie, proroctwo... I czegóż to mateczka tak się rozhulała? Z czem przyjedzie do Petersburga? Z trzema rublami, albo z dwoma „papierkami, ", jak mawia tamta... starucha... Z czego myśli żyć w Petersburgu potem niby? Przecież już się z jakichś powodów domyśliła, że nie będzie mogła mieszkać razem z Dunią po jej ślubie, nawet w pierwszych czasach? Sympatyczny ten człowiek z pewnością *wygadał się* jakoś, dał

się we znaki, jakkolwiek mateczka rękami i nogami się broni: „Propozycji tej, powiada, nie przyjmę". Co to znaczy, na kim właściwie polega: za sto dwadzieścia rubli emerytury i to jeszcze ze spłatami na rachunek długu Afanasja Iwanowicza? Wiem, wiem, wyszywa najróżniejsze chustki zimowe, rękawki do sukien, psuje stare swoje oczy. Ale chustki te dodają wszystkiego dwadzieścia rubli rocznie do tych stu dwudziestu, wiem przecież dobrze o tem. Wynika z tego, że mimo wszystko, polegają na szlachetności serca pana Łużyna: „Sam niby zaproponuje, poprosi". Czekaj tatko latka! Szykuj kiesę! Zawsze tak bywa u tych szyllerowskich serc szlachetnych: do ostatniej chwili stroją człowieka w pawie pióra, do ostatniej chwili zachowują optymizm i chociaż wyczuwają odwrotną stronę medalu, za żadne skarby nie powiedzą sobie gorzkiej prawdy: ciarki je przechodzą na samą myśl o tem; rękami i nogami bronią się przed nagą prawdą, dopokąd uszminkowany człowiek nie nalepi im własnoręcznie sztucznego nosa. Ciekawe też, czy szanowny pan Łużyn ma ordery; gotów jestem się założyć, że ma jakąś Annę w klapie i że wkłada ją na przyjęcia dostawców i kupców. Z pewnością włoży ją również na swój ślub! Zresztą, pal go djabli!...

„...Że mateczka tak rozumuje, Bóg z nią, już się nie zmieni, ale Dunia, Dunia co? Duniu, droga moja, przecież ja panią znam! Przecież pani miała już dwudziesty rok, kiedyśmy się po raz ostatni widzieli: dobrzem poznał charakter pani. Mateczka pisze właśnie, że „Dunia potrafi bardzo wiele znieść". Sam o tem wiedziałem. Wiedziałem już o tem dwa i pół roku temu i właśnie dwa i pół roku zastanawiałem się nad tem, że „Dunia potrafi bardzo wiele znieść". Jeżeli może już znieść pana Swidrygajłowa, ze wszystkiemi stąd płynącemi konsekwencjami, to istotnie bardzo wiele potrafi znieść. A teraz razem z mateczką wyobraziłaś sobie panna, że i pana Łużyna znieść potrafisz, który rozwija teorję o tem, że lepsze są żony, wyrwane z nędzy i traktujące przeto męża jako dobrodzieja swego. A najlepsze, że teorję taką wygłasza omal że na pierwszej wizycie. Przypuśćmy nawet, że się przypadkowo „wygadał", mimo, że jest czło-

wiekiem pozytywnym (a może wcale się nie wygadał, a właśnie pośpieszył się z wyjaśnieniem sytuacji), ale Dunia, co Dunia na to? Przecież dla niej człowiek ten jest przejrzysty, a żyć przecież z nim będzie musiała. Przecież będzie jadała chleb razowy z wodą, a duszy swej w żadnym razie nie zaprzeda, nie odda wolności moralnej za komfort, za cały Szlezwig - Holsztyn nie odda, nietylko za jakiegoś pana Łużyna. O nie, nie taka była Dunia, o ile ja ją pamiętam, i... ach, rozumie się, rozumie się, nie zmieniła się!... Wykluczone! Co tu dużo mówić, ciężko jest ze Swidrygajłowymi! Ciężko jest za dwieście rubli wałęsać się przez całe życie po różnych gubernjach jako guwernantka, a jednak przekonany jestem, że siostra moja prędzej podejmie się roboty negra u plantatora, albo łotysza u prusaka, niżby spodlić miała duszę i poczucie moralności stosunkiem z osobnikiem, dla którego nie ma szacunku, i z którym nie ma nic wspólnego, spodlić na całe życie, wyłącznie dla osobistej korzyści! I niechby sobie pan Łużyn był z najczystszego złota albo z brylantów utkany, to i wówczas nie zgodzi się zostać legalną nałożnicą pana Łużyna! Dlaczegóż jednak teraz się zgadza? W czem tkwi ta tajemnica? O co chodzi? Rozumiem już: dla siebie samej, dla osobistego komfortu, nawet dla uratowania się od niechybnej śmierci nie zaprzeda się, a dla innego właśnie się zaprzedaje! Zaprzedaje się dla kochanego, ubóstwianego człowieka! Oto gdzie tkwi rozwiązanie zagadki: dla brata, dla matki zaprzeda się! Wszystko zaprzeda! O, przy takiej okazji potrafimy zdławić nasze poczucie moralności; wolność, spokój, nawet sumienie, wszystko, wszyściuteńko wyniesiemy na targowisko. Niech-że wszystko ginie, niech ginie życie! Byle tylko szczęśliwe były ukochane przez nas istoty. Więcej nawet, wymyślimy własną kazuistykę, od jezuitów rozumowanie zaczerpniemy, ba, na pewien czas samych siebie uspokoimy, będziemy siebie przekonywać, że tak trzeba, istotnie trzeba, dla świętego celu. Tacy to jesteśmy i wszystko jasne jest, jak słońce. Rozumie się, że tu nikt inny, jak tylko Rodjon Romanowicz Raskolnikow na pierwszym planie stoi, on jest w robocie. Jakże inaczej, uszczęśliwić go może, w uniwersytecie utrzy-

mać, wspólnika kancelarji zrobić z niego, całe życie zabezpieczyć; może nawet w przyszłości zostanie miljonerem, powszechnie szanowanym, a może i zakończy życie jako sławna osoba! A matka? Co tam matka, przecież tu o Rodię chodzi, nieocenionego Rodię, jedynaka! Gdzieżby dla jedynaka takiego nie poświęcić nawet takiej córki! O, drogie i niesprawiedliwe serca! Co tu dużo mówić: tu nas nawet los Sonieczki nie odstraszy! Sonieczka, Sonieczka Marmeładowa, wieczna Sonieczka, póki świat światem! A czyście ogrom ofiary, ofiary tej zmierzyły? Czy tak? Czy podołacie jej? Czy będzie z niej pożytek? Czy jest sens? Czy wiesz, pannico, Duniu moja, że los Sonieczki niczem nie jest gorszy od losu z panem Łużynem? „Niema tu nadzwyczajnej miłości", pisze mateczka. A co, jeśli poza miłością niema tu nawet mowy o szacunku, a, przeciwnie, już jest wstręt, pogarda, obmierzłość, cóż wtedy? Okaże się, że i w tym wypadku zachowywać będzie trzeba tę „osobliwą czystość" Sonieczki. Rację mam, czy nie? Czy wy rozumiecie, czy jesteście w stanie pojąć, czem jest owa czystość? Czy rozumiecie, że czystość Łużyna niczem się nie różni od czystości Sonieczki, a może jest nawet znacznie gorsza, ohydniejsza, podlejsza, bo twój komfort, panno Duniu, jest wyrachowany, a tam najzwyczajniej na świecie o śmierć głodową chodziło: „O, drogo, bardzo drogo, Duniu moja, kosztuje owa czystość!" A co, jeżeli w przyszłości sił zabraknie, żałować zaczniesz? Ileż to będzie smutku, cierpień, przekleństw, ile łez, od wszystkich ukrywanych, boć nie jesteś przecież Martą Pietrowną? A z matką co się wówczas stanie? Toć już teraz zdradza ona niepokój, męczy się; cóż dopiero będzie wówczas, gdy wszystko zrozumie? A ze mną co?... Cóż to u licha zaopiekowałyście się tak mną? Nie chcę ja ofiary twojej, panno Duniu, nie chcę, mateczko! To się nigdy nie stanie, nigdy w życiu, za nic na świecie, póki życia mego! Nie przyjmuję!"

Naraz jakgdyby się opamiętał i zatrzymał się.

„Nie stanie się? A cóż ty takiego przedsięweźmiesz, żeby to się stać nie mogło? Zabronisz? A jakie prawo masz po temu? Co ty możesz im wzamian obiecać, żeby

prawo takie posiąść? Życie swoje, całą przyszłość swoją poświęcić, *gdy ukończysz uniwersytet i posadę otrzymasz?* Słyszeliśmy już o tem, ale to są strachy na lachy, bo teraz co? Przecież tu trzeba teraz coś przedsięwziąć, czy ty to rozumiesz? A co ty w istocie teraz robisz? Okradasz je właśnie. Przecież pieniądze wydostają pod zastaw storublowej emerytury i państwa Swidrygajłowów! A w jaki sposób uchronisz je przed Swidrygajłowymi, albo przed Afanasjem Iwanowiczem Wachruszynem, ty, miljonerze przyszły, Zeusie, losem ich rozporządzający? Wciągu tych dziesięciu lat matka zdąży oślepnąć od wyszywanek, albo i od łez przelanych; z głodu zmarnieje; a siostra? No, pomyśl tylko, co może się stać z siostrą za dziesięć lat, albo i wciągu tych lat dziesięciu? Domyśliłeś się?"

Tak podbechtywał się i męczył pytaniami temi, robił to nawet z jakąś rozkoszą, zresztą, były to sprawy nie nowe, powstałe nie nagle, były to dawne, bardzo dawne, jątrzące bolączki. Już oddawna zaczęły go dręczyć i zadręczyły mu serce. Już od bardzo dawna zrodził się w nim ból obecny, potężniał, wzbierał, a w ostatnich czasach dojrzał i skoncentrował się, przyjmując formę okropnego, zdziczałego i fantastycznego zagadnienia, które zadręczyło umysł jego i serce, domagając się nieodwołalnie rozwiązania. A jednak teraz list matki spadł na niego niespodziewanie, jak piorun z jasnego nieba. Rozumie się, że w tej sytuacji nie wolno było poddawać się smutkowi, biernie cierpieć, samem tylko rozumowaniem, że zagadnienia te są nierozwiązalne, a trzeba było za wszelką cenę coś robić, i to już, natychmiast. Trzeba się za wszelką cenę na coś zdecydować, na cokolwiek, albo...

„Albo zgoła życia się wyrzec! — zawołał nagle w stanie jakiegoś szału, — przyjąć pokornie los, taki jaki jest, raz na zawsze, i zdławić w sobie wszystko, wyrzekając się wszelkiego prawa do czynu, życia i miłości!"

„Czy rozumie pan, czy jest pan w stanie pojąć, szanowny dobrodzieju, co to jest, jeżeli już niema dokąd pójść?" — przypomniało mu się naraz wczorajsze pytanie

Marmeładowa; — „boć musi tak być, żeby każdy człowiek miał jakąkolwiek drogę, dokądkolwiek pójść!..

Nagle drgnął: powstała mu w głowie pewna, również wczorajsza myśl. Właściwie jednak drgnął nie dlatego, że myśl mu ta powstała. Wiedział przecież, *przeczuwał*, że musi „powstać“, i już czekał na nią; zresztą, była to myśl wcale nie wczorajsza. Różnica jednak polegała na tem, że miesiąc temu, ba, nawet wczoraj jeszcze była tylko abstrakcją, a teraz... teraz zjawiła się nie jako abstrakcja, a w jakiejś nowej, groźnej i zupełnie mu nieznanej postaci, i z tego zdawał sobie sprawę... Zahuczało mu w głowie, w oczach mu pociemniało.

Raptownie się obejrzał, czegoś szukał. Chciał usiąść i szukał ławki; przechodził właśnie K-skim bulwarem. Dostrzegł ławkę o sto kroków przed sobą. Skierował się tam jak mógł najszybciej, ale po drodze miał maleńką przygodę, która na kilka minut przykuła uwagę jego.

Upatrując sobie ławkę, zauważył o dwadzieścia kroków przed sobą jakąś kobietę, lecz narazie nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, jak i wogóle na otaczające go przedmioty. Nieraz mu się już zdarzało, że szedł naprzykład, do domu i nie pamiętał nawet drogi, jaką przeszedł, do takiego chodzenia się już przyzwyczaił. Ale przechodząca kobieta miała w sobie coś tak dziwnego i tak rzucającego się odrazu w oczy, że stopniowo zaczęła przykuwać uwagę jego, — narazie robił to niechętnie i z pewną nawet złością, potem jednak zaczęło go to coraz bardziej absorbować. Zapragnął naraz odgadnąć, co właściwie tkwiło w tej kobiecie? Po pierwsze, była to widocznie młodziutka dziewczyna, szła przy takim upale z gołą głową, bez parasolki i rękawiczek, komicznie jakoś wymachując rękami. Miała na sobie jedwabną sukienkę, z cienkiego materjału, ale również jakoś dziwnie na niej leżącą, ledwie pozapinaną, i ztyłu w talji, gdzie się spódnica zaczyna, rozerwaną; oderwany był cały kawał, który zwisał komicznie. Miała narzucony na obnażoną szyję maleńki szalik, który również jakoś krzywo sterczał, zawiązany nabok. Nadobitek dziewczyna szła niepewnym krokiem, potykając się co chwila i chwiejąc się nawet na

wszystkie strony. Spotkanie to przykuło wreszcie całkowicie uwagę Raskolnikowa. Zetknęli się oboje akurat przy samej ławce, ale doszedłszy do ławki, dziewczyna opadła na nią całem ciałem, przechyliła głowę przez poręcz ławki i przymknęła oczy, widocznie, z nadzwyczajnego zmęczenia. Wpatrując się w nią, natychmiast domyślił się, że była zupełnie pijana. Dziwny i dziki był to obrazek. Pomyślał sobie nawet, czy się aby nie pomylił, miał bowiem przed sobą zupełnie młodziutką twarzyczkę dzieweczki lat szesnastu, może nawet piętnastu, — drobniutkiej, ładniutkiej, jasnowłosej. Dziewczyna była cała rozogniona i twarz miała jakby nieco obrzękłą. Była omal że nieprzytomna; założyła nogę na nogę i widać było, że zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że jest na ulicy.

Raskolnikow nie siadał, ani nie chciał odejść, stał natomiast przy niej zdumiony. Bulwar ten zawsze jest pusty, teraz zaś, o godzinie drugiej, w tak straszny upał, żywej duszy tam nie było. Przypadkowo tylko, o jakieś piętnaście kroków od ławki, z boku, zatrzymał się jakiś pan, który miał, widocznie, ogromną ochotę podejść do dziewczyny w niewiadomym zamiarze. Prawdopodobnie dostrzegł ją również zdaleka i dopędził ją, ale przeszkodził mu w tem Raskolnikow. Rzucał więc na niego wściekłe spojrzenia, ale tak, by ten ich nie zauważył i niecierpliwie czekał, aż odejdzie natarczywy oberwaniec. Sprawa prosta. Był to panicz lat trzydziestu, tłuściutki, dobrze zbudowany, krew z mlekiem, o różowych usteczkach z maleńkimi wąsikami i bardzo elegancko ubrany. Raskolnikowa ogarnęła szewcka pasja; miał ochotę w jakikolwiek sposób obrazić tego opasłego elegancika. Zostawił więc na chwilę dzieweczkę i podszedł do tego pana.

— Hej tam, panie Swidrygajłow! Czego pan tu sterczy? — zawołał zaciskając pięści i śmiejąc się zapienionemi z wściekłości wargami.

— A to co znowu? — surowym tonem zapytał panicz, marszcząc brwi i mierząc wyniośle Raskolnikowa.

— Precz stąd i basta!

— Jak śmiesz, kanaljo!...

I zamachnął się szpicrutą. Raskolnikow rzucił się na niego z pięściami, nie zdając sobie sprawy, że silny panicz dałby sobie radę z dwoma takimi, jak on. W tej chwili jednak ktoś mocną ręką chwycił go ztyłu: między nimi stanął policjant.

— Hola, panowie, proszę się nie bić w miejscu publicznem. Czego pan sobie życzy? Kto pan jest? — zwrócił się surowym tonem do Raskolnikowa, oglądając łachmany jego.

Raskolnikow spojrzał na niego uważnie. Była to dzielna żołnierska twarz, z siwemi wąsami i baczkami, o niegłupim wyrazie.

— Właśnie pan mi jest potrzebny, — zawołał, chwytając go za rękaw. — Jestem byłym studentem, nazywam się Raskolnikow... O tem niech się i pan dowie, — zwrócił się do panicza. — A pan niech ze mną pójdzie, coś panu pokażę...

I schwyciwszy policjanta za rękę, zaprowadził go ku ławce.

— O, spójrz pan, zupełnie pijana, szła w tej chwili bulwarem: kto ją wie, co to za jedna, ale nie widzi mi się, żeby była zawodowa... Najpewniej gdzieś ją napoili i uwiedli... po raz pierwszy... rozumie pan? I tak ją puścili na ulicę. Spójrz pan, jaką podartą ma suknię i jak włożona jest: przecież ją ubierano, a nie ona sama się ubierała i widać, że ubierały ją nieumiejętne ręce, męskie. To jest widoczne. A teraz spójrz pan tutaj: na tego elegancika, z którym przed chwilą chciałem się zmierzyć, zupełnie go nie znam, po raz pierwszy go widzę; ale on też wziął ją sobie widocznie na ząb, właśnie przed chwilą, taką pijaną, nieprzytomną i teraz miał ogromną ochotę podejść i zwabić ją, — bo jest właśnie w takim stanie, — gdzieś ją uprowadzić... Napewno tak jest; wierz mi pan, że się nie mylę. Na własne oczy widziałem, jak on ją obserwował i śledził, ja mu tylko przeszkodziłem i teraz oto czeka, aż odejdę. Widzi pan, odszedł tylko o kilka kroków i stoi, niby papierosa skręca... Jakby mu tu przeszkodzić? Może moglibyśmy ją jakoś odprowadzić do domu, — niech pan pomyśli!

Policjant w jednej chwili zrozumiał wszystko i domyślił się, o co idzie. Gruby panicz, widocznie, również miał swoje zamiary, nic nie wiedziała jedna tylko dziewczyna. Policjant nachylił się, żeby się dokładniej przyjrzeć i na twarzy jego odmalował się wyraz szczerego współczucia.

— O, biedna! — odezwał się, kiwając głową, — to jeszcze kompletne dziecko. Uwiedli ją, nic innego. Panienko, panienko, — zawołał na nią, — gdzie panieneczka mieszka? — Dziewczyna otworzyła zmęczone i osowiałe oczy, nieprzytomnie spojrzała na indagujących ją mężczyzn i machnęła tylko ręką.

— Proszę, — powiedział Raskolnikow, — (wyciągnął przytem z kieszeni 20 kopiejek; znalazło się przecie). Niech pan weźmie te pieniądze, zawoła dorożkarza i każe ją odwieźć do domu. Byleśmy się dowiedzieli od niej adresu.

— Panienko, panieneczko! — wołał znowu policjant, przyjąwszy pieniądze, — zaraz wezmę dorożkę i sam panią odprowadzę. Dokąd pani każe? Co? Gdzie pani mieszka?

— Jazda stąd!.. czego się czepiacie!.. bąknęła dziewczyna i znowu machnęła przecząco ręką.

— O, jak to nieładnie, bardzo nieładnie! Wstydziłaby się pani! — Znowu pokiwał głową, zawstydzając ją, współczując i oburzając się naprzemian. — To ci kłopot! — zwrócił się do Raskolnikowa, mierząc go znowu od stóp do głów. Widocznie i jemu wydał się dziwnym: taki oberwany, a lekką ręką wydaje pieniądze!

— Gdzie ją pan znalazł? — zapytał go.

— Mówię przecież panu: szła przede mną, chwiejąc się, na tym samym bulwarze. Ledwie zdążyła dojść do ławki i zwaliła się na nią.

— O, co to za bezwstydny świat teraz! Boże Święty! Ledwie od ziemi odrosła i już pijana! Uprowadzili ją, to jak amen w pacierzu! O, i suknię ma rozerwaną... Co za rozpusta zapanowała teraz na świecie!.. A widać z dobrej jest rodziny, pewnie z biednej jakiej... Dziś dużo jest takich. Z wyglądu jest bardzo delikatna, jak prawdziwa panienka, — i znowu nad nią się nachylił.

Może i on miał podrastające córki — „prawdziwe panienki i bardzo delikatne“, udające inteligentne panny i stosujące się do mody...

— Najważniejsze jest, — krzątał się Raskolnikow, — żeby temu szubrawcowi przeszkodzić! Jeszcze się on nad nią znęcać będzie! Odrazu widać, czego ten łotr chce; widzisz go, drania, ani się z miejsca rusza!

Raskolnikow mówił głośno i niedwuznacznie wskazywał na niego palcem. Ten usłyszał to i chciał już dać wyraz wściekłości swojej, ale pohamował się, ograniczając się do pogardliwego spojrzenia. Po chwili odszedł jeszcze o dziesięć kroków i znowu się zatrzymał.

— Jemu przeszkodzić niby można, — odpowiedział stary kapral w zamyśleniu. — Byleby ta panna powiedziała, dokąd ją odwieźć, bo inaczej... Panienko, panieneczko! — nachylił się znowu.

Dziewczyna naraz zupełnie rozwarła oczy, obejrzała się uważnie, jakby coś już zrozumiała, podniosła się z ławki i poszła zpowrotem w tym kierunku, skąd przyszła. „Tfy, bezwstydni, zaczepiają!“ — ofuknęła ich. Odeszła szybkim krokiem, chwiejąc się, jak i przedtem. Elegancik poszedł za nią, równoległą aleją, nie spuszczając z niej oczu.

— Niech się pan nie obawia, nie pozwolę, — kategorycznie oświadczył wąsal i poszedł wślad za nimi.

— O, jakaż to rozpusta zapanowała teraz na świecie! — powtórzył nagłos, wzdychając.

W tej chwili coś jakgdyby sparzyło Raskolnikowa; coś jakby go wewnątrz szarpnęło.

— Hej, panie posterunkowy! — krzyknął wślad za wąsalem.

Ten odwrócił się.

— Daj pan spokój! Po co to panu? Zostaw pan ją! Niech się nią pobawi (wskazał na elegancika). Czego się pan ma fatygować?

Policjant nic nie rozumiał i spojrzał rozwartemi ze zdumienia oczyma. Raskolnikow roześmiał się na cały głos.

— Et! — odezwał się stary kapral, machnąwszy ręką,

i poszedł wślad za elegantem i dziewczyną, przyjmując, widocznie, Raskolnikowa za obłąkanego albo za coś jeszcze gorszego.

„A dwadzieścia kopiejek moje zabrał, — z wściekłością powiedział Raskolnikow, gdy został już sam. — No, niech sobie i od tego weźmie i puści z nim dziewczynę, napewno tak się skończy... I czegom ja tu wlazł z pomocą swoją! Ja mam pomagać? Czy ja mam prawo pomagać? A niechby się żywcem nawet pożżerali, — a mnie co do tego? Jak ja śmiałem oddać te dwadzieścia kopiejek! Czy to są moje?“

Nie bacząc na te dziwne słowa, było mu bardzo ciężko. Opadł na wolną ławkę. Nie mógł zebrać myśli... I wogóle ciężko mu było w tej chwili o czemkolwiek myśleć. Pragnąłby zapomnieć się zupełnie, o wszystkiem zapomnieć, potem przebudzić się i zacząć wszystko od początku...

„Biedna dzieweczka! — powiedział, spojrzawszy na opuszczoną przez nią ławkę. — Obudzi się, popłacze, potem matka się dowie... Prawdopodobnie pobije ją boleśnie i dotkliwie i może nawet wypędzi... A jeśli nawet nie wypędzi, to i tak różne Darje Francowne przewąchają i zacznie się dzieweczka puszczać na wszystkie strony... Potem do szpitala (zawsze tak bywa z temi, które żyją przy matkach, zupełnie uczciwych, i po cichu, bez ich wiedzy bawią się), no a dalej... jeszcze raz szpital... wódka... knajpy... znowu szpital... po dwóch trzech latach — kompletna kaleka, a ogółem ma 19 wiosen, albo i osiemnaście... Czy takich nie widziałem? A jak schodziły na taką drogę? Właśnie tak samo... Tfy! Niech je tam! Wszystko, jak powiadają, w porządku. Taki a taki procent, powiadają, musi odpadać rok rocznie... Odpływa gdzieś... do djabła chyba, żeby resztę wzmacniać i nie przeszkadzać im. Procent! Daję słowo, cudowne słówka wymyślili: takie to uspakajające, naukowe. Powiedziano: procent, a więc niema się co niepokoić. Gdyby jakieś inne słówko, o wtedy... wtedy możeby mniej spokojnie było... A co, jeśli i Dunia w ten procent wpadnie!.. Nie w ten, to w jakiś inny!

„Dokąd właściwie idę? — pomyślał naraz. — Dziw-

ne. Właściwie pocoś szedłem. Jak tylko przeczytałem list, zerwałem się i wyszedłem... Na Wasiljewską wyspę, do Razumichina wybrałem się, o, teraz już pamiętam. Ale właściwie w jakim celu? I w jaki sposób przyszło mi w tej chwili na myśl pójść właśnie do Razumichina? To kapitalne".

Zdziwił się samemu sobie. Razumichin był jednym z jego dawnych kolegów uniwersyteckich. Ciekawe, że Raskolnikow, będąc w uniwersytecie, prawie zupełnie nie miał kolegów, stronił od wszystkich, do nikogo nie chodził i u siebie bardzo niechętnie przyjmował. Wkrótce i od niego się wszyscy odwrócili. Ani w zgromadzeniach, ani w rozmowach, ani w zabawach, słowem, nigdzie nie przyjmował jakoś udziału. Uczył się bardzo intensywnie, nie żałując zdrowia, i za to wszyscy go szanowali, ale nikt go nie lubił. Był bardzo biedny i jakiś nienaturalnie hardy i nietowarzyski; jakgdyby coś bardzo ważnego ukrywał. Niektórym kolegom jego wydawało się, że patrzy na nich wszystkich z góry, jak na dzieci, jakgdyby wszystkich prześcignął umysłem, wiedzą i poglądami, i że na ich poglądy i zainteresowania patrzy jak na coś niższego.

Jednakże z Razumichinem jakoś się bardziej zbliżył, a raczej nie zbliżył się, a poprostu więcej mu się udzielał, był z nim szczerszy. Zresztą, z Razumichinem nie można było być w innych stosunkach. Był to niezwykle wesoły i towarzyski młodzieniec, bezgranicznie dobry i prosty. Przez tę prostotę przebijała jednak głębia i poczucie godności. Lepsi koledzy jego rozumieli to i wszyscy go lubili. Był zupełnie niegłupi, choć czasami istotnie zanadto prostacki. Miał wyrazistą powierzchowność, — wysoki, chudy, stale źle ogolony, czarnowłosy. Czasami awanturował się i uchodził za atletę. Pewnego razu, w nocy, w towarzystwie, jednem uderzeniem pięści zwalił z nóg przedstawiciela bezpieczeństwa 12 werszków wzrostu. Pić wódkę potrafił bez miary, ale mógł się również i bez wódki obejść; czasami aż nieprzyzwoicie dokazywał, ale potrafił i zupełnie nie dokazywać. Razumichin odznaczał się jeszcze tem, że żadne niepowodzenie nie mogło go zbić z tropu i najgorsze nawet okoliczności

nie były w stanie go zgnębić. Mieszkać mógł chociażby na dachu, znosił piekielny głód i niezwykły chłód. Był bardzo biedny i wyłącznie sam się utrzymywał, zarabiając na życie jakiemiś pracami. Znał niezliczoną ilość źródeł, z których mógł czerpać pieniądze, rozumie się, zarobione. Pewnego razu przez całą zimę zupełnie nie opalał swego pokoju i twierdził nawet, że to jest bardzo przyjemne, bo w zimnie lepiej się sypia. Obecnie również był zmuszony wystąpić z uniwersytetu, ale tylko na krótki czas, i z całych sił starał się naprawić sytuację, by mógł kontynuować studja. Raskolnikow nie był u niego już ze cztery miesiące, a Razumichin nie znał nawet jego adresu. Pewnego razu, ze dwa miesiące temu, spotkali się przypadkowo na ulicy, ale Raskolnikow odwrócił się i przeszedł nawet na drugą stronę ulicy, żeby go kolega nie zauważył. Jakkolwiek Razumichin zauważył go, poszedł jednak dalej, by nie niepokoić *przyjaciela.*

## V.

„Racja, miałem przecież niedawno jeszcze odwiedzić Razumichina i poprosić go, by mi się postarał o jakieś lekcje lub jakąkolwiek inną pracę“... myślał sobie Raskolnikow, — ale jak może mi teraz pomóc? Dajmy na to, że dostanie mi lekcje, przypuśćmy nawet, że podzieli się ostatnim groszem, jeżeli sam ma te grosze, tak że można będzie nawet kupić buty i doprowadzić do porządku ubranie, żeby móc chodzić na lekcje... hm... A co dalej? Co ja za te grosze zrobię? Czy to mi jest teraz potrzebne? Doprawdy śmieszne, że zwracałem się nawet do Razumichina...“

Kwestja, dlaczego udał się teraz do Razumichina zaniepokoiła go bardziej, aniżeli sam mógł przypuszczać; z szczególną trwogą doszukiwał się jakiegoś złowrogiego dla siebie sensu w tym, jakby się wydawało, nic nieznaczącym fakcie.

„Jakto, czyżbym chciał naprawić całą sytuację wizytą u Razumichina i w nim znalazł punkt wyjścia?“ — zapytał sam siebie ze zdziwieniem.

Długo myślał i tarł sobie czoło i, rzecz dziwna, jakoś niespodziewanie, wbrew woli jego przyszła mu do głowy po długiem zastanawianiu się dziwaczna myśl.

„Hm... do Razumichina, — powiedział naraz z całym spokojem, jakby powziął ostateczną decyzję, — do Razumichina, oczywiście, pójdę..., ale — nie teraz... Pójdę do niego... nazajutrz po *tamtym* fakcie, kiedy *tamto* już się stanie i wszystko się odmieni...“

W tym momencie opamiętał się.

„Po *tamtym*, — zawołał, zrywając się z ławki, — a czy *tamto* wogóle się stanie? Czyżby rzeczywiście stać się miało?“

Wstał z ławki i poszedł, raczej pobiegł; zamierzał właściwie wrócić do domu, ale naraz opanowało go niesłychane obrzydzenie dla własnego mieszkania: właśnie tam, w tej dziurze, w tej ohydnej szafie dojrzewało to wciągu z górą miesiąca, i poszedł, gdzie go oczy poniosły.

Dreszcz nerwowy przeszedł w stan jakiejś dziwnej gorączki; zaczęła go nawet jakgdyby trząść febra; w taki upał zaczęło mu być zimno. Z dużym wysiłkiem, napół nieświadomie, instynktem, zaczął się uporczywie wpatrywać we wszystkie otaczające go przedmioty, jakgdyby szukając możliwości rozerwania się, ale to mu się nie udawało, bo ciągle wpadał w zadumę. Gdy zaś, drżąc ciągle, podnosił głowę i dookoła się oglądał, natychmiast zapominał, o czem przed chwilą myślał, a nawet, którędy przechodził. W ten sposób przeszedł całą wyspę Wasiljewską aż do Małej Newy, przeszedł przez most, poczem zawrócił na Wyspy. Zieleń i świeże powietrze w pierwszej chwili przypadły do gustu zmęczonym jego oczom, przywykłym do wielkomiejskiego kurzu, wapna i ogromnych, ciasnych, przygniatających kamienic. Nie było tu ani zaduchu, ani cuchnących wyziewów, ani szynków. Ale po chwili i te nowe, miłe wrażenia ustąpiły chorobliwemu rozdrażnieniu. Chwilami zatrzymywał się przed jakąś zielenią udekorowaną willą, oglądał żywopłoty, widział zdaleka, na balkonach i werandach, wystrojone panie i biegające po grodzie dzieci. Szczególnie podobały mu się kwiaty; najdłużej im się przypatrywał. Spoty-

kał komfortowe powozy, jeźdźców, amazonki, odprowadzał ich wzrokiem, ale zapominał o nich wcześniej, aniżeli znikali mu z oczu. Raz zatrzymał się i przeliczył pieniądze swoje; naliczył około trzydziestu kopiejek: „Dwadzieścia — policjantowi, trzy — Nastasji za list, — czyli że Marmeładowym zostawiłem wczoraj z czterdzieści siedem albo pięćdziesiąt kopiejek", pomyślał sobie, licząc pieniądze, ale w tej chwili zapomniał, w jakim celu wyjął pieniądze z kieszeni. Uprzytomnił to sobie dopiero, gdy przechodził obok jakiejś jadłodajni, w rodzaju garkuchni, i odczuł wtedy głód. Wszedłszy do garkuchni, wypił kieliszek wódki i zjadł jakiś nadziewany pierog. Dokończył go nawet na ulicy. Bardzo dawno nie pił już wódki, wskutek czego natychmiast podziałała na niego, mimo że wypił tylko jeden kieliszek. W okamgnieniu ociężały mu nogi i zaczęło go okropnie do do snu kłonić. Poszedł więc do domu. Doszedłszy jednak do wyspy Pietrowskiej, stanął kompletnie wyczerpany, odszedł nabok, w krzaki, wyciągnął się na trawie i w jednej chwili zasnął.

W stanie chorobliwym sny częstokroć odznaczają się nadzwyczajną wyrazistością, jaskrawością i dziwnem podobieństwem do rzeczywistości. Jako całość, wyśniony obraz jest potworny, ale okoliczności i cały proces tworzenia się całości są do tego stopnia prawdopodobne i mają takie niespodziewanie subtelne i piękne szczegóły, artystycznie odpowiadające całości obrazu, że tenże osobnik nigdy nie wymyśliłby tego na jawie, choćby nawet był tak wielkim artystą, jak Puszkin albo Turgeniew. Takie sny, sny chorobliwe, na długo pozostają w pamięci i wywierają bardzo silne wrażenie na rozstrojony już i podniecony organizm ludzki.

Raskolnikowowi przyśnił się okropny sen. Przyśniło mu się dzieciństwo, w rodzimem ich miasteczku. Jako siedmioletni chłopiec w dniu świątecznym, przed wieczorem, spaceruje za miastem ze swoim ojcem. Był to dzień mglisty, duszny, miejscowość całkowicie podobna była do tej, jaka została mu w pamięci; a raczej w pamięci zatarła mu się bardziej, aniżeli we śnie. Miasteczko widać jak na dłoni, dokoła — wierzby, gdzieś bardzo daleko, hen, na skraju nie-

ba czernieje lasek. O kilka kroków od ostatniego miejskiego ogrodu jest szynk, wielki szynk, który sprawiał na nim zawsze obrzydliwe wrażenie, a nawet wywoływał jakiś strach w chwili, gdy, spacerując z ojcem, przechodził obok niego. Zbierał się tam zawsze ogromny tłum, darli się okropnie, chichotali, wymyślali, obrzydliwie i ochryple śpiewali i niejednokrotnie wszczynali bójki. Dokoła szynku wałęsały się zawsze jakieś pijane i okropne mordy... Przechodząc obok nich, tulił się do ojca i drżał na całem ciele. Obok szynku była ścieżka, stale zakurzona, a kurz był zawsze jakiś dziwnie czarny. Ścieżka ta jest kręta i o jakieś trzysta kroków od szynku zakręca na prawo za cmentarz miejski. W środku cmentarza stoi murowana cerkiew z zieloną kopułą, w której dwa razy do roku bywał na nabożeństwie z rodzicami swoimi, na mszy żałobnej po babce, która zmarła już bardzo dawno i której nigdy nie widział. Zabierali zawsze ze sobą tradycyjną potrawę z ryżu, miodu i rodzynek na białym półmisku, owiniętym serwetką; rodzynki wciśnięte były w ryż w formie krzyża. Lubił bardzo tę cerkiew z jej starożytnemi obrazami świętemi, przeważnie bez ram, jak również starego popa z drżącą głową. Obok grobu babki, na którym była kamienna płyta, był jeszcze maleńki grób młodszego braciszka jego, który umarł w szóstym miesiącu życia, i którego również nie znał i nie mógł pamiętać; ale opowiadano mu, że miał młodszego brata i dlatego każdorazowo, gdy tylko odwiedzał cmentarz, nabożnie i z szacunkiem żegnał się nad grobem i całował go. I oto śni mu się: idą z ojcem drogą na cmentarz i przechodzą obok szynku; trzyma ojca za rękę i ze strachem patrzy na szynk. Pewna osobliwa okoliczność przykuwa uwagę jego: tym razem jest to jakaś zabawa, kręci się cały tłum wystrojonych mieszczek, bab, mężów ich i wszelkiego rodzaju motłoch. Wszyscy są pijani, wszyscy śpiewają jakieś piosenki, a przed gankiem szynku stoi jakaś fura, ale dziwna jakaś fura. Jest to jeden z furgonów, w który zaprzęgają wielkie konie ciężarowe i przewożą towary i beczki z trunkami. Zawsze z przyjemnością przyglądał się tym ogromnym koniom ciężarowym o długich grzywach i grubych nogach, kroczącym spokojnie, po-

ważnego stępa i ciągnącym jakieś całe góry, nic a nic nie nadwerężając się, jakgdyby im z wozami temi było lżej, niż bez wozów. Ale teraz, rzecz dziwna, w ten wielki furgon wprzężona była mała, chuda, jasnogniada chłopska klacz, jedna z takich, które, jak to często obserwował, wyłażą niejednokrotnie ze skóry, ciągnąc jakiś naładowany drwami albo sianem wóz, zwłaszcza zaś, gdy wóz ugrzęźnie w błocie albo w wyrobionej koleinie, przytem tak boleśnie, tak strasznie boleśnie walą je chłopi batami, nieraz nawet po pysku i po oczach, a jemu tak ich żal, tak bardzo żal, że patrzeć nie może i omal nie płacze, a mateczka odrywa go w takich wypadkach od okna. Naraz zakotłowało w tłumie: z szynku wychodzą z krzykami, z pieśniami, z bałałajkami w kij pijani wielkie takie chłopiska, w czerwonych i niebieskich koszulach, w narzuconych na ramiona jermakach. „Siadać, wszyscy siadać! — wrzeszczy jeden z nich, młody jeszcze, o dziwnie grubej szyi i mięsistej, czerwonej jak marchew, twarzy, — wszystkich dowiozę, siadać!“ W odpowiedzi na to rozlega się ogólny śmiech i okrzyki:

— Taka ci klacz, abo to dowiezie!

— A czyś ty, Mikoło, na głowę upadł: taką kobylicę w taki wielgachny furgon zaprzęgać!

— Aleć ta gniada ze dwadzieścia roków będzie miała!

— Siadajta, wszystkich dowiozę! — znowu krzyczy Mikołka, skacząc pierwszy do furgonu, bierze lejce i staje jak długi na przodku furgonu. — Gniady z Matwiejem poszedł, — krzyczy z fury, — a kobylica ta, bracia, ino mi krew psuje: widzi mi się, że ją kiedy zabiję, tylko chleb za darmo żre. Pedam wam siadać to siadać! Galopem psiakrew puszczę! Pójdzie galopem! — Bierze lejce do ręki, szykując się z rozkoszą do obijania boków gniadej.

— Czegój tam, jak siadać, to siadać! — śmieją się z tłumu. — Słyszyta, galopem pójdzie!

— Kiejby nie poniosła!

— Nie żałować, bracia, bierzta kto żyw baty, szykuj się!

— Juści! Wal ją!

Wszyscy włażą na furgon Mikołki ze śmiechem i dowcipami. Wlazło ze sześciu chłopa i jeszcze można zmieś-

cić. Zabierają jedną babę, grubą i rumianą. Ubrana jest w czerwoną wełnianą spódnicę, ma jaskrawą chustkę na głowie, paciorki na szyi, krótkie buty, gryzie orzechy i uśmiecha się filuternie. Wszyscy dookoła się śmieją, bo i jakże się tu nie śmiać: takie ladaco ma ciągnąć taki ciężar i jeszcze galopem! Dwóch chłopców bierze do rąk po bacie, żeby pomagać Mikołce. Rozlega się: „wio!“, klacz szarpie z całych sił, ale nietylko galopem, ale ledwie stępa się wlecze, przebiera nogami, stęka i aż przysiada pod gradem razów trzech batów, które sypią się na nią, jak groch. Śmiech na furze i w tłumie wzmaga się jeszcze, ale Mikołka złości się i z wściekłości bardziej jeszcze wali kobyłkę, jakby rzeczywiście wierzył, że galopem poniesie.

— Ady wpuśćcie i mnie, bracia, — krzyczy z tłumu jeden z chłopów, który też nabrał ochoty.

— Siadać! Wszyscy siadać! — wrzeszczy Mikołka, — wszystkich powiezie, — Ząkatrupię ścierwo! — I wali ją, bezustannie wali i, rozjuszony, sam już nie wie, czem ją bić.

— Tatusiu, tatusiu, — krzyczy do ojca, — tatusiu, co oni robią? Tatusiu, biednego konika biją!

— Chodźmy stąd! — uspakaja go ojciec, — pijani są, dokazują, durnie; chodź, nie patrz się na to! — i chce go zabrać, ale on się wyrywa ojcu z rąk i, jak nieprzytomny, biegnie do konia. Ale biedna klacz jest już zadręczona. Ledwie już dyszy, co chwila staje, znowu się zrywa, omal nie pada.

— Wal ją, niech zdycha! — drze się Mikołka. — Zakatrupię!

— Boga, psia duszo, w sercu nie masz?! — krzyczy jakiś starzec z tłumu.

— Gdzieby taka szkapina ciężar taki dźwigać poradziła? — dodaje inny.

— Zadręczysz! — krzyczy trzeci.

— A kysz! Moja to chudoba! Robię, co mi się ta podoba. Siadajta jeszcze, wszystkie siadajta! Musi, ścierwo, galopem iść!..

Wtem wszystkie wrzaski zagłuszyła salwa śmiechu: szkapina nie wytrzymała katowania tego i zaczęła bezsilnie

wierzgać tylnemi nogami. Nawet starzec nie mógł się powstrzymać i uśmiechnął się. Bo i prawda: taki zdechlak, a jeszcze wierzga!

Dwóch parobczaków chwyta za baty i zaczyna katować szkapinę po bokach. Jeden wali z jednej, drugi z drugiej strony.

— Po pysku ją, po ślepiach ścierwo! — wrzeszczy Mikołka.

— Zaśpiewamy! — krzyczy ktoś z fury i cały tłum intonuje pieśń. Rozlega się wyuzdana pieśń, przeplatana gwizdaniem, warczy bęben. Dziewucha na furze gryzie orzechy i śmieje się.

...A on biega za konikiem, to znowu naprzód wybiega, widzi, jak go walą po oczach, po samych oczach! Płacze. Serce mu się aż z bólu ściska, łzami się oblewa. Jeden z katujących konia smagnął go po twarzy; nie czuje nawet tego, załamuje ręce, krzyczy, rzuca się do siwobrodego starca, który kiwa z wyrzutem głową. Jakaś baba bierze go za rękę i chce go stąd zabrać, ale on się jej wyrywa i znowu biegnie do konia. Szkapina zbiera już resztki sił i znowu wierzga.

— A niech-że cię, psiajucho! — wrzeszczy rozjuszony Mikołka. Potem rzuca bat, nachyla się i wyciąga ze spodu furgonu długi i gruby drąg, chwyta oburącz za koniec i z trudem zanosi go nad gniadą.

— Zakatrupi! — wołają dookoła.

— Uśmierci!

— Mój koń! — krzyczy Mikołka i z całej siły grzmotnął go drągiem.

— Wal go, wal! Czegośta przystanęli! — wołają z tłumu.

Mikołka zamierzył się drugi raz i po raz dugi grzmotnął drągiem po krzyżu nieszczęsną klacz. Szkapa aż przysiadła zadem, ale jeszcze się zrywa, szarpie resztkami sił w różne strony, usiłując wyciągnąć wóz; ale ze wszystkich stron sypie się na nią sześć batów, a drąg znowu się unosi i po raz trzeci spada na grzbiet, potem miarowo czwarty, z całego rozmachu. Mikołka się pieni, że nie może jej jednem uderzeniem zabić.

— Żywotne, ścierwo! — wołają dookoła.

— Teraz napewno padnie, bracia, teraz klapa! — krzyczy z tłumu jakiś amator.

— Siekierą ją! Odrazu skończyć, — krzyczy trzeci.

— Ech, cholera! Nabok! — nieprzytomnie wrzeszczy Mikołka, rzuca drąg, znowu się nachyla i wyciąga łom żelazny. — Uwaga! — woła i z całej siły huknął biednego konia swego. Uderzenie było śmiertelne; szkapina zachwiała się, przysiadła, próbowała jeszcze szarpnąć wóz, ale łom znowu spada jej całym ciężarem na krzyż; szkapa wyciąga się, jakgdyby podcięto jej wszystkie cztery nogi.

— Dobijaj! — wrzeszczy Mikołka i, jak nieprzytomny, zrywa się z fury. Kilku chłopów, równie czerwonych i pijanych, chwyta, co kto może — baty, kije, drągi i podbiega do dogorywującego konia. Mikołka staje zboku i zaczyna go okładać łomem. Klacz wyciąga mordę, ciężko wzdycha i umiera.

— Dobił! — krzyczą z tłumu.

— A galopem przecie nie poniosła!

— Mój koń! — krzyczy Mikołka, stojąc z łomem w ręku i z nalanemi krwią oczami, jakgdyby żałując, że niema już kogo bić.

— Dyć prawda, Boga w sercu niema, — woła już wielu z tłumu.

Biedny chłopiec traci już zupełnie przytomność. Z krzykiem przedziera się przez tłum do gniadej, obejmuje ją martwą za okrwawiony pysk i całuje, w oczy, wargi... Potem nagle się zrywa i z pasją rzuca się z piąstkami swojemi na Mikołkę. W tej chwili ojciec, który od dłuższego już czasu uganiał się za nim, łapie go wreszcie i wyprowadza go z tłumu.

— Chodźmy stąd, chodźmy! — uspakaja go ojciec, — do domu pójdziemy.

— Tatusiu! Za co te draby... zabiły... biednego konika!... — mówi przez łzy, ale oddech mu zapiera i słowa, jak strzępy krzyku, wyrywają mu się ze zbolałej piersi.

—Pijani są, awanturują się, to nie nasza rzecz, chodźmy! — mówi ojciec. Obejmuje ojca za szyję, ale coś mu

przygniata pierś, coraz bardziej, dotkliwiej. Chce złapać oddech, krzyknąć i budzi się.

Obudził się oblany potem, z mokremi od potu włosami, zdyszany, i podniósł się przerażony.

„Dzięki Bogu, to tylko sen! — odezwał się, siadając pod drzewem i głęboko oddychając. — Ale co to znaczy? Czy nie zaczyna się maligna? Taki obrzydliwy sen!".

Był cały jakby rozbity; ciężko mu na sercu, w duszy — smutek. Oparł łokcie o kolana i głowę położył na dłonie.

„Boże! — zawołał, — czyżbym był w stanie, czy mógłbym naprawdę wziąć siekierę, bić ją po głowie, rozpłatać jej czaszkę... będę się tarzać w lepkiej ciepłej krwi, wyłamywać zamek, kraść i drżeć, skradać się, cały krwią zalany... z siekierą... Boże, czy to być może?".

Mówiąc to, drżał, jak liść.

„Co się ze mną dzieje! — mówił dalej, podnosząc głowę, wiedziałem przecież, że nie wytrzymam tego, czegóż więc męczyłem się dotychczas. Przecież wczoraj jeszcze, wczoraj, kiedym poszedł robić... *tę próbę*, wczoraj już zrozumiałem, że tego nie wytrzymam... Czego więc teraz chcę?... Dlaczegom miał więc dotychczas wątpliwości? Toć wczoraj jeszcze, schodząc ze schodów, sam powiedziałem, że to jest podłe, ohydne, niskie, niskie... przecież na samą myśl o tem *na jawie* niedobrze mi się zrobiło i przerażenie mnie ogarnęło...

„O, nie, nie zniosę tego, nie wytrzymam! Niechby nawet obliczenia moje nie ulegały najmniejszej wątpliwości, niechby nawet wszystko, co zdecydowałem wciągu tego miesiąca było jasne, jak słońce, dokładne, jak arytmetyka... Boże! Przecież i tak się nie odważę!... Czegóż więc, czegóż do tego czasu..."

Zerwał się na równe nogi, ze zdumieniem obejrzał się dookoła, dziwiąc się jakgdyby, że zaszedł aż tutaj, że udał się na most T... Był blady, oczy mu się gorączkowo świeciły, czuł straszne zmęczenie, mimo to zaczął nagle swobodniej jakoś oddychać. Czuł, że zrzucił już z siebie straszny ciężar, który gnębił go tak długo, zrobiło mu się dziwnie

lekko na sercu. „Boże Wielki — błagał uspokojony, — wskaż mi drogę moją, a wyrzekam się tej przeklętej... mary mojej!".

Przechodząc mostem, z całym spokojem patrzył na Newę, na barwny zachód purpurowego słońca. Nie bacząc na osłabienie, nie czuł nawet zmęczenia. Jakgdyby pękł wreszcie wrzód, który mu wzbierał od miesiąca w zbolałem sercu. Wolność, wolność! Wolny jest teraz od tych wszystkich czarów, omamień, od strasznej mary, opętania!

Później, gdy wspominał okres ten i wszystko, co się z nim działo w tym czasie, chwila za chwilą, krok za krokiem, każde drgnienie duszy, z zabobonnem zdumieniem zastanawiał się nad pewną okolicznością, co prawda, nic szczególnego w gruncie rzeczy nie stanowiącą, która jednak wydawała mu się później nieodzownem przeznaczeniem losu jego.

Mianowicie: nie mógł w żadnym razie zrozumieć i wytłumaczyć sobie, dlaczego, gdy mu najwygodniej było wrócić do domu najkrótszą, prostą drogą, będąc zmęczonym, wrócił przez plac Sienny, na którym nic nie miał do czynienia. Zrobił niewielkie, co prawda, ale zupełnie niepotrzebne koło.

Wprawdzie, dziesiątki razy wracał do domu, nie pamiętając zgoła ulic, jakiemi przechodził. Ale dlaczego, zastanawiał się zawsze, dlaczego właśnie takie ważne, takie decydujące dla niego, a równocześnie najzupełniej przypadkowe, spotkanie na Siennym (którym nie miał najmniejszej potrzeby przechodzić), wypadło mu właśnie teraz, w takim czasie, w takiej chwili życia jego, w takiem właśnie usposobieniu, stanie wewnętrznym i w takich okolicznościach, w których jedynie tylko spotkanie to mogło decydująco i ostatecznie wpłynąć na los i całą przyszłość jego? Jakgdyby w tem miejscu właśnie czyhało na niego!

Było koło godziny dziesiątej, gdy przechodził placem Siennym. Wszyscy właściciele budek, straganów, sklepów, sklepików kończyli już handel, uprzątali już towary i rozchodzili się do domów, tak jak i ich klientela. Przed garkuchniami, mieszczącemi się w suterenach brudnych

cuchnących domów placu Siennego, szczególnie zaś przed szynkami, tłoczyli się najróżnorodniejszego autoramentu handlarze i szumowiny. Raskolnikow upodobał sobie szczególnie punkty te, jak również pobliskie zaułki, gdy wychodził na ulicę bez określonego celu. Tu właśnie łachmany jego nie zwracały niczyjej wysokiej uwagi, i można było chodzić tam w jakimkolwiek stroju, nie rażąc nikogo. Na rogu K-go zaułku, pewien handlarz i baba, żona jego, prowadzili na dwóch oddzielnych straganach handel: nici, wstążek, chustek perkalowych i t. p. Również się do domu zbierali, ale zatrzymała ich rozmowa z jakąś znajomą kobietą. Była to Lizaweta Iwanowna, albo, jak ją poprostu nazywano, Lizaweta, młodsza siostra tej właśnie staruchy, Aleny Iwanowny, wdowy po zmarłym referendarzu, lichwiarki, którą odwiedził wczoraj Raskolnikow dla zastawienia zegarka swego i zrobienia swojej *próby*... Oddawna już dokładnie słyszał o tej Lizawecie i ona go nawet poczęści znała. Była to wysokiego wzrostu, niezgrabna, bojaźliwa, pokorna dziewczyna, omal że idjotka, lat trzydziestu pięciu, która była kompletną niewolnicą siostry swojej, pracowała u niej dzień i noc, drżała przed nią i niejednokrotnie nawet była przez nią bita. Stała zamyślona z handlarzem i babą i uważnie ich słuchała. A oni przekonywali ją o czemś zażarcie. Gdy Raskolnikow ją spostrzegł, opanowało go jakieś dziwne uczucie, jakby najwyższe zdumienie, jakkolwiek nic dziwnego w tem spotkaniu nie było.

— Moglibyśta, Lizaweto Iwanowno, sami postanowić, — mówił głośno handlarz. — Zajrzyjta jutro, tak o siódmej. Będą i oni.

— Jutro? — przeciągle i z namysłem odpowiedziała, jakby wahając się, Lizaweta.

— Tyż wam Pietra napuściła Alena Iwanowna! — wypaplała jednym tchem handlarka, ruchliwe babsko. — Patrzę ja na was i wiary nie daję, jak jakie dzidzi małe. I to nawet nie rodzona siostra, a przyrodnia i taki was za głowę trzyma.

— Nie potrza nawet dzisia o tem mówić Alenie Iwanownie, — przerwał mąż, — moja rada — przyjść samej jutro i basta. To dobry interes. A później to i siostra się zmiarkują.

— A może to i prawda?

— O siódmej godzinie, to i z tamtych któreńś przyjdzie; bez niczyjej pomocy się postanowi.

— I samowar nastawimy, — dodała żona.

— Dobrze, przyjdę, — odezwała się zafrasowana Lizaweta, ruszając powoli z miejsca.

Raskolnikow minął już ich i dalszej rozmowy nie słyszał. Przechodził obok nich pocichu, niepostrzeżenie, starając się nie przepuścić ani słówka z toczącej się rozmowy. Pierwotne zdumienie jego przeszło w uczucie przerażenia, aż go zimny dreszcz po całem ciele przeszedł. Dowiedział się bowiem, nagle się dowiedział, że jutro, punktualnie o godzinie siódmej, siostry staruchy, Lizawety, jedynej jej współlokatorki, nie będzie w domu, i że w takim razie starucha, punktualnie o godzinie siódmej wieczór *będzie w domu sama jedna.*

Do domu pozostawało mu zaledwie kilka kroków. Wszedł do mieszkania, jak skazaniec. O niczem nie myślał, nie mógł o niczem myśleć; ale całem jestestwem swojem zrozumiał, odczuł raczej, że zniknęła naraz swoboda umysłu, woli, i że wszystko zostało nagle, w jednej chwili zdecydowane.

Rzecz jasna, że gdyby nawet całe lata miał czekać na okazję, to, mając pewien plan, nie mógłby z pewnością liczyć na lepsze warunki wykonania planu tego, jak te, wobec których teraz niespodziewanie stanął. W każdym razie byłoby bardzo trudno dowiedzieć się w przeddzień dokładniej, z większą ścisłością i mniejszem ryzykiem, bez wszelkich wywiadów i pytań, że jutro, o takiej a takiej godzinie, taka a taka starucha, na którą szykuje się zamach, będzie w domu sama samiuteńka.

## VI.

Później już Raskolnikow przypadkowo się dowiedział, w jakim celu właściwie handlarz i baba zapraszali Lizawetę. Była to najprostsza sprawa, nic szczególnego nie przedstawiająca. Jakaś przyjezdna, zbiedniała rodzina sprzedawała rzeczy, ubrania i t. p., wyłącznie kobiece. Wobec tego, że sprzedawanie ich na rynku było niekorzystne, poszukiwano zwykle pośredniczki, ale Lizaweta właśnie tem się trudniła: brała rzeczy na komis, krzątała się, biegała i miała ogromną praktykę, bo była niesłychanie uczciwa i zawsze wymieniała ostateczną cenę: powie cenę, i ani grosza nie ustąpi. Mówiła zaś wogóle mało, i, jak już zaznaczono, była taka pokorna i bojaźliwa...

Lecz Raskolnikow ostatniemi czasy zaczął być przesądny. Ślady przesądności pozostały w nim niezatarte na bardzo długi czas. I w całej tej sprawie później jeszcze gotów był zawsze dopatrywać się pewnych dziwnych rzeczy, jakiejś tajemniczości, jakby wpływu nadprzyrodzonych sił, niezrozumiałego zbiegu okoliczności. Zimą jeszcze, pewien znajomy student, Pokoriew, wyjeżdżając do Charkowa, udzielił mu przy okazji adresu staruchy Aleny Iwanowny, na wypadek, jak mówił, gdyby chciał coś zastawić. Przez dłuższy czas nie korzystał z tego, bo miał lekcje i jako tako wiązał koniec z końcem. Półtora miesiąca temu przypomniał sobie jednak dany mu adres; miał dwa przedmioty, nadające się do zastawienia: stary srebrny ojcowski zegarek i maleńki złoty pierścioneczek z trzema jakiemiś czerwonemi kamyczkami, który mu podarowała przy pożegnaniu na pamiątkę siostra jego. Postanowił zastawić pierścioneczek; gdy zaszedł do staruchy, na pierwszy rzut oka, nic szczególnego jeszcze o niej nie wiedząc, poczuł jakiś nieprzezwyciężony wstręt do niej, wziął jednak od niej dwa „papierki“ i po drodze wstąpił do jakiegoś nędznego szynczku. Zażądał herbaty, usiadł skromnie w kącie i zamyślił się. Niesamowita myśl wylęgła się w głowie jego, wykluwała się, jak kurczę z jajka, i bardzo a bardzo go zajęła.

Obok niego, przy drugim stoliku siedział student, którego po raz pierwszy widział, i młody oficer. Po rozegranej partji w bilard zasiedli do herbaty. Naraz usłyszał, że student opowiadał oficerowi o lichwiarce, Alenie Iwanownie, wdowie po referendarzu, i komunikuje mu jej adres. Już taki szczegół wydał się Raskolnikowowi nieco dziwnym: właśnie stamtąd wraca, a tu o wilku mowa. Rozumie się, że jest to tylko zbieg okoliczności, a on nie może się jednak opędzić niezwykłemu wrażeniu i, jak na złość, ktoś jakgdyby umyślnie potęguje jeszcze wrażenie to: student naraz zaczyna opowiadać współtowarzyszowi swemu różne ciekawe szczególiki o tej Alenie Iwanownie.

— Bycza baba, — mówi student, — od niej można zawsze pieniądze dostać. Bogata jest, jak żyd, może odrazu pięć tysięcy dać, ale nie pogardza nawet rublowym zastawem. Dużo naszej braci do niej chodzi. Tylko że ścierwo z niej okropne...

I opowiadał dalej o tem, jaka to jędza, jaka kapryśna, że wystarczy o jeden dzień opóźnić termin wpłaty, by przepadł zastaw. Daje czwartą część wartości przedmiotu, a bierze po pięć, a nawet do siedmiu procentów miesięcznie i t. d. Student rozgadał się na dobre i oprócz tego zakomunikował, że starucha ma siostrę, Lizawetę, którą ta słaba, plugawiutka osóbka co chwila bije i trzyma ją w kompletnej niewoli, jak małe dziecko, podczas gdy Lizaweta ma co najmniej osiem werszków wzrostu...

— To istotny fenomen! — zawołał student i roześmiał się na cały głos.

Zaczęli mówić o Lizawecie. Student jakoś osobliwie lubował się opowiadaniem o niej i ciągle się śmiał, a oficer słuchał go z ogromnem zaciekawieniem i prosił studenta o przysłanie mu Lizawety dla cerowania bielizny. Raskolnikow nie przepuścił ani słóweczka z rozmowy tej i dowiedział się o wszystkiem. Lizaweta była młodszą, przyrodnią siostrą (od różnych matek) staruchy i miała już trzydzieści pięć lat. Pracowała na siostrę swoją po całych dniach i nocach, była w domu kucharką i praczką, poza tem szyła na obstalunek, najmowała się nawet do szorowa-

nia podłóg, i wszystko oddawała siostrze. Żadnego obstalunku, żadnej pracy nie ważyła się przyjąć bez zezwolenia staruchy. Zaś starucha miała już spisany testament, o czem nawet wie Lizaweta, która według testamentu — poza ruchomością, krzesełkami i innemi drobiazgami — nie otrzymuje ani szeląga; pieniądze przeznaczyła na pewien klasztor N-iej gubernji, za pokój jej duszy. Lizaweta miała być mieszczką, a nie z urzędniczej rodziny, panna, strasznie niezgrabna, okropnie wysoka, o długich, jakgdyby powykręcanych nogach, w znoszonych bucikach z koźlej skóry, nosiła się jednak bardzo czysto. A najważniejsze, co szczególnie dziwiło i śmieszyło studenta, że co chwila bywała w ciąży...

— Przecież powiadasz, że to potwór? — zauważył oficer.

— Niby wygląda, jak przebrany dragon, ale, wiesz, żeby potwór — to nie. Ma jakiś dziwnie dobry wyraz twarzy i oczu. To zwraca nawet uwagę . Najlepszy dowód, że niejednemu się podobała. Spokojna, pokorna, bezbronna, zgodna, na wszystko się zgadza. I ma nawet wcale miły uśmiech.

— Ho, ho! Widzę, że tobie się nawet podoba? — roześmiał się oficer.

— To — dziwactwo z mojej strony. A wiesz co ci powiem: to przeklęte stare pudło zamordowałbym i ograbił, i, zapewniam cię, bez najmniejszego wyrzutu sumienia, — żarliwie dodał student.

Oficer roześmiał się serdecznie. A Raskolnikow drgnął. Jakież to było dziwne!

— Pozwól, że zadam ci jedno poważne pytanie, gorączkował się dalej student. — Oczywiście zażartowałem sobie, ale rozważ: z jednej strony — głupia, bezmyślna, nędzna, zła, schorzała starucha, nikomu na świecie niepotrzebna, raczej przeciwnie, przynosząca wszystkim szkodę, kreatura, która sama nie wie, poco żyje i która jutro prawdopodobnie umrze. Rozumiesz? Czy ty to rozumiesz?

— No, rozumiem, — odpowiedział oficer, wpatrując się uważnie w zaperzonego współtowarzysza.

— Słuchaj dalej. Z drugiej strony — młode, świeże siły, ginące z braku pomocy i to tysiącami i to wszędzie! Sto, tysiąc pięknych spraw i poczynań, któreby można zrealizować i naprawić za pieniądze staruchy, wyrzucone na klasztor! Setki, a może i tysiące istnień, skierowanych na właściwą drogę; dziesiątki rodzin, uratowanych z ostatniej nędzy, od rozkładu moralnego, od zguby, od rozpusty, od szpitali wenerycznych, — i to wszystko za jej pieniądze. Zamordować ją i zabrać jej pieniądze, poto, by zapomocą nich poświęcić się potem całej ludzkości i sprawie ogólnej; jak ci się zdaje, czy nie zostałoby odkupione jedno drobne przestępstwo tysiącami dobrych uczynków? Za jedno życie — tysiąc żyć, uratowanych od rozkładu i zgnicia. Jedna śmierć wzamian za sto żyć, — to przecież prosta arytmetyka! I czem-że jest na wadze ogólnoludzkiej życie tej suchotniczej, głupiej i złej staruchy? Niewięcej, aniżeli życie wszy, karalucha, zresztą, i tego jest niewarta, bo ona tylko szkodę przynosi. Niszczy bowiem inne życie: jest złą; w tych dniach z wściekłości omal nie odgryzła Lizawecie palca; o mały figiel nie musieliby odciąć jej palca!

— Rozumie się, że ona niegodna jest życia, — zauważył oficer, — ale tu przyroda działa.

— Et, bracie, przecież przyrodę korygują, naprawiają, bo inaczej utonęlibyśmy w zabobonach. W przeciwnym razie nie byłoby ani jednego wielkiego człowieka. Powiadają: „obowiązek, sumienie“, — nic nie mówię przeciwko obowiązkom i sumieniu, ale jak my to rozumiemy? Pozwól, zadam ci jeszcze jedno pytanie. Posłuchaj!

— Nie, posłuchaj ty; ja ci zadam pytanie.

— No!

— W tej chwili, naprzykład, gadasz, rozprawiasz, a powiedz mi: zabiłbyś *osobiście* staruchę, czy nie?

— Rozumie się, że nie! Ja tylko z poczucia sprawiedliwości... Nie o mnie tu idzie...

— A mojem zdaniem, jeżeli ty sam się nie decydujesz, to nie może tu być mowy o sprawiedliwości! Chodźmy, zagramy jeszcze partję!

Raskolnikow był okropnie zdenerwowany. Były to, oczywiście, najzwyklejsze rozmowy i wymiana myśli między młodymi ludźmi, które nieraz już słyszał, w innej może formie i na inne tematy. Ale dlaczego właśnie teraz wypadło mu słuchać takiej rozmowy i takiego właśnie rozumowania, kiedy w własnej jego głowie właśnie powstały... *takie same myśli?* I dlaczego właśnie teraz, kiedy dopiero co zalążek myśli tej wyniósł od staruchy, musiał wpaść na rozmowę o niej?... Ten zbieg okoliczności wydawał mu się zawsze bardzo dziwnym. Ta nic nieznacząca rozmowa w szynku wywarła nadzwyczajny wpływ na dalszy rozwój wypadków: jakgdyby istotnie działało tu jakieś przeznaczenie, fatum...

— — — — — — — — — —

Po powrocie z placu Siennego, rzucił się na kanapę i przesiedział całą godzinę bez ruchu. W tym czasie ściemniło się; świecy nie miał, zresztą, przez myśl mu nawet nie przeszło zapalać świecę. Nigdy potem nie mógł sobie przypomnieć, czy wówczas wogóle o czemkolwiek myślał. Wreszcie poczuł powrót gorączki, dreszcze, i z rozkoszą uprzytomnił sobie, że przecie na kanapie można się położyć. W bardzo krótkim czasie spadł na niego, jakby przydusił go, ciężki ołowiany sen.

Spał niezwykle długo i bez żadnych snów. Nastasja, która weszła do niego nazajutrz o dziesiątej rano, ledwie go się doszturchała. Przyniosła mu herbatę i chleb. Herbata znowu była powtórnie parzona i znowu w jej własnym imbryku.

— Ale ma sen! — zawołała oburzona — i ciągle chrapie!

Podniósł się z dużym wysiłkiem. Głowa go bolała; Stanął na nogi, obrócił się w komórce swojej i znowu opadł na kanapę.

— Znowu spać! — zawołała Nastasja, — chory jesteś, paniczu, czy co?

Nic nie odpowiadał.

— Herbaty chcesz?

— Potem, — wymówił z wysiłkiem, przymykając znowu oczy i odwracając się do ściany.

Nastasja stała chwilę przy nim.

— A może i naprawdę chory, — powiedziała, odwróciła się i wyszła.

O drugiej godzinie weszła znowu z talerzem zupy. A on leżał, jak i przedtem. Herbata stała nietknięta. Nastasja uczuła się nawet dotknięta i ze złością szturchnęła go.

— Czego gnijesz w łóżku! — zawołała, patrząc na niego z obrzydzeniem. Raskolnikow podniósł się do połowy i usiadł, ale ani się do niej odezwał, patrząc w ziemię.

— Chory, czy jak? — zapytała Nastasja i znowu nie otrzymała odpowiedzi.

— Wyszlibyśta choć na świat Boży, — powiedziała po chwili milczenia, — trochaby powietrza łyknąć. Jeść będziesz, nie?

— Potem, — odpowiedział wreszcie słabym głosem, — idź sobie, — i machnął ręką.

Nastasja stała jeszcze chwilę, spojrzała na niego z współczuciem i wyszła.

Po kilku minutach podniósł oczy i długo spoglądał na herbatę i na zupę. Potem wziął chleb, łyżkę i zabrał się do jedzenia.

Zjadł niewiele, bez apetytu, ze trzy — cztery łyżki, jakby machinalnie. Ból głowy ustępował. Po zjedzeniu obiadu wyciągnął się znowu na kanapie, ale zasnąć już nie mógł, leżał tylko bez ruchu, twarzą ku kanapie, wtulony głową w poduszkę. Miał dziwną wizję: zdawało mu się ciągle, że jest gdzieś w Afryce, w Egipcie, pośród jakiejś oazy. Odpoczywa karawana, spokojnie leżą wielbłądy; dookoła całemi grupami rosną palmy; wszyscy spożywają obiad. On zaś ciągle pije wodę, bezpośrednio z źródła, który tuż pod bokiem, szumiąc, płynie. I jest tak przyjemnie, chłodnawo, cudna — przecudna woda płynie po różnobarwnych kamieniach i po takim czystym, złotem lśniącym piasku... Naraz wyraźnie usłyszał bicie zegara. Drgnął, ocknął się, podniósł głowę, spojrzał przez okno, uprzytomnił sobie godzinę i, zupełnie oprzytomniawszy, zerwał się jak oparzony

na równe nogi. Podszedł na palcach do drzwi, pocichu je uchylił i zaczął się przysłuchiwać. Strasznie mu waliło serce. Ale na schodach było tak cicho, jakgdyby wszyscy spali... Wydawało mu się rzeczą niesłychanie dziwaczną i bezsensowną, że mógł w takiem zapomnieniu spać od wczorajszego dnia i nic jeszcze nie zrobił, nic nie przygotował... A tymczasem wybiła może i szósta godzina... i nagle, zamiast tępego twardego snu, opanował go jakiś niezwykle gorączkowy, bezradny niepokój. Przygotowania były zresztą nieskomplikowane. Zebrał wszystkie siły, żeby wszystko dokładnie obliczyć i o niczem nie zapomnieć; a serce ciągle mu biło, tak waliło, że aż brakło mu tchu. Po pierwsze, trzeba było przyszyć wieszak do palta, — to jedna chwila. Sięgnął pod poduszkę i wśród napchanej pod nią bielizny odnalazł jakąś starą, zupełnie postrzępioną, niepraną koszulę swoją. Ze strzępów koszuli tej oddarł pasek, szerokości jednego i długości ośmiu werszków. Pasek ten złożył we dwoje, zdjął szerokie, mocne, z jakiegoś grubego bawełnianego materjału palto letnie (jedyne jego okrycie górne) i zaczął wszywać oba końce wieszaka tego pod lewą pachę od wewnątrz. Ręce mu się trzęsły w czasie wszywania wieszaka, ale wreszcie dokonał dzieła tego, tak że, gdy włożył znowu palto, nazewnątrz nic nie było znać. Igłę i nici miał już dawno przygotowane i leżały w stoliku, zawinięte w papierek. Co zaś do wieszaka, to był to bardzo dowcipny własny pomysł jego: wieszak ten przeznaczony był dla siekiery. Nie można było przecież nieść siekierę w rękach przez ulicę. A jeżeli ją schować pod palto, to i tak trzebaby ją przytrzymywać ręką, coby się rzucało w oczy. A teraz, z wieszakiem takim, wygodniej będzie, bo wystarczy zawiesić ostrze siekiery, która całą drogę będzie sobie spokojnie wisieć pod pachą, od wewnętrznej strony. Włożywszy zaś rękę do bocznej kieszeni palta, mógł podtrzymywać koniec trzonka, żeby się nie trząsł; wobec tego zaś, że palto miał bardzo szerokie, jak worek, zzewnątrz nie możnaby zauważyć, że coś podtrzymuje przez kieszeń. Wieszak ten wymyślił już dwa tygodnie temu.

Uporawszy się z tą sprawą, wsunął palce do wąskiej

szpary między „turecką“ kanapą i podłogą i z lewego rogu wyciągnął przygotowany już oddawna i schowany tam *zastaw*.

Nie był to zresztą wcale zastaw, a poprostu drewniana, gładko wyheblowana deseczka, wielkości i grubości niewiększej od srebrnej papierośnicy. Deseczkę tę znalazł przypadkowo w czasie jednej z swoich przechadzek na pewnem podwórzu, gdzie w oficynie mieścił się jakiś warsztat. Potem dodał do niej jeszcze gładką i cienką żelazną płytkę, — prawdopodobnie część jakiegoś przedmiotu żelaznego, — którą w tym samym czasie również znalazł na ulicy. Złożywszy obie płytki, z których żelazna była nieco mniejsza od drewnianej, związał je mocno razem nitką na krzyż; potem skrupulatnie i elegancko owinął je w czysty biały papier i tak związał, żeby jak najtrudniej było rozwiązać. A to w tym celu, żeby na jakiś czas odwrócić uwagę staruchy, gdy będzie rozplątywać paczkę i w ten sposób wykorzystać odpowiedni moment. Żelazna płytka dodana była dla wagi, żeby starucha choćby w pierwszej chwili nie domyśliła się że „zastaw“ był drewniany. Wszystko to chował do czasu pod kanapą. Dopiero co wyjął zastaw, gdy na dworze ktoś krzyknął:

— Dawno już siódma minęła!

„Dawno! Boże drogi!“

Zerwał się ku drzwiom, chwilę nasłuchiwał, potem złapał kapelusz i zaczął schodzić nadół, z swoich trzynastu stopni. A teraz miał najważniejsze zadanie — ukraść z kuchni siekierę. Że czynu tego dokonać musi siekierą, zdecydował już oddawna. Miał jeszcze składany ogrodowy nożyk. Ale na nożu i na swoich siłach polegać nie mógł, wobec czego ostatecznie wybrał siekierę. Przy tej sposobności należy zwrócić uwagę na pewną osobliwą cechę wszystkich ostatecznych postanowień jego w tej całej sprawie. Im bardziej decydował się na nie, tem okropniejszemi i bezsensowniejszemi mu się wydawały. Nie bacząc na niesłychanie męczącą wewnętrzną walkę, nigdy ani przez jedną chwilę nie mógł uwierzyć w wykonalność swoich planów.

I gdyby nawet zdarzyło się kiedykolwiek tak, że wszystko do najdrobniejszego szczegółu byłoby przez niego zbadane i ostatecznie zdecydowane i nie pozostawałoby najmniejszych wątpliwości, — wtedy właśnie, jak mu się zdawało, wyrzekłby się decydująco wszystkiego, jako rzeczy bezsensownej, potwornej i niewykonalnej. Ale niejasnych punktów i wątpliwości miał jeszcze bez liku. Co zaś do tego, gdzieby mógł wydostać siekierę, to drobnostka ta ani trochę go nie zaniepokoiła, bo nie było nic ponadto łatwiejszego. Mianowicie dlatego, że Nastasja, szczególnie wieczorami co chwila wychodziła z domu: albo biegnie do sąsiadów albo do sklepiku, a drzwi zostawia zawsze naoścież otwarte. Gospodyni jej za to ciągle wymyślała. A więc, wystarczyło wejść w odpowiednim momencie pocichu do kuchni i wziąć siekierę, a potem, po upływie godziny (kiedy wszystko się już skończy), wejść i zpowrotem ją położyć. Powstawały jednakże przytem wątpliwości: przypuśćmy, że przyjdzie za godzinę, żeby ją zpowrotem położyć, a Nastasja, jakby na złość, wróciła. Oczywiście, trzeba pójść dalej i czekać, aż wyjdzie znowu. A jeżeli w tym czasie przypadkowo sięgnie po siekierę, zacznie szukać, wrzeszczeć, — i gotowe podejrzenie, albo, co najmniej, podstawa do podejrzenia.

Ale to jeszcze były drobnostki, o których nie chciało mu się nawet myśleć, zresztą nie miał na to czasu. Myślał o najgłówniejszem, a drobiazgi odkładał do czasu, kiedy na ich podstawie *przekona się o wszystkiem*. Ostatni warunek zdawał się być decydująco niewykonalnym. Tak przynajmniej zdawało się jemu samemu. Nie mógł sobie żadną miarą wyobrazić, że kiedykolwiek przestanie myśleć, podniesie się i... pójdzie wprost tam... Przecież i niedawną *próbę* swoją (ową wizytę w celu ostatecznego obejrzenia mieszkania), też tylko *próbował* urzeczywistnić, ale bynajmniej nie poważnie, a tak sobie: „spróbuję, powiada, pójść i wypróbować się, co tam ciągle w obłokach bujać“ — i myśląc tak, znowu nie wytrzymał, splunął i uciekł, wściekły na samego siebie. Jednakże cała analiza, w sensie moralnego rozwiązania, była już zakończona, cała kazuistyka jego wyostrzona była, jak brzytwa i już sam w sobie nie odnajdywał

świadomych sprzeciwów. Jednakże w tym wypadku poprostu nie wierzył sam sobie i uporczywie, niewolniczo szukał sprzeciwów na boku, poomacku, jakgdyby ktoś go do tego zmuszał i ciągnął w tym kierunku. Ostatni dzień, który nadszedł tak niespodziewanie i wszystko odrazu zdecydował, oddziałał na niego omal że ściśle mechanicznie: jakby go ktoś wziął za rękę i ciągnął za sobą, nieodparcie, ślepo, z nadprzyrodzoną siłą, bez oporu. Jakgdyby dostał się końcem odzienia w tryby maszyny i stopniowo go tam wciągnęło.

W swoim czasie, — było to, zresztą, już dawno temu, — interesowała go, między innemi, jedna kwestja: dlaczego z taką łatwością wykrywane są wszystkie przestępstwa i tak wyraźnie zaznaczają się ślady wszystkich przestępców? Powoli przyszedł do różnorodnych i bardzo ciekawych wniosków i, zdaniem jego, najgłówniejsza przyczyna tkwi nietyle w materjalnej niemożliwości ukrycia przestępstwa, ile w samym przestępcy; zaś sam przestępca, zresztą, każdy człowiek w chwili popełniania przestępstwa, podlega jakiemuś dziwnemu upadkowi woli i osłabieniu rozsądku, które zastępuje fenomenalnie dziecinna lekkomyślność, i to właśnie w chwili, w której najbardziej potrzebny jest rozsądek i ostrożność. Jego więc zdaniem, to osłabienie rozsądku i upadek woli opanowują człowieka na podobieństwo choroby, rozwijają się stopniowo, dochodząc do kulminacyjnego punktu przed momentem popełnienia przestępstwa; stan ten trwa również w chwili popełniania samego przestępstwa i jeszcze jakiś czas po dokonaniu go, zależnie od indywidualności przestępcy; potem mija, mija tak samo, jak każda inna choroba. A teraz powstaje kwestja: czy choroba rodzi przestępstwo, czy też samo przestępstwo, z osobliwej natury swojej, idzie zawsze w parze z czemś w rodzaju choroby? Nie czuł się jeszcze na siłach rozstrzygnąć tego zagadnienia.

Doszedłszy do takich wniosków, zdecydował, że on osobiście, jego sprawa, nie mogłaby podlegać podobnie chorobliwym przewrotom, że jego rozsądek i wola nie opuszczą go w żadnym razie wciągu całego czasu wykonania planu, jedynie dlatego, że jego plan „nie jest przestępstwem“...

Pominiemy cały ten proces, dzięki któremu doszedł do ostatecznej decyzji; i tak już uprzedziliśmy wypadki... dodamy tylko, że rzeczowe, ściśle materjalne trudności sprawy tej grały w jego umyśle zupełnie podrzędną rolę. „Należy tylko zachować panowanie nad niemi całej woli i rozsądku, wówczas zostaną w należytym czasie pokonane, gdy przyjdzie czas zaznajomienia się z najdrobniejszemi szczegółami sprawy"... Ale sama sprawa nie zaczynała się. Ostatecznym decyzjom swoim w dalszym ciągu w najmniejszym stopniu nie wierzył, gdy wybiła godzina, wszystko wyszło naopak, mimowoli jakoś, omal że niespodziewanie.

Jedna drobna okoliczność zupełnie go zaskoczyła, przedtem jeszcze, zanim zdążył zejść ze schodów. Gdy zrównał się już z kuchnią, jak zawsze, naoścież otwartą, spojrzał ukradkiem, żeby przekonać się uprzednio: czy niema tam czasem w nieobecności Nastasji samej gospodyni, a jeśli jej nawet niema, to czy szczelnie zamknięte są drzwi do jej pokoju, żeby niespodziewanie nie wyjrzała stamtąd w chwili, kiedy wejdzie po siekierę? Ale jakież było zdumienie jego, kiedy nagle zobaczył, że tym razem Nastasja nietylko jest w domu, w kuchni, ale najspokojniej pracuje: wyjmuje z kosza bieliznę i rozwiesza ją na postronkach! Spostrzegłszy go, przerwała pracę, odwróciła się do niego i cały czas nie spuszczała z niego oczu, gdy obok niej przechodził. On odwrócił głowę i przeszedł obok kuchni, jakgdyby nic nie widząc. Ale sprawa była skończona: siekiery niema! Okropnie go to przeraziło.

„Skąd-że wziąłem,—myślał schodząc już do bramy,—skąd wziąłem, że jej właśnie w tej chwili w żadnym razie nie będzie w domu? Dlaczego, dlaczego, dlaczego z taką pewnością tak twierdziłem?" Był zupełnie przygnębiony, i nawet poniekąd poniżony. Z wściekłości śmiać mu się chciało z samego siebie... Zakipiała w nim jakaś tępa, zwierzęca złość.

Zatrzymał się w zamyśleniu w bramie. Wyjść na ulicę tak sobie, dla pozoru, spacerować — wstrętne mu było; wrócić do domu — jeszcze obrzydliwsze. „I jaką okazję nazawsze straciłem!" mruknął sam do siebie, stojąc bez celu

w bramie, naprzeciwko ciemnej komórki stróża, również otwartej. Naraz drgnął aż cały. Z komórki stróża, która była o dwa kroki od niego, z pod ławki na prawo coś błyszczało... Obejrzał się dookoła, — nikogo nie było. Na palcach podszedł do stróżówki, zeszedł na dół dwa stopnie i cichym głosem zawołał stróża. — „Tak jest, nikogo niema w domu". Rzucił się, jak jastrząb na siekierę (to właśnie była siekiera) i wyciągnął ją z pod ławki, pod którą leżała wśród drew; na miejscu więc, nie wychodząc, zawiesił ją na wieszaku, wsunął obie ręce do kieszeni i wyszedł ze stróżówki; nikt nie zauważył! „Jak nie rozsądek, to szatan!" pomyślał sobie, uśmiechając się dziwnie. Przypadek ten dodał mu nadzwyczajnej otuchy.

Szedł drogą spokojnie i statecznie, nie śpiesząc się, żeby nie wzbudzić czasem podejrzeń. Rzadko spoglądał na przechodniów, starał się nawet zupełnie nie patrzeć na twarze i jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Tu przypomniał sobie kapelusz. — „Boże drogi! I pieniądze onegdaj miałem, a nie mogłem zmienić go na czapkę!" Siarczyste przekleństwo wyrwało mu się. Przypadkowo zajrzał ukradkiem do sklepiku i zobaczył, że na wiszącym zegarze jest już dziesięć po siódmej. Trzeba było się śpieszyć, zwłaszcza że musiał nałożyć drogi, żeby podejść do domu naokoło, od drugiej strony...

Przedtem, gdy starał się objąć to wszystko wyobraźnią, chwilami myślał, że będzie się bardzo bał. Przychodziły mu nawet do głowy jakieś uboczne myśli, a wszystko to na bardzo krótko. Przechodząc obok ogrodu Jusupowa, pomyślał nawet o urządzeniu wysokich wodotrysków i o tem, jakby dobrze oświeżały powietrze na wszystkich placach publicznych. Stopniowo doszedł do przekonania, że gdyby rozszerzyć Ogród Letni na całe Pole Marsowe i połączyć go nawet z dworskim Ogrodem Michajłowskim, byłoby to niezwykle pożyteczne dla miasta. Przy tej sposobności zainteresowała go rzecz następująca: dlaczego to we wszystkich wielkich miastach ludzie mają dziwną skłonność — i to niezawsze z konieczności — osiedlać się właśnie w takich dzielnicach miasta, które nie mają ani ogrodów, ani wodotrysków,

w których panuje brud, smród i inne paskudztwa. Przypomniał sobie w tej chwili własne jego przechadzki po Siennym i na chwilę ocknął się jakgdyby. „Co za bzdury, — pomyślał sobie. — Lepiej jest już o niczem nie myśleć!“ Tak z pewnością czepiają się myślą wszystkich napotykanych przedmiotów ci, którzy prowadzeni są na stracenie“, przeszło mu błyskawicznie przez myśl; sam przepędził jak najprędzej myśl tę... Ale oto już jest blisko, oto — dom, oto i brama. Gdzieś zegar uderzył raz jeden. „Co to, czyby już było pół do ósmej? To — niemożliwe, na pewno się śpieszy!“

Na szczęście, bramę znowu pomyślnie minął. Mało tego, jakby naumyślnie, w tej samej chwili przed nim wjechał do bramy wielki wóz z sianem, który go całego zasłaniał w chwili, gdy przechodził bramą i gdy tylko wóz wjeżdżał z bramy na podwórze, prześlizgnął się niepostrzeżenie na prawo. Po drugiej stronie wozu słychać było krzyki i spory kilku głosów, ale jego nikt nie zauważył i nikogo po drodze nie spotkał. Dużo okien, wychodzących na to ogromne czworokątne podwórze było w tej chwili pootwieranych, ale nie podniósł głowy.

Odetchnąwszy głęboko i przycisnąwszy ręką bijące serce, namacawszy raz jeszcze i poprawiwszy siekierę, wszedł na schody, ostrożnie, spokojnie, co chwila nasłuchując. Ale na schodach w tej chwili nikogo nie było; wszystkie drzwi były zamknięte; nikogo się nie spotykało. Na pierwszem piętrze jedno puste mieszkanie było, co prawda, naoścież otwarte i pracowali tam malarze, ale i ci nie spojrzeli. Przystanął, pomyślał i poszedł dalej. — Oczywiście, byłoby lepiej, gdyby ich tu zupełnie nie było, ale... nad nimi są jeszcze dwa piętra“.

A oto już trzecie piętro, oto i drzwi, oto i mieszkanie naprzeciwko; to — puste. Jak widać, mieszkanie na drugiem piętrze, które jest pod mieszkaniem staruchy również jest puste: bilet wizytowy, który był przybity gwoździkami do drzwi, został zdjęty, — przeprowadzili się!.. oddech mu zaparło. Na moment przemknęło mu przez myśl: „a może odejść?“ Ale nie odpowiedział sobie nawet na to pytanie:

zaczął nasłuchiwać pod drzwiami mieszkania staruchy: martwa cisza. Potem nasłuchiwał od strony schodów, nadół; przysłuchiwał się długo, pilnie... Wkońcu obejrzał się po raz ostatni, zebrał siły, otrząchnął się i jeszcze raz namacał siekierę na wieszaku. „Czy aby nie jestem... za bardzo blady? — pomyślał, — za bardzo zdenerwowany? Ona jest podejrzliwa... Czy może poczekać... aż serce się uspokoi?!!

Ale serce się nie uspokajało. Przeciwnie, jakby naumyślnie, waliło coraz mocniej, mocniej... Nie wytrzymał, zwolna wyciągnął rękę do dzwonka i zadzwonił. Po półminucie zadzwonił jeszcze raz, głośniej.

Nie było odpowiedzi. Nie było co nadarmo dzwonić, zresztą, jemu to nie wypadało. Starucha była, oczywiście, w domu, ale była podejrzliwa i sama jedna. Znał poczęści jej zwyczaje... i jeszcze przyłożył ucho do samych drzwi. Czy miał słuch szczególnie wyostrzony (co naogół trudno byłoby przypuszczać) czy, rzeczywiście, było bardzo dobrze słychać, ale naraz usłyszał jakby szelest ręki przy klamce i jakby szelest sukni o drzwi. Ktoś nieznacznie stał przy samym zamku i tak samo, jak on zewnątrz, zdaje się, również przyłożył ucho do drzwi...

Wówczas umyślnie się poruszył i coś bąknął nagłos, żeby nie przypuszczano, że się chowa; potem zadzwonił po raz trzeci, ale spokojnie, solidnie i bez śladu niecierpliwości. Wspominając o tem później, z całą jaskrawością, (chwila ta utkwiła mu w pamięci na całe życie), nie mógł w żaden sposób zrozumieć, skąd się wzięło do niego wówczas tyle przebiegłości, tem więcej, że umysł chwilami przesłaniał mu się mgłą, a ciała zupełnie nie czuł na sobie... Po chwili usłyszał, że zaczynają otwierać drzwi.

## VII.

Drzwi, jak i poprzednio, uchylone zostały na wąziutką szparkę, i znowu dwoje ostrych, przenikliwych, podejrzliwych oczu spojrzało na niego z ciemności. Tu Raskolnikow okropnie się zmieszał i popełnił bodaj-że gruby błąd.

Obawiając się, że starucha zlęknie się, że są sami tyl-

ko, i nie mając nadziei, by na jego widok nabrała zaufania, pociągnął za klamkę drzwi ku sobie, by jej nie przyszło czasem na myśl znowu się zamknąć. Widząc, że nie zatrzasnęła drzwi zpowrotem, lecz nie wypuściła jednak również klamki, omal nie wyciągnął jej razem z drzwiami do sieni. Widząc zaś, że zasłoniła sobą wejście i nie pozwala mu przejść, natarł wprost na nią. Starucha aż odskoczyła z przestrachu i wlepiła w niego rozwarte oczy.

— Dzień dobry, Aleno Iwanowno, — zaczął możliwie nieprzymuszonym tonem, ale głos odmówił mu posłuszeństwa, załamał się i drgnął — przyniosłem pani... zastaw... może lepej wejdziemy... do światła... — I zostawiwszy ją w przedpokoju, wszedł wprost, bez zaproszenia, do pokoju... Starucha wbiegła za nim; rozkrzyczała się.

— Boże! Czego pan chce?... Kto pan jest? Co się stało?

— Co też pani, Aleno Iwanowno... znajomy pani.... Raskolnikow... o, zastaw przyniosłem, który w tych dniach zapowiedziałem... — I podał jej zastaw.

Starucha spojrzała w pierwszej chwili na zastaw, ale natychmiast wlepiła oczy w nieproszonego gościa. Wpatrywała się w niego bardzo uważnie, ponuro i nieufnie. Minęła dobra chwila; wydawało mu się, że jakoś drwiąco spogląda na niego, jakgdyby wszystkiego się domyślała. Czuł, że traci równowagę, że opanowuje go lęk, tak okropny lęk, że niech jeszcze z pół minuty tak na niego patrzy i nic nie mówi, to, zdaje się, ucieknie od niej.

— Czegóż pani tak patrzy na mnie, jakgdyby mnie pani nie poznawała? — odezwał się naraz również ze złością. Jeżeli pani chce, niech pani weźmie, a jak nie, to pójdę do kogo innego, bo nie mam czasu.

Nie miał nawet zamiaru mówić tego, ale wyrwało mu się to nagle, samo przez się.

Starucha opamiętała się; zdecydowany ton gościa dodał jej nieco otuchy.

— Czegóż to się, paniczu, tak rzucasz... co się stało?— zapytała, spoglądając na zastaw.

— Srebrna papierośnica: mówiłem przecież o tem zeszłym razem.

Wyciągnęła rękę.

— A czegóż to pan jest taki strasznie blady? O, i ręce panu drżą! Kąpał się pan za długo, czy co?

— Febra, odpowiedział krótko. — Mimowoli człowiek zblednie... jeżeli nie ma co jeść, — dodał, ledwie wymawiając słowa. Siły go znowu zaczęły opuszczać. Ale odpowiedź miała cechy prawdopodobieństwa, wobec czego starucha wzięła zastaw.

— Co to jest? — zapytała, obejrzawszy jeszcze raz uważnie Raskolnikowa i ważąc zastaw w ręku.

— Zastaw... papierośnica... srebrna... niech pani obejrzy.

— Coś mi się wydaje, jakby nie srebrna była... Widzisz go, kręci...

Usiłując rozplątać węzełek sznurka i odwracając się do światła (wszystkie okna, mimo zaduchu, miała zamknięte), na kilka sekund zupełnie go zostawiła i stanęła tyłem do niego. Raskolnikow rozpiął palto, zdjął siekierę z wieszaka, ale jeszcze jej nie wyjmował, a tylko trzymał prawą rękę pod paltem. Ręce mu okropnie osłabły; czuł dokładnie, jak mu z chwili na chwilę drętwieją i sztywnieją! Obawiał się, że wypuści z rąk siekierę... Naraz zamąciło mu się w głowie.

— Coś pan tu nakręcił! — zawołała starucha i poruszyła się w jego stronę.

Nie miał ani chwili do stracenia. Wyjął już siekierę zupełnie, i oburącz, z rozmachem, jakby zdrętwiały, omal bez wysiłku, machinalnie, uderzył ją w głowę obuchem. Lecz gdy tylko raz ją uderzył, niewiedzieć skąd zjawiły się siły.

Starucha, jak zawsze, miała głowę niczem nieokrytą. Jasne, przyprószone siwizną, rzadkie jej włosy były, jak zwykle, wysmarowane jakimś tłuszczem, ztyłu miała spleciony mysi warkoczyk, podtrzymywany przez odłamek grzebyka, sterczącego we włosach. Krzyknęła, ale bardzo słabym głosem i nagle jakoś dziwnie przysiadła, chociaż zdą-

żyła jeszcze złapać się rękoma za głowę. W jednym ręku trzymała jeszcze „zastaw". Wówczas Raskolnikow uderzył ją jeszcze kilka razy, ciągle obuchem, w tył głowy. Krew bluznęła, jak z przewróconej szklanki i ciało zwaliło się nawznak. Raskolnikow odstąpił o krok, pozwolił jej upaść, poczem nachylił się i zajrzał jej w twarz; już nie żyła. Oczy miała wybałuszone, jakgdyby miały z orbit wyskoczyć, a czoło i całą twarz — zmarszczone i zeszpecone drgawkami konwulsyjnemi.

Położył siekierę na podłodze, obok trupa, i natychmiast sięgnął do kieszeni staruchy, starając się nie poplamić spływającą jeszcze krwią,—właśnie do tej samej kieszeni, z której zeszłym razem wyjmowała klucze. Był w pełni świadomości, nie miał żadnego zaćmienia rozsądku, ani zawrotów głowy, drżały mu tylko jeszcze ręce. Później już przypomniał sobie, że był nawet bardzo uważny, przezorny, starał się nie poplamić... Klucze wyjął w jednej chwili... Wszystkie, jak i wówczas, były w jednym pęczku na żelaznem kółeczku. Pobiegł z kluczami do sypialni. Był to maleńki pokój, w którym stała ogromna oszklona szafa z obrazami świętemi. Przy drugiej ścianie stało szerokie łóżko, bardzo czyste, okryte zszytą ze skrawków jedwabiu kołdrą watową. Przy trzeciej ścianie stała komoda. Rzecz zastanawiająca: gdy tylko zaczął dobierać klucze do komody, gdy tylko usłyszał brzęk kluczy, drgawki jakieś przeszły mu po ciele. Znowu opanowała go chęć porzucenia wszystkiego i umknięcia. Ale była to tylko jedna chwilka; odejść było już za późno. Nawet uśmiechnął się z politowaniem nad samym sobą, gdy nagle opanowała go inna niepokojąca myśl. Wydawało mu się, że starucha jeszcze żyje i że może się ocknąć. Zostawiwszy klucze i komodę, pobiegł zpowrotem, do ciała, złapał siekierę, uniósł ją i zamachnął się jeszcze raz nad staruchą, ale jej nie uderzył. Nie ulegało już wątpliwości, że nie żyje. Nachyliwszy się i przyjrzawszy jej się zbliska, przekonał się naocznie, że miała rozpłataną czaszkę i jakgdyby zwichniętą nieco nabok. Chciał jej dotknąć palcem, ale prędko palec cofnął; i tak widać było wszystko. Tym-

czasem utworzyła się już cała kałuża krwi. Naraz zauważył na jej szyi sznurek, szarpnął go, ale sznurek był mocny i nie przerywał się; przytem nasiąknął krwią. Próbował tak wyciągnąć, z za pazuchy, ale coś przeszkadzało, ugrzęzło. Z niecierpliwości znowu podniósł siekierę, żeby nią rąbnąć po sznurku, po samem ciele, z góry, ale nie miał odwagi, i z trudem, poplamiwszy ręce i siekierę, po dwuminutowej pracy, rozciął sznurek, nie dotykając toporem ciała, i zdjął go; nie omylił się — woreczek z pieniędzmi. Na sznurku wisiały dwa krzyżyki, cyprysowy i miedziany, oprócz tego — emaljowany skaplerzyk; tuż obok wisiał niewielki, zamszowy, zatłuszczony woreczek ze stalową obwódką i kółeczkiem. Woreczek był mocno wypchany; Raskolnikow wsunął go, nie oglądając, do kieszeni, krzyżyki rzucił zpowrotem staruszce na piersi i, zabrawszy siekierę, wbiegł znów do sypialni.

Śpieszył się bardzo, złapał klucze i znowu zaczął niemi manipulować. Ale jakoś nie udawało mu się to; nie mógł dopasować klucza. Nie dlatego, żeby mu do tego stopnia drżały ręce, ale jakoś ciągle się mylił: widzi, naprzykład, że to nie ten klucz, a pcha go do dziurki. Naraz przypomniał sobie i domyślił się, że ten duży klucz, zębaty, który wisi razem z mniejszemi, musi być nie od komody (jak i zeszłym razem mu się wydawało), a od jakiejś skrytki, i że w tej skrytce właśnie może wszystko jest schowane. Zostawił więc w spokoju komodę i wlazł pod łóżko, bo wiedział, że wszelkiego rodzaju wartościowe skrzyneczki stare kobiety chowają pod łóżka. Tak też było: stała tam znacznych rozmiarów skrzyneczka, długości powyżej arszyna, obita safjanem, z powbijanemi dookoła stalowemi gwoździkami. Zębaty klucz akurat się nadawał i otworzył skrzynię. Z góry, pod białem prześcieradłem leżało futerko zajęcze, z czerwonem okryciem; pod niem — jedwabny kostjum, potem szal i dalej, w głąb, zdawało się, leżą same gałganki. Przedewszystkiem zaczął wycierać o czerwone okrycie umazane we krwi ręce. „Czerwone, a na czerwonem nie będzie znać krwi“, — rozumował, i naraz opamiętał się: „Boże! Zmysły tracę, czy co?“ pomyślał z przestrachem.

Lecz gdy tylko ruszył gałganki te, naraz, z pod futerka, wyślizgnął się złoty zegarek. Zaczął nerwowo wszystko przerzucać. Rzeczywiście, gałgany przekładane były zegarkami złotemi, — były to prawdopodobnie wszystko zastawy, wykupione i niewykupione, — bransoletkami, łańcuszkami, kolczykami, szpilkami t. p. Niektóre były w futeralikach, inne zaś poprostu owinięte w papier gazetowy, chociaż porządnie i starannie, w podwójne arkusze, przewiązane wstążeczkami. Nie tracąc ani chwili, zaczął napychać kieszenie spodni i palta, bez wyboru, nie rozpakowując nawet paczuszek ani futeralików; ale dużo zabrać nie zdążył...

Nagle usłyszał, że w pokoju, w którym leżała starucha, ktoś chodzi. Zatrzymał się i zastygł. Ale dookoła panowała cisza, a więc tylko mu się zdawało. Naraz usłyszał wyraźnie słaby okrzyk, lub jakgdyby ktoś słabo i krótko jęknął i zamilkł. Potem — znowu martwa cisza, z minutę albo dwie. Przykucnął przy skrzynce i czekał, wstrzymując oddech, ale naraz zerwał się, złapał siekierę i wybiegł z sypialni.

Na środku pokoju stała Lizaweta, z wielkim tobołkiem w ręku, i w osłupieniu patrzyła na zamordowaną siostrę, biała jak płótno i jakby pozbawiona sił, by krzyknąć. Zauważywszy, biegnącego do pokoju, zadrżała, jak liść, i twarz zaczęła jej kurczowo drgać. Podniosła rękę i otworzyła nawet usta, a jednak nie krzyknęła i wolno, tyłem, zaczęła się cofać w kąt, patrząc mu uporczywie prosto w oczy bez dźwięku, jakgdyby nie miała sił krzyknąć. Rzucił się do niej z siekierą. Wargi skrzywiła tak złośliwie, jak to bywa u malekich dzieci, kiedy zaczynają się czegoś lękać, pilnie wpatrując się w przedmiot, który je strachem przejmuje, i zbierają się krzyknąć. Lizaweta była do tego stopnia prosta, zahukana i nastraszona, że nie podniosła nawet rąk, żeby zasłonić twarz, jakkolwiek w chwili tej był to ruch bezwzględnie naturalny, bo siekierę miała wzniesioną nad samą twarzą. Podniosła tylko wolno lewą rękę swoją, nawet nie na wysokość twarzy, i powoli wyciągnęła ją w jego kierunku, jakby go odsuwa-

ła. Trafił siekierą wprost w czaszkę, ostrzem, i z rozmachu przerąbał jej całą górną część czoła, wrzynając się omal że w ciemię. Natychmiast zwaliła się na ziemię. Raskolnikow stracił zupełnie panowanie nad sobą, schwycił jej tobołek, znowu go rzucił o ziemię i wybiegł do przedpokoju.

Coraz bardziej opanowywał go strach, zwłaszcza po tem drugiem, zupełnie niespodziewanem morderstwie. Chciał jak najprędzej stąd uciec. I gdyby tylko był w stanie w owej chwili dokładniej widzieć i rozumować; gdyby tylko mógł widzieć wszystkie trudności sytuacji swojej, całą grozę, ohydę, bezsensowność, zrozumieć wreszcie, ile przeszkód, a może i zbrodniczości, pozostaje mu pokonać i dokonać, żeby się stąd wyrwać i dostać się wreszcie do domu, bardzo możliwe, że porzuciłby wszystko, poszedłby, gdzie należy i sam na siebie zrobiłby doniesienie, i nawet nie ze strachu o samego siebie, a z przerażenia i obrzydzenia wobec tego, co uczynił. Szczególnie uczucie obrzydzenia potęgowało się w nim z minuty na minutę. Za nic na świecie nie wróciłby teraz do skrzynki, ani nawet do pokoi.

Jednakże powoli zaczęło go opanowywać dziwne jakieś roztargnienie, czy zaduma; chwilami zapominał się nawet, a raczej zapominał o rzeczy najważniejszej, czepiając się równocześnie drobiazgów. Zresztą, gdy zajrzał do kuchni i spostrzegł na ławce wiadro, napełnione do połowy wodą, postanowił umyć ręce i siekierę. Ręce miał zakrwawione i lepkie od krwi. Siekierę wrzucił ostrzem do wody, porwał z okna leżący na połamanym talerzyku kawałeczek mydła i zaczął wprost w wiadrze obmywać ręce. Potem wyjął siekierę, obmył żelazo i długo, ze trzy minuty, obmywał drewniany trzonek, gdzie krew mogła wsiąknąć, próbując krew zmyć nawet mydłem. Po tej czynności wytarł wszystko bielizną, która tuż się suszyła, na sznurze, przeciągniętym przez kuchnię, a potem długo, uważnie oglądał siekierę przy oknie. Śladów żadnych nie było, tylko trzonek był jeszcze mokry. Skrupulatnie zawiesił znowu siekierę na wieszaku pod paltem. Następnie, o ile tylko pozwalało światło w ciemnawej kuchni, obejrzał pal-

to, spodnie, buty. Na pierwszy rzut oka jakoś wszystko było w porządku; jedynie buty były poplamione. Zwilżył więc jakiś gałganek i wytarł buty. Zdawał sobie przytem sprawę z tego, że ogląda rzeczy niedokładnie, że może jest coś jeszcze rzucającego się w oczy, czego narazie nie dostrzega. Stanął w zamyśleniu na środku pokoju. Tępa, dręcząca myśl powstała mu w głowie, — myśl o tem, że obłędne rzeczy popełnia, i że w tej chwili nie jest w stanie niczego rozsądnie obmyśleć, ani się ratować, że może należy robić zupełnie co innego, aniżeli teraz robi... „Boże drogi! Trzeba uciekać, uciekać!“ wybełkotał sam do siebie i wybiegł do przedpokoju. Ale tutaj czekało go coś tak przerażającego, czego nigdy w życiu jeszcze nie przeżywał.

Stał, przyglądał się i nie wierzył własnym oczom: drzwi, zewnętrzne drzwi, z korytarza na klatkę schodową, te same, przy których przedtem dzwonił, i przez które wszedł, były otwarte, uchylone nawet na szerokość całej dłoni: ani na klucz, ani na hak, przez cały czas, cały ten czas nie były zamknięte! Starucha nie zamknęła za nim może przez ostrożność. Ależ Boże święty! Przecież widział potem Lizawetę! I jak-że mógł, jak mógł się nie domyśleć, że musiała przecież którędyś wejść! Chyba nie przez ścianę weszła!

Rzucił się do drzwi i założył haczyk.

„Ale nie, znowu nie o to idzie! Trzeba odejść, odejść trzeba“...

Odsunął znowu rygiel, otworzył drzwi i zaczął nasłuchiwać w kierunku klatki schodowej.

Długo się wsłuchiwał. Gdzieś daleko, prawdopodobnie na dole, w bramie, głośno i piskliwie darły się jakieś dwa głosy, kłócono się i wymyślano sobie. „Czego znowu?“.. Czekał cierpliwie. Nareszcie wszystko odrazu ucichło, jak uciął; rozeszli się. Chciał już wyjść, ale naraz o piętro niżej z trzaskiem otworzono drzwi do sieni i ktoś zaczął schodzić na dół, nucąc jakąś piosenkę. „Jak mogą tak ciągle hałasować!“ przemknęło mu przez myśl. Znowu przymknął drzwi od wewnątrz i przeczekał. Wreszcie i to

zamilkło, żywej duszy nie słychać. Już zaczął schodzić ze schodów, gdy znowu usłyszał czyjeś kroki.

Usłyszał kroki te z bardzo daleka, z samego dołu, ale z całą dokładnością pamiętał, że już od pierwszego odgłosu, niewiedzieć dlaczego, podejrzewał, że to idą bezwzględnie *tutaj*, na trzecie piętro, do staruchy. Dlaczego? Czy może odgłos kroków tych był jakiś niepowszedni, osobliwy? Były to kroki ciężkie, równe, powolne. Oto wszedł *on* już na parter, idzie wyżej, jeszcze wyżej; coraz lepiej słychać! Usłyszał już ciężkie sapanie wchodzącego... Oto zaczęło się trzecie piętro... Tutaj! I naraz wydawało mu się, że jakby zupełnie zdrętwiał, że to jak we śnie, kiedy się zdaje, że dopędzają człowieka, są tuż - tuż, zamordować chcą, a człek jakgdyby przykuty jest do miejsca i rękoma poruszyć nie może.

Wreszcie, gdy gość zaczął wchodzić na trzecie piętro, wtedy dopiero nagle się zerwał, zdążył jeszcze prędko i zgrabnie wślizgnąć się zpowrotem z sieni do mieszkania i przymknął za sobą drzwi. Potem ujął ręką hak i pocichu, bez szelestu, założył go na skobel. Instynkt mu pomagał. Po dokonaniu tego, przyczaił się z zapartym oddechem tuż pod drzwiami. Gość nieznajomy również stał pod drzwiami. Stali teraz naprzeciw siebie, jak przedtem, ze staruchą, kiedy to dzieliły ich drzwi, a on nasłuchiwał.

Gość kilkakrotnie głęboko odetchnął. „Gruby i wysoki, widocznie", pomyślał Raskolnikow, ściskając w ręku siekierę. Zupełnie, jak jaki sen. Gość pociągnął za rączkę dzwonka i głośno zadzwonił.

Gdy tylko rozległ się blaszany dźwięk dzwonka, przywidziało mu się, że ktoś poruszył się w pokoju. Kilka sekund uważnie nawet nasłuchiwał. Nieznajomy szarpnął jeszcze raz i znowu czekał, i naraz, z niecierpliwości, zaczął z całych sił tarmosić klamkę. Raskolnikow patrzył z przerażeniem, jak haczyk skacze w skoblu i w bezmyślnym strachu czekał, że hak lada chwila wyskoczy. I to było naprawdę zupełnie możliwe: tak mocno szarpano drzwi. Chciał już przytrzymać haczyk ręką, ale pomyślał, że *tam-*

*ten* może się domyśleć. Gubił się zupełnie, zdawało mu się, że znowu dostaje zawrotów głowy. „Zaraz się przewrócę!“, przemknęło mu przez myśl, ale nieznajomy zaczął coś mówić i dzięki temu wlot oprzytomniał.

— Co one tam, śpią tak, psiekrwie, czy je kto pozarzynał? Niech was wszyscy djabli!...—ryknął, jak z beczki. — Hej, Aleno Iwanowno, czarownico stara! Lizaweto Iwanowno, czarująca panno! Otwórzcie! U, psiekrwie, śpią, czy co u licha?! — I znowu, rozwścieczony, z dziesięć razy zrzędu szarpnął z całych sił dzwonek. Musiał to być, widocznie, człowiek, który w tym domu panował i krótko wszystkich trzymał.

W tej samej chwili doleciał z pobliskich schodów odgłos drobnych pośpiesznych kroków. Jeszcze ktoś szedł tutaj. Raskolnikow nie dosłyszał w pierwszej chwili.

— Czyby nikogo nie było? — dźwięcznie i wesoło zawołał przybysz, zwracając się wprost do pierwszego gościa, który nie przestawał szarpać dzwonka. — Dzień dobry, panie Koch!

„Sądząc z głosu, musi to być człowiek bardzo młody“, pomyślał Raskolnikow.

— Djabli ich wiedzą, o mało już drzwi nie rozwaliłem, — odpowiedział Koch. — A pan skąd mnie raczy znać?

— Masz tobie! A onegdaj kto panu w „Gambrinusie“ wlepił trzy partje w bilard?

— A-a-a...

— Więc niema ich. To dziwne. Zresztą, bardzo głupia sytuacja. Dokądby stara mogła pójść. Mam bardzo ważny interes do niej.

— A i ja mam interes, panie!

— Co robić! Trzeba, widocznie, wracać. Och! A chciałem monetę wydostać! — zawołał młodzieniec.

— Rozumie się, że wracać trzeba, ale po licha się umawiać? Sama przecież, czarownica, godzinę wyznaczyła. Nóż na gardle mam. I gdzie się, psiakrew, wałęsa, nie rozumiem! Cały rok gnije w domu, czarownica, nogi ją bolą, a tu, jak na złość, na spacer się wybrała!

— Może się stróża zapytać?

— O co?

— Dokąd poszła i kiedy wróci?

— Hm... do djabła... zapytać... Ale ona przecie nigdzie nie chodzi... — i jeszcze raz szarpnął klamką drzwi. Do cholery, niema co, trzeba iść!

— Czekaj pan! — zawołał naraz młodzieniec, — spójrz pan: widzi pan, jak drzwi odstają, kiedy je się szarpie?

— No?

— To znaczy, że nie jest na klucz zamknięta, a na rygiel, a raczej na haczyk! Słyszy pan, jak haczyk brzęczy!

— No?

— Jakże pan tego nie rozumie? To znaczy, że ktoś z nich jest w domu. Gdyby wszyscy wyszli, toby z zewnątrz na klucz zamknęli, a nie na haczyk od wewnątrz. A tu, — słyszy pan, jak brzęczy haczyk? Ażeby się zamknąć, od wewnątrz, na haczyk, trzeba przecież być w domu, rozumie pan? Widocznie więc siedzą w domu i nie chcą otworzyć!

— Ba! Rzeczywiście! — zawołoł zdziwiony Koch.— Więc co im się u licha przyśniło! — I zaczął okropnie szarpać drzwi.

— Stój pan! — zawołał znowu młodzieniec, — nie szarp pan! Tu coś jest nie w porządku... pan przecież dzwonił, szarpał, — nie otwierają, to znaczy, że albo pomdlały, albo...

— Co?

— Wie pan co: pójdziemy po stróża, niech on je sam obudzi.

— Słusznie! — obydwaj ruszyli na dół.

— Czekaj pan! Niech pan tutaj zostanie, a ja pobiegnę na dół po stróża.

— A poco ja mam zostawać?

— A co to można wiedzieć?

— Może i racja...

— Ja przecież szykuję się na sędziego śledczego! Tu najwidoczniej, naj-wi-docz-niej coś jest nie w porządku! — zawołał porywczo młodzieniec i pobiegł prędko na dół.

Koch pozostał, pociągnął jeszcze raz spokojnie za rączkę dzwonka, który brzęknął raz jeden; potem cichutko, jakby kombinując coś i oglądając, zaczął poruszać klamką drzwi w jedną i drugą stronę, żeby się jeszcze raz przekonać, że jest tylko na haczyk zamknięte. Potem, sapiąc, nachylił się i zajrzał przez dziurkę od klucza; ale tam tkwił od wewnątrz klucz, nie mógł więc nic widzieć.

Raskolnikow zaciskał w ręku siekierę. Był jak w malignie. Już się szykował do stoczenia z nimi walki, gdyby weszli. Kiedy pukali i zastanawiali się nad sytuacją, przychodziła mu kilka razy myśl do głowy, żeby wszystko odrazu skończyć i krzyknąć na nich z za drzwi. Chwilami brała go ochota nawymyślać im i drażnić się z nimi, dopóki nie otworzą. „Byle tylko prędzej!“, przemknęło mu przez myśl.

— Jednakże, do djabła...

Czas mijał, minuta, dwie — nikt nie przychodził. Koch zaczął się ruszać.

— Jednakże, do djabła!... — krzyknął naraz zniecierpliwiony, porzucając posterunek swój i zeszedł na dół, śpiesząc się i tupając butami po schodach. Kroki ucichły.

„Boże, co począć!“.

Raskolnikow odemknął drzwi, uchylił je, nic nie było słychać, i nagle, nie zastanawiając się już zupełnie, przymknął jak można najściślej drzwi za sobą i zbiegł na dół.

— Hej, psiakrew! Trzymaj go!

Z wrzaskiem wyskoczył ktoś na dole z jakiegoś mieszkania, i nie pobiegł, a poprostu sfrunął na dół, po schodach, drąc się na całe gardło:

— Mitia! Mitia! Mitia! Mitia! Mitia! Draniu zakazany!

Wrzeszczał jeszcze na dworze. Wreszcie wszystko ucichło. Ale w tej samej chwili kilka osób, głośno między sobą rozmawiających, zaczęło z hałasem wchodzić na schody. Było ich trzech albo czterech. Doszedł go dźwięczny głos owego młodzieńca. „To oni!“. Zrozpaczony do ostateczności szedł im wprost naprzeciw: niech się dzieje,

co chce! Zatrzymają — wszystko przepadło, miną — też przepadło: zapamiętają. Już się zbliżali ku sobie; dzieliło ich tylko jedno piętro, gdy nagle — ratunek! o kilka stopni niżej, na prawo, zauważył otwarte naoścież mieszkanie, to samo mieszkanie drugiego piętra, w którem pracowali malarze, a teraz jakby naumyślnie, puste. To oni pewnie wyskoczyli z takiemi wrzaskami. Podłogi były świeżo wymalowane, na środku pokoju stała bańka i talerzyk z farbą i pendzlem. W okamgnieniu wślizgnął się do mieszkania i przyczaił się za drzwiami, jeszcze zdążył: wchodzący na górę akurat podchodzili do tych drzwi. Potem skręcili na górę i poszli dalej, na trzecie piętro, rozprawiając głośno. On przeczekał, wyszedł na palcach i zbiegł na dół.

Na schodach nikogo nie było! W bramie również. Szybkim krokiem przeszedł przez bramę na ulicę i skręcił na lewo.

Wiedział bardzo dobrze, świetnie sobie zdawał sprawę, że w tej chwili są już oni w mieszkaniu, że się bardzo zdziwili, zobaczywszy, że drzwi są otwarte, podczas gdy przed chwilą były zamknięte, że już oglądają zwłoki, i że nie dalej jak za minutę domyślą się, raczej dojdą do niezbitego przekonania, że tu przed chwilą był morderca i zdążył się gdzieś schować, prześlizgnąć się obok nich, uciec; domyślą się prawdopodobonie i tego, że schował się w pustem mieszkaniu w chwili, gdy szli na górę. A jednak nie miał odwagi za bardzo przyśpieszać kroku, jakkolwiek do pierwszej przecznicy pozostawało około sto kroków. „Czy nie skoczyć do jakiejś bramy i przeczekać gdzieś na obcych schodach? Nie, jeszcze gorzej! A może wyrzucić gdzieś siekierę? Może wziąć dorożkę? Rozpacz! Rozpacz!“

Plątało mu się w głowie. Nareszcie doszedł do rogu ulicy; skręcił w nią na-pół żywy; tu już był prawie uratowany i rozumiał to: zawsze mniej podejrzeń tu będzie, przytem było tu bardzo dużo ludzi, tak że stanowił w tym tłumie kroplę w morzu. Wszystkie te przejścia tak go piekielnie zmęczyły, że ledwie włóczył nogami. Pot ciurkiem spły-

wał mu z twarzy; miał całą szyję mokrą. „Widzisz go, jak się strąbił!“ krzyknął mu jakiś przechodzień, gdy doszedł już do kanału.

Zaczynał już tracić pamięć; im dalej, tem gorzej. Zapamiętał sobie jednak, jak, dochodząc do kanału, zląkł się, że tu jest mało ludzi, i że tu się rzuca w oczy, wobec czego chciał zawrócić zpowrotem do zaułka. Nie patrząc na to, że ledwie się trzymał na nogach, nałożył jednakże dużo drogi i wrócił do domu od strony przeciwnej.

Napół przytomny wszedł do bramy domu swojego i wstąpił już na schody, gdy dopiero przypomniał sobie o siekierze. Tymczasem miał jedno z najważniejszych zadań: położyć ją zpowrotem na miejsce, tak żeby nikt nie zauważył. Nie był już, oczywiście, w stanie uprzytomnić sobie, że może lepiejby było nie kłaść wcale siekiery na swoje miejsce, a podrzucić ją, choćby później, gdzieś na cudze podwórze.

Ale i to przeszło pomyślnie. Drzwi stróżówki były przymknięte, ale nie zamknięte na klucz, tak że najprawdopodobniej stróż jest w domu. Ale był już do tego stopnia nieprzytomny, że podszedł wprost do stróżówki i otworzył ją. Gdyby go stróż zapytał: „czego pan chce?“, najprawdopodobniej oddałby mu wprost siekierę. Ale i stróża nie było, wobec czego zdążył położyć siekierę na miejsce pod ławką; nawet ją zakrył drwami, jak i przedtem było. Nikogo, żywej duszy nie spotkał aż do swojego pokoju; drzwi mieszkania gospodyni były zamknięte. Wszedłszy do pokoju swojego, rzucił się na kanapę, tak jak był. Nie spał, leżał w stanie jakiegoś zapomnienia; gdyby ktokolwiek wszedł w tej chwili do pokoju, na pewnoby się zerwał i krzyknąłby. Do głowy cisnęły mu się jakieś strzępy i urywki myśli, ale nie mógł uchwycić ani jednej, na żadnej się zatrzymać, nie bacząc na wszystkie wysiłki...

# CZĘŚĆ DRUGA

## I.

W takim stanie leżał bardzo długo. Chwilami jakgdyby się budził i widział, że dawno jest już noc, a ani mu przez myśl przeszło wstawać. Wreszcie zauważył, że już jest widno jak w dzień. Leżał na kanapie twarzą do góry, jeszcze zdrętwiały po tym stanie zapomnienia. Dochodziły go z ulicy przeraźliwe, okropne, rozpaczliwe krzyki i jęki, które zresztą słyszał pod swojem oknem co noc o trzeciej godzinie. Jęki te właśnie go obudziły: — „Aha! już wychodzą z szynków pijani, — pomyślał sobie, — to znaczy, że już jest trzecia godzina“, — i naraz zerwał się z kanapy jak opatrzony. — „Jakto! Już trzecia godzina!“ Usiadł na kanapie, — wtedy dopiero przypomniał sobie wszystko! Niespodziewanie, w jednem okamgnieniu wszystko sobie przypomniał!

W pierwszej chwili przekonany był, że obłędu dostanie. Zimny dreszcz go przeszedł; ale dreszcz ten spowodowany był również gorączką, która zaczęła go trawić jeszcze we śnie. Teraz zaś tak nim rzucało, że omało mu zęby nie wyskoczyły i wszystko w nim drżało. Otworzył drzwi i zaczął nasłuchiwać: w całym domu wszyscy spali. Ze zdumieniem oglądał siebie i wszystko dookoła w pokoju i zgoła nie rozumiał, jak mógł wczoraj, wchodząc, nie zamknąć drzwi na haczyk i rzucić się na kanapę nietylko w ubraniu, ale nawet w kapeluszu, który spadł i leżał tuż obok na podłodze. — „Gdyby ktoś wszedł, coby sobie mógł pomyśleć? Że pijany jestem, ale...“ Podskoczył do okna. Było dość widno, więc zaczął się prędzej oglądać od

stóp do głów, całe ubranie swoje: czy czasem niema śladów? Ale tak obejrzeć nie można było: drżąc, jak liść, zaczął z siebie wszystko zdejmować i znowu dokładnie oglądać. Przewrócił wszystko do ostatniej nitki i, nie dowierzając sam sobie, powtórzył przegląd ten ze trzy razy. Ale, zdaje się, nic nie było, najmniejszych śladów; tylko w miejscu, gdzie były dawniej zakładki na spodniach, wisiały teraz strzępy, jakby frendzle jakie, na których właśnie pozostały ślady zaschłej krwi. Wyciągnął prędko składany nóż i obciął frendzle. Nic więcej, zdaje się, nie było.

Naraz przypomniał sobie, że woreczek i rzeczy, które wyciągnął ze skrzyneczki staruchy, — wszystko to ma jeszcze w kieszeniach. Dotąd nie pomyślał nawet o tem, żeby je wyjąć i schować! Nie pomyślał nawet o tem i teraz, kiedy oglądał ubranie! Co to znaczy? — W jednej chwili zaczął je pośpiesznie wyjmować i wyrzucać na stół. Wyjąwszy wszystko, wywróciwszy nawet kieszenie, żeby się przekonać, czy czasem coś jeszcze nie zostało, przeniósł całą tę kupę rzeczy do kąta. W kącie, na samym dole, odstawały w jednem miejscu tapety: natychmiast powpychał wszystko do otworu pod papier: — „Zmieściło się! Wszystko wreszcie schowane, woreczek również!“ pomyślał z zadowoleniem, podnosząc się i patrząc bezmyślnie w kąt, na bardziej jeszcze odstające tapety. Nagle aż drgnął cały z przerażenia: — „Boże drogi, — szeptał zrozpaczony, — co się ze mną dzieje? Czy to jest schowane? Tak się chowa?“

Co prawda, nie liczył na rzeczy, myślał, że będą tylko pieniądze i dlatego nie naszykował przedtem właściwego miejsca, — „ale teraz, teraz, z czego jestem taki zadowolony? — myślał. — Tak się chowa? Rozum rzeczywiście odmawia mi już posłuszeństwa!“ Wycieńczony do ostatnich granic, usiadł na otomanie i wróciły mu znowu nieznośne dreszcze. Machinalnie wziął leżące obok, na krzesełku, dawne jego zimowe palto studenckie, ciepłe, ale zupełnie postrzępione, okrył się niem i znowu zapadł w sen i gorączkę równocześnie. Zapomniał się zupełnie.

Po niespełna pięciu minutach zerwał się znowu i jak szalony rzucił się do swego ubrania. — „Jak mogłem znowu

zasnąć, kiedy nic nie zostało jeszcze załatwione! Oczywiście, oczywiście, dotąd jeszcze nie oderwałem wieszaka z pod pachy! Zapomniałem, o takiej ważnej sprawie zapomniałem! Taki dowód rzeczowy!" Oderwał wieszak, momentalnie podarł go na drobne kawałki, wpychając je pod poduszkę, między bieliznę. — Strzępy płótna nie wzbudzą chyba najmniejszych podejrzeń; chyba nie, chyba nie!" — powtarzał, stojąc na środku pokoju i z chorobliwie natężoną uwagę zaczął się rozglądać dookoła, po podłodze, po wszystkich zakamarkach, żeby się przekonać, czy czasem czegoś nie zapomniał. Przeświadczenie, że wszystko, nawet pamięć, nawet orjentowanie się w najprostszych rzeczach zaczyna go opuszczać, — sprawiało mu nieznośną mękę. — Boże, czyżby się już zaczynało, czyżby się już tortury zaczynały? O, tak, tak jest! Istotnie, kawałki frendzli, które poobcinał od spodni porozrzucane były po podłodze, na środku pokoju, że każdy mógł by je widzieć! —Co się ze mną dzieje? — zawołał znowu zupełnie przygnębiony.

W tej chwili przyszła mu do głowy dziwna myśl: że może i całe ubranie jest krwią poplamione, że może jest dużo śladów, ale on ich nie widzi, bo jest roztargniony, umysł ma osłabiony... Naraz przypomniał sobie, że i na woreczku była przecież krew. — Ba! To w kieszeni też musi być krew, bo wtedy mokry jeszcze woreczek wsunęłem do kieszeni!" W jednej chwili wywrócił kieszeń, patrzy — tak jest, — na podszewce kieszeni są ślady, plamy! — „A więc nie zupełnie jeszcze rozum straciłem, a więc umysł i pamięć jeszcze działają, jeżelim się połapał i domyśliłem się tego! — pomyślał z triumfem, westchnąwszy głęboko i radośnie całą piersią, — to poprostu osłabienie z gorączki, chwilowa utrata przytomności", i wyrwał całą podszewkę z lewej kieszeni spodni. W tej chwili promyk słońca padł na lewy but jego: na nosku buta ukazały się jakgdyby jakieś plamy. Zdjął natychmiast buty: — „istotnie, są plamy! Cały koniec skarpetki przesiąknięty jest krwią"; widocznie, przez nieostrożność wlazł wtedy w kałużę krwi... „Ale co teraz z tem robić? Gdzie podziać tę skarpetkę, frendzle, kieszeń?"

Zmiął to wszystko w ręku, stojąc na środku pokoju. — Do pieca? Ale przedewszystkiem zaczną grzebać w piecu. Spalić? Czem spalić? Nawet zapałek niema. Nie, lepiej jest iść gdzieś i wszystko wyrzucić. Tak! Lepiej wyrzucić! — powtarzał kilkakrotnie, siadając znowu na kanapie, — i to zaraz, natychmiast, ani chwili nie zwlekając!..." Ale zamiast tego opadł znowu głową na poduszkę; zmroziły go znowu nieznośne dreszcze; znowu naciągnął na siebie płaszcz. I długo, w ciągu kilku godzin, ciągle jeszcze majaczył, że „trzebaby natychmiast, bez zwłoki, gdzieś pójść i wszystko wyrzucić, żeby się już raz wszystkiego pozbyć, byle prędzej, byle prędzej!" Zrywał się z kanapy kilka razy, chciał się podnieść, ale nie był w stanie. Obudziło go wreszcie mocne pukanie do drzwi.

— Odmykaj, umarł pan, czy co? Cięgiem ino gnije! — krzyczała Nastasja, waląc pięścią w drzwi, — po calusieńkich dniach, jak pies, się wyleguje! Jak stary pies! Odmykaj! Jedenasta godzina.

— A może w domu go niema, — odezwał się męski głos.

„Ba! to głos stróża... Czego on chce?"

Zerwał się i usiadł na kanapie. Serce mu tak waliło, że odczuwał fizyczny ból.

— A czegój to na haczyk się zamykać? — dodała jeszcze Nastasja: — widzisz go, zamykać się zaczął! Samego wyniosą, czy co? Odmykaj, mądralo, przebudź się!

„Czegóż oni chcą? Poco stróż? Wiadomo. Bronić się, czy otworzyć? Wszystko jedno..."

Podniósł się, nachylił i zdjął haczyk.

Cały pokój jego był taki mały, że można było zdjąć haczyk, nie wstając z łóżka.

Tak jest: stoi stróż i Nastasja.

Nastasja jakoś dziwnie spojrzała na niego. A on spojrzał na stróża wyzywającem i rozpaczliwem spojrzeniem. Stróż bez słowa podał mu szary, złożony we dwoje papierek, z zewnątrz zalakowany.

— Wezwanie, z biura, — odezwał się wreszcie stróż.

— Z jakiego biura?...

— Niby do policji wołają, do biura. Wiadomo, jakie biuro.

— Do policji!.. Poco?

— A to nie moja rzecz. Wołają, to trzeba iść. — Stróż uważnie na niego spojrzał, obejrzał się jeszcze dookoła i chciał już wyjść.

— Na dobre się rozchorował? — zauważyła Nastasja, nie spuszczając z niego oczu. Stróż też odwrócił głowę. — Od wczorajszego dnia ma gorączkę, — dodała.

Raskolnikow nie odpowiadał, trzymając ciągle w ręku nierozpieczętowany papier.

— Nie wstawaj pan lepiej, — mówiła dalej rozczulona Nastasja, widząc, że opuszcza nogi z kanapy. — Jak chory, to nie wychodź: nie pali się. A co tam w ręcach trzymasz?

Raskolnikow spojrzał: w prawem ręku miał odcięte strzępy spodni, skarpetkę i kawałki wyrwanej kieszeni. Tak, z tem spał. Potem już, zastanawiając się nad tem, przypomniał sobie, że, budząc się nawet w gorączce, mocno ściskał w ręku szmatki te i znowu z niemi zasypiał.

— Widzisz go, jakichś gałganków nabrał i śpi z niemi, jak z jakim skarbem. — I Nastasja roześmiała się swoim charakterystycznym chorobliwie-nerwowym śmiechem. Raskolnikow prędko wsunął wszystko to pod płaszcz i wpił się w nią wzrokiem. Choć w owej chwili nie był w stanie dokładnie wszystko zrozumieć, czuł, że nie tak obchodzą się z człowiekiem, gdy przychodzą go zabierać. — „Ale... policja?“

— Napiłbyś się herbaty? Gadaj - że, chcesz? Przyniosę; zostało jeszcze...

— Nie... muszę iść; zaraz pójdę, — mruczał, schodząc z kanapy.

— Przecie ze schodów zleźć nie potrafisz!

— Pójdę...

— Jak chceta.

Wyszła wślad za stróżem. Raskolnikow w jednej chwili skoczył do okna, do światła i zaczął oglądać skarpetkę i gałganki. — „Plamy są, ale nie bardzo znać; wszystko się pobrudziło i wyblakło. Kto zgóry o tem nie wie — niczego się nie domyśli. Najlepszy dowód, że Nastasja zdaleka nic nie zauważyła, dzięki Bogu!“ Wreszcie drżącemi rękoma rozpieczętował wezwanie i zaczął czytać długo, bardzo długo; wreszcie zrozumiał, o co idzie. Było to najzwyklejsze wezwanie z okręgu do zjawienia się w dniu dzisiejszym do biura kierownika okręgu, o pół do dziesiątej rano.

„Nigdy tego nie było! Nigdy nic wspólnego nie miałem z policją! Dlaczego akurat dzisiaj? — dręczył się tem pytaniem. — Boże, żeby się to już prędzej skończyło!“ Upadł na klęczki, żeby się pomodlić, ale aż sam się roześmiał, — nie z modlitwy, a z samego siebie. Zaczął się więc pośpiesznie ubierać. — „Zginę, to zginę, wszystko jedno! Naciągnę skarpetkę!—pomyślał,—jeszcze więcej się zatrze w kurzu i wszelkie ślady znikną! Ale jak tylko naciągnął ją, natychmiast ją z obrzydzeniem i przerażeniem zerwał. Zawinął ją, ale, przypomniawszy sobie, że innej nie ma, znowu ją nałożył — i roześmiał się. — „Wszystko jest względne, rozciągłe, wszystko to — tylko forma, — rozumował jakiemiś strzępami myśli, drżąc na całem ciele, — przecież jednak włożyłem! Skończyło się jednakże na tem, że włożyłem!“ Zresztą, uczucie rozpaczy nie ma, znowu ją włożył — i roześmiał się. — pomyślał. Drżały mu nogi. — „To ze strachu“ mruczał sam do siebie. Miał zawroty i bóle głowy. — „To podstęp! Chcą mnie tam podstępem zaciągnąć i z miejsca zbić z tropu, — mruczał dalej sam do siebie, schodząc ze schodów. — Bardzo źle, że mam gorączkę... może mi się wyrwać jeszcze coś niedorzecznego...“

Na schodach przypomniał sobie, że zostawił wszystkie rzeczy w dziurze pod tapetami, — „a oni mogą beze mnie rewizję zrobić“, uprzytomnił sobie i przystanął. Ale ogarnęła go taka rozpacz i takie, jeśli można się tak wyrazić, zobojętnienie straceńcze, że machnął ręką i poszedł dalej.

„Byle prędzej!...“

Na dworze był znowu upał nie do zniesienia; ani kropelki deszczu przez cały czas. Znowu kurz, cegły i wapno, znowu cuchnące wyziewy ze sklepików i szynków, znowu co krok — pijani tragarze — czuchońcy i obszarpane dorożki. Słońce raziło go w oczy, tak że ból mu sprawiało patrzeć i w głowie mu się mocno kręciło, — zwykły stan gorączkującego, który odrazu wychodzi na ulicę w upalny słoneczny dzień.

Doszedłszy do rogu ulicy którą szedł wczoraj, z trwogą zajrzał w nią, na tamten dom...—i natychmiast odwrócił głowę.

„Jeżeli mnie zapytają, to może i powiem“ — pomyślał, podchodząc do biura okręgu.

Biuro było o ćwierć wiorsty od niego. Niedawno przeniosło się do innego lokalu, do nowego domu, na trzecie piętro. Był już kiedyś w biurze w starym lokalu, ale było to bardzo dawno temu. Wszedłszy do bramy, zauważył na prawo schody, z których schodził jakiś chłop z książką: — „To pewnie stróż, czyli że tu jest biuro“, i wszedł na górę na chybi-trafi. Nie chciał się nikogo o nic pytać.

„Wejdę, padnę na kolana i wszystko opowiem...“ — pomyślał, wchodząc na trzecie piętro.

Były to schody wąziutkie, kręte i całe zalane pomyjami. Drzwi ze wszystkich kuchni na wszystkich trzech piętrach wychodziły na klatkę schodową i były cały dzień otwarte. Dlatego panował tam straszny zaduch. Na górę i na dół wchodzili i schodzili stróże z książkami pod pachą, policjanci i różni klienci obojga płci. Drzwi samego biura też były naoścież otwarte. Wszedł więc i zatrzymał się w poczekalni. Długo tu stali i czekali jacyś chłopi. Tu też był nadzwyczajny zaduch i mdlił zapach farby olejnej na jakimś stęchłym pokoście — świeżo malowanych pokoi. Przeczekawszy chwilę, postanowił ruszyć naprzód, do sąsiedniego pokoju. Były to minjaturowe niziutkie pokoiki. Nieprzezwyciężona niecierpliwość pchała go ciągle naprzód. Nikt nie zwracał na niego uwagi. W drugim po-

koju siedziały i pisały jakieś gryzipiórki, ubrane bodaj-że nie lepiej od niego, wogóle jacyś dziwni ludzie. Raskolnikow zwrócił się do jednego z nich.

— Czego chcesz?

Pokazał wezwanie policyjne.

— Pan jest studentem? — zapytał pisarczuk, spojrzawszy na wezwanie.

— Tak, były student...

Pisarczuk obejrzał go, zresztą, bez najmniejszej ciekawości. Był to jakiś szczególnie rozczochrany typ o nieruchomem spojrzeniu.

„Od niego niczego się nie dowiem, bo temu wszystko jest obojętne" — pomyślał Raskolnikow.

— Idź pan tam, do sekretarza, — powiedział pisarczuk, pokazując palcem w kierunku ostatniego pokoju.

Raskolnikow wszedł do pokoju (czwartego zrzędu), ciasnego i nabitego klientelą, — co prawda, ludźmi nieco przyzwoiciej ubranymi, aniżeli w tamtych pokojach. Wśród interesantów były dwie panie. Jedna w żałobie, ubrana ubogo, siedziała przy stole sekretarza i coś pisała pod jego dyktando. Druga pani, bardzo gruba i aż purpurowo-czerwona, kobieta okazała, jakoś zbyt jaskrawo ubrana, z broszką na piersi wielkości spodka, stała z boku i na coś czekała. Raskolnikow podał sekretarzowi swoje wezwanie. Sekretarz rzucił na nie okiem i odezwał się: „proszę poczekać" i zajął się w dalszym ciągu damą w żałobie.

Raskolnikow swobodniej odetchnął. — „Na pewno nie w tej sprawie!" Powoli nabierał otuchy, resztką sił starał się uspokoić i przekonywał samego siebie o konieczności zachowania równowagi i przytomności umysłu.

„Jakaś drobnostka, jeden jakiś najdrobniejszy nierozważny krok — a mogę się całkowicie zdradzić. Hm... szkoda, że tu brak jest powietrza, — dodał jeszcze, — tak duszno... Jeszcze silniejsze zawroty głowy... umysłu też..."

Czuł w samym sobie jakiś okropny nieład. Obawiał się, że nie opanuje tego stanu wewnętrznego. Usiłował czegokolwiek się chwycić, o czemkolwiek postronnem myśleć, ale to mu się zupełnie nie udawało. Między innemi przy-

kuwał uwagę jego sekretarz: pragnął bardzo coś odgadnąć z twarzy jego, przeniknąć ją. Był to bardzo młody człowiek, miał nie więcej nad dwadzieścia dwa lata, o pociągłej ruchliwej twarzy, która wydawała się znacznie starszą, ubrany był modnie, jak laluś, przylizany i napomadowany, z mnóstwem pierścieni, obrączek na białych wymanicurowanych palcach i z złotym łańcuchem na brzuchu. Z jednym obecnym tam cudzoziemcem zamienił nawet kilka słów po francusku i to bardzo poprawnie.

— Luizo Iwanowno, proszę usiąść, — zwrócił się od niechcenia do purpurowo-czerwonej damy, która jakby nie miała odwagi sama usiąść, mimo że tuż obok miała krzesełko.

— Ich danke, — odpowiedziała cichym głosem i szeleszcząc jedwabiami usiadła. Jasnobłękitna suknia jej, obramowana białą jedwabną koronką, wzdęła się dokoła krzesła jak balon powietrzny, zajmując z pół pokoju. Rozszedł się zapach perfum... Ale damę krępowało, widocznie, to, że zajęła pół pokoju i że niesie od niej tak perfumami, uśmiechała się więc tchórzliwie, choć i bezczelnie i z wyrazem pewnego zaniepokojenia.

Dama w żałobie została nareszcie załatwiona i zabierała się do wyjścia. Wtem z hałasem i zawadjacką miną wszedł oficer, szczególnie jakoś krygując się, rzucił na stół czapkę z gwiazdką i usiadł w fotelu. Wystrojona dama aż się zerwała na jego widok z krzesła i z wyrazem jakiegoś szczególnego zachwytu zaczęła robić reweranse, ale oficer nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, a ona nie miała już odwagi w jego obecności usiąść zpowrotem. Był to pomocnik kierownika okręgu policyjnego, o poziomo sterczących z obydwu stron rudawych wąsikach i niezwykle drobnych rysach twarzy, które zresztą nic prócz specyficznej bezczelności nie wyrażały. Zpodełba i z pewnem oburzeniem nawet spojrzał na Raskolnikowa: miał na sobie rzeczywiście zbyt już obdarte ubranie i, nie bacząc na całe poniżenie, zbyt hardo się jeszcze trzymał; Raskolnikow przez nieostrożność zbyt otwarcie i uporczywie patrzał na niego, tak, że to go nawet dotknęło.

— A tobie czego trzeba? — krzyknął na niego, dziwiąc się niezawodnie, że taki oberwaniec niema zamiaru uciekania przed jego groźnem, ciskającem błyskawice spojrzeniem.

— Przyszedłem... na wezwanie... — odpowiedział z pewną nonszalancją Raskolnikow.

— To w sprawie egzekwowania pieniędzy od tego pana, od *studenta*, — pośpiesznie zauważył sekretarz, odrywając się od papierów. — Proszę! — i podsunął Raskolnikowowi książkę, wskazując mu pewną rubrykę: — proszę przeczytać!

„Pieniędzy? Jakich pieniędzy? — pomyślał Raskolnikow, — ale... w każdym razie nie w tamtej sprawie!" I aż drgnął z radości. Odrazu odczuł niezwykłą, niewymowną ulgę. Kamień mu spadł z serca.

— A na którą godzinę wezwano pana, szanowny panie? — wrzasnął porucznik, czując się niewiedzieć dlaczego coraz bardziej dotkniętym, — piszą panu o dziewiątej, a teraz już jest po jedenastej!

— Wręczono mi nie dalej jak piętnaście minut temu, — głośno i jakby przez ramię odpowiedział Raskolnikow, który naraz też się rozzłościł, czego sam się nawet nie spodziewał, ale znajdował w tem pewne zadowolenie. — Dosyć chba, że, będąc chorym, z gorączką przyszedłem.

— Proszę mi tu nie wrzeszczeć!

— Ja nie wrzeszczę, a mówię zupełnie spokojnie, to pan na mnie krzyczy; jestem studentem i nie pozwolę na siebie krzyczeć.

Dygnitarz zdenerwował się do tego stopnia, że w pierwszej chwili aż nie był w stanie mówić i jakąś pianą tylko parskał. Wreszcie zerwał się z miejsca.

— Proszę mi tu mil-czeć! Pan jest w urzędzie! Grubjaństw mi tu nie prawić!

— I pan jest w urzędzie! — rozkrzyczał się również Raskolnikow, — a prócz tego, że pan krzyczy, pali pan jeszcze papierosa, czyli, że pan nam wszystkim ubliża. — Wypaliwszy mu taką owację, Raskolnikow odczuł niewymowną rozkosz.

Sekretarz spojrzał na nich z uśmiechem. Zapalczywy porucznik był widocznie zaskoczony.

— To nie pańska rzecz! — krzyknął wreszcie jakoś nienaturalnie głośno, — proszę mi tu złożyć oświadczenie, którego od pana wymagają. Pokaż mu pan, Aleksandrze Grigorjewiczu. Skarżą się na pana! Pieniędzy pan nie płaci! Widzisz go, jaki się bohater znalazł!

Ale Raskolnikow już go nie słuchał, gorączkowo chwycił papier, szukając chciwie rozwiązania zagadki. Przeczytał go kilka razy i nic nie zrozumiał.

— Co to znaczy? — zapytał sekretarza.

— Żądają egzekwowania od pana należności na podstawie zobowiązania płatniczego. Musi pan albo zapłacić to wraz z kosztami egzekucji, karami za zwłokę i t. d., albo też złożyć oświadczenie na piśmie z wskazaniem terminu zapłaty, z równoczesnem zobowiązaniem nieopuszczania stolicy oraz niesprzedawania i nieukrywania posiadanej własności. Wierzyciel zaś władny jest sprzedać własność pańską, a z panem postąpić wedle prawa.

— Ale... nie jestem nikomu nic winien!

— To już nie nasza rzecz. Do nas wpłynęło dla egzekucji przedawnione i w należytym trybie zaprojektowane zobowiązanie płatnicze na sto piętnaście rubli, wydane przez pana wdowie po asesorze, Zarnicynej równo dziewięć miesięcy temu, które na zlecenie wdowy Zarnicynej, ustąpione zostało radcy Czebarowowi; naskutek tego właśnie wzywamy pana do uiszczenia należności.

— To przecież jest moja gospodyni!

— To i cóż, że gospodyni?

Sekretarz spojrzał na niego z pobłażliwym uśmiechem, z politowaniem, a zarazem z pewną wyższością, jako na nowicjusza, którego wprowadza się dopiero w świat: „A co, jak się, kotku, teraz czujesz, dobrze ci?". Ale co jego teraz obchodziły jakieś zobowiązania płatnicze, egzekucje! Czy mógłby się z tego powodu niepokoić, ba, zwracać choćby nawet uwagę! Czytał, słuchał, odpowiadał, zadawał nawet pytania, ale tylko automatycznie. Triumf samozachowawczy, uniknięcie wiszącego nad nim niebezpie-

czeństwa, — oto co wypełniało całą jego istotę, bez przewidywań, analizowania, bez zastanawiania się i odgadywania przyszłości, bez wątpliwości i dociekań. Była to chwila całkowitej, bezpośredniej, ściśle zwierzęcej radości. Ale w tej chwili przeszła jakgdyby przez biuro gwałtowna burza z piorunami i błyskawicami. Porucznik, wzburzony jeszcze do głębi nieposzanowaniem osoby jego i pragnący podtrzymać widocznie obrażoną godność, wpadł, jak piorun z jasnego nieba na „okrągłą damę“, która od chwili przybycia jego patrzyła na niego z idjotycznym uśmiechem.

— A ty, psia twoja — pieska - niebieska! — wrzasnął na cały głos (dama w żałobie już wyszła) — co się tam znowu w nocy działo u ciebie? Hę? Znowu awantury i pijaństwo. Za paką się stęskniłaś? Przecież mówiłem ci już, dziesięć razy cię uprzedzałem, że jedenasty nie daruję! A tobie mało, a ty znowu, pieska twoja rodzona!...

Raskolnikowowi aż papier z rąk wyleciał; z przerażeniem przyglądał się wystrojonej damie, którą tak na glanc obrabiano; ale po chwili domyślił się, o kogo tu chodzi i cały ten incydent zaczął mu się nawet podobać. Przysłuchiwał się scenie tej z przyjemnością, tak, że miał nawet ochotę śmiać się, śmiać do rozpuku... Każdy nerw w nim drgał.

— Iljo Pietrowiczu! — odezwał się mitygująco sekretarz, — ale urwał, wyczekując, aż przeminie szał porucznika, wiedział bowiem z doświadczenia, że w takich chwilach nie można go inaczej powstrzymać od wybuchu, jak dosłownie trzymając za ręce.

Co zaś do okazałej damy, to w pierwszej chwili aż zadrżała od miotanych na nią gromów; ale, rzecz dziwna: im mocniej i siarczyściej wymyślano jej, tem uprzejmiejszy wyraz twarzy przybierała i tem bardziej czarujący stawał się jej uśmiech w stronę groźnego porucznika. Dreptała na miejscu, bezustannie robiła reweranse, wyczekując cierpliwie, aż wreszcie i jej wolno będzie słówko wtrącić, i wkońcu doczekała się.

— Żaden halas ani afantur u mnie nie bul, p. capitain, — zaczęła wyrzucać słowa, jak karabin maszynowy, z mocnym akcentem niemieckim, choć płynną ruszczyzną, — ża-

den, nijaki szkandal, a tylko on przyszedł pijany i ja wszystko p. capitain opofiedzieć, a ja zupelnie niefinna... ja mieć pardzo porządny dom, p. capitain, i pardzo dobrze obchodzić się z gośćmi, i sama nie chcę żadnych szkandal. A on przyszedł zupelnie pijany i jeszcze trzy flaszki zażądal, a potem podniósł jedną noga i zaczynal krać na fortepiano, to bardzo neladnie w taki porządny dom, i on ganz fortepiano polamać i ja mu mówila. A on wziąl trzepaczka i wszystkich ztylu trzepal. Wtedy zawolalam stróż i jak Karl przyszedł, on wziął i podbił Karl oko i Henriette też podbil oko, a mnie pięć razy w twarz bil. To jest tak niedelikatnie w porządny dom i ja zaczęlam krzyczeć na glos. A on otworzyl okno na kanal i zacząl przez okno krzyczeć, jak mala świnka, p. capitaine, taki wstyd narobil. I jak to można przez okno na ulicę piszczeć, jak mala świnka? Fuj— fuj — fuj! I Karl ciągać go ztylu za frak od okna i wtedy, co prafda, to prafda, p. capitain, rozerfal mu sein Rock. I wtedy zaczynal krzyczeć, że man muss jemu zaplatit piętnaście rubli za Rock. To taki niegrzeczny gość, p. capitaine, taki szkandal robić! Ja, powiada, mogę na fas ułożyć duża satira, i drukować we fszystkie gazety.

— To dziennikarz?

— Tak, p. capitaine, jaki to nieprzyzfoity gość, w taki porządny dom...

— No - no! Dość tego! Mówiłem ci już dawno, mówiłem, mówiłem...

— Iljo Pietrowiczu! — znowu znacząco wtrącił sekretarz. Porucznik spojrzał na niego, sekretarz nieznacznie kiwnął głową.

— ...A więc, szanowna *Lawizo* Iwanowno, ostatnie moje słowo, ostatni raz mówię, — powtórzył porucznik, — jeżeli w twoim porządnym domu jeszcze jeden, jedyny raz awantura będzie, to ja ciebie samą na cugunder wezmę, jak to się mówi w górnolotnym stylu. Słyszałaś? Więc literat, artysta wziął pięć rubli w „porządnym domu“ za frak? Oto macie ich, inteligencję, uczonych! — i rzucił pogardliwe spojrzenie na Raskolnikowa. — Onegdaj też była taka historja w szynku: obiad zjadł i nie chce zapła-

cić; „opiszę was, powiada, za to w satyrze". A inny znowu, w zeszłym tygodniu, zwymyślał od ostatnich słów na statku szanowną rodzinę radcy stanu, żonę i córkę. Jednego znów niedawno na zbity łeb z cukierni wyrzucili. Macie ich, artystów, literatów, studentów, krzykaczy... tfy! A ty precz mi z oczu! Przyjdę osobiście do ciebie, a wtedy... biada ci! Zrozumiałaś?

Luiza Iwanowna z przyśpieszoną uprzejmością wpadła znowu w trans reweransowy i, kłaniając się na wszystkie strony, tyłem cofała się ku drzwiom; ale na samym progu wpadła tyłem na jakiegoś okazałego oficera o otwartej świeżej twarzy i z wspaniałemi gęstemi jasnemi baczkami. Był to we własnej osobie Nikodem Fomicz, kierownik okręgu. Luiza Iwanowna przysiadła omal że do podłogi i drobnemi kroczkami, dziwnie podskakując, jak strzała wyskoczyła z biura.

— Znowu huk, strzały, pioruny i błyskawice, grzmoty i huragan! — tonem żartobliwym i przyjacielskim zwrócił się Nikodem Fomicz do Ilji Pietrowicza, — znowu się pan zapalił, znowu pan wybuchnął! Na schodach już słyszałem.

— Co tam! — z szlachetną niedbałością wycedził Ilja Pietrowicz (i nawet nie „co tam", a jakoś: „ce-e te-em!"), przenosząc się z jakiemiś papierami do drugiego biurka i podrygując przy każdym kroku;—otóż, jak pan raczy widzieć, ten oto pan literat, raczej student, były student, pieniędzy nie płaci, weksle powystawiał, z mieszkania się nie wyprowadza, ciągłe skargi na niego wpływają, ale tutaj raczył zgłosić pretensje, że pozwoliłem sobie w obecności tego pana zapalić papierosa! Sam robi ś-świństwa i oto niech pan spojrzy na niego: oto stoi w całej swojej ponętnej okazałości!

— Ubóstwo nie hańbi, przyjacielu, no ale cóż robić! Rzecz wiadoma, wybuchnął jak proch, nie mógł znieść obelgi. Pan prawdopodobnie sam się uczuł dotknięty i nie mógł się pan pohamować, — ciągnął Nikodem Fomicz, zwracając się uprzejmie do Raskolnikowa, — ale to niesłusznie: powiadam panu, złote serce, jak-naj-szla-chet-niej-szy człowiek, ale wybucha, wybucha jak proch! Zapali się, syknie,

spali się — i basta! I wszystko przechodzi! W rezultacie — szlachetna dusza! Nawet w pułku tak go przezywali: „porucznik — Proch...“

— I co to był za pułk! — zawołał Ilja Pietrowicz, przyjemnie tem zaszczycony, ale ciągle się jeszcze burząc.

Raskolnikowa opanowała chęć powiedzenia im czegoś niezwykle przyjemnego.

— Ależ panie kapitanie, — zaczął możliwie najbardziej niewymuszenie, zwracając się naraz do Nikodema Fomicza, — niech pan wejdzie w moją sytuację... Gotów byłbym przeprosić nawet tego pana, jeżelim go ze swej strony dotknął. Jestem biednym chorym studentem, zadręczonym nędzą (tak dosłownie określił: „zadręczonym“). Jestem byłym studentem, bo obecnie nie jestem w stanie się utrzymać, ale pieniądze otrzymam. Mam matkę i siostrę w — ej gubernji. Po otrzymaniu zapłacę. Gospodyni moja jest to bardzo dobra kobieta, ale do tego stopnia rozzłościła się, że straciłem korepetycje, że mi nawet obiadów nie przysyła... i wogóle nie rozumiem, co to za weksel! Teraz żąda ode mnie zapłacenia, z czego ja jej zapłacę niech pan sam pomyśli!...

— Ale to nie nasza rzecz... — znowu zauważył sekretarz.

— Przepraszam, przepraszam, najzupełniej się z panem zgadzam, ale niechże pan i mnie pozwoli wyjaśnić, — przerwał Raskolnikow, zwracając się nie do sekretarza, a ciągle do Nikodema Fomicza, ale równocześnie dając wyraźnie do zrozumienia, że wraca się również do Ilji Pietrowicza, jakkolwiek ten uporczywie udawał, że zajęty jest korespondencją i pogardliwie nie zwracał na niego uwagi, — niechże pan pozwoli i mnie wyjaśnić, że mieszkam już u niej około trzech lat, od przyjazdu z prowincji i przedtem ...przedtem... zresztą, dlaczegoż miałbym się nie przyznać do tego, że zaraz po przyjeździe obiecałem, iż ożenię się z jej córką, było to ustne przyrzeczenie, do niczego nieobowiązujące... Była to panna... zresztą, nawet mi się poniekąd podobała... chociaż zakochany nie byłem... słowem, młodość, właściwie, chcę powiedzieć, że gospodyni udzielała mi du-

żego kredytu i dlatego może prowadziłem tryb życia nieco... słowem, byłem nieco lekkomyślny...

— Nikt od pana nie wymaga takich zwierzeń, pańdzieju, a przytem czasu nie mamy, — brutalnie i z pewnym triumfem przerwał mu Ilja Pietrowicz, ale Raskolnikow mówił z zapałem dalej, jakkolwiek czuł, że bardzo ciężko będzie mu już kontynuować rozmowę.

— Ale przepraszam, przepraszam, niechże mi pan pozwoli poczęści wyjaśnić... jak się to zaczęło i... ze swej strony... choć to może jest zbyteczne, zgadzam się z panem, —ale rok temu panna ta umarła na tyfus, a ja zostałem sublokatorem, jak i przedtem; po przeprowadzeniu się do obecnego mieszkania, gospodyni powiedziała mi... powiedziała po przyjacielsku... że jest mnie zupełnie pewna i tak dalej... ale czybym nie chciał jej złożyć tego oto zobowiązania płatniczego na sto piętnaście rubli, które uważała za mój dług. A teraz proszę: powiedziała mi wtedy, że jak tylko złożę jej ten papier, znowu będzie mi kredytować ile zechcę, i że nigdy, nigdy, — to są jej własne słowa, — nie skorzysta z tego, dopóki sam nie zapłacę... I oto teraz, kiedym stracił korepetycje, i formalnie nie mam co jeść, chce pieniądze egzekwować... Co ja mam na to powiedzieć?

— Wszystkie te sentymentalne szczegóły nic nas, pańdzieju, nie obchodzą, — bezczelnie uciął Ilja Pietrowicz,— musi pan złożyć oświadczenie i zobowiązanie, a że pan tam raczył być zakochany i wszystkie te tragiczne hece nic a nic nas nie obchodzą.

— No, to już zbyt... bezwzględnie... — bąknął Nikodem Fomicz, siadając przy biurku i zabierając się również do podpisywania papierków. Przykro mu się jakoś zrobiło.

— Niechże pan pisze, — odezwał się sekretarz.

— Co pisać? —zapytał Raskolnikow szczególnie grubjańskim tonem.

— Ja panu podyktuję.

Raskolnikowowi zdawało się, że sekretarz po tej całej spowiedzi jego zaczął go traktować pogardliwie i z pewną nonszalancją, ale — rzecz dziwna, — naraz stało mu się zupełnie obojętnem, co kto o nim myśli, i zmiana ta zaszła

w nim jednem okamgnieniu, błyskawicznie. Gdyby chciał się nad tem zastanowić, byłby oczywiście zdumiony, że chwilę temu mógł z nimi w ten sposób rozmawiać, a nawet narzucać się ze swojemi zwierzeniami? I skąd się wziął u niego ten sentyment? Raczej przeciwnie, gdyby w pokoju tym zebrali się naraz nie policjanci, a najserdeczniejsi przyjaciele jego, to i wtedy nie znalazłby, zdaje się, dla nich ani jednego słowa ludzkiego, — do tego stopnia ochłodło serce jego. W jednej chwili udzieliło się sercu jego uczucie dręczącej, bezgranicznej samotności i niechęci do ludzi. I nie poniżająca go spowiedź serdeczna wobec Ilji Pietrowicza, nie niskość triumfu porucznika nad nim wywołała w sercu jego tak nagłą zmianę. O, co go w tej chwili obchodzi własna podłość, wszystkie te ambicje, porucznicy, Niemki, kary, biura i t. p. i t. p.! Gdyby go w tej chwili nawet skazali na spalenie na stosie, nie ruszyłby się z miejsca i bodajże nie wysłuchałby nawet poważnie wyroku. Działo się z nim coś zupełnie mu nieznanego, nowego, coś, czego nigdy nie odczuwał. Nietyle umysłem, ile intuicją, całą siłą uczucia zrozumiał, że nietylko z czułemi zwierzeniami, jak przedtem, ale z czemkolwiek bądź nie może się już więcej zwracać do tych ludzi, do biura dzielnicowego; niechby to byli nawet rodzeni jego bracia i siostry, a nie porucznicy dzielnicowi, nie miałby również poco zwracać się do nich, ani teraz, ani w żadnym momencie życia; nigdy w życiu nie doznawał jeszcze podobnie dziwnego i przerażającego uczucia. A najbardziej go męczyło, — że było to raczej wrażenie, niż świadomość; bezpośrednie wrażenie, najboleśniejsze ze wszystkich przeżytych przez niego dotąd wrażeń.

Sekretarz zaczął mu dyktować szemat zwykłego w takich wypadkach oświadczenia, a więc: zapłacić nie jestem w stanie, przyrzekam zapłacić wtedy a wtedy (kiedykolwiek), z miasta nie wyjadę, posiadanej własności ani nie sprzedam, ani nie podaruję i t. p.

— Ależ pan zupełnie pisać nie może, pióro panu z rąk wypada, — zauważył sekretarz, wpatrując się z zaciekawieniem w Raskolnikowa. — Czy pan jest chory?

— Tak... mam zawroty głowy... mów pan dalej!

— To już wszystko; niech się pan podpisze.

Sekretarz zabrał papier i zajął się innymi klientami.

Raskolnikow oddał pióro, ale zamiast odejść, oparł się łokciami o stół i ścisnął skronie rękoma. Jakgdyby mu gwóźdź wbijali w czoło. Dzika myśl przyszła mu do głowy: podejść w tej chwili do Nikodema Fomicza i opowiedzieć mu całą wczorajszą historję, do najdrobniejszych szczegółów, potem zaprowadzić go do mieszkania i pokazać mu rzeczy, w kącie, w dziurze. Było to tak mocne pragnienie, że już się był podniósł, by je wykonać. „A czy nie zastanowić się nad tem przez chwilę? — przemknęło mu przez myśl. Nie, lepiej bez zastanawiania się, prosto z mostu!". Ale naraz stanął jak wryty: Nkodem Fomicz opowiadał coś zapalczywie Ilji Pietrowiczowi, i oto co usłyszał:

— Wykluczone, obydwu zwolnią! Po pierwsze, wszystko temu przeczy. Pomyśl pan: poco by im było wołać stróża, gdyby to była ich sprawa? Denuncjowanie samego siebie, czy jak? Albo szczgólna jakaś przebiegłość? Nie, to byłoby już zbyt mądre! Zresztą, studenta Piestrjakowa widzieli przy samej bramie obaj stróże i kobieta w chwili, gdy wchodził: szedł z trzema przyjaciółmi i rozstał się z nimi przed samą bramą, a o jej mieszkanie pytał się stróżów jeszcze w obecności przyjaciół swoich. Czy pytałby się o mieszkanie, gdyby szedł w takim zamiarze? A Koch, zanim poszedł do staruchy, siedział z pół godziny na dole u jubilera i punktualnie trzy kwadranse na ósmą poszedł na górę wprost od niego do staruchy. Teraz niech pan sobie to wszystko zestawi...

— Ale przepraszam, dlaczegóż w takim razie dają takie sprzeczne zeznania: sami twierdzą, że pukali i że drzwi były zamknięte, a gdy po trzech minutach przyszli ze stróżem, okazało się, że są otwarte?

— Właśnie na tem cała rzecz polega; morderca siedział tam bezwarunkowo i zamknął się na haczyk, niewątpliwie nakryliby go tam, gdyby Koch nie popełnił głupstwa, schodząc również po stróża. W tym właśnie czasie *tamten* zdążył zbiec ze schodów i jakoś przekraść się obok nich.

Koch klnie się na wszystkie świętości: „Gdybym ja tam, powiada, został, on wyskoczyłby i zabiłby mnie siekierą". Na mszę świętą chce dać, — ha, ha!..

— A mordercy nikt nie widział?

— Gdzieżby znowu mogli go zobaczyć? Dom — niczem arka Noego, — zauważył sekretarz, który przysłuchiwał się rozmowie, siedząc przy biurku.

— Sprawa jasna, zupełnie jasna! — powtarzał z przejęciem Nikodem Fomicz.

— Nie, to sprawa grubo niejasna, — upierał się Ilja Pietrowicz.

Raskolnikow podniósł z ziemi kapelusz i skierował się do drzwi, ale do samych drzwi już nie doszedł...

Gdy odzyskał przytomność, zauważył, że siedzi na krzesełku i z prawej strony podtrzymuje go jakiś osobnik, a z lewej strony stoi inny jakiś jegomość z szklanką napełnioną żółtym płynem, i że Nikodem Fomicz stoi przy nim i uważnie wpatruje się w niego; podniósł się z krzesełka.

— Co to, chory pan jest? — dość ostro zapytał Nikodem Fomicz.

— Już przy podpisywaniu się ledwie trzymał pióro, — zauważył sekretarz, siadając i zabierając się znowu do roboty.

— A oddawna jest pan chory? — krzyknął Ilja Pietrowicz od swojego biurka, również przeglądając papiery. I on, oczywiście, był przy chorym w czasie zemdlenia, ale natychmiast po ocuceniu odszedł od niego.

— Od wczorajszego... — wykrztusił w odpowiedzi Raskolnikow.

— A wychodził pan wczoraj z domu?

— Wychodziłem.

— Chory?

— Chory.

— O której godzinie?

— O ósmej wieczorem.

— A dokąd, jeśli wolno wiedzieć?

— Na ulicę.

— Krótko i węzłowato.

Raskolnikow odpowiadał ostro, krótko, blady jak prześcieradło i nie opuszczając czarnych, rozognionych oczu przed przenikliwem spojrzeniem Ilji Pietrowicza.

— Człowiek ledwie na nogach stoi, a ty... — zauważył Nikodem Fomicz.

— Nic mu nie będzie! — z szczególnym naciskiem odpowiedział Ilja Pietrowicz. Nikodem Fomicz chciał jeszcze coś dodać, ale, spojrzawszy na sekretarza, który też się uporczywie w niego wpatrywał, zamilkł. Zresztą, wszyscy naraz zamilkli. Niemiła chwila.

— No, dobrze, — zakonkludował Ilja Pietrowicz, — nie zatrzymujemy pana.

Raskolnikow wyszedł. Usłyszał jeszcze, jak natychmiast po wyjściu jego rozpoczęła się bardzo ożywiona rozmowa, wśród której najdonioślej słychać było pytający głos Nikodema Fomicza... Na ulicy ostatecznie oprzytomniał.

„Rewizja, rewizja, natychmiast będzie rewizja! — powtarzał sobie, chcąc jak najszvbciej dotrzeć do domu; — łotry! Podejrzewają!“. Wrócił mu poprzedni strach, który go całego opanował, od stóp do głów.

## II.

„A jeżeli rewizja już się odbyła? Jeżeli ich akurat zastanę w domu?

Ale oto i pokój jego. Wszystko w porządku; nikt nawet nie zaglądał. Nawet Nastasja nic a nic nie ruszyła. Ale Boże drogi! Jak mógł przedtem zostawić wszystkie rzeczy te w tej dziurze?“

Dopadł do kąta, wsunął rękę pod tapetę i zaczął wyciągać rzeczy i pakować je do kieszeni. Ogółem było osiem sztuk: dwa małe futeraliki z kolczykami, czy też z czemś w tym rodzaju, — dokładnie nie sprawdził; następnie cztery niewielkie safjanowe futerały. Jedna dewizka zawinięta była poprostu w papier gazetowy. I jeszcze coś było w gazetowym papierze, zdaje się, że order...

Wpakował wszystko do kieszeni palta i pozostałej prawej kieszeni spodni, starając się, żeby nic nie było znać. Woreczek również zabrał razem z rzeczami. Potem wyszedł z pokoju, pozostawiając tym razem drzwi otwarte naoścież.

Szedł szybkim i pewnym krokiem i choć czuł, że jest złamany, zachowywał przytomność umysłu. Bał się pościgu, bał się, że może za pół godziny, za kwadrans wydane już zostanie polecenie śledzenia go; a więc trzeba za wszelką cenę na czas zatrzeć ślady. Trzeba było wszystko załatwić, dopóki jeszcze nie opuściły go siły, dopóki miał jeszcze przytomność umysłu... Ale dokąd pójść?

To już dawno zdecydował: „rzucić wszystko do kanału i — jak kamień w wodę, raz się to wszystko skończy". Tak zdecydował jeszcze w nocy, w gorączce, w chwilach — dobrze to pamiętał — kiedy zrywał się do wyjścia: „prędzej — prędzej, byle wszystko wyrzucić". Ale wyrzucić było bardzo trudno.

Łazil po wybrzeżu Jekaterynińskiego kanału z pół godziny, albo i dłużej i kilkakrotnie zaglądał na schody do kanału prowadzące. Ale mowy być nie mogło o wykonaniu zamierzenia: już to praczki prały bieliznę przy samych schodach, już łodzie do nich przybijały i wszędzie aż rojno od ludzi; z brzega, ze wszystkich stron jest otwarty widok: podejrzane musiałoby się wydać, że ktoś specjalnie zeszedł, stanął i wrzuca coś do wody. A jeżeli jeszcze futerały nie pójdą na dno, a wypłyną? Zresztą, na pewno wypłyną. Wszyscy zobaczą. I tak już wszyscy napotykani patrzą na niego, oglądają się, jakgdyby nic poza nim ich nie obchodziło. „Coby to miało znaczyć, czy też mnie się tylko tak zdaje", myślał.

Wreszcie przyszło mu na myśl, czy nie lepiej byłoby pójść gdzieś nad Newę. I ludzi mniej tam jest i nie będzie tak zwracać uwagi, a w każdym razie — wygodniej, dalej od tej okolicy. Zdziwił się nawet: jak-że to mógł się pół godziny w strachu kręcić bezradny w takiem niebezpiecznem miejscu i wcześniej o tem nie pomyśleć! Dlatego stracił pół godziny bez celu, że tak już było zdecydo-

wane we śnie, w gorączce! Stał się niesłychanie roztargniony, tracił pamięć i wiedział dobrze o tem. Trzeba było się bezwarunkowo śpieszyć!

Skierował się nad Newę. W—m prospektem. Ale w drodze przyszła mu inna myśl: „Dlaczego do Newy? Dlaczego do wody? Czy nie lepiej pójść gdzieś bardzo daleko, choćby znowu na wyspy i tam, gdzieś na pustkowiu, w lesie, pod krzakiem, — wszystko zakopać i zaznaczyć sobie nawet drzewo?". I chociaż czuł, że nie jest w stanie w tej chwili obmyśleć wszystkiego logicznie, myśl ta jednak wydała mu się doskonała.

Ale i tego nie urzeczywistnił, stało się całkiem co innego: wychodząc z N--go prospektu na plac, dostrzegł naraz po lewej stronie wejście na podwórze, otoczone zupełnie ślepemi ścianami. Tuż za bramą, z prawej strony, w głąb podwórza ciągnęła się nieotynkowana ślepa ściana sąsiedniego trzypiętrowego domu. Po lewej stronie, również od bramy, równolegle do ściany ciągnął się płot drewniany okalający podwórze na jakieś dwadzieścia kroków, poczem skręcił na lewo. Było to opustoszałe, ogrodzone podwórze, gdzie leżały jakieś materjały. Dalej nieco wystawał z za płotu róg jakiejś niskiej szopy kamiennej, która stanowiła prawdopodobnie część jakiegoś warsztatu. Był tu prawdopodobnie jakiś ślusarski lub rymarski zakład, albo coś w tym rodzaju; wszędzie, od samej bramy rozsypany był miał węglowy. „O, tutaj trzebaby wszystko podrzucić i pójść sobie!" — przyszło mu odrazu na myśl. Nie widząc nikogo w podwórzu, wszedł do bramy i zauważył tuż przy niej przymocowany do płotu żłób (jak to często bywa w domach, gdzie jest dużo fabrycznych lub innych wozów), nad żłobem zaś widniał zrobiony kredą znany napis dowcipny: „tu pszy stawać nie wolno". A więc dobre i to, że nie będą go podejrzewać, że właśnie przystanął. „Tu właśnie należałoby wszystko rzucić i pójść sobie!".

Obejrzawszy się raz jeszcze, sięgnął już do kieszeni, gdy naraz pod zewnętrzną ścianą, między bramą i żłobem, która to przestrzeń miała nie więcej nad arszyn szerokości, zauważył wielki nieociosany kamień, wagi z półtora puda,

oparty szczelnie o kamienną ścianę, wychodzącą na ulicę. Za tą ścianą była jezdnia, chodnik, słychać było kroki przechodzących ludzi, od których tu się zawsze roiło; ale z za bramy nikt go nie mógł widzieć, chyba żeby wszedł kto z ulicy, co, zresztą, mogło się zdarzyć i dlatego właśnie trzeba było się śpieszyć.

Nachylił się, chwycił oburącz wielki głaz i natężywszy się, przewrócił go. Pod głazem utworzyło się wgłębienie, do którego zaczął wszystko wyrzucać z kieszeni. Woreczek był na samym wierzchu, a jednak w dołku tym było jeszcze miejsce. Raz jeszcze wytężył siły, jednym mocnym ruchem odwrócił głaz tak, że zajął akurat poprzednie miejsce i wydawał się może tylko odrobinę wyższy. Ale podgarnął trochę ziemi, udeptał ją nogami i zatarł ślady.

Po pracy tej wyszedł i skierował się w stronę placu. Znowu opanowała go na chwilę, jak przedtem w biurze policji, rozsadzająca pierś radość. „Zatarte ślady! I komu, komu może przyjść do głowy szukać pod tym głazem. Leży tu prawdopodobnie od zbudowania domu i tyleż czasu jeszcze pewnie przeleży. A choćby znaleźli: kto mnie o to posądzi? Wszystko skończone! Niema poszlak!“ i roześmiał się. Tak, przypominał sobie potem, że roześmiał się nerwowym, urywanym, ledwie dosłyszalnym śmiechem, i śmiał się, śmiał cały czas, gdy przechodził przez plac. Ale gdy wszedł na K--ij bulwar, na którym onegdaj spotkał ową dziewczynkę, odeszedł go nagle śmiech. Inne myśli zaprzątnęły mu mózg. Wydawało mu się, że z okropnem obrzydzeniem przechodzić będzie obok owej ławki, na której wtedy, po odejściu dziewczynki, siedział i rozmyślał, i że bardzo ciężko mu będzie spotkać się znowu z wąsalem, któremu dał wtenczas dwadzieścia kopiejek. „Zresztą, pal go djabli!“.

Szedł roztargniony, oglądając się ponuro dookoła. Myśli jego krążyły bezustannie dokoła jednego głównego punktu, — przynajmniej jemu się zdawało, że to jest istotnie punkt najgłówniejszy, i że teraz, właśnie teraz, został sam na sam z tym głównym punktem, — i to po raz pierwszy po tych dwóch miesiącach.

„A niech-że to wszyscy djabli wezmą! — pomyślał nagle w przystępie niesłychanej złości. — Rozpoczęło się, a niech tam, pal je djabli, to całe nowe życie! Boże, jakież to idjotyczne!... A jak się dzisiaj nakłamałem, poniżyłem! Jak obmierźle łasiłem się wtedy i płaszczyłem przed tym nędznym Ilją Pietrowiczem! Zresztą, — i to są bzdury! Gwiżdżę na nich wszystkich i na to nawet, że się łasiłem i poniżałem! Nie o to idzie! Zupełnie nie o to idzie!"...

Naraz zatrzymał się; nowe, zupełnie niespodziewane i niezwykle proste pytanie zbiło go zupełnie z tropu i boleśnie go zdumiało:

„Jeżeli to wszystko rzeczywiście dokonane zostało z całą świadomością, a nie po żakowsku; jeżelim istotnie miał określony cel, mocne postanowienie, to dlaczego dotychczas nie zajrzałem nawet do woreczka, i nie wiem, co się stało łupem moim, dlaczego przyjąłem mękę taką i zdecydowałem się z całą świadomością na taki podły, ohydny, niski czyn? Przecie przed chwilą do wody chciałem wrzucić woreczek ten i wszystkie rzeczy, których jeszcze nie oglądałem. Jak-że to?".

Tak, tak; to — rzeczywistość. Wiedział, zresztą, o tem i to, bynajmniej, nie jest dla niego nową sprawą; i gdy w nocy postanowił wrzucić wszystko do wody, powziął postanowienie to bez wszelkich wahań i sprzeciwów, jakgdyby tak być powinno i inaczej być nie mogło... Tak, z tego wszystkiego zdawał sobie sprawę i dokładnie o wszystkiem pamiętał; bodaj-że wiedział już o tem wczoraj i zdecydował w chwili, gdy, nachylony nad kufrem, wyciągał z niego futerały... Dziwne, a jednak prawdziwe!...

„Wszystko to pochodzi stąd, że jestem bardzo chory, — zdecydował w rozpaczy, — zadręczyłem samego siebie i teraz sam nie wiem, co robię... I wczoraj, i onegdaj, cały ten czas dręczyłem się niesłychanie... Wyzdrowieję, to.... przestanę się dręczyć... A jeżeli wcale nie wyzdrowieję? Boże! Jak mi to wszystko obrzydło!"... Szedł dalej, nie zatrzymując się ani na chwilę. Miał ochotę gdzieś usiąść, odpocząć, ale nie wiedział, co zrobić i jak to wykonać. Jedno nowe, nieprzezwyciężone uczucie z każdą chwilą

coraz bardziej go opanowywało; był to jakiś nieskończenie głęboki, omal że fizyczny wstręt do wszystkiego co go otaczało, przekora, złość, nienawiść. Wstrętni mu byli wszyscy przechodnie, — wstrętne mu były nawet ich twarze, ruchy, kroki. Z rozkoszą plunąłby komuś w twarz, zda się, ugryzłby każdego, ktoby spróbował rozpocząć z nim rozmowę...

Naraz zatrzymał się, gdy się znalazł na wybrzeżu Małej Newy, na wyspie Wasiljewskiej, wpobliżu mostu. „O, tutaj mieszka, w tym domu, — pomyślał. Co to, czyżbym sam przyszedł do Razumichina! Znowu ta sama historja... Ciekawe jednak, bardzo ciekawe: sam do niego przyszedłem, czy też, idąc bez celu, zaszedłem tu przypadkowo? Wszystko jedno; onegdaj... powiedziałem przecież... że nazajutrz po *tamtem* zajdę do niego, no to i cóż, zajdę! Cóż to, nie mogę już do niego teraz zajść“...

Wszedł do Razumichina na czwarte piętro.

Razumichin był w domu, w klitce swojej, i w tej chwili pracował, pisał i sam otworzył mu drzwi. Nie widzieli się już ze cztery miesiące. Razumichin siedział w domu w doszczętnie poszarpanym szlafroku, w pantoflach na bosych nogach, rozczochrany, nieogolony i nieumyty. Na twarzy jego malowało się zdumienie.

— A to co? — zawołał, oglądając od stóp do głów wchodzącego kolegę i po chwili milczenia aż gwizdnął.

— Czyżby już tak źle było? Ehe, bracie, toś ty nawet mnie prześcignął, — dodał, przyglądając się łachmanom Raskolnikowa. — Siadaj-że, zmęczyłeś się widać! — I dopiero, gdy Raskolnikow opadł bezsilnie na turecką ceratową kanapę, która była jeszcze gorsza od jego własnej, Razumichin naraz spostrzegł, że gość jego jest chory.

— Ale tyś zupełnie poważnie chory, dalibóg! — Wziął go za puls; Raskolnikow wyrwał rękę.

— Daj spokój, — odezwał się, — przyszedłem... słuchaj, bracie: nie mam ani jednej korki... chciałem właśnie... zresztą, żadnych mi korek nie trzeba.

— A wiesz co? Przecież ty mówisz z gorączki! — zauważył obserwujący go pilnie Razumichin.

— Nie, nie bredzę... — Raskolnikow wstał z otomany. Wchodząc do Razumichina, nie pomyślał nawet o tem, że przecież musi się z nim zetknąć twarzą w twarz. Teraz zaś, w jednej chwili, uświadomił sobie już doświadczalnie, że w tej chwili bynajmniej nie jest usposobiony z kimkolwiek na świecie stykać się twarzą w twarz. Straszna gorycz w nim wezbrała. Omal nie zachłysnął się z wściekłości na samego siebie, jak tylko przestąpił próg Razumichina.

— Bywaj! — rzucił nagle i skierował się do drzwi.

— Czekaj-że, czekaj, dziwaku!

— Daj spokój!... — powtórzył Raskolnikow, wyrywając znowu rękę.

— Więc, jeżeli tak, to kiegoś djabła tu przychodził! Na głowę upadłeś, czy co? Przecież to jest... nawet obelga. Ja cię tak nie wypuszczę.

— Posłuchaj więc: zaszedłem do ciebie, bo oprócz ciebie nie znam nikogo, ktoby mi pomógł... rozpocząć... bo ty jesteś od nich wszystkich lepszy, raczej mądrzejszy i potrafisz to wszystko obmyśleć... A teraz widzę, że niczego mi nie trzeba, słyszysz, niczego na świecie... niczyich usług ani współczucia... Jestem sam... sam jeden... I basta! Zostawcie mnie w spokoju!

— Poczekaj-że chwilę, ty fajo złamana! Zupełnie zwarjował! Mnie tam wszystko jedno. Otóż lekcji nie mam, zresztą, gwiżdżę na nie, zato na starym rynku jest taki antykwarjusz, nazywa się Cheruwimow, on stanowi sam coś w rodzaju lekcji. Jego nie zamienię na pięć lekcji w domach kupieckich. Ma takie różne wydawnictwa, wydaje nawet takie naukowo - przyrodnicze książeczki, — a gdybyś wiedział, jak się rozchodzą! Same tytuły złota warte są! Widzisz, zawsze twierdziłeś, że jestem głupi: jak Boga mego kocham, są, bracie, znacznie głupsi ode mnie! Ten handlarz znalazł sobie nowy kierunek; sam zielonego pojęcia o tych rzeczach nie ma, a ja go, rozumie się, namawiam do tego. O, tu mam zgórą dwa arkusze niemieckiego tekstu, — mojem zdaniem, jest to najidjotyczniejsza szarlatanerja: krótko mówiąc, tematem jest kwestja, czy kobieta jest człowiekiem, czy też nie? Rozumie się, że dochodzi

się do uroczystego wniosku, że jest właśnie człowiekiem. Cheruwimow uczepił się teraz sprawy kobiecej; ja to tłumaczę: z tych dwóch arkuszy zrobi się sześć, wykombinujemy jeszcze jakiś huczny tytuł, który zajmie z pół strony i wypuścimy po pół rubla. I jakoś przejdzie! Za przekład płaci mi po sześć blatów od arkusza, czyli że za całość dostanę piętnaście rubli, a sześć rubli wziąłem już zgóry. Skończymy to i zaczniemy przekłady o jakichś wielorybach, następnie jakieś nudne plotki z drugiej części „Confessions". Cheruwimowowi ktoś nagadał, że Rousseau — to coś w rodzaju Radiszczewa. Rozumie się, że mu nie przeczę, pal go djabli! No, chcesz drugi arkusz: *Czy kobieta jest człowiekiem?* — Będziesz to przekładać? Jeżeli chcesz, zabieraj zaraz tekst, stalówki, papier — to wszystko" — i bierz trzy ruble, bo wobec tego, że ja za cały przekład wziąłem zgóry, niby za pierwszy i drugi arkusz, więc na twoją część przypada równo trzy ruble. A jak skończysz, dostaniesz jeszcze trzy ruble. I proszę cię bardzo, nie uważaj tego za jakąś nadzwyczajną przysługę z mojej strony. Przeciwnie, kiedym cię tylko zobaczył wchodzącego, jużem sobie skombinował, że będziesz mi pomocny. Po pierwsze, kuleję trochę w ortografji, a po drugie, trochę *schwach* jestem w niemiecczyźnie, tak, że właściwie więcej sam tworzę, aniżeli tłumaczę i pocieszam się tylko tem, że tak lepiej wypadnie. Zresztą, kto wie, może nie lepiej, a gorzej wypada... Bierzesz, czy nie?

Raskolnikow wziął milcząc niemiecki tekst artykułu i bez jednego słowa wyszedł. Razumichin ze zdziwieniem spojrzał wślad za nim. Ale doszedłszy do pierwszej ulicy, Raskolnikow nagle zawrócił, wszedł znowu na górę do Razumichina i, rzuciwszy na stół i tekst niemiecki i trzy ruble, wyniósł się, nie wyrzekłszy znowu ani słowa.

— Ale ty z gorączki zupełnie przytomność straciłeś, czy co u djabła! — ryknął rozwścieczony Razumichin — Czego takie komedje wyprawiasz! Aż mnie zakołowałeś!... Pocoś w takim razie, do pioruna, przychodził?

— Nie trzeba mi... przekładów... — bąknął Raskolnikow, schodząc już ze schodów.

— Więc czegóż ci trzeba, do cholery ciężkiej? — krzyknął z góry Razumichin. — Raskolnikow bez słowa schodził dalej.

— Hej, te! Gdzie mieszkasz?

Odpowiedzi nie było.

— Pal cię zresztą djabli!...

Ale Raskolnikow wychodził już na ulicę. Na moście Mikołajewskim raz jeszcze wrócił do przytomności wskutek bardzo niemiłego wydarzenia. Mianowicie, boleśnie smagnął go biczyskiem po plecach stangret jakiegoś powozu za to, że o mały włos nie dostał się pod koła, mimo że furman ze trzy albo cztery razy krzyknął na niego. Uderzenie bata rozzłościło go do tego stopnia, że odskoczył aż do samej barjery (nie-wiedzieć dlaczego szedł samym środkiem mostu, gdzie jeżdżą, a nie chodnikiem), wściekle zgrzytnął i kłapnął zębami. Dookoła, oczywiście, rozległ się śmiech.

— Dobrze mu tak!

— Włóczęga jakiś!

— Wiadoma rzecz, pijany i z własnej ochoty pod koła lezie; a ty, człeku, odpowiadaj za niego.

— Tylko na to czekają, pan-dzieju, tylko na to czekają...

W chwili, gdy stał przy barjerze i ciągle jeszcze patrzył ponuro i bezmyślnie wślad za oddalającym się powozem, pocierając ręką plecy, naraz poczuł, że ktoś mu wciska do ręki pieniądze. Spojrzał: była to niemłoda już kupcowa, w czepku i bucikach z koźlej skóry, z panienką, prawdopodobnie córką, w kapelusiku i z zieloną parasolką. „Macie, ojczulku, niech wam Bóg dopomoże". Wziął pieniądze, a one poszły dalej. Było to dwadzieścia kopiejek. Z ubrania i z wyglądu mogły go w zupełności przyjąć za żebraka, naprawdę żyjącego z jałmużny ulicznej, a całą dwudziestówkę jałmużny zawdzięczał, oczywiście, uderzeniu batem, które rozczuliło je.

Zacisnął pięść, w której trzymał monetę, przeszedł z dziesięć kroków i stanął twarzą do Newy, w kierunku dworca kolejowego. Na niebie nie było ani jednej chmurki,

a woda była omal że błękitnego koloru, co się tak rzadko na Newie zdarza. Kopuła soboru, którego znikąd tak dobrze nie było widać, jak z tego punktu, z mostu, o dziesięć kroków od kapliczki, aż błyszczała, i dzięki przezroczystemu powietrzu, można było rozróżnić wszystkie jej ornamenta. Ból od bata przeszedł i Raskolnikow zapomniał już o tem; pochłonęła go natomiast całkowicie pewna niepokojąca i mglista narazie myśl. Stał i długo uporczywie patrzył hen, daleko... okolice te znał bardzo dobrze. Gdy uczęszczał jeszcze do uniwersytetu, przystawał zwykle w tem samem miejscu, — najczęściej, gdy wracał do domu, — wpatrywał się uporczywie w tę naprawdę przepiękną panoramę,— a powtarzało się to na pewno ze sto razy, — i każdorazowo pochłaniało go jakieś niejasne, emocjonujące go, niezrozumiałe wrażenie. Cudowna panorama tchnęła przejmującym chłodem; dreszczem przejmował go niemy a piękny ten obraz... Zdumiewało go każdorazowo to ponure i zagadkowe wrażenie, jednakże wytłumaczenie sobie zjawiska tego odkładał na później. W tej chwili przypomniał sobie naraz z całą jaskrawością dawne zagadki i zdumiewające go wrażenia i wydawało mu się, że przypomnienie sobie tego nie jest kwestją przypadku. Wydawał mu się dziwaczny i niezrozumiały choćby sam fakt, że zatrzymał się na tem samem miejscu, co i dawniej, jakgdyby wyobrażał sobie, że naprawdę może obecnie myśleć dawnemi kategorjami i interesować się temi samemi tematami i obrazami, jakiemi dawniej się interesował... tak niedawno jeszcze. Wydawało mu się to nawet śmiesznem, choć bólem mu serce ścisnęło. Gdzieś w głębi, pod nogami, ledwie widoczna, zdawała się tkwić jego przyszłość, dawne tematy, wrażenia, i cała ta panorama, i on sam, i wszystko, wszystko dokoła... Zda się, ulatał hen w przestworza i wszystko znikało mu z oczu. Gdy odruchowo poruszył ręką, poczuł zaciśniętą w pięści monetę. Rozwarł pięść, uważnie spojrzał na nędzną monetę i z rozmachem cisnął ją do wody; potem odwrócił się i poszedł do domu. Miał wrażenie, jakby nożycami jakiemi odciął sam siebie w tej chwili od wszystkich i wszystkiego.

Wrócił do domu już pod wieczór, chodził więc ze sześć godzin. Jak i którędy szedł zpowrotem — tego zupełnie nie pamiętał. Rozebrał się i drżąc jak spracowany koń, położył się na otomanie, otulił się starym płaszczem swoim i w jednej chwili jakby stracił poczucie rzeczywistości...

Obudził go już dobrze o zmierzchu okropny krzyk. Boże, co to za wrzaski! Podobnie nienaturalnych dźwięków, podobnego wycia, jęków, zgrzytania, łez, bicia i wymyślania w życiu jeszcze nie słyszał i nie widział. Nie mógł sobie nawet wyobrazić podobnego szału, zezwierzęcenia. Z przerażeniem uniósł się na swojem legowisku, dręcząc się i zamierając poprostu co chwila. Ale razy, jęki i wymyślania stawały się coraz gwałtowniejsze. I oto, ku najwyższemu zdumieniu swemu, usłyszał głos gospodyni swojej. Gospodyni jęczała, wyła, szlochała, przeraźliwie piszczała, wyrzucając z taką szybkością słowa, że nic nie można było zrozumieć, o coś błagała, rozumie się, o to, żeby ją przestali bić, bo bez litości katowano ją na schodach. Głos bijącego był do tego stopnia przeraźliwy z wściekłości i pasji, że już tylko obrzydliwie chrypiał, i również szybko i niezrozumiale coś bełkotał, śpiesząc się i zachłystując. W pewnej chwili Raskolnikow zadrżał na całem ciele: poznał ten głos; był to głos Ilji Pietrowicza. Ilja Pietrowicz jest tutaj i bije gospodynię! Kopie ją, wali jej głową o schody, — to nie ulega wątpliwości, słyszy to wyraźnie, słyszy jęki, katowanie! Co to znaczy, świat się do góry nogami przewraca! Słychać było, jak na wszystkich piętrach, na całej klatce schodowej zbiera się tłum, słychać głosy, okrzyki, wchodzą, tupią, trzaskają drzwiami i zbiegają się. „Ale za co to, za co, jak można!", powtarzał w zupełnem przekonaniu, że naprawdę zwarjował. Ale nie, zbyt wyraźnie to słyszy!... Ale w takim razie i do niego zaraz przyjdą, skoro już tak, „bo to wszystko... prawdopodobnie... z tego samego powodu... za wczorajsze... Boże!". Chciał się zamknąć na haczyk, ale ręki utrzymać w powietrzu nie mógł... zresztą, to byłoby bezcelowe! Strach skuł, jak lodem, serce jego, zadręczył go, na kość zmroził...

Ale oto nareszcie cały ten tumult, który trwał na pewno z 10 minut, zaczął stopniowo ucichać. Gospodyni jęczała i zawodziła, Ilja Pietrowicz ciągle jeszcze groził i wymyślał... Ale oto i on, zdaje się, uspokoił się nareszcie; oto i jego już nie słychać; czyżby już poszedł? Tak jest; odchodzi i gospodyni, ciągle jeszcze płacząc i jęcząc... Oto drzwi zatrzasnęły się za nią... Tłum również rozchodzi się ze schodów do mieszkań, — wzdychają, kłócą się, coś wykrzykują, to podnosząc głosy aż do wrzasku, to zniżając je do szeptu. Musiało ich być sporo; omal, że zbiegł się cały dom. Ale, Boże święty, czy to jest możliwe! I poco, poco on tutaj przychodził!

Raskolnikow opadł bezsilnie na otomanę, ale nie był już w stanie oka zmrużyć; leżał pół godziny w takich cierpieniach, z podobnie nieznośnem uczuciem bezgranicznego przerażenia, jakiego nigdy w życiu jeszcze nie doznawał.

Naraz zabłysło w pokoju jego jaskrawe światło: Nastasja weszła ze świecą i talerzem zupy. Spojrzawszy na niego uważnie i przekonawszy się, że nie śpi, postawiła świecę na stole i zaczęła ustawiać to, co przyniosła: chleb, sól, talerz, łyżkę.

— Pewnikiem nic od wczoraj w ustach nie miałeś. Cały dzień wałęsasz się, a frybra cię trzęsie.

— Nastasjo... za co bili gospodynię?

Nastasja spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Kto bił gospodynię?

— Dopiero co... pół godziny temu, Ilja Pietrowicz, pomocnik kierownika okręgu, na schodach... Za co oni ją tak skatowali? i... poco wogóle przychodził?

Nastazja przyglądała mu się ponuro, w milczeniu, i długo nie spuszczała z niego oka. Od tego jej spojrzenia doznawał przykrego uczucia, aż go strach opanował.

— Nastasjo, czegóż milczysz? — zapytał wreszcie pokornie, słabym głosem.

— To krew, — odpowiedziała wreszcie cichym głosem, jakgdyby mówiąc do siebie — krew.

— Krew!... jaka krew?...—bełkotał, blednąc i odsuwa-

jąc się do ściany. Nastasja w dalszym ciągu milczała, spoglądając na niego.

— Nikt gospodyni nie bił, — odezwała się surowym i twardym głosem. Raskolnikow patrzył na nią z zapartym oddechem.

— Słyszałem na własne uszy... nie spałem... siedziałem, — jeszcze pokorniej powiedział. — Długo się przysłuchiwałem... Był tu pomocnik kierownika okręgu... Wszyscy zbiegli się na schody, ze wszystkich mieszkań....

— Nikt nie przychodził, to zła krew tak ci mąci głowę. To zawsze tak, jak się już, na ten przykład, zapieni i jej nie upuścić, to się zacznie w głowie mącić i przychodzą takie różne myśli... Jeść będziesz?

Nie odpowiadał. Nastasja ciągle stała przy nim, uporczywie patrzyła na niego i nie odchodziła.

— Daj mi coś pić... Nastko.

Nastasja zeszła na dół i po chwili wróciła z wodą w białej porcelanowej filiżance; ale już nie pamiętał, co było dalej. Pamiętał tylko, że wypił jeden łyk zimnej wody i wylał resztę na piersi. Potem stracił przytomność.

## III.

Nie była to jednak zupełna utrata przytomności na cały czas choroby: był to stan gorączkowy, z maligną i półświadomością. Wiele rzeczy przypominał sobie potem. Raz zdawało mu się, że dokoła niego zbierają się liczne tłumy, chcą go zabić i dokądś wywieźć, długo sprzeczają się i kłócą o jego osobę. Innym razem znowu jest sam jeden w pokoju, wszyscy odeszli i boją go się i tylko od czasu do czasu uchylają troszeczkę drzwi, żeby spojrzeć na niego, grożą mu, spiskują przeciw niemu, śmieją się i drażnią się z nim. Najczęściej pamiętał Nastasję przy sobie; rozróżniał jeszcze jednego człowieka, jakgdyby znajomego, ale kto to był, — w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, męczyło go to, nawet doprowadzało do łez. To mu się znowu zdawało, że leży miesiąc;

to znów, — że ciągle jest ten sam dzień — ale o *tem*, — *o tamtem*, zupełnie zapomniał; natomiast przypominał sobie co chwila, że o czemś zapomniał, czego zapomnieć nie wolno, — dręczył się, usiłując sobie to przypomnieć, jęczał, wpadał w stan okropnego, nie do zniesienia, przestrachu. W takich chwilach zrywał się z kanapy, chciał uciekać, ale zawsze ktoś go powstrzymywał siłą, poczem znowu opadał bezsilnie i tracił przytomność. Wreszcie odzyskał zupełnie przytomność.

Stało się to z rana, o godzinie 10-ej. O tej porze, w pogodne dni słońce przechodziło zwykle długiem pasmem po prawej stronie ściany i oświetlało kąt przy drzwiach. Obok kanapy stała Nastasja i jeszcze jakiś człowiek, przyglądający mu się bacznie i zupełnie mu nieznany. Był to młody osobnik w kaftanie, z bródką, wyglądający na subjekta sklepowego. Przez półotwarte drzwi zaglądała gospodyni. Raskolnikow podniósł głowę.

— Kto to jest, Nastasjo? — zapytał wskazując na subjekta.

— Widzisz go, ocknął się! — odezwała się.

— Pan się ocknęli, — powtórzył subjekt. Przekonawszy się, że odzyskał przytomność, gospodyni, zaglądająca przez drzwi, natychmiast je przymknęła i schowała się. Zawsze była wstydliwa i z przykrością odbywała wszelkie rozmowy i spory; miała z czterdzieści lat, była korpulentna i gruba, czarnobrewa i czarnooka, dobra z lenistwa i otyłości; a z wyglądu zewnętrznego nawet niczego sobie,— a wstydliwa ponad wszelką miarę.

— Kto pan... jest? — znowu się zwrócił do subjekta. Ale w tej chwili otworzyły się naoścież drzwi, i, nachylając się nieco, bo było nisko, wszedł Razumichin.

— Zupełnie jak okrętowa kajuta, — zawołał, wchodząc, — zawsze łbem uderzam; i to mieszkaniem się nazywa!

— A ty, bracie, ocknąłeś się? Powiedziała mi w tej chwili Paszeńka.

— Dopiero co oprzytomniał, — powiedziała Nastasja.

— Pan się dopiero co ocknęli, — potwierdził subiekt z uśmiechem.

— A z kim mam przyjemność? — zapytał Razumichin, zwracając się do niego. — Ja nazywam się, jeśli pan chce wiedzieć, Wrazumichin; nie Razumichin, jak mnie wszyscy nazywają, a Wrazumichin, student, ze szlacheckiej rodziny.

— Ja jestem subjektem w naszem biurze, przyszedłem tutaj za interesem od kupca, pana Szełopajewa.

— Proszę, niech pan siada na tem krześle; — Razumichin usiadł na drugiem, z drugiego końca stołu. — Toś doskonale zrobił, żeś oprzytomniał, — mówił dalej zwracając się do Raskolnikowa. — Czwarty dzień już prawie nic nie jesz i nie pijesz. Słowo daję, herbatę wlewaliśmy ci łyżeczkami. Dwa razy przyprowadzałem ci Zosimowa, — pamiętasz Zosimowa?

Dokładnie cię zbadał, i odrazu orzekł, że to drobnostka, — coś ci nagle do głowy uderzyło, jakaś nerwowa historja, bzdury; rację powiada, za małą ci wyznaczyli, — piwa, chrzanu, za mało udzielili, stąd cała choroba, ale że to nic, — przejdzie, przemiele się. Zuch z tego Zosimowa! Doskonale się zabrał do leczenia ciebie.

A więc nie śmiemy pana zatrzymywać, — czy pan chciałby wyjaśnić jaki ma pan interes? — Zauważyłeś, Rodio, z tego biura przychodzi już po raz drugi; tylko że pierwszym razem przychodził nie ten, a inny jakiś, i z tamtym rozmawiałem. Kto to pierwszy raz tu był?

— A musi być przedwczora, to był, tak jest — to był Aleksy Siemionowicz; tyż w waszem biurze się liczy.

— A przecież tamten wygląda na bardziej rozgarniętego od pana, jak pan myśli?

— Tak jest; trochę jakby okazalszy.

— To się chwali; a więc co dalej?

— Właśnie od Afanasja Iwanowicza Wachruszyna, o którym, jak sobie miarkuję, nieraz pewnie słyszeli, na prośbę pańskiej mateczki, przez nasze biuro przekaz przyszedł, — zaczął subjekt, zwracając się bezpośrednio do Raskolnikowa.

— Jako, że, jeżeli pan już są spełna rozumu, — 35 rubelków mam panu wręczyć, bo Siemion Siemionowicz na prośbę pańskiej mateczki, dawnym zwyczajem, dostał od Afanasja Iwanowicza zawiadomienie. Czy pan go znają?

— Tak... pamiętam... Wachruszyn... — odezwał się w zamyśleniu Raskolnikow.

— Słyszycie: zna kupca Wachruszyna! — zawołał Razumichin.

— Jak-że nie jest przytomny? Zresztą, teraz widzę, że i pan jest roztargniony. Ajakże! Mądrej głowie dość na słowie.

— To właśnie ten sam pan Wachruszyn Afanasij Iwanowicz na prośbę mateczki pańskiej, która raz już takim sposobem posłali panu pieniądze, i teraz nie odmówił, Siemionowi Siemionowiczowi ze swoich stron zawiadomienie przysłali, żeby panu wręczyć trzydzieści pięć rubelków, czego panu z całego serca i na przyszłość życzę.

— O, o, to „na przyszłość życzę", najlepiej panu wyszło; nieźle też brzmiała ta „mateczka". A no więc, jak pan myśli, zupełnie już przytomny jest, czy nie, co?

— A mnie to co? Byleby pokwitowanko było.

— Nagryzmoli! A co, książkę pan ma, czy jak?

— Książkę.

— Daj ją pan tutaj — no, Rodio, podnieś się. Ja cię podtrzymam; machnij mu Raskolnikowa, bierz pióro, bo pieniądze, bracie, potrzebne są nam teraz, jak zdrowie.

— Nie trzeba, — powiedział Raskolnikow, odsuwając pióro.

— Czego niby nie trzeba?

— Nie podpiszę.

— A niech-że cię djabli, jak-że bez pokwitowania?

— Nie trzeba... pieniędzy...

— Pieniędzy mu nie trzeba! kpisz bracie, świadkiem jestem! Niech pan się nie obawia, to tylko tak sobie... znowu buja w obłokach. Zdarza mu się to, zresztą, nawet na jawie...

— Pan jest przecież człowiekiem rozsądnym, będzie-

my go więc prowadzić, poprostu prowadzić za rękę, i podpisze. Bierz się pan do roboty!...

— Zresztą, mogę jeszcze raz zajść.

— Nie, nie; poco się ma pan fatygować, pan jest człowiekiem rozsądnym, no, Rodio, nie zatrzymuj gościa... widzisz, że czeka —i z całą powagą wziął za rękę Raskolnikowa.

— Daj spokój, ja sam... — odezwał się Raskolnikow, wziął pióro i podpisał się w książce. Subjekt odliczył pieniądze i wyszedł.

— Brawo! a teraz, bracie, będziesz jadł?

— Będę, — odpowiedział Raskolnikow.

— Zupę masz?

— Wczorajszą — odpowiedziała Nastasja, która z talerzem ciągle stała w pokoju.

— Z kartoflami i z ryżową kaszą?

— Z kartoflami i z kaszą.

— Napamięć już wiem. Dawaj-że teraz zupę i przynieś herbatę.

— Przyniosę.

Raskolnikow obserwował wszystko z najgłębszem zdumieniem i jakimś tępym, bezsilnym strachem. Postanowił milczeć i czekać; co będzie dalej? „Zdaje się, że już nie mam gorączki, — myślał, — zdaje się, że to naprawdę“...

Po dwóch minutach Nastasja wróciła z zupą i oznajmiła, że zaraz będzie i herbata. Do zupy przyniosła dwie łyżki, dwa talerze i całe nakrycie: solniczkę, pieprz, musztardę do mięsa i t. d., czego z podobną dokładnością dawno nie robiła; nawet obrus był czysty.

— Byłoby wcale dobrze, Nastko, gdyby Praskowja Pawłowna przydzieliła ze dwie butelki piwa — wypijemy.

— Ale z pana to filut! — bąknęła Nastasja i poszła wykonać zlecenie.

Raskolnikow błędnem okiem i z ogromnym wysiłkiem przyglądał się temu wszystkiemu. Tymczasem Razumichin przysiadł się do niego na otomanę, i niezgrabnie, jak niedźwiedź, objął go lewą ręką za głowę, mimo że Raskolnikow mógłby się sam podnieść i podał mu do ust łyżkę zu-

py, podmuchawszy przedtem na zupę kilka razy, żeby go nie sparzyć. Ale zupa była zaledwie letnia. Raskolnikow chciwie zjadł jedną łyżkę, potem drugą, trzecią — ale po kilku zjedzonych łyżkach zupy Razumichin naraz przerwał karmienie i oświadczył, że co do większej iolści, trzeba się najpierw poradzić Zosimowa.

Weszła Nastasja, niosąc dwie butelki piwa.

— A herbaty chcesz?

— Chcę.

— Wal, Nastasjo, prędzej i herbaty, bo co do herbaty, to, zdaje się, można zaaplikować bez uczonych. Ale oto i piwko! — przesiadł się na drugie krzesełko, przysunął talerz z zupą, pieczyste, i zaczął wtrząchać z takim apetytem, jakgdyby trzy dni nic nie jadł.

— Czy wiesz, Rodio, że ja teraz jadam u was tak obiady codziennie, — wykrztusił o ile pozwalały mu na to napchane mięsem usta, — i to wszystko Paszeńka, gosposia twoja, powiadam ci, gospodaruje, z całego serca mnie raczy. Rozumie się, że ja nie żądam tego, ale i niebardzo protestuję. A oto jest i Nastasja z herbatą. Niech żyje zgrabność! Nastusiu, chcesz piwka?

— A idź-że, bałamucie!

— A herbatki?

— Herbatki, to i owszem, czemu nie.

— Nalej sobie. Zresztą poczekaj, sam ci naleję; siadaj do stołu.

Zaczął się rządzić, jak u siebie w domu, nalał jedną filiżankę, potem drugą, przerwał jedzenie i znowu przesiadł się na kanapę. Jak i przedtem, objął lewą ręką głowę chorego, podniósł go i zaczął go poić herbatą, łyżeczka po łyżeczce, znowu dmuchając na herbatę, jakgdyby na samym procesie dmuchania polegać miało głównie wyzdrowienie i ratunek. Raskolnikow milczał, zachowywał się biernie, mimo że czuł w sobie dosyć sił, żeby usiedzieć na kanapie bez pomocy i nietylko władać rękoma na tyle, żeby utrzymać łyżeczkę czy filiżankę, ale, prawdopodobnie, nawet chodzić. Ale drogą jakiejś dziwnej, omal że zwierzęcej przebiegłości, przyszło mu na myśl ukrywać do czasu siły swoje, przy-

czaić się, udać nawet, jeśli to się okaże potrzebne, że niebardzo jeszcze rozumie, co się dookoła dzieje i w ten sposób wysłuchać i wybadać, co tu słychać. Jednakże nie mógł opanować wstrętu swego: przełknąwszy z dziesięć łyżeczek herbaty, uwolnił naraz głowę, kapryśnie odepchnął łyżkę i opadł znowu na poduszkę. Pod głową miał teraz istotnie prawdziwe poduszki, — puchowe i czysto powleczone; zauważył to i dobrze sobie zanotował.

— Przydałoby się, żeby Paszeńka dziś jeszcze przysłała nam konfitur malinowych, żeby mu zrobić napój, — powiedział Razumichin, wracając na swoje miejsce i zabierając się znowu do zupy i do piwa.

— A skąd ona ci weźmie malin? — zapytała Nastasja, trzymając na rozczapierzonych pięciu palcach spodek i cedząc herbatę „przez cukier".

— Maliny, moja droga, dostaniesz w sklepiku. Muszę ci powiedzieć, Rodio, że miałem całą historję. Kiedyś w taki łajdacki sposób uciekł ode mnie i nie powiedziałeś mi nawet adresu, taka mnie złość wzięła, że postanowiłem odszukać cię i srodze ukarać. Tego samego dnia zabrałem się do sprawy. Chodziłem, łaziłem, wypytywałem się! Właśnie o tem twojem mieszkaniu zupełnie zapomniałem; zresztą, nigdy go nie pamiętałem, bom go, prawdę powiedziawszy, nie znał. No, a co do poprzedniego mieszkania, — pamiętałem tylko, że wpobliżu placu Pięciu Kątów, dom Charłamowa. Szukałem, szukałem tego domu Charłamowa i wkońcu okazało się, że to wcale nie dom Charłamowa, a Bucha, — jak to człowiek czasem plącze nazwiska! Wściekle mnie to rozzłościło. Ze złości poszedłem na olaboga nazajutrz do biura adresowego i wyobraź sobie, że tam odnaleźli się w dwie minuty. Jesteś tam zanotowany.

— Zanotowany?

— Pewnie. Za to generała Kubelewa w żaden sposób przy mnie odnaleźć nie mogli. Zresztą, nie chcę się długo rozwodzić. Krótko mówiąc, jak tylko wpadłem tu, jak bomba, w jednej chwili dowiedziałem się o wszystkich twoich interesach; o wszystkich, bracie, co do jednego, wszystko wiem; ona była świadkiem: i Nikodema Fomicza pozna-

łem, i Ilję Pietrowicza pokazywano mi, i ze stróżem, i z panem Zamietowym Aleksandrem Grigorjewiczem, sekretarzem tutejszego okręgu policyjnego, a wreszcie i z Paszeńką, — to już był szczyt wszystkiego; ona była świadkiem...

— Ujeździł ją, — mruknęła Nastasja, chytrze się uśmiechając.

— Proszę włożyć cukier, Nastasjo Nikiforowno.

— Ech, ty, psie fałszywy! — zawołała Nastasja i parsknęła śmiechem. — Przecież ja jestem Pietrowna, a nie Nikiforowna, — dodała, gdy się przestała śmiać.

— Bardzo mi przyjemnie. A więc, bracie, krótko mówięc, chciałem początkowo wstrzyknąć im tu wszędzie świeży prąd, żeby odrazu wyplenić w tutejszej miejscowości wszystkie przesądy; ale Paszeńka zwyciężyła. Nigdym się, bracie, nie spodziewał, żeby ona była taka... łasa... co? Jak myślisz?

Raskolnikow milczał, jakkolwiek ani na chwilę nie odrywał od niego trwożnego spojrzenia swego, i teraz również uporczywie wpatrywał się w niego.

— O, nawet bardzo, — ciągnął dalej Razumichin, nie przejmując się zupełnie milczeniem jego i potwierdzając jakgdyby otrzymaną odpowiedź, — i wszystko jest w najlepszym porządku, wedle wszelkich prawideł.

— Widzisz go, bestja! — zawołała znowu Nastasja, której rozmowa ta sprawiała, najwidoczniej, niewymowną rozkosz.

— Źle, bracie, żeś się z samego początku nie umiał zabrać do rzeczy. Z nią trzeba było całkiem inaczej postępować. Przecież to jest, że tak powiem, nadspodziewany charakter! Zresztą, o charakterze innym razem...

A właśnie tak, naprzykład, doprowadzić do tego, żeby nie śmiała ci nie przysyłać obiadu. Albo weźmy dla przykładu ten weksel! Na głowę upadłeś, czy co, weksle podpisywać?! Albo jeszcze gorzej, to niedoszłe małżeństwo, kiedy to jeszcze żyła córeczka, Natalja Jegorowna... Wszystko wiem! Zresztą, widzę, że to twoja czuła struna, i że ze mnie osioł skończony; przepraszam Cię bardzo. A propos głupoty:

jak myślisz, przecież ta Praskowja Pawłowna wcale nie jest taka głupia, jak wygląda na pierwszy rzut oka, co?

— Tak... — wycedził Raskolnikow, nie patrząc na niego, rozumiejąc jednak, że wygodniej jest rozmowę podtrzymać.

— Prawda? — zawołał Razumichin, widocznie uradowany, że otrzymał odpowiedź, — ale mądra też nie jest, prawda? Zupełnie, ale to najzupełniej niespodziewany charakter! Nawet ja się, bracie, gubię, zapewniam cię... Będzie miała chyba nie mniej jak czterdzieści lat. Mówi, że ma trzydzieści sześć i ma na to zupełne prawo. Zresztą, przysięgam ci, że biorę ją raczej rozumowo, że tak powiem, metafizycznie; taki się, bracie, emblemat między nami wytworzył, niczem twoja algebra! Nic z tego nie rozumiem! Ale to wszystko — głupstwo, widząc jednak, że już nie jesteś studentem, straciłeś lekcje i nawet porządne ubranie, i że po śmierci panny niema cię co już trzymać na stopie familijnej, naraz się zlękła; a wobec tego, że i tyś się zaszył w kąt i nie podtrzymywałeś poprzednich stosunków, więc postanowiła wypędzić cię z mieszkania. I dawno miała już ten zamiar, ale szkoda jej było weksla. Przytem sam zapewniałeś, że mamusia zapłaci...

— To z podłości tylko tak mówiłem... Matka moja sama omal że nie żebrze... A ja kłamałem, byle mnie tylko z mieszkania nie wyrzucali i... jeść dawali, — odpowiedział głośno i z naciskiem Raskolnikow.

— Tak, to dobrze. Cała bieda tylko, że tu jak na złość zjawił się p. Czebarow, radca dworu i człowiek interesu. Paszeńka nicby bez niego nie wymyśliła, taka wtydliwa jest; no, a człowiek interesu niebardzo się krępuje i w pierwszym rzędzie zadał, oczywiście, pytanie: czy jest nadzieja na zrealizowanie wekselka? Odpowiedź: jest, bo jest taka mamusia, co to ze stu dwudziestu pięciu rubli emerytury swojej, choćby sama miała nie jeść, ale Rodiunię z kłopotu wybawi, a i siostrzyczka taka jest, co to za braciszka bodaj do niewoli pójdzie. Na tem właśnie oparł się. Czego się kręcisz? Przejrzałem cię, bracie, nawskroś, wszystko co do joty wiem o tobie, niedarmo zwierzałeś się Paszeńce, kiedyś

jeszcze był z nią na stopie familijnej, mówię ci to w najlepszej intencji... Tak zazwyczaj bywa: uczciwy i sentymentalny człowiek zwierza się w szczerości ducha, a człowiek interesu słucha i je, aż zje docna. Otóż i ona ustąpiła wekselek ten, jakoby w charakterze spłaty długu, owemu Czebarowowi, a ten wystąpił formalnie o należność, niczem się nie krępując. Chciałem był początkowo, kiedym się tylko dowiedział o tem, zadać mu porządnego szprycą, ale w tym czasie pokumałem się z Paszeńką, wobec tego kazałem sprawę tę przerwać, w samym zarodku, poręczywszy za twoją wypłacalność. Poręczyłem za ciebie, słyszysz? Wezwano Czebarowowa, zatkano mu pysk dziesięcioma rublami, a papier wycofano, i oto mam zaszczyt szanownemu panu zaprezentować go, — na słowo teraz panu wierzę, — oto jest, weź go pan sobie, nawet go naddarłem, jak w tych wypadkach należy.

Razumichin położył na stole zobowiązanie płatnicze; Raskolnikow spojrzał na nią i, nie wyrzekłszy ani słowa, odwrócił się do ściany. Nawet Razumichina ubodło to.

— Widzę, bracie, — odezwał się po chwili, — że znowu głupstwo zrobiłem. Miałem zamiar rozerwać cię trochę pogawędką, a osiągnąłem, zdaje się, wręcz odwrotny efekt.

— To ciebie nie poznałem w gorączce? — zapytał Raskolnikow, również po chwili milczenia, nie odwracając głowy.

— Tak, mnie, i pan raczył nawet wpadać w szał, zwłaszcza, kiedym raz przyprowadził Zamietowa.

— Zamietowa?... Sekretarza?... Poco? — Raskolnikow szybko się odwrócił i wlepił oczy w Razumichina.

— Co tobie znowu... Czegoś się przeraził? Chciał poprostu cię poznać; z własnej inicjatywy, bośmy dużo z nim o tobie gadali... W przeciwnym razie, od kogobym się dowiedział o tobie tylu szczegółów? To byczy chłop, doskonały kompan... oczywiście, w określonem znaczeniu. Teraz jesteśmy przyjaciółmi; widujemy się omal że codziennie. Przecież przeniosłem się do tutejszego okręgu. Nie wiesz jeszcze o tem? Niedawno się przeprowadziłem. Ze dwa razy byliśmy z nim u Lawizy. Pamiętasz Lawizę, Lawizę Iwanownę?

— Czy mówiłem coś z gorączki?

— I ile jeszcze! Zupełnie nieprzytomny byłeś.

— A co mówiłem?

— Też! Co mówiłeś? Wiadomo, co się plecie z gorączki... No, bracie, do dzieła, żeby nie tracić czasu.

Razumichin podniósł się z krzesła i złapał czapkę.

— Co mówiłem?

— Pop swoje, chłop swoje! Czy nie masz czasem na sumieniu jakiegoś sekretu? Nie obawiaj się: o hrabinie nie było ani słowa. Mówiłeś o jakimś buldogu, o kolczykack jakichś, o dewizkach, o Krestowskiej wyspie, o jakimś stróżu, oprócz tego o Nikodemie Fomiczu i o Ilji Pietrowiczu, tym zastępcy kierownika okręgu, dużoś naplótł. Poza tem raczył się pan bardzo interesować skarpetką swoją! Skarżył się pan szanowny: dajcie mi, krzyczałeś, skarpetkę i ani rusz dalej. Zamietow sam nawet szukał go po wszystkich kątach, i podał panu to świństwo własnemi uperfumowanemi rączkami, ozdobionemi pierścieniami. Wtedy dopiero raczył się pan uspokoić i całą dobę pielęgnował pan to drańśtwo; nie można jej było panu wyrwać z rąk. Prawdopodobnie teraz masz ją jeszcze gdzieś pod kołdrą. Domagałeś się jeszcze jakiejś obszvwki na spodnie, jak-że o nią błagałeś! Nie mogliśmy od ciebie w żaden sposób wydostać, o jakie ci tam obszywki idzie! Wogóle nic nie można było zrozumieć... A no więc, do dzieła! Tu jest trzydzieści pięć rubli; zabieram z tego dziesięć rubli, a za jakie dwie godzinki wyliczę się z nich. Po drodze dam znać również Zosimowowi, chociaż już dawno powinien był tu być, bo już jest dwunasta godzina. A ty, Nasteczko, zaglądaj tu częściej, niech ma coś do picia i wogóle, co mu będzie potrzebne... A Paszeńce osobiście powiem zaraz, co należy. Do widzenia!

— Paszeńką ją nazywa! Ach, ty wiercipięto, cwaniaku! — zawołała wślad za nim Nastasja; potem otworzyła drzwi i zaczęła podsłuchiwać, ale nie wytrzymała i pobiegła nadół. Miała ogromną ochotę dowiedzieć się, o czem on tam mówi z gospodynią; i ze wszystkiego widać było, że była niesłychanie zachwycona Razumichinem.

Jak tylko zamknęły się za nim drzwi, chory zerwał

z siebie kołdrę i, jak warjat, zeskoczył z kanapy. Z piekącą niecierpliwością czekał, aż wszyscy wyjdą, żeby zostać samemu i wziąć się do dzieła. Ale do czego, do jakiego dzieła?—Jakgdyby celowo naraz o tem zapomniał. — „Boże! Racz mnie oświecić: czy oni wiedzą o wszystkiem, czy jeszcze nie wiedzą? A co, jeżeli już wiedzą i tylko udają, drażnią się, dopóki leżę, a potem pójdą odrazu i powiedzą, że wszystko już dawno jest wiadome, a oni tylko tak sobie... Co teraz począć? Jak na złość zapomniałem, w tej chwili przecież pamiętałem!..."

Stał na środku pokoju i z rozpaczliwem zdumieniem oglądał się dookoła; podszedł do drzwi, uchylił je, zaczął nasłuchiwać; ale nie o to wcale chodziło. Podszedł do pieca, otworzył drzwiczki i zaczął grzebać w popiele: oderwane od spodni strzępy i kawałki podartej kieszeni leżały tak, jak je wówczas rzucił, czyli że nikt nie zaglądał. W tej chwili przypomniał sobie o skarpetce. Naraz, jakby sobie nagle przypomniał, skoczył do kąta, w którym była dziura w tapetach, zaczął je oglądać, wsunął rękę do dziury, zaczął grzebać w niej, ale i to go nie zadawalało. Gdzież jest ta skarpetka, o której przed chwilą opowiadał Razumichin. Ba, a przecież leży tu na kanapie, pod kołdrą, ale do tego stopnia pobrudziła się i wyświechtała od tego czasu, że Zamietow, oczywiście, nie zauważył.

„Tak, Zamietow!... policja! A pocoby mnie wołali do biura policyjnego? Gdzie wezwanie? Ale, ale!... coś poplątałem: to wtedy domagali się tego! Wtedy również oglądałem skarpetkę, a potem... potem byłem przecież chory. A poco przychodził Zamietow? W jakim celu Razumichin go przyprowadził?... — bełkotał Raskolnikow bezsilnie, siadając znowu na kanapie. — Co to, znowu wpadłem w gorączkę, czy co u licha? Zdaje się że tak istotnie jest... A,—i oto przypomniał sobie:—uciekać! uciekać jak najprędzej, bezwarunkowo, natychmiast uciekać! Dobrze, ale... dokąd? A gdzie mam ubranie? Butów nie mam! Sprzątnęli! Zabrali! Ukryli! Teraz rozumiem! A jednak palto przeoczyli! O, i pieniądze leżą na stole! Oto i weksel... Wezmę pieniądze i pójdę sobie, drugie mieszkanie wynajmę, nie odnajdą mnie!... Takby się zdawało, a biuro adresowe? Znaj-

dą! Razumichin znajdzie. Lepiej jest zupełnie uciec... gdzieś daleko... do Ameryki, i gwizdać sobie na nich! Weksel też trzeba zabrać... Przyda się tam! Coby tu jeszcze takiego zabrać? Myślą, że jestem chory! Wcale nie wiedzą, że umiem chodzić, hi-hi-hi! Po oczach domyśliłem się, że o wszystkiem wiedzą! A co, jeżeli tam już stoją stróże, policjanci! Co to, herbata? A oto i butelka piwa, która została, zimne piwo!"

Złapał butelkę, w której zostało jeszcze piwa na całą szklankę i z rozkoszą wypił jednym tchem, jakby gasił płomień w piersi. Ale zaledwie po minucie piwo uderzyło mu do głowy, a po ciele przeszedł lekki i wcale przyjemny dreszczyk. Położył się zpowrotem i okrył się kołdrą. Myśli—i tak chaotyczne, chorobliwe, nieskoordynowane—zaczęły mu się coraz bardziej plątać w głowie, i wkrótce ogarnął go lekki i przyjemny sen.

Z rozkoszą namacał głową wygodniejszy dołeczek na poduszce, otulił się dobrze w miękką kołdrę watową, którą teraz miał zamiast dawnego obdartego płaszcza, cicho westchnął i zapadł w mocny, głęboki, ożywczy sen.

Obudził się, usłyszawszy, że ktoś wszedł do pokoju; otworzył oczy i ujrzał Razumichina, który otworzył naoścież drzwi i stał na progu, nie mogąc się zdecydować: wejść czy nie wejść? Raskolnikow szybkim ruchem uniósł się na kanapie, jakby usiłując sobie coś przypomnieć.

— A, nie śpisz, oto i ja! Nastko, daj tu paczkę! — zawołał Razumichin nadół. — Zaraz ci złożę sprawozdanie...

— Która godzina? — zapytał Raskolnikow, oglądając się trwożnie.

— Tak, fest się, bracie, przespałeś: już ciemno jest na dworze, będzie godzina szósta. Spałeś więc przeszło sześć godzin...

— Boże! Jakże to tak!...

— A co się stało? Na zdrowie! Dokąd się śpieszysz? Na randkę, czy co? Cały czas teraz do nas należy. Czekam na ciebie już ze trzy godziny; dwa razy już zaglądałem do ciebie, a tyś ciągle spał. Do Zosimowa też zachodziłem dwa razy: niema go w domu, i tyle! Ale to nic, przyjdzie!...

W swoich sprawach pewnie biega. A ja się już ostatecznie przeprowadziłem, przeprowadziłem się z wujaszkiem. Przecież mam teraz wuja... Ale mniejsza o to, do rzeczy!... Daj tu paczkę, Nastko. Zaraz ją tego... A jak się czujesz, bracie?

— Zdrów jestem; wcale chory nie jestem... Razumichin, dawno tu jesteś?

— Przecież mówię, że trzy godziny czekam.

— Nie, ale przedtem?

— Co przedtem?

— Od jakiego czasu zacząłeś tu bywać?

— Przecież ci niedawno wszystko opowiedziałem: czyżbyś nie pamiętał?

Raskolnikow zamyślił się. To wszystko majaczyło mu się, jakby przez sen. Nie mógł sobie sam przypomnieć tego i pytając spoglądał na Razumichina.

— Hm! Zapomniałeś! Właśnie i mnie się przedtem zdawało, że jeszcze niezupełnie jesteś w porządku... Teraz, po przespaniu się, trochęś się poprawił... Naprawdę, znacznie lepiej wyglądasz. Zuch z ciebie! No, ale do rzeczy! Zaraz sobie przypomnisz. Spójrz tu, kochanie.

Zaczął rozwiązywać paczkę, która go, widocznie, bardzo interesowała.

— Nie uwierzysz, bracie, jak mi to na sercu leżało. Przecież trzeba z ciebie nareszcie człowieka zrobić. Zaczynamy od góry. Widzisz ten kaszkiet? — zaczął, wyjmując z paczki niebrzydką, choć zwyczajną i taniutką czapkę. — Pozwól, że ci ją przymierzę.

— Potem, później, — odpowiedział Raskolnikow, krzywiąc się kapryśnie.

— Nie, mój bracie, nie opieraj się, potem będzie za późno; jabym oka całą noc zmrużyć nie mógł, bo kupowałem to bez miary, napamięć. W sam raz! — zawołał z triumfem, przymierzywszy mu czapkę, — jak ulana! Okrycie głowy — to, bracie, najważniejsza część stroju, swego rodzaju legitymacja. Przyjaciel mój, naprzykład, Tołstiakow, musi zawsze zdejmować z głowy „pokrywkę“ swoją, wchodząc gdzieś, gdzie wszyscy inni stoją w kapeluszach i czapkach. Wszyscy myślą, że ma taką niewolniczą naturę,

a on robi to poprostu dlatego, że wstydzi się swojego gniazda ptasiego; taki to już wstydliwy człowiek! Proszę, Nastko, oto dwa okrycia na głowę: ten oto palmerston (wydostał z pod spodu zmięty okrągły kapelusz Raskolnikowa, który, niewiedzieć dlaczego, nazwał palmerstonem) albo ta oto jubilerska rzecz? Jak ci się zdaje, Rodio, ile zapłaciłem? Nasteczko? — zwrócił się do niej, wobec milczenia Raskolnikowa.

— Ze dwadzieścia kopiejek pewnie dałeś, — odpowiedziała Nastasja.

— Dwadzieścia, idjotka! — zawołał obrażony, — dziś za dwadzieścia kopiejek nawet ciebie nie kupi, — osiemdziesiąt kopiejek! I to dlatego tylko, że używany. Wprawdzie pod warunkiem: to zniszczysz, na drugi rok inne dostaniesz darmo, jak Boga kocham! No, a teraz przystąpimy do Stanów Zjednoczonych, jak to nazywali u nas w gimnazjum. Podkreślam, — spodniami się szczycę! — I rozłożył przed Raskolnikowem szare spodnie z lekkiego letniego materjału — ani dziureczki, najmniejszej plamki, a jednak zupełnie znośne, choć i używane, taka sama jest kamizelka, do koloru, jak wymaga moda. A że jest już używane, to, prawdę mówiąc, nawet lepiej: miększe, delikatniejsze... Widzisz, mój Rodio, żeby zrobić w wielkim świecie karjerę, wystarczy, mojem zdaniem, stosować się zawsze do sezonu; jeżeli nie zażądasz w styczniu szparagów, zaoszczędzisz kilka rubli; to samo w stosunku do tego nabytku. Dziś mamy sezon letni, wobec czego kupiłem letnie rzeczy, bo przecież na sezon jesienny i tak potrzebny będzie cieplejszy materjał, będziesz więc musiał to wyrzucić, zwłaszcza że... to wszystko zdąży się i tak do tego czasu rozlecieć, jeżeli nie z nadużywania wyglądu zewnętrznego, to z powodu wewnętrznych perturbacyj. No, oceń! Ile to warte? — Dwa ruble dwadzieścia pięć kopiejek! I znowu pamiętaj, że pod tym samym warunkiem: te zniszczysz, na drugi rok dostaniesz darmo inne! W sklepie Fiediajewa inaczej nie handlują: raz zapłacisz i masz na całe życie dosyć, bo drugi raz sam nie pójdziesz. No, a teraz przystępujemy do butów, — jak ci się podobają? Chociaż widać, że używane, a przecie na dwa miesiące wystarczą, bo to zagraniczna robota i towar zagraniczny: sekre-

tarz ambasady angielskiej spuścił je w straganie w zeszłym tygodniu; raptem sześć dni je nosił, ale moneta mu bardzo była potrzebna. Cena — rubel pięćdziesiąt kopiejek. Drogo?

— A może nie pasują? — zauważyła Nastasja.

— Nie pasują! A to co? — i wyciągnął z kieszeni stary, podarty, cały oblepiony zaschniętem błotem, dziurawy but Raskolnikowa; — poszedłem z wzorem i według tego okazu znaleźli mi właściwą miarę. Cała ta sprawa ubita była po przyjacielsku. A co do bielizny, tom się dogadał z gospodynią. Po pierwsze, masz tu trzy koszule, z grubego płótna, ale za to z modnym gorsem... A więc razem... osiemdziesiąt kopiejek czapka, dwa ruble dwadzieścia pięć reszta odzieży, ogółem trzy ruble i pięć kopiejek; rubel pięćdziesiąt buty — bo bardzo dobrego gatunku, — razem cztery ruble pięćdziesiąt pięć kopiejek, a pięć rubli cała bielizna, — hurtem wytargowałem, — ogółem akurat dziewięć rubli pięćdziesiąt pięć kopiejek. Czterdzieści pięć kopiejek reszty, — proszę, bądź łaskaw, miedziakami, — w ten sposób, Rodio, odbudowany jesteś w całej okazałości, bo co do palta, to uważam, że nietylko może ci jeszcze służyć, ale ma w sobie nawet coś imponująco szlachetnego: co to znaczy ubierać się u Szarmera! Sprawę skarpetek i innych drobiazgów zostawiam tobie samemu; pieniędzy zostaje nam dwadzieścia pięć rubli, a o Paszeńkę i o komorne możesz się nie obawiać; mówiłem: kredyt — nieograniczony. A teraz, bracie, pozwól, że zmienimy ci bieliznę, bo dziś choroba twoja bodaj że tylko siedzi w koszuli...

— Daj spokój, nie chcę! — opędzał się Raskolnikow, który z obrzydzeniem słuchał wymuszenie zabawną relację Razumichina o kupnie ubrania...

— Nie, bracie, to wykluczone; pocom w takim razie niepotrzebnie buty zdzierał! — upierał się Razumichin. — Nastusiu, nie wstydź się, pomóż nam, — o, tak! — i nie bacząc na opór Raskolnikowa, zmienił mu jednak bieliznę. Raskolnikow rzucił się potem na poduszkę i ze dwie minuty nie mówił ani słowa.

„Czy prędko się odczepią!" pomyślał. — Za jakie pieniądze to wszystko jest kupione? — zapytał wreszcie, patrząc na ścianę.

— Pieniądze? Masz ci los! Toć za twoje własne. Przecież niedawno był tu subjekt od Wachruszyna, mateczka ci przysłała; zapomniałeś, czy co?

— Teraz pamiętam... — wyrzekł z trudem Raskolnikow po długiem i ponurem milczeniu. Zasmucony tem Razumichin spoglądał na niego z niepokojem.

W tej chwili otworzono drzwi i do pokoju wszedł wysoki, barczysty jegomość, którego Raskolnikow też jakgdyby już znał z widzenia.

— Zosimow! Nareszcie! — zawołał uradowany Razumichin.

## IV.

Zosimow był to wysoki i tęgi jegomość o obrzękłej, bezbarwnie bladej, dobrze wygolonej twarzy, o jasnych szczeciniastych włosach, w okularach, i z wielkim złotym pierścieniem na nabrzmiałym od tłuszczu palcu. Miał około dwudziestu siedmiu lat. Ubrany był w szerokie i eleganckie lekkie palto, jasne letnie spodnie, i wogóle wszystko miał na sobie eleganckie, jak z igiełki; bielizna bez zarzutu, dewizka do zegarka masywna. Ruchy miał powolne, jakby ociężałe, a jednak swobodne i wyuczone; pretensjonalność, zresztą, silnie ukrywana, przebijała w każdym calu. Wszyscy, którzy go dobrze znali, uważali go za nieszczególnie miłego, ale mówili, że zna swój fach.

— Byłem u ciebie już dwa razy... Widzisz, ocknął się! — zawołał Razumichin.

— Widzę, widzę. Jakże się teraz czujemy, co? — zwrócił się Zosimow do Raskolnikowa, wpatrując się w niego uważnie i usadawiając się na kanapie, w nogach, gdzie się wygodnie rozwalił.

— Ciągle jeszcze kaprysi, — mówił dalej Razumichin, — zmienialiśmy mu teraz bieliznę, a on omal nie rozpłakał się.

— Bo i poco; bieliznę można było i potem zmienić, jak sobie tego nie życzy... puls świetny. Głowa ciągle pewnie jeszcze boli, co?

— Jestem zdrów, najzupełniej zdrów! — z uporem i rozdrażnieniem oświadczył Raskolnikow, podnosząc się naraz na kanapie i rzucając wściekłe spojrzenia, ale po chwili opadł znowu na poduszkę i odwrócił się do ściany. Zosimow bardzo uważnie go obserwował.

— Bardzo dobrze... Wszystko w porządku, — orzekł leniwie. — Jadł coś?

Wszystko mu dokładnie opowiedzieli i zapytali, co mu można dawać.

— Właściwie wszystko mu można dawać... Zupę, herbatę... Grzybów i ogórków, rozumie się, dawać mu nie należy, no, mięsa też nie, i... zresztą, co tu dużo gadać!...— spojrzał znacząco na Razumichina. — Wszelkie lekarstwa — niepotrzebne i nic nie potrzeba; a jutro zobaczymy... Możnaby właściwie i dzisiaj, ale...

— Jutro wieczorem prowadzę go na spacer! — zdecydował Razumichin, — do ogrodu Jusupowa, a potem do „Palais de Cristal".

— Jutro nie ruszałbym go jeszcze, chociaż... troszkę... zresztą, zobaczymy.

— O, jaka szkoda, akurat dzisiaj mam oblewanie mieszkania swojego, dwa kroki stąd; jego mi tam będzie brak. Możeby choć poleżał na kanapie w naszem towarzystwie! A ty będziesz? — zwrócił się Razumichin do Zosimowa; — nie zapominaj, żeś obiecał przyjść.

— Owszem, ale trochę później. Co tam urządzasz?

— Nic takiego, herbata, wódka, śledź. Pieróg też będzie; sami swoi się zbiorą.

— Mianowicie, kto?

— Sami tutejsi, sami nowi, doprawdy — oprócz chyba starego wuja,, który właściwie też jest nowy: dopiero wczoraj przyjechał z Petersburga, w jakichś tam swoich interesach; to też raz na pięć lat się widujemy.

— Co to za jeden?

— Taki, co to wegetował całe życie na prowincji, kierownik powiatowego urzędu pocztowego... emeryturę dostaje, sześćdziesiąt pięć lat, niema o czem mówić... Lubię go zresztą. Przyjdzie również Porfirij Siemionowicz: tutejszy komisarz policji śledczej... prawnik. Znasz go przecież...

— To też jest jakiś twój krewny?

— Jakiś bardzo daleki, czego się znowu krzywisz? Żeście się raz pokłócili, to już gotów jesteś nie przyjść?

— Gwiżdżę na niego...

— To najlepiej. No, a da'ej — studenci, nauczyciel, jeden urzędnik, muzyk jeden, oficer, Zamietow...

— Powiedz mi, mój drogi, co ty możesz mieć wspólnego, albo i on, — Zosimow kiwnął na Raskolnikowa, — z jakimś tam Zamietowem?

— O, ci wieczni malkontenci! Pryncypjaliści!... cały jesteś zbudowany na zasadach, jak na jakich sprężynach: z własnej woli kroku zrobić nie śmie; a mojem zdaniem, byle człowiek był porządny, — to cała zasada, i nic mnie więcej nie obchodzi. Zamietow jest bajeczny chłop.

— I ręce ma lepkie.

— No i niech ma ręce lepkie, co mnie to obchodzi! Co z tego, że ma lepkie! — rozkrzyczał się naraz Razumichin jakoś nienaturalnie zirytowanym głosem, — czy ja ci go za to wychwalałem, że ręce ma lepkie? Mówiłem ci tylko, że jest porządny w pewnym sensie! A jeżeli brać rzeczy bezwzględnie, — to dużo porządnych ludzi zostanie? Przekonany jestem, że z tego punktu widzenia za mnie całego razem z bebechami daliby figę z makiem, i to na dodatek z tobą!...

— To bardzo mało; jabym dał za ciebie ze dwie...

— A ja za ciebie nie więcej, jak jedną! Dowcipkuj jeszcze! Zamietow — to jeszcze smarkacz, ja mu jeszcze uszu natrę, bo jego trzeba przyciągać, a nie odpychać. Odpychaniem nie poprawi się człowieka, — tem bardziej młodzika. Z takim młodzikiem trzeba być podwójnie delikatnym. To tylko wy, tępogłowi postępowcy, nic nie rozumiecie! Człowieka nie szanujecie, siebie sami przez to poniżacie... A jeżeli chcesz wiedzieć, to nasunęła nam się pewna wspólna sprawa.

— Ciekawe.

— Ciągle ta sprawa malarza, pokojowego malarza... Na pewno go wyciągniemy! Zresztą, teraz już niema nieszczęścia.

Sprawa jest jasna jak słońce! My ją tylko nastawimy.

— Co to znowuż za malarz?

— Jakto, nie opowiadałem ci jeszcze o nim! Czy być może?

Ach, racja, zacząłem ci o tem opowiadać... To dotyczy zamordowania tej staruchy, lichwiarki, wdowy po urzędniku... Tu właśnie zamieszany jest malarz...

— Ach, o tem zabójstwie słyszałem wpierw od ciebie, i sprawa ta nawet mnie interesuje... w pewnym stopniu... Dzięki pewnemu wypadkowi... nawet w gazecie czytałem o tem. Ale...

— Lizawetę też zabili! — rąbnęła nagle Nastasja, zwracając się do Raskolnikowa.

Przez cały czas była w pokoju, stojąc skromnie przy drzwiach i słuchała.

— Lizawetę? — mruknął Raskolnikow ledwie dosłyszalnym głosem.

— No, Lizawetę, tę handlarkę, nie znasz jej? Przychodziła przecież tutaj. Nawet ci koszulę cerowała.

Raskolnikow odwrócił się do ściany, na której tapetach w białe kwiatki wybrał sobie jeden niezgrabny kwiatek, i zaczął go oglądać: ile ma listków, jakie żyłki mają te listki, jakie punkciki... czuł, że sztywnieją mu ręce i nogi, jakgdyby został sparaliżowany, i nie próbował nawet się poruszać, a uporczywie oglądał kwiatek.

— No, więc co z tym malarzem? — Ze szczególnem niezadowoleniem przerwał Zosimow gadaninę Nastasji. Nastasja westchnęła i umilkła.

— Jego też wrobił w morderstwo! — ciągnął zapalczywie Razumichin.

— Poszlaki są, czy co?

— Kiego djabła poszlaki! Zresztą, właśnie mają poszlaki, ale o to chodzi, żeby dowieść, że te poszlaki — to żadne poszlaki! Zupełnie tak samo, jak początkowo aresztowali, podejrzewając o zabójstwo, tych, jakże ich... Kocha i Piestrjakowa. Tfy. Jakie to wszystko idjotyczne, nawet człowieka niezainteresowanego obrzydzeniem przejmuje! Piestrjakow prawdopodobnie zajdzie dzisiaj do mnie... A propos, Rodio, ty znasz tę sprawę, to jeszcze było przed twoją chorobą, właśnie w przeddzień twego zemdlenia

w biurze okręgu, właśnie w chwili, kiedy tam o tem opowiadał...

Zosimow spojrzał z zaciekawieniem na Raskolnikowa, ten ani się ruszył.

— A wiesz co, Razumichin? Dziwię ci się: jaki z ciebie jednak dobroczyńca, — zauważył Zosimow.

— Niech tam, a jednak wyciągnę go! — zauważył Razumichin, uderzywszy pięścią w stół. — Zrozum-że, najważniejsze w tym wypadku jest nie to, że kłamią: kłamstwo można zawsze przebaczyć; kłamstwo jest nawet bardzo miłe, bo prowadzi do prawdy. Więc nie o to chodzi, że kłamią, a że w kłamstwo swoje sami wierzą. Bardzo szanuję Porfirja, a jednak... Co ich, naprzykład, przedewszystkiem zbiło z tropu? Drzwi były zamknięte, a kiedy przyszli ze stróżem — były otwarte. Stąd wniosek prosty: Koch i Piestrjakow zamordowali. Masz ich logikę.

— Dlaczego się denerwujesz, poprostu zatrzymali ich; nie można inaczej... Właściwie, o ile sobie przypominam, tego Kocha spotkałem; okazało się, że skupuje od tej staruchy zastawione rzeczy. Jak ci się to podoba?

— Wiem, to jakiś łobuz! Weksle też skupował. Bardzo pomysłowy. Pal go zresztą djabli! Mnie więcej inna strona rzeczy złości, rozumiesz mnie? przestarzała ich rutyna, zasklepienie myślowe w jakiemś świństwie, przeżytkach... o to mnie djabli biorą! A tu właśnie, w tej sprawie, można nowe drogi wykryć. Na podstawie pierwszych tylko danych psychologicznych można wskazać, w jaki sposób wpada się na właściwe tropy. „Jakto? — powiadają, — mamy przecież fakt.“ Ale fakt nie stanowi wszystkiego; połowa sprawy polega niewątpliwie na umiejętnem operowaniu faktami!

— A ty umiesz operować faktami?

— Mniejsza o to, ale nie wolno milczeć, gdy się czuje, gdy się czuje poomacku, że właśnie możnaby sprawie pomóc, gdyby tylko... Et! Czy znasz szczegóły tej sprawy?

— Właśnie czekam szczegółów o malarzu.

— Ach, racja! Posłuchaj: na trzeci dzień po zabójstwie, rankiem, kiedy się jeszcze bawili z tym Kochem

i z Piestrjakowem, — choć oni wytłumaczyli się z każdego kroku swego, choć oczywistość sama za siebie wołała! — stanęli nagle wobec najmniej spodziewanego faktu. Niejaki Duszkin, chłop, właściciel piwiarni, naprzeciw tego samego domu, zjawia się do biura policyjnego i przynosi futeralik jubilerski ze złotemi kolczykami i opowiada całą historję: „przylatuje niby do mnie z wieczora, to jest przedwczoraj, na ten przykład, trocha po ósmej" — dzień i godzina! Czy zdajesz sobie z tego sprawę? — „niby robotnik, malarz, który dawniej do mnie przychodził, Mikołaj, i przynosi mi to pudełko ze złotemi kolczykami, z kamykami, i prosi o dwa ruble pod zastaw, a na pytanie moje: skąd je ma? — odpowiedział, że znalazł na chodniku. Więcej o tem rozmowy nie było", — mówi niby Duszkin, „wyniosłem mu tylko papierek"—czyli rubla,—„bo myślę sobie, nie u mnie zastawi, to innemu, i tak przepije, niech już to u mnie leży; z cudzego woza złaź choć wśród morza, cudzego nie chcę, jak się ino co wykryje, albo między ludźmi gadanie jakie będzie, to sam przyjdę i oddam". To, rozumie się, austrjackie gadanie, łże, jak pies, znam tego Duszkina, to — paser i przechowuje kradzione rzeczy i trzydziestorublową rzecz nie poto wziął, żeby oddać, a ściągnął ją poprostu Mikołajowi. Potem stchórzył i tyle. Zresztą, pal go djabli; słuchaj dalej; Duszkin mówi dalej: — „A tego chłopa, Mikołaja Dementjewa, znam od małego, krajanie jesteśmy, jednej gubernji i powiatu, zarajskiego niby, bo sam jestem z riazańskiego. A Mikołaj, choć pijanica nie jest, ale popić lubi, i wiedziałem niby, że pracuje w tym domu, razem z Mitrejem maluje, a obydwa są z jednych miejsc. I jak se tylko dostał papierek, zaraz go zmienił, wypił jeden za drugim dwa kielonki, wziął reszty i poszedł sobie, a Mitreja wtedy z nim nie widziałem. Na drugi dzień dopiero wywiedziałem się, że Alenę Iwanowną i siostrę, Lizawetę Iwanowną, siekierą zarąbali, wtedy w niepewności byłem co do kolczyków, — bo wiedziałem ja, że nieboszczka pod zastaw pieniądze pożyczała. Poszedłem do nich do domu i zacząłem się cichcem wypytywać, i na sam początek zapytałem: czy je tu Mikołaj? A Mitrej peda mi, że Mikołaj hulał

gdziesik, do domu przeszedł o świcie, pijany, w mieszkaniu był z jakie dziesięć minut, chyba nie więcej i znowu poszedł, a Mitrej już go potem nie widział i robotę sam wykańcza. A robotę mają na tych samych schodach, gdzie nieboszczka mieszkała, na pierwszem piętrze. Jakem się o tem dowiedział, nie wydałem się z tem nikomu" — tak Duszkin mówi, — „a co do zabójstwa, to wywiedziałem się wszystkiego, co mogłem i wróciłem do domu w takiej samej niepewności. A dzisiaj rankiem, o ósmej godzinie", to jest na trzeci dzień, rozumiesz? — „widzę, wchodzi do mnie Mikołaj, urżnięty, nie żeby zupełnie pijany, ale niebardzo rozumie, co się do niego mówi. Usiadł na ławce, milczy. A oprócz niego w interesie był tylko jeden obcy człowiek, no i drugi jeszcze spał na ławce, bo to po znajomości, i dwóch jeszcze moich chłopców do posługi.—Widziałeś, pytam go się, Mitreja? — Już trzeci dzień, powiada, jak go niema. — A dzisia gdzie nocowałeś? — Na Piaskach, powiada, u kołomieńskich krajanów. — A skąd, powiadam, wziął wtedy te kolczyki? — A na ulicy znalazł, na tretuarze, — i mówi to tak jakoś, jakby się zacinał i w oczy prosto nie patrzy. — A słyszałeś, powiadam, że tak i tak, w ten sam wieczór i o tej samej godzinie, na tamtych schodach, co się tam stało? — Nie, powiada, nie słyszałem, — a sam uważnie słucha, ślepia wybałuszył i naraz zbladł jak kreda. Ja mu ta o wszystkiem opowiadam, patrzę, a on— czapkę w ręce i chodu. Chciałem go w sam raz przyskrzynić: — poczekaj, Mikołaju, powiadam, wypijesz może? — Tymczasem mrugnąłem na chłopca, żeby drzwi przytrzymał i wychodzę z za lady. Jak on nie szurnie ode mnie, i na ulicę, a pędzi co sił, i w zaułek, — tylem go widział. Wtedy już na pewno pomyślałem, że to on, że to jego grzech, jakbym był przy tem"...

— Rozumie się!... — zauważył Zosimow.

— Czekaj! Do końca posłuchaj! Rozumie się, że rozpoczęli gwałtownie szukać Mikołaja: Duszkina aresztowali i zrobili rewizję w mieszkaniu jego, Mitreja też; przetrząchnęli kolonję kołomieńską, — dopiero na trzeci dzień sprowadzili Mikołaja: zatrzymali go wpobliżu ...skiej rogatki, w zajeździe. Przyszedł do tego zajazdu, zdjął

z szyi srebrny krzyż i poprosił o lampkę wódki za krzyż. Dostał. Po kilku minutach baba wchodzi do obory i widzi przez szparkę: obok w stodole przywiązał do belki pasek i zrobił pętlicę; stanął na pieńku i chciał sobie zarzucić na szyję pętlicę; baba wrzasnęła wniebogłosy, zlecieli się ludzie: — „A, toś ty taki!" — „Prowadźcie mnie, powiada, do takiego a takiego komisarjatu, do wszystkiego się przyznam". A no więc, zaprowadzili go z należnemi honorami i odstawili go do tego komisarjatu, czyli do naszego. A tu jak zwykle, a kto, a co, a jak, ile lat — „dwadzieścia dwa" — i t. d. i t. d. Pytanie: — „jak pracowaliście z Mitrejem, czy nie zauważyliście nikogo na schodach o takiej to a takiej godzinie?" Odpowiedź: —„Wiadomo, może ta i jakie ludzie przechodzili, a mnie co?"—„A nie słyszeliście czasem czego, hałasu jakiego i tak dalej?"—„Nic nadzwyczajnego nie słyszałem". — „A czy badany, Mikołaj, wiedział tego samego dnia o tem, że taką a taką wdowę w dniu i o godzinie takiej a takiej, wraz z siostrą jej zamordowali i ograbili?" — „Nic nie wiem, pojęcia nie mam. Pierwszy raz dowiedziałem się od Afanasja Pawłycza, na trzeci dzień w piwiarni". — „A skądeś wziął kolczyki?"— „Na tretuarze znalazłem". — „Dlaczegoś nie przyszedł na drugi dzień do roboty?" — „Bom się niby zapił". — „A gdzieś popijał?" — „A tam i tam". — „Dlaczegoś uciekł od Duszkina?" — „A bom się strasznie wtedy przeląkł". — „Czegoś się przeląkł?" — „A że mnie zasądzą".— „Jakżeś się mógł lękać tego, jeżeli nie czujesz żadnej winy?..." Jeżeli nie chcesz wierzyć, to nie wierz, ale pytania to były mu zadane dosłownie tak, jak ci to powtórzyłem, wiem o tem na pewno, bo mi zupełnie odkładnie opowiadali! Jak ci się to podoba? Co?

— Dobrze, ale jednak poszlaki są.

— Ja przecież nie mówię teraz o poszlakach, a o pytaniach, o tem, jak oni pojmują swoją rolę! Niechże to djabli!... Słowem przyparli go do muru, gnębili, gnębili, aż się do wszystkiego przyznał: — „nie na tretuarze, powiada, znalazłem, a w chałupie, w której malowaliśmy z Mitrejem". — „A to niby w jaki sposób?" — „A w taki sposób, że malowaliśwa z Mitrejem, cały dzień, do ósmej godzi-

ny, jużeśmy się zabierali do domu, Mitrej wziął pendzel i po mordzie mnie trzepnął, i ucieka, a ja za nim. Pędzę tak za nim, wrzeszczę wniebogłosy; a na skręcie ze schodów do bramy naskoczyłem z rozpędu na stróża i na panów, a ile panów z nim wtedy było — nie pamiętam, tylko że stróż mi za to nawymyślał, a drugi stróż też nawymyślał, i stróżowa kobita też wyszła i też nam nawymyślała, i jeszcze jeden pan do bramy wchodził, z damą, i tyż nam nawymyślał, bośmy z Mitką wpoprzek leżeli: to ja Mitkę złapałem za kudły, przewróciłem go i zacząłem go grzać, a robiliśmy to nie w złości, a z całego serca, dokazując. Potem Mitka wyrwał mi się i zaczął wiać ulicą, a ja za nim, no i nie dopędziłem go i wróciłem do chałupy sam, — bo trzeba było uprzątnąć instrumenta. Zacząłem się zbierać i czekam na Mitreja, a nuż przyjdzie. No i przy drzwiach w sieni, za ścianą, bliżej kąta, nastąpiłem właśnie na pudełko. Patrzę, leży zawinięte w papier. Papier rozwinąłem, patrzę, takie haczyczki malusieńkie, haczyczki te otworzyłem, — a tu w pudełku kolczyki...“

— Za drzwiami? Za drzwiami leżało? Za drzwiami? — zawołał naraz Raskolnikow, spoglądając mętnem, wystraszonem spojrzeniem na Razumichina, i zwolna podniósł się, opierając się ręką na otomanie.

— Tak... a co ? Co się z tobą dzieje? Czegoś ty taki? — Razumichin też się podniósł z krzesła.

— E, to nic!... — ledwie dosłyszalnym głosem odpowiedział Raskolnikow, opadając znowu na poduszkę, i odwracając się znowu od ściany. Wszyscy umilkli.

— Zdrzemnął się, prawdopodobnie, to przez sen, — odezwał się wreszcie Razumichin, spoglądając pytająco na Zosimowa, który, zresztą, przecząco kiwnął głową.

— Mów-że dalej, — odezwał się Zosimow, — no, co dalej?

— Ach, co dalej? Jak tylko zobaczył kolczyki, oczywiście, natychmiast zapomniał o mieszkaniu, o Mitce, złapał kapelusz i poleciał do Duszkina i, jak już wiesz, dostał od niego rubla, a zełgał mu, że znalazł kolczyki na chodniku, i poszedł sobie poprostu popić. A o morderstwie mówi ciągle to samo: „Nic nie wiem, żadnego ci pojęcia nie

mam, dopierom, jak rany Boga, na trzeci dzień się dowiedział“. — „A dlaczegoś się dotychczas nie meldował?“ — „To ze strachu“. — „A dlaczegoś się chciał wieszać?“ — „To od własnych myśli“, — „Od jakich tam znowu myśli?“ — „A że mnie zasądzą“. — Oto i cała historja. A teraz, jak myślisz co oni stąd wywnioskowali?

— Nad czem tu się zastanawiać, poszlaka jest, jakaby nie była, ale jest. Fakt. Może pogłaskać mieli tego malarza twojego?

— Ale, bój się Boga. przecie mordercę z niego zrobili! To dla nich nie ulega nawet najmniejszej wątpliwości...

— Zagalopowałeś się, bracie, denerwujesz się... No, dobrze, a kolczyki? Zrozum-że, kolczyki znalazły się tego samego dnia, o tej samej godzinie u Mikołaja, z kufra staruchy, — zgódź-że się, że jakoś przecież musiały do niego trafić? To nie jest drobnostka w podobnej sprawie.

— Jak to trafić! W jaki sposób trafiły? — zawołał Razumichin — i ty, medyk, doktór, ty, człowiek, który przedewszystkiem ma obowiązek studjować naturę człowieka, ma okazję, taką, jaką rzadko kto ma, — czyżbyś ty nie wiedział, mając te wszystkie dane, co to za postać, ten Mikołaj? Czy naprawdę nie widzisz, już na pierwszy rzut oka, że wszystko, co zeznał on na badaniu — jest najświętszą prawdą? Gotów jestem przysiąc, że doprawdy wsypał się tak, jak sam o tem opowiadał. Nastąpił na pudełko i podniósł je.

— Najświętsza prawda! A jednak sam się przyznał, że w pierwszej chwili zełgał?...

— Posłuchaj, słuchaj uważnie: stróż, i Koch, i Piestrjakow, i drugi stróż, i żona pierwszego stróża, i kupcowa, co to w owej chwili była w stróżówce, i radca Kriukow, który w owej chwili zlazł z dorożki i wchodził do bramy pod rękę z paniusią, — słowem, wszyscy, czyli ośmiu, czy dziesięciu świadków jednogłośnie stwierdzą, że Mikołaj przewrócił Dymitra na ziemię, leżał na nim i grzał go, a ten mu się wczepił we włosy i też go grzał. Leżą więc wpoprzek bramy i zatarasowali wejście; wymyślają im ze wszystkich stron, a oni, „jako te małe dzieci“ (dosłowne określenie

świadków), leżą jeden na drugim, piszczą, biją się i ryczą ze śmiechu, jeden drugiego stara się przekrzyczeć, jakby na zawołanie, i jakgdyby jeden drugiego chciał dopędzić, jak małe dzieci wybiegają na ulicę. Rozumiesz? A teraz dobitnie podkreślam, uważaj: tam na górze ciała są jeszcze ciepłe, rozumiesz, ciepłe, tak je właśnie zastano! Gdyby oni zamordowali, albo, powiedzmy, tylko jeden Mikołaj, i to w celu grabieży z włamaniem, albo gdyby choć w jakiejkolwiek mierze brali udział w ograbieniu kuferka, to pozwól, że zadam ci jedno tylko pytanie: czy zgadza się podobny nastrój, podobny stan ducha, mianowicie, piski śmiech, dziecinne dokazywanie przed bramą, — z siekierami, z krwią, z łotrowską przebiegłością, przezornością, grabieżą? Dopiero co zamordowali, jakieś pięć albo dziesięć minut temu, — tak wypada, ciepłe jeszcze zwłoki, — i ni w pięć ni w dziewięć zostawili te ciała, otwarte mieszkanie, i wiedząc dobrze, że przed chwilą ktoś tędy przeszedł, rzucają zdobycz, i, jak małe dzieci, tarzają się po ziemi, ryczą ze śmiechu, zwracają na siebie ogólną uwagę... i to stwierdza jednocześnie dziesięciu świadków!

— Rozumiem, to dziwne, oczywiście!... Może to i niemożliwe, jednakże...

— Nie, bracie, żadne *jednakże*, a jeżeli już kolczyki, które znalazły się tegoż samego dnia, o tej samej godzinie w rękach Mikołaja, stanowią istotnie decydującą przeciw niemu poszlakę, — wynikającą przecie bezpośrednio z jego zeznania, a więc stanowią *sporną poszlakę*, — mimo wszystko musimy wziąć pod rozwagę oczywiste fakty, usprawiedliwiające go, tem więcej, że są to fakty niezbite. A jak sądzisz, czy, na podstawie naszej jurysdykcji, przyjmą, a raczej czy są w stanie przyjąć fakt taki, — oparty jedynie na niemożliwości psychologicznej, li tylko na stanie wewnętrznym podejrzanego, — za fakt niezbity i usuwający wszelkie oskarżające i rzeczowe poszlaki? Nie, nie przyjmą, w żadnym razie nie przyjmą, bo pudełko niby znaleźli, i człowiek chciał się powiesić, „co nie mogłoby mieć miejsca, gdyby nie czuł się winnym!" Oto kardynalne zagadnienie, które mnie właśnie tak denerwuje! Musisz mnie zrozumieć!

— Widzę, widzę, że się denerwujesz. Poczekaj, zapomniałem się zapytać: w jaki sposób udowodniono, że pudełko z kolczykami pochodzi rzeczywiście z kufra staruchy?

— To jest dowiedzione, — odpowiedział z niezadowoleniem i jakby niechętnie Razumichin; — Koch poznał przedmiot i wskazał nawet tego, który go zastawił, a ten niezbicie dowiódł, że przedmiot należy istotnie do niego.

— To źle. Teraz dalej: czy nie widział nikt Mikołaja w chwili, gdy Koch i Piestrjakow przechodzili na górę, i czy nie można tego w jakikolwiek sposób dowieść?

— O to właśnie chodzi, że nikt nie widział, — odpowiedział Razumichin z żalem, — to jest właśnie najgorsze; nawet Koch i Piestrjakow nie zauważyli, wchodząc na górę, choć z drugiej strony ich świadectwo miałoby obecnie niewielkie znaczenie. „Widzieliśmy, powiadają, że mieszkanie jest otwarte, że, musi, pracowali tam, ale, przechodząc, uwagi nie zwróciliśmy i nie pamiętamy dobrze, czy byli tam wtedy robotnicy, czy nie".

— Hm. A więc jedyną usprawiedliwiającą ich okolicznością jest to, że jeden drugiego grzmocił i śmieli się. Dajmy na to, że to jest poważny dowód, ale... Pozwól-że: jak ty sam tłumaczysz cały ten fakt? Jak tłumaczysz znalezienie kolczyków, jeżeli on je naprawdę znalazł tak, jak zeznaje?

— Jak tłumaczę? Niema tu co tłumaczyć: sprawa jasna! Co najmniej jasna jest droga, na którą sprawę należy skierować, jasna i dowiedziona, i właśnie pudełko kierunek ten wskazało. Prawdziwy morderca zgubił te kolczyki. Morderca był na górze, gdy Koch i Piestrjakow dobijali się, i był zamknięty od wewnątrz. Koch popełnił głupstwo i zeszedł na dół; w tym momencie właśnie morderca wyskoczył i też zbiegł nadół, bo nie miał innego wyjścia. Na schodach schował się przed Kochem, Piestrjakowem i stróżem do pustego mieszkania, właśnie w chwili, kiedy Dymitr i Mikołaj wylecieli stamtąd, przeczekał, aż ucichną kroki ich, i najspokojniej zeszedł nadół, właśnie w chwili, kiedy Dymitr i Mikołaj wylecieli na ulicę, a wszyscy in-

ni również rozeszli się, i nikogo nie było przed bramą. Może go widzieli, ale poprostu nie zauważyli: czy mało przechodzi ludzi? A pudełko wyleciało mu z kieszeni, gdy stał za drzwiami, i nie zauważył, że wyleciało, bo nie mógł wtedy o tem myśleć. Natomiast pudełko z całą oczywistością dowodzi, że on właśnie tam stał. Oto cała historja!

— Dowcipne! Nie, bracie, to bardzo dowcipne. Paradne!

— Ale dlaczego, dlaczego?

— A dlatego, że wszystko to jakoś za bardzo się zgadza... i układa się... niczem w teatrze.

— Et! — zawołał Razumichin, ale w tej chwili otworzono drzwi, i weszła nowa, nikomu z obecnych nieznana, osoba.

## V

Był to niemłody już pan, dobrze trzymający się, o pretensjonalnej powierzchności, o podejrzliwej i obrzękłej nieco twarzy, który zaczął od tego, że stanął na progu, oglądając się dokoła z źle ukrywanem, omal że obrażającem zdziwieniem, jakgdyby zadając spojrzeniem pytanie: „dokąd to wpadłem?“ Nieufnie, a nawet rozmyślnie podkreślając pewien przestrach, czy nawet coś w rodzaju obrażonej miny, oglądał ciasną i niską „kajutę morską“ Raskolnikowa. Z tem samem zdziwieniem przeniósł spojrzenie na samego Raskolnikowa, rozebranego, rozczochranego, nieumytego, leżącego na swojej nędznej brudnej kanapie, i równie nieruchomo go oglądającego. Następnie równie powolnie zaczął oglądać niechlujną, nieogoloną i nieuczesaną postać Razumichina, który ze swej strony bezczelnie— pytająco patrzył mu prosto w oczy, nie ruszając się z miejsca. Przykre milczenie trwało z minutę, poczem, jak się należało spodziewać, nastąpiła maleńka zmiana dekoracyj. Zorjentowawszy się, widocznie, na podstawie pewnych, zresztą, niedwuznacznych danych, że przesadnie napuszoną powierzchownością, tutaj, w tej „kajucie morskiej“, nic

a nic nie wskóra, przybysz zmiękł i uprzejmie już, acz nie bez powagi w głosie, zwrócił się do Zosimowa, cedząc każdą sylabę pytania swego:

— Czy to Rodion Romanycz Raskolnikow, student albo były student?

Zosimow leniwie się poruszył i możeby mu nawet odpowiedział, gdyby go nie uprzedził Razumichin, do którego wcale się nie zwrócono:

— Właśnie leży tam na kanapie! A czego sobie pan życzy?

To poufałe „a czego sobie pan życzy" jakgdyby z miejsca podcięło pretensjonalnego pana; o mało co nie odwrócił się ostro do Razumichina, zdążył się jednakże pohamować i natychmiast zwrócił się twarzą znowu do Zosimowa.

— Oto Raskolnikow! — wyszeplenił Zosimow, kiwnąwszy głową na chorego, poczem ziewnął, rozwierając w niesłychany sposób usta i trzymając je niezwykle długo w tej pozycji. Potem powoli sięgnął ręką do kieszonki kamizelki, wyjął ogromny wypukły zamknięty zegarek złoty, otworzył go, spojrzał i równie powolnym i leniwym ruchem włożył go zpowrotem.

Raskolnikow leżał przez cały czas bez słowa, nawznak, i uporczywie, acz bezmyślnie, wpatrywał się w przybysza. Odwróconą już od owego kwiatka na tapecie twarz miał niesłychanie bladą, o wyrazie niezwykłego cierpienia, jakgdyby przed chwilą przeżył ciężką operację albo jakieś tortury. Lecz przybysz zaczął stopniowo w nim wzbudzać coraz to większe zainteresowanie, potem zdumienie, wreszcie nieufność i nawet jakby lęk. Gdy zaś Zosimow, wskazując na niego, wyrzekł: „oto Raskolnikow", nagle szybko powstał, jakby się zerwał z miejsca, usiadł na łożu swojem i omal że wyzywającym, chociaż urywanym i słabym głosem oświadczył:

— Tak! Jestem Raskolnikow! Czego pan sobie życzy?

Gość uważnie spojrzał na niego i tonem jakby pouczającym odpowiedział:

— Piotr Pietrowicz Łużin. Mam niepłonną nadzieję, że nazwisko moje jest panu trochę znane.

Lecz Raskolnikow, który się spodziewał zupełnie czego innego, spojrzał na niego bezmyślnie i nic nie odpowiedział, jakgdyby nazwisko Piotra Pietrowicza bezwzględnie po raz pierwszy słyszał.

— Jakto? Czyżby pan dotychczas nie raczył otrzymać żadnych wiadomości? — zapytał Piotr Pietrowicz, krzywiąc się nieznacznie.

W odpowiedzi na to Raskolnikow opadł zpowrotem na poduszkę, podłożył ręce pod głowę i zaczął patrzeć w sufit. Łużinowi aż się przykro zrobiło. Zosimow i Razumichin zaczęli go oglądać z jeszcze większem zaciekawieniem, wskutek czego Łużin wkońcu się nawet zawstydził.

— Przepraszam, sądziłem, — wybełkotał, — list, wysłany już zgórą dziesięć dni, albo i dwa tygodnie temu...

— Proszę pana, czegóż pan cały czas stoi przy drzwiach? — przerwał naraz Razumichin: — jeśli pan ma coś od powiedzenia, to proszę siadać, bo razem z Nastasją będzie wam tam za ciasno. Nasteczko, odsuń się trochę, daj panu przejść! Proszę tutaj, oto krzesło! No, właź-że już pan! Razumichin odsunął krzesło swoje od stołu, zrobił maleńkie przejście między stołem i kolanami swojemi i czekał w tej pozycji, by gość „przelazł" przez tę szparę. Wybrał taką chwilę, że jakoś nie można było nie wykonać tego, to też gość przedostał się przez tę wąziutką przestrzeń, przechylając się z pośpiechem. Doszedłszy do krzesła, usiadł i spojrzał podejrzliwie na Razumichina.

— Zresztą, niech pana to nie krępuje, — wypalił Razumichin; — Rodio już jest piąty dzień chory i trzy dni gorączkował, a teraz ocknął się i nawet jadł z apetytem. A tutaj, o, siedzi lekarz jego, dopiero co go badał, a ja jestem kolegą Rodi, też były student, i właśnie teraz pielęgnuję go: więc proszę na nas nie zwracać uwagi i nie krępować się, a niech pan wprost wali, czego panu potrzeba.

— Dziękuje panu. Czy jednak nie zaniepokoję chorego swoją obecnością i rozmową? — zwrócił się Piotr Pietrowicz do Zosimowa.

— N-nie, — wybełkotał Zosimow, — może go to nawet rozerwie trochę, — i znowu ziewnął.

— O, on już dawno odzyskał przytomność, od samego rana! — mówił dalej Razumichin, którego poufałość miała charakter takiej prostoty, że Piotr Pietrowicz po namyśle zaczął się pocieszać, poczęści może i dlatego, że ten oberwaniec znalazł przecie okazję, żeby się przedstawić jako student.

— Mateczka pańska... — zaczął Łużin.

— A-a! — wrzasnął Razumichin. Łużin spojrzał na niego pytająco.

— To nic, tak sobie, jedź pan dalej...

Łużin wzruszył ramionami.

— ...Mateczka pańska, jeszcze w czasie rozmowy ze mną, zaczęła pisać do pana list. Po przyjeździe tutaj umyślnie czekałem kilka dni i nie przychodziłem do pana, żeby być zupełnie pewnym, że pan jest o wszystkiem powiadomiony; ale teraz, ku zdziwieniu...

— Wiem, wiem! — odezwał się naraz Raskolnikow, niecierpliwie i ze złością. — To pan? Narzeczony? Wiem, wiem!... i basta!...

Piotr Pietrowicz ostatecznie się obraził, ale przemilczał. Starał się usilnie zrozumieć co to wszystko ma znaczyć? Milczenie trwało dobrą chwilę.

Tymczasem Raskolnikow, który, odpowiadając mu, zwrócił się znowu do niego twarzą, zaczął go uważnie oglądać, jakby z jakiemś szczególnem zainteresowaniem, jakgdyby przed chwilą nie zdołał go obejrzeć całego, albo też coś go w nim nowego uderzyło; nawet uniósł się nieco na łóżku. Istotnie, w wyglądzie zewnętrznym Piotra Pietrowicza uderzyło coś osobliwego, mianowicie, coś odpowiadającego jakgdyby nazwie „narzecznego", którą mu przed chwilą tak bez ceremonji nadano. Po pierwsze, czuło się, a nawet rzucało się w oczy, że Piotr Pietrowicz z specjalnym pośpiechem skorzystał z kilkudniowego pobytu w stolicy, żeby się ogarnąć i wyelegantować na przyjazd narzeczonej, co, zresztą, było rzeczą zupełnie niewinną i zrozumiałą. Nawet ta świadomość zmiany na lepsze, nawet zbyt zadowolony może wygląd byłby w tym wypadku rów-

nież zrozumiały, bo Piotr Pietrowicz istotnie był na stopie narzeczonego. Całe ubranie jego było dopiero co od krawca, i nawet było wcale ładne, chyba że tylko zbyt nowe i zbyt wyraźnie zdradzało określony cel. Świadczył o tem nawet nowiuteńki, elegancki okrągły kapelusz: Piotr Pietrowicz obchodził się jakoś z nim z szczególnem uszanowaniem i zbyt ostrożnie trzymał go w ręku. Nawet śliczne rękawiczki illa, oryginalne zagraniczne, świadczyły o tem samem, choćby przez to, że nie wkładał ich, a trzymał w ręku od parady. W całym kostjumie Piotra Pietrowicza dominowały kolory jasne i młodzieńcze. Miał na sobie ładną letnią marynarkę koloru jasno - bronzowego, jasne letnie spodnie, taką samą kamizelkę, dopiero co kupioną, cieniutką bieliznę, leciutki batystowy krawacik w różowe paseczki, i, co najciekawsze: w tem wszystkiem było mu nawet do twarzy. Twarz jego, bardzo dziarska i nawet ładna, i tak nie zdradzała jego czterdziestu pięciu lat. Ciemne baczki dość mile dla oka zwisały z obydwu stron twarzy, pęczniejąc, niby dwa kotleciki, ku dołowi i uwydatniając się bardzo ładnie na tle dobrze wygolonego, błyszczącego podbródka. Nawet włosy, choć przyprószone siwizną, ładnie uczesane i ukarbowane przez fryzjera, nie przedstawiały przez to nic śmiesznego ani bezmyślnego, co zawsze bywa, gdy się karbuje włosy, bo nieuchronnie nadaje to człowiekowi podobieństwo do Niemca, idącego do ślubu. Jeżeli zaś ta stosunkowo ładna twarz miała nawet w sobie coś istotnie niemiłego i odpychającego, to składały się na to zgoła inne czynniki. Obejrzawszy od stóp do głów p. Łużina, Raskolnikow uśmiechnął się złośliwie, znowu opadł na poduszkę i wlepił wzrok w sufit.

Ale pan Łużin siłą woli postanowił, zdaje się, nie widzieć do czasu tych dziwactw.

— Przykro mi, niewymownie mi przykro, że zastaję pana w takim stanie, — zaczął znowu, przerywając z dużym wysiłkiem milczenie. — Gdybym wiedział o pańskiej niedyspozycji, zaszedłbym wcześniej. Ale, wie pan, kłopoty!... Nadomiar złego mam bardzo ważną sprawę prawniczą w senacie. Nie mówię już o kłopotach, których i pan

się chyba domyśla... Rodzeństwo pańskie, to jest mateczka i siostrzyczka, oczekuję z godziny na godzinę...

Raskolnikow poruszył się i chciał coś nawet powiedzieć, twarz jego zdradzała pewne zdenerwowanie. Piotr Pietrowicz przeczekał chwilę, ale wobec tego, że Raskolnikow nic nie powiedział, ciągnął dalej:

— ...Z godziny na godzinę. Przygotowałem im narazie mieszkanie...

— Gdzie? — zapytał słabym głosem Raskolnikow.

— Bardzo blisko stąd, dom Bakalejewa...

— To na Wozniesienskim, — przerwał Razumichin, —tam dwa piętra oddane są na pokoje umeblowane, kupiec Juszyn je dzierżawi; byłem tam.

— Tak, umeblowane pokoje...

— Okropne paskudztwo: brud, smród, poza tem podejrzane miejsce; zdarzały się tam nielada historję; przytem djabli wiedzą, kto tam mieszka!... Sam nawet tam byłem raz z powodu pewnej awantury. Zresztą, bardzo tanio tam jest.

— Trudno, ja takich ścisłych informacyj mieć nie mogłem, bo sam tu jestem człowiekiem nowym, — odpowiedział niemile dotknięty Piotr Pietrowicz, — choć muszę zaznaczyć, że wziąłem dwa zupełnie czyściutkie pokoiki, zwłaszcza że to na bardzo krótki czas... Znalazłem już prawdziwe, to jest przyszłe nasze mieszkanie, — zwrócił się do Raskolnikowa, — i teraz je właśnie odnawiają, a tymczasem sam się gnieżdżę w pokoju umeblowanym, o dwa kroki stąd, u pani Lippewechsel, w mieszkaniu pewnego młodego przyjaciela mojego, Andrzeja Siemionycza Lebeziatnikowa; on to właśnie wskazał mi dom Bakalejewa.

— Lebeziatnikowa? — wycedził Raskolnikow, coś sobie jakby przypominając.

— Tak, Andrzej Siemionycz Lebeziatnikow, urzędnik ministerjalny. Czy pan go zna?

— Tak... nie... — odpowiedział Raskolnikow.

— Przepraszam, wnioskowałem tak z pytania pańskiego. Byłem w swoim czasie opiekunem jego... bardzo miły młodzieniec i... postępowy... A ja bardzo cenię młodzież:

to — jedyny wskaźnik nowych prądów. — Piotr Pietrowicz z pewną nadzieją spojrzał na wszystkich obecnych.

— Niby w jakim sensie? — zapytał Razumichin.

— W najpoważniejszym, w najgłębszej, że tak powiem, istocie swej, — podchwycił Piotr Pietrowicz, jakgdyby się ucieszył, że mu się udało nawiązać rozmowę. — Otóż, już dziesięć lat nie byłem w Petersburgu. Wszystkie te nasze inowacje, reformy, idee — wszystko to dochodziło do nas na prowincję, ale żeby widzieć wszystko i widzieć dokładniej, trzeba być w Petersburgu. Tak, a ja jestem przekonany, że najwięcej można się dowiedzieć i zauważyć, obserwując nasze młode pokolenie. I muszę się przyznać: mam satysfakcję...

— Właściwie z jakiego powodu?

— To jest za szerokie pytanie. Mogę się mylić, ale wydaje mi się, że tu znajduję światlejszy pogląd na rzeczy, głębszy, że tak powiem, krytycyzm; nawet więcej rzeczowości...

— To prawda, — bąknął Zosimow.

— Bzdury pleciesz, rzeczowości właśnie brak, — zaoponował gorąco Razumichin. — Rzeczowość jest niesłychanie trudno nabyć, z nieba ci nie spadnie. A jeżeli o nas idzie, to już od dwustu lat nic rzeczowego nie robimy... Różne idee może i kiełkują, — zwrócił się do Piotra Pietrowicza, — jest może nawet dążenie do dobra, choć i dziecinne; bodaj i uczciwość się znajdzie, choć coraz więcej jest złodziei, ale rzeczowości właśnie brak! Rzeczowość za górami mieszka!

— Nie mogę się z panem zgodzić, — z nieukrywaną przyjemnością zaoponował Piotr Pietrowicz, — są uniesienia, błędy, ale trzeba umieć być pobłażliwym; uniesienia świadczą o oddaniu sprawie i o nienormalnych warunkach zewnętrznych, w jakich sprawa się rozgrywa. Jeżeli zaś dotąd mało zrobiono, to i czasu było niewiele. Nie mówię już o środkach. Osobiście uważam, że, jeżeli już o to idzie, to nawet coś-niecoś zrobiono: rozpowszechnione zostały nowe pożyteczne myśli, niektóre nowe pożyteczne utwory — zamiast dawnych marzycielskich i romantycznych; literatura nabiera cech dojrzałości: wypleniono i wyśmiano

masę szkodliwych przesądów... Słowem, zerwaliśmy bezpowrotnie z przeszłością, a to już jest, mojem zdaniem, krok pozytywny, rzeczowy...

— Wykuł na pamięć! Prezentuje się! — odezwał się wreszcie Raskolnikow.

— Proszę? — zapytał Piotr Pietrowicz, nie dosłyszawszy, ale nie otrzymał odpowiedzi.

— To wszystko słuszne, — z pośpiechem wtrącił Zosimow.

— Prawda? — mówił dalej Piotr Pietrowicz, spojrzawszy wdzięcznie na Zosimowa.—Niech-że się pan sam zgodzi, — mówił dalej, zwracając się do Razumichina, ale już z odcieniem pewnego triumfu i wyższości i o mały włos nie dodał: „młodzieńcze", — czem-że bowiem jest kroczenie z prądem czasu, czyli, jak to powiadają, postęp, choćby w imię nauki i prawdy ekonomicznej...

— Ogólnik!

— Nie, to nie ogólnik, szanowny panie! Jeśli mi, naprzykład, dotychczas mówiono: „kochaj bliźniego", a ja się do tego stosowałem, to i co z tego? — ciągnął dalej Piotr Pietrowicz, może ze zbytnim nieco pośpiechem,—a to, że rozrywałem koszulę na dwie części, dzieliłem się nią z bliźnim, i obydwaj zostawaliśmy napół nadzy, wedle przysłowia: „dwie sroki za ogon łapie". Nauka zaś mówi: umiłuj przedewszystkiem samego siebie, albowiem wszystko na świecie oparte jest na interesie osobistym. Oprzesz się na miłości samego siebie, to i interesy swoje obrobisz, jak należy, i koszula zostanie ci cała. Prawda ekonomiczna dodaje jeszcze, że im więcej jest w społeczeństwie uporządkowanych spraw osobistych, prywatnych, i, że tak powiem, całych koszul, tem mocniejszą ma ono podstawę istnienia, i tem lepiej postawiona zostaje sprawa ogólna. Z tego wynika, że, nabywając wszystko jedynie i wyłącznie dla siebie, tem samem jekby przysparzam dobra ogółowi i prowadzę do tego, żeby bliźni mógł otrzymać coś więcej ponad podartą koszulę, i to już nie dzięki hojności poszczególnych jednostek, a dzięki dobrobytowi ogółu. Myśl niby prosta, niestety jednak, zbyt długo wstydli-

wie ukrywana, przesłonięta marzycielstwem, choć zdawałoby się, że niewiele trzeba dowcipu, żeby domyśleć się...

— Przepraszam, ja też jestem niedowcipny, — brutalnie przerwał Razumichin, — i dlatego przerwijmy tę rozmowę. Przecież zupełnie celowo ją wszcząłem, bo mi już to całe gadulstwo, samochwała, wszystkie te krzykliwe frazesy, i ciągle to samo w kółko — do tego stopnia zbrzydły wciągu trzech lat, że, jak Boga kocham, rumienię się, gdy nawet inni — cóż dopiero ja sam — przy mnie o tem mówić zaczynają. Pan, oczywiście, chciał zaprezentować wiedzę swoją, to jest do wybaczenia i o to nie mam do pana pretensji. Natomiast teraz dopiero chciałbym się tem bardziej dowiedzieć, kim pan jest; bo, widzi pan, do spraw społecznych przyczepiło się ostatnio tylu różnych aferzystów, i do tego stopnia spaczyli sens wszystkiego, czego się dotknęli, na korzyść interesu własnego, że absolutnie wszystko spaskudzili. I basta!

— Szanowny panie, — zaczął Łużin, prężąc się z nadzwyczajną godnością, — czy nie chciał pan przez to w tak bezceremonjalny sposób powiedzieć, że i ja...

O, naturalnie, naturalnie... Czyżbym śmiał!...

— No, dosyć tego,—przerwał mu Razumichin i zwrócił się do Zosimowa, aby kontynuować rozpoczętą poprzednio rozmowę.

Piotr Pietrowicz okazał się na tyle roztropny ,że zadowolnił się tem objaśnieniem w zupełności. Postanowił zresztą odejść po paru minutach.

— Mam nadzieję, że znajomość nasza, — zwrócił się on do Raskolnikowa, — po pańskiem wyzdrowieniu i ze względu na znane panu okoliczności, okaże się trwała... Przedewszystkiem życzę panu powrotu do zdrowia...

Raskolnikow nie odwrócił nawet głowy. Piotr Pietrowicz wstał, zabierając się do wyjścia.

— Bezwątpienia zabił ją jeden z klientów! — twierdził Zosimow.

— To nie ulega żadnej wątpliwości! — podchwycił Razumichin. — Porfirij nie zdradza jak dotąd swych podejrzeń, a jednak przesłuchuje wszystkich klientów.

— Bada klientów? — głośno zapytał Raskolnikow.

— Tak, a bo co?

— Nic.

— A jak on może ich znaleźć? — pytał Zosimow.

— Niektórych wskazał mu Koch; nazwiska innych zanotowane były na opakowaniu zastawów, no, a kilku dobrowolnie się zgłosiło, skoro się dowiedzieli...

— Ale musiała to być chytra i doświadczona bestja! Co za odwaga! Co za stanowczość!

— A właśnie, że nie! — przerwał Razumichin. — To właśnie zbija wszystkich z tropu. A ja wam mówię, że był to ktoś niedoświadczony i niezręczny, i pewien jestem, że był to jego pierwszy występ!

Przypuśćmy, że była to, jak mówisz, chytra bestja,—a wszystko wyda się nieprawdopodobne. A gdy wyjdziemy z założenia, że był to nowicjusz, to się okaże, że jedynie dzięki przypadkowi uszedł cało, a czego nie zrządzi przypadek? On widocznie nie przewidywał nawet wszystkich przeszkód. A w jaki sposób działa? — bierze rzeczy po dziesięć — dwadzieścia rubli, napycha kieszenie, gmera w kuferku w rozmaitych szmatach, — a w górnej szufladzie komody znajdują potem szkatułkę z półtora tysiącem rubli gotówką, nie licząc papierów wartościowych. Nawet obrabować nie potrafił; umiał jedynie — zabić! To był pierwszy krok, mówię ci, pierwszy krok: stropił się. Nie wystudjowany plan, lecz przypadek go wyratował.

— Mówi pan, zdaje mi się, o niedawnem zabójstwie starej lichwiarki, — wmieszał się, zwracając się do Zosimowa, Piotr Pietrowicz, który stał, trzymając w ręku kapelusz i rękawiczki. Zabierał się już do odejścia, ale chciało mu się na pożegnanie powiedzieć jeszcze parę mądrych zdań. Chciał widocznie wywrzeć na nowych znajomych dobre wrażenie i chęć zaimponowania okazała się silniejsza od głosu zdrowego rozsądku.

— Tak. A pan też o tem słyszał?

— A jakże, przecież to w sąsiedztwie.

— Czy zna pan może szczegóły?

—Tego nie twierdzę; ale interesuje mnie inna okoliczność, że tak powiem, całość zagadnienia. Nie mówię już o tem, że w ciągu ostatnich pięciu lat liczba przestępstw

w niższych warstwach ogromnie wzrosła; nie mówię o ciągłych rabunkach i podpaleniach; dziwi mię natomiast okoliczność, że ilość przestępstw, popełnianych przez ludzi należących do klas wyższych rośnie, że tak powiem, w stosunku proporcjonalnym. Niedawno, naprzykład, pewien były student obrabował pocztę na ludnym trakcie; gdzie indziej ludzie należący do klas przodujących ze względu na zajmowane przez nich stanowiska w społeczeństwie — zajmują się fałszowaniem banknotów; w Moskwie przyłapano całą bandę fałszerzy listów zastawnych ostatniej pożyczki premjowej, — i jednym z hersztów tej bandy był profesor historji; to znowu zamordowano sekretarza naszego poselstwa zagranicą z jakichś tam niewiadomych i zagadkowych powodów... I teraz oto, ktoś należący do klas wyższych (bo plebs nie zastawia złotych przedmiotów) zamordował staruchę lichwiarkę. Czemże-że można wytłumaczyć takie rozwydrzenie wykształconej części naszego społeczeństwa?

— Zaszło dużo zmian ekonomicznych, — odezwał się Zosimow.

— Czem można wytłumaczyć? — wtrącił się Razumichin. — A właśnie zakorzenionem wśród nas lenistwem, zypełnym zanikiem pracowitości.

— Co pan przez to rozumie?

— A co odpowiedział w Moskwie ten pański profesor na pytanie, dlaczego podrabiał listy pożyczkowe? „Wszyscy się bogacą rozmaitemi sposobami, a więc i ja chciałem się wzbogacić jak najprędzej". Słów dokładnie sobie nie przypominam, ale sens był ten, że chciało mu się wypłynąć tanim kosztem, byle prędzej, bez własnej pracy!... Przyzwyczailiśmy się mieć wszystko gotowe i na stół podane; jeść to, co inni dla nas przeżuli. No, a gdy wybija odpowiednia godzina, ujawnia się jakie każdy ma zamiary...

— A moralność? I że tak powiem, zasady...

— Ale o co panu chodzi, — nagle wmieszał się Raskolnikow. — Przecież wszystko się odbywa według pana własnej teorji!

— Jak to, według mojej teorji?

— No, niech pan wyciągnie wnioski z tych poglądów.

które pan przed chwilą wygłaszał; okaże się wtedy, że właśnie można ludzi zabijać...

— Ależ skąd!... — zawołał Łużin.

— Nie, tak nie jest, — odezwał się Zosimow.

Raskolnikow leżał blady, dysząc ciężko. Górna warga jego drgała.

— Wszystko ma swoje granice, — wyniośle ciągnął Łużin, — idea ekonomiczna nie jest jeszcze podjudzaniem do mordowania, i skoro tylko przypuścimy...

— A czy to prawda, — przerwał nagle znowu Raskolnikow załamującym się od wściekłości głosem i z nietajonym zamiarem obrażenia gościa, — czy to jest prawda, że powiedział pan swej narzeczonej... w tej samej chwili, kiedy ona pańskie oświadczyny przyjęła... że najwięcej cieszy pana to, że... jest ona żebraczką... bo pańskiem zdaniem najlepiej jest brać żonę zupełnie biedną... aby ją potem z tem większą łatwością ujarzmić... i wytykać jej, że wyświadczył jej pan wielkie dobrodziejstwo?

— Mój panie! — zawołał Łużin gniewnie, widocznie mocno podrażniony. Policzki mu płonęły i zmieszał się ogromnie. — Mój panie!... takie przekręcanie moich słów! Pan wybaczy, ale muszę panu zaznaczyć, że plotki, które pana doszły, a raczej zostały panu doniesione, nie mają żadnej podstawy, i ja... sądzę, że... jednem słowem... ten cios... jednem słowem, pańska matka... Wogóle zawsze wydawała mi się, mimo wszystkich swych nadzwyczajnych zalet, osobą nieco egzaltowaną i zbyt romantycznie nastrojoną... Ale mimo wszystko daleki byłem od przypuszczenia, że mogła zrozumieć i przedstawić sprawę w takiej wypaczonej przez własną fantazję formie... A wreszcie... wreszcie...

— Wie pan co? — zawołał Raskolnikow, unosząc się na poduszkach i wpatrując się weń bystro i wrogo błyszczącemi oczyma. — Wie pan co?

— No, co? — Łużin czekał z obrażoną i wyzywającą miną. Milczenie trwało kilka sekund.

— To, że jeśli pan raz jeszcze... ośmieli się powiedzieć choć jedno słówko... o mojej matce... poleci pan na łeb ze schodów!

— Co ci jest? — krzyknął Razumichin.

— A, to tak się sprawa przedstawia! — Łużin zbladł i zagryzł wargę. — Niech szanowny pan mnie wysłucha, — zaczął, opanowując się z wysiłkiem, urywanym i zdyszanym głosem. — Ja odrazu, od pierwszej chwili, odczułem pańską niechęć w stosunku do mnie, lecz pozostałem tu naumyślnie, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Wiele mógłbym wybaczyć choremu i krewnemu, ale teraz... panu... nigdy...

— Nie jestem wcale chory! — krzyknął Raskolnikow.

— Tem bardziej...

— Idź pan do djabła!

Ale Łużin już i tak wychodził, nie dokończywszy rozpoczętego zdania. Musiał się przecisnąć między stołem a krzesłem. Razumichin i tym razem podniósł się, aby go przepuścić. Nie patrząc na niego, nie skinąwszy nawet głową w stronę Zosimowa, który już oddawna dawał mu znaki, żeby dał choremu spokój, Łużin wyszedł, trzymając dla ostrożności kapelusz na wysokości ramienia i schyliwszy się nieco, gdy przechodził przez niziutkie drzwi. Nawet zgarbione jego plecy zdawały się wskazywać wymownie, do jakiego stopnia został obrażony.

— Czyż tak można, no, cóż to jest? — mówił stropiony Razumichin, potrząsając głową.

— Dajcie mi spokój, odczepcie się ode mnie wszyscy! — zawołał Raskolnikow dygocąc z wściekłości. — Czy zostawicie mnie nareszcie w spokoju, wy, kaci! Ja się was nie boję! Nikogo, nikogo teraz się nie boję! Precz stąd! Chcę pozostać sam, sam, sam!

— Idziemy! — powiedział Zosimow, skinąwszy na Razumichina.

— Co ty mówisz? Czyż można zostawić go w takim stanie?

— Chodźmy! — powtórzył Zosimow uparcie, i wyszedł. Razumichin namyślił się i popędził za nim.

— Gorzejby było, gdybyśmy go nie usłuchali, — powiedział Zosimow na schodach. — Nie można go drażnić...

— Co mu się stało?

— Trzebaby jakiejś silnej podniety, aby go wyrwać z tego stanu. Przecież już czuł się dobrze... Wiesz, on ma coś na sumieniu, coś okrutnego, co go gnębi... Bardzo się tego boję, a tymczasem jest to pewne.

— A może to właśnie ten pan, Piotr Pietrowicz, tak na niego podziałał? — Sądząc z treści rozmowy, żeni się z jego siostrą, a Rodio otrzymał o tem wiadomość właśnie przed chorobą...

— Tak... djabli go tu przynieśli; możliwe, że popsuje całą sprawę. A czyś zauważył, że on na wszystko jest obojętny, wszystko zbywa milczeniem, prócz jednej kwestji, która go wyprowadza z równowagi: morderstwo...

— Właśnie, właśnie! — podchwycił Razumichin, — ja też to zauważyłem! Interesuje się tem morderstwem, lęka się czegoś. W pierwszym dniu choroby nastraszono go widocznie w cyrkule, zemdlał nawet.

— Opowiesz mi o tem szczegółowo dziś wieczorem, a ja ci też coś powiem. On mnie interesuje! Za pół godziny wstąpię do niego, odwiedzę go... Zresztą, zapalenia napewno nie będzie...

— Dziękuję ci bardzo! A ja tymczasem zaczekam u Paszeńki i będę go doglądać przez Nastasję.

Raskolnikow, pozostawszy sam, spojrzał niecierpliwie i z męką na Nastasję; ta jednak wcale nie zabierała się do odejścia.

— Czy herbatę teraz będziesz pił? — spytała.

— Potem! Chcę spać! Zostaw mnie...

Porywczo odwrócił się ku ścianie. Nastasja wyszła.

## VI

Ale zaledwie wyszła, Raskolnikow wstał, zamknął drzwi na haczyk, rozwiązał węzełek przyniesiony przez Razumichina, i przez niego również zawiązany zpowrotem, i począł śpiesznie się ubierać. Dziwna rzecz: zdawało mu się, że się zupełnie uspokoił. Nawpół obłąkane majaki i strach paniczny, który niedawno odczuwał, znikły zupełnie. Była to pierwsza chwila jakiegoś dziwnego niespodzia-

nego spokoju. Ruchy jego spokojne i pewne wskazywały na jakieś niezłomne postanowienie. „Dziś jeszcze, dziś jeszcze...“ mruczał do siebie. Rozumiał dobrze, że jest jeszcze bardzo osłabiony, lecz ogromny wysiłek, który mu przywrócił spokój i chorobliwe postanowienie, które nim owładnęło, dodawały mu sił i pewności siebie. Miał nadzieję, że nie upadnie na ulicy. Włożył nowe ubranie, spojrzał na pieniądze, leżące na stole, zastanowił się i wsunął je do kieszeni. Było tego dwadzieścia pięć rubli. Zabrał również wszystkie pięciokopiejkówki, — resztę z dziesięciu rubli, wydanych na ubranie przez Razumichina. Pocichutku podniósł haczyk, wyszedł z pokoju, zeszedł po schodach i zajrzał przez stojące otworem drzwi do kuchni. Nastasja stała odwrócona do niego tyłem i schylona rozdmuchiwała samowar gospodyni. Nie słyszała nic. Ale komu wogóle mogło przyjść do głowy, że on może opuścić mieszkanie? Za chwilę stanął na ulicy.

Była godzina ósma, słońce chyliło się ku zachodowi. Duszność panowała jak dawniej: mimo to wchłaniał chciwie cuchnące, pełne kurzu, zarażone wyziewami miasta powietrze. Poczuł lekki zawrót głowy; niesamowita jakaś energja błysnęła w jego oczach i na wychudłej, ziemisto - żółtej twarzy. Nie wiedział dokąd pójść i nie myślał o tem; wiedział tylko jedno: „że *to wszystko* trzeba skończyć dzisiaj, za jednym zamachem, natychmiast; że inaczej do domu nie powróci, bo nie chce więcej *tak żyć*“. Ale jak skończyć? Nie miał o tem pojęcia, i nie chciał nawet o tem myśleć. Odpędzał tę myśl: myśl jednak dręczyła go. Czuł tylko i wiedział, że wszystko musi się zmienić, „tak czy owak“, jak powtarzał w swym beznadziejnym, lecz zdecydowanym uporze.

Dawnym swoim zwyczajem kroczył tą drogą, którą zwykł był chodzić na Sienną. Zanim doszedł tam, napotkał młodego ciemnowłosego kataryniarza, który stojąc na bruku przed małym sklepikiem rzępolił jakiś bardzo sentymentalny romans. Akompanjował dziewczynce, która stała koło niego na chodniku. Miała może lat piętnaście i ubrana była z pańska w krynolinę, mantylkę i kapelusik z piórem ognistego koloru; miała nawet rękawiczki, ale całe ubranie

było bardzo znoszone i wytarte. W oczekiwaniu dwóch kopiejek ze sklepiku śpiewała swą piosenkę krzykliwym i nieco drżącym, chociaż nie pozbawionvm uroku głosem. Raskolnikow przystanął obok dwóch czy trzech słuchaczy, posłuchał chwilę i, wydobywszy z kieszeni pięć kopiejek, włożył je dziewczynie w rękę. Dziewczyna urwała nagle piosenkę na najwyższej nucie, jak nożem uciął, i krzyknęła ostro kataryniarzowi: „dosyć", poczem oboje podążyli zwolna do następnego sklepiku.

— Czy pan lubi śpiew uliczny? — zwrócił się nagle Raskolnikow do jakiegoś, niemłodego już przechodnia, który przez cały czas stał koło kataryniarza. Ten spojrzał nań zdumiony i osłupiały.

— Ja bardzo lubię, — ciągnął dalej Raskolnikow, ale z taką miną, jakgdyby wcale nie o ulicznym śpiewie mówił, — ja lubię, kiedy ktoś śpiewa przy dźwiękach katarynki w chłodny, ciemny i wilgotny wieczór jesienny... Tak, ale trzeba, żeby wieczór był wilgotny, kiedy wszyscy przechodnie mają blado - zielone, schorowane twarze; albo jeszcze lepiej, gdy mokry śnieg pada zupełnie prostopadle na ziemię, kiedy niema wiatru, — rozumie pan? a przez siatkę śniegu przebłyskują latarnie gazowe...

— Nie wiem... przepraszam...—wybełkotał zagadnięty, zdumiony pytaniem i dziwacznym wyglądem Raskolnikowa, i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Raskolnikow poszedł prosto przed siebie i skierował się ku miejscu, gdzie stał kramik pary mieszczuchów, którzy rozmawiali z Lizawetą owego wieczora; nie było ich jednak teraz widać. Rozpoznawszy miejsce, Raskolnikow przystanął, obejrzał się wokoło, i zwrócił się do młodzieńca w czerwonej koszuli, który stał ziewając u wejścia do składu z mąką.

— Czy jest tu gdzie właściciel straganu z rogu?

— Dużo tu jest kupców, — odparł ten, mierząc Raskolnikowa od stóp do głów.

— Jak on się nazywa?

— Jak go ochrzczono, tak ma na imię.

— A czyś ty sam czasem nie z Zarajska? Z jakiej jesteś gubernji?

Młodzieniec znów spojrzał na Raskolnikowa...

— U nas, proszę jaśnie pana, nie gubernja, a powiat; brat mój wiele podróżował, to może i wie, jaka to jest gubernja, a ja stale w domu siedziałem, skąd mogę o tem wiedzieć. Niech już jego ekselencja z łaski swej wybaczy.

— A co tam na górze, może szynkownia?

— Traktjernia, a w niej bilardy i księżniczki... że palce lizać!

Raskolnikow przeszedł przez plac. Na rogu stał zwarty tłum ludzi, przeważnie chłopów. Raskolnikow zmieszał się z tłumem, ciekawie przypatrując się twarzom. Coś go parło do nawiązania rozmowy z pierwszym lepszym przechodniem. Ale chłopi nie zwracali nań uwagi i coś gwarzyli między sobą, zbierając się w grupki. Raskolnikow stał przez chwilę niezdecydowany, wreszcie namyślił się i poszedł na prawo, chodnikiem, w kierunku W—ej ulicy. Minąwszy plac, znalazł się na N—skim zaułku.

Raskolnikow często już chadzał dawniej tą króciuchną uliczką, która w tem miejscu skręca w bok i prowadzi przez plac na Sadową ulicę. Ostatnio coś go zmuszało do włóczenia się po tych ulicach, zwłaszcza gdy jakiś ciężar kładł mu się na sercu; odczuwał wówczas pragnienie, „aby ten ciężar stał się jeszcze bardziej nieznośny". Teraz jednak szedł nie myśląc o niczem. Był tu duży dom, cały zajęty przez szynkownie i inne podobne zakłady; co chwilę wybiegały z nich kobiety, ubrane tak, jak się zwykle chodzi „do sąsiadów" — bez nakrycia głowy i w spódnicach. W kilku miejscach kobiety gromadziły się na chodnikach, przeważnie przy schodach do suteren, gdzie się mieszczą przeróżne nader wesołe lokale. W jednym z tych lokali rozlegał się niezwykły hałas i gwar, tak że rozchodził się po całej ulicy; dolatywały dźwięki gitary, śpiewano pieśni, wogóle bawiono się znakomicie. Liczna grupa kobiet skupiła się u wejścia; niektóre siedziały na schodkach, inne na chodniku, znów inne gwarzyły ze sobą. Na jezdni zataczał się, wymyślając głośno, pijany żołnierz z papierosem w zębach; chciał widocznie gdzieś wstąpić, ale zapomniał do którego z lokali. Jeden z oberwańców kłócił się z drugim; ktoś upity do nieprzytomności leżał wpoprzek ulicy. Raskolnikow

zatrzymał się koło większej grupy kobiet. Rozmawiały ochrypłemi głosami; ubrane były w perkalowe suknie, na nogach miały liche buciki, wszystkie były z niezakrytemi głowami. Niektóre miały na pewno po jakie czterdzieści lat, ale były i siedemnastoletnie. Prawie wszystkie miały twarze posiniaczone, ze śladami podbić pod oczyma.

Niewiadomo dlaczego Raskolnikowa zainteresowały śpiewy i cały ten gwar i krzyk, rozlegający się tam na dole... Słychać było, jak śród wybuchów śmiechu i pisków kobiecych, ktoś tańczył nazabój, wybijając takt obcasami, przy akompanjamencie gitary i okropnej jakiejś fistuły, wyjącej sprośną piosenkę. Raskolnikow słuchał uważnie, posępny i zadumany, nachyliwszy się ku wejściu i zaglądając z ciekawością z chodnika do przedsionka.

*Policaju mój ty piękny,*
*Nie bij mnie bez winy...*

rozlegał się cienki głos śpiewającego. Raskolnikowa ogarnęła nagle nieprzeparta chęć usłyszenia słów całej tej piosenki, jakgdyby to było dla niego w tej chwili sprawą najważniejszą.

— A może wejść tam, — pomyślał. — Jak rechoczą! Pijani są... A co, może i warto się upić?

— Nie chcesz do nas wstąpić, kochasiu? — zapytała jedna z kobiet dźwięcznym, nie zachrypniętym jeszcze głosem. Była jeszcze młoda i nie odrażająca — jedyna z całej grupy.

— Patrz ją, jaka ładna! — odpowiedział Raskolnikow, prostując się i spoglądając na nią.

— Pan i sam jest przystojny, — rzekła.

— Cóż to pan taki chudy? — zauważyła druga prawie męskim basem. — Ze szpitala pan wyszedł, czy co?

— Niby córki generalskie, a noski zadarte! — wtrącił się jakiś chłop w rozpiętym korzuchu, z chytrym i wesołym uśmiechem na twarzy, widocznie mocno urżnięty. — Ot, gdzie wesoło!

— Właź już, jeżeli przyszedłeś!

— A jakże, cukierku mój słodki!

I zeszedł na dół potykając się.

Raskolnikow poszedł dalej.

— Słuchaj no pan, — zawołała dziewczyna za nim.

— Co?

Zmieszała się.

— Ja, mój miły panie, zawsze chętnie z panem się pobawię, ale teraz jakoś sumienie mi nie pozwala. Podaruj mi, kawalerze, sześć kopiejek na wódeczkę!

Raskolnikow wyjął z kieszeni kilka monet na chybił trafił: trzy pięciokopiejkówki.

— Ach, co za dobry pan.

— Jak się nazywasz?

— A niech pan zapyta o Duklidę.

— Nie, cóż to jest doprawdy, — zauważyła nagle jedna z kobiet, skinąwszy na Duklidę. — Nie rozumiem nawet, jak można prosić w taki bezwstydny sposób! Mnieby sumienie za nic w świecie nie pozwoliło...

Raskolnikow zaciekawiony spojrzał na mówiącą. Była to ospowata dziewczyna lat może trzydziestu, cała w sińcach, z opuchniętą górną wargą. Karciła koleżankę spokojnie i poważnie.

— Gdzie to ja czytałem, — myślał Raskolnikow idąc dalej, — jak pewien skazany na śmierć, w godzinę przed śmiercią mówi, czy też myśli, że gdyby mógł żyć gdzieś na wierzchołku skały, na takim malutkim skrawku ziemi, że tylko dwie stopy możnaby umieścić, — dookoła niech będzie otchłań, ocean, wieczny mrok, samotność i wieczna burza, — i gdyby miał tak trwać, stojąc na przestrzeni jednego łokcia, przez całe życie, przez tysiąc lat, całą wieczność, — to jednak wolałby tak żyć, aniżeli zginąć natychmiast. Aby tylko żyć, żyć, żyć! Jakiemby to życie było— byle tylko żyć!... Jaka to prawda! Boże mój, ile w tem jest prawdy!... Jak podłem stworzeniem jest człowiek!... A jeszcze bardziej podły jest ten, kto go za to podłym nazywa— dodał po chwili.

Znalazł się na jakiejś innej ulicy. „Ach! to przecież Pałac Kryształowy". Coś tam Razumichin opowiadał o tym pałacu. Ale, czego ja właściwie tutaj chciałem? Prawda,

chciałem przeczytać... Zosimow mówił, że czytał w gazetach...

— Czy są gazety? — zapytał, wchodząc do przestronnej i nawet schludnej restauracji o kilku pokojach, coprawda dosyć pustych. Dwóch czy trzech gości popijało herbatę; w dalszej sali siedziało towarzystwo składające się z czterech osób, pijąc szampana. Raskolnikowowi wydało się, że wśród nich znajduje się również Zamietow. Zresztą, nie mógł dojrzeć na taką odległość.

— A niech tam będzie! — pomyślał.

— Czy podać szanownemu panu wódeczkę? — zapytał kelner.

— Przynieś herbatę. I gazety przynieś, stare, z jakich pięciu dni. Dostaniesz na piwo.

— W tej chwili. Oto są dzisiejsze gazety. Wódeczkę też szanownemu panu podać?

Na stole pojawiły się stare gazety i herbata. Raskolnikow usadowił się wygodnie i począł szukać: „Isler — Isler — Aztecy — Aztecy — Isler — Bartola — Massimo — Aztecy — Isler... a niech cię djabli! a, oto są wypadki: spadła ze schodów — mieszczanin zapił się na śmierć — pożar na Piaskach — pożar w dzielnicy Petersburskiej — jeszcze pożar na Petersburskiej — i jeszcze pożar na Petersburskiej — Isler — Isler — Massimo—Isler—Isler... A, nareszcie..."

Znalazł wreszcie to, czego szukał i zaczął czytać; wiersze skakały mu przed oczyma, jednak przeczytał „wiadomość" do końca i począł szukać dalszych notatek w następnych numerach. Ręce mu drżały z niecierpliwości, gdy wertował duże arkusze. Nagle ktoś usiadł obok niego, przy jego stole. Podniósł oczy — był to Zamietow, ten sam Zamietow, i wyglądał jak dawniej, z pierścieniami, łańcuszkami, z przedziałem czarnych, kręcących się i napomadowanych włosów, w eleganckiej kamizelce, nieco wytartym surducie i niezbyt świeżej bieliźnie. Był wesół, przynajmniej uśmiechał się wesoło i dobrodusznie. Śniada jego twarz promieniała po wypitym szampanie.

— Jak to? Pan tutaj? — zaczął ze zdumieniem, mówiąc takim tonem, jakgdyby znał Raskolnikowa od lat. —

A Razumichin dopiero wczoraj opowiadał mi, że dotychczas leży pan chory, bez przytomności. Jakie to dziwne! A wie pan, że już byłem u pana...

Raskolnikow wiedział zgóry, że Zamietow podejdzie do niego. Odłożył gazety i zwrócił się do Zamietowa z uśmiechem, jakieś rozdrażnienie i zniecierpliwienie przebijało jednak w tym grymasie.

— Wiem o tem, że pan u mnie był, — odrzekł, — słyszałem o tem. Skarpetki pan szukał... A wie pan, Razumichin przepada poprostu za panem; opowiada, że pan z nim razem był u Lawizy Iwanowny... tej, o którą pan tak się starał, mrugał pan na porucznika Procha porozumiewawczo, a tamten ani rusz zrozumieć nie mógł; pamięta pan? Zdawałoby się, że nie można było nie zrozumieć, tak jasna była sprawa... co?

— Co za zawadjaka z niego!

— Z kogo? Z Procha?

— Nie, z pańskiego przyjaciela, Razumichina...

— Dobrze panu się powodzi, szanowny panie Zamietow; do najprzyjemniejszych lokali ma pan wejście wolne... któż to pana teraz tak napompował szampanem?

— A to my tak sobie... wypiliśmy trochę... A pan zaraz: „napompował".

— Honorarja! Umie pan ze wszystkiego skorzystać!— zaśmiał się Raskolnikow. — Nie szkodzi, mój piękny chłopcze, nie szkodzi! — dodał, klepiąc Zamietowa po ramieniu — przecież mówię to nie przez zawiść, a „tak sobie, na żart, z przyjaźni", — tak jak ten robotnik mówił o swej bitce z Mitką — w tej sprawie ze starą lichwiarką.

— A pan skąd wie?

— Ja może więcej wiem, niż pan!

— Co to pan taki jakiś dziwny... Chory pan jeszcze pewnie. Nie trzeba było z domu wychodzić...

— To ja wydaję się panu dziwny?

— Tak. Co to, pan gazety czyta?

— Gazety.

— Dużo teraz piszą o pożarach.

— Nie, ja nie czytam o pożarach.—Raskolnikow spojrzał na Zamietowa z zagadkową miną; szyderczy uśmiech

wykrzywił mu wargi. — Nie, o pożarach wcale nie czytałem, — ciągnął dalej, mrugając na Zamietowa. — A niech że się pan przyzna, miły mój młodzieńcze, bardzoby pan chciał się dowiedzieć, o czem czytałem?

— Wcale mnie to nie interesuje; zapytałem tak sobie. Cóż to, i zapytać nawet nie wolno? Co to pan wciąż...

— Słuchaj, pan, jest pan przecież człowiekiem wykształconym, oczytanym, nieprawdaż?

— Skończyłem sześć klas gimnazjum, — odpowiedział Zamietow z godnością.

— Sześć klas! A to ci ptaszek! A jaki śliczny przedział, co za pierścionki! — bogaty człowiek! Ach, co za miły z pana chłopaczek! — Raskolnikow parsknął nerwowym śmiechem prosto w twarz Zamietowa. Ten cofnął się, nie tyle obrażony, ile zdumiony...

— Co za dziwak z pana! — powtórzył Zamietow bardzo poważnie. — Zdaje mi się, że pan wciąż bredzi...

— Bredzę? kłamiesz, mój wróbelku! A więc dziwny jestem? No, a czy jestem dla pana ciekawy? Przyznaj się pan!

— Tak, bardzo mnie pan interesuje.

— Naprzykład, o czem czytałem, czego szukałem? Patrz pan, ile numerów kazałem sobie podać! Co, podejrzane, ha?

— No, niech pan sam powie.

— A pan już uszu nastawia?

— Co tam za nastawia!

— Potem panu powiem, co to za „nastawia", a teraz, mój najdroższy, oświadczam panu... nie, lepiej :„przyznaję się"... nie, i to nie dobrze: „zeznaję, a pan mnie przesłuchuje" — tak będzie lepiej! A więc, zeznaję, że czytałem, interesowałem się, szukałem... poszukiwałem, — Roskolnikow przymrużył oczy i przeczekał chwilę, — szukałem, i po to tutaj przyszedłem, — wiadomości o zamordowaniu staruchy lichwiarki, — wypowiedział wreszcie prawie szeptem, przybliżając swą twarz niemal do samej twarzy Zamietowa. Zamietow patrzył nań nieruchomo, nie odsuwając się od Raskolnikowa. Najbardziej dziwnem wydało się później Zamietowowi, że milczenie to trwało ca-

łą minutę, i że przez całą minutę, ni mniej ni więcej, patrzeli nieruchomo na siebie.

— No, to cóż z tego, że pan czytał? — zawołał nagle Zamietow zdumiony i podniecony. — Cóż to mnie obchodzi? Cóż w tem dziwnego?

— Jest to ta sama staruszka, — ciągnął dalej Raskolnikow szeptem, jak i przedtem, nie zwracając najmniejszej uwagi na słowa Zamietowa, — jest to ta sama, o której zaczęto opowiadać w cyrkule, a ja, pamięta pan, zemdlałem wtedy. Co, zrozumiał pan teraz?

— Ależ o co chodzi? Co to ma znaczyć... czy zrozumiałem? — rzekł Zamietow prawie zatrwożony.

Nieruchoma, poważna twarz Raskolnikowa zmieniła się w jednej chwili, i z miejsca wybuchnął takim samym nerwowym śmiechem, jak przedtem, jakgdyby nie był już zupełnie w stanie panować nad sobą. W tej chwili pamięć jego odtworzyła jasno i wyraziście uczucie, które przeżył tak niedawno: stoi oto za drzwiami z siekierą w ręku, zasuwka drga od uderzeń, tamci dwaj walą w drzwi pięściami i klną, a on odczuwa nieprzepartą chęć zawołać ich poprzez drzwi, kłócić się z nimi, pokazać im język, przedrzeźniać ich, śmiać się... zanosić się wprost od śmiechu, i śmiać się, śmiać się, śmiać się!

— Albo pan jest warjatem, albo... — wymówił Zamietow i urwał nagle, jakby zaskoczony myślą, która go uderzyła.

— Albo? Co za albo? No, co? No, niech-no pan powie!

— Nie! — mruknął Zamietow gniewnie. — Same bzdurstwa!

Umilkli obaj. Po tym nagłym paroksyzmie śmiechu Raskolnikow znowu posmutniał i zadumał się. Oparł łokcie na stole, podtrzymując głowę dłońmi. Wyglądało, jakgdyby zupełnie zapomniał o obecności Zamietowa. Milczenie trwało dosyć długo.

— Dlaczego pan nie pije herbaty? Wystygnie, — powiedział Zamietow.

— Co? Herbata? I owszem... — Raskolnikow odpił ze szklanki, zakąsił kawałkiem chleba i nagle spojrzał na

Zamietowa, jakby sobie coś przypomniał ;oprzytomniał; twarz jego przybrała dawny szyderczy wyraz. Popijał nerwowo herbatę.

— Tyle się namnożyło teraz oszustów, — zaczął znów Zamietow. — Niedawno czytałem w „Wiadomościach Moskiewskich“ że w Moskwie przyłapano całą szajkę fałszerzy. Zorganizowali bandę. Podrabiali papiery pożyczki państwowej.

— O, to stara historja! Czytałem o tem miesiąc temu— odpowiedział spokojnie Raskolnikow. — Więc to są zdaniem pana oszuści? — dodał z uśmiechem.

— A może nie?

— Oni? To dzieciaki, żółtodzióby, a nie oszuści. Zbierze się pięćdziesięciu ludzi i łączy się w bandę! Czy to nie śmieszne? Nawet trzech byłoby za dużo, i to jeszcze pod warunkiem, aby każdy miał do drugiego więcej zaufania, niż do samego siebie! Wystarczy, żeby jeden wygadał się po pijanemu i już całą sprawę djabli wzięli. Partacze! Wynajęli pierwszych lepszych młokosów, aby ci rozmieniali im pieniądze w kantorze; taką sprawę powierzyli ludziom zupełnie nieznanym! No, niech i tak będzie; przypuśćmy, że udało się przeprowadzić akcję nawet przy pomocy żółtodziobów; przypuśćmy, że każdy zarobił już po miljonie, — no, a co dalej? Jeden będzie zależny od drugiego przez całe życie! Wolałbym się powiesić! A ci nawet nie potrafili pieniędzy rozmienić: przyszedł taki do banku, otrzymał pięć tysięcy i już ręce mu drżały. Cztery tysiące przeliczył, a piątego już nie liczy nawet, chowa do kieszeni, aby zwiać czem prędzej. Oczywiście, odrazu rodzi się podejrzenie. I cała sprawa przepada z powodu jednego durnia! Czyż można w podobny sposób postępować?

— Pan się dziwi, że ręce mu drżały? — podchwycił Zamietow, — nie, to jest zupełnie naturalne. Jestem przekonany, że to jest naturalne. Nie zawsze można tak nad sobą panować...

— Tak panować?

— A co pan myśli, wytrzymałby pan? Ja bo na pewno nie! Za sto rubli narażać się na takie niebezpieczeństwo! Pójść z fałszywym banknotem, — i to gdzie? do kan-

toru banku, gdzie się dobrze na pieniądzach znają... Nie, jabym się nigdy nie odważył! A czy pan by się odważył?

Raskolnikowa ogarnęła nagle znowu nieprzeparta chęć *pokazać mu język*. Zimny dreszcz co chwilę przebiegał po jego plecach.

— Jabym to inaczej zrobił, — zaczął zwolna. — Przeliczyłbym pierwszy tysiąc ze cztery razy, każdy papierek obracałbym i badał skrupulatnie. Potem wziąłbym się za drugi tysiąc. Zacząłbym liczyć, doliczyłbym do połowy, a potem wyciągnąłbym jakąś tam pięćdziesięciorublówkę, i zacząłbym ją oglądać ze wszystkich stron pod światło, — czy nie jest przypadkiem fałszywa? „Obawiam się, — takbym powiedział do kasjera, — bo krewna moja straciła w ten sposób onegdaj dwadzieścia pięć rubli", — i opowiedziałbym mu całą historję. A kiedybym doszedł do trzeciego tysiąca, powiedziałbym znów do kasjera: „przepraszam pana, zdaje mi się, że w drugim tysiącu siódmą setkę źle obliczyłem, mam co do tego wątpliwości", zostawiłbym trzeci tysiąc i zabrałbym się znów do drugiego, — i w taki sposób liczyłbym aż do piątego, ostatniego tysiąca. A po przeliczeniu, znowubym wyciągnął z drugiego i z piątego tysiąca po papierku, i znów pod światło, znów wątpliwość: „może pan z łaski swojej zamieni na inne". Takby się kasjer przy mnie napocił, że jużby myślał tylko w jaki sposób mnie się pozbyć! A gdybym już naprawdę wszystko skończył, podszedłbym do drzwi, otworzyłbym je, a potem nagle — „przepraszam najmocniej", wróciłbym zpowrotem i jeszcze o coś kasjera zapytał, poprosił o jakiekolwiek wyjaśnienie... Ot, w jaki sposób jabym to urządził.

— Jakie pan okropne rzeczy opowiada,—powiedział Zamietow, śmiejąc się. — Ale to tylko słowa, a w praktyce na pewno pan by odrazu się potknął. W takich wypadkach, mówię panu, nietylko ja lub pan, a nawet zawodowy złodziej, zdecydowany przestępca za siebie ręczyć nie może. Ale poco szukać daleko, mamy najlepszy przykład: zamordowanie staruszki w naszej dzielnicy. Zdawałoby się, że naprawdę straszny przestępca, w biały dzień zaryzykował, uratował się tylko cudem, a ręce widać mu też drżały:

nie potrafił obrabować na czysto, nie wytrzymał; widać z tej sprawy...

Przemówienie Zamietowa uraziło, zda się, Raskolnikowa.

— Widać, pan mówi? No, to złapcie go teraz, spróbujcie! — zawołał szyderczo z widocznym zamiarem dokuczenia Zamietowowi.

— Wielka rzecz! Naturalnie złapią...

— Kto? Może pan? Pan go złapie? No, to spróbuj pan! Dla pana zawsze najgłówniejsza rzecz — czy nie wydaje kto za dużo pieniędzy. Dawniej ktoś nie miał ani grosza, a teraz zaczyna szastać pieniędzmi — tego już starczy, zdaniem pana musi to być przestępca... Toć nawet dziecko potrafi pana oszukać, gdy tylko zechce.

— Właśnie cała rzecz w tem, że oni wszyscy w ten sposób postępują, — odparł Zamietow. — Zabić potrafi, życie na kartę postawi, a potem do knajpy, a tam już policja na niego czeka. Właśnie trwonieniem pieniędzy się wsypują. Nie każdy przecież jest taki przemądrzały jak pan. Pan by na pewno do knajpy nie poszedł.

Raskolnikow ściągnął brwi i patrzał na Zamietowa uważnie.

— Pan, zdaje się, nabiera apetytu? Chciałby pan się dowiedzieć, w jaki sposób jabym postąpił w takim wypadku?

— Owszem, chciałbym, — odparł tamten zdecydowanym i poważnym głosem. Wogóle spoważniał ogromnie pod koniec rozmowy.

— Czy bardzo panu o to chodzi?

— Bardzo!

— Dobrze! Jabym postąpił w taki sposób, — zaczął Raskolnikow, znowu przybliżając swą twarz do twarzy Zamietowa. Patrzał mu prosto w oczy, i mówił szeptem tak cichym, że tamten drgnął. — Jabym postąpił w taki sposób: zabrałbym biżuterję i pieniądze, i natychmiast udałbym się na jakieś odludne miejsce, gdzie nikogo niema, nikt nie mieszka, a są tylko płoty, może jakieś ogrody warzywne, jednem słowem coś w tym rodzaju. Jeszcze przedtem upatrzyłbym sobie tam kamień, pud albo półtora

wagi, co leży gdzieśkolwiek w rogu, przy ogrodzeniu, już dawno, może od czasu jak okoliczne kamienice zostały pobudowane. Podniósłbym ten kamień, — powinno tam zawsze być wgłębienie w ziemi, i do tego wgłębienia złożyłbym wszystkie rzeczy i pieniądze. Złożyłbym wszystko, mówię, a potem przycisnął kamieniem, tak jak dawniej było, jeszczebym nogą przygniótł, i poszedłbym sobie. I nic a nic stamtąd bym nie brał cały rok, albo dwa, a może i trzy, — szukajcie teraz! Ot, przepadło jak kamień w wodzie.

— Zwarjowałeś pan! — wykrztusił Zamietow też prawie szeptem, i odsunął się dlaczegoś od Raskolnikowa. Tamtemu nagle błysnęły oczy; zbladł okropnie i górna warga zaczęła mu drgać. Przysunął się do Zamietowa jak najbliżej, i poruszał wargami, nie wydając ani jednego dźwięku. Trwało to może z pół minuty. Raskolnikow zdawał sobie sprawę z tego, co robił, ale nie mógł się powstrzymać. Podobnie jak wtedy drgała zasuwka u drzwi, tak teraz okropne słowo drgało i ważyło się na jego wargach, gotowe wyrwać się każdej chwili. A co będzie jeżeli powie? A co, jak wypowie?

— A coby było, gdybym to ja zamordował staruchę i Lizawetę? — wymówił nagle i — oprzytomniał.

Zamietow wpił się weń dzikim wzrokiem i zbladł jak płótno. Twarz jego wykrzywiła się w uśmiechu.

— Czyż to możliwe? — wyszeptał ledwo dosłyszalnym głosem.

Raskolnikow spojrzał nań szyderczo.

— Uwierzył mi pan jednak, przyznaj się pan! — wyrzekł wreszcie zimnym ironicznym tonem. — Co, czy nieprawda?

— Wcale nie! Teraz wierzę mniej niż kiedykolwiek! — powiedział Zamietow pośpiesznie.

— A, nareszcie pan wpadł! Złapano wróbelka! A więc wierzył pan przedtem, skoro teraz „wierzy pan mniej, niż kiedykolwiek".

— Ależ wcale nie! — zawołał Zamietow, widocznie zmieszany. — To poto mnie pan tak nastraszył, żeby ze mnie to wydobyć?

— Więc nie wierzy pan? A o czem to państwo rozmawiali w mojej nieobecności, gdy wyszedłem z cyrkułu? A poco mnie porucznik Proch badał po mojem omdleniu? Pst, chłopcze — krzyknął na kelnera, wstając z krzesła i biorąc czapkę, — ile płacę?

— Trzydzieści kopiejek wszystkiego, — odpowiedział tamten, podbiegając do stolika.

— Masz tutaj jeszcze dwadzieścia na wódeczkę. Patrz pan, ile mam pieniędzy, — wyciągnął ku Zamietowowi drżącą rękę z pieniędzmi: — widzi pan, trzyrublówki, pięciorublówki, razem dwadzieścia pięć rubli. Skąd tyle? A skąd się nowe ubranie wzięło? Przecież wie pan, że grosza nie miałem!... Gospodynię to już na pewno pan dobrze wybadał... No, dosyć tego... *Assez causé!* Do miłego zobaczenia...

Wyszedł, drżąc na całem ciele z jakiegoś dziwnego, histerycznego podniecenia, w którem kryła się jednak spora doza dziwnej rozkoszy, niemal nie do zniesienia. Mimo to był posępny i zmęczony. Twarz jego krzywiła się, jak po ataku nerwowym. Uczucie zmęczenia potęgowało się z każdą chwilą. Wogóle, ostatnio przy lada podnieceniu odczuwał przypływ sił, który jednak trwał bardzo krótko i słabnął w miarę jak słabły uczucia, które go wywołały.

Zamietow, pozostawszy sam, długo jeszcze siedział nieruchomo, zatopiony w rozmyślaniach. Raskolnikow narzucił mu niewzruszoną konkluzję, która zmieniła zupełnie jego dotychczasowy pogląd.

— Ilja Pietrowicz jest idjota! — zaopinjował stanowczo.

Zaledwie Raskolnikow uchylił drzwi prowadzące na ulicę, spotkał się oko w oko z Razumichinem, który wchodził po schodach. Obaj nie zauważyli się wzajemnie, tak że omal uderzyli o siebie głowami. Przez krótką chwilę stali, mierząc się spojrzeniem. Razumichin był ogromnie zdziwiony, ale nagle gniew, prawdziwy srogi gniew błysnął w jego oczach.

— Toś ty tutaj! — wrzasnął na całe gardło. — Z łóżka uciekłeś! A ja cię tam szukałem, pod kanapę nawet zaglądałem! Omal nie wytłukłem Nastasji przez ciebie... A on

spaceruje sobie! Rodio! Co to ma znaczyć? Mów całą prawdę! Przyznaj się! Słyszysz?

— Znaczy to tylko tyle, żeście sprzykrzyli mi się śmiertelnie, i chcę pozostać sam, — spokojnie odpowiedział Raskolnikow.

— Sam? Patrzcie go: ledwo łazi, twarz ma bladą jak płótno, oddychać nie może... Idjoto! Coś tam w Kryształowym Pałacu robił? Mów natychmiast!

— Puść mnie! — krzyknął Raskolnikow i chciał go wyminąć.

To już ostatecznie wyprowadziło Razumichina z równowagi; schwycił go mocno za ramię.

— Puścić? Jak ty śmiesz mówić puść, po tem, co zrobiłeś? Czy wiesz, co ja z tobą teraz zrobię? Zwiążę cię sznurem, i jak paczkę zaniosę pod ręką do domu, a tam zamknę cię na klucz!

— Słuchaj, Razumichin, — zaczął Raskolnikow cichym i napozór zupełnie spokojnvm głosem, — czy ty naprawdę nie widzisz, że nie chcę wcale twych dobrodziejstw? Co to za przyjemność wyświadczać przysługi ludziom, którzy plują na to? Ludziom, którzy naprawdę nie mogą znieść tego? Poco odszukałeś mnie, gdym leżał chory? A może jabym wolał umrzeć? Czy nie okazałem ci dziś wyraźnie, że mnie męczysz, że mi... naprzykrzyłeś się! Jaką przyjemność sprawia ci dręczenie ludzi? Zapewniam cię, że to przeszkadza memu wyzdrowieniu, bo ciągle mnie denerwuje. Przecież Zosimow odszedł sobie wtedy, żeby mnie nie denerwować. Zaklinam cię na Boga, daj mi już raz spokój! Kto ci dał prawo zatrzymywać mnie przemocą? Czy ty naprawdę nie widzisz, że jestem teraz już przy zdrowych zmysłach? Powiedz mi, jak, w jaki sposób mam cię ubłagać, byś dał mi wreszcie spokój i nie naprzykrzał się swojemi dobrodziejstwami? Nazwijcie mnie niewdzięcznym, podłym, ale dajcie mi nareszcie święty spokój... Dosyć już mam was! Dosyć!

Raskolnikow z początku mówił spokojnie, ciesząc się zgóry myślą o przykrości, jaką chciał wyrządzić Razumichinowi, ale skończył w ogromnem podnieceniu, dusząc się z wściekłości, podobnie jak w rozmowie z Łużinem.

Razumichin stał przez chwilę niezdecydowany i zamyślony; potem puścił rękę Raskolnikowa.

— W takim razie idź sobie do djabła! — przemówił cichym, pawie melancholijnym głosem. — Stój! — ryknął nagle, gdy Raskolnikow chciał już odejść. — Słuchaj! Oświadczam ci, że wszyscy wy jak jeden mąż jesteście straszne niedorajdy. Macie jakieś groszowe zmartwienia, a cackacie się z niemi tak, jak kura z jajkiem! I tu nawet wzorujecie się na obcych autorach! Niema w was nawet krzty samodzielnego życia. Z wazeliny jesteście zrobieni, a miast krwi serwatkę macie! Ani jednemu z was nie wierzę! Dla was najważniejszą jest rzeczą, żeby nigdy, w żadnych okolicznościach, nie być podobnym do człowieka! Stój, czekaj! — wrzasnął ze zdwojoną wściekłością, zauważywszy, że Raskolnikow znów zabiera się do odejścia, — słuchaj do końca! Wiesz, dziś mam gości, będą oblewać nowe moje mieszkanie, może nawet już się zebrali; a ja tam wujka zostawiłem, żeby gości przyjmował. Więc, właśnie, gdybyś nie był durniem, pospolitym durniem, skończonym idjotą, naśladowcą, tłumaczonym z obcego języka... wiem, Rodio, rozumiem, że z ciebie mądry chłop, ale idjota jesteś, niestety! — więc właśnie gdybyś nie był durniem, tobyś lepiej dzisiaj do mnie przyszedł spędzić wieczór, niż buty zdzierać na ulicy. Wszystko jedno, już wyszedłeś z domu, teraz już niema co gadać. Jabym ci fotel miękki podał, gospodyni ma taki... Herbatka, towarzystwo... A jeśli nie chcesz, położę cię na kanapie, — bądź co bądź wśród swoich ludzi będziesz... Zosimow też będzie. Więc przyjdziesz?

— Nie.

— Nie bredź! — krzyknął Razumichin zniecierpliwiony, — skąd wiesz? Nie możesz ręczyć za siebie. Ja podobnie jak ty tysiąc razy kłóciłem się z ludźmi, i potem znowu do nich przychodziłem... Sumienie przemówi, — no, więc idziesz zpowrotem do człowieka... Więc pamiętaj, dom Poczinkowa, drugie piętro...

— Widzę, szanowny panie Razumichin, że zgodziłby się pan, aby go tłukli, byle tylko mieć przyjemność świadczenia komuś wątpliwych dobrodziejstw.

— Kogo tłuc? Mnie? Za sam pomysł nos oderwę! Dom Poczinkowa, nr. 47, mieszkanie urzędnika Babuszkina...

— Nie przyjdę, panie Razumichin! — Raskolnikow odwrócił się i poszedł.

— Idę o zakład, że przyjdziesz! — krzyknął za nim wślad Razumichin. — A jak nie... to i słyszeć o tobie nie chcę! Czekaj! Zamietow jest tam?

— Jest.

— Widziałeś go?

— Widziałem.

— Rozmawiałeś z nim?

— Rozmawiałem.

— O czem? A zresztą, niech cię piorun trzaśnie, nie mów mi tego. Więc Poczinkowa, 47, Babuszkin, — pamiętaj!

Raskolnikow doszedł do ulicy Sadowej i zniknął za rogiem. Razumichin w zamyśleniu patrzał za nim. Wreszcie, machnąwszy ręką, wszedł do restauracji, ale nagle zatrzymał się na schodach.

— Niech-że mnie licho porwie, — ciągnął dalej prawie głośno, — mówi niby rozsądnie, a jednak zdaje mi się... Ale i ze mnie też porządny dureń! A czy warjaci nie potrafią rozprawiać rozsądnie? Zdaje się, Zosimow tego właśnie się obawia!... — Puknął się w czoło... — A co będzie, jeżeli... jak ja mogłem zostawić go teraz samego? Przecież może się jeszcze utopić! Ech, palnąłem głupstwo! Nie wolno! — i Razumichin pobiegł zpowrotem, aby dogonić Raskolnikowa, ale nie mógł go nigdzie dostrzec. Splunął ze złości i szybko powrócił do „Pałacu Kryształowego“, żeby czem prędzej wybadać Zamietowa.

Raskolnikow poszedł prosto na ...ski most, stanął pośrodku mostu i oparłszy się łokciami o balustradę, patrzył przed siebie. Po rozmowie z Razumichinem poczuł nagle takie osłabienie, że z trudem dowlókł się do mostu. Chciał usiąść gdziekolwiek, albo położyć się wprost na ulicy. Pochyliwszy się nad wodą, patrzył bezmyślnie na ostatni różowy odblask zachodzącego słońca, na rząd domów, które wydawały się ciemne na tle zapadającego zmierzchu, na od-

dalone okno gdzieś na poddaszu, po lewej stronie kanału, które zda się płonęło w ostatnich promieniach słońca... Potem wpatrywał się znów z natężoną uwagą w ciemną wodę. Nagle mignęły mu w oczach jakieś czerwone koła, domy ruszyły z miejsca; przechodnie, brzegi rzeki, pojazdy, — wszystko zawirowało i zatańczyło dziką sarabandę... Drgnął: uratowało go od omdlenia nowe, dzikie i wstrętne wydarzenie. Poczuł, że ktoś stoi obok niego z prawej strony, tuż przy nim. Spojrzał: była to wysoka kobieta, w chustce na głowie, o żółtej, podłużnej, wychudłej twarzy i zaczerwienionych, zapadłych oczach. Patrzyła prosto na niego, lecz jasnem było, że go nie widziała i niczego już nie rozróżniała dokoła. Nagle kobieta oparła się prawą ręką o balustradę, podniosła prawą nogę, przełożyła ją przez poręcz, potem lewą, i skoczyła do kanału. Brudna woda zakryła ofiarę na chwilę, ale po chwili wypchnęła ją na powierzchnię. Prąd ją unosił; głowa i nogi zanurzone były w wodzie, plecy wystawały nad powierzchnią; spódnica wzdęła się nad wodą jak poduszka.

— Utopiła się! Utopiła się! — krzyczało z dziesięć głosów naraz. Ludzie zbiegali się; na brzegach kanału gromadzili się przechodnie; na moście koło Raskolnikowa zebrał się cały tłum widzów, który go popychał i przyciskał do poręczy.

— Święci pańscy, toć to nasza Afrosinjuszka — rozległ się wpobliżu płaczliwy krzyk kobiety. — Ratujcie, kto w Boga wierzy! Ludzie kochani, wydobądźcie ją z wody!

— Łódkę, łódkę dawać! — krzyczano w tłumie.

Ale łódka była już niepotrzebna. Policjant szybko zbiegł po schodach, prowadzących do wody, zrzucił z siebie płaszcz, buty i skoczył do kanału. Nie było to zadanie trudne, kobietę unosił prąd bardzo blisko schodów. Policjant schwycił ją prawą ręką za suknię, lewą zaś trzymał się drąga, który z brzegu podał mu kolega. Niedoszłą samobójczynię wyciągnięto na brzeg i złożono na granitowych płytach chodnika. Niebawem przyszła do siebie, uniosła się trochę i usiadła, kichając, parskając i bezmyślnie obciągając mokrą suknię. Nie przemówiła słowa.

— Do białej gorączki się spiła, ludzie moi drodzy, do białej gorączki, — wył ten sam kobiecy głos tuż obok Afrosinjuszki. — Onegdaj chciała się powiesić, uratowano ją z pętli. A teraz poszłam tylko do sklepiku, zostawiłam przy niej dziewczynę, aby jej doglądała, — a tu taki grzech! To nasza sąsiadka, moi panowie, mieszka tuż obok nas, drugi dom od rogu, o tam!...

Tłum zaczął rzednąć; policjanci krzątali się jęszcze koło uratowanej kobiety, ktoś krzyknął, że wartoby ją odstawić do cyrkułu... Raskolnikow patrzył na wszystko z dziwną obojętnością. Odczuwał wstręt. — Nie, to brzydkie... woda... nie warto, — mruczał pod nosem. — Nic już nie będzie, — dodał po chwili, — nie warto czekać. Co oni tam mówili o cyrkule?... A dlaczego Zamietowa niema w cyrkule? Przecież o dziesiątej już otwierają...

Odwrócił się plecami do balustrady i obejrzał się dokoła.

— No i cóż? Niech będzie! — powiedział rezolutnie, zeszedł z mostu i skierował się w stronę cyrkułu. W sercu odczuwał przerażającą pustkę. Nie chciał myśleć. Nawet niepokój, który go dręczył, gdzieś zniknął; nie było w nim ani śladu tej energji, którą odczuwał wychodząc z domu z zamiarem *skończenia wszystkiego za jednym zamachem.* Uczucia te ustąpiły miejsca zupełnej apatji.

— No cóż, to też będzie wyjściem, — myślał, idąc leniwie i powoli brzegiem kanału. — A jednak skończę, dlatego że tak chcę... A czy to będzie wvjściem? Wszystko mi jedno! Będę miał swój metr ziemi, he-he! Co za finał! I czy to ma być finał? Powiem im, czy nie powiem? E, do djabła! Jaki jestem zmęczony; dobrze bvłoby położyć się gdziekolwiek, albo choćby usiąść. Największy wstyd, że zbyt głupio wszystko wygląda... Ale gwiżdżę i na to! Pfuj, co za głupstwa przychodzą mi do głowy...

Do cyrkułu trzeba było iść prosto, i na drugim rogu skręcić na lewo; biuro policji mieściło się o kilka kroków stamtąd. Ale Raskolnikow, gdy doszedł do pierwszej przecznicy, zatrzymał się, namyślał się przez chwilę, skręcił wreszcie w boczną uliczkę i poszedł okólną drogą, — może nie mając żadnego celu na widoku, a może w zamiarze od-

roczenia ostatniej chwili i zyskania jeszcze choć jednej minuty. Wlókł się z oczami wbitemi w ziemię. Nagle wydało mu się, że ktoś szepcze mu coś do ucha. Podniósł głowę i spostrzegł, że stoi koło *owego* domu, przy samej bramie. Od *tamtego* wieczora nie był tutaj i ani razu nie przechodził tędy.

Nieprzeparte, niepojęte pragnienie ogarnęło go. Wszedł do bramy, skręcił na pierwsze schody z prawej strony i zaczął wchodzić po tak dobrze znanych stopniach na trzecie piętro. Wąziutkie, strome schody były nieoświetlone. Zatrzymywał się na każdem piętrze, rozglądając się ciekawie.

W jednem z okien na pierwszem piętrze były wyjęte okiennice. „Tego wówczas nie było“, pomyślał. Doszedł do tego mieszkania na drugiem piętrze, gdzie pracowali Mikołaj i Mitka.

„Zamknięte, — pomyślał, — i drzwi świeżo pomalowane; widocznie jest do wynajęcia“. Oto i trzecie piętro... *Tutaj!* Ogarnęło go zdumienie: drzwi do *tamtego* mieszkania stały otwarte naoścież, byli tam ludzie, dochodziły głosy; tego już wcale się nie spodziewał. Zawahał się chwilę, potem przekroczył kilka ostatnich schodów i wszedł do mieszkania.

Znajdowało się tam dwóch robotników, którzy pracowali przy odnawianiu mieszkania, co go niezmiernie zaskoczyło. Wyobrażał sobie, niewiadomo dla czego, że znajdzie wszystko w tym samym stanie, w jakim zostawił wówczas, może nawet trupy, leżące na tych samych miejscach na podłodze. A oto gołe ściany; niema żadnych mebli; jakie to wszystko jest dziwne! Podszedł do okna i usiadł we framudze.

W pokoju było dwóch robotników; obydwaj młodzi, przyczem jeden był znacznie starszy od drugiego. Zdzierali stare, żółte, wytarte i powalane tapety, a na ich miejsce naklejali nowe, białe w liljowe kwiatki. Raskolnikowowi było to bardzo przykre, chociaż sam nie wiedział dlaczego; patrzył na nowe tapety wrogo, jakgdyby go mocno obchodziły zmiany, poczynione w mieszkaniu.

Robotnicy zabierali się już do odejścia i pośpiesznie

zwijali rolki. Nie zwrócili przytem wcale uwagi na zjawienie się Raskolnikowa. Rozmawiali o czemś. Raskolnikow przysłuchiwał się rozmowie, siedząc ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma.

— Przychodzi ona do mnie z rana, — opowiadał starszy, — wystrojona co się zowie! — Czego ty zawsze figle stroisz, — pytam, — i czego chcesz ode mnie? — Chcę, — odpowiada, — Tytusie Wasiljewiczu, spełnić wszystkie życzenia pańskie, co pan tylko każe. — A, myślę sobie, więc jej o to chodzi! Ale wystrojona, powiadam ci, jak obrazek z żurnalu!

— A co to jest żurnal, wujaszku? — zapytał młodszy tonem ucznia, który się zwraca do nauczyciela.

— Żurnal, jest to, — jakby ci to powiedzieć, — gazeta z malowanemi obrazkami, co sobota przychodzi pocztą do naszych krawców z zagranicy. Są tam opisy, jak naprzykład mężczyzna powinien być ubrany; no i kobiety też. Więc obrazki takie... Mężczyźni przeważnie noszą surduty; no, a co do kobiet, to takie w tej branży kwiatki, że aż oczy nawierzch wyłażą z podziwu.

— Czego w tym Petersburgu niema! — zawołał młodszy w uniesieniu, — prócz ojca — matki wszystko tu znajdziesz!

— Tak, braciszku, prócz tego wszystko tutaj jest, — zadecydował starszy pouczającym tonem.

Raskolnikow podniósł się i wszedł do drugiego pokoju, gdzie dawniej stały kufry, łóżko i komoda; pokój pozbawiony mebli wydał mu się maleńki. Tapety pozostały stare; w kącie, na tapetach pozostał wyraźny ślad półki z obrazami świętych. Spojrzawszy naokoło, Raskolnikow wrócił na dawne miejsce. Starszy robotnik przyglądał mu się zpodełba.

— Czego pan sobie życzy, — zapytał nagle, zwracając się do Raskolnikowa.

Tamten miast odpowiedzi wyszedł do przedpokoju i pociągnął za sznurek dzwonka. Ten sam dzwonek, ten sam głuchy dźwięk, niby od uderzenia w blachę. Pociągnął jeszcze raz i jeszcze; wsłuchał się i coś sobie przypominał. Prze-

żywał po raz wtóry męczące i straszne chwile, coraz to plastyczniej, jaśniej; Raskolnikow wzdrygał się przy każdem uderzeniu dzwonka, lecz mimo to doznawał uczucia jakiejś dziwnej rozkoszy.

— Ale czego pan tutaj chce? Kim pan jest? — zawołał robotnik, wchodząc do przedpokoju. Raskolnikow znowu wrócił do pokoju.

— Chcę wynająć mieszkanie, — odpowiedział po chwili, — chcę je obejrzeć.

— Po nocach nikt mieszkań nie wynajmuje; prócz tego, powinieneś pan przyjść z dozorcą.

— A czy podłogę wymyto? Czy będziecie ją malować? — ciągnął dalej Raskolnikow. — Śladów krwi już nie widać...

— Jakiej krwi?

— Przecież tutaj zamordowano staruchę razem z jej siostrą. Cała kałuża krwi była na podłodze...

— Ale kim pan jesteś, do licha! — zawołał zaniepokojony robotnik.

— Ja?

— Tak, pan.

— Bardzo jesteś ciekaw? Pójdziem do cyrkułu, tam ci opowiem.

Robotnicy spojrzeli nań zdumieni.

— No, czas iść. Chodźmy, Aleszka. Trzeba zamknąć mieszkanie, — powiedział starszy robotnik.

— Chodźmy, — zgodził się Raskolnikow obojętnie, i poszedł przodem, powoli schodząc po karkołomnych schodach. — Hej, dozorco! — zawołał, podchodząc do bramy.

Grupka ludzi stała na ulicy tuż przy bramie, gapiąc się na przechodniów; byli tam obaj dozorcy, jakaś baba, mieszczuch w chałacie i kilka innych. Raskolnikow skierował się prosto ku nim.

— Czego pan sobie życzy? — odezwał się jeden z dozorców.

— Czy byłeś już w biurze policji?

— Byłem przed chwilą. O co panu chodzi?

— Czy są tam jeszcze urzędnicy?

— Są.

— A czy pomocnik naczelnika jest tam?

— Był tam przez pewien czas. A poco pan pyta?

Raskolnikow nie odpowiedział i stał obok nich w zamyśleniu.

— Ten pan chciał mieszkanie obejrzeć, — wtrącił się do rozmowy starszy z robotników.

— Jakie mieszkanie?

— To, w którem pracujemy. „Poco, powiada zmyliście ślady krwi. Tutaj, powiada, morderstwo popełniono, a ja chcę mieszkanie wynająć“. I jak nie zacznie szarpać za dzwonek, mało go nie urwał. „Chodźmy, powiada, do cyrkułu, tam ci wszystko opowiem“.

Dozorca nachmurzył się i ze zdumieniem spojrzał na Raskolnikowa.

— Ale kim pan jest? — krzyknął groźnie.

— Jestem Rodion Romanowicz Raskolnikow, były student; mieszkam niedaleko stąd, w domu Szilla, mieszkanie nr. 14. Zapytaj dozorcę, on mnie zna dobrze... — Raskolnikow mówił jakby myślą nieobecny, rozwlekle i leniwie, nie odwracając się do niego i patrząc uparcie na ulicę, która coraz bardziej otulała się w mrok.

— Poco pan do mieszkania przychodził?

— Obejrzeć je chciałem.

— Co pan chciał obejrzeć?

— Najlepiej zaprowadzić go do cyrkułu, — odezwał się mieszczuch w szlafroku i umilkł.

Raskolnikow spojrzał nań zukosa, przez ramię, przez chwilę obserwował go w ten sposób uważnie, i wreszcie powiedział cichym, zmęczonym głosem:

— No to chodźmy!

— Naturalnie, należy go odstawić do policji, — podchwycił mieszczanin, nabrawszy odwagi. — Dlaczego go to tam interesuje, co on ma na myśli, hę?

— Może pijany, a zresztą pan Bóg go wie, — mruknął robotnik.

— Ale czego pan chce, u licha! — krzyknął dozorca, rozgniewany nie na żarty. — Czego się pan czepia?

— Stchórzyłeś już? Nie chcesz iść do cyrkułu? — ironicznie zapytał Raskolnikow.

— Ja stchórzyłem? Ja ci zaraz pokażę...

— Rzezimieszek jakiś! — krzyknęła baba.

— Co z nim dużo gadać, — ryknął drugi dozorca, drab ogromny w rozpiętym kaftanie i z pękiem kluczy za pasem. — Jazda! Naprawdę, jakiś opryszek!.. Wynoś się...

Schwycił Raskolnikowa za ramię i pchnął go na ulicę. Tamten potknął się, lecz nie upadł, wyprostował się, spojrzał milcząco na wszystkich uczestników tej sceny i poszedł dalej.

— Dziwak jakiś, — odezwał się robotnik.

— Dużo teraz jest takich dziwaków, — odezwała się baba.

— Mojem zdaniem, było go odprowadzić na policję, — dodał mieszczanin.

— Lepiej nie zaczynać, — zadecydował dozorca. — To tak sobie, frajer jakiś. Niby sam się narzuca, chce do policji iść, a jak raz z nim zaczniesz, to i końca temu nie będzie... Wiemy o tem dobrze!

— A więc iść, czy nie? — rozważał Raskolnikow, zatrzymawszy się na jezdni na skrzyżowaniu dwóch ulic i rozglądając się dokoła, jakby w oczekiwaniu czyjejś ostatniej, decydującej rady. Ale nikt i nic się nie odezwało; wszystko zdawało się zamierać w głuchem milczeniu; wszystko było martwe, jak kamienie, po których stąpał, ale martwe tylko dla niego, dla niego jednego... Wtem gdzieś woddali, przy samym końcu ulicy, o paręset kroków śród zapadającego mroku Raskolnikow dojrzał tłum ludzi. Dolatywały krzyki i nawoływania... Śród tłumu stał jakiś powóz... Migotało światło latarni... „Coś się stało“, pomyślał Raskolnikow. Skręcił na prawo i skierował się na tłum. Czepiał się wszystkiego, jak tonący. Sam to spostrzegł i uśmiechnął się zimno do siebie: powziął niezłomny zamiar udać się na policję i wiedział, że niedługo wszystko się skończy.

## VII.

W pośrodku ulicy stał wykwintny, szykowny powóz zaprzężony w parę rączych koni; w powozie nie było nikogo, a stangret zlazł z kozła i stał obok; konie trzymano za wędzidła. Dokoła cisnął się tłum ludzi; kilku policjantów stało na przodzie. Jeden z nich trzymał w ręku latarnię, i nachyliwszy się, oświetlał coś, co leżało na jezdni tuż przy kołach powozu. Tłum nawoływał, krzyczał, wyrażał przerażenie i współczucie; stangret był zupełnie oszołomiony i wciąż powtarzał:

— Co za nieszczęście! Boże, jakie nieszczęście!

Raskolnikow przecisnął się przez tłum i ujrzał nareszcie to, co było przyczyną wzburzenia i ciekawości. Na ziemi leżał człowiek, przed chwilą stratowany przez konie; był bez przytomności, ubrany ubogo, cały w krwi. Krew ściekała mu po twarzy; cała głowa była rozbita i pokaleczona. Prawdopodobnie doznał poważnych obrażeń cielesnych pod kopytami koni.

— Cóż ja tu zawiniłem, — tłumaczył się stangret płaczliwym głosem, — czy tego można dopilnować? Gdybym jechał szybko, albobym nie wołał na niego, to co innego; ale przecież jechałem zupełnie powolutku. Wszyscy to widzieli, każdy może powiedzieć... Pijanemu morze po kolana,—znana rzecz... Patrzę, przechodzi przez ulicę, zatacza się, ledwo się trzyma na nogach, — krzyknąłem raz, drugi i trzeci, i zacząłem już ściągać konie; a on, czort go wie w jaki sposób, wpadł wprost koniom pod nogi. Może nawet naumyślnie, albo był już zanadto wstawiony... Konie młode, płochliwe, — szarpnęły się naraz; on krzyknął, ale było za późno... takie nieszczęście!

— Tak, tak, tak było jak on opowiada, — zawołał ktoś w tłumie.

— Krzyczał na niego... sam słyszałem, jak trzy razy krzyknął, — odezwał się głos innego świadka.

— Wszyscy słyszeli, że trzy razy wołał, — potwierdził trzeci.

Zresztą stangret nie był tak przestraszony i przy-

gnębiony, jak to się wydawało na pierwszy rzut oka. Powóz należał widocznie do osoby bogatej i możnej, i właściciel na pewno czekał na jego przybycie; okoliczność ta zaważyła na zachowaniu się policjantów, którzy starali się jak najprędzej zlikwidować całe zajście. Ofiarę wypadku należało zawieźć do najbliższego posterunku policji, albo do szpitala. Nikt z obecnych nie znał nazwiska nieszczęśliwego.

W międzyczasie Raskolnikow przecisnął się przez tłum i nachylił się nad ciałem, leżącem na bruku. Wtem światło latarni padło prosto na twarz ofiary: Raskolikow poznał go natychmiast.

— Ja go znam, znam! — zawołał, występując naprzód; — to urzędnik, dymisjonowany radca tytularny Marmeładow. Mieszka blisko, tuż obok, w domu Kosela... Trzeba zawołać doktora! Ja zapłacę, dam pieniądze! — Wydobył z kieszeni zwitek banknotów i pokazał policjantowi. Znajdował się w stanie dziwnego podniecenia.

Policjanci byli zadowoleni, gdy dowiedzieli się wreszcie o nazwisku ofiary katastrofy. Raskolnikow wymienił swe nazwisko i adres, i zaklinał wszystkich, aby nieszczęśliwego Marmeładowa zanieśli czem prędzej do domu. Denerwował się tak, jakby tu chodziło o rodzonego ojca.

— Tu niedaleko, obok, — mówił w nadzwyczajnym pośpiechu, — w domu Kosela, bogatego Niemca... Widocznie był pijany i powracał do domu... Ja go znam. To pijak nałogowy... Ma rodzinę, żonę, kilkoro dzieci i córkę dorosłą. Do szpitala daleko, a w domu na pewno znajdziemy lekarza. Ja sam zapłacę! Jakby nie było, w domu zaopiekuje się nim własna rodzina, a jeżeli go wieźć do szpitala, może umrzeć po drodze.

Zdołał nawet wcisnąć coś w garść jednemu z policjantów. Zresztą sprawa była jasna i bez tego; w każdym razie Raskolnikow miał rację; — o pomoc lekarską było tutaj łatwiej. Kilku ludzi podniosło ciało z ziemi; Raskolnikow szedł ztyłu, podtrzymując zwisającą głowę Marmeładowa i wskazując drogę. Do domu Kosela było ze trzydzieści kroków.

— Tędy, tędy! Na schodach trzeba nieść ostrożnie,

głową naprzód... obróćcie go... tak, tak! Ja zapłacę, ja się odwdzięczę, — bełkotał Raskolnikow.

Katarzyna Iwanowna, jak to było jej zwyczajem gdy miała wolną chwilę, chodziła po swym małym pokoiku, od okna do pieca i zpowrotem, skrzyżowawszy ręce na piersiach, mrucząc coś do siebie i pokasłując. W ostatnim czasie coraz częściej prowadziła długie rozmowy ze swą starszą córeczką, dziesięcioletnią Poleńką. Dziewczyna nie mogła jeszcze zrozumieć wszystkiego, co opowiadała matka; lecz jedno rozumiała, że prowadzenie rozmowy z nią jest dla matki koniecznością. Dlatego też Poleńka wodziła za matką swemi dużemi, mądremi oczyma, i udawała, że wszystko rozumie. Tego wieczora Poleńka rozbierała młodszego braciszka, który był trochę niezdrów i powinien był wcześniej pójść do łóżka. Należało zmienić chłopcu koszulę, a brudną wyprać tej nocy. Chłopczyk siedział na krześle, milczący i nieruchomy, z poważną miną, wyciągnąwszy swe nóżki. Przysłuchiwał się rozmowie mamusi z siostrzyczką i zachowywał się tak, jak powinno się zachowywać każde dziecko, które rozbierają do snu: słuchał wydąwszy wargi, wytrzeszczywszy oczki, skupiony i poważny. Młodsza siostrzyczka, ubrana w łachmany, stała za parawanikiem i czekała swej kolejki. Drzwi, prowadzące na schody, były otwarte naoścież; w ten sposób nieszczęśliwa suchotnica chciała się pozbyć kłębów tytuniowego dymu, które wdzierały się co chwila z innych pokoi i wywoływały u niej długie i męczące ataki kaszlu. Katarzyna Iwanowna w ciągu ostatniego tygodnia jeszcze bardziej schudła; czerwone wypieki na policzkach występowały jeszcze wyraźniej, niż dawniej.

— Nie uwierzysz mi, nawet wyobrazić sobie nie potrafisz, Poleńko, — mówiła szybko chodząc po pokoju, — jakie wesołe i wspaniałe życie wiodłam w domu ojca; ten pijak zgubił mnie i was wszystkich unieszczęśliwił! Ojciec mój był w służbie cywilnej, ale miał rangę pułkownika; wkrótce miał zostać gubernatorem... Już tak bliski był awansu, że wszyscy przyjeżdżali do niego i mówili: „Iwanie Michajłowiczu, my wszyscy uważamy już pana za naszego gubernatora". A kiedy ja... kch! gdy ja... kch! kch-kch! —

o, co za przeklęte życie! —krzyknęła, plując i chwytając się ręką za pierś, — kiedy ja... ach, gdy na ostatnim balu... u marszałka szlachty... zobaczyła mnie księżna Bezzemielnaja, która potem udzieliła mi błogosławieństwa, gdy brałam ślub z twoim ojcem, Poleńko. — Ta zapytała odrazu: „Czy to nie jest ta sama dziewczynka, która odtańczyła „taniec z szalem“ na balu szkolnym?“ (Tę dziurkę trzeba zacerować; weź igłę i zaszyj to zaraz, jak ci pokazywałam, bo inaczej jutro... kch! jutro... kch-kch-kch!.. zupełnie się rozlezie! — wykrztusiła, dusząc się od kaszlu). Wtedy właśnie przyjechał z Petersburga kamer-junkier książe Szczegalskoj... tańczył ze mną mazura, a nazajutrz chciał już przyjechać, żeby oświadczyć się; ale podziękowałam mu za zaszczyt i dałam mu do zrozumienia, że serce moje należy do innego. Ten inny, to był twój ojciec, Poleńko; mój tatuś gniewał się za to na mnie okropnie... Co, gotowa już koszulka? Dawaj ją tu; a gdzie pończoszki?... Lido! — zwróciła się Katarzyna Iwanowna do młodszej córeczki, — prześpij jedną noc bez koszulki; jakoś się obejdzie... pończoszki tylko połóż obok... Razem wypiorę... Cóż, ten obdartus nie idzie, pijak! Koszulę ma brudną jak ścierka, podartą całą... Trzebaby razem wszystko wyprać, żeby już się nie męczyć przez dwie noce zrzędu... Boże wielki... kch-kch-kch! Znowu! Co to? — krzyknęła przerażona, ujrzawszy tłum w przedsionku i nieznajomych ludzi, niosących coś do pokoju. — Co to? Co to oni niosą? Boże wielki!

— Gdzie go tu można położyć, — zapytał policjant, rozglądając się dokoła, gdy nieprzytomnego, zbroczonego krwią Marmeładowa wniesiono do pokoju.

— Na kanapie! Połóżcie go na kanapie, głową w tę stronę, — pokazał Raskolnikow.

— Przejechano go na ulicy! Pijany był! — krzyknął ktoś w przedsionku.

Katarzyna Iwanowna stała blada, z trudem łapiąc oddech. Dzieci przestraszyły się. Maleńka Lidoczka rzuciła się z krzykiem ku Poleńce i tuliła się do niej, drżąc na całem ciele.

Raskolnikow podbiegł do Katarzyny Iwanowny.

— Niech pani się uspokoi, niech pani się nie boi! — mówił pośpiesznie. — Przechodził przez ulicę, powóz go przejechał, ale niech pani się nie boi, on zaraz wróci do przytomności; to ja kazałem go zanieść tutaj... Ja już byłem raz u pani, czy pani pamięta? Pani mąż zaraz odzyska przytomność... ja zapłacę za wszystko!

— Dopiąłeś swego! — krzyknęła Katarzyna Iwanowna w rozpaczy i rzuciła się ku mężowi.

Raskolnikow wnet spostrzegł, że nie należy ona do liczby tych kobiet, które padają zemdlone przy lada sposobności. Pod głową Marmeładowa natychmiast zjawiła się poduszka, o czem nikt dotychczas nie pomyślał. Katarzyna Iwanowna zaczęła rozbierać męża, oglądać rany i pracowała gorączkowo, zapomniawszy o sobie. Zagryzła wargi i tłumiła krzyk, wydzierający się z piersi...

Tymczasem Raskolnikow zdążył kogoś wysłać po doktora. Lekarz, jak się okazało, mieszkał w sąsiednim domu.

— Posłałem po lekarza, — uspokajał Katarzynę Iwanownę, — niech się pani nie obawia, ja zapłacę. Czy niema tutaj wody?... Przynieście prędzej serwetę lub ręcznik, cośkolwiek, tylko prędzej; niewiadomo jeszcze, czy jest poważnie raniony... On jest tylko raniony, nie zabity, niech mi pani wierzy!.. Zobaczy pani, co doktór powie!

Katarzyna Iwanowna rzuciła się ku oknu. Tam w kącie na dziurawem krześle stała wielka gliniana misa z wodą, przeznaczona do nocnego prania bielizny dzieci i męża. Katarzyna Iwanowna prała sama po nocach co najmniej dwa razy na tydzień, niekiedy nawet częściej. Nędza rodziny Marmeładowa doszła do tego stopnia, że nikt z nich nie miał bielizny, prócz tej co nosił na sobie. Katarzyna Iwanowna nie mogła znieść brudu i wolała męczyć się nad siły po nocach, gdy wszyscy śpią, aby do rana wysuszyć mokrą bieliznę na rozciągniętym sznurze i podać nazajutrz każdemu czystą. Podniosła misę z wodą, ale ledwie nie upadła z tym ciężarem. Raskolnikow tymczasem wyszukał ręcznik, zmoczył go w wodzie i począł zmywać umazaną w krwi twarz Marmeładowa. Katarzyna Iwanowna stała obok, nie mogąc złapać tchu, przyciskając ręce do zbolałych piersi. Widoczne

było, że sama potrzebuje pomocy. Roskolnikow zaczął rozumieć, że popełnił błąd, gdy kazał zanieść rannego Marmeładowa do domu. Policjant przyglądał się tej scenie bezradny.

— Pola! — krzyknęła Katarzyna Iwanowna, — leć do Soni prędzej! Jeśli nie zastaniesz jej w domu, każ ją zawiadomić, że ojca powóz przejechał, i żeby natychmiast przyszła tu... jak tylko powróci do domu. Prędzej, Pola! Masz chustkę, okryj się!

— Leć prędzej! — zawołał nagle chłopak, siedzący na krześle. Powiedziawszy te słowa, znów umilkł i siedział jak przedtem, — wyprostowany, z wyciągniętemi nóżkami i wytrzeszczonemi oczyma.

W międzyczasie tłum wypełnił cały pokój. Policjanci odeszli, prócz jednego, który usiłował usunąć do sieni zgraję ciekawych, cisnących się z podwórza. Natomiast wyszyscy prawie lokatorzy innych pokojów, należących do pani Lippewechsel, tłoczyli się u drzwi, a wreszcie gromadą wdarli się do pokoju. Katarzyna Iwanowna nie strzymała:

— Pozwólcie mu choć umrzeć spokojnie! — krzyknęła do tłumu, — widowisko sobie z tego robicie! Z papierosami włażą! Kch-kch-kch! Niewiele brakuje, żebyście w czapkach tu stali... Nawet widzę, jeden jest w kapeluszu! Precz stąd! Nawet umierający nie nakazuje im szacunku!

Kaszel ją dusił, ale nagana się przydała. Widocznie w tym domu znano Katarzynę Iwanownę i nawet obawiano się jej trochę. Lokatorzy jeden po drugim wychodzili zpowrotem, odczuwając przytem dziwne jakieś zadowolenie, ogarniające ludzi, nawet bliskich, na widok nieszczęścia bliźniego; uczucie to może w jakiś niepojęty sposób kojarzyć się z najbardziej szczerem nawet współczuciem.

Za drzwiami jednak dały się słyszeć głosy, że ranionego należy odwieźć do szpitala, i że nie wolno w taki sposób niepokoić lokatorów.

— Umrzeć nawet nie wolno! — wrzasnęła Katarzyna Iwanowna, i rzuciła się ku drzwiom, żeby komuś zmyć głowę, ale w samych drzwiach zderzyła się z panią Lippewechsel, do której dopiero teraz doszła wieść o nieszczęściu. Pani

Lippewechsel, nadzwyczaj kłótliwa i głupia Niemka, biegła co tchu, żeby „zrobić porządek".

— Ach, mój Bóg! — zawołała, załamując ręce, — pani mąż pijany nadeptał koń. Do szpitala go! Ja tu jestem gospodyni!

— Amaljo Ludwigowno! Niech pani się liczy ze słowami, — zaczęła Katarzyna Iwanowna wyniosłym tonem. (Zawsze mówiła z gospodynią wyniosłym tonem, żeby ta „pamiętała, kim jest właściwie", i nawet teraz nie mogła sobie odmówić tej przyjemności). — Amaljo Ludwigowno!

— Ja już mówila pani raz przedtem, że pani nie śmie mówila do mnie Amaljo Ludwigowno; ja jestem Amalja Iwan!

— Pani nie nazywa się Amalja Iwan, tylko Amalja Ludwigowna! Nie należę do sfory podłych pochlebców, jak pan Lebieziatnikow, który śmieje się tak głośno za drzwiami (za drzwiami istotnie rozlegał się śmiech, i czyjś głos zawołał: „zaraz złapią się za włosy"), i dlatego będę zawsze panią nazywać Amelją Ludwigowną, choć w żaden sposób nie mogę zrozumieć, dlaczego to imię tak się pani nie podoba. Pani widzi sama, co się stało z Siemionem Zacharowiczem: mój mąż umiera! Proszę w tej chwili zamknąć drzwi i nikogo tutaj nie wpuszczać. Pozwólcie mu przynajmniej umrzeć spokojnie! W przeciwnym razie zaraz jutro zawiadomię o postępowaniu pani samego generał-gubernatora. Książę znał mnie dobrze jeszcze jako pannę i pamięta Siemiona Zacharowicza, któremu wiele razy wspaniałomyślnie pomagał. Wszyscy wiedzą, że Siemion Zacharowicz miał licznych przyjaciół i protektorów, do których się nie zwracał tylko dlatego , że był zbyt dumny i wstydził się swego nałogu. Ale teraz (wskazała przytem na Raskolnikowa) — zaopiekował się nami ten oto szlachetny młodzieniec, rozporządzający wielkiemi środkami i mający wpływy, którego Siemion Zacharowicz znał od dzieciństwa, i niech pani będzie pewna Amaljo Ludwigowna...

Katarzyna Iwanowna mówiła to wszystko jednym tchem, z nadzwyczajnym pośpiechem, który wzrastał z każdą chwilą, ale wreszcie kaszel przerwał jej przemówienie.

W tej samej chwili umierający odzyskał przytomność i głucho jęknął; Katarzyna Iwanowna podbiegła ku niemu. Chory otworzył oczy i wpatrywał się w pochyloną nad nim twarz Raskolnikowa, choć jasnem było, że nie poznaje go. Oddychał ciężko, z trudem i rzężąc; na wargi wystąpiła mu krew, pot zrosił czoło. Nie poznał Raskolnikowa i zaczął niespokojnie wodzić wzrokiem dookoła. Katarzyna Iwanowna patrzyła na niego smutnem lecz pełnem wyrzutu spojrzeniem; z oczu jej ciekły łzy.

— Boże miłosierny! Pierś ma całkiem zgniecioną! Ile krwi! — wymówiła wreszcie w rozpaczy. — Trzeba zdjąć z niego ubranie. Podnieś się trochę, Siemionie Zacharowiczu, jeśli możesz.

Marmeładow poznał ją.

— Księdza! — wymówił ochryple.

Katarzyna Iwanowna podeszła do okna i przycisnęła czoło do zimnej szyby.

— Jakie przeklęte życie, — krzyknęła nagle z rozpaczą.

— Księdza! — jęknął umierający po chwili milczenia.

— Już posłano po niego! — odpowiedziała mu Katarzyna Iwanowna. Chory milczał. Wodził za żoną bojaźliwym, smutnym wzrokiem. Katarzyna Iwanowna znów podeszła do łóżka i stanęła przy wezgłowiu. Chory uspokoił się, lecz nie na długo. Oczy jego spoczęły na małej Lidoczce (jego ulubienicy), która schowała się w kącie, drżąc na całem ciele jak przy ataku febry i patrząc na ojca ze zdziwieniem, strachem lecz i z dziecinną ciekawością.

— A... a..., — stękał stary, wskazując z zaniepokojeniem na dziewczynę. Chciał widocznie coś powiedzieć.

— No, czego jeszcze? — krzyknęła Katarzyna Iwanowna.

— Bosa... bosa... — bełkotał chory, obłąkanemi oczyma wskazując na gołe nóżki dziecka.

— Mi-i-lcz! — wrzasnęła Katarzyna Iwanowna podrażnionym głosem. — Sam wiesz dobrze, dlaczego chodzi boso.

— Doktór przyszedł, chwała Bogu, — zawołał uradowany Raskolnikow.

Do pokoju wszedł doktór, maleńki, czyściutki, starannie ubrany Niemiec. Spoglądał dokoła z nieufnością. Potem podszedł do chorego, zbadał puls i uważnie obmacał głowę; przy pomocy Katarzyny Iwanowny rozpiął powalaną krwią koszulę i obnażył pierś chorego. Cała klatka piersiowa była zgnieciona, poszarpana i pokaleczona; kilka żeber z prawej strony było złamanych. Z lewej strony, w okolicy serca widniał wielki, złowieszczy, żółto-czarny siniec: ślad strasznego uderzenia kopytem. Doktór nachmurzył się. Policjant opowiedział doktorowi, jak koło powozu zaczepiło chorego i ciągnęło po bruku ze trzydzieści kroków.

— Dziwię się bardzo, że on wogóle wrócił jeszcze do przytomności — szepnął doktór do Raskolnikowa.

— Co pan doktór powie o stanie chorego? — zapytał Raskolnikow.

— Umrze wkrótce.

— Czyżby nie było najmniejszej nadziei?

— Żadnej! Za chwilę wyzionie ducha... Na dobitek ma bardzo ciężkie rany na głowie... Hm! Mógłbym jeszcze puścić mu krew, ale... to wszystko już nanic. Za pięć, najwyżej dziesięć minut umrze. Niema rady.

— Niech pan doktór sprobuje przynajmniej puścić krew.

— Mogę... Zresztą uprzedzam pana, że nie odniesie to żadnego skutku...

Wtem w sieni rozległy się czyjeś kroki. Tłum rozstąpił się. Na progu ukazał się sędziwy staruszek, — był to ksiądz z sakramentem, zawiadomiony przez jednego z policjantów zaraz po zajściu. Doktór zamienił z księdzem znaczące spojrzenie i niezwłocznie ustąpił mu miejsca. Raskolnikow prosił doktora, aby pozostał jeszcze chwilę. Ten wzruszył ramionami, lecz zgodził się.

Wszyscy odeszli od łoża. Spowiedź trwała bardzo krótko. Umierający z trudem rozumiał księdza i sam wydawał tylko urywane, niewyraźne dźwięki. Katarzyna Iwanowna zabrała Lidoczkę, zdjęła z krzesła chłopczyka, i sta-

nąwszy w kącie koło pieca, padła na kolana. Dzieci uklękły również. Dziewczynka drżała febrycznie jak i przedtem, chłopczyk zaś klęczał, uroczyście podnosił rączkę, kreślił na piersi znak krzyża i kłaniał się do ziemi, uderzając czołem o podłogę, co sprawiało mu widoczną przyjemność. Katarzyna Iwanowna zagryzała wargi, powstrzymując łzy i modliła się także, od czasu do czasu poprawiając chłopczykowi koszulkę; na zbyt obnażone ramiona dziewczynki narzuciła chustkę, którą wydobyła z komody nie przerywając modlitwy i nie podnosząc się z kolan. W międzyczasie ciekawi mieszkańcy wewnętrznych pokojów znów zaczęli otwierać drzwi i zaglądać. W sieni zgromadził się cały tłum: lokatorzy z całego domu byli tu obecni; zachowywali się zresztą przyzwoicie i nie przestępywali progu pokoju, gdzie leżał konający. Cała ta scena była oświetlona jednym ogarkiem świecy.

W tej samej chwili przez tłum szybko przecisnęła się Poleńka, która pobiegła była po siostrę. Wpadła zdyszana do pokoju, zdjęła chustkę, i odszukawszy matkę oczyma, podeszła do niej i szepnęła:

— Już idzie! Spotkałam ją na ulicy!

Matka ujęła dziewczynkę za ramię, zmuszając ją do uklęknięcia obok siebie. Z pośród otaczających wysunęła się pocichutku i nieśmiało młoda dziewczyna. Samo zjawienie jej wydawało się dziwne śród nędzy, łachmanów, śmierci i rozpaczy, królujących w pokoju. Ubrana była równie nędznie, a uboga jej toaleta była utrzymana w barwach krzyczących, jak tego wymagają gusta ulicy i smak tego odrębnego świata, do którego należała; każdy szczegół zdradzał jasny i haniebnie uwydatniony cel. Sonia stanęła w przedsionku, na progu pokoju, ale nie weszła dalej; patrzała przed siebie jak nieprzytomna. Zdawało się, że zapomniała zupełnie o swej kupionej z czwartej ręki jedwabnej sukni z nadzwyczaj długim i śmiesznym ogonem, — sukni, która w pokoju umierającego była rażąca i nieprzyzwoita. Zapomniała o swej olbrzymiej krynolinie, która zatarasowała drzwi, o jasnych bucikach, o parasolce od słońca, którą miała przy sobie mimo pory wieczornej, o śmiesznym

słomianym okrągłym kapelusiku, ozdobionym jaskrawem piórem ognistego koloru. Z pod tego zuchowato, nabakier ubranego kapelusza wyglądała drobna, blada i wystraszona twarzyczka z otwartemi ustami i oczami, które, zdawało się, zastygły w niemem przerażeniu. Sonia była blondynką lat może osiemnastu, małego wzrostu, szczupła lecz dość przystojna, o cudownych niebieskich oczach. Patrzyła nie odrywając wzroku na łóżko, na księdza; nie mogła złapać tchu po szybkim biegu. Wreszcie dosłyszała szepty tłumu i nawet oddzielne wyrazy, dotyczące jej osoby. Spuściła oczy, przeszła przez próg i stanęła w pokoju, tuż przy samych drzwiach.

Nareszcie spowiedź i komunja były skończone. Katarzyna Iwanowna znowu podeszła do łóżka męża. Ksiądz ustąpił jej miejsca, i zabierając się już do odejścia, zwrócił się do niej ze słowami pociechy.

— Co ja teraz z niemi pocznę? — ostro i gniewnie przerwała mu Katarzyna Iwanowna, wskazując na dzieci.

— Bóg jest miłosierny; niech pani ufa w pomoc Wszechmogącego, — zaczął ksiądz.

— E-ech! Miłosierny, ale nie dla nas!

— To grzech, wielki grzech tak mówić, — zauważył ksiądz, potrząsając głową.

— A czy to nie jest grzech? — krzyknęła Katarzyna Iwanowna, wskazując na umierającego.

— Możliwe, że ci, którzy mimowoli byli przyczyną jego śmierci, zechcą wynagrodzić pani utratę żywiciela.

— Ksiądz mnie nie rozumie, — zawołała Katarzyna Iwanowna, machnąwszy w rozdrażnieniu ręką. — Niema za co nawet wynagradzać! Był pijany i sam wpadł pod konie! O jakim żywicielu ksiądz mówi? On nietylko nie żywił a jeszcze rujnował doreszty. Przecież ten pijak wszystko przepił. Okradał nas i wszystko do szynku zanosił; pieniądze dzieci i moje własne przepijał. Chwała Bogu, że umiera! Mała szkoda, krótki żal!

— Wszystko należy przebaczyć w godzinie śmierci; uczucia pani są wielkim grzechem!

Katarzyna Iwanowna krzątała się koło chorego, podawała mu napój, wycierała pot i krew z czoła, poprawiała

poduszkę i nie przerywając swych zabiegów rozmawiała z księdzem. Teraz jednak nagle zwróciła się ku niemu, krzycząc w ogromnem podnieceniu:

— Ech, ojcze! Puste słowa i nic więcej! Przebaczyć! Takby i dziś było, gdyby go konie nie stratowały: powróciłby do domu pijany, koszulę ma na sobie brudną, podartą... położyłby się spać... a jabym do świtu orała, prałabym łachmany jego i dzieciaków, a potem suszyłabym je za oknem, a gdyby wreszcie świtać poczęło, usiadłabym do cerowania, — ot, jak spędzam noce! I poco tu o przebaczeniu mówić. Już mu przebaczyłam!

Głęboki, okropny kaszel przerwał jej mowę. Splunęła do chusteczki i pokazała księdzu, przyciskając drugą ręką pierś. Chusteczka była pełna krwi...

Ksiądz zwiesił głowę i nie powiedział więcej ani słowa.

Marmeładow leżał w agonji i nie odrywał oczu od twarzy Katarzyny Iwanowny, która znowu pochyliła się nad nim. Widoczne było, że chce jej coś powiedzieć; nawet próbował już był coś wykrztusić z wysiłkiem poruszając wargami i niewyraźnie bełkocąc słowa, lecz Katarzyna Iwanowna, domyśliwszy się, że chce ją prosić o przebaczenie, krzyknęła rozkazująco:

— Milcz! Nie trzeba!... Wiem, co chcesz powiedzieć!...

Chory umilkł. W tej chwili wzrok jego, błądzący po pokoju, spoczął na Soni.

Nie zauważył jej przedtem, stała w kącie, ukryta w cieniu.

— Kto to? Kto to? — przemówił nagle ochrypłym, zduszonym głosem, ogarnięty niepokojem, wskazując z przerażeniem oczami na drzwi, gdzie stała córka i usiłując podnieść się...

— Leż! Leż! — krzyknęła Katarzyna Iwanowna.

Ale chory z niesłychanym wysiłkiem zdołał unieść się na posłaniu, opierając się na ręku. Dzikim i nieruchomym wzrokiem patrzył przez chwilę na córkę, nie poznając jej. Nie widział jej jeszcze ani razu w takim stroju. Nagle poznał ją, uniżoną, przybitą, w krzyczącej toalecie i zawsty-

dzoną, pokornie oczekującą aż przyjdzie na nią kolej pożegnać się z umierającym ojcem. Wyraz nieskończonej męki pojawił się na twarzy chorego.

— Sonia! Córko! Przebacz! — krzyknął umierający i wyciągnął ku niej rękę; lecz straciwszy równowagę spadł z kanapy i upadł twarzą na podłogę. Wszyscy rzucili się ku niemu, podnieśli go, położyli na posłaniu... konał już. Sonia krzyknęła słabo, podbiegła do ojca, objęła go i zastygła w tym ostatnim uścisku. Zmarł w objęciach córki.

— Dopiął swego! — zawołała Katarzyna Iwanowna, ujrzawszy że mąż już nie żyje; — co ja teraz pocznę? Skąd wezmę na pogrzeb? Czem jutro nakarmię dzieci?

Raskolnikow zbliżył się do Katarzyny Iwanowny.

— Katarzyno Iwanowno, — zaczął, — zeszłego tygodnia mąż pani opowiedział mi historję swego życia i inne... okoliczności. Mówił o pani z najgłębszym szacunkiem. Od tego wieczora, gdym się dowiedział, jak mąż pani kochał swą rodzinę, a zwłaszcza jak kochał i szanował panią — od tego czasu staliśmy się przyjaciółmi... Niech-że pani pozwoli mi teraz... okazać ostatnią przysługę... zmarłemu przyjacielowi. Mam tutaj... zdaje się ze dwadzieścia rubli, — i jeżeli to może pani choć trochę pomóc, to... ja... jednem słowem, ja jeszcze przyjdę, na pewno przyjdę... ja prawdopodobnie przyjdę nawet jutro... Dowidzenia!

Szybko wyszedł z pokoju i zaczął przeciskać się przez tłum, zalegający schody; tutaj zetknął się nagle z Nikodemem Fomiczem, który dowiedziawszy się o nieszczęściu, zjawił się osobiście, aby wydać odpowiednie zarządzenia. Nie widzieli się od owej sceny w biurze policji, lecz Nikodem Fomicz poznał Raskolnikowa.

— A, i pan tutaj? — zapytał.

— Już nie żyje, — odpowiedział Raskolnikow. — Był doktór, był ksiądz, wszystko w porządku. Niech pan nie męczy nieszczęsnej kobiety, ona ma suchoty w ostatniem stadjum. Niech pan doda jej otuchy, jeśli pan może... Przecież pan jest dobrym człowiekiem, wiem o tem... — dodał z uśmiechem, patrząc mu prosto w oczy.

— Pan jest cały powalany krwią, — zauważył Nikodem Fomicz, spostrzegłszy przy świetle latarni kilka ciemnych plam na kamizelce Raskolnikowa.

— Tak, powalałem się... cały jestem powalany krwią, — powiedział Raskolnikow dziwnym jakimś tonem; potem uśmiechnął się, skinął głową i począł schodzić ze schodów.

Szedł powoli, bez pośpiechu, ogromnie wzburzony, choć sam o tem nie wiedział. Ogarnęło go jakieś nowe potężne uczucie; oczyma duszy widział wzbierającą falę nowego życia. Było to uczucie podobne do tego, jakie ogarnia skazańca, który nagle i niespodziewanie dowiaduje się, że został ułaskawiony. W połowie schodów dogonił go ksiądz, powracający do domu; Raskolnikow milcząc ustąpił mu z drogi, zamieniwszy z nim niemy ukłon. Gdy był już przy końcu schodów, posłyszał za sobą czyjeś pośpieszne kroki. Ktoś go gonił. Była to Poleńka; biegła za nim, wołając: „Panie! Panie!“

Raskolnikow zatrzymał się. Dziewczynka zbiegła ze schodów i stanęła przed nim o stopień wyżej. W słabem świetle, które dochodziło z podwórza, Raskolnikow zobaczył szczupłą a jednak miłą twarzyczkę dziewczynki, która uśmiechała się do niego i patrzała nań z dzecinną wesołością. Przybiegła do niego z poleceniem, które widocznie bardzo jej się podobało.

— Proszę pana, jak pan się nazywa?... i jeszcze... gdzie pan mieszka? — zapytało dziewczę pośpiesznie zadyszanym głosikiem.

Raskolnikow położył ręce na jej ramionach i patrzył na nią z uczuciem prawie szczęścia. Sprawiał mu niewysłowioną przyjemność widok tej dziewczynki, choć sam nie wiedział dlaczego.

— Któż ciebie posłał?

— Posłała mnie siostrzyczka Sonia, — odpowiedziała dziewczynka, uśmiechając się jeszcze radośniej.

— Zgóry wiedziałem, że ciebie posłała Sonia.

— Mamusia też mnie posłała. Kiedy siostrzyczka So-

nia kazała mi iść, mamusia podeszła i mówi: „Biegnij prędzej, Poleńko!"

— A czy ty kochasz siostrzyczkę Sonię?

— Ja ją więcej kocham niż wszystkich, — powiedziała dziewczynka z przekonaniem i twarzyczka jej nagle spoważniała.

— A czy mnie będziesz kochać?

Zamiast odpowiedzi ujrzał pochylającą się ku niemu twarzyczkę dziewczynki i pulchne wargi, naiwnie wysunięte do pocałunku. Nagle wątłe ramiona mocno objęły jego szyję, główka dziecka schowała się na jego ramieniu, i dziewczynka zaszlochała, coraz mocniej tuląc się do niego.

— Żal mi tatusia! — powiedziała po chwili, podnosząc zapłakaną twarzyczkę i ocierając łzy ręką, — teraz wciąż walą się na nas nieszczęścia, dodała nagle z tą poważną minką, jaką zwykle przybierają dzieci, kiedy chcą rozmawiać „jak dorośli".

— A czy tatuś was kochał?

— Lidoczkę kochał najwięcej, — ciągnęła dalej dziewczynka. Spoważniała już zupełnie, nie uśmiechała się więcej, i rzeczywiście była podobna do dorosłej. — Tatuś dlatego Lidoczkę kochał, że ona taka mała, i że chora, i zawsze jej coś przynosił. A nas tatuś uczył czytać; mnie uczył jeszcze gramatyki i religji, — dodała z godnością; — mamusia nic nie mówiła, ale wiedziałyśmy, że się to jej podoba; teraz mamusia chce mnie nauczyć po francusku, bo już czas, żebym się uczyła jak się należy.

— A modlić się umiesz?

— A jakże, umiem! Już dawno się nauczyłam. Ja się modlę sama, osobno, bo już jestem dorosła; a Kola i Lidoczka modlą się razem z mamusią, nagłos; najpierw odmawiam modlitwę do Matki Bożej, a potem jeszcze jedną: „Boże, przebacz i pobłogosław naszej siostrzyczce Soni", i jeszcze: „Boże, przebacz i pobłogosław naszemu drugiemu tatusiowi", — bo nasz starszy tatuś już nie żyje, a ten był już drugi tatuś; i za niego też modlimy się.

— Poleczko, ja mam na imię Rodion; pomódl się

czasem i za mnie, — za Rodiona, raba bożego, — więcej nie trzeba.

— Całe swoje życie będę za pana się modlić, — gorąco powiedziała dziewczynka, i nagle roześmiała się znowu, rzuciła się ku niemu i znowu mocno go objęła.

Raskolnikow podał jej swoje nazwisko i adres i obiecał, że na pewno przyjdzie nazajutrz. Dziewczynka odeszła zachwycona nowym znajomym. Gdy Raskolnikow wyszedł na ulicę, była już godzina jedenasta. Po upływie pięciu minut stał już na moście, w tem samem miejscu, skąd kobieta rzuciła się do wody.

— Dosyć! — rzekł stanowczo i uroczyście, — precz złudzenia, urojone obawy i majaki!... — Życie istnieje! Czyż nie żyłem przed chwilą? Moje życie nie skończyło się ze śmiercią staruchy! Wieczny odpoczynek jej — i dosyć tego! Rozpoczyna się okres panowania rozsądku i światła... woli... i siły... Teraz zobaczymy! — dodał jakby wyzywając jakieś ciemne moce. — A jednak byłem już zdecydowany żyć na takim małym skrawku ziemi!

Jestem bardzo osłabiony w tej chwili, zdaje mi się jednak, że choroba już minęła. Wiedziałem, że minie, gdy wychodziłem z domu. Dobrze więc, dom Poczinkowa, to dwa kroki stąd. Muszę być u Razumichina, choćby odległość była większa, niech wygra tym razem zakład!... Niech się ucieszy, nic nie szkodzi!... Sił, sił potrzeba mi, bez sił nic nie da się zrobić, a siłę należy zdobywać właśnie siłą, tego oni nie wiedzą — dodał zarozumiale i dumnie. Poszedł, ledwie włócząc nogami. Duma i zarozumiałość wzrastały w nim, w ciągu jednej minuty był całkiem inny człowiek z niego. I co wpłynęło na taką zmianę? Jak tonącemu, wydało mu się, że deską ratunku jest myśl: „nie umarło jeszcze życie moje wraz ze śmiercią starej lichwiarki“. Może myśl ta była przedwczesna, nie zastanawiał się jednak nad tem.

„Prosiłem ją jednak, aby pomodliła się za Rodiona— przemknęło mu nagle przez myśl — tak... to na wszelki wypadek“ — dodał po chwili i roześmiał się z tego dziecińśtwa. Był w jak najlepszym humorze.

Z łatwością odszukał Razumichina; w domu Poczinkowa znano już nowego lokatora i stróż zaraz wskazał mu drogę. Już w połowie schodów można było rozróżnić gwar i ożywione rozmowy licznego zebrania. Drzwi wchodowe były otwarte naoścież: dochodziły krzyki i sprzeczki. Pokój Razumichina był obszerny, zebranych zaś było piętnaście osób. Raskolnikow zatrzymał się w przedpokoju. Za przepierzeniem krzątały się dwie służące przy samowarach, butelkach, talerzach i półmiskach z pierogami i przekąskami przyniesionemi z kuchni gospodyni Razumichina. Raskolnikow polecił wywołać Razumichina; ten przybiegł natychmiast, zachwycony. Raskolnikow odrazu poznał, że Razumichin wypił niezwykle dużo; jakkolwiek nigdy nie mógł upić się do nieprzytomności, to jednak tym razem oznaki zwiastowały wyraźnie, że jest już „pod bardzo dobrą datą".

— Słuchaj, — rzekł Raskolnikow z pośpiechem — przyszedłem ci tylko powiedzieć, że wygrałeś zakład i że istotnie nikt nie może przewidzieć, co się z nim dziać będzie. Wejść jednak nie mam siły, upadłbym zaraz, a zatem witam cię i żegnam zarazem. A jutro przyjdź do mnie...

— Wiesz co, ja cię odprowadzę do domu! Już kiedy sam mówisz, że jesteś osłabiony, to...

— A goście? Kto to jest ten kędzierzawy, co to wyjrzał przed chwilą?

— Albo ja wiem? Może go wuj przyprowadził, a może sam przyszedł... Ja zostawię z nimi wuja, to cudowny człowiek, szkoda, że nie możecie się poznać. A zresztą, pal ich licho! Teraz nie jestem im już tak potrzebny i chcę odświeżyć się nieco; w samą porę przyszedłeś mój drogi, jeszcze dwie minuty, a pobiłbym się z nimi. Takie prawią głupstwa... Nie masz pojęcia do jakiego stopnia głupoty może dojść człowiek! Zresztą, jak można to strawić? Chociaż i my sami nieraz... Niech ich tam... Niech sobie gadają, zato potem bujać nie będą... Zaczekaj tu chwileczkę, przyprowadzę Zosimowa.

Z pewnego rodzaju chciwością patrzył Zosimow na Raskolnikowa. Po tej chwili zaciekawienia, twarz jego rozjaśniła się.

— Natychmiast spać — powiedział obejrzawszy pacjenta — a na noc zażyć jedną dawkę. — Czy pan zażyje? Przygotowałem już... taki proszek.

— Nawet dwa — odparł Raskolnikow. Zażył natychmiast.

— To bardzo dobrze, że go odprowadzasz — rzekł Zosimow do Razumichina — jutro zobaczymy co będzie. Jak na dziś, jest bardzo dobrze; znaczne polepszenie. Człowiek uczy się póki żyje...

— Wiesz co mi Zosimow szeptał, gdyśmy wychodzili? — rzekł Razumichin, gdy znaleźli się już na ulicy. — Nie powtórzę ci bracie wszystkiego, bo oni wszyscy są głupcy. Zosimow kazał mi rozmawiać z tobą przez drogę i zdać sobie potem sprawozdanie. Widzisz, Rodio, on myśli, że ty straciłeś zmysły lub, że ci w każdym razie, niewiele brakuje. Uważasz? Po pierwsze, ty jesteś trzy razy mądrzejszy od niego, powtóre, jeżeli jesteś przy zdrowych zmysłach, to możesz plunąć na te jego głupie pomysły, a po trzecie, ten kloc, który jest właściwie chirurgiem, studjuje teraz z zapałem psychjatrję, a co do ciebie, to mu klina wbiła twoja dzisiejsza rozmowa z Zamietowem.

— Czy Zamietow opowiedział ci wszystko?

— Tak. I bardzo dobrze zrobił. Teraz rozumiem całą rzecz co do joty, i Zamietow także... Tak, jednem słowem, Rodio... sprawa jest taka. Jestem teraz nieco wstawiony, ale to nic nie szkodzi... Sprawa jest taka, że ta myśl... ty mnie rozumiesz? Ta myśl rzeczywiście poczęła u nich kiełkować... ty to rozumiesz. To znaczy, że każdy z nich nie odważy się wypowiedzieć głośno tego horendalnego głupstwa, a wkońcu gdy tego malarza wsadzili, to całkiem już w to przestali wierzyć. Ale skąd biorą się takie półgłówki? Pobiłem wtedy trochę Zamietowa (mówię ci to tak tylko w cztery oczy i nie daj, broń Boże, poznać po sobie, że ty o tem wiesz, przekonałem się bowiem, że Zamietow jest bardzo ambitny, przekonałem się niedawno, gdyśmy byli u tej Luizy Iwanowny) ale dzisiaj, wszystko się wyjaśniło. Alfą i omegą wszystkiego był Ilja Pietrowicz — skorzystał wtedy z twego omdlenia w cyrkule i robił najrozmaitsze przy-

puszczenia, a potem sam wstydził się tych przypuszczeń; wiem o tem...

Raskolnikow słuchał chciwie. Razumichin wygadał się ze wszystkiego dzięki temu, że był pijany.

— Zemdlałem wtedy, bo było bardzo duszno i czuć było okropnie farbę — rzekł głośno.

— On się jeszcze usprawiedliwia! To nie farba, to gorączka, która drzemała już w tobie od miesiąca, tak to wytłumaczył Zosimow. Jak jednak ten smarkacz Zamietow teraz spuścił nos na kwintę, tego sobie nawet przedstawić nie możesz. — Nie jestem wart nawet tyle, co mały palec tego człowieka — mówi on (ma na myśli twój mały palec). On myśli i gada czasem całkiem do rzeczy, ale ta lekcja, której udzieliłeś mu dziś w Pałacu Kryształowym, to było coś wspaniałego! Napędziłeś mu przedewszystkiem porządnego stracha. Najpierw zmusiłeś go do uwierzenia w tą głupią myśl, a potem, na końcu dopiero, wystawiłeś mu język. „Aha" Doskonale! Wybornie! Szkoda, że mnie tam nie było! Czekał teraz na ciebie i Porfirij, chciał ciebie poznać...

— A już i ten? A dlaczego zrobili mnie warjatem?

— Ale skąd znowu... warjatem? Zdaje się, że za dużo nagadałem... Zdawało im się, że wszystko kręci się około tego jednego punktu, a teraz jest ten punkt wyjaśniony... znając wszystkie okoliczności... i jak to cię rozdrażniło wtedy i jaki miało związek z chorobą... Ja, bracie, jestem trochę pijany, ale djabli go wiedzą, on ma jakąś ideę. Mówię ci, zwarjował poprostu na punkcie chorób nerwowych. Ale ty gwiżdż na to...

Przez pół minuty panowało milczenie.

— Słuchaj, Razumichin — rozpoczął Raskolnikow — chcę ci coś otwarcie powiedzieć. Byłem przed chwilą przy łożu umierającego. Urzędnik jeden umarł... dałem tam wszystkie pieniądze i pocałowała mnie przed chwilą pewna mała istotka tak, że nawet gdybym kogoś zamordował, to mimo to czułbym się... i widziałem tam jeszcze jedną istotę z purpurowo-czerwonem piórem... mówię jednak od rzeczy... bredzę... podtrzymaj mnie, schody są już niedaleko...

— Co ci? Co ci jest? — zapytał Razumichin zaniepokojony.

— W głowie mi się trochę kręci, ale to głupstwo... jest mi jednak tak smutno, tak smutno! Tak, jakgdybym był kobietą... Patrz, co jest! Patrz-no...

— Co jest?

— Czy nie widzisz? Światło w moim pokoju, widzisz przez szparę...

Byli już na ostatnich schodach przy drzwiach gospodyni. W rzeczywistości z izdebki Raskolnikowa przebijało światło.

— To dziwne! Może Nastasja jest tam! — zauważył Razumichin.

— Ona nigdy o tej porze nie przychodzi do mego pokoju. Wszystko jedno... Bądź zdrów!

— Co ci jest? Odprowadzę cię przecież aż do pokoju.

— Wiem o tem, mimo to jednak chciałbym ciebie pożegnać tu przed progiem, przed progiem uścisnąć twoją dłoń. No, podaj mi rękę, bądź mi zdrów!

— Co ci jest, Rodio?

— Nic! Chodź!... Będziesz świadkiem...

Zaczęli wstępować na górę. Razumichin nie mógł obronić się myśli, że może przecież Zosimow miał rację. „Ech! — Rozdrażniłem go moją paplaniną!" — szepnął do siebie. Wtem, gdy zbliżali się do pokoju, usłyszeli dochodzące stamtąd głosy.

— Co się tu stało?

Raskolnikow pierwszy ujął za klamkę, otworzył drzwi i stanął na progu jak wryty.

Matka i siostra siedziały na jego sofie i czekały nań od dłuższego już czasu. Dlaczegoż tak mało myślał o nich, jakkolwiek otrzymał drugą wiadomość, że są już w drodze, że lada chwila przybędą? Przez cały czas jedna i druga wybadywały Nastasję, która i teraz stała przed niemi i opowiadała o wszystkiem z najdrobniejszemi szczegółami. Omal nie zemdlały dowiedziawszy się, że on w gorączce uciekł dziś niewiadomo dokąd. „Boże, co się z nim dzieje"! Obydwie płakały i cierpiały mękę w czasie tych godzin oczekiwania.

Radosny, pełen zachwytu okrzyk przywitał Raskolnikowa. Obie rzuciły się ku niemu. Ale on stał jak martwy. Okropna i niespodziewana rzeczywistość uderzyła weń jak piorun. Ręce jego nie podniosły się, aby uścisnąć najdroższych. Matka i siostra tuliły go w objęciach, płacząc i śmiejąc się naprzemian... Ledwie postąpił krok, zachwiał się i runął na podłogę. Stracił przytomność.

Przerażenie, krzyk przestrachu, jęki... Razumichin wpadł do pokoju, ujął silnie chorego i położył go na sofie.

— Nic to, nic to! — wołał do matki i siostry, — on tylko zemdlał, to głupstwo! Przed chwilą doktór mówił, że mu daleko lepiej, że jest zupełnie zdrów! Wody! O, już przychodzi do siebie, już po wszystkiem!

I porwawszy rękę Duni, skręcił jej niemal palce, by zmusić ją do pochylenia się nad chorym i do sprawdzenia „że już po wszystkiem".

I matka i siostra spoglądały na Razumichina jak na zesłanego przez Opatrzność, z zachwytem i wdzięcznością. Słyszały już od Nastasji czem był dla Rodiona przez cały czas choroby Razumichin ten „roztropny młodzieniec", jak go nazwała tegoż wieczora sama Pulcherja Raskolnikowa w poufnej rozmowie z Dunią.

# CZĘŚĆ TRZECIA

## 1.

Raskolnikow podniósł się i usiadł na sofie.

Słabym ruchem ręki dał znak Razumichinowi, aby przerwał ten potok bezładnych słów pocieszania, któremi starał się uspokoić matkę i siostrę. Potem ujął obie kobiety za ręce i patrzył im w oczy przez parę minut. Matka przeraziła się tego spojrzenia. We wzroku jego malowała się bezgraniczna miłość, a równocześnie i odrętwienie, graniczące z obłędem.

Pulcherja Aleksandrowna wybuchła płaczem. Dunia zbladła; jej dłoń zadrżała w dłoni brata.

— Niech was odprowadzi do domu, — rzekł złamanym głosem, wskazując na Razumichina. — Dowidzenia; jutro będzie wszystko... Kiedyście przyjechały?

— Dziś wieczór, kochany Rodio, — odparła Pulcherja Aleksandrowna. — Pociąg spóźnił się znacznie. Teraz jednak nie opuszczę cię, Rodio, za nic na świecie. Pozostanę przez noc z tobą...

— Nie dręczcie mnie! — odparł podrażnionym głosem.

— Zostanę przy nim! — zawołał Razumichin. — Nie zostawię go ani na chwilę samego. Moi goście mogą iść do djabła! Nie mam nic przeciw temu, aby się na mnie gniewali ile wlezie! Mój wuj sam potrafi czynić honory domu!

— Jakże mam panu dziękować..., — rzekła Pulcherja Aleksandrowna, ściskając dłoń Razumichinowi; Raskolnikow jednak przerwał jej:

— Nie mogę, nie mogę! — nie mogę! — rzekł nerwowo. — Nie męczcie mnie! Dosyć tego, idźcie... nie mogę!...

— Chodźmy, mamo; wyjdźmy choćby na chwilę z pokoju! — szepnęła Dunia z przestrachem. — Przeszkadzamy mu, to jasne.

— Czyżby mi rzeczywiście nie było wolno po trzyletniej rozłące popatrzeć trochę dłużej na niego! — zawołała Pulcherja Aleksandrowna ze łzami w oczach.

Jednak Raskolnikow przerwał jej znowu:

— Poczekajcie! Przerywacie mi zawsze, aż mi się w głowie miesza... Widziałyście Łużina?

— Nie, Rodio, on wie jednak, żeśmy przyjechały. Słyszałyśmy, że Piotr Pietrowicz był tak uprzejmy i odwiedził cię dzisiaj, — dodała Pulcherja Aleksandrowna, nieco zażenowana.

— Tak... był tak uprzejmy!... Duniu, powiedziałem dziś temu Łużinowi, że zrzucę go ze schodów i wypędziłem go precz...

— Rodio, co ty wygadujesz! Nie chcesz chyba powiedzieć... — zaczęła Pulcherja Aleksandrowna z przerażeniem; popatrzywszy jednak na Dunię, zamilkła.

Dunia patrzyła uważnie na brata, czekając co jeszcze powie. Nastasja opowiedziała im już przedtem o kłótni. Ponieważ jednak nie wszystko zrozumiała i nie wszystko potrafiła powtórzyć, przeto obie kobiety cierpiały bardzo w niepewności i oczekiwaniu.

— Duniu, — mówił dalej z wysiłkiem Raskolnikow, — nie godzę się na to małżeństwo i dlatego musisz jutro zaraz przy pierwszem słowie zerwać z Łużinem, abyśmy go więcej nie widzieli.

— Mój Boże! — krzyknęła Pulcherja Aleksandrowna.

— Bracie, zastanów się... co mówisz!... — zawołała gniewnie Dunia; uspokoiła się jednak zaraz. — Może nie jesteś teraz w stanie myśleć rozsądnie; jesteś zmęczony, — dodała łagodnie.

— Myślisz, że mówię w gorączce? Nie... Chcesz poślubić Łużina ze względu na mnie. Ja jednak nie przyjmuję tej ofiary. I dlatego napiszesz mu jutro list... w którym zawiadomisz go o zerwaniu... Rano dasz mi do przeczytania i wszystko się skończy.

— Nie mogę tego uczynić! — rzekła dziewczyna z boleścią w głosie. — Jakiem prawem...

— Kochana Duniu, i ty się zbytnio unosisz; daj spokój; jutro... Czy nie widzisz..., — zawołała przestraszona matka, zwracając się do Duni. — Najlepiej będzie jeśli pójdziemy!

— On bredzi! — zawołał podpity Razumichin. — Inaczej nie odważyłby się tak mówić! Jutro nie pozostanie już nic z tych myśli. Faktem jest jednak, że dziś wyrzucił go za drzwi. Tak było rzeczywiście. No a tamten rozgniewał się na dobre!... Wygłosił tu wielką mowę i chciał nam zaimponować swoją wiedzą; wkońcu jednak musiał cofnąć się z nosem na kwintę.

— A więc to prawda? — zawołała Pulcherja Aleksandrowna.

— A więc, dowidzenia do jutra, — rzekła Dunia ze współczuciem. — Pójdźmy, mamo!... Bądź zdrów, Rodio!

— Czy słyszysz, siostro, — wołał za nią ostatkiem sił — ja nie bredzę; to małżeństwo byłoby podłością. Ja mogę być łotrem, ty jednak nie powinnaś... dosyć, że ktoś tam... a nawet gdybym był łotrem, to takiej siostry nie uznam za siostrę. Albo ja, albo Łużin! A teraz możecie iść...

— Zwarjowałeś widocznie, despoto, — ryczał Razumichin.

Jednak Raskolnikow nie odparł nic, być może, że zabrakło mu sił. Wyciągnął się na sofie i odwrócił się wyczerpany do ściany. Dunia patrzała z żywem zajęciem na Razumichina; jej czarne oczy błyszczały; Razumichin zadrżał pod tym wzrokiem. Pulcherja Aleksandrowna stała jak skamieniała.

— W żaden sposób nie mogę go opuścić! — szepnęła z rozpaczą. — Zostanę tu, znajdzie się dla mnie jakiś kawałek miejsca... Odprowadź pan moją córkę do domu.

— Popsuje pani wszystko, pozostając tu, — odparł również szeptem Razumichin, bardzo wzburzony. — Niech pani wyjdzie przynajmniej na schody. Nastka, poświeć nam. Zapewniam panią, — mówił dalej szeptem, gdy znaleźli się

już na schodach, — że o mało co nie wytłukł dziś mnie i lekarza! Czy pani rozumie? Nawet lekarza! A ten, aby go nie drażnić, uczynił zadość jego życzeniu i odszedł; ja zaś pozostałem na dole, aby nań uważać; on jednak ubrał się i odszedł. Gdy go pani rozdrażni, odejdzie nawet teraz wśród nocy, jeszcze sobie coś zrobi...

— Na miłość boską, co też pan mówi!

— Tak, a oprócz tego nie może przecież Awdotja Romanowna pozostać sama bez pani w tym hotelu. Pomyśl pani co to za dom, do którego pani zajechała. Ten podlec, Piotr Pietrowicz, mógł był też lepsze mieszkanie paniom... Ale wie pani, jestem trochę nietrzeźwy, i dlatego wyrwało mi się takie słowo; niech pani nie zważa na to...

— Chciałabym zobaczyć się z gospodynią, — odparła Pulcherja Aleksandrowna, która nie dała się odwieść od swego zamiaru, — i poprosić ją o nocleg dla mojej córki. Pozostawić jego w tym stanie, nie mogę, nie mogę!

Rozmowę tą wiedli w sieni tuż przed drzwiami gospodyni. Nastazja stała o kilka stopni niżej i świeciła im. Razumichin był bardzo wzburzony. Przed pół godziną jeszcze, gdy odprowadzał Raskolnikowa do domu okazał się wprawdzie nadmiernie gadatliwym, z czego sobie jasno zdawał sprawę, był jednak mimo olbrzymiej ilości wypitego alkoholu zupełnie trzeźwy i rzeźki. Teraz jednak popadł w stan zachwytu, i równocześnie zdawało się, że wypity alkohol uderzył mu ze zdwojoną siłą do głowy. Stał przed obiema paniami i trzymając je za ręce, starał się przekonać, przytaczając swoje racje z zadziwiającą szczerością; prawdopodobnie dla lepszego przekonania ściskał boleśnie ich dłonie jakby kleszczami. Dunię pożerał przytem wprost oczyma, nie krępując się zupełnie. Kobiety, czując ból, starały się wyrwać swe ręce z uścisku jego olbrzymich kościstych łap; on jednak nie widział tego, i coraz bardziej przyciągał je ku sobie. Gdyby były odeń zażądały, aby się rzucił ze schodów, byłby to uczynił natychmiast, bez namysłu lub wahania. Pulcherja Aleksandrowna, zaniepokojona bardzo stanem syna, miała wprawdzie uczucie, że młody człowiek zachowuje się nieco dziwnie i że zbyt boleśnie ściska

ich ręce; ponieważ jednak był on dla niej równocześnie jakby zbawczym aniołem, wolała nie zważać więcej na te drobne niestosowności. Młodą dziewczynę zdziwiły i nawet przestraszyły pałające dzikim ogniem oczy nowego ich znajomego i opiekuna, mimo że i ona również pełna była troski o brata. Jakkolwiek nie była trwożliwą z natury, to jednak zmieszała się i zlękła, i tylko niograniczone zaufanie, którego nabrała do tego dziwnego człowieka pod wpływem opowiadań Nastki, powstrzymało ją od ucieczki wraz z matką. Zdawała sobie również i z tego sprawę, że w tej chwili nie było może nawet możliwem uciec przed nim. W dziesięć minut później uspokoiła się jednak zupełnie. Było właściwością Razumichina, że w jakimkolwiek się stanie znajdował, odkrywał bez zastrzeżeń całą swą duszę, tak że każdy dowiadywał się natychmiast z kim ma do czynienia.

— Do gospodyni nie może pani w żaden sposób pójść; to jest zupełnie głupi pomysł! — wołał gorączkowo, chcąc przekonać Pulcherję Aleksandrownę. — Wprawdzie jest pani jego matką; lecz mimo to, jeżeli pozostanie pani tutaj, doprowadzi go pani do pasji, i djabeł wie co z tego wyniknie! Awięc niech pani posłucha co chcę uczynić; teraz zostanie przy nim Nastka, ja zaś odprowadzę panie do domu; same bowiem nie możecie wyjść na ulicę, u nas w Petersburgu jest pod tym względem... Zresztą, nie mówmy o tem!... Potem pobiegnę zpowrotem i za kwadrans (słowo honoru!) przyniosę paniom dokładne wiadomości, jak się ma, czy śpi, czy nie i t. d. Potem, słuchaj pani tylko, potem pobiegnę szybko do mego domu; mam tam gości, — wszyscy pijani; stamtąd zabiorę zaraz Zosimowa — to jest ten lekarz, który go leczy; znajduje się on też między moimi gośćmi; nie jest on jednak pijany, nie upija się nigdy! Zaciągnę go do Rodi; a zaraz potem przyjdę do państwa; w ten sposób w przeciągu godziny otrzymacie panie dwa sprawozdania o stanie jego zdrowia, a z tych jedno od lekarza, czy rozumie pani! od samego lekarza. To całkiem co innego, niż ode mnie samego! Gdyby stan jego się pogorszył, to przysięgam, że przyprowadzę panią tu zpowrotem; jeśli jednak nastąpi polepszenie, no to może pani spać spokojnie.

Ja sam jednak spędzę całą noc tutaj w sieni; Rodio nie dowie się o tem; co do Zosimowa zaś, to postaram się o nocleg dla niego u gospodyni, abyśmy go mieli pod ręką. A kto mu jest teraz bardziej potrzebny: pani czy lekarz? Lekarz jest potrzebniejszy, niewątpliwie potrzebniejszy, tak, teraz więc niech pani idzie do domu! U gospodyni nie może pani zostać; jabym mógł; pani jednak nie może; nie wpuściłaby pani wogóle, ponieważ... no, bo jest dziwaczną... Jeśli jednak chce pani poznać przyczynę: polubiła mnie bardzo i byłaby natychmiast zazdrosną o Awdotję Romanowną, a i o panią też... O Awdotję Romanowną jednak, całkiem na pewno; ma ona nieobliczalny charakter, zupełnie nieobliczalny! Ja zresztą jestem również głupcem... mniejsza o to jednak. Chodź pani! Czy ufa mi pani? Powiedzże pani, tak czy nie?

— Pójdźmy, mamo, — rzekła Dunia, — zrobi na pewno to co obiecał. Uratował już raz życie Rodi; jeśli lekarz zdecyduje się tu przenocować, to będzie z pewnością najlepsze wyjście.

— Widzi pani, widzi pani... pani, tak, pani mnie rozumie, ponieważ pani jest aniołem! — wołał Razumichin w najwyższym zachwycie; — chodźmy zatem! Nastka, wracaj w te pędy na górę, zostań przy nim ze światłem, za kwadrans i ja wrócę...

Jakkolwiek Pulcherja Aleksandrowna nie była jeszcze zupełnie przekonana, to jednak nie sprzeciwiała się dłużej. Razumichin podał każdej z nich ramię i sprowadził je w dół po schodach. Matka jednak miała pewne wątpliwości co do niego. Jest on zręcznym i poczciwym chłopcem, czy będzie jednak mógł wypełnić daną obietnicę? W takim stanie w jakim się znajduje...

— Widzę, że pani ma wątpliwości z powodu mego stanu! — przerwał Razumichin, odgadując jej myśli. Stawiał przytem tak olbrzymie kroki i pędził tak szybko po chodniku, że obie panie nie mogły mu wprost nadążyć. Nie zważał jednak na to zupełnie.—Głupstwo! to jest, chciałem powiedzieć: pijany jestem wprawdzie, to jest jednak zupełnie obojętne: nietrzeźwość moja nie pochodzi z wódki, lecz

z tego, że skoro tylko panie ujrzałem, uderzyło mi coś naraz do głowy... Nie troszcz się pani jednak o mnie; plotę same głupstwa; jestem pani niegodny, w najwyższym stopniu niegodny! Skoro tylko odprowadzę panie do domu, wyleję sobie tu nad kanałem dwa wiadra wody na głowę i wtedy przyjdę zupełnie do siebie... Gdybyście panie wiedziały, jak bardzo je obie kocham!... Nie śmiejcie się ze mnie ani nie gniewajcie na mnie... Gniewajcie się na wszystkich dokoła, tylko nie na mnie! Jestem przyjacielem Rodi, a więc i waszym. Chciałbym chętnie... Przeczułem to już dawno... jeszcze zeszłego roku był taki moment... A zresztą nie przeczuwałem niczego; spadłyście bowiem jakby z nieba. Może całą noc nie będę mógł spać... Zosimow, wyraził dziś obawę, że Rodion może postradać zmysły. Dlatego też nie trzeba go drażnić...

— Co pan mówi? — zawołała matka.

— Czy lekarz tak rzeczywiście mówił? — spytała Dunia ze strachem.

— Tak mówił, jednak to nic nie znaczy, zupełnie nic. Dał mu też lekarstwo, jakiś proszek, na własne oczy widziałem, nagle państwo przyjechali... ach... Lepiejby było, gdybyście przybyły jutro! Dobrze przynajmniej, żeście odeszły: za godzinę sam Zosimow zda wam relację. Tak, on się nigdy nie upija! I ja również nigdy się więcej nie upiję... Jakżeż to się stało, żem się tak zalał? Wszystkiemu winna ta dyskusja, do której mnie ci niegodziwcy wciągnęli! A ja sam sobie przysiągłem, że nigdy więcej nie będę się wdawał w dyskusje... Jednak co za głupstwa ci ludzie wygadywali! Najchętniej byłbym ich wybił! Pozostawiłem tam mego wuja; niech odgrywa rolę pana domu... No, czy uwierzą panie: żądają aby się ludzie wyzbyli swych osobistych właściwości, i w tem widzą swój ideał! Aby się tylko niczem nie wyróżniać, i być jak najmniej indywidualnym! I to uważają za ostateczny cel stopniowego rozwoju ludzkości! Gdyby ich idjotyczna gadanina miała w sobie przynajmniej coś oryginalnego, jednak...

— Pozwól pan... — przerwała mu nieśmiało Pulcherja Aleksandrowna. To jednak dodało mu tylko bodźca.

— Cóż pani sobie właściwie myśli? — krzyczał jeszcze głośniej. — Czy wyobraża pani sobie, że ja przejmuję się temi ich głupstwami? Nonsens! Ja nawet bardzo lubię, gdy ci ludzie mówią głupstwa, prawienie głupstw jest jedynym przywilejem, który wywyższa ludzi ponad inne istoty organiczne. Kto mówi głupstwa, ten dochodzi do prawdy! Właśnie to, że mówię głupstwa, czyni mnie człowiekiem. Do żadnej prawdy się nie dochodziło, nie palnąwszy przedtem czternaście razy, może nawet sto czternaście razy, głupstwa, i jest to rzecz godna szacunku, gdy dzieje się to indywidualnie; my jednak nie możemy nawet własnym rozumem sformułować głupstwa. Gadaj nonsensy, lecz rób to na twój własny sposób, a ja cię za to pocałuję. Mówić głupstwa w oryginalny sposób, to nawet lepiej, niż mówić prawdę według utartych reguł i obcych wzorów; w pierwszym wypadku jest się człowiekiem, w drugim papugą. Prawda nam nie ucieknie; można sobie jednak popsuć życie przez to głupie wyrzeczenie się indywidualności; można na to przytoczyć mnóstwo przykładów. Czem bowiem jesteśmy teraz? Nasze wiadomości z dziedziny wiedzy, postępu, myśli, wynalazczości, ideałów, dążeń, liberalizmu, rozumu, doświadczenia wszystkiego, wszystkiego, wszystkiego, wszystkiego, nadają się bez wyjątku do najniższej klasy wstępnej do gimnazjum! Znaleźliśmy upodobanie w pomaganiu sobie obcą mądrością; przyzwyczailiśmy się do tego! Czy nie jest tak? Czy nie mam słuszności? — krzyczał Razumichin, ściskając i potrząsając ręce obu pań. — Czy nie mam racji?

— O mój Boże, ja nie wiem, odparła biedna Pulcherja Aleksandrowna.

— Tak, tak... jakkolwiek nie we wszystkiem zgadzam się z panem, — zaczęła Dunia zupełnie poważnie, natychmiast jednak wydała okrzyk bólu: Razumichin ścisnął jej bowiem tym razem bardzo boleśnie rękę.

— Tak? Pani mówi że tak? W takim razie... W takim razie jest pani... — wołał w uniesieniu... — W takim razie jest pani wcieleniem dobroci serca, czystości, rozumu i... doskonałości! Daj mi pani swą rękę, proszę o to... a i pani

również niech mi da swoją; chciałbym całować pani ręce, tu, zaraz teraz, na kolanach!

I padł na kolana na środku chodnika. Na szczęście nie było nikogo wpobliżu.

— Ależ przestań pan, proszę pana, co pan robi?—zawołała zaskoczona Pulcherja Aleksandrowna.

— Wstań pan, wstań pan, — dodała Dunia rozśmieszona i zaniepokojona zarazem.

— Za nic w świecie, dopóki mi pani nie da swej ręki! Tak, dobrze, a teraz dosyć; teraz wstaję i idziemy! Nieszczęśliwy dureń ze mnie, niegodny pani jestem, pijany i wstydzę się... kochać panią nie jestem godzien; zgiąć jednak kolano przed panią, jest obowiązkiem każdego, o ile nie jest bydlęciem! Dlatego też ukląkłem przed panią... Oto pani hotel, i już z tego jedynie powodu uczynił Rodion zupełnie słusznie, że wyrzucił dziś Piotra Pietrowicza! Jakże mógł się ten człowiek odważyć, umieścić panie w takim domu! Przecież to skandal! Czy panie wiedzą komu się tu wynajmuje pokoje? Pani jest przecież jego narzeczona! Jest pani jego narzeczoną, nieprawdaż? A więc muszę pani powiedzieć, że narzeczony, który tak postępuje, jest łotrem!

— Przepraszam, panie Razumichin, pan zapomina... — przerwała Pulcherja Aleksandrowna.

— Tak, tak, zupełnie słusznie, zapomniałem się i wstydzę się tego! — krzyknął Razumichin, rozumiejąc, że mówił zbyt pochopnie. — Jednak... jednak... nie powinna się pani na mnie z tego powodu gniewać! Mówię tak, bo tak myślę, a nie dlatego, aby... hm, to byłoby podłe: jednem słowem: nie dlatego, że panią... hm!... a zresztą nie mówmy o tem; nie śmię mówić; nie powiem dlaczego... nie odważę się... Jednak dziś, gdy przyszedł on do Rodi, uczuliśmy wszyscy, że nie nadaje się on do naszej sfery. Nie dlatego, że dał sobie u fryzjera ufryzować włosy, nie dlatego, że śpieszno mu było okazać swój rozum, lecz dlatego, że jest on szpiegiem i spekulantem, żydem i złodziejem; widać to jak na dłoni. Myśli pani, że jest on mądry? Nie, on jest głupi! A więc czy jest to odpowiedni mąż dla pani? Och,

mój Ty Boże. Niech panie zważą (zatrzymał się nagle na schodach hotelu, po których już wchodzili), ci ludzie u mnie w domu są wprawdzie wszyscy pijani, jednak uczciwi są wszyscy; a jeżeli nawet mówimy głupstwa (gdyż głupstwa mówimy wszyscy) to na tej drodze dojdziemy jednak do prawdy, ponieważ droga ta jest uczciwa; jednak Piotr Pietrowicz... nie kroczy drogą honoru. A ja, jakkolwiek dostatecznie ich wszystkich wyłajałem, to jednak mam dla nich wielki szacunek; dla Zamietowa nie mam wprawdzie szacunku, jednak lubię go, gdyż jest on jeszcze jak młody szczeniak! Nawet dla tego bydlaka Zosimowa mam uszanowanie, ponieważ jest honorowym człowiekiem i zna swój zawód. Teraz dosyć, powiedziałem, co mi leżało na sercu i spodziewam się, że nie czujecie panie do mnie urazy. Czy nie wzięłyście mi niczego za złe? Naprawdę nie? W takim razie chodźmy! Znam ten korytarz; byłem tu już raz pod numerem trzecim, był tam wielki skandal... A więc gdzie jest pokój pani? Który numer? Ósmy? Zamknijcie dobrze drzwi na noc i nie wpuszczajcie nikogo. Za kwadrans wrócę z wieściami, a w pół godziny później przyjdę znów z Zosimowem, zobaczycie panie! A teraz, adieu! Będę się śpieszył!

— Mój Boże, co to jeszcze będzie, moja Dunieczko? rzekła Pulcherja Aleksandrowna pełna trwogi i niepokoju.

— Uspokój się, droga mamo, — odparła Dunia, zdejmując kapelusz i mantylę. — Sam Bóg zesłał nam tego pana, jakkolwiek przybywa on wprost z pijatyki. Można mu zaufać; jestem tego całkiem pewna. A to, co dotychczas uczynił dla Rodi...

— Ach, droga Duniu, Bóg wie, czy on wróci! Nie wiem, jak mogłam pozostawić Rodię samego... Nawet przez myśl mi nie przeszło, że odnajdę go w takim stanie! Jaki on był chmurny, jakby go nasze przybycie wogóle nie ucieszyło...

Łzy zaszkliły się w jej oczach.

— Nie masz słuszności, mamo, nie przypatrzyłaś mu się dobrze i płakałaś przecież ciągle. Był zbyt wyczerpany ciężką chorobą i to było powodem.

— Ach ta choroba! Jak to się skończy! A jak on... z tobą mówił, Dunieczko! — mówiła patrząc nieśmiało w twarz córki, aby odczytać jej myśli i już pocieszona tem, że sama Dunia broni brata, a więc przebaczyła mu, — pewna jestem, że jutro będzie inaczej na tą rzecz się zapatrywał, — dodała, chcąc do końca wybadać córkę.

— Ja zaś jestem pewna, że jutro będzie mówił to samo, — odparła Dunia.

Na tem rozmowa się urwała, gdyż matka obawiała się dalszej rozmowy na ten temat. Dunia podeszła ku niej i pocałowała ją. Bez słowa objęła córkę gorąco. Potem usiadła, oczekując pełna niepokoju na powrót Razumichina i śledziła nieśmiało oczyma córkę, która skrzyżowawszy ręce na piersiach, chodziła zamyślona po pokoju. Takie chodzenie z kąta w kąt było zdawiendawna nawyczką Duni, i w takich momentach matka nie lubiła przerywać jej rozmyślań.

Oczywiście, że Razumichin był śmieszny z tą nagłą miłością ku Duni, pochodzącą stąd, że był kompletnie pijany; kto jednak ujrzałby Dunię, szczególnie teraz, gdy chodziła po pokoju ze skrzyżowanemi rękoma, ten znalazłby usprawiedliwienie dla jego uniesienia, nie przywołując do pomocy jego nietrzeźwości! Dunia była uderzająco ładna, wysokiego wzrostu, ślicznie zbudowana, silna i pewna siebie w ruchach, które mimo to były łagodne i miłe. Z twarzy podobna była do brata i można ją było nazwać wprost piękną. Włosy miała ciemne, chociaż nieco jaśniejsze niż u brata; oczy prawie czarne, błyszczące, dumne, które jednak w pewnych chwilach umiały spoglądać łagodnie. Była blada, lecz nie chorobliwą bladością; jej śliczna twarzyczka jaśniała raczej świeżością i zdrowiem. Usteczka miała nieco za małe; dolna warga, świerza i rumiana, wystawała trochę naprzód, jak również podbródek, — jedyna nieprawidłowość w tej ślicznej twarzy, nadająca jej wyraz stanowczości i nawet wyniosłości; wyraz jej twarzy był raczej zamyślony i poważny, aniżeli wesoły; tem piękniej jednak zdobił ją przelotny uśmiech, wesoły młodzieńczy beztroski śmiech! Nie dziw więc, że szczery, prosty, uczciwy, silny i pijany

Razumichin, który w swojem życiu nie widział jeszcze tak ładnej kobiety, stracił za pierwszem spojrzeniem głowę.

Do tego jeszcze złożyło się tak, że przypadek ukazał mu Dunię po raz pierwszy w tej pięknej chwili, gdy miłość ku bratu i radość z zobaczenia się z nim uczyniła ją jeszcze piękniejszą. Potem widział jak jej warga dolna drgała buntując się przeciw tyrańskim, bezwzględnym żądaniom brata — i nie mógł się oprzeć!

Gdy przedtem w nietrzeźwym stanie wyrwał się z tem, że ekscentryczna gospodyni Raskolnikowa, Praskowja Pawłowowna gotowa być zazdrosną nietylko o Dunię, lecz również i o Pulcherję Aleksandrownę, bojąc się, że jedna z nich mogłaby zabrać jej wielbiciela, mówił zupełną prawdę.

Jakkolwiek Pulcherja Aleksandrowna liczyła już czterdzieści trzy lata, to jednak twarz jej nosiła jeszcze ślady dawnej piękności. Poza tem wyglądała na młodszą niż w rzeczywistości była, jak to z reguły bywa u tych kobiet, które zachować potrafią aż do późnej starości pogodę ducha, świerzość uczucia i uczciwe, czyste serce. Dodajmy nawiasem, że tylko przez zachowanie tych właściwości ducha można utrzymać swą piękność aż do późnej starości. Jej włosy poczynały już siwieć i rzednąć; dokoła oczu pokazały się drobne promienie zmarszczek, policzki zapadły, wskutek trosk i zmartwień; jednak mimo tych usterek twarz jej była piękna. Była ona odbiciem twarzy Duni, tylko o dwadzieścia lat starszem i bez tej charakterystycznej wargi dolnej, która u matki nie występowała tak wyraźnie. Pulcherja Aleksandrowna była taktowna, jednak nie do znudzenia; była nieśmiała i uległa, jednak tylko do pewnej granicy; ustępowała w wielu rzeczach i godziła się nawet z tem, co było wbrew jej przekonaniom; przy tem wszystkiem jednak istniała pewna granica uczciwości, zasad moralnych i wewnętrznego przekonania, którejby nie przekroczyła pod żadnym pozorem.

Równo w dwadzieścia minut po odejściu Razumichina usłyszały obie kobiety dwa lekkie ale pośpieszne pukania do drzwi. Razumichin powrócił.

— Ja nawet nie wchodzę, nie mam czasu — rzekł szyb-

ko, gdy mu otworzono. — On śpi jak niedźwiedź, głęboko i spokojnie; oby Bóg użyczył mu dziesięć godzin takiego snu. Nastka czuwa przy nim; zakazałem jej oddalać się, dopóki nie wrócę. Teraz zaciągnę tam Zosimowa; złoży on paniom raport, a potem udacie się również na spoczynek; widzę przecież, że panie są zupełnie wyczerpane...

Po tych słowach pobiegł zpowrotem przez korytarz.

— Jaki to sprytny i uprzejmy młody człowiek! — zawołała Pulcherja Aleksandrowna radośnie.

— Tak, wygląda na dobrego człowieka, — odparła Dunia, szczególnie serdecznym tonem i podjęła znów swą wędrówkę po pokoju.

Prawie po godzinie dały się słyszeć na korytarzu kroki i rozległo się znów pukanie do drzwi. Czas oczekiwania spędziły obie kobiety zupełnie ufając obietnicy Razumichina; zjawił się on rzeczywiście ze Zosimowem. Zosimow bez długich ceregieli oderwał się od pijatyki i złożył wizytę lekarską Raskolnikowowi; jednak do obu pań poszedł niechętnie i pełen niedowierzania, ponieważ niezbyt ufał informacjom pijanego Razumichina. Jednak jego miłość własna została mile pogłaskana, gdy spostrzegł, że oczekiwano go rzeczywiście jak wyrocznię. Pozostał tylko przez dziesięć minut i w przeciągu tego czasu udało mu się przekonać i uspokoić zupełnie Pulcherję Aleksandrowną. Mówił współczująco, jednak z umiarkowaniem i umyślnie poważnym tonem, jak przystoi dwudziestosiedmioletniemu lekarzowi podczas ważnej konsultacji; ani słowem nie zboczył z tematu i nie okazał chęci wdawania się w bardziej osobistą i prywatną rozmowę. Olśniewającą piękność Duni zauważył zaraz przy wejściu, zmusił się jednak i przez cały czas wizyty, nie patrzył na nią, zwracając się tylko do Pulcherji Aleksandrowny. Czuł z tego powodu wewnętrzne zadowolenie. Stan chorego określił jako niebudzący obaw. Jego zdaniem przyczyną choroby było nietylko złe położenie materjalne pacjenta w ostatnich miesiącach, lecz również i przejścia duchowe; określiłby ją jako produkt wielu splątanych ze sobą wpływów duchowych i materjalnych, silnych wzruszeń, obaw, trosk, pewnych idej i t. p. Ponieważ mimo-

chodem dostrzegł, że Dunia przysłuchiwała się teraz ze szczególną uwagą, przeto począł rozwodzić się na ten temat bardzo szeroko. Na trwożne, nieśmiałe pytanie Pulcherji Aleksandrowny co do jego poprzednich przypuszczeń o zaburzeniu umysłowem, odparł z spokojnym szczerym uśmiechem, że przypisują jego słowom zbyt wiele wagi; w każdym razie można zauważyć u chorego ślady jakiegoś urojenia, jakby zaczątki monomanji (on, Zosimow poświęca się obecnie specjalnym studjom w tej dziedzinie medycyny); należy jednak wziąć pod uwagę tę okoliczność, że chory leżał prawie aż po dziś dzień w gorączce, a a... w każdym razie przyjazd jego najbliższych wywrze teraz swój zbawienny wpływ, rozerwie go i dopomoże do jego wyzdrowienia pod warunkiem jednak, że (słowa te wypowiedział ze szczególnym naciskiem) oszczędzi mu się nowych nadzwyczajnych wzruszeń. Potem powstał i pożegnał się spokojnie i szczerze; obie kobiety dziękowały mu gorąco; Dunia ujęła nawet samorzutnie jego dłoń i uścisnęła ją serdecznie. Odszedł, nadzwyczaj zadowolony z odwiedzin, a jeszcze bardziej ze siebie samego.

— Jutro pomówimy znów o tem; teraz jednak muszą panie koniecznie pójść spać! — dodał Razumichin napominającym tonem, zabierając się do odejścia z Zosimowem. — Jutro z samego rana przyjdę tu z wieściami.

— Szarmancka dziewczyna z tej Awdotji Romanowny, — rzekł Zosimow, delektując się, gdy wyszli na ulicę.

— Szarmancka? Co powiedziałeś? szarmancka? — rzucił się nań Razumichin i chwycił go za gardło. — Jeśli się jeszcze raz ośmielisz... Rozumiesz? Rozumiesz? — krzyczał, targając go za kołnierz i przyciskając do muru. — Słyszałeś?

— Puść mnie, ty pijaku! — bronił się Zosimow. Gdy Razumichin go puścił, popatrzył nań pytająco, a potem parsknął głośnym śmechem. Razumichin stał przed nim, opuściwszy ręce, zamyślony i chmurny.

— Naturalnie, że jestem osłem, — rzekł ponuro jak chmura gradowa, — ty jednak również nim jesteś.

— Ależ nie, bracie, ja wcale nie jestem osłem. W mojej głowie nie kiełkują takie głupie myśli.

Szli dalej w milczeniu i dopiero gdy zbliżyli się do domu Raskolnikowa, Razumichin, gnębiony troską, przerwał milczenie.

— Posłuchaj mnie, dzielny z ciebie chłopiec, ale pomijając inne twoje obrzydliwe nałogi, jesteś brudnym rozpustnikiem, i to jednym z tych najgorszych. Jesteś nerwowym bez charakteru nicponiem, posiadasz swoje kaprysy, utyłeś i nie potrafisz sobie niczego odmówić; nazywam to niegodnem, gdyż wiedzie do zatraty godności osobistej. Zniewieściałeś tak dalece, że trudno mi, mówiąc otwarcie, pojąć, jak możesz być przy tem tak dobrym i poświęcającym się lekarzem. Śpi w miękkich puchach (także naigrywanie się z wiedzy lekarskiej), a mimo to wstaje w nocy gdy go wołają do chorego! Po trzech latach nie będziesz pozwalał budzić się dla jakiegoś tam chorego... A zresztą, u djabła, to wszystko nie ma nic do rzeczy, gdyż chciałem ci powiedzieć: dziś w nocy będziesz spał w mieszkaniu gospodyni (dobrze się namęczyłem zanim mi na to pozwoliła), a ja w kuchni; będziecie mieli wymarzoną sposobność do zawarcia bliższej znajomości! Nie to, co ty myślisz! To jest zupełnie wykluczone...

— Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

— Poznasz w niej wstydliwą, milczącą, nieśmiałą niewiastę, zatwardziałą wprost w cnocie; a mimo to, gdy słyszy czyjeś westchnienia, to topnieje jak wosk, i to jeszcze jak topnieje! Uwolnij mnie od niej, zabierz ją ode mnie, błagam cię w imię szatana! Pyszna z niej kobietka!... Będę ci wdzięczen do grobowej deski!

Zosimow śmiał się coraz głośniej.

— Ale cię wzięło! Cóż ja jednak z nią pocznę?

— Zapewniam cię, że nie będziesz miał z nią żadnych kłopotów; mów tylko, co ci ślina na język przyniesie; wystarczy, jeśli siądziesz przy niej i będziesz mówił! A zresztą, jesteś lekarzem; możesz leczyć u niej jakąkolwiek dowolną chorobę. Przysięgam ci, że nie pożałujesz. Ma ona u siebie w mieszkaniu fortepian; jak wiesz, — ja brzdąkam coś-

niecoś; mam jedną piosenkę, którą gram, prawdziwie rosyjska pieśń ludowa: „Łzy gorące z oczu płyną“... Ona lubi takie piosenki — od tej piosenki zaczął się też nasz miły stosunek; ty jednak jesteś wprost wirtuozem w grze fortepianowej, prawdziwym mistrzem, drugim Rubinsteinem... Zapewniam cię, że nie pożałujesz!

— Czy czyniłeś jej może jakieś obietnice? Na piśmie, formalnie? Czy może przyrzekłeś jej małżeństwo?

— Nie, nic podobnego! Nie, ona wcale nie taka; Czebarow już próbował...

— No to porzuć ją!

— Nie wypada!

— Dlaczegóżby nie?

— Nie mogę; niema o czem mówić! Istnieje tu jakaś żywiołowa siła przyciągająca.

— Dlaczego jednak zawracałeś jej głowę?

— Wcale nie; to raczej ja sam w mojej głupocie dałem się przez nią omotać; będzie jej to zapewne całkiem obojętne, kto będzie jej nadskakiwał, ja czy ty, byle ktoś koło niej siedział i wzdychał. Wystarczy, jeżeli... Nie wiem jak ci to wyjaśnić... wystarczy, jeżeli... no dajmy na to, wiem że byłeś dobrym matematykiem i dziś jeszcze się tem zajmujesz... a więc, zacznij jej wykładać rachunek różniczkowy; zaprawdę nie żartuję, mówię całkiem poważnie, dla niej to wszystko jedno; będzie patrzeć na ciebie i wzdychać, nie znudzi ją to choćby i przez rok. Ja opowiadałem jej, między innemi, przez szereg dni o pruskiej izbie panów (o czem bowiem miałem z nią mówić?) — wzdychała tylko i pociła się! Tylko o miłości z nią nie mów (jest ona bowiem aż do przesady wstydliwa), musisz jednak udawać, że nie możesz tego przeboleć, że musisz odejść — to jej zupełnie wystarczy. Posiada bardzo ładne urządzenie i człowiek czuje się jak u siebie w domu; czytaj, siedź, leż, pisz... możesz ją nawet pocałować, — tylko ostrożnie...

— Cóż ja jednak otrzymam wzamian za to?

— Ach, jakżesz mam ci to wytłumaczyć? Zważ tylko: wy oboje pasujecie do siebie! Już przedtem myślałem o tobie... Wszak to cię nie minie! A więc powinno ci to

być zupełnie obojętnem, czy wcześniej czy później. Tu, bracie, tkwi taki pierzynowy pierwiastek — ach! i nie sam tylko pierzynowy! Tu kusi: tu koniec świata, kotwica, ustronna przystań, sól ziemi, wszechświat na trzech wielorybach, wcielenie blinów, pasztetów, samowaru wieczornego, cichych westchnień i ciepłych kaftaników, napalonych pieców, tak, jakbyś umarł, a zarazem żył, obydwie czynności razem! No, bratku, do licha, zabrnąłem, czas spać! Posłuchaj: czasami budzę się w nocy; pójdę więc i zajrzę do niego. Jednak to nic, głupstwo, wszystko jest przecież dobrze. Nie zadawaj więc sobie zbyt wiele trudu, jeśli jednak zechcesz, będziesz mógł przy sposobności też do niego zajrzeć. Gdybyś zaś coś zauważył, naprzykład gorączkę lub malignę, lub coś podobnego, to obudź mnie bezzwłocznie. Zresztą, nie przypuszczam...

## II.

Razumichin obudził się następnego dnia między siódmą a ósmą bardzo zatroskany i poważny. Wiele nowych nieprzewidzianych wątpliwości zrodziło się w nim tego rana. Nigdy ani nie przypuszczał, że obudzi się kiedykolwiek w takim nastroju. Pamiętał aż do najdrobniejszych szczegółów wszystkie zdarzenia dnia ubiegłego i zdawał sobie z tego sprawę, że stało się z nim coś niezwykłego, że jest pod jakiemś zupełnie dotychczas nieznanem wrażeniem, niepodobnem do dawnych. Równocześnie zrozumiał jasno, że ani myśleć nie może o urzeczywistnieniu projektu, który powstał w jego głowie; tak znikome były szanse urzeczywistnienia, że zawstydził się nawet swych marzeń i zwrócił się możliwie szybko ku rzeczywistym troskom i zadaniom, które nałożył nań „przeklęty dzień wczorajszy".

Najwstrętniejsze było dlań wspomnienie jego „podłego i ordynarnego" zachowania się, nietylko dlatego, że wykorzystując ciężkie położenie młodej panny, w zazdrości i głupim zapale nawymyślał na jej narzeczonego, nie znając zupełnie wzajemnych stosunków i zobowiązań obojga, ani też jego samego. I jakież miał prawo wydawać sąd tak pochop-

nie i lekkomyślnie? Kto uczynił go sędzią? I czy można było przypuścić, że istota taka jak Romanowna odda się niegodnemu za pieniądze? A zatem musi i on posiadać jakieś tam zalety.

A hotel? Skądże mógł wiedzieć, co to był za hotel? Przecież przygotował właśnie porządne mieszkanie... Pfe! Jakżeż po chamsku pod każdym względem postąpił! Czy może się bronić tem, że był nietrzeźwy? Głupie usprawiedliwienie, poniżające go jeszcze bardziej! Po pijanemu prawda wychodzi nawierzch, mówi przysłowie, i cała też prawda wyszła najaw, a mianowicie cała podłość jego zazdrosnego, niskiego charakteru! Czyż on, Razumichin, może sobie wogóle pozwolić na takie marzenia o przyszłości? Czemże on jest wobec takiej dziewczyny — on, pijany awanturnik i samochwał wczorajszy? Czy jest wogóle do pomyślenia takie absurdalne i śmieszne zestawienie? Myśląc o tem Razumichin poczerwieniał aż ze złości i rozpaczy, a do tego jakby na złość przypomniało mu się, jak opowiadał im wczoraj na schodach, że gospodyni jest mu przychylna i że będzie zazdrosna o Awdotję Romanowną... to już było całkiem nie do zniesienia. Z wściekłości uderzył pięścią w piec kuchenny z taką siłą, że zranił sobie rękę i wybił jedną cegłę.

— Naturalnie, — mruknął po chwili, zdając sobie sprawę z poniżenia samego siebie,—naturalnie, że te wszystkie podłości nie dadzą się już teraz upiększyć ani odwołać... a zatem nie ma celu wogóle o tem myśleć; będę tylko odgrywał niemą rolę... spełnię mój obowiązek w milczeniu i... i nie wolno mi prosić o przebaczenie ani wogóle wspominać o tem... jasnem jest, że teraz dla mnie wszystko stracone!

Mimo to jednak obejrzał podczas ubierania swoje ubranie staranniej niż zwykle. Drugiego ubrania nie posiadał, a gdyby je nawet miał, to możeby i nawet nie ubrał, umyślnie nie ubrał. Z drugiej znów strony nie chciał uchodzić ani za łapserdaka, ani za niechluja, nie mógł obrażać uczuć innych, tem bardziej że go potrzebowali i wzywali. Dlatego oczyścił starannie szczotką garnitur. Bieliznę

miał zawsze znośną; w tym jedynym kierunku przestrzegał czystości.

Również obmył się tego poranku gruntowniej — od Nastki dostał mydło; — mył włosy, szyję, a szczególniej ręce. Gdy zaś doszło do rozstrzygnięcia kwestji czy ma zgolić sobie brodę, czy też nie (Praskowja Pawłowna miała wyborne brzytwy, pozostałe po nieboszczyku, panu Zarnicynie) to rozstrzygnął ją z pewną dozą złości nawet przecząco: niech zostanie tak jak jest! Gdyby one pomyślały, że ja ogoliłem się aby... a z pewnością by tak pomyślały. Nie, za żadną cenę! — Najgorsze, że jestem takim niokrzesanym gburem i mam zachowanie nadające się do knajpy... Wiem oczywiście, że jestem od biedy porządnym człowiekiem; niema się zbytnio czem chwalić, że się jest porządnym człowiekiem. Porządnym człowiekiem powinien być każdy, a nawet więcej niż porządnym... a ja zgrzeszyłem już i w tem i w owem... nie, nie popełniłem żadnej nieuczciwości, ale przecież... A jakie myśli przychodziły mi nieraz do głowy. Hu! Przecie to istne warjactwo, zestawiać to wszystko z Awdotją Romanowną! Chcę się umyślnie okazać brudnym, niechlujnym pijaczyną! Gwiżdżę na wszystko! Jeszcze gorszym się okażę!...

Gdy tak monologował, wszedł Zosimow, który przenocował w salonie Praskowji Pawłowny.

Wybierał się do domu, przedtem jednak chciał jeszcze raz zajrzeć do chorego. Razumichin powiedział mu, że chory śpi jak suseł. Zosimow polecił nie budzić go, dopóki się sam nie ocknie; obiecał przyjść ponownie po dziesiątej.

— Żebym go tylko zastał wówczas w domu—dodał.— Do licha, ładny to pacjent, który nie słucha lekarza. I lecz tu takiego! Nie wiesz czy on pójdzie do nich, czy one tu przyjdą?

— Spodziewam się, że one tu przyjdą — odparł Razumichin. Zrozumiał cel pytania. — Będą oczywiście omawiać sprawy rodzinne. Ja się wtedy wyniosę. Rozumie się jednak, że ty jako lekarz masz większe prawa aniżeli ja.

— Nie jestem przecież spowiednikiem; przyjdę i zaraz odejdę. Mam jeszcze inne zajęcia.

— Jedno mnie niepokoi — przerwał mu Razumichin chmurząc się. — Wczoraj idąc z nim naplotłem mu rozmaitych głupstw, między innemi, że ty obawiasz się czy on przypadkiem nie dostanie pomieszania zmysłów...

— Również i paniom mówiłeś wczoraj o tem.

— Wiem, że głupio zrobiłem. Możesz mnie wytłuc za to! Powiedz mi jednak, czy wierzysz w to naprawdę?

— Mówię ci przecież, że był to tylko żart.

— Gdy przyprowadziłeś mnie do niego, to przedstawiłeś mi go jako . . . . . . .

— A wczoraj dolaliśmy jeszcze oliwy do ognia, to znaczy ty właściwie, twojem opowiadaniem... o lakierniku; ładna rozmowa. A może właśnie w tem leży powód jego zamroczenia! Gdybym był wiedział dokładnie co się wtedy zdarzyło na policji i to, że tam jakaś bestja rzuciła na niego podejrzenie, to nie byłbym dopuścił do wczorajszej rozmowy. Ci manjacy robią z kropli ocean i widzą na jawie najbardziej bezsensowne rzeczy... O ile sobie przypominam, to już wczoraj z opowiadania Zamietowa dowiedziałem się połowy prawdy. To jednak jeszcze nic. Znam wypadek, że czterdziestoletni hipochondryk zamordował ośmioletniego chłopca, nie mogąc znieść jego codziennych żartów podczas obiadu! A tu on obdarty, bezczelny komisarz, rozwijająca się choroba i — takie podejrzenie! I to skierowane przeciw typowemu hipochondrykowi! O wybitnej, graniczącej z szaleństwem ambicji! Może w tem właśnie leży przyczyna choroby. Do djabła z tem... A propos, ten Zamietow to całkiem miły chłopak, jednak hm... niepotrzebnie wczoraj o wszystkiem opowiadał. Okropny gaduła.

— Komu opowiadał to wszystko? Mnie i tobie!

— I Porfiremu.

— No więc cóż z tego?

— Hm, powiedz mi, czy masz jakiś wpływ na matkę i siostrę? Należałoby dziś być wobec niego nieco ostrożniejszym...

— Pogodzą się! — odparł niechętnie Razumichin.

— Co on ma przeciw temu Łużinowi? Człowiek bo-

gaty i jej o ile mi się zdaje nieobojętny... oni są przecież bez grosza.

— Przestań mnie wypytywać! — krzyknął gniewnie Razumichin. — Skąd mogę wiedzieć czy mają pieniądze? Sam ich spytaj, może ci powiedzą!..

— Ach, jakiś ty czasem głupi! Nie wytrzeźwiałeś jeszcze od wczoraj... Do widzenia! Podziękuj Praskowji Pawłownej w mojem imieniu za nocleg. Zamknęła się na klucz, na moje „dzień dobry“ odpowiedziała mi przez drzwi. O siódmej godzinie jednak wstała, przyniesiono jej z kuchni, przez korytarz, samowar... Nie miałem przyjemności jej widzieć!..

Z uderzeniem dziewiątej zjawił się Razumichin w „pokojach umeblowanych“ Bakalejewa. Obie kobiety oczekiwały go już z niecierpliwością. Wstały jeszcze przed siódmą. Wszedł chmurny jak noc, złożył niezgrabny ukłon, przez co rozgniewał się zaraz — oczywiście na samego siebie. Nastąpiło to, czego zupełnie nie przewidział. Pulcherja Aleksandrowna rzuciła się poprostu na niego, chwyciła jego obie dłonie i o mało nie ucałowała. Spojrzał nieśmiało na Awdotję Romanowną, ale i ta dumna twarz wyrażała w tej chwili taką wdzięczność i przyjaźń, taki zupełny i niespodziewany szacunek — (zamiast ironicznych spojrzeń i źle ukrywanej pogardy) — że byłby zaiste wolał, gdyby go przywitano łajaniem, aniżeli go tak zawstydzono. Na szczęście miał temat do rozmowy, to też uchwycił się go co żywo.

Gdy Pulcherja Aleksandrowna usłyszała, że jej syn nie obudził się wprawdzie jeszcze, jednak że „wszystko dobrze idzie“, odparła, że to się dobrze składa, gdyż wpierw chciałaby z nim, Razumichinem, pomówić o wielu sprawach. Zapytano go, czy pił herbatę i zaproszono do stołu — obie panie postanowiły bowiem zjeść śniadanie razem z nim. Awdotja Romanowna zadzwoniła, poczem zjawił się brudny obdartus, u którego zamówiono herbatę; podano ją jednak tak brudno i niechlujnie, że aż się panie zawstydziły. Razumichin począł zrazu energicznie wygadywać na „umeblowane pokoje“, przypomniał sobie jednak Łużina, za-

milkł, zawstydził się i był bardzo rad, że Pulcherja Aleksandrowna poczęła go o wszystko wypytywać.

Odpowiadał na wszystko przez trzy kwadranse, przyczem przerywano mu ciągle, zadając nowe pytania. Powiadomił je o wszystkich ważniejszych wydarzeniach ostatniego roku i zakończył dokładnem sprawozdaniem o przebiegu choroby Rodiona Romanowicza. To o czem nie mógł mówić przemilczał, między innemi scenę w cyrkule, ze wszystkiemi jej następstwami. Słuchały go chciwie, ale gdy zdawało mu się, że skończył i zadowolnił słuchaczki, pokazało się, że dla nich, jakby jeszcze wogóle nie był zaczynał.

— Powiedz mi pan, jak pan sądzi... ach, wybacz pan, dotąd jeszcze nie wiem jak panu na imię? — dodała Pulcherja Aleksandrowna.

— Dymitr Prokofjicz.

— A zatem, panie Dymitrze, bardzo chciałabym dowiedzieć się... jak on wogóle... zapatruje się teraz na wszystko, to jest, pan rozumie... jakżeż mam to panu wyjaśnić, to znaczy niby — co on lubi? Czy ciągle jeszcze jest taki rozdrażniony? Czego pragnie i o czem marzy? Co wywiera teraz największy wpływ na niego? Słowem, pragnęłabym...

— Ależ mamo, jakżesz można na to wszystko naraz odpowiedzieć! — zauważyła Dunia.

— Ach, mój Boże, nie spodziewałam się wcale zastać go w takim stanie, panie Dymitrze.

— To rzecz całkiem naturalna—odparł Razumichin.— Matki nie mam, a mój wuj przyjeżdża co roku prawie i nigdy mnie nie poznaje, nawet z powierzchowności, a przecież jest on mądrym człowiekiem. A przez trzy lata naszej rozłąki dużo wody z gór spłynęło. I cóż mogę pani powiedzieć? Rodię znam od półtora roku — jest on skryty, ponury, pewny siebie i dumny; w ostatnich zaś czasach — możliwe jednak że już i wcześniej — podejrzliwy i hipochondryk. Przy tem wspaniałomyślny i dobry. Nie lubi okazywać swoich uczuć i woli raczej wydać się okrutnym, aniżeli okazać serce. Czasami nie jest wcale hipochondrykiem, lecz poprostu zimnym i aż do brutalności nieczułym czło-

wiekiem, jakby miał w sobie dwa charaktery. Czasami strasznie małomówny! Nigdy nie ma czasu, ciągle mu przeszkadzają, mimo że sam leży i nic nie robi. Nie drwi z nikogo, nie dla braku dowcipu, lecz dlatego, że nie ma czasu na takie głupstwa. Gdy mu się coś opowiada, nie wysłucha nigdy do końca. Nigdy nie interesuje go to, co zajmuje wszystkich w danej chwili. Ceni się wysoko, i zdaje mi się, że ma poniekąd do tego prawo. Cóżby jeszcze dodać... Spodziewam się, że przyjazd pań wywrze nań zbawienny wpływ.

— Oby Bóg dał! — westchnęła Pulcherja Aleksandrowna, przygnębiona tem co usłyszała o swoim Rodi.

Natomiast Razumichin spojrzał wreszcie śmielej na Awdotję Romanowną. W czasie rozmowy spoglądał na nią często, jednak tylko przelotnie, na krótką chwilę, odwracając natychmiast oczy. Dunia to siadała przy stole, przysłuchując się rozmowie, to wstawała i zaczynała chodzić z kąta w kąt, ze skrzyżowanemi rękoma i zaciśniętemi wargami, jak to miała we zwyczaju. Od czasu do czasu, rzucała jakieś pytanie, nie przerywając swej wdrówki i trwając w zamyśleniu. Również i ona miała zwyczaj nie słuchać do końca. Miała na sobie ciemną sukienkę z lekkiego materjału, a szyję owijała białą, przejrzystą chusteczką. Z wielu oznak wnioskował Razumichin, że obie kobiety znajdują się w ciężkich warunkach materjalnych. Gdyby Dunia ubrana była jak królowa, nie byłby się jej zapewne obawiał; teraz jednak, może właśnie z tego powodu, że była tak skromnie ubrana i że widział całe ich nędzne otoczenie, zagościła w jego sercu jakby trwoga i zaczął się lękać o każde swoje słowo i każdy swój ruch, co dla człowieka, który i tak sobie niedowierzał, musiało być być bardzo uciążliwe.

— Opowiedziałeś pan dużo ciekawych rzeczy o charakterze mego brata i... opowiedziałeś je całkiem bezstronnie. To dobrze; myślałam, że uwielbiasz go — zauważyła Dunia z uśmiechem. — I mnie również się zdaje, że powinien mieć koło siebie kobietę — dodała w zamyśleniu.

— Ja tego nie powiedziałem, a zresztą może ma pani słuszność, tylko że...

— Co?

— On nikogo nie kocha, i być może, że nigdy nie pokocha, — odciął Razumichin.

— To znaczy, że nie potrafi kogoś pokochać?

— Czy pani wie, że jest pani nadzwyczaj podobna do swego brata, i to we wszystkiem! — wyrwało mu się niespodzianie dla niego samego. Gdy sobie jednak przypomniał, co o jej bracie opowiadał, poczerwieniał jak rak ze wstydu.

Awdotja Romanowna spojrzawszy nań, wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Co do Rodi, to możecie się oboje mylić — przerwała matka nieco urażona. — Nie mówię o tem, jakim jest dzisiaj, Dunieczko. To co Piotr Pietrowicz pisze w tym liście... i to cośmy przypuszczały, — może być nieprawdą, a jednak nie może pan sobie, Dymitrze Prokofjiczu, wprost wyobrazić, jakie fantastyczne pomysły on miewa i jaki jest, jakby to powiedzieć, kapryśny. Nigdy nie mogłam polegać na jego charakterze, nawet gdy miał zaledwie piętnaście lat. Pewna jestem, że i teraz może uczynić coś takiego, co nikomuby na myśl nie przyszło... Nie potrzebujemy szukać daleko — czy słyszał pan o tem, jak on mnie przed półtora laty zadziwił, wzruszył i omal na śmierć przestraszył, gdy wyraził chęć poślubienia tej, jakże ona się nazywa — córki owej Zarnicynowej?

— Czy znasz pan bliższe szczegóły tej historji? — spytała Awdotja Romanowna.

— Czy myśli pan — mówiła Pulcherja Aleksandrowna ze wzrastającym zapałem — że byłyby go wtedy powstrzymały moje łzy, moje prośby, moja choroba, a może i śmierć ze zmartwienia, nędza, w którejśmy się znajdowały? Najspokojniej przekroczyłby te przeszkody. Czy możliwe jest jednak, czy jest to możliwe, aby nas nie kochał?

— Nigdy mi o tej historji nie mówił — odparł Razumichin ostrożnie — jednak od samej pani Zarnicynowej słyszałem kilka szczegółów, a nie należy ona do osób, które lubią się zwierzać. To zaś co słyszałem, jest dość dziwne.

— A co, coś pan słyszał? — spytały obie kobiety naraz.

— Nic szczególnego. Dowiedziałem się jedynie, że

małżeństwo to, które było prawie pewne i jedynie z powodu śmierci narzeczonej nie doszło do skutku, nie podobało się bardzo pani Zarnicynowej... Prócz tego mówią, że narzeczona nie była ładna, to znaczy, powiadają nawet że była brzydka... i bardzo chorowita i... jakaś dziwna... miała jednak, jak się zdaje i swoje zalety. Musiała bezwątpienia posiadać jakieś zalety, gdyż inaczej trudnoby było zrozumieć to... Posagu nie miała i na posag on wcale nie liczył... Wogóle trudno jest wydać sąd w takiej sprawie.

— Pewna jestem, że była ona zacną panienką—zauważyła krótko Romanowna.

— Niech mi Bóg przebaczy, a jednak ucieszyła mnie jej śmierć, chociaż sama nie wiem, któreby z nich gorzej na tym związku wyszło — ona czy on, — rzekła Pulcherja Aleksandrowna.

Poczem ostrożnie, z przerwami, spoglądając ustawicznie na Dunię, której to bardzo nieprzyjemne było, poczęła wypytywać o szczegóły wczorajszego zajścia między Rodią a Łużinem. Można było zauważyć, że to zdarzenie zaniepokoiło ją i napełniło obawą. Razumichin opowiedział wszystko ponownie aż do najdrobniejszych szczegółów, dodając tym razem swój własny pogląd na sprawę; obwiniał wprost Raskolnikowa o rozmyślne obrażenie Piotra Pietrowicza, nie tłumacząc go zbytnio chorobą.

— On to sobie jeszcze przed chorobą ułożył, — dodał wkońcu.

— Ja też tak sądzę, — odparła smutno Pulcherja Aleksandrowna.

Była jednak bardzo zdziwiona, że Razumichin wyrażał się tym razem bardzo ostrożnie i z szacunkiem o Piotrze Pietrowiczu. Również i Awdotję Romanowną uderzyło to.

— Czy pan jest takiego zdania o Piotrze Pietrowiczu? — spytała Pulcherja Aleksandrowna.

— O przyszłym mężu córki pani nie mogę inaczej myśleć, — odparł Razumichin poważnie i z zapałem. — Nie mówię tego tylko z grzeczności, lecz dlatego że... że... no powiedzmy z tego jedynie powodu, że Awdotja Romanowna, sama z własnej woli zaszczyciła tego człowieka swoim wy-

borem. Jeżelim zaś na niego wczoraj wygadywał, to stało się to jedynie z tego powodu, żem był wczoraj haniebnie pijany... a oprócz tego bez rozumu, tak, bez rozumu, zwarjowałem z kretesem... a dziś wstydzę się tego!... — zaczerwienił się i zamilkł. Dunia zarumieniła się również, nie przerywała jednak milczenia. Od początku rozmowy o Łużinie nie wypowiedziała ani słowa. A tymczasem matka jej nie mogła się bez jej pomocy zdecydować. Nakoniec, jąkając się i nieustannie spoglądając na córkę, rzekła, że pewna okoliczność niepokoi ją teraz bardzo.

— Widzi pan, Dymitrze Prokofjiczu,—zaczęła.—Będę zupełnie szczera wobec Dymitra Prokofjicza, Dunieczko?

— Ależ rozumie się, mamo — odparła zachęcająco Awdotja Romanowna.

— Widzi pan, rzecz ma się następująco, — śpieszyła wypowiedzieć swe troski, jakby jej tem pozwoleniem zdjęto ciężar z piersi. — Dziś, wczesnym rankiem, otrzymałyśmy list od Piotra Pietrowicza, jako odpowiedź na zawiadomienie o naszym przyjeździe. Widzi pan, miał on nas oczekiwać wczoraj na dworcu kolejowym, sam to nam przyrzekł. Zamiast tego przysłał nam na dworzec swojego służącego, żeby nam wskazał drogę do tego hotelu. Kazał nam powiedzieć, że dziś rano złoży nam wizytę. Tymczasem otrzymałyśmy dziś rano list od niego... Najlepiej będzie, jeżeli go pan sam przeczyta; jest w nim jeden ustęp... który mnie bardzo niepokoi... Sam pan zobaczysz, o czem mówię i... powiedz mi pan szczerze swoje zdanie, Dymitrze Prokofjiczu! Znasz pan najlepiej charakter Rodi i najlepiej nam poradzisz. Uprzedzam pana, że ona wszystko odrazu postanowiła, ale ja, nie wiem jeszcze jak postąpić i... czekałam cały czas na pana.

Razumichin otworzył list, który nosił datę dnia poprzedniego i począł czytać:

„Wielce szanowna Pulcherjo Aleksandrowno! mam zaszczyt donieść Pani, że wskutek nieprzewidzianych przeszkód nie mogłem Pani oczekiwać na dworcu, i posłałem w tym celu odpowiedniego człowieka. Również i dziś rano nie będę miał zaszczytu zobaczenia się z paniami a to z po-

wodu nader pilnych spraw w senacie i ażeby nie przeszkodzić Pani w widzeniu się ze synem, zaś Awdotji Romanownej z bratem. Będę miał jednak zaszczyt odwiedzić Panie w ich mieszkaniu i to najpóźniej do godziny ósmej wieczór. Przytem ośmielam się dołączyć bardzo uprzejmą nie mniej jednak stanowczą prośbę, aby przy naszem spotkaniu nie był obecny Rodion Romanowicz, albowiem podczas wczorajszych odwiedzin moich obraził mnie ciężko i bezprzykładnie, a oprócz tego abyś mi Pani osobiście i szczegółowo wyjaśniła pewną rzecz, co do której życzyłbym sobie poznać Pani osobiste zdanie. Mam przytem zaszczyt uprzedzić Panie, że jeżeli wbrew mojej prośbie zastanę tam Rodiona Romanowicza, to będę zmuszony odejść a winę będą Panie jedynie sobie miały do przypisania.

Piszę o tem, gdyż możliwe jest, iż Rodion Romanowicz, który podczas mojej wizyty wydawał się tak słaby, po dwu godzinach nagle wyzdrowieje, wyjdzie na ulicę i wstąpi do Pań. Pozwalają mi zaś sądzić tak moje własne spostrzeżenia, gdyż sam widziałem go w mieszkaniu pewnego na śmierć przez konie przejechanego pijaka, gdzie jego córce, dziewczynie podejrzanych obyczajów, ofiarował dwadzieścia pięć rubli pod pozorem pogrzebu, co mnie bardzo zdziwiło, wiem bowiem ile trudów kosztowało Panią zebranie tej sumy. Przy sposobności łączę wyrazy szczególnego poważania dla szanownej Awdotji Romanownej i proszę o przyjęcie zapewnienia prawdziwej życzliwości od pokornego sługi

*P. Łużina*"

— Cóż mam począć teraz, Dymitrze Prokofjiczu? — zapytała Pulcherja Aleksandrowna niemal z płaczem.—Jakżeż mogę żądać od Rodi aby nie przychodził. On sam nastawał wczoraj abym odmówiła Piotrowi Pietrowiczowi a teraz żądają ode mnie abym jego samego nie przyjęła. Ależ on umyślnie przyjedzie gdy się dowie i... co się wtedy stanie?

— Niech pani zrobi tak, jak postanowiła Awdotja Romanowna, — odparł Razumichin szybko i spokojnie.

— Ach, mój Boże! Ona mówi... ona mówi—Bóg wie

co, i nie wyjawia mi swego celu! Ona mówi, że najlepiej byłoby, to znaczy, że nietylko byłoby najlepiej, lecz z jakiegoś tam powodu jest konieczne, aby i Rodię zaprosić dziś na ósmą wieczór, i żeby się koniecznie tu spotkali... A ja nawet nie chciałam mu tego listu pokazać, i nawet miałam prosić pana abyś go powstrzymał od przychodzenia tu... gdyż on jest taki podrażniony... A przytem nie wiem nic o owym pijaku, który umarł ani o jego córce, i jak to się stało, że on tej córce dał swe ostatnie pieniądze... które...

— Których zdobycie tyle cię, mamo, kosztowało i tak dalej... — dodała Awdotja Romanowna.

— On był wczoraj rozdrażniony,—mówił Razumichin w zamyśleniu.—Gdybyście zaś panie wiedziały, co on wyprawiał wczoraj w restauracji, hm! Rzeczywiście mówił mi podczas powrotu do domu o jakimś nieboszczyku i o jakiejś dziewczynie, nie rozumiałem go jednak ani słowa... Zresztą, ja również byłem wczoraj....

— Najlepiej, mateczko, będzie, gdy pójdziemy same do niego i tam odrazu zobaczymy, co nam czynić wypada. A zresztą, już czas najwyższy. — Boże! Już po dziesiętej! — zawołała spojrzawszy na swój wspaniały złoty emaljowany zegarek, który nosiła zawieszony na szyi na cienkim weneckim łańcuszku. Cacko to nie harmonizowało wcale z resztą ubrania.

„Prezent narzeczonego" — pomyślał Razumichin.

— Ach, już czas... już czas, Dunieczko, już czas! — ożywiła się Pulcherja Aleksandrowna. — Gotów pomyśleć, że gniewamy się jeszcze od wczoraj na niego, gdy tak długo nie przychodzimy. O mój Boże!

To mówiąc, szybko ubrała mantylę i kapelusz; również i Dunieczka ubrała się. Jej rękawiczki były nietylko znoszone, lecz nawet jak Razumichin zauważył, podarte. A jednak ta widoczna nędza nadawała obu kobietom jakby pozór godności, zwykłej u tych ludzi, którzy potrafią nosić skromne ubranie. Razumichin patrzył ze czcią na Dunię i był dumny, że ma ją odprowadzić. „Owa królowa—myślał w duchu—która cerowała w więzieniu pończochy, była bardziej królo-

wą w owej chwili, aniżeli w czasie najwspanialszych uroczystości i przyjęć".

— Mój Boże! — zawołała Pulcherja Aleksandrowna, — czyż mogłam myśleć, że się będę bała spotkania z synem, z moim miłym, kochanym Rodią... A dziś boję się — dodała patrząc nań nieśmiało.

— Nie obawiaj się, mamo, — rzekła Dunia, całując ją. — Raczej niech mama w niego wierzy tak, jak ja.

— Ach, mój Boże! Ja również wierzę, jednak nie spałam całą noc! — zawołała biedna kobieta.

Wyszli na ulicę.

— Wiesz, Duniu, gdy nad ranem zasnęłam nieco, przyśniła mi się nieboszczka Marfa Pietrowna... cała w bieli... podeszła ku mnie, wzięła mnie za rękę i potrząsała nade mną głową, z tak srogą miną, jakby mnie potępiała... Czy może to być dobry znak? Ach mój Boże! Przecież pan nie wie jeszcze, że Marfa Pietrowna umarła.

— Nic nie wiem. Kim była Marfa?

— Umarła nagle! I wyobraź pan sobie...

— Później, mamo, — przerwała Dunia, — przecież pan Dymitr nie wie nic o Marfie Pietrownej.

— Ach, pan nie wie? A ja myślałam, że wszystko już jest panu znane. Przebacz mi pan, ale straciłam w ostatnich dniach zupełnie głowę. Doprawdy, uważam pana za naszą Opatrzność i dlatego zdawało mi się, że pan wszystko wie. Uważam pana za krewnego... Nie gniewaj się pan, że tak mówię. Mój Boże! Co się panu stało w prawą rękę? Jesteś pan raniony?

— Tak, zraniłem się w rękę—wyszeptał uszczęśliwiony Razumichin.

— Niekiedy mówię tak ze szczerego serca, że aż Dunia mityguje mnie... Ale, mój Boże, w jakiej norze on mieszka! Czy się już obudził? A ta jego gospodyni, uważa to za pokój? Posłuchaj pan, pan twierdzisz, że on nie lubi zdradzać swoich uczuć, tak że ja mu może uprzykrzę się... przez moje słabostki?... Czy mógłbyś mi pan powiedzieć, Dymitrze Prokofjiczu, jak się mam wobec niego zachowywać? Bo doprawdy nie wiem co mam robić.

— Nie wypytuj go pani zbytnio, a szczególnie gdy się skrzywi; głównie zaś zaprzestań pani pytań o zdrowie, nie lubi tego.

— Ach, Dymitrze Prokofjiczu, jak trudno jest być matką.

— Tu są schody... Ach, jakie okropne...

— Mamo, taka jesteś blada, uspokój się moja droga — rzekła Dunia, przytulając się do niej, — on przecież powinien być szczęśliwy, że mamę widzi, a mama tak się męczy, — dodała z gniewem w oczach.

— Niech panie zaczekają chwilkę... Pójdę zobaczyć czy się obudził.

Obie kobiety szły wolno za Razumichinem, który pobiegł naprzód po schodach. Gdy doszły na czwarte piętro i przechodziły obok drzwi gospodyni, zauważyły, że drzwi te były nieco uchylone, a z poza nich spojrzały na nie szybko czyjeś ciemne oczy. Spojrzenia ich skrzyżowały się a drzwi zatrzasnęły się nagle z takich hałasem, że Pulcherja Aleksandrowna o mało nie krzyknęła ze strachu.

## III.

— Zdrów, zdrów — wesoło powitał Zosimow wchodzących.

Przyszedł przed dziesięcioma minutami i siedział w tym samym kącie na sofie, co wczoraj. Raskolnikow siedział naprzeciw niego zupełnie ubrany, umyty i uczesany, co już od dłuższego czasu się nie zdarzało. Pokój zapełnił się odrazu. Nastasja jednak zdołała wsunąć się za gośćmi, aby podsłuchiwać.

Istotnie, Raskolnikow, szczególnie w porównaniu z dniem wczorajszym, mógł uchodzić za zdrowego. Był jedynie bardzo blady, roztargniony i pochmurny. Z wyglądu można go było wziąć za rannego, albo za człowieka zgnębionego silnym bólem fizycznym — brwi miał ściągnięte, wargi zaciśnięte, oczy mu błyszczały. Mówił mało i niechętnie, jakgdyby mu to ból sprawiało lub wypełniał niemiły

obowiązek, a w ruchach jego spostrzec było można przebłyski niepokoju.

Brakło jedynie jakiegoś bandaża na ręku lub owinięcia palca, aby dopełnić podobieństwa z ranionym.

Blada i chmurna jego twarz rozjaśniła się na chwilę, gdy weszły matka i siostra, lecz zaraz w miejsce poprzedniego chmurnego roztargnienia osiadł na niej wyraz wewnętrznej udręki, a Zosimow, który obserwował swego pacjenta z całym zapałem początkującego lekarza, zauważył z nadzwyczajnem zdumieniem, zamiast radości z powodu przybycia krewnych, źle skrywane postanowienie przebycia godziny męki, której nie można uniknąć! Widział potem, jak każde słowo prowadzonej rozmowy, jakgdyby dotykało i rozdzierało jakąś ranę chorego, równocześnie jednak musiał podziwiać dzisiejszą umiejętność panowania nad sobą i ukrywania uczuć — tego, który wczoraj wpadał w szał z powodu najbłahszego słówka.

— Tak, sam to czuję, że jestem prawie zdrów, — mówił Raskolnikow, całując życzliwie matkę i siostrę, co wprawiło w zachwyt Pulcherję Aleksandrownę — i nie mówię już tak jak *wczoraj*, — dodał, zwracając się do Razumichina z przyjacielskim uściskiem dłoni.

— Zdziwiło mnie dziś niemało, — zaczął Zosimow, uradowany przybyciem pań, gdyż w czasie dziesięciu minut stracił wątek rozmowy z chorym. — Gdy tak dalej pójdzie, to za trzy lub cztery dni wszystko wróci do dawnego stanu, to jest, do stanu z przed mesiąca lub z przed dwu miesięcy. Bo to się oddawna przygotowywało i rozwijało... nieprawdaż? Czy przyznasz pan, że sam może ponosisz winę tej choroby?—dodał z ostrożnym uśmiechem, jakby obawiając się rozdrażnić go temi słowy.

— Bardzo możliwe, — odparł zimno Raskolnikow.

— Mówię to tylko dlatego, — ciągnął dalej Zosimow, — że pańskie zupełne wyzdrowienie zależy głównie od pana samego. Teraz, gdy można z panem mówić, chciałbym panu wyjaśnić, że koniecznem jest usunąć pierwotne, jakby powiedzieć zasadnicze przyczyny, które spowodowały chorobę. Tylko pod tym warunkiem możesz pan wyzdro-

wieć, w przeciwnym zaś razie nastąpi niezawodnie pogorszenie. Nie wiem jakie są te pierwotne powody, panu jednak są one zapewne znane. Jest pan mądrym człowiekiem i obserwowałeś pan pewnie sam siebie. Odnoszę wrażenie, że początek pańskiej choroby datuje się od czasu wystąpienia z uniwersytetu. Nie powinien pan pozostać bezczynny, i dlatego myślę, że praca i wytknięty cel mogą być bardzo zbawienne.

— Tak, tak, masz pan słuszność... pójdę zaraz na uniwersytet i potem wszystko pójdzie... jak po maśle...

Zosimow, który dawał mu te rady częściowo dla zaimponowania damom, zmieszał się, widząc że zakończenie przemowy wywołało drwiący uśmiech na twarzy Raskolnikowa. Trwało to jednak tylko chwilę. Pulcherja Aleksandrowna poczęła się zaraz rozpływać w podziękowaniach dla Zosimowa, dziękując mu szczególnie za nocne odwiedziny w hotelu.

— Jakto, on był u was w nocy? — zapytał Raskolnikow z widocznym niepokojem. — A więc i po podróży nie spałyście?

— Ach, Rodio, to było przecież przed godziną drugą. W domu również nie kładłyśmy się spać przed drugą.

— Nie wiem jak mu mam podziękować, — mówił Raskolnikow chmurnie spuszczając oczy. — Pomijając kwestję honorarjum — wybacz pan, że mówię o tem (zwrócił się do Zosimowa) — nie wiem nawet czem zasłużyłem sobie na takie szczególne względy u pana? Poprostu nie rozumiem tego... i przykro mi jest, że nie rozumiem — mówię to panu otwarcie.

— Niech się pan nie denerwuje, — uśmiechnął się Zosimow z przymusem. — Przedstaw pan sobie, że jesteś moim pierwszym pacjentem, a lekarz, który dopiero zaczął praktykować, lubi swych pierwszych pacjentów jak własne dzieci, a niektórzy z nich kochają ich nawet. A przecież ja nie mam zbyt wielu pacjentów.

— Bo już nie mówię o tamtym, — dodał Raskolnikow, wskazując na Razumichina, — ten również miał ze mną jedynie zmartwienia i kłopoty.

— Co on plecie! Czy jesteś dziś może w czułym nastroju? — zawołał Razumichin.

Gdyby był bardziej bystrym obserwatorem, byłby spostrzegł, że nie było tu ani śladu czułości, raczej wprost przeciwnie. Spostrzegła to jednak Awdotja Romanowna. Patrzyła przenikliwie i pełna niepokoju na brata.

— O mamie zaś nawet nie śmiem wspominać, — mówił dalej jakby wyuczoną lekcję. — Dopiero dziś uzmysłowiłem sobie poczęści, jak musiała cierpieć wczoraj, oczekując mego powrotu.

Potem nagłym ruchem podał rękę siostrze, nie mówiąc ani słowa, uśmiechając się tylko. W uśmiechu tym przebijało się prawdziwe, niekłamane uczucie. Dunia natychmiast ujęła i ścisnęła serdecznie wyciągniętą rękę. Po raz pierwszy zwracał się do niej po wczorajszej kłótni. Twarz matki błyszczała zadowoleniem i szczęściem, na widok tego ostatecznego i niemego pogodzenia się brata z siostrą.

— Za to właśnie go lubię! — szepnął Razumichin, obracając się energicznie na krześle, — ma on takie momenty uczucia!...

„I jak dobrze wszystko kończy, myślała matka, — jaka szlachetność uczucia, jak prosto i delikatnie położył kres swemu wczorajszemu nieporozumieniu z siostrą — i to poprostu przez to, że podał jej rękę w odpowiedniej chwili i spojrzał na nią z miłością... A jakie ma piękne oczy i jaką miłą twarz... Jest nawet ładniejszy od Dunieczki... Lecz, mój Boże, jakież ubranie on nosi, jak okropnie jest odziany! Parobek Wasia w sklepie Atanazego Iwanowicza chodzi lepiej ubrany!... Chętnie rzuciłabym się mu na szyję, objęłabym go i... zapłakałabym — jednak boję się, boję... mógłby to źle zrozumieć, o Boże! Rozmawia wprawdzie uprzejmie, a jednak boję się! Czegóż ja się właściwie boję?...“

— Ach, Rodio, nie uwierzysz, — pośpieszyła nagle z odpowiedzią na jego uwagę, — jak byłyśmy wczoraj nieszczęśliwe... ja i Dunieczka! Teraz, gdy wszystko minęło a my wszyscy jesteśmy znów szczęśliwi — można opowiedzieć! Wyobraź sobie, biegniemy tu aby cię uściskać, prawie wprost z kolei, a ta kobieta, — a otóż i ona! Jak się

masz, Nastasjo? — mówi nam, że ty masz silną gorączkę i że właśnie dopiero co, bez wiedzy lekarza, uciekłeś i że poszli cię szukać! Nie uwierzysz, jak na nas to podziałało! Przypomniałam sobie zaraz, jak tragicznie skończył porucznik Potanczykow, nasz znajomy, przyjaciel twego ojca — ty go zapewne nie pamiętasz, Rodio—miał on również silną gorączkę i podobnie jak ty uciekł na ulicę i wpadł do studni na podwórzu, dopiero na trzeci dzień wydobyto go stamtąd. My przedstawiałyśmy sobie to jeszcze w czarniejszych barwach. Chciałyśmy pobiec do Piotra Pietrowicza, aby z jego przynajmniej pomocą... gdyż byłyśmy same, zupełnie same, — dodała płaczliwym głosem, i zamilkła nagle, przypomniawszy sobie, że jest jeszcze dość niebezpiecznie mówić o Piotrze Pietrowiczu, pomimo że „wszyscy są już znowu zupełnie szczęśliwi".

— Tak, tak... to wszystko jest bezwątpienia przykre... — odparł Raskolnikow, ale z takiem roztargnieniem i nieuwagą, że Dunia spojrzała nań pełna zdziwienia.

— Co to ja chciałem powiedzieć, — ciągnął dalej, jakby próbując sobie coś przypomnieć — ach tak — proszę was, mamo i Duniu, nie myślcie, że nie chciałem przyjść sam najpierw do was i że czekałem abyście wy pierwsze do mnie przyszły.

— Cóż znowu, Rodio! — zawołała Pulcherja Aleksandrowna, także zdziwiona.

„Czemu on tak konwencjonalnie mówi? — pomyślała Dunieczka. — Godzi się i prosi o przebaczenie, jakby wypełniał obowiązek lub wypowiadał lekcję".

— Przebudziłem się niedawno i chciałem iść do was, powstrzymało mnie jednak moje ubranie; zapomniałem jej... Nastce... powiedzieć, aby wymyła tę krew... Teraz, dopiero się ubrałem.

— Krew? Jaką krew? — zawołała przerażona Pulcherja Aleksandrowna.

— To nic... nie lękajcie się. Krew pochodzi z tego, że gdy wczoraj w gorączce błądziłem, natknąłem się na przejechanego człowieka... na jakiegoś urzędnika.

— W gorączce? Ależ ty przecież wszystko pamiętasz? — przerwał mu Razumichin.

— To prawda — odparł Raskolnikow z namysłem, — przypominam sobie wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów, a jednak, — przedstaw sobie, — nie mogę sobie wytłumaczyć dlaczego to zrobiłem, poco tam byłem i to wszystko mówiłem!

— To znana rzecz, — wmieszał się Zosimow, — niekiedy wykonywa się jakąś czynność wspaniale, po mistrzowsku, kierownictwo jednak postępkami i pobudki czynu są niejasne i zależą od przeróżnych chorobliwych uczuć. Całkiem jak we śnie.

„A może to i dobrze, że uważa on mnie prawie za warjata", — pomyślał sobie Raskolnikow.

— To samo jednak może się odnosić i do zdrowych, — rzekła Dunia, patrząc z niepokojem na Zosimowa.

— Pani pogląd jest dość słuszny, — odparł, — w tem znaczeniu my wszyscy jesteśmy rzeczywiście podobni do warjatów, z tą tylko małą różnicą, że „chorzy" są troszkę więcej zwarjowani od nas, tu trzeba poprowadzić rozgraniczenie. Zupełnie harmonijnych ludzi — coprawda — prawie niema; znajdzie się może jeden na dziesięć, a może nawet na sto tysięcy...

Przy słowie „warjaci", które nieostrożnie wymknęło się rozgadanemu na ulubiony temat Zosimowowi, wszyscy się skrzywili. Raskolnikow siedział zatopiony w myślach z dziwnym uśmiechem na bladych wargach, jakby nie zwracając na to żadnej uwagi. Widocznie myślał nad czemś.

— A więc cóż jest z tym przejechanym? Przerwałem ci! — zawołał szybko Razumichin.

— Co? — Raskolnikow zdawał się budzić ze snu.— Tak, a więc zawalałem się krwią, gdy pomagałem przenieść go do mieszkania... Tak, mamo, popełniłem wczoraj rzecz nie do darowania — rzeczywiście byłem niespełna rozumu. Wszystkie pieniądze, któreście mi posłali... dałem jego żonie.. na pogrzeb. Została wdową, jest to suchotnica godna pożałowania... troje małych dzieci, sieroty głodne... W domu

nic niema... jest tam także córka... Ggybyście były na własne oczy widziały, byłybyście się też ulitowały... Coprawda nie miałem wcale prawa, przyznaję to, szczególnie, że wiem, jak ciężko wam przyszło uzyskanie tych pieniędzy. Aby pomagać, trzeba mieć wpierw prawo, w przeciwnym bowiem razie — *Crevez, chiens, si vous n'êtes pas contents,* — zaśmiał się. — Czy nieprawda, Duniu?

— Nieprawda, — odparła Dunia stanowczo.

— Ba! Więc ty masz... własne zdanie!... — mówił, patrząc na nią prawie z nienawiścią i uśmiechając się drwiąco. — Powinienem był wziąć to pod uwagę... No, ale trudno, bardzo ci się to chwali i nawet lepiej dla ciebie... a gdy dojdziesz do granicy, której nie będziesz mogła przekroczyć — będziesz nieszczęśliwą, a gdy ją przekroczysz — będziesz może jeszcze nieszczęśliwsza... A zresztą, wszystko to nie ma sensu! — dodał z irytacją, zły sam na siebie za mimowolną szczerość. — Chciałem tylko powiedzieć, że proszę cię, mamo, o przebaczenie, — zakończył krótko i węzłowato.

— Ależ, Rodio, pewna jestem, że wszystko co robisz jest dobre! — rzekła matka z radością.

— Niech mama nie będzie tego taka pewna, — odparł, wykrzywiając usta w uśmiechu.

Zaległo milczenie. W całej rozmowie i w tem milczeniu wyczuć można było napięcie, podobnie jak w pogodzeniu się i w przebaczeniu. Czuli to wszyscy.

„Wygląda, jakby mnie się bali", — myślał Raskolnikow, patrząc z pod oka na matkę i siostrę.

Pulcherja Aleksandrowna im dłużej milczała, tem bardziej stawała się nieśmiała.

„Gdy była daleko, to zdawała się kochać mnie" — przeszło mu błyskawicą przez myśl.

— Czy wiesz, Rodio, że Marfa Pietrowna umarła? — rzekła nagle Pulcherja Aleksandrowna.

— Jaka Marfa Pietrowna?

— Ach, mój Boże, Marfa Pietrowna Świdrygajłowa! Pisywałam ci przecież tyle o niej.

— A tak, przypominam sobie... A więc umarła? Czy

być może? — zawołał nagle jakby zbudzony. — Czy naprawdę umarła? Cóż jej było?

— Wyobraź sobie, zmarła nagle! — pośpieszyła z odpowiedzią Pulcherja Aleksandrowna, zachęcona jego zaciekawieniem, — i to właśnie w tym czasie, gdy posłałam jej list, nawet tego samego dnia! Pomyśl sobie, widocznie ten straszny człowiek był przyczyną jej śmierci. Opowiadają, że skatował ją niemiłosiernie!

— Czy żyli tak źle ze sobą? — zwrócił się z zapytaniem do siostry.

— Wprost przeciwnie. On był wobec niej zawsze cierpliwy i grzeczny. W niektórych wypadkach nawet zbyt cierpliwy, wobec jej postępowania, przez całe siedem lat... Nagle jednak stracił cierpliwość!

— A więc on wcale nie jest taki straszny, gdy wytrzymał siedem lat? Zdaje mi się, że ty, Duniu, bronisz go?

— Nie, nie, on jest okropnym człowiekiem! Nie mogę sobie nawet gorszego wyobrazić, — odparła Dunia prawie z drżeniem, zmarszczyła brwi i zamyśliła się.

— Stało się to rano, — ciągnęła Pulcherja Aleksandrowna z pośpiechem. — Potem kazała zaprzęgać, aby zaraz po obiedzie pojechać do miasta, ponieważ w takich wypadkach zawsze jechała do miasta; obiad zjadła jak to mówią z „dobrym apetytem"...

— Jakto, pobita?

— Taki miała... zwyczaj, i zaraz po zjedzeniu poszła, aby się nie opóźnić z odjazdem, do łazienki... Musisz bowiem wiedzieć, że brała kąpiele ze względów zdrowotnych, mają oni tam źródło zimnej wody, a ona kąpała się w niem codziennie; gdy weszła do wody, tknęła ją nagle apopleksja!

— Nic dziwnego — rzekł Zosimow.

— A mocno ją zbił?

— To jest przecież zupełnie obojętne — rzekła Dunia.

— Hm. A zresztą jaką przyjemność znajduje mama w opowiadaniu mi tych głupstw? — rzekł nagle Raskolnikow podrażnionym tonem.

— Ach, mój drogi, nie wiedziałam już poprostu o czem mam mówić — odrzekła Pulcherja Aleksandrowna.

— Cóż to, czy się mnie może boicie? — zapytał z wymuszonym uśmiechem.

— Tak — odparła Dunia, patrząc śmiało i ostro na brata. — Gdyśmy szły po schodach, matka się nawet przeżegnała.

Twarz skrzywiła mu się grymasem.

— Ależ Duniu, co ty mówisz? Rodio, proszę cię, nie gniewaj się... Dlaczego to powiedziałaś, Duniu? — mówiła Pulcherja Aleksandrowna w zakłopotaniu — to prawda, gdy tu jechałam, marzyłam przez całą drogę o tem, jak to my się zobaczymy, jak będziemy sobie wzajemnie opowiadać!... i byłam tak szczęśliwa, że nawet nie odczuwałam trudów podróży! Ale co ja mówię! Również i teraz jestem szczęśliwa... Czynisz mu krzywdę, Duniu... Rodio... Już samo to, że cię widzę, napawa mnie szczęściem.

— Daj pokój, mamo — szeptał zawstydzony, ściskając jej rękę, nie patrząc jednak na nią — znajdziemy jeszcze dość czasu na rozmowę.

Wyrzekłszy te słowa, zawstydził się znowu i pobladł, — jego duszę opanowało znów to krótkie straszne uczucie chłodu śmierci, i znów uprzytomnił sobie z przerażającą jasnością, że powiedział okropne kłamstwo, że nigdy nie będzie mógł powiedzieć co ma na sercu, że nigdy już, nigdy z nikim, nie będzie mógł wogóle mówić. Wrażenie tej bolesnej myśli było tak silne, że na chwilę stracił poczucie rzeczywistości, powstał ze swego miejsca i nie patrząc na nikogo, chciał wyjść z pokoju.

— Co ci jest? — zawołał Razumichin, chwytając go za rękę.

Usiadł i począł się w milczeniu rozglądać dookoła; wszyscy patrzyli nań ze zdziwieniem.

— Dlaczego jesteście wszyscy tacy nudni? — zawołał całkiem niespodzianie. — Mówcie coś! Dlaczego siedzimy wszyscy razem! A więc mówcie! Bawmy się... Zeszli się i milczą... mówcie coś wreszcie!

— Dzięki Bogu! Myślałam już, że stanie się z nim to samo co wczoraj — rzekła Pulcherja Aleksandrowna, żegnając się.

— Co ci jest, Rodio? — zapytała Dunia niedowierzająco.

— Nic, przyszła mi na myśl jedna rzecz, — odparł nagle i roześmiał się.

— Jeśli to co śmiesznego, to dobrze! Ja sam myślałem prawie... — mruknął Zosimow i wstał ze sofy. — Teraz muszę odejść; przyjdę tu jeszcze raz, może... jeśli zastanę tu panią...

Pożegnał się i wyszedł.

— Co za miły człowiek! — rzekła Pulcherja Aleksandrowna.

— Tak, miły, doskonały, wykształcony, mądry... — rzekł nagle Raskolnikow szybko i z niezwykłą u niego żywością — nie pamiętam, czy widziałem go kiedyś przed moją chorobą... a jednak zdaje mi się, żem go już gdzieś widział... Ten tu jest również dobrym człowiekiem! — skinął w kierunku Razumichina, — czy podoba ci się, Duniu? — spytał ją i zaśmiał się nagle i bez powodu.

— Bardzo mi się podoba — odparła Dunia.

— Fe... ordynarny jesteś! — rzekł Razumichin bardzo zażenowany i czerwony, i powstał z krzesła.

Pulcherja Aeksandrowna uśmiechnęła się, a Raskolnikow wybuchnął głośnym śmiechem.

— Dokąd idziesz?

— Ja również... muszę odejść.

— Wcale nie musisz, zostań tu! Czy dlatego, że Zosimow odszedł, musisz odejść i ty? Zostań, która godzina? Czy jest już dwunasta? Jaki masz ładny zegarek, Duniu! Dlaczego znowu milczycie? Tylko ja, ja sam mówię przez cały czas!...

— Zegarek ten podarowała mi Marfa Pietrowna — odparła Dunia.

— Jest to bardzo drogi zegarek, — dodała Pulcherja Aleksandrowna.

— Tak! A jaki duży, to już prawie nie damski zegarek.

— Lubię takie — rzekła Dunia.

„A więc to nie jest podarunek od narzeczonego“ — pomyślał Razumichin z radością.

— Myślałem, że to prezent od Łużina — rzekł Raskolnikow.

— Nie, nie podarował on jeszcze nic Dunieczce.

— Tak! Czy pamiętasz mamo, że byłem zakochany i chciałem się ożenić? — rzekł nagle, patrząc na matkę, zdziwioną tą niespodziewaną uwagą i tonem jego głosu.

— Ach, mój kochany, tak, pamiętam. — Pulcherja Aleksandrowna znacząco spojrzała na Dunię i na Razumichina.

— Hm! Tak! Cóż wam mogę opowiedzieć? Pamiętam już niewiele. Była ona bardzo chorowitem dziewczęciem — mówił dalej ze spuszczonym wzrokiem i pogrążony w myślach, — była taka słaba; lubiła rozdzielać jałmużnę i marzyła zawsze o klasztorze, a gdy mi raz coś opowiadała, płakała rzewnemi łzami. Tak, tak... pamiętam... pamiętam to doskonale. Była taka... brzydka. Nie wiem zaiste, skąd się wzięło moje uczucie, być może dlatego, że była ciągle chora... Gdyby była jeszcze ułomna lub garbata, to zdaje mi się, że byłbym ją jeszcze więcej kochał... (uśmiechnął się w zamyśleniu). Był tylko taki nastrój wiosenny...

— Nie, to nie był tylko nastrój wiosenny, — rzekła Dunia z ożywieniem.

Spojrzał uważnie na siostrę, lecz jej słów nie słyszał, ani też rozumiał. Potem, w głębokiem zamyśleniu wstał, podszedł ku matce, pocałował ją, powrócił na swoje miejsce i usiadł.

— Ty ją jeszcze kochasz? — spytała Pulcherja Aleksandrowna.

— Ja? teraz? Ach tak... o niej mówisz! Nie. To wszystko wydaje mi się teraz, jakby nie z tego świata... i takie odległe. Tak i to wszystko co się dokoła mnie dzieje, jakgdyby działo się gdzie indziej...

Popatrzył na nią z uwagą.

— Również i was... widzę jakby oddalone o tysiące wiorst... Ależ do djabła, dlaczego mówimy o tem? I dla-

czego wypytujecie mnie o wszystko? — rozgniewał się i zaraz umilkł, gryząc paznokcie i wpadając w zadumę.

— Jakie ty masz nędzne mieszkanie, Rodio, czyni ono wrażenie trumny — rzekła nagle Pulcherja Aleksandrowna, przerywając uciążliwe milczenie — pewna jestem, że mieszkanie to ponosi połowę winy twej melancholji.

— Mieszkanie?... — odparł z roztargnieniem. — Tak, to mieszkanie winno temu... i ja tak myślę... Gdybyś wiedziała, jak dziwną myśl teraz wypowiedziałaś, — dodał, zaśmiawszy się nagle w osobliwy sposób.

Jeszcze chwila, a towarzystwo, jego najbliższa rodzina, którą oglądał po trzyletniej rozłące i ten sposób rozmowy, który był przelewaniem z pustego w próżne, musiały się stać dla niego nie do zniesienia. Pozostała jednak jeszcze jedna niecierpiąca zwłoki sprawa, którą tak czy owak musiał dziś rozstrzygnąć... postanowił to sobie przedtem, gdy się tylko obudził. Teraz ucieszyło go to jako sposób wybrnięcia z niemiłej sytuacji.

— Słuchaj, Duniu, — zaczął poważnie i sucho, — rozumie się, że proszę cię o przebaczenie za moje wczorajsze zachowanie się, uważam jednak za swój obowiązek przypomnieć ci raz jeszcze, że nie odstąpię za nic od mego żądania. Albo ja albo Łużin. Ja mogę być łotrem, ty jednak być podłą nie powinnaś. Jedno wystarczy. Jeżeli poślubisz Łużina, to przestanę cię uważać za siostrę.

— Rodio, Rodio! Zaczynasz to samo, co było wczoraj! — zawołała Pulcherja Aleksandrowna żałośnie, — i dlaczego nazywasz się ustawicznie łotrem, nie znoszę tego! Wczoraj było to samo...

— Bracie, — odparła Dunia również stanowczo, — w tem wszystkiem jest pomyłka z twojej strony. Myślałam dzisiaj o tem i wykryłam twój błąd. Rzecz cała w tem, że ty — o ile mi się zdaje — myślisz, że ja czynię komuś ofiarę ze siebie, aby komuś innemu pomóc. Tak jednak nie jest. Wychodzę zamąż tylko ze względu na siebie samą, gdyż sama czuję, że w takich warunkach dłużej żyć nie mogę, a potem, naturalnie, będę rada, gdy mi się

uda dopomóc moim najbliższym, jednak nie jest to jedynym powodem, wpływającym na moje postanowienie.

„Ona kłamie! — myślał gryząc z wściekłości paznokcie. — Ona jest dumna! Nie chce się przyznać, że lubi odgrywać rolę dobrodziejki! Och, te niskie charaktery! Kochają tak, jakby nienawidziły.... Jakże nie nawidzę ich wszystkich“.

— Jednem słowem, wychodzę za Piotra Pietrowicza, gdyż z dwojga złego wybieram mniejsze. Postanowiłam spełnić uczciwie to wszystko, czego się po mnie spodziewa, a zatem nie oszukuję go... Dlaczego się śmiejesz?

Zaczerwieniła się, a w oczach jej zapalił się gniew.

— Chcesz wszystko spełnić? — spytał z jadowitym uśmiechem.

— Aż do pewnej granicy. Sposób i forma starania się o moją rękę pouczyły mnie zaraz, czego chce Piotr Pietrowicz. On ocenia siebie wprawdzie za wysoko, spodziewam się jednak, że ceni również i mnie... Dlaczego się znowu śmiejesz?

— A dlaczego ty znowu się czerwienisz? Kłamiesz, siostro, kłamiesz z całą świadomością, jedynie wskutek kobiecego uporu, i aby postawić na swojem wbrew mojej woli... Ty nie możesz szanować Łużina, — widziałem go i mówiłem z nim. Sprzedajesz się tedy za pieniądze, a zatem postępujesz podle; cieszę się, że przynajmniej umiesz się jeszcze zaczerwienić!

— To nieprawda, ja nie kłamię... — wołała Dunia tracąc swą zimną krew, — nie poślubiłabym go, gdybym nie była pewna, że on mnie szanuje i że zależy mu na mnie; nie wyszłabym za niego, gdybym nie była przekonana, że i ja mogę go również szanować. Na szczęście mogę się o tem dziś jeszcze przekonać. A takie małżeństwo nie jest podłe, jak je nazywasz. A nawet gdybyś miał słuszność, gdybym się nawet zdecydowała na podłość — czy nie jest okrucieństwem z twojej strony, mówić tak do mnie? Dlaczego żądasz ode mnie bohaterstwa, którego sam nie posiadasz? To jest tyranja, to jest gwałt! O ile kogoś nawet zniszczę, to najwyżej siebie samą... Nie zabiłam jeszcze

nikogo... Dlaczego patrzysz tak na mnie? Czemuś tak zbladł? Rodio, co ci jest? Rodio, kochany...

— Boże! Zemdlał! — krzyknęła Pulcherja Aleksandrowna.

— Nie, nie... to głupstwo... nic mi nie jest!... Kręci mi się tylko trochę w głowie. To nie jest omdlenie... ...Wszędzie wietrzycie omdlenia... Hm! Cóż to ja chciałem powiedzieć? Tak, w jaki to sposób przekonasz się dzisiaj, że możesz go szanować i że on ciebie... ceni, jak powiedziałaś? Mówiłaś, zdaje mi się, że dzisiaj? Czy może przesłyszałem się?

— Mamo, pokaż mu list od Piotra Pietrowicza, — rzekła Dunieczka.

Pulcherja Aleksandrowna podała mu list drżącemi rękoma. Wziął go z wielką ciekawością. Zanim go jednak otworzył, spojrzał nagle ze zdziwieniem na Dunię.

— To dziwne — mówił powoli, jakby zaskoczony tą myślą, — dlaczego ja się tak unoszę? Poco ten cały krzyk? Bierz ślub, jeśli chcesz.

Mówił jakby do siebie, jednak głośno i patrzył przez dłuższą chwilę zdziwiony na siostrę.

Wkońcu otworzył list, wciąż jeszcze zachowując wyraz zdziwienia; potem począł powoli i uważnie czytać i przeczytał list dwa razy. Pulcherja Aleksandrowna była bardzo niespokojna, również i pozostali oczekiwali czegoś niezwykłego.

— To mnie dziwi — zaczął po namyśle, oddając list matce, ale nie zwracając się do nikogo w szczególności — on prowadzi przecież procesy, jest adwokatem, jego sposób wyrażania się jest nawet taki nibyto elegancki — a jednak jak nieudolnie pisze. — Wszyscy poruszyli się; oczekiwano czegoś całkiem innego.

— Przecież oni wszyscy tak piszą, — zauważył Razumichin.

— Czy czytałeś ten list?

— Tak.

— Pokazałyśmy mu go przedtem, Rodio... radziłyśmy

się go bowiem, — dodała z zażenowaniem Pulcherja Aleksandrowna.

— To jest właściwie styl sądowy, — przerwał Razumichin, — dziś jeszcze używa się tego stylu w sądzie.

— Sądowy? Tak, rzeczywiście stvl sądowy, handlowy... Nie jest on tak bardzo nieudolnie pisany, ale też i nie literackim stylem; poprostu list handlowy.

— Piotr Pietrowicz nie kryje się wcale z tem, że nie dużo się uczył, a jest nawet dumny z tego, że sam doszedł do dzisiejszego stanowiska — odparła Awdotja Romanowna, urażona ponownie tonem brata.

— Jeśli jest dumny, to ma widocznie prawo do tego — nie przeczę. Widzę, że czujesz się urażoną tem, moja siostro, że z całego listu tylko taki frywolny wniosek wysnułem i zdaje ci się, że umyślnie mówię o takich drobnostkach, aby się z ciebie wyśmiewać. Wprost przeciwnie, ze względu na styl przyszło mi na myśl coś, co nam może się bardzo przydać. W liście tym jest zdanie, — „...a winę będą panie jedynie sobie miały do przypisania". Zdanie to jest jasne i wyraźne. Poza tem kryje się groźba, że on zaraz odejdzie, jeżeli ja przyjdę. To znaczy tyle, że porzuci was obie, jeżeli mu nie będziecie posłuszne, i to porzuci was teraz, gdy za jego namową przyjechałyście do Petersburga. No, jak sądzisz, czy można takiem wyrażeniem Łużina obrazić się tak samo, jakgdyby to naprzykład on powiedział — (wskazał na Razumichina) — lub Zosimow, albo ktokolwiek z nas?

— No, nie — odparła Dunia — rozumiem całkiem dobrze, że wyraził się on zbyt naiwnie, że może tylko nie umiał znaleźć odpowiedniego wyrażenia... To słuszna uwaga z twojej strony, bracie. Nie przypuszczałam nawet...

— To wyrażone jest stylem sądowym i inaczej nie dało się napisać. Wyszło to może nawet ordynarniej, niż sam chciał napisać. Poza tem zaś, muszę cię nieco rozczarować — w tym liście wyczytałem coś jeszcze, a mianowicie obelgę, i to dość podłą. Dałem wczoraj pieniądze owej wdowie, tej chorej i przybitej kobiecie, i to nie pod pozorem że chcę ponosić koszta pogrzebu lecz poprostu na po-

grzeb, nie dałem ich córce, — dziewczynie — jak pisze — „podejrzanych obyczajów“, którą wczoraj po raz pierwszy widziałem, lecz faktycznie samej wdowie. W tem wszystkiem widzę zbyt skwapliwe usiłowanie obrzucenia mnie błotem i poróżnienia mnie z wami. I to również napisane jest stylem sądowym, to znaczy, że zbyt wyraźnie przebija tu cel i naiwna skwapliwość. Jest on mądry, jednak aby mądrze postępować trzeba mieć coś więcej niż sam rozum, wszystko to okazuje jakim on jest człowiekiem i... nie sądzę, aby cię zbyt wysoko cenił. Mówię ci to tylko dla zwrócenia twojej uwagi, gdyż pragnę szczerze twego dobra...

Dunieczka nic nie odpowiedziała; postanowienie powzięła już przedtem i oczekiwała tylko wieczora.

— Jakże się więc decydujesz, Rodio? — zapytała Pulcherja Aleksandrowna, zaniepokojona jeszcze bardziej niż przedtem jego niespodziewanym, poważnym tonem.

— Na co nam się... decydować?

— Piotr Pietrowicz pisze przecież, że nie chce, abyś był dziś wieczór u nas i że odejdzie... gdybyś ty nadszedł. A więc jak... czy przyjdziesz?

— Decyzja nie zależy ode mnie, lecz w pierwszym rzędzie od mamy, o ile ją to żądanie Piotra Pietrowicza nie obraża, a w drugim rzędzie od Duni, o ile również nie czuje się urażona. Ja zaś postąpię tak, jak ona uzna za najlepsze— dodał oschle.

— Dunia się już zdecydowała, a ja się z nią zupełnie zgadzam! — zawołała skwapliwie Pucherja Aleksandrowna.

— Postanowiłam cię prosić, Rodio, usilnie prosić, ażebyś koniecznie był obecny dziś przy tem spotkaniu, — powiedziała Dunia. — Czy przyjdziesz?

— Przyjdę.

— Również i pana proszę, abyś był u nas o ósmej, — dodała, zwracając się do Razumichina. — Mamo, ja proszę pana Razumichina.

— Bardzo dobrze, Dunieczko. Niech będzie tak jakeście postanowili, — dodała Pulcherja Aleksandrowna.— Ja nawet wolę tak; nie lubię udawać i kłamać, wolimy powiedzieć całą prawdę... Piotr Pietrowicz może się teraz gniewać lub nie.

## IV

W tej chwili drzwi otwarły się bezszelestnie i weszła do pokoju, rozglądając się nieśmiało, młoda dziewczyna. Wszyscy spojrzeli na nią ze zdumieniem i ciekawością. Raskolnikow nie poznał jej od pierwszego wejrzenia. Była to Sofja Siemionowna Marmeładowa. Widział ją wczoraj po raz pierwszy w takiej chwili, otoczeniu i w takim stroju, że w duszy jego pozostał zupełnie inny obraz. Teraz była ona skromnie a nawet ubogo ubraną, bardzo młodą dziewczyną, podobną niemal do dziecka, o postaci skromnej i czyniącej dobre wrażenie, twarzyczce pogodnej, jakkolwiek w obecnej chwili malowało się na niej zakłopotanie. Miała na sobie zwyczajną domową sukienkę, na głowie zaś niemodny stary kapelusz; z wczorajszego stroju pozostał jej jedynie parasol, który trzymała w ręku. Gdy weszła do pokoju i ujrzała w nim tyle osób, nietylko stropiła się, lecz straciła wprost głowę, wyglądała jak małe przestraszone dziecko i uczyniła ruch, jakby chciała cofnąć się i wyjść z pokoju.

— Ach, to pani... To pani jest... — rzekł Raskolnikow bardzo ździwiony i nagle uczuł także zakłopotanie. Pomyślał zaraz, że matka i siostra muszą już wiedzieć coś (z listu Łużina) o dziewczynie „podejrzanych obyczajów“, dopiero co protestował przeciwko potwarzom Łużina i zapewniał, że dziewczynę tą widział po raz pierwszy w życiu. a oto ona przychodzi tutaj tak nagle. Przypomniał sobie także, że przeciwko wyrażeniu temu nie protestował zupełnie. Wszystko to w jednej sekundzie przeleciało mu przez głowę. Gdy spojrzał jednak na nią uważnie, ujrzał jak przybita życiem była ta poniżona istota i zrobiło mu się jej

żał. Skoro w przerażeniu swojem cofnęła się ku drzwiom, — rzekł do niej szybko, zatrzymując ją spojrzeniem:

— Nie oczekiwałem pani, proszę, nich pani siada Przychodzi pani pewnie z polecenia Katarzyny Iwanowny. Niech pani pozwoli, może pani usiądzie nie tam lecz tutaj...

Gdy Sonia weszła, Razumichin, który siedział na jednem z trzech krzeseł Raskolnikowa, podniósł się, aby umożliwić jej przejście. Raskolnikow chciał jej początkowo wskazać miejsce w rogu sofy, gdzie siedział Zosimow, przyszło mu jednak na myśl, że miejsce to jest zanadto „familijne" i służyło mu zresztą za łóżko, wskazał jej zatem krzesło Razumichina.

— A ty siadaj tutaj, — zwrócił się do Razumichina, wskazując mu miejsce na sofie obok Zosimowa.

Sonia usiadła, drżąc poprostu z trwogi i patrzyła nieśmiało na obie panie. Było widoczne, że nie mogła pojąć skąd wzięła się u niej ta śmiałość, że usiadła obok nich. Wstała nawet, przerażona tem, i niezwykle zmieszana zwróciła się znów do Raskolnikowa.

— Ja... ja... tylko na chwilę, niech mi pan wybaczy, że przeszkadzam, — rzekła, jąkając się. — Przychodzę z polecenia Katarzyny Iwanowny. Ona bardzo prosiła, aby pan przyszedł... jutro rano na mszę żałobną. Po nabożeństwie... na cmentarzu Mitrofanowskim... prosi żeby pan... przyszedł do nas... do niej... na poczęstunek... Będzie to wielki zaszczyt dla niej... Ona bardzo prosiła.

Zacięła się i umilkła.

— Postaram się z pewnością... z pewnością — odrzekł Raskolnikow, reszta zdania utkwiła mu także w gardle. — Proszę panią, niech pani usiądzie, — rzekł nagle, — muszę pomówić z panią. — Może pani się śpieszy, niech mi pani jadnak wyświadczy tę przysługę i podaruje jeszcze dwie minuty czasu... — Przysunął jej krzesło. Sonia usiadła i niemniej niż przedtem zakłopotana, rzuciła nieśmiało spojrzenie na siedzące panie, poczem opuściła znowu oczy i utkwiła je w podłodze.

Blada twarz Raskolnikowa pokryła się rumieńcem;

wyglądał, jakby wstąpiło weń nowe życie — oczy jego zapłonęły:

— Mamo, — rzekł dobitnie i niemal nakazująco, — to jest Sofja Siemionowna Marmeładowa, — córka owego nieszczęsnego pana Marmeładowa, którego wczoraj konie stratowały w moich oczach, o czem wam już opowiadałem...

Pulcherja Aleksandrowna spojrzała na Sonię, przymrużając nieco oczy. Mimo swego zakłopotania i nakazująco wyzywającego wzroku Rodiona, nie mogła sobie odmówić tej drobnej przyjemności. Dunia patrzyła na młodą dziewczynę wzrokiem, w którym obok powagi przebijało pewnego rodzaju niezdecydowanie. Gdy Sonia usłyszała słowa Raskolnikowa, podniosła się na chwilę, poczem zmieszanie jej stało się jeszcze większe.

— Chciałem zapytać panią — mówił Raskolnikow z pośpiechem, — co działo się dzisiaj u was? Czy nikt nie nagabywał was? Naprzykład policja.

— Nie, wszystko poszło bardzo gładko... Przecież przyczyna śmierci była jasna, nikt nie żądał żadnych wyjaśnień, tylko lokatorzy są gniewni.

— Dlaczego?

— Że ciało leży tak długo... teraz jest upał, więc zapach... dlatego też przeniesie się je dzisiaj wieczorem na cmentarz i pozostawi w kapliczce do rana. Katarzyna Iwanowna nie chciała się początkowo na to zgodzić, teraz jednak sama przyznaje, że tak jest lepiej...

— Więc dzisiaj?

— Ona prosiła, aby pan zaszczycił nas swą obecnością w kościele podczas mszy i aby pan udał się potem na poczęstunek do niej.

— To na jego pamiątkę będzie ten poczęstunek?

— Tak, takie małe śniadanie; kazała panu bardzo podziękować za pomoc... wczoraj... bez pana nie byłoby go za co pochować.

Podbródek i wargi dziewczyny zadrżały, opanowała się jednak i spuściła znowu wzrok.

W czasie rozmowy Raskolnikow nie odrywał od niej

oczu. Twarzyczkę miała szczupłą, niemal zupełnie wychudłą, rysy dość nieregularne, mały śpiczasty nos i taki sam podbródek. Trudno byłoby nazwać ją piękną, jednak niebieskie oczy były świetliste, a gdy ożywiały się, stawał się wyraz twarzy tak dobry i ujmujący, że każdy musiał mimowoli uczuć ku niej sympatję. W twarzy jej i w całej postaci było poza tem coś szczególnie charakterystycznego — mimo swych lat osiemnastu wyglądała jak dziewczyna daleko młodsza, prawie jak dziecko, i to niekiedy śmiesznie zdradzało się w jej ruchach.

— Czyżby tak mała suma wystarczyła na wszystko Katrzynie Iwanownej, że urządza aż poczęstunek? — zapytał pragnąc gorąco za wszelką cenę podtrzymać rozmowę.

— Trumna jest całkiem prosta... i wszystko inne... tak, że dużo nie kosztuje... Obliczyłyśmy wszystko zgóry z Katarzyną Iwanowną; pozostało jeszcze tyle, że starczy na poczęstunek... a Katarzyna Iwanowna bardzo tego pragnęła... Musimy więc... To jest dla niej pociechą, taka jest już jej natura... wie pan przecież...

— Rozumiem, rozumiem... Zapewne. Dlaczego pani bada tak wzrokiem mój pokój. Matka moja mówi, że wygląda on także jak trumna.

— Pan dał nam wczoraj wszystkie pieniądze, jakie pan miał, — rzekła nagle zamiast odpowiedzi, opuszczając znowu wzrok ku ziemi.

Wargi i podbródek jej zadrgały ponownie. Nędza Raskolnikowa wpadła jej odrazu w oko i słowa te wyrwały się jej zupełnie bezwiednie. Zapanowało milczenie. Oczy Awdotji nabrały blasku i matka jej rzuciła na Sonię spojrzenie bardziej życzliwe.

— Rodionie, — rzekła podnosząc się z miejsca. — Rzecz jasna, że obiad będziemy jedli razem. Chodź, Duniu. A tobie radzę wyjść nieco, po spacerze zaś połóż się i wypocznij; i nie przyjdź do nas późno... Obawiam się, że rozmowa z nami zaszkodziła ci...

— Tak, tak, przyjdę... — rzekł pośpiesznie powstając

także. — Muszę jednak jeszcze załatwić przedtem niektóre sprawy...

— Przecież nie będziecie jedli obiadu osobno, — rzekł Razumichin, patrząc zdziwiony na Raskolnikowa. — Co masz za sprawy?

— Mówię przecież, że przyjdę... z pewnością... Ty zostań jeszcze tutaj przez chwilę. Nie potrzebujecie go teraz, prawda, mamo? Czy też może zabieram go wam?

— O nie, wcale nie! Pan przyjdzie także do nas na obiad, Dymitrze Prokofjiczu, będzie pan na tyle dobry?

— Proszę pana, niech pan przyjdzie, — dorzuciła Awdotja.

Razumichin pochylił się, dziękując za zaproszenie, twarz jego promieniała zadowoleniem. Dziwne jakieś zakłopotanie ogarnęło wszystkich na chwilę.

— Żegnaj Rodionie, a raczej „do widzenia". Niechętnie posługuję się tem słowem „żegnaj". — Żegnaj Naściu... o, znowu powiedziałem żegnaj... — mówiła Pulcherja Aleksandrowna.

O mało co nie ukłoniła się nawet Soni, i wyszła szybko z pokoju.

Awdotja jednak, która szła za matką, ukłoniła się dziewczynie życzliwie i grzecznie. Biedna Sonia zakłopotana odkłoniła się pośpiesznie i trwożnie. Na twarzy jej odbił się jakby ból, jakgdyby życzliwość i grzeczność Awdotji były jej nieprzyjemne i bolesne.

— Bądź zdrowa, Duniu! — rzekł Raskolnikow — nie podasz mi ręki?

— Podałam ci przecież, nie pamiętasz już? — rzekła Dunia, zwracając się znów ku niemu.

— To nic nie szkodzi, daj mi ją jeszcze raz!

Silnie ścisnął jej paluszki. Dunia zaśmiała się i zapłoniła, wyrwała rękę i wybiegła za matką. Była teraz już zupełnie szczęśliwa.

— To wybornie, — zwrócił się znów do Soni, powracając do pokoju i patrząc na nią z uśmiechem.—Wieczny odpoczynek umarłym racz dać Panie, ale żywi chyba mogą żyć! Nieprawdaż? To chyba jest słuszne?

Ze zdumieniem ujrzała Sonia, że twarz jego rozjaśniła się nagle, patrzył na nią długo w milczeniu; wszystko co mu opowiadał o niej jej ojciec, przychodziło mu teraz na myśl.

— Na Boga, Duniu! — rzekła Pulcherja Aleksandrowna, zaledwie znalazły się na ulicy, — doprawdy zadowolona jestem, żeśmy wyszły; lżej jakoś. No, czyżem mogła myśleć wczoraj w wagonie, że nawet z tego będę się cieszyć!

— Powtarzam ci, kochana mamo, że on jest chory, bardzo chory. Czy nie widzisz tego? Może właśnie troski, które miał z naszego powodu, podkopały jego zdrowie? Trzeba być dla niego bardzo pobłażliwym i wiele, wiele wybaczyć mu.

— Ale ty sama nie byłaś dla niego pobłażliwa! — przerwała jej Pulcherja Aleksandrowna gorąco i z pewnego rodzaju zazdrością. — Wiesz co, że obserwowałem was dwoje dzisiaj uważnie i doszłam do wniosku, że pod względem charakteru jesteś jego odbiciem, i to zupełnem. Obydwoje macie w charakterze coś melancholijnego, ponurego i wybuchowego; obydwoje jesteście równie dumni i szlachetni... Prawda, że to nie do pomyślenia, aby on był egoistą? Co... Jeżeli jednak pomyślę, co czeka nas jeszcze dzisiejszego wieczora, to drżę z trwogi!

— Niech się mama nie niepokoi. Stanie się tylko to, co się stać musi!

— Pomyśl jednak tylko Duniu w jakiem jesteśmy położeniu! Co poczniemy, gdy Piotr Pietrowicz zerwie z nami? — zawołała biedna Pulcherja, nie zastanawiając się nad zbytnią szczerością tych słów.

— Jeżeli to uczyni w rzeczywistości, to będzie to tylko dowodem, że nic w nim nie straciłyśmy, — odparła Dunia ostro i lekceważąco.

— Bardzo dobrze zrobiłyśmy, odchodząc teraz,—ciągnęła dalej matka, przerywając córce i odbiegając od poruszonego tematu. — Mówił, że ma coś pilnego do załatwienia, przejdzie się nieco przy tej sposobności i zaczerpnie świeżego powietrza... u niego jest tak niemożliwie duszno...

nie wiem tylko, czy w Petersburgu można w ogólności zaczerpnąć gdzieś świeżego powietrza? Tutaj na ulicy jest przecież tak jak w nieprzewietrzanym pokoju. Boże, co za miasto!... Czekaj! Uważaj! Usuń się, bo cię jeszcze rozgniotą, tu niosą coś! To fortepian... jak oni ludzi popychają... Ta młoda dziewczyna przyczyniła mi także niemało niepokoju.

— Jaka dziewczyna?

— No, mówię o tej Sofji Siemionownej, która przyszła do Rodiona...

— Dlaczego niepokoi ona mamę?

— Coś przeczuwam, Duniu. Możesz mi wierzyć albo nie, ale na pierwsze wejrzenie, gdy tylko weszła do pokoju, pomyślałam: tu jest źródło wszystkiego...

— Ależ zupełnie się mama mvli, — zawołała Dunia gniewnie.—Wczoraj poznał ją dopiero, a dzisiaj gdy weszła, nie mógł jej nawet poznać zrazu.

— No, no zobaczysz!... Ona mnie niepokoi; zobaczysz! I przestraszyłam się nawet jej samej. Patrzyła na mnie i patrzyła niemal bez przerwy, a jakie ona ma spojrzenie; ledwie wysiedziałam na krześle, pamiętasz jak on ją przedstawił? I to wydaje mi się bardzo dziwne; Piotr Pietrowicz wypisuje takie rzeczy o jej prowadzeniu się, a Rodion przedstawia ją nietylko mnie, ale i tobie. Czyli że musi z nią sympatyzować.

— No, co ten nie wypisuje! O nas przecież także dużo mówoino i pisano! Czy mama zapomniała o tem? A ja jestem przekonana, że jest to dziewczyna bardzo dobra, a to wszystko są plotki.

— Daj Boże, aby słowa twoje sprawdziły się.

— A Piotr Pietrowicz jest wstrętnym plotkarzem! — zakończyła Dunia.

Pulcherja Aleksandrowna drgnęła gwałtownie. Rozmowa urwała się.

— Posłuchaj, chcę ciebie o coś zapytać, — rozpoczął Raskolnikow, prowadząc Razumichina w stronę okna.

— To ja powiem matce, że pan przyjdzie, — rzekła Sonia, chcąc się pożegnać.

— W tej chwili, Sofio Siemionowno! Nie mamy tajemnic i wcale nam pani nie przeszkadza. Chętniebym z panią kilka słów... Słuchaj zatem — zwrócił się znowu do Razumichina. — Ty znasz tego... no jakżeż on się nazywa... zaraz!... Porfirego Pietrowicza?

— Czy go znam? jeszcze jak! To przecież mój krewny. — Albo co? — zapytał Razumichin ciekawie.

— On przecież prowadzi tę sprawę... no tę sprawę morderstwa... o której wczoraj mówiliście.

— Tak... a więc? — Razumichin otworzył szeroko oczy.

— On przesłuchiwał tych, którzy pożyczali od starej pieniądze. Widzisz, tam jest także kilka moich zastawów, same drobiazgi, między innemi jednak jest pierścionek mojej siostry, podarowała mi na pamiątkę i srebrny zegarek mego ojca. Wszystko razem może jest warte pięć do sześciu rubli, dla mnie jednak są to pamiątki, bezcenne klejnoty. Co mam więc czynić? Nie chciałbym, aby te rzeczy przepadły, w szczególności nie chciałbym utracić zegarka. Jeszcze niedawno, gdy rozmawialiście o zegarku Duni, drżałem z obawy, że matka zechce może mój zegarek zobaczyć. To jedyny przedmiot, który pozostał po moim ojcu. Matka rozchorowałaby się, gdyby zegarek przepadł. Ty wiesz przecież jak się kobiety takiemi rzeczami przejmują. Poradź mi więc, jak powinienem się zachować. Wiem, że najlepiej jest to zgłosić na policji. Czy nie byłoby jednak lepiej zwrócić się z tem do Porfirego osobiście? Jak myślisz? Chciałbym tę sprawę załatwić możliwie jak najszybciej. Zobaczysz, że matka zapyta mnie o to jeszcze przed obiadem!

— Nie zwracaj się do policji, tylko osobiście do Porfirego!—zawołał Razumichin z zapałem.—To mnie bardzo cieszy! Tu niema się nad czem namyślać, możemy zaraz tam pójść, mieszka o parę kroków, z pewnością zastaniemy go w domu.

— Całkiem słusznie, chodźmy!

— On się bardzo ucieszy, niezmiernie się ucieszy, z po-

znania ciebie! Dużo mu opowiadałem o tobie przy każdej niemal sposobności... Wczoraj jeszcze mówiłem z nim o tobie. Chodźmy do niego! Więc ty znałeś starą? Tak!... To ogromnie zmienia postać rzeczy... Ach tak! Sofjo Iwanowno...

— Sofjo Siemionowno—poprawił go Raskolnikow.— Sofjo Siemionowno, oto mój przyjaciel Razumichin, bardzo poczciwy człowiek...

— Jeżeli pan musi teraz odejść...—Sonia nie spojrzała nawet na Razumichina i stała się przy tem przedstawianiu jeszcze bardziej zakłopotana.

— Idziemy więc, — zawołał Raskolnikow zdecydowanym głosem,—przyjdę jeszcze dzisiaj do pani, Sofjo Siemionowno, musi mi pani podać tylko gdzie pani mieszka.

To co mówił do niej nie wprawiało go bynajmniej w zakłopotanie, a przecież unikał przy tych słowach jej wzroku. Sonia dała mu adres, rumieniąc się przytem. Potem wyszli wszyscy troje.

— Czy ty nie zamykasz drzwi? — zapytał Razumichin.

— Nigdy tego nie robię! Od dwóch lat mam zamiar dokupić zamek, — dodał niedbale. — Szczęśliwy ten, co nie ma co zamykać, — zwrócił się do Soni — nieprawdaż?

Zatrzymali się w bramie.

— Prawda, że pani idzie na prawo? Ach, chciałem panią o coś zapytać: jak to się pani udało, że mnie pani zdołała odnaleźć? — zapytał. Głos jego jednak brzmiał tak, jakby chciał zadać jej całkiem inne pytanie. Chciał spojrzeć prosto w jej jasne oczy, nie udawało mu się to jednak.

— Pan dał przecież wczoraj adres naszej Poleńce.

— Poleńce? ach prawda, to ta mała. To siostra pani? A więc to ja jej dałem swój adres?

— Jakto, pan nie pamięta?

— Owszem, owszem... przypominam sobie.

— Nieboszczyk opowiadał o panu dużo jeszcze za życia... Nie znał wprawdzie pańskiego nazwiska... Wczoraj jednak dowiedziałam się i nazwiska i adresu pana, a gdy

przyszłam tutaj, zapytałam: Gdzie mieszka pan Raskolnikow?... Nie wiedziałam wcale, że pan mieszka w pokoju odnajętym... Do widzenia! Zaraz pójdę zdać sprawę Katarzynie Iwanownej...

Była zadowolona z tego, że pożegnała się wreszcie, poszła więc szybko ze spuszczoną głową. Chciała jak najprędzej ujść im z oczu, dlatego starała się przebiec szybko te dwadzieścia kroków, które dzieliły ją od pierwszej przecznicy. Chciała być wreszcie sama, aby potem idąc szybko, nie patrzyć na przechodzących, zapomnieć o wszystkiem, i rozważać tylko i przypominać sobie każde słowo dziś wypowiedziane i usłyszane, uzmysłowić sobie raz jeszcze każdą sytuację. Jeszcze nigdy w życiu nie doznawała uczuć podobnych. Dusza jej zajrzała, choć niepewnie i chwilowo tylko, w zakamarki całkiem nowego, nieznanego jej dotychczas wielkiego świata. Nagle przypomniała sobie, że Raskolnikow ma jeszcze dzisiaj przyjść do niej, może przyjdzie przedpołudniem, może za chwilę!

— Tylko nie dziś, jeszcze nie dziś! — mówiła do siebie z sercem ściśniętem, jakby błagała kogoś, jak przerażone dziecko. — O Boże, on do mego pokoju... zobaczy wszystko!... O Boże!

W chwili tej nie mogła naturalnie zauważyć pewnego obcego nieznanego jej pana, który obserwując ją, szedł za nią krok w krok. Szedł za nią już od bramy domu w którym mieszkał Raskolnikow. W czasie gdy wszyscy troje, Razumichin, Raskolnikow i ona, stali pod bramą domu i rozmawiali, przechodził właśnie koło nich. Gdy usłyszał słowa „Gdzie mieszka pan Raskolnikow?" przechodzień drgnął. Obrzucił grupkę szybkiem spojrzeniem, zwracając specjalną uwagę na Raskolnikowa, do którego Sonia zwracała się; potem oglądał dom jakby chciał sobie go zapamiętać. Wszystko to odbyło się w jednej sekundzie, tak, że poszedł dalej bez zwrócenia na siebie uwagi. Szedł jednak teraz nieco wolniej, czekając widocznie na kogoś. Czekał na Sonię, widząc, że żegna się ona z tymi dwoma i był przekonany, że gdy pójdzie za nią, będzie mógł przekonać się, gdzie mieszka.

„Gdzie ona mieszkać może? Znam tę twarz, tylko

nie wiem skąd, — myślał szukając w swej pamięci. — Muszę to wybadać".

Doszedłszy do rogu, przeszedł na drugą stronę ulicy i odwróciwszy się, zobaczył, że Sofja idzie za nim w tym samym kierunku, skręciła bowiem w tę boczną uliczkę. Towarzyszył jej zatem, idąc coraz wolniej przeciwległym trotuarem. Potem, gdy oddaliła się od niego o jakie pięćdziesiąt kroków, przeszedł na stronę, którą ona szła i dogoniwszy ją, postępował teraz za nią w odległości może pięciu kroków.

Był to mężczyzna lat pięćdziesięciu, średnio wysoki, tęgi, o szerokich barach, co nadawało jego postaci wygląd człowieka pochylonego. Był ubrany wykwintnie i elegancko i wyglądał na dostatniego człowieka. W ręku miał ładną laskę, którą uderzał o bruk za każdym krokiem, na rękach zaś nowe rękawiczki. Jego szeroka twarz o silnie wystających kościach policzkowych była sympatyczna, cera zdrowa i świeża, co u rodzonych i żyjących w Petersburgu, jest wypadkiem bardzo rzadkim. Gęste jeszcze włosy były koloru jasno-blond, przyprószone tylko tu i owdzie siwizną, gęsta zaś broda była jeszcze jaśniejsza. Oczy miał niebieskie; spojrzenie ich miało w sobie coś zimnego i przenikliwego. Wargi świeże i czerwone. Słowem, był doskonale zakonserwowany i wyglądał na znacznie młodszego aniżeli był w rzeczywistości.

Gdy Sonia doszła do ulicy prowadzącej wzdłuż kanału, okolica opustoszała do tego stopnia, że byli tylko jedynymi przechodniami na trotuarze. Obserwując ją, zauważył już przedtem jej pomieszanie i zamyślenie. Gdy doszła do domu w którym mieszkała i weszła do bramy, mężczyzna wszedł za nią na twarzy jego odmalowało się wielkie zdziwienie. Na podwórzu skręciła na prawo, gdzie mieściły się schody prowadzące do jej mieszkania. „No, coś takiego" mruknął do siebie, wstępując za nią po schodach. Teraz dopiero Sonia zauważyła go. Poszła na trzecie piętro, skręciła na ganek, który ciągnął się przez całą długość podwórza, i zadzwoniła do mieszkania, oznaczonego numerem 9. Na drzwiach był widoczny kredą nagryzmolony napis: *Ka-*

*pernaumow* — *krawiec.* — „No, coś takiego“, — wykrzyknął raz jeszcze nieznajomy, zdumiony tym zbiegiem okoliczności i zadzwonił do położonego obok mieszkania numer 8. Drzwi tych dwu mieszkań były od siebie oddalone zaledwie o sześć kroków.

— Ach, pani mieszka u Kapernaumowów — rzekł patrząc na Sonię z uśmiechem. — Poprawiał mi wczoraj kamizelkę. Ja mieszkam tutaj obok, u pani Gertrudy Karłownej Resslich. Jak to się czasami zdarza!

Sonia patrzyła nań uważnie.

— Czyli jesteśmy sasiadami,—ciągnął dalej wesoło.— Dopiero przedwczoraj przyjechałem do Petersburga. No, tymczasem do widzenia! Do widzenia!

Sonia nie odpowiedziała ani słowa. Drzwi otwarły się a ona wślizgnęła się do środka i pośpieszyła do swojej izdebki. Wstydziła się bardzo i opanowywało ją równocześnie uczucie jakiejś nieokreślonej trwogi.

Gdy szli do Porfirego znajdował się Razumichin w stanie niezwykłego podrażnienia.

— To wspaniale się składa, bracie! — powtarzał raz po raz. — Bardzo, bardzo się cieszę!

„Czem się tak cieszysz?“ — zapytywał Raskolnikow siebie.

— Nie wiedziałem nic o tem, że ty także zastawiłeś coś u tej starej. Czy było to dawno... myślę, kiedy byłeś u niej po raz ostatni?

„Jaki on naiwny!“ — myślał Raskolnikow.

— Kiedy ja tam byłem po raz ostatni? — dodał głośno i przystanął. — Mogło to być na dwa dni przed jej śmiercią. Nie mam zresztą zamiaru, idąc do Porfirego, wykupywać tych rzeczy. Mam znowu tylko jednego rubla w kieszeni dzięki... wczorajszej gorączce.

Na słowie „gorączce“ położył szczególny nacisk.

— No tak, tak — pośpieszył Razumichin z potwierdzeniem, za chwilę jednak zastanowił się nad tem, co właści-

wie chciał potwierdzić. — Więc tu leży przyczyna tego, że owa rozmowa o mordzie tak ciebie wzruszyła... Wiesz, że nawet w gorączce, majaczyłeś o pierścionkach i łańcuszkach! Teraz jest wszystko jasne, całkiem jasne!

„Hola! — pomyślał Raskolnikow. — Czyli, że ta myśl przecież kiełkowała i u niego! Ten dobroduszny człowiek dałby się na potwierdzenie mojej niewinności nawet ukrzyżować, a przecież cieszy go to, że wyjaśniło się dlaczego majaczyłem o łańcuszkach i „pierścionkach". Jak ta myśl zakorzeniła się u nich wszystkich!".

— Czy zastaniemy go w domu? — rzekł głośno.

— Całkiem pewnie, całkiem pewnie — odparł Razumichin.—Zobaczysz, bracie, co za wspaniały chłop z niego. Troszkę ociężały poza tem. Mądry, nawet bardzo mądry i roztropny, tylko jego sposób myślenia jest jakiś dziwny. Podejrzliwy, sceptyczny, trzeźwy, prozaiczny... cynik, chętnie zapędza kogoś w kozi róg i gubi go. W sprawowaniu swego urzędu uprawia jeszcze starą metodę, polegającą na gromadzeniu dowodów materjalnych... Na swoich sprawach zna się mimo wszystko znakomicie. Przeszłego roku wyświetlił pewne zupełnie zagmatwane morderstwo. Bardzo, bardzo pragnie ciebie poznać!

— Dlaczego pragnie tak bardzo?

— Właściwie nie dla jakiegoś specjalnego powodu. W ostatnim czasie, widzisz, złożyło się tak, że mówiłem z nim o tobie bardzo dużo i bardzo często... Przysłuchiwał się... a gdy mu powiedziałem, że jesteś na prawie i z powodów natury materjalnej nie możesz dalej studjować, wyraził się: „Ach, jaka szkoda!". Z tego wnioskowałem, właściwie nietylko z tego; a wczoraj znowu Zamietow... Widzisz, bracie, gdyśmy wczoraj szli razem do twego mieszkania, byłem pijany i gadałem najrozmaitsze rzeczy... i boję się teraz, że ty może za dużo wagi przykładasz do...

— O czem mówisz? Że uważają mnie za obłąkanego? Może mają i rację. — Raskolnikow zaśmiał się z przymusem.

— Tak, tak, a właściwie nie, nie to chciałem powiedzieć... A zresztą wszystko co mówiłem, nietylko o tem,

ale także o innych rzeczach, było głupią gadaniną pijanego człowieka.

— Dlaczego usprawiedliwiasz się? Wszystkiego tego mam dosyć! — zawołał Raskolnikow w podrażnieniu, które było częściowo udane.

— Ja wiem, wiem, odczuwam to równie jak ty. Bądź przekonany, że czuję to tak samo. Wstydzę się też wspominać o tem...

— Jeżeli się wstydzisz, to nie mów o tem!

Umilkli obydwaj. Ruzumichin był niezwykle rad i Raskolnikow odczuwał ze wstrętem to zadowolenie przyjaciela. Niepokoiło go także to, co Razumichin opowiadał o Porfirym.

„Będę musiał przed nim także udawać chorego biedaka, — pomyślał bladnąc i czując, że serce bije mu coraz mocniej, — i muszę robić to zupełnie naturalnie. Najlepiej byłoby właśnie rozmyślnie nie skarżyć się. Kiedy znowu to, co zrobię rozmyślnie, nie będzie znowu naturalne. No, zobaczymy jak pójdzie... niedługo już. Nie wiem sam czy powinienem tam iść czy nie? Leźć tak wilkowi w paszczę? Serce bije mi mocno... to zły znak".

— Tu mieszka, w tym domu, — przerwał milczenie Razumichin.

„Najważniejszą rzeczą jest, — myślał dalej Raskolnikow, — czy Porfiry wie, czy też nie wie, że byłem wczoraj w mieszkaniu tej czarownicy... i pytałem o krew na podłodze. Muszę to zaraz wybadać, zaraz przy pierwszym kroku muszę wyczytać to z jego miny... inaczej... Muszę to wiedzieć choćby mi nie wiedzieć co groziło!

— Wiesz co? — zwrócił się nagle do Razumichina z chytrym uśmiechem. — Zauważyłem, że ty już od rana jesteś jakoś dziwnie podrażniony. Czy nie mylę się?

— Ja podrażniony? Wcale nie, — zawołał Razumichin krzywiąc się.

— Nie, bracie, to zaraz po tobie poznać. Na krześle nie siedziałeś tak jak zwykle, tylko na samym brzeżku. Poza tem trzęsłeś się tak, jakbyś miał dreszcze. Bez powodu podrywałeś się co chwila z miejsca. Raz robiłeś minę gniewną,

to znów słodką jak cukierek. Rumieniłeś się nawet: w chwili gdy zaproszono cię na obiad byłeś czerwony jak burak.

— Ależ skąd znowu! Uchowaj Boże! Co za głupstwa wygadujesz! Co chcesz przez to powiedzieć?

— Dlaczego wykręcasz się jak uczniak! Znowu zarumieniłeś się!

— Ach ty głupcze!

— Dlaczego jesteś taki zakłopotany? Ty Romeo! Czekaj, opowiem o tem dzisiaj jeszcze komuś. Ha! Ha! Matka moja będzie się śmiała i ktoś jeszcze...

— Słuchaj... całkiem... serjo... to jest... Co ty wyrabiasz? — zawołał Razumichin; był niezwykle zmieszany, i ze strachu zrobiło mu się zimno. — Co chcesz im opowiedzieć, bracie? Ja..., ach co za idjota z ciebie!

— Wyglądasz jak różyczka! A jak ci z tem do twarzy, żebyś to mógł wiedzieć! Nowy Romeo! A jak ty się dzisiaj myłeś i paznogcie czyściłeś nawet! Co! Kiedy robiłeś to? Dalibóg, nawet wypomadowałeś sobie włosy. Schyl no się.

— Idjota!

Raskolnikow śmiał się tak, że zdawało się, iż nie może się powstrzymać i śmiejąc się wciąż, wszedł do mieszkania Porfirego. To było celem Raskolnikowa. Ten kto był w mieszkaniu musiał słyszeć, że wchodząc śmiał się donośnie.

— Ani słowa o tem tutaj! Inaczej rozgniotę cię na papkę! — zawołał Razumichin, chwytając Raskolnikowa za ramię.

## V.

Raskolnikow wchodził tymczasem już do pokoju i robił minę, która wskazywała, że tylko siłą powstrzymuje się od śmiechu. Za nim wszedł Razumichin czerwony jak burak ze wstydu i wściekłości oraz niezwykle zakłopotany. Cała jego postać i twarz były w tej chwili rzeczywiście niezmiernie komiczne i usprawiedliwiały w zupełności wesołość Raskolnikowa. Mimo że Razumichin nie przedstawiał go, podszedł Raskolnikow wprost do pana domu, stojącego na środku

pokoju, skłonił się przed nim i uścisnął jego dłoń, wciąż udając, że z trudem tylko powstrzymuje się od śmiechu, aby wymówić kilka słów potrzebnych przy przedstawieniu się. Zaledwie jednak wymamrotał kilka niezrozumiałych słów, spojrzał niby przypadkiem na postać Razumichina i cała jego powaga uleciała. Parsknął serdecznym śmiechem. Śmiech ten i nieukrywane objawy wściekłości, z jakiemi Razumichin przyjmował tę napozór zupełnie szczerą wesołość przyjaciela, złożyły się w samej rzeczy na obraz niesłychanie komiczny, a co najważniejsze, na obraz zupełnie naturalny. Komizm sceny zwiększył się jeszcze, gdy Razumichin z okrzykiem „A, ty djable", zamierzył się na Raskolnikowa i trafił ręką w okrągły stolik, na którym stała pusta szklanka z herbatą. Wszystko upadło na ziemię, rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

— Całkiem słusznie, tylko zawsze wesoło, moi panowie, — zawołał śmiejąc się Porfirij Pietrowicz. Sytuacja przedstawiała się teraz następująco: Raskolnikow śmiał się bezustannie, zapominając o tem, że trzymał jeszcze gospodarza za rękę; wiedział jednak, że należy zachować miarę i czekał tylko stosownego momentu, by zakończyć ten wybuch wesołości. Razumichin, który stracił zupełnie głowę z powodu upadku stolika, popatrzył ponuro na okruchy szkła, splunął siarczyście, obrócił się na pięcie, i stanął przy oknie zwrócony plecyma do pokoju; patrzył przed siebie nic nie widząc oczyma zamglonemi z gniewu. Porfirij Pietrowicz śmiał się i widać było po nim, że chętnie będzie się śmiał w dalszym ciągu, zachodziła jednak potrzeba wytłumaczenia mu przyczyny tej wesołości. Na jednem z krzeseł siedział w kącie Zamietow, który gdy goście weszli, podniósł się i stał w pozycji wyczekującej. Wprawdzie twarz jego zadrgała także śmiechem, patrzył jednak na całą scenę z pewnego rodzaju zdumieniem i niedowierzaniem; zdawało się nawet, że obecność Raskolnikowa wprawia go w niemałe zakłopotanie. Co do Raskolnikowa, to był nieprzyjemnie zaskoczony widząc Zamietowa w pokoju.

„Jeszcze jedna pozycja w moim rachunku!" — pomyślał.

— Bardzo przepraszam, — zaczął, udając zażenowanie; — jestem Raskolnikow...

— Bardzo mi miło. Ależ nic nie szkodzi, sposób w jaki pan wszedł tutaj był bardzo miły... ale ten (tu wskazał ruchem głowy Razumichina) nie powie mi nawet „dzień-dobry"?

— Nie wiem doprawdy, co doprowadziło go do takiej wściekłości. Powiedziałem mu tylko po drodze, że jest podobny do Romea, i udowodniłem to nawet... poza tem nie wiem nic.

— Idjota! — parsknął Razumichin, nie odwracając się od okna.

— Przypuszczam, że musi mieć jakiś poważny powód do oburzania się z powodu takiej drobnostki — rzekł Porfirij śmiejąc się.

— Więc ty także zaczynasz, ty sędzio śledczy! Niech was wszystkich djabli porwą!—zawołał Razumichin gniewnie, po chwili jednak począł się sam śmiać i przybliżył się do Porfirego, jakgdyby nic nie zaszło.

— No, koniec już! Wszyscy jesteście skończonemi błaznami. Teraz do rzeczy: to jest Rodion Romanowicz Raskolnikow, mój przyjaciel; przedewszystkiem chce on ciebie poznać, ponieważ dużo o tobie słyszał, a następnie ma do ciebie pewną drobną sprawę. A, Zamietow! Skąd ty się tu wziąłeś! Czy wy się znacie? Dawno już?

„Co to ma znaczyć?" — pytał Raskolnikow sam siebie.

Zamietow zmieszał się widocznie, ale tylko na krótką chwilę.

— Poznaliśmy się przecież wczoraj u ciebie, — rzekł swobodnym tonem.

— Dzięki Bogu. Jeden kłopot spada mi z głowy. On

dręczył mnie przez cały tydzień abym was zapoznał ze sobą, Porfirij; widzę tymczasem, że zwąchaliście się bez mego pośrednictwa... Słuchaj-no, gdzie jest twój tytoń?

Porfirij Pietrowicz był w domowem ubraniu. Miał na sobie szlafrok, bardzo czystą bieliznę i znoszone pantofle. Mógł liczyć jakie trzydzieści pięć lat, był średniego wzrostu, dobrze odżywiony, nawet z brzuszkiem; twarz miał gładko wygoloną i okrągłą głowę z włosami całkiem krótko ściętemi. Tęga okrągła żółtawo-ciemna twarz o zadartym nosie miała wyraz energiczny i drwiący zarazem. Możnaby twarz tę nawet nazwać dobroduszną, gdyby nie zadawały kłam tej pozornej dobroduszności — oczy. Miały one wilgotny odblask i niemal białe drgające rzęsy. Spojrzenie tych oczu nie było w harmonji z całą postacią, która miała w sobie coś kobiecego. Czyniły ją znacznie poważniejszą, aniżeli wydawała się na pierwsze wejrzenie.

Gdy Porfirij Pietrowicz dowiedział się że Raskolnikow ma do niego jakąś prośbę, wskazał mu zaraz miejsce na sofie i prosił by usiadł. Sam rozsiadł się w drugim rogu sofy i zwrócił się do gościa, oczekując że ów zaraz wyjaśni, co chciał powiedzieć. W postaci jego było widoczne baczne i przesadne skupienie uwagi, które na każdego rozmówcę musiałoby podziałać detonująco i przygniatająco. Szczególnie wtedy, gdy sprawa, którą gość miał wyłożyć, nie stała pod względem ważności w żadnym stosunku do uwagi, jaką już zgóry zaszczycał ją Porfirij. Ale na Raskolnikowa nie podziałało to; krótko i węzłowato powiedział o co mu chodzi i był tak ze siebie zadowolony, że pozwalał sobie nawet na obserwowanie osoby Porfirego. Ten nie spuszczał także swego wzroku przez cały czas z postaci Raskolnikowa. Razumichin tymczasem zajął miejsce przy stole i z żywem zainteresowaniem przysłuchiwał się wywodom przyjaciela, przyczem oczy jego błądziły to po twarzy Raskolnikowa, to znów po twarzy Porfirego, co zwracało ogólną uwagę.

„Ty ośle!“ myślał Raskolnikow w głębi duszy pod jego adresem.

— Musi pan wnieść pismo do policji — rzekł Porfirij tonem zupełnie urzędowym, — treści mniej więcej następującej: Słyszał pan o takim a takim wypadku, o morderstwie, prosi pan zatem o powiadomienie odnośnego sędziego śledczego, że te a te rzeczy są pańską własnością i chce je pan wykupić... coś w tym guście... można to panu zresztą podyktować.

— Cała rzecz w tem, — rzekł Raskolnikow, starając się usilnie nadać swej twarzy wygląd zakłopotany, — że nie mam obecnie pieniędzy... i nie jestem nawet w stanie... nawet taką drobnostkę... Widzi pan, chciałbym tylko obecnie zgłosić na policji, że te i te rzeczy należą do mnie i że jak tylko będę miał pieniądze...

— To wszystko jedno — rzekł Porfirij, przyjmując zupełnie chłodno wyznanie Raskolnikowa o jego położeniu materjalnem. — Właśnie może pan takie pismo wystosować wprost do mnie, niech pan napisze w ten sposób: Dowiedziawszy się o tem i o tem, zawiadamiam, że te i te rzeczy są moją własnością...

— Czy na zwyczajnym kawałku papieru, czy też na papierze ze stemplem? — przerwał mu Raskolnikow z pośpiechem, aby uwydatnić swoje obawy co do wydatków połączonych z tem pismem.

— Nie, nie trzeba, na całkiem zwyczajnym papierze!

Naraz spojrzał nań Porfirij Pietrowicz z nieukrywanem szyderstwem, potem przymrużył oczy i mrugnął. Może się to Raskolnikowowi tylko przywidziało, trwało to przecież tylko sekundę. W każdym razie uczynił coś podobnego i Raskolnikow przysiągłby, że Porfirij — djabli go wiedzą dlaczego — mrugnął nań znacząco.

„On wie wszystko!“ — błyskawicą przeleciała mu myśl przez głowę.

— Wybaczy mi pan, że zajmowałem jego czas takiemi głupstwami, — rzekł, wyprowadzony nieco z równowagi. — Wartość tych rzeczy nie przekracza pięciu rubli, są mi one jednak szczególnie drogie jako pamiątki po osobach, od któ-

rych je otrzymałem i przyznam się panu, że słysząc o tem, przestraszyłem się niemało...

— I dlatego tak to na ciebie podziałało, gdy mówiłem o tem, że Porfirij przesłuchuje klientów starej? — rzucił Razumichin z widocznym celem.

To było nie do zniesienia. Raskolnikow nie mógł powstrzymać się i obrzucił Razumichina wściekłem spojrzeniem swoich czarnych oczu. Opamiętał się jednak natychmiast.

— Ty śmiejesz się ze mnie, bracie? Przyznaję, że moje przywiązanie, ta moja troska o te rzeczy, które w twoich oczach są bezwartościowem śmieciem, idzie może za daleko, nie możesz mnie jednak z tego powodu uważać za egoistę i chciwca; dla mnie nie są te przedmioty bynajmniej śmieciem. Powiedziałem ci już przedtem, że ten srebrny zegarek jest jedyną pamiątką po moim ojcu. Ze mnie możesz się śmiać, przyjechała jednak obecnie moja matka (przy tych słowach zwrócił się Raskolnikow do Porfirego) i gdy dowie się (teraz odwrócił się znowu szybko w stronę Razumichina i starał się nadać swemu głosowi przejmujące drżenie), że zegarek ten przepadł, to popadnie w rozpacz, jestem tego pewny. Takie są już kobiety!

— Ale nie, nie tak myślałem, wprost przeciwnie, — zaprzeczył gorąco Razumichin.

„Czy było to dobrze odegrane? — rozważał Raskolnikow. — Czy tylko było naturalne? Czy nie było w tem przesady. I poco mówiłem o kobietach!“

— Ach, pańska matka przyjechała? — dowiadywał się Porfirij Pietrowicz.

— Tak jest.

— Kiedy?

— Wczoraj wieczorem.

Porfirij milczał. Widocznie rozważał coś.

— Tak czy owak rzeczy pańskie nie przepadną, — rzekł zimno i spokojnie. — Czekałem już długo na to, że pan do mnie przyjdzie.

I jakby nie powiedział nic szczególnego, postawił przed Razumichinem, który rzucał bezmyślnie popiół na posadzkę,

popielniczkę, przykładając do tego ruchu szczególną uwagę. Raskolnikow drgnął; Porfirij udał, że nie zauważył tego i że zajmuje się ciągle papierosem Razumichina.

— Co? Co? Ty go oczekiwałeś. Skąd wiedziałeś, że on zastawił coś u niej?

Porfirij zwrócił się wprost do Raskolnikowa:

— Obydwa przedmioty zastawione przez pana, to jest zegarek i pierścionek, leżały u niej razem owinięte w gazetę, a na papierze było wyraźnie wypisane ołówkiem nazwisko pana, nawet data kiedy zostało to zastawione...

— To jest jednak nadzwyczajny dowód pamięci pańskiej — odparł Raskolnikow z niezręcznym uśmiechem, przyczem usiłował spojrzeć mu prosto w oczy. Bez namysłu ciągnął dalej: — Rozumiem to w ten sposób, że ponieważ zastawiających było bardzo dużo, musiało panu szczególną trudność sprawić zapamiętanie wszystkich nazwisk... Mimo to zachował je pan wszystkie w pamięci i... i...

„To było głupio powiedziane! Bardzo źle! Poco dodałem to!" — strofował się w duchu.

— Wszyscy prawie z zastawiających zgłosili się już, tak że pozostał tylko pan — odparł Porfirij Pietrowicz z lekkiem szyderstwem w głosie.

— Byłem niezdrów.

— O tem także słyszałem. Wiem także, że pan z jakiegoś niewiadomego powodu popadł w silne rozdrażnienie nerwowe. Zdaje mi się, że i dziś wygląda pan nieco blado?

— Wcale nie jestem blady. Wprost przeciwnie... jestem całkiem zdrów, — odparł Raskolnikow nagle zmienionym tonem, niegrzecznie i gniewnie.

Wzbierała w nim wściekłość, nie mógł już jej dłużej utrzymać na wodzy.

„W gniewie mogę strzelić jakieś głupstwo! — pomyślał nagle. — Dlaczego oni męczą mnie tak?"

— Mówi, że był niezdrów, — wmieszał się Razumichin. — To się nazywa przekręcać fakty! Do wczoraj leżał nieprzytomny i majaczył... Pomyśl tylko, Porfirij, nie mógł się nawet na nogach utrzymać, a ledwie opuściliśmy go na chwilę, ubrał się, wyszedł potajemnie z domu i włóczył się

gdzieś aż do północy w stanie gorączkowym; no, jak ci się to podoba? Coś nadzwyczajnego!

— Istotnie? W gorączce? Czy to możliwe? — Porfirij potrząsnął głową.

— Ach, co za głupstwa on wygaduje! Niech mu pan nie wierzy! A zresztą, pan i tak nie wierzy! — Ostatnie zdanie wyrwało mu się z wściekłości.

Porfirij puścił mimo uszu tę co najmniej dziwną uwagę.

— No, ale ta twoja ucieczka z domu, może być chyba tylko gorączką wytłumaczona! — Razumichin zapalał się coraz bardziej. — Poco wychodziłeś? Poco, naco? I dlaczego tak potajemnie? Czy byłeś może przy zdrowych zmysłach? Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, nie potrzebuję przecież obwijać tego w bawełnę?

— Znudzili mnie wczoraj, — zwrócił się Raskolnikow do Porfirego, śmiejąc się zuchwale i wyzywająco, — wybiegłem więc, by wyszukać sobie nowe mieszkanie, w którem nie mogliby już mnie odnaleźć... Wziąłem ze sobą kupę pieniędzy. Panu Zamietowowi pokazywałem te pieniądze. Niech pan powie, panie Zamietow, byłem wczoraj całkiem przytomny, czy też w gorączce? Niech pan rozstrzygnie nasz spór!

Był w takim nastroju, że chętnie udusiłby Zamietowa. Spojrzenie i milczenie były mu niezmiernie przykre.

— Mojem zdaniem, mówił pan całkiem do rzeczy, nawet bardzo chytrze. Był pan tylko nieco podrażniony, — brzmiała sucha odpowiedź.

— A dzisiaj opowiadał mi Nikodem Fomicz, że późno w nocy spotkał pana w mieszkaniu pewnego przejechanego urzędnika, — rzekł Porfirij.

— Albo weźmy to! — rozpoczął na nowo Razumichin: — czy nie zachowywałeś się jak warjat u tego urzędnika? Ostatnie pieniądze oddałeś wdowie na pogrzeb! No, chciałeś dopomóc, — daj piętnaście, dwadzieścia, ale choć trzy rul le zostaw sobie, a tyś wywalił całe dwadzieścia pięć.

— Może znalazłem jakieś skarby, o których ty nie wiesz? Pan Zamietow wie, że znalazłem skarb!... Wybaczy nam pan,—tu zwrócił się z drżącemi wargami do Porfirego,

— że takiemi głupstwami zajmujemy panu pół godziny, ma pan nas już dość zapewne? co?

— Niech pan pozwoli... wprost przeciwnie... wprost prze-ciw-nie! Gdyby pan wiedział, jak bardzo pan mnie interesuje! To rozkosz przypatrywać się i słuchać... i jestem taki rad (mówię całkiem otwarcie), że pan przecież raz przyszedł do mnie...

— Każ przynajmniej podać herbaty. Gardło zasycha przy tej gadaninie.

— Wspaniała myśl! Czy nie wolałbyś jednak coś bardziej określonego... herbata...

— Nie, nie, niech będzie!

Porfirij wyszedł z pokoju, by zamówić herbatę.

Myśli kołowały po głowie Raskolnikowa. Znajdował się znowu w stanie niezwykłego podrażnienia.

„Najlepiej podoba mi się to, że nie ukrywają niczego i nie dbają nawet o zachowanie pozorów! Skąd wypada mu mówić o mnie z Nikodemem Fomiczem, skoro wcale mnie nie zna! Czyli, że wcale nie ukrywają tego, że jak sfora psów ścigają mnie! Plują mi wprost w twarz! — trząsł się z gniewu. — Grajcie w otwarte karty i nie bawcie się ze mną jak kot z myszką. To jest zupełnie pozbawione smaku. Porfirij Pietrowiczu, nie pozwalam na to! Wstanę poprostu i wszystkim w twarz rzucę prawdę, pokażę im przynajmniej, jak nimi pogardzam!—Oddychał z trudem.— A może wydaje mi się to tylko? Jeżeli jest to tylko gra mojej fantazji, a ja mylę się dzięki niedoświadczeniu, irytuję się i gram pod psem moją prostą i podrzędną rolę? Słowa ich są napozór zupełnie zwyczajne, a przecież kryje się coś w nich... Właściwie niema w nich nic, a przecież coś jest... Dlaczego mówił on tak poprostu „u niej“ i dlaczego twierdził Zamietow, że mówiłem *chytrze?* Dlaczego mówią tak? Tak... ten ton ich... Ale Razumichin siedzi tu także, dlaczego on nie zwraca na to uwagi! Swoją drogą jest on tak naiwny, że nigdy na nic nie zwróci uwagi. Mam znowu gorączkę!... Mrugał na mnie, czy nie mrugał? Z pewnością nie, poco miałby mrugać? Czy chcą podrażnić mnie, czy też wodzą mnie za nos. I Zamietow jest jakiś taki dziwnie zu-

chwały. Czy jest on rzeczywiście zuchwały? Zamietow rozważał widocznie to, co zaszło dzisiejszej nocy. Zachowuje się tu jak u siebie w domu, a jest przecież po raz pierwszy tutaj! Porfirij nie zachowuje się wobec niego jak wobec gościa. Siada obrócony do niego plecami. Zwąchali się! Z pewnością mówili o mnie zanim tu wszedłem!... Czy wiedzą, że byłem wczoraj w mieszkaniu? Niechby tylko wszystko szybko skończyło się! Gdy powiedziałem, że wybiegłem wczoraj w celu wynajęcia mieszkania, nie uchwycił się tej sposobności i nie nawiązał do tego... Dobrze, że wspomniałem o mieszkaniu, może mi się to przydać w przyszłości!... Mogę powiedzieć, że poszedłem tam w gorączce!... Ha! Ha! Wiedzą o każdym kroku, który uczyniłem wczoraj wieczorem! Nie wiedział o przyjeździe mojej matki!... A ta wiedźma napisała ołówkiem datę!... Kłamiecie! Nie poddam się tak łatwo! To nie są żadne dowody! To są wytwory fantazji! Proszę, pokażcie mi dowody! Odwiedziny w mieszkaniu nie są także dowodem, chyba dowodem gorączki!... wiem co im powiedzieć. Wiedzą czy nie wiedzą, że byłem w mieszkaniu, nie odejdę stąd, póki nie dowiem się tego. Poco przyszedłem tutaj? Chyba po to, aby teraz irytować się! Jak łatwo wpadam w rozdrażnienie! Może jednak to dobrze, należy do roli chorego... On bada mnie jak lekarz, dotykając palcami, chce mnie wyprowadzić z równowagi. Poco właściwie przyszedłem tutaj?

Wszystko to jak błyskawica, przebiegło mu przez głowę.

Porfirij Pietrowicz powrócił niebawem. Wyglądał na bardzo zadowolonego.

— Głowa kręci mi się po tym wczorajszym wieczorze u ciebie, bracie... jestem całkiem rozbity, — zwrócił się do Razumichina śmiejąc się. — Czy dyskusja była interesująca? Opuściłem was w najbardziej zajmującej chwili. Kto utrzymał się przy swojem zdaniu?

— Całkiem jasne, że nikt. Zaczęliśmy roztrząsać odwieczne kwestje i bujaliśmy jak zwykle w obłokach.

— Wyobraź sobie, Rodio, na jaki temat wpadli wczo-

raj? Czy istnieją zbrodniarze, czy też nie? Powiedziałem im już, że zwarjowali z tem ciągłem debatowaniem!

— Co w tem nadzwyczajnego? Jest to wcale wdzięczne pole do dyskusji, — odparł Raskolnikow roztargniony.

— Pytanie nie było w ten sposób sformułowane, — zauważył Porfirij.

— To prawda, — potwierdził śpiesznie Razumichin, który zwykł był bardzo szybko zapalać się. — Słuchaj Rodionie i powiedz mi swoje zdanie, bardzo rad będę usłyszeć je. Chciałem przy tej gadaninie zalać im sadła za skórę i czekałem tylko niecierpliwie na ciebie; zapowiedziałem im, że przyjdziesz... Najpierw wypowiadano poglądy socjalistów. Komunały te są znane: zbrodnia jest protestem przeciw niedoskonałości ustroju społecznego — basta, na tem koniec, inne powody wogóle nie wchodzą w grę... basta!

— Przedstawiasz to całkiem fałszywie! — zawołał Porfirij. Ożywiał się widocznie coraz bordziej i śmiał się ciągle, widząc jak Razumichin zaperza się.

— Innych powodów socjaliści nie uznają! — przerwał mu Razumichin rozdrażniony. — Wcale nie przedstawiam tego fałszywie! Pokażę ci te wszystkie książki, które o tem wypisywali, wszędzie znajdziesz tam: „winę każdej zbrodni ponosi społeczeństwo"! poza tem nic. To jest ich ulubiony konik! Potem wysuwają wnioski, że jak ustrój społeczny będzie uporządkowany i zniknie powód do protestu, to znikną równocześnie i zbrodnie, słowem ludzie zmienią się w jednej chwili. Naturę pomijają w zupełności w swoich rachunkach ci panowie socjaliści; ignorują ją w swoich rozważaniach. Według ich poglądu nie rozwija się ludzkość drogą powolnej ewolucji, aby dojść kiedyś do najwyższego poziomu, sposobem związanym ściśle z historją i organizmem, lecz zdaniem ich jeden przewrót socjalny, jeden system wylęgły w głowie jakiegoś matematyka, uporządkuje za jednym zamachem całą ludzkość i uczyni ją sprawiedliwą i wolną od grzechu, z zupełnem pominięciem rozwoju. Dlatego też czują ten instynktowny wstręt do historji; — „historja", zdaniem ich, jest stekiem głupstw i hańbiących ludzkość dokumentów; tłumaczą to tak tylko z głupoty. I dlatego też

nie znoszą wszelkiego procesu życiowego, dla duszy żywej niema miejsca w ich systemie! Dusza żyjąca domaga się życia i nie da się wtłoczyć w tryby mechanizmu; ona jest niedowierzająca, jest opanowana duchem opozycji! Człowieka zaś, który nadawałby się do ich systemu, stworzyć jest łatwo, ale z kauczuku; że będzie go czuć trupem, to nic! — zato jest martwy, bezwolny, niewolniczy i ani mu się śnią jakieś rebelje. I okazuje się, że wreszcie całe zagadnienie sprowadza się do rozplanowania korytarzy i pokojów w wymarzonym gmachu komunistycznym, — gmach już jest gotów, ale natura jeszcze do gmachu nie przygotowana. Natura chce żyć, ona nie zakończyła jeszcze swego procesu doskonalenia się, i za wcześnie jeszcze pogrzebać ją na cmentarzu! Czystą logiką nie można natury przezwyciężyć! Logika widzi tylko trzy możliwe sposoby, podczas gdy sposobów tych są miljony. Miljony te odsunąć całkiem poprostu, by nie przeszkadzały w budowie systemu, zaiste, to jest bardzo łatwe rozwiązanie kwestji! Jest ono zdradziecko proste, a myśleć przy tem, to już zupełnie zbyteczne! Cały olbrzymi i przepastny problem życia da się z łatwością wydrukować na dwu stronicach papieru!

— No, no, wpadł w wymowę, istny ogień huraganowy! Jeśli chcemy aby umilkł, trzeba go przytrzymać za ręce — mówił Porfirij śmiejąc się. — Niech pan sobie tylko wyobrazi, — zwrócił się do Raskolnikowa, — całkiem coś podobnego było wczoraj wieczorem, z tą tylko różnicą, że gadało ich sześciu naraz, a przedtem uraczyli się porządnie ponczem; może pan sobie wyobrazić co to było? — Nie, bracie, mylisz się, „społeczeństwo" odgrywa w przestępstwach rolę olbrzymią, możesz mi wierzyć.

— To, że pewną rolę odgrywa, to wiem, odpowiedz mi tylko na jedno pytanie: jeżeli mężczyzna czterdziestoletni gwałci dziewięcioletnią dziwczynkę, czy także społeczeństwo" zmusiło go do tego?

— No, jeżeli dobrze się nad tem zastanowić, to i w tem pewną winę ponosi „społeczeństwo" — zauważył Porfirij ze szczególną powagą w głosie. — Wcale nie trudno wyka-

zać, że społeczeństwo jest powodem zbrodni popełnionej na dziewięcioletniej dziewczynce.

Razumichin wpadł w zupełną pasję.

— Jeżeli chcesz, to udowodnię ci, że jasny kolor twoich rzęs pochodzi z tego, że wysokość wieży „Iwana Wielkiego“ w Moskwie wynosi dwieście pięćdziesiąt stóp. Dowiodę ci to jasno i bez luk metodą współczesnych badaczy i reformatorów. Podejmuję się tego! Chcesz się może założyć?

— Trzymam zakład! Bardzo chętnie usłyszymy jak ty ten dowód przeprowadzisz!

Razumichin zerwał się z krzesła.

— Tak zawsze! Nie warto nawet zaczynać wogóle dyskusji z tobą! On tak mówi naumyślnie, nie znasz go jeszcze, Rodionie! Wczoraj także stanął po stronie obrońców tego bezsensownego poglądu tylko w tym celu, by ich wszystkich wystawić na durniów. I jakie niestworzone rzeczy gadał wczoraj! A tamci ślepcy cieszyli się jego bredniami!... Tak udawać potrafi on nawet dwa tygodnie. Przeszłego roku — nie wiem skąd mu to przyszło — wmawiał nam, że chce zostać mnichem; dwa miesiące upierał się przy tem! Niedawno temu nabierał nas znowu, że się żeni, wszystko miało być niby już do wesela przygotowane. Nawet nowe ubranie sprawił sobie. Gratulowaliśmy mu. Potem pokazuje się, że nie było ani słowa prawdy w tem, ani narzeczonej, ani wesela, wszystko wytwór fantazji!

— Przekręcasz fakty! Ubranie sprawiłem sobie znacznie wcześniej. Właśnie z okazji sprawienia sobie nowego ubrania, przyszło mi na myśl wyprowadzić was w pole.

— Czy jest pan rzeczywiście takim mistrzem w sztuce maskowania się? — zapytał Raskolnikow niedbale.

— Pan widzę nie wierzy? Niech pan tylko poczeka, ja pana także wystrychnę na dudka! Ha-Ha! Nie, ale żarty na bok. Mówimy tutaj o zbrodniach, społeczeństwie, małych dziewczynkach i t. d., przypominam sobie więc pański artykuł, który bardzo mnie zainteresował. Nosił on tytuł „O zbrodni“, czy coś podobnego, wypadło mi to z pamięci.

Miałem przyjemność czytania tego artykułu w czasopiśmie „Wiadomości Perjodyczne“.

— Mój artykuł? W czasopiśmie „Wiadomości Perjodyczne“ — zapytał Raskolnikow zdumiony.—W samej rzeczy przed pół rokiem, gdy opuszczałem uniwersytet napisałem pod wpływem pewnej książki taki artykuł, posłałem go jednak do „Tygodnika Naukowego“ a nie do „Wiadomości Perjodycznych“.

— Mimo to ukazał się on w drugiem piśmie.

— „Tygodnik Naukowy“ przestał wychodzić, dlatego nie mógł wydrukować mego artykułu...

— Całkiem słusznie. „Tygodnik Naukowy“ został po swoim upadku przejęty przez „Wiadomości Perjodyczne“ i dlatego ukazał się tam artykuł pański. Czy nie wiedział pan o tem?

Było to dla Raskolnikowa nowością.

— Ależ pan może zażądać od redakcji honorarjum za artykuł! Co za człowiek z pana! Żyje pan w odosobnieniu tak, że nie wie pan nawet o rzeczach, które bezpośrednio pana dotyczą. To co panu powiedziałem nie ulega wątpliwości!

— Brawo Rodionie! Ja także nic o tem nie wiedziałem! — zawołał Razumichin. — Zaraz idę do czytelni i każę sobie dać odnośny numer! Przed dwoma miesiącami miał się ukazać? Czy nie pamiętasz dokładnie daty, Porfirij? Artykuł znajdę! To wspaniałe! A on o niczem nikomu nie mówi!

— Skąd dowiedział się pan jednak, że artykuł pochodzi ode mnie. Były przecież pod nim tylko inicjały.

— Całkiem przypadkowo. Poinformował mnie redaktor pisma, z którym jestem zaprzyjaźniony. Artykuł ten zainteresował mnie bardzo.

— O ile sobie przypominam, był tam roztrząsany problem stanu duchowego przestępcy w chwili wykonania zbrodni.

— Tak, twierdzi pan tam, że wykonaniu czynu towarzyszy stale jakieś zamroczenie chorobliwe. Bardzo oryginalny pogląd, doprawdy... nie to jednak zainteresowało mnie

najbardziej. Raczej najważniejszą wydała mi się myśl wypowiedziana tylko bardzo niejasno... Krótko mówiąc, nie wiem czy pan sobie przypomina, wypowiada pan zdanie, że są na świecie ludzie, którzy mogą... a raczej nie „mogą“ lecz mają najzupełniejsze prawo, dopuszczać się wszelkiego rodzaju czynów karygodnych i że dla tych ludzi niema praw pisanych.

Raskolnikow zaśmiał się z tego rozmyślnego przekręcania jego myśli.

— Co? Jak? Prawo do popełniania zbrodni? Ale chyba nie społeczeństwo zmusza do tego? — wypytywał się Razumichin przerażony.

— Nie, nie, o tem mowy nie było — odparł Porfirij. — Osią rozważań pana Raskolnikowa jest pogląd, że ludzie dzielą się na dwie grupy: na ludzi zwykłych i niezwykłych. Ludzie zwykli mają obowiązek podporządkować się i nie mają prawa gwałcenia ustaw, z tego właśnie względu, że należą do kategorji ludzi zwykłych. Nieprzeciętni jednak ludzie mają prawo a nawet obowiązek popełniać najrozmaitsze zbrodnie i gwałcić prawa w każdy możliwy sposób z tego względu właśnie, że należą do ludzi niezwykłych. Tak pan napisał, jeśli mnie pamięć nie myli?

— Ależ to niemożliwe. Coś takiego nie mógł on napisać! — mruczał Razumichin ogromnie zdziwiony.

Raskolnikow śmiał się. Wyczuł, mając cały artykuł w pamięci, do czego zmierza Porfirij. Zdecydował się więc wyzwanie przyjąć.

— No, tak ściśle tego nie powiedziałem — rozpoczął skromnie. — Przyznaję, że moje myśli oddał pan dość wiernie i jeśli panu na tem zależy to wyznam nawet, że bardzo wiernie... (Mówił tak, jakby przyznanie to sprawiało mu szczególną przyjemność). — Różnica leży jednak w tem, że nie twierdziłem jakoby ludzie nieprzeciętni musieli i mieli obowiązek popełniania bezprawi, tak, jak pan to pojął. Sądzę nawet, że cenzura nie przepuściłaby takiego artykułu. Wskazałem tylko całkiem poprostu na to, że człowiek nieprzeciętny ma prawo... to znaczy nie prawo oficjalnie nadane... lecz można powiedzieć swoje prawo własne, oso-

biste, zezwolić swemu sumieniu, na przeskoczenie pewnych przeszkód, jeżeli przeszkody te są zawadą na drodze do urzeczywistnienia pewnej idei (idei mogącej wywołać błogosławione skutki dla całej ludzkości) i zaznaczam, że to prawo może znaleźć zastosowanie tylko w takim wypadku. Wyraził się pan, że artykuł mój jest niejasny, jestem gotów wyjaśnić panu te ciemne punkty w miarę możności. Może się mylę, zdaje mi się jednak, że zależy panu na tem wyjaśnieniu, więc dobrze! Mój pogląd streszcza się mniej więcej w tej formie: Jeżeliby wskutek pewnych okoliczności, odkrycia Keplera i Newtona nie mogły stać się udziałem ogółu, sposobem innym jak tylko przez usunięcie dziesięciu lub stu ludzi, którzy byli dla tych odkryć nieprzychylnie usposobieni lub wręcz szkodliwi... to w tym wypadku mieli Newton i Kepler prawo, a nawet obowiązek usunąć tych dziesięciu lub stu ludzi, aby odkryciom swoim otworzyć drogę do ludzkości. Z tego jednak wcale nie wynika, ażeby Newton miał prawo mordować każdego, kogo mu się spodoba, albo popełniać codziennie kradzieże na rynku. O ile sobie przypominam, to w dalszym ciągu mego artykułu rozwinąłem myśl, że wszyscy... powiedzmy ustawodawcy i wodzowie ludzkości, począwszy od najstarszego, potem Likurg, Solon, Mahomet, aż do Napoleona i t. d., — że ci wszyscy bez wyjątku byli zbrodniarzami już choćby z tego względu, że przez nadawanie nowych praw burzyli prawa stare, przez przodków ustanowione, a przez społeczeństwo za święte uważane, no i nie wahali się w celu przeprowadzenia tych praw, przelewać krew (przelewając bardzo często krew niewinnych, złożoną bohatersko na ołtarzu obrony starych praw), jeżeli tylko przez tę krew mogli dojść do wytkniętego celu. To jest właśnie uwagi godne, że większość tych dobroczyńców i przywódców ludzkości przelała bez najmniejszych skrupułów całe morze ludzkiej krwi. Krótko mówiąc, doszedłem do wniosku, że nietylko wielcy, genjalni ludzie, ale każdy człowiek, który jest choćby tylko w części zdolny do utorowania nowych dróg, to znaczy, jeżeli może tylko poniekąd coś nowego powiedzieć, już choćby z natury swojej musi być zbrodniarzem, natu-

ralnie w mniejszym lub większym stopniu. Inaczej trudno byłoby mu wyrwać się ze starych torów. Pozostać zaś w starych torach jest dla tych ludzi niemożliwością już ze względu na swoją naturę i obowiązkiem ich jest mojem zdaniem nawet odrzucenie wszelkich myśli o pozostaniu w nich. Widzi pan więc, że w moich poglądach niema właściwie nic nowego. Tysiąc razy pisano już i rozprawiano o tem. Co zaś do podziału ludzi na zwykłych i niezwykłych, przyznaję, że jest to coś nowego, ale nie uważam też tego za tezę niewzruszoną. Podtrzymując tylko moje myśli główne, a treść ich jest ta, że ludzie już w myśl prawa natury dzielą się na dwie kategorje, na jedną niższą, ludzi zwykłych, tak zwany materjał, który służy tylko do rozmnażania i utrzymania życia, oraz kategorję drugą, do której należą ludzie w całem tego słowa znaczeniu, to jest ci, którzy mają dar lub talent wypowiedzenia nowych słów w swojem środowisku. Rzecz jasna, że jest tu dużo odchyleń, odróżniające jednak cechy obydwu klas biją przecież w oczy. Kategorję pierwszą tworzy materjał, — używam tutaj słowa tego jako najbardziej odpowiedniego, — czyli ludzie, którzy z natury już są konserwatywni i spokojni, żyją w statecznem podporządkowaniu się i posłuszeństwo to sprawia im nawet przyjemność. Sądzę, że ludzie ci mają nawet obowiązek być posłusznymi, gdyż takiem jest ich przeznaczenie i nie widzę zatem w tem nic poniżającego. Ci zaś, którzy należą do kategorji drugiej, są we wiecznej walce z prawem i porządkiem, są albo burzycielami, albo przynajmniej zwolenikami burzenia, zależnie od zdolności i możliwości. Przestępstwa tych ludzi są tak co do stopnia jak rodzaju niezwykle różne, w większości wypadków jednak przyświeca im jedna i ta sama idea przewodnia: „Chcemy zburzyć stare, aby tworzyć nowe i lepsze". Skoro jednak taki człowiek dojdzie do przekonania, że droga do celu prowadzi przez krew i trupy, to może on mojem zdaniem w swem sumieniu udzielić sobie pozwolenia na pójście drogą krwi, zastrzegam się jednak, że tylko w granicach, których wymaga urzeczywistnienie tych idej. Tylko w takim znaczeniu pisałem w moim artykule o prawie po-

pełniania zbrodni (pan przypomni sobie, że wyszliśmy z czysto prawniczej kwestji). Poza tem niema potrzeby przejmować się tem zbytnio, przeważająca bowiem większość ludzkości nie uznaje tego prawa ludzi nieprzeciętnych, gilotynuje i wiesza ich (mniej lub więcej) i wypełnia w sposób całkiem uzasadniony i słuszny swoje zasady konserwatywne. Inna rzecz, że w generacjach późniejszych, stawia się tych zgilotynowanych i powieszonych na piedestale, otacza się ich czcią szczególną (dodam tutaj także: w mniejszej lub większej ilości wypadków). Kategorja pierwsza jest stale panią współczesności, druga zaś — przyszłości. Pierwsza podtrzymuje świat i powiększa go liczebnie, druga zaś wstrząsa światem i prowadzi go do celu. Obie jednak mają jednakowe prawo do życia. Jednem słowem, według mnie mają te same prawa, a zatem: — *Vive la guerre éternelle* — naturalnie do czasu powstania Nowej Jerozolimy.

— To znaczy, że pan wierzy w przyjście Nowej Jerozolimy?

— Wierzę — odparł twardo Raskolnikow. Patrzył przy tych słowach jak i w czasie całej prawie swojej tyrady w jeden punkt na leżącym na podłodze dywanie.

— A... a... czy wierzy pan w Boga? Niech mi pan wybaczy, może to zanadto śmiałe pytanie!

— Wierzę w Niego — Raskolnikow podniósł głowę i spojrzał prosto na Porfirego.

— A czy wierzy pan we wskrzeszenie Łazarza?

— Wierzę. A dlaczego pan pyta?

— Czy wierzy pan w to znaczeniu dosłownem?

— W każdym razie.

— Hm. Tak... Pytałem tylko tak z ciekawości; wybacz mi pan. Wracając jednak do tematu poprzedniego, muszę się panu sprzeciwić w jednym punkcie: ludzi nieprzeciętnych nie zawsze czeka stryczek, czasem doznają zupełnie odmiennego losu.

— Pan myśli o tem, że triumfują jeszcze za życia? O tak, niektórym to się zdarza... a wtedy...

— Wtedy zaczynają sami skazywać na śmierć?

— Tak, o ile zachodzi potrzeba. Wie pan, że tak dzieje się zwykle. Uwaga pańska była bardzo bystra.

— Dziękuję panu. Niech mi pan tylko powie jeszcze jedno, w jaki sposób można odróżnić tych ludzi niezwykłych od innych? Może zaraz po urodzeniu mają już jakieś cechy szczególne? Pytam dlatego, bo uważam, że w sprawach tych wymagana jest jak największa jasność, że tak powiem dokładność. Jestem człowiekiem miłującym bardzo porządek, wybaczy mi pan więc jedną troskę, czy nie możnaby wprowadzić dla nich np. jakiś specjalny strój, rodzaj stempla, któryby odróżniał ich od innych ludzi? Zrozumie pan przecież, coby to się działo gdyby ktoś z klasy pierwszej ubrdał sobie, że należy do tych drugich i począłby na własną rękę „usuwać przeszkody"; do czegoby to dojść mogło...

— O, to zdarza się bardzo często. Ta uwaga jest jeszcze bardziej bystra aniżeli poprzednia.

— Dziękuję za uznanie.

— Niema potrzeby.

— Musi pan uwzględnić jednak, że pomyłka jest możliwa tylko wśród ludzi, należących do kategorji pierwszej, to jest „przeciętnych", „zwyczajnych" ludzi, jak ich nazwałem nietrafnie być może. Pomimo ich wrodzonej skłonności do posłuszeństwa i utrzymywania porządku, wielu z nich wmawia sobie chętnie (z pobudek dyktowanych przez fantazję, a jak wiadomo fantazji nie brak i krowie), że należy do ludzi postępowych, „burzycieli", i sądzi, że osiągnęli to już jednem słowem. Postępują bardzo słusznie. Ci jednak naprawdę nowi ludzie są przez nich pomijani, pogardzają nimi nawet jako konserwatystami. Sądzę jednak, że niebezpieczeństwo nie jest tak poważne i niema pan powodów do niepokoju, ludzie ci nigdy w życiu wiele nie zdziałają. Za ich zaślepienie trzeba ich tylko od czasu do czasu skarcić, a to w tym celu tylko, by przypomnieć im właśnie miejsce do którego należą, poza tem nic więcej; nie trzeba nawet wykonawców tego karcenia, uczynią to sami, gdyż są bardzo moralni, niektórzy spełniają tą przysługę innym, niektórzy zaś czynią to własnoręcznie na wła-

snej skórze... Przy tej sposobności rozrywają często publicznie swoje szaty, jest im z tem bardzo do twarzy i działa to wsposób pouczający; jednem słowem niema powodu do niepokoju... Dla tych ludzi prawa i ustawy są niewzruszone.

— No, co do tego uspokoił pan mnie. Jest jeszcze jedno, co napawa mnie niepokojem — niech mi pan powie czy takich ludzi, którzy mają prawo mordowania innych, to jest tych ludzi nieprzeciętnych, jest dużo na świecie? Jestem naturalnie gotów uchylić czoła przed nimi ale przyzna pan, że gdyby ich było za dużo to... życie byłoby dosyć przykre?

— Co do tego może pan być także spokojny — ciągnął Raskolnikow dalej w tym samym tonie. — Ludzi o nowych ideach, nawet tych, którzy poczęści są zdolni powiedzieć coś nowego, rodzi się w ogólności bardzo mało, wprost zdumiewająco mało. Jedno jest tylko jasne — następstwo tych ludzi; umieranie i przychodzenie na świat jest ściśle uregulowane jakiemś prawem natury. Prawo to jest dotychczas niezbadane jeszcze, wierzę jednak, że istnieje i zostanie zbadane. Niezmierzona masa ludzi, materjału, istnieje przecież na świecie tylko na to, aby wkońcu przez pewien wysiłek, przez skrzyżowanie płci i gatunków zebrać się w sobie i wydać jednego na tysiące — człowieka choćby tylko nieco samodzielnego. Człowiek o większej samodzielności rodzi się jeden na dziesięć tysięcy (określam to obrazowo). O jeszcze większej, jeden na sto tysięcy! Ludzie genjalni — na miljony, a genjusze pełni, którzy przyczyniają się do udoskonalenia całej ludzkości, przychodzą na świat dopiero po śmierci wielu miljonów ludzi. Słowem, oko moje nie zajrzało do retorty, w której odbywa się ten cały skomplikowany proces. Że jest on jednak kierowany jakiemś prawem, to nie ulega wątpliwości, przypadek nie może tu mieć miejsca.

— Powiedzcie mi do djabła, czy żartujecie obydwaj? — zawołał nagle Razumichin. — Siedli tu sobie, i jeden drugiego wodzi za nos. Żartują z siebie wzajemnie! Czy ty to wszystko myślisz serjo, Rodionie?

Raskolnikow zwrócił do niego swą bladą i smutną

twarz, nie odpowiadał jednak. I dziwnym wydał się Razumichinowi w porównaniu z twarzą przyjaciela, gryzący i natarczywy, drwiący wyraz twarzy Porfirego Pietrowicza.

— Nie, bracie, jeżeli mówiłeś to serjo, to... Masz rację mówiąc, że nie są to poglądy nowe, lecz dawno już omawiane; co jednak jest naprawdę nowem i ku memu przerażeniu jest twoją duchową własnością, to pozwolenie, które dajesz człowiekowi, pozwolenie przelewania krwi w zgodzie z własnem sumieniem, i popierasz to z pewnego rodzaju fanatyzmem, nie bierz mi tego za złe!... To jest przecież najważniejsza myśl twego artykułu. To, takie pozwolenie przelewania krwi jest według mnie tysiąc razy gorsze, aniżeli oficjalne, ustawowe zezwolenie, gdyby zostało wydane...

— Zupełnie słusznie, ono jest straszniejsze... — potwierdził Porfirij Pietrowicz.

— Nie, to niemożliwe, dałeś się unieść jakiemuś chwilowemu wrażeniu, ty nawet nie umiesz tak myśleć... Muszę przeczytać ten artykuł.

— W moim artykule niema tego wszystkiego, dałem tam tylko do zrozumienia... — odparł Raskolnikow.

— Tak, tak — rzekł Porfirij, poruszając się niespokojnie na krześle — teraz jest mi to już niemal całkiem jasne, jakie są pańskie poglądy na zbrodnię;.... ale wybaczy mi pan, że jestem tak natarczywy (wiem sam, że zajmuję panu czas i wstydzę się tego) widzi pan: uspokoił pan mnie przedtem co do pomyłek na tle zmieszania obydwu kategoryj, ale... niepokoją mnie jeszcze najrozmaitsze w praktyce możliwe wypadki! Przyjmijmy, że mężczyzna lub młodzieniec wmówi sobie, że jest Likurgiem albo Mahometem przyszłości i poczyna sobie usuwać wszystkie przeszkody... Wie, że droga do celu daleka... i do przebycia tej drogi potrzeba pieniędzy... zaczyna więc zdobywać pieniądze na tej drodze... pan mnie rozumie?

Zamietow wybuchnął nagle w swoim kącie głośnym śmiechem. Raskolnikow nie spojrzał nawet na niego.

— Przyznaję — rzekł spokojnie, — że takie wypad-

ki nie są wykluczone. Ludzie głupi i próżni, a szczególnie młodzież, mogą ulec takiej pokusie.

— A widzi pan! Co wtedy?

— Jakto co wtedy? — Raskolnikow zaśmiał się — nie ja przecież jestem temu winien. Tak jest już i nie potrafimy tego zmienić. Ten tutaj (wskazał Razumichina) powiedział, że ja daję pozwolenie przelewania krwi. No i co z tego? Społeczeństwo przecież zabezpieczyło się dostatecznie przez zsyłanie na Sybir, przez więzienia, sędziów śledczych i domy poprawcze, mamy się więc niepokoić? Szukajcie mordercy!

— A jak go znajdziemy?

— Wtedy możecie go ukarać.

— Bardzo logicznie. A co się dzieje z jego sumieniem?

— Co pana obchodzi jego sumienie?

— Pytam tak tylko, pytanie czysto ludzkie.

— Jeżeli ma sumienie, to niech cierpi, jeżeli dojdzie do poznania swojej omyłki. To jest także karą dla niego, może gorszą od więzienia.

— No, a ci „genjalni". Czy ci nie powinni cierpieć za przelaną krew?

— Skąd tutaj ten wyraz „powinni". Nie chodzi tu, u kaduka, ani o pozwolenie ani o zakazy. Cierpi ten, komu żal jest jego ofiary. Gdzie jest zdolność poznawania i serce głęboko czujące, tam nie zabraknie na pewno bólu i cierpienia. Ludzie naprawdę wielcy, muszą na tym świecie pędzić życie przepojone smutkiem.

Ostatnie słowa wypowiedział Raskolnikow jakoś melancholijnie i jakby do siebie.

Podniósł oczy, spojrzał ponuro na otaczających go i ujął za czapkę. Uczuł, że jest za poważny, za poważny w stosunku do wesołości z jaką wszedł tutaj, czuł to dobrze. Wszyscy podnieśli się ze swych miejsc.

— Może pan mnie przekląć, albo nie, może pan być na mnie wściekły, nie mogę jednak odmówić sobie zadania panu jeszcze jednego pytania — rzekł Porfirij Pietrowicz.

Jedna myśl przyszła mi, którą muszę wypowiedzieć, obawiam się, że zapomnę ją potem...

— Proszę, niech pan mówi — rzekł Raskolnikow, stojąc przed nim blady i poważny.

— Myślę o tem... nie wiem tylko jakich wyrazów dobrać... Myśl jest może komiczna... coś z dziedziny psychologji! Gdy pan pisał swoją rozprawkę, to musiał pan sam, he-he, — przynajmniej choćby poczęści uważać siebie za człowieka nieprzeciętnego, za człowieka, który „ma coś nowego do powiedzenia" w tem znaczeniu, jak pan nam to tutaj wyłożył... Czy tak?

— Bardzo możliwe, — odparł Raskolnikow tonem lekceważącym. Razumichin poruszył się.

— Czyli, idąc dalej, mógłby się pan rzeczywiście zdecydować, zmuszony do tego pewnemi okolicznościami w obliczu jakiegoś ciosu, lub może dla podniesienia dobra ogółu, mógłby pan zdecydować się na przeskoczenie pewnej przeszkody? Naprzykład na morderstwo lub rabunek?

Raskolnikowowi zdawało się znowu, że mruga on na niego lewem okiem i śmieje się bezdźwięcznie — całkiem jak przedtem.

— Gdybym przeskoczył nawet jakąś przeszkodę, to rzecz jasna, że nie powiedziałbym tego... panu, — odparł z dumą i lekceważeniem w głosie.

— Ach, ja pytam przecież tylko po to, by lepiej zrozumieć pańską rozprawkę z czysto literackiego punktu widzenia.

„Jak bez ogródek i bezwstydnie on mówi" — pomyślał Raskolnikow ze wstrętem.

— Pozwoli pan powiedzieć sobie — odparł sucho, — że nie uważam siebie za Mahometa albo Napoleona, ani za człowieka tego gatunku. Nie należąc więc do tej kategorji, nie mogę panu dokładnie powiedzieć jakbym w takim wypadku postąpił.

— No, no. Zostaw pan to. Któż u nas w Rosji nie uważa się dzisiaj za Napoleona? — rzekł Parfirij tonem nagle bardzo przyjaznym. Nawet w tonie jego było teraz coś bardzo wyraźnego.

— Bardzo się boję, że taki przyszły Napoleon, zamordował siekierą naszą Alenę Iwanowną! — wykrzyknął Zamietow ze swego kąta.

Raskolnikow milczał i patrzył prosto w twarz Porfirego Pietrowicza. Razumichin wykrzywił twarz ponuro. Już przedtem wiele powiedzeń zwróciło jego uwagę, patrzył gniewnie dokoła. Minuta cała upłynęła w tem niesamowitem milczeniu. Raskolnikow zwrócił się ku wyjściu.

— Pan ucieka już? — Porfirij z uśmiechem podał mu rękę. — Bardzo, bardzo miło było mi poznać pana. Co do tych zastawów, to może pan to uważać za rzecz załatwioną. Niech pan tylko napisze to co powiedziałem. Najlepiej byłoby gdyby pan przyszedł kiedyś do mnie, do biura... gdyby to było możliwe w dniach najbliższych... może jutro... Będę w biurze o godzinie jedenastej. Załatwimy tam wszystko... porozmawiamy. Pan jako jeden z tych, którzy byli ostatnio u zamordowanej, może nam udzielić pewnych wyjaśnień... — dodał z najbardziej dobroduszną miną.

— Pan chce przesłuchać mnie urzędowo, z wszelkiemi formalnościami? — zapytał ostro Raskolnikow.

— Pocóż by? Narazie nie ma potrzeby. Pan mnie nie zrozumiał. Widzi pan, chciałem skorzystać ze sposobności... mówiłem już ze wszystkimi klientami starej... co do niektórych zarządziłem nawet konfrontację... a pan jest ostatni.. Ach, prawda! — zawołał nagle jakgdyby ucieszył się myślą, która mu przyszła do głowy. — Przypominam sobie coś... jak mogłem o tem zapomnieć! — zwrócił się do Razumichina. — Nagadałeś mi pełne uszy o tym Mikołaju, no — ja wiem, wiem sam, wiem dobrze—zwrócił się do Raskolnikowa, że ten chłopak jest niewinny; co mogłem zrobić jednak? I Dymitra musiałem przymknąć... Sprawa ma się więc tak, będę się streszczał: gdy pan wtedy szedł po schodach, pozwoli pan... pan był przecież tam między siódmą a ósmą godziną wieczorem?...

— Tak jest — odparł Raskolnikow i w jednej chwili zadrżał, pomyślawszy, że nie potrzebował wcale odpowiadać na to pytanie.

— A więc, gdy pan przechodził między siódmą a ós-

mą przez schody, czy nie zauważył pan na drugiem piętrze w otwartem mieszkaniu, pan sobie przypomina? — dwu albo jednego robotnika. Oni lakierowali tam; nie zauważył pan ich? To jest dla tych obydwu bardzo, bardzo ważne!

— Lakiernicy? — Nie, nie widziałem ich... — odparł Raskolnikow powoli, tak, jakgdyby dopomagał swej pamięci, równocześnie wytężając cały swój spryt, aby przejrzeć w tej męczarni, gdzie leżała właściwie pułapka i aby niczego nie przeoczyć.—Nie, nie widziałem czeladników, nie zauważyłem nawet, by jakieś mieszkanie stało otworem... Przypominam sobie jednak, że na czwartem piętrze (teraz pułapka wydała mu się zupełnie jasna i triumfował już zgóry) wyprowadzał się jakiś urzędnik... z mieszkania położonego naprzeciw Aleny Iwanownej, żołnierze wynosili meble, i przycisnęli mnie do ściany... przypominam sobie całkiem dokładnie, ale lakierników ani otwartego mieszkania... nie mogę sobie przypomnieć... nie, nie zauważyłem...

— Co ty właściwie wygadujesz, Porfirij? — zawołał Razumichin, który nareszcie zorjentował się, — przecież lakiernicy pracowali w dniu popełnienia morderstwa, a on był tam dwa dni przedtem, jakżesz więc możesz go o to pytać?

— Ach, do djabła! — Porfirij uderzył się ręką w czoło. — Pomieszało mi się. Od tej całej historji kręci mi się w głowie! — Mówiąc te słowa, zwrócił się do Raskolnikowa, jakby prosząc o wybaczenie. — Jest to dla nas bardzo ważne, czy ktoś widział ich w mieszkaniu między siódmą a ósmą i uroiło mi się, że pan może mnie o tem poinformować... Czysta pomyłka!

— Trzeba więcej skupiać myśli, — zauważył Raskolnikow zgryźliwie.

Ostatnie słowa wymieniano już w przedpokoju. — Porfirij nadzwyczaj ugrzeczniony odprowadził ich do drzwi. Obydwaj wyszli w ponurym nastroju na ulicę, nie mówiąc początkowo ani słowa. Raskolnikow głęboko odetchnął...

## VI.

...Nigdy w to nie uwierzę! Nie uwierzę! — powtarzał Razumichin przerażony, usiłując zbijać argumenty Raskolnikowa. Zbliżali się już do hotelu Bakalejewa, gdzie oczekiwały ich już oddawna Pulcherja Aleksandrowna i Dunia. W zapale rozmowy przystawał Razumichin co chwila; był szczególnie tem zmieszany, że po raz pierwszy dyskusja była prowadzona w sposób jasny i bez obsłonek.

— Nie wierz! Nic ci na to nie poradzę, — odparł Raskolnikow zimno z niedbałym uśmiechem. — Ty naturalnie byłeś jak zwykle naiwny i niczego nie zauważyłeś, ja jednak rozważałem dokładnie każde usłyszane słowo.

— Jesteś podejrzliwy, dlatego rozważałeś każde słowo... Hm, muszę przyznać, że ton Porfirego był co najmniej dziwny; a Zamietow jest skończony podlec... Masz rację, było coś w tem, ale dlaczego, dlaczego?

— Przez noc doszedł do innego przekonania.

— Ależ to niemożliwe, niemożliwe! Gdyby rzeczywiście ta bezsensowna myśl zagnieździła się w ich mózgach, to staraliby się przecież ze wszystkich sił ukryć ją, i nie odkrywaliby kart przedwcześnie, aby cię przecież później tem łatwiej złapać... Ale tak jak oni to robili, to było wprost zuchwałe i pozbawione ostrożności!

— Gdyby mieli dowody, myślę, rzeczywiste lub przynajmniej jakąś podstawę do podejrzeń, to z pewnością byliby prowadzili grę w karty zakryte, w nadziei, że zdobędą tym sposobem jeszcze więcej dowodów lub podstaw (byliby zresztą przeprowadzili rewizję u mnie). Nie mieli jednak żadnego choćby najmniejszego dowodu, wszystko było urojeniem ich mózgów, dwuznaczną zawieszoną w powietrzu ideą i dlatego popróbowali złapać mnie zapomocą bezczelności. Może nawet ten brak dowodów doprowadził ich do takiej wściekłości, że dali się jej unieść. Może zaś miał Porfirij w tem swój cel. Zdaje mi się, że jest on bardzo mądry... Może chciał mnie przestraszyć, okazując mi, że on coś wie... Są to zawiłe kwestje psychologiczne, bracie... Zresztą bierze mnie wstręt, gdy zaczynam się zastanawiać... Przestańmy o tem mówić.

— Tak, to jest wstrętne i poniżające! Czuję to tak samo jak ty! Ale... gdy mówimy o tem tak otwarcie (bardzo się cieszę, że wreszcie doszło do tego, że możemy o tem otwarcie mówić), muszę ci powiedzieć, że odczuwałem u nich tę myśl już dawno, przez cały ten czas, naturalnie jako coś ledwie dostrzegalnego, coś kiełkującego dopiero. Jak mogą jednak, choćby w tej formie, pomyśleć coś podobnego? Jak mogą się na coś podobnego odważyć? W jaki sposób doszli do czegoś podobnego! Gdybyś wiedział jak mnie to irytowało! Jakto? Tylko dlatego, że biedny student podupadły wskutek nędzy i hipochondrji, w przeddzień wybuchu strasznej choroby gorączkowej, która (to jest bardzo ważne) siedziała w nim już może bardzo dawno, podejrzliwy, ambitny człowiek znający swoją wartość, który przesiedział całe sześć miesięcy samotnie nie widząc nikogo i nie stykając się z nikim, stoi w łachmanach i podartych bucikach przed różnego gatunku policjantami i musi słuchać ich uwag i docinków; do tego jeszcze przychodzi nieoczekiwany nakaz zapłacenia weksla radcy Czebarowa, zapach lakieru, trzydzieści stopni ciepła, powietrze okropne, zapierające oddech, tłum ludzi, opowiadanie o zamordowaniu osoby, u której był dopiero onegdaj i to wszystko przy pustym żołądku! Tak, chciałbym widzieć takiego, coby na jego miejscu nie zemdlał! I na tem, na tem opierają się ich podejrzenia! Do djabła! Rozumiem, że to może kogoś zirytować, jabym jednak na twojem miejscu, Rodio, śmiał się im w oczy na całe gardło i nietylko to, jabym im napluł w twarz i wybiłbym dobrze po gębie, naturalnie w sposób mądry, tak jak się bić powinno i cała sprawa byłaby załatwiona odrazu. Pluń na to! Trzymaj się mocno! To wstyd!

„Bardzo dobrze to przedstawia“ — myślał Raskolnikow.

— Pluć na to? A jutro znowu badanie! — wymówił z goryczą, — miałżebym istotnie pozwolić na to? I tak już żałuję, żem się wczoraj tak poniżył w restauracji wobec Zamietowa!

— Do djabła! Ja sam pójdę do Porfirego! Wezmę go do mety w sposób familijny; już on mi wszystko wyśpiewa! A co do Zamietowa...

„Nareszcie zaczyna się nim zajmować“ — pomyślał Raskolnikow...

— Stój, — zawołał nagle Razumichin, chwytając go za ramię, — stój! Jesteś w błędzie. Jakaż to mogła być pułapka? Mówisz, że pytanie co do tych robotników było pułapką? Pomyśl tylko: gdybyś naprawdę *to* zrobił, czyżbyś mógł się wygadać, że widziałeś mieszkanie... i robotników? Wprost przeciwnie: powiedziałbyś, że nic nie widziałeś, nawet gdybyś ich widział! Przecież nikt nie będzie świadczyć przeciw samemu sobie!

— Gdybym był sprawcą tego morderstwa, tobym na pewno powiedział, że widziałem robotników i mieszkanie,— odrzekł Raskolnikow niechętnie, prawie ze wstrętem.

— Pocóż świadczyć przeciw sobie?

— Dlatego, że jedynie ciemni chłopi albo niedoświadczeni nowicjusze podczas badań zaprzeczają z miejsca wszystkiemu! Człowiek zaś sprytny i doświadczony przyznaje się do wszystkich zewnętrznych i niezaprzeczalnych faktów; ale tłumaczy je innemi przyczynami, znajdzie zawsze coś takiego, co te fakty przedstawia w zupełnie innem świetle. Porfirij właśnie nie mógł na to liczyć, że będę w ten sposób odpowiadać, że powiem, iż cośniecoś widziałem, dodam tylko jakieś objaśnienia...

— Ale przecież odrazu byłby ci powiedział, że na dwa dni przed zabójstwem robotników nie było jeszcze w mieszkaniu, to znaczy, że byłby ci dowiódł, że byłeś u lichwiarki w dniu zabójstwa o godzinie ósmej. Byłby cię złapał na takiej drobnostce!

— Może na to właśnie liczył, że nie zdążę namyślić się i będę się śpieszył odpowiedzieć jak najprawdopodobniej, zapominając o tem, że wówczas robotników jeszcze nie było.

— Jak można o tem zapomnieć?

— Bardzo łatwo. Najsprytniejsi ludzie zasypują się właśnie przy takich drobnostkach. Im ktoś jest bardziej sprytny, tem mniej się spodziewa, że go mogą złapać na drobnostce. Najsprytniejszego zawsze należy łapać na drobnostkach. Porfirij wcale nie jest taki głupi, jak ty go sobie wyobrażasz.

— W takim razie jest łotrem!

Raskolnikow nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Lecz w tej chwili dziwny mu się wydał jego zapał, z jakim rozmawiał z Razumichinem, podczas gdy poprzednią rozmowę prowadził prawie ze wstrętem i jakby pod przymusem.

„Niektóre punkty zaczynają mi widocznie przypadać do smaku!“ — pomyślał.

Po chwili jednak ogarnął go dziwny niepokój, zdawało mu się, że jest zaskoczony przez jakąś nową i niepokojącą myśl. Niepokój ten wzrastał z każdą chwilą. Byli już u wejścia do umeblowanych pokoi Bakalejewa.

— Idź tam sam, — zwrócił się nagle do Razumichina, — ja przyjdę za chwilę.

— Dokąd chcesz pójść? Przecież jesteśmy już na miejscu.

— Muszę, muszę; pilna sprawa... przyjdę za pół godziny... powiedz tam.

— Jak sobie życzysz, ale ja pójdę z tobą.

— A więc i ty chcesz mnie zamęczyć! — zawołał Raskolnikow z taką irytacją i tak rozpaczliwym głosem, że Razumichinowi ręce opadły bezsilnie. Stał przez chwilę na schodach, patrząc, jak Raskolnikow szybko oddalał się w kierunku swej ulicy. Wreszcie zacisnął zęby i wygrażając pięściami poprzysiągł sobie, że dziś jeszcze wyciśnie z Porfirego wszystkie jego tajemnice; potem poszedł na górę, aby uspokoić Pulcherję Aleksandrowną, zaniepokojoną ich długą nieobecnością.

Gdy Raskolnikow zbliżył się do swego domu, pot perlił się na jego skroniach; oddychał z trudem. Pośpiesznie pobiegł na górę, wszedł do pokoju i założył haczyk u drzwi. Potem przerażony, prawie nieprzytomny, rzucił się ku owej dziurze w ścianie, w której były dawniej schowane zastawy, i począł ją obmacywać, badając wszystkie kąty i zagłębienia za tapetami. Nie znalazłszy nic, podniósł się i odetchnął z ulgą. Gdy stał na schodach domu Bakalejewa, przyszło mu nagle na myśl, że jakiś przedmiot — łańcuszek, spinka, nawet kawałek papieru z opakowania zastawów, z własnoręcznemi notatkami lichwiarki, — mógł zawieruszyć się gdzieś

w tej dziurze za tapetami, i potem posłużyć druzgocącym, niezbitym dowodem jego winy.

Stał zamyślony; dziwny, pokorny i nawpół bezmyślny uśmiech ukazał się na jego ustach. Wreszcie wziął czapkę i cicho wyszedł z pokoju. Myśli jego plątały się. Dochodził już do bramy, gdy nagle usłyszał czyjś głos:

— Oto jest ten pan!

Raskolnikow podniósł oczy. Dozorca stał na progu swej komórki i informował jakiegoś mieszczucha, odzianego w dziwną kapotę, która upodabniała go do wiejskiej baby. Głowa jego okryta zatłuszczoną czapką była schylona ku ziemi, cała postać wydawała się zgarbiona. Sądząc ze steranej, pomarszczonej twarzy osobnik ten miał przeszło pięćdziesiąt lat; malutkie oczy patrzyły surowo, ponuro i z widoczną niechęcią.

— O co chodzi? — zapytał Raskolnikow, podchodząc do dozorcy.

Nieznajomy patrzał nań zrazu zpodełba, a potem uważnie i spokojnie; wreszcie odwrócił się i, nie mówiąc ani słowa, wyszedł na ulicę.

— Czego on sobie żvczył ? — zawołał Raskolnikow.

— Pytał się, czy tu mieszka taki a taki student, wymienił pańskie nazwisko i mieszkanie. W tej właśnie chwili pan nadszedł, wskazałem mu pana, a on poszedł sobie. Ciekawe!

Dozorca był bardzo zdziwiony, choć nie na długo; podumał chwilkę, a potem odwrócił się i wszedł do swej komórki.

Raskolnikow pobiegł za obcym i zobaczył go na drugiej stronie ulicy. Szedł wolnym, spokojnym krokiem, z oczyma wbitemi w ziemię, jakby w głębokiem zamyśleniu. Raskolnikow wkrótce dogonił go, lecz szedł jakiś czas z tyłu, wreszcie podszedł i spojrzał na niego zukosa. Mieszczanin poznał go natychmiast i obrzucił bystrem spojrzeniem, poczem znowu spuścił oczy; szli tak obok siebie nie mówiąc ani słowa.

— Pan się pytał o mnie... u dozorcy? — powiedział wreszcie Raskolnikow, ale jakimś zbyt cichym głosem.

Nie odpowiedział, nawet nie spojrzał na niego. Znowu jakiś czas obydwaj milczeli.

— Ale cóż to ma znaczyć... przychodzi pan, rozpytuje... i milczy... co to znaczy? — głos Raskolnikowa drżał i urywał się; z trudem wymawiał słowa.

Tym razem nieznajomy podniósł nań oczy i spojrzał złowieszczo i posępnie.

— Morderca! — wymówił nagle cichym, lecz jasnym i wyraźnym głosem...

Raskolnikow szedł dalej obok niego. Nogi mu nagle zadrżały, mróz przeszedł po kościach, a serce zamarło na chwilę. Tak szli obok siebie ze sto kroków w zupełnem milczeniu.

Mieszczanin nie patrzył na Raskolnikowa.

— Ale co to pan... co... jaki morderca? — wybełkotał wreszcie Raskolnikow ledwo dosłyszalnym głosem.

— *Ty jesteś mordercą!* — odparł obcy tonem jeszcze bardziej dobitnym i wyraźnym, z jakimś triumfującym i nienawistnym uśmiechem i znowu spojrzał prosto w pobladłą twarz Raskolnikowa. Doszli do skrzyżowania ulic. Mieszczanin skręcił w ulicę na lewo i szedł dalej, nie oglądając się. Raskolnikow pozostał na miejscu i patrzył za nim. Widział jak tamten, uszedłszy może z pięćdziesiąt kroków, przystanął i obejrzał się za nim. Trudno było dojrzeć na taką odległość, ale Raskolnikowowi się wydało, że i tym razem mieszczanin uśmiechnął się triumfująco z wyrazem zimnej nienawiści.

Powolnym, ociężałym krokiem powrócił Raskolnikow do domu. Nogi się pod nim uginały. Wszedł po schodach do swojej komórki, zdjął czapkę, położył ją na stole i z jakie dziesięć minut stał nieruchomo. Potem osłabiony położył się na kanapie; z ust jego wydarł się przytłumiony jęk; oczy miał zamknięte. Tak przeleżał pół godziny.

Nie myślał o niczem. Przelatywały mu przez głowę jakieś strzępy myśli, oderwane obrazy bez ładu i składu, — wspominał twarze ludzi, których widział jeden jedyny raz, będąc jeszcze dzieckiem, i których nigdy potem nie pamiętał; dzwonnica B-skiego kościoła; bilard w jakiejś restaura-

cji i jakiś oficer koło tego bilardu; zapach cygar w malutkim sklepie tytoniowym, szynkownia, brudne ciemne schody, całe zalane pomyjami i zaśmiecone skorupami jaj, — a tu ni stąd ni zowąd dolatuje uroczysty dźwięk niedzielnych dzwonów... Przedmioty tańczyły i kołowały w jego mózgu jak wicher. Niektóre obrazki podobały mu się nawet; czepiał się ich wysiłkiem woli, ale ulatywały natychmiast. Odczuwał jakieś dławienie, ale znowu nie tak bardzo... Lekki dreszcz nie ustępował, było to jednak uczucie nieomal przyjemne.

Nagle usłyszał pośpieszne kroki, poznał głos Razumichina, zamknął oczy i udał śpiącego. Razumichin otworzył drzwi i czas jakiś stał na progu, niezdecydowany. Potem cicho zbliżył się do kanapy. Raskolnikow usłyszał szept Nastasji:

— Nie rusz go; niech się wyśpi; potem będzie jadł...

— Masz rację, — odpowiedział Razumichin.

Oboje wyszli pocichu i zamknęli drzwi za sobą. Upłynęło jeszcze z pół godziny. Raskolnikow otworzył oczy, odwrócił się nawznak i podłożył obie ręce pod głowę.

— Kto to może być? Kim jest ten człowiek, który zjawił się jakby z pod ziemi? Gdzie był i co widział? Widział wszystko, to nie ulega żadnej wątpliwości. Ale gdzież ukrywał się wówczas, skąd przypatrywał się temu? Dlaczego zjawia się dopiero teraz? I w jaki sposób mógł coś widzieć, — czy to jest możliwe? Hm... — ciągnął dalej Raskolnikow, czując że mu się robi zimno, — a futerał, który Mikołaj znalazł za drzwiami: a to jednak było możliwe? Dowody? Wystarczy przeoczyć najdrobniejszą błahostkę i już z niej wyrasta dowód wielkości piramidy egipskiej. Może mucha latała i widziała! Czyż tak można?

Uczuł nagle ze wstrętem, że jest ogromnie słaby, że brak mu sił.

— Powinienem był o tem wiedzieć, — myślał uśmiechając się gorzko; — jak śmiałem wziąć do rąk siekierę i powalać się krwią, skoro tak dobrze znałem siebie!... Powinienem był o tem wiedzieć zawczasu!... Ech, przecież wiedziałem o tem, — wyszeptał zrozpaczony.

Czasem uwagę jego przykuwała na czas dłuższy jakaś myśl: „Nie, tamci ludzie z innego materjału byli stworzeni. Prawdziwy władca, któremu wolno wszystko, burzy Tulon, urządza rzeź w Paryżu, *zapomina* armję w Egipcie, traci pół miljona ludzi pod Moskwą i zbywa to kalamburem w Wilnie; takiemu człowiekowi po śmierci stawiają pomniki, — a więc naprawdę jemu *wszystko* wolno. Nie, tacy ludzie widocznie nie są z krwi i kości, a ze spiżu!"

Jedna myśl nagle prawie rozśmieszyła go:

— Napoleon, piramidy, Waterloo, — i szpetna, wstrętna starucha, lichwiarka, wdowa po urzędniku, z czerwonym kuferkiem pod łóżkiem, — no, jak to wszystko zmieści się w głowie choćby panu Porfiremu?... Przecież nie strawi czegoś podobnego!... Estetyka mu przeszkodzi... Czyż Napoleon, — powie, — może leźć pod łóżko nędznej staruchy? Fe, co za paskudztwo!"

Chwilami przyłapywał sam siebie na bredzeniu; później popadał w gorączkowo podniecony nastrój:

„Starucha, to błahostka! — myślał z głębokiem przekonaniem. — Starucha może była tylko błędem z mojej strony, nie o nią wcale chodzi. Starucha — to tylko przejaw mojej choroby... chciałem jak najprędzej przestąpić próg... zabiłem nie człowieka, lecz zasadę! Zasadę zabiłem, ale progu przestąpić nie umiałem, i zostałem po tej stronie... Jedynie zabić potrafiłem, więcej nic... Nawet tego nie zrobiłem, jak się należy... Zasady?... Dlaczego ten głupiec Razumichin tak się oburzył na socjalistów? Ludzie przecież niczego sobie: pracowici i handlowi; zajmują się „szczęściem ogółu"... Nie, życie mi dano na jeden raz tylko; po raz drugi żyć nie będę; nie chcę czekać na szczęście ogółu. Chcę żyć sam, dla siebie, — a inaczej wcale żyć nie warto. No i cóż? Wczoraj, naprzykład, nie chciałem przejść, mimo głodnej matki, trzymając w kieszeni mego rubla w oczekiwaniu „szczęścia ogółu". „Niosę cegiełkę, — mówią oni, — na budowę gmachu ogólnego szczęścia, i dlatego odczuwam spokój w duszy". Ha, ha! Ależ pocóż ominęliście mnie? przecież żyję tylko jeden raz, i też chcę żyć... Ech, jestem tylko estetyczną wszą, i nic więcej, —

dodał nagle, śmiejąc się obłąkanym śmiechem. — Tak, naprawdę jestem wszą, — ciągnął dalej, czepiając się tej myśli, bawiąc się nią i ciesząc; — jestem nią już choćby dlatego, że obecnie, w tej chwili rozprawiam o tem, czy nią jestem. Po drugie zaś jestem nią dlatego, że przez cały miesiąc niepokoiłem Opatrzność, biorąc ją na świadka, że to co robię, nie robię dla ulżenia swym chuciom cielesnym, lecz mając na widoku cel wspaniały i przyjemny — ha, ha! Po trzecie dlatego, że postanowiłem być możliwie sprawiedliwym w wykonaniu swego czynu, dopilnować sprawiedliwej miary, wagi i prawideł arytmetyki: z wszystkich wszy postanowiłem wybrać najbardziej bezużyteczną, i zabiwszy ją, wziąć u niej tylko tyle, ile jest mi potrzebne dla ułatwienia pierwszych kroków, ni mniej, ni więcej (a więc reszta byłaby oddana do klasztoru, według jej testamentu — ha, ha!)... I dlatego jeszcze, dlatego bezwarunkowo jestem wszą, — dodał, zgrzytając zębami, — że sam jestem może bardziej podły i niski, niż wesz zabita przeze mnie, — i przeczuwałem zawczasu, że powiem to sobie już po tem, jak ją zabiję! Czyż może być coś bardziej okropnego? Co za pospolitość! Co za podłość!... O, jak dobrze ja rozumiem „proroka“ na koniu z szablą w ręku: Allah ci rozkazuje; musisz go słuchać nędzna kreaturo! Ma słuszność, zupełną ma słuszność „prorok“, gdy wystawia na ulicy porządną baterję i kosi winnych i niewinnych, nie zdając sobie nawet trudu objaśnić — za co... Bądź posłuszna, nędzna kreaturo i nie ośmielaj się czegoś pragnąć, albowiem nie twoja to rzecz! O, za nic w świecie, za nic nie przebaczę tej starej“...

Włosy mu zwilżył pot; rozpalone wargi drgały, nieruchome oczy wlepił w sufit...

„Matka, siostra... jak ja je kochałem! Dlaczegóż teraz tak ich nienawidzę? Tak jest, nienawidzę? Tak jest, nienawidzę ich, nienawidzę poprostu fizycznie, nie mogę znieść ich obecności... Pamiętam, jak podszedłem do matki i pocałowałem ją... Uścisnąłem ją i myślałem: coby było, gdyby się dowiedziała?... a co będzie, jeżeli jej powiedzieć... byłem do tego zdolny! Hm! ona musi przecież być do mnie

zupełnie podobna, — dodał, myśląc z wysiłkiem, i jakby walcząc z gorączką, która opanowywała go coraz bardziej. — O, jak ja teraz nienawidzę tej starej! Chyba zamordowałbym ją po raz drugi, gdyby powróciła do życia. Biedna Lizaweta! I co to ją akurat wtedy przyniosło... Dziwne jednak, dlaczego wcale prawie nie myślę o niej, jakgdybym wcale jej nie był zamordował... Lizaweta! Sonia! Biedne, potulne, o łagodnych oczach... Takie dobre!... Dlaczego one nie płaczą?... Dlaczego nie wydają jęku?... Wszystko ofiarują... spoglądają tak łagodnie i cicho... Sonia! Sonia! Cicha moja Sonia!"

Powoli tracił przytomność. Dziwne mu się wydało, że nie mógł sobie przypomnieć, w jaki sposób znalazł się na ulicy. Było już bardzo późno. Mrok gęstniał, księżyc w pełni błyszczał coraz jaśniej. Jakaś niezwykła duszność panowała w powietrzu. Tłumy ludzi zalegały ulice, rzemieślnicy i robotnicy śpieszyli do domów; kręcili się spacerowicze; czuć było wapno, kurz i pleśń. Raskolnikow szedł smutny i stroskany: pamiętał dobrze, że wychodząc z domu miał jakiś określony zamiar, trzeba było coś zrobić jak najprędzej, — ale zapomniał co mianowicie. Nagle zatrzymał się i ujrzał, że na drugiej stronie ulicy, na chodniku stoi jakiś człowiek i daje mu znaki ręką. Raskolnikow skierował się ku niemu przez ulicę, gdy nagle człowiek ów odwrócił się i poszedł sobie, jakby nigdy nic; szedł opuściwszy głowę, nie odwracając się, jakby wcale nie dawał mu znaków.—„A może i nie robił żadnych znaków?" — pomyślał Raskolnikow; poszedł jednak szybciej, aby go dogonić. Gdy już był oddalony od niego o jakie dziesięć kroków, poznał go i przestraszył się; był to ten sam mieszczanin w swojej kapocie i po dawnemu zgarbiony. Raskolnikow szedł za nim zdaleka; serce waliło mu młotem. Mieszczanin skręcił w boczną uliczkę i szedł nie oglądając się wcale. — „Czy on wie, że idę za nim?" — pomyślał Raskolnikow. Mieszczanin wszedł do bramy wielkiego domu. Raskolnikow czem prędzej podbiegł do bramy i patrzał: a może się obejrzy i skinie na niego? W samej rzeczy, mieszczanin przeszedł całą sień i wychodząc na podwórze oglądnął się, i znowu, zdaje się,

machnął ręką. Raskolnikow natychmiast przeszedł przez bramę, ale na podwórzu mieszczanina już nie było. A więc, musiał wejść na pierwsze schody. Raskolnikow rzucił się za nim. I rzeczywiście, o dwa piętra wyżej rozlegały się czyjeś miarowe, powolne kroki. Dziwna rzecz! schody wydały się Raskolnikowowi znane. Oto okno na parterze: światło księżyca przechodziło przez zakurzone szyby, smutne i tajemnicze; oto drugie piętro... Ach, to przecież to samo mieszkanie, w którem pracowali wówczas robotnicy... Jak to się stało, że odrazu go nie poznał. Odgłos kroków człowieka, który szedł na przedzie, nagle ucichł: „a więc zatrzymał się, albo schował gdziekolwiek". Trzecie piętro: czy iść dalej? jaka tam cisza, nawet strach ogarnia... Poszedł jednak dalej. Trwożył go odgłos własnych kroków. „Mój Boże, jak ciemno!..." Mieszczanin na pewno przyczaił się tu gdzieś w kącie. A drzwi mieszkania otwarte są naoścież; zawahał się chwilę i wszedł. W przedpokoju było bardzo ciemno i pusto; ani żywego ducha, jakby wszystko wymarło. Pocichutku na palcach wszedł do salonu; cały pokój zalany był jaskrawem światłem księżyca; wszystko tu pozostało po dawnemu: krzesła, lustro, żółta kanapa i obrazy w ramach. Olbrzymi, okrągły, miedziano-czerwony księżyc patrzył prosto w okna. „To od księżyca taka cisza powstała, — pomyślał Raskolnikow, na pewno teraz rozwiązuje zagadkę". — Stał i czekał, czekał bardzo długo; i im głębsza stawała się cisza księżycowa, tem mocniej waliło mu serce, tak, że odczuwał wprost ból. Cisza trwała. Nagle rozległ się krótki, suchy trzask, jakgdyby ktoś złamał patyk, i znowu wszystko zamarło. Zbudzona mucha w rozpędzie uderzyła o szybę i zabrzęczała jękliwie. W tej samej chwili w kącie między szafką a oknem dojrzał jakby salopę, wiszącą na ścianie. — Skąd ta salopa ,— pomyślał, — przecież dawniej jej nie było. — Podkradł się pocichutku i domyślił się, że za salopą ktoś się schował. Ostrożnie uchylił brzeg salopy i zobaczył krzesło; na krześle w kąciku siedziała starucha, cała skulona i z opuszczoną głową, tak, że żadną miarą nie mógł zobaczyć jej twarzy; była to jednak ona. Stał nad nią chwilę: „boi się", — pomyślał. Pocichutku wyjął z pętli sie-

kierę i uderzył ją w ciemię raz i drugi. Ale dziwna rzecz: nie poruszyła się nawet przy uderzeniach, tak jakby była z drzewa. Przestraszył się, nachylił się i zaczął jej się przyglądać; ale ona pochyliła głowę jeszcze niżej. Schylił się więc aż do podłogi i zdołu popatrzył jej w twarz; spojrzał i zdrętwiał: staruszka siedząc w krześle śmiała się, trzęsła się wprost od cichego, bezdźwięcznego śmiechu, wstrzymując się, aby on jej nie usłyszał. Nagle wydało mu się, że drzwi do sypialnego pokoju uchyliły się nieco, i że tam także rozlegają się szepty i śmiech. Opanowała go wściekłość: zaczął bić staruchę naodlew po głowie; lecz po każdem uderzeniu topora, szepty i śmiech w sypialni stawały się głośniejsze, staruszka zaś wiła się wprost od śmiechu. Rzucił się do ucieczki, ale w przedpokoju było pełno ludzi; drzwi wiodące na schody stały otwarte naoścież; w sieni, na schodach do samego dołu — tłumy ludzi, zbite ciasno, patrzą na niego, — zaczaiły się, czekają i milczą!... Coś ścisnęło go za serce, nie mógł uczynić kroku, nogi jakby przyrosły mu do ziemi... Chciał krzyknąć i obudził się.

Odetchnął ciężko, — lecz dziwna rzecz! Sen trwał widocznie dalej: drzwi jego pokoju były otwarte naoścież, i na progu stał nieznany mężczyzna, przypatrując mu się uważnie.

Raskolnikow nie zdążył był jeszcze otworzyć oczu zupełnie i natychmiast przymknął je zpowrotem. Leżał nawznak i nie poruszał się. „Czy to sen jeszcze, czy nie?“ — pomyślał, i niespostrzeżenie uniósł nieco powieki, aby się przekonać. Nieznajomy stał wciąż na tem samem miejscu i przyglądał mu się. Nagle przestąpił ostrożnie próg pokoju, pocichutku przymknął za sobą drzwi, podszedł do stołu, przeczekał chwilkę, przez cały ten czas nie spuszczając go z oczu, i cicho, bezszumnie usiadł na krześle obok kanapy. Kapelusz położył obok na podłodze i ująwszy rękoma laskę oparł na niej podbródek. Widać było, że zamierza czekać długo. O ile mógł zauważyć przez ledwo uniesione powieki, był to człowiek już niemłody, barczysty, o gęstej, jasnej, niemal białej brodzie...

Upłynęło może dziesięć minut. Zmierzch zapadał, ale

było jeszcze widno. W pokoju panowała zupełna cisza. Nawet ze schodów nie dochodził żaden szmer. Tylko duża mucha brzęczała, uderzając wciąż o szybę. Wreszcie wszystko to stało się nie do zniesienia. Raskolnikow nagle podniósł się i usiadł na posłaniu:

— No, mów pan, czego pan sobie życzy?

— Wiedziałem, że pan nie śpi, a tylko udaje, — odpowiedział nieznajomy dziwnym głosem i roześmiał się spokojnie. — Pozwoli pan, że się przedstawię: jestem Arkadij Iwanowicz Świdrygajłow.

*Koniec części trzeciej.*

TEODOR DOSTOJEWSKI

# DZIEŁA

## Serja 1. Tom III i IV

POD REDAKCJĄ
MELCHJORA WAŃKOWICZA
POPRZEDZONE STUDJUM
ANDRZEJA STRUGA

TEODOR DOSTOJEWSKI

# ZBRODNIA I KARA



1928

Towarzystwo Wydawnicze „Rój"

PRZEŁOŻYŁ Z ORYGINAŁU
DR. J. P. ZAJĄCZKOWSKI

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Szpitalna 12

# CZĘŚĆ CZWARTA

# I

— Czyżbym śnił jeszcze — pomyślał Raskolnikow. Ostrożnie i nieufnie przypatrywał się nieoczekiwanemu gościowi.

— Swidrygajłow? Nonsens! To być nie może! — powiedział wreszcie z wahaniem.

Gość nie zdawał się być ździwiony tym wykrzyknikiem.

— Dwie przyczyny sprowadzają mnie tutaj. Po pierwsze zapragnąłem poznać pana osobiście, gdyż dawno już słyszałem o nim rzeczy nader ciekawe i pochlebne. A powtóre, tuszę, że być może, zechce mi pan łaskawie pomóc w pewnem zamierzeniu, dotyczącem bezpośrednio siostry pańskiej, Awdotji Romanówny. Bez rekomendacji nie wpuściłaby mnie prawdopodobnie teraz, wskutek żywionego ku mnie uprzedzenia, nawet na próg, ale przy pańskiej pomocy, przeciwnie, liczę...

— To źle pan liczy, — przerwał mu Raskolnikow.

— Przyjechała przecież dopiero wczoraj, jeśli wolno wiedzieć?

Raskolnikow nie odpowiadał.

— Wczoraj, wiem o tem. Ja sam przyjechałem dopiero onegdaj. Więc oto, co panu powiem w tej materji, Rodionie Romanowiczu. Usprawiedliwianie się uważam za zbędne, ale niech pan pozwoli i mnie zapytać się, co właściwie w tem wszystkiem było z mojej strony takiego wyjątkowo występnego, oczywiście o ile się na to patrzy bez żadnych tam przesądów, zwyczajnie, trzeźwo?

Raskolnikow przyglądał mu się, milcząc.

— Czy to, że we własnym domu nastawałem na bezbronną dziewczynę i „obrażałem ją obleśnemi propozycjami“,—czy tak? (Sam uprzedzam pańskie zarzuty). Tak, ale niech pan wyjdzie z założenia, żem tylko człowiek et nihil humanum... Jednem słowem i ja mogę ulec pokusie i pokochać (co, oczywiście nie podlega już naszym rozkazom), wtedy wszystko wytłumaczy się jak najprościej. Cała kwestja polega na tem, czy ja jestem oprawcą, czy może ofiarą? A nuż jestem ofiarą? Przecież, proponując przedmiotowi mych pragnień ucieczkę do Ameryki lub Szwajcarji, mogłem żywić najszlachetniejsze uczucia i mogłem myśleć o stworzeniu zobopólnego szczęścia. Wszak rozum jest służką namiętności; możliwe, iż bardziej jeszcze działałem na swoją zgubę...

— Ale zupełnie nie o to chodzi, — przerwał ze wstrętem Raskolnikow, — poprostu jest pan ohydny, czy pan ma rację, czy nie, dlatego też nikt nie chce mieć z panem do czynienia i wyrzucają pana i wynoś się pan!

Swidrygajłow nagle roześmiał się głośno.

— Ale pan to też... Pan się nie da złapać! — powiedział, śmiejąc się jak najszczerzej. — Chciałem pana zablagować, ale mowy niema! Odrazu trafił pan w sedno!

— Ale pan w dalszym ciągu kręci.

— Więc cóż? Co z tego? — powtarzał Swidrygajłow, pękając ze śmiechu, — przecież to bonne guerre, jak to się mówi i zupełnie dopuszczalny podstęp!... Ale pan mi przerwał. Tak, czy owak, twierdzę w dalszym ciągu: nie byłoby żadnych przykrości gdyby nie historja w ogrodzie. Marta Pietrowna...

— Ją pan też podobno ładnie urządził? — brutalnie przerwał Raskolnikow.

— O tem pan również słyszał? Zresztą, czy można nie słyszeć... W tej kwestji doprawdy nie wiem, co powiedzieć, chociaż sumienie mam, na ten temat najzupełniej spokojnie. Tylko niech pan nie myśli, żebym tam znowu miał się czegoś obawiać: wszystko zostało załatwione w najzupełniejszym porządku i z całą skrupulatnością. Badanie lekarskie

stwierdziło apopleksję, spowodowaną kąpielą po obfitym obiedzie, zakropionym prawie całą butelką wina. Co prawda, nie można było stwierdzić nic innego... Nie, widzisz pan, jakiś czas tak sobie myślałem, zwłaszcza w drodze: czy nie przyczyniłem się do tego całego... nieszczęścia jakiemś tam rozgoryczeniem moralnem, czy czemś w tym rodzaju? Ale doszedłem do wniosku, że nawet to absolutnie nie miało miejsca.

Raskolnikow roześmiał się.

— Że też pan chce tak przejmować się!

— Z czego pan się śmieje? Niech pan pomyśli; tylko dwa razy uderzyłem szpicrutką, nawet śladów nie było... Niech pan nie traktuje mnie, jak cynika. Dobrze wiem, że z mojej strony to podłość i tak dalej, ale wiem także napewno, że Marta Pietrowna była zadowolona z tego mojego, że tak powiem, przejęcia się. Sprawa pańskiej siostry wyczerpała się doszczętnie. Marta Pietrowna trzeci dzień już była zmuszona do siedzenia w domu, nie miała z czem pokazać się w miasteczku, no i znudziła już wszystkich tym swoim listem. (Pan słyszał o odczytywaniu listu?) I nagle te dwie szpicruty, jakby z nieba spadły! Przedewszystkiem kazała zaprzęgać do karety... Nie mówię już o tem, że są takie wypadki, kiedy kobieta nadzwyczaj lubi być krzywdzona, chociaż udaje oburzenie. Zresztą, każdy miewa takie chwile. Ludzie wogóle nadzwyczaj lubią grać role pokrzywdzonych. Czy pan to zauważył? Ale kobiety przedewszystkiem. Możnaby nawet sądzić, że stanowi to dla nich jedyne miłe przepędzenie czasu.

Przez chwilę Raskolnikow miał ochotę wstać, wyjść i w ten sposób zakończyć wizytę. Ale zatrzymała go pewna ciekawość i nawet poniekąd wyrachowanie.

— Lubi pan bić? — zapytał z roztargnieniem.

— Nie, niezabardzo, — spokojnie odpowiedział Swidrygajłow. — A z Martą Pietrowną tośmy się prawie wcale nie bijali. Żyliśmy nader zgodnie i zawsze była ze mnie zadowolona. W ciągu siedmiu lat naszego pożycia tylko dwa razy użyłem bata (nie licząc trzeciego wypadku, dość dwu-

znacznego zresztą): raz w dwa miesiące po naszym ślubie, zaraz po przyjeździe na wieś, i właśnie ostatnim razem. A pan sobie pewno myślałeś, że ja jestem oprawca, zacofaniec, tyran... He, he... Ale, ale: czy nie przypomina sobie pan, jak to kilka lat temu, jeszcze w czasie błogosławionej wolności słowa, zhańbiono u nas powszechnie i publicznie pewnego szlachcica, nazwiska nie pamiętam! Ten co to Niemkę przetrzepał w wagonie, pamięta pan? Wtedy również, w tym samym roku, miał miejsce „Ohydny wybryk Wieku" (owo publiczne czytanie tych „Egipskich Nocy", pamięta pan? Ach, te oczy czarne! O, złote lata minionej młodości!). Więc uważasz pan: nie powiem, abym głęboko współczuł jegomościowi, który przetrzepał Niemkę, bo w gruncie rzeczy, niema czemu współczuć! Muszę jednak przyznać, że zdarzają się czasami takie prowokacyjne „Niemki" że mam wrażenie, że niema takiego postępowca, któryby mógł za siebie ręczyć. Nikt nie ujmował tej sprawy z tego właśnie punktu widzenia, a tymczasem to właśnie jest naprawdę humanitarny pogląd, jako żywo.

Wyrzekłszy to Swidrygajłow znów nagle roześmiał się. Raskolnikow uświadomił sobie, że człowiek ten powziął jakąś stanowczą decyzję i dobrze wie, czego chce.

— Pan chyba już od kilku dni z nikim nie rozmawiał? — zapytał.

— Zgadł pan. Dziwi pana, że jestem układny?

— Nie; dziwi mnie, że pan jest zbyt układny.

— Czy dlatego, że nie czułem się dotknięty niegrzecznością pańskich pytań? Cóż z tego? — dodał z zadziwiającą dobrodusznością. — Właściwie niczem się prawie specjalnie nie interesuję, słowo daję, — ciągnął dalej w zamyśleniu. — Zwłaszcza teraz niczem się nie zajmuję... Zresztą wolno panu myśleć, że mi na panu zależy, tembardziej, że jak wspomniałem, mam interes do pańskiej siostry. Powiem panu szczerze: nudzi mi się! Zwłaszcza w ciągu ostatnich trzech dni, aż tak, że wprost cieszyłem się na myśl rozmowy z panem... Niech pan się nie gniewa, ale wydaje mi się pan niesłychanie dziwny. Jak pan sobie chce, ale w panu jest coś niesamowitego, właśnie teraz, to nie znaczy w tej

chwili, ale wogóle teraz... Dobrze, dobrze, już nic nie powiem, niech pan się nie krzywi! Nie jestem takim niedźwiedziem, jak pan sądzi.

Raskolnikow spojrzał na niego ponuro.

— Bardzo być może, że pan wcale nie jest niedźwiedziem, — powiedział, — zdaje mi się nawet, że pan jest człowiekiem z dobrego towarzystwa, a conajmniej potrafi pan być, w razie potrzeby, porządnym człowiekiem.

— Na niczyjem zdaniu specjalnie mi nie zależy, — oschle i jakby z odcieniem wyniosłości odpowiedział Swidrygajłow, — a zresztą dlaczego nie miałbym być draniem od czasu do czasu, kiedy te szatki w naszym klimacie są tak wygodne zwłaszcza, gdy się ma wrodzoną żyłkę do tego, — dodał, śmiejąc się znowu.

— Słyszałem, że ma pan jednak tutaj wielu znajomych. Pan jest, jak to mówią „człowiek ustosunkowany". Nie przyszedł pan do mnie bez celu.

— Ma pan słuszność, mam wielu znajomych, — podchwycił Świdrygajłow wymijająco. — Spotkałem już parę osób, przecież trzeci dzień już się włóczę. I ja poznaję, i mnie, zdaje się, poznają. Naturalnie, jestem przyzwoicie ubrany i uważają mnie za zamożnego. Reforma rolna nas nie skrzywdziła zbytnio. Lasy zostały, pastwiska przynoszą dochód. Nie będę odnawiał znajomości: dawno mam tego dosyć. Trzeci dzień jestem i nigdzie się nie pokazuję... A to miasto! Jak ono się rozrosło, niech mi pan powie? Miasto pełne urzędników i przeróżnych studentów! Naprawdę, nie uderzało mnie to osiem lat temu, kiedy się tu wałęsałem... Liczę teraz tylko na anatomję, słowo daję!

— Na jaką znów anatomję?

— A te wasze kluby, Dussot'y i inne postępy, — obejdzie się tam bez nas, — ciągnął dalej, znów nie odpowiadając na pytanie. — I pocóż tu być szulerem!

— Szulerem pan też był?

— A jakże! Osiem lat temu była nas cała banda i to jak się patrzy! Przepędzało się czas! I wszystko ludzie z wykształceniem: poeci, kapitaliści. Wogóle, w naszem rosyjskiem społeczeństwie, najlepiej wychowani ludzie, to ci,

którzy bywali bici, czy pan zwrócił na to uwagę? Ja sam zaniedbałem się dopiero na wsi. A swoją drogą wpakował mnie wtedy za długi do więzienia pewien Grek z Nieżyna. Wówczas właśnie napatoczyła się Marta Pietrowna, wytargowała się i wykupiła mnie za trzydzieści tysięcy srebrników. (Winienem był wszystkiego siedemdziesiąt tysięcy). Wstąpiłem z nią w legalny związek małżeński i natychmiast wywiozła mnie do siebie na wieś, niby skarb jaki. O pięć lat była starsza ode mnie. Bardzo mnie kochała. Siedem lat siedziałem na wsi kamieniem. I proszę sobie zauważyć, przez całe życie chowała wyrok na mnie, na cudze imię, o te trzydzieści tysięcy. Gdybym tak zechciał sprzeciwić się jej — zarazby mnie wpakowała! Z pewnością zrobiłaby to. Kobiety umieją wszystko razem pogodzić.

— A gdyby nie wyrok, zwiałby pan?

— Czy ja wiem? Nie krępowałem się prawie tym wyrokiem. Nic mnie nie pociągało. Marta Pietrowna sama dwa razy proponowała mi wyjazd zagranicę. Widziała, że się nudzę. Ale co tam! Bywałem zagranicą już dawniej i zawsze mi się tam jakoś kuczyło. Niby nic specjalnego, wschód słońca, zatoka Neapolitańska, morze, człowiek patrzy i smutno mu się robi. Najgorsze jest to, że rzeczywiście do czegoś się tęskni. Nie, w ojczyźnie jest lepiej: tutaj przynajmniej ma się do innych pretensję, a siebie się usprawiedliwia. Pojechałbym teraz na wyprawę do bieguna północnego, bo j'ai le vin mauvais i pijaństwo mi obrzydło, a cóż zostało poza tem. Wszystkiego już próbowałem. Podobno w niedzielę, w ogrodzie Jussupowych, Berg ma polecieć wielkim balonem. Chce zabrać pasażerów za opłatą. Słyszał pan o tem?

— A panby z nim poleciał?

— Ja? Tak... nie... — bąkał Swidrygajłow, jakby się rzeczywiście zastanawiał.

„Co mu jest właściwie?" pomyślał Raskolnikow.

— Nie, wyrok mnie nie krępował, — ciągnął w zamyśleniu Swidrygajłow, — nie chciało mi się ruszać ze wsi. Zresztą, rok temu Marta Pietrowna zwróciła mi ten wyrok na imieniny z porządną sumką w prezencie na dodatek. Gotóweczkę bo miała przecież. „Widzisz, jakie mam do ciebie

zaufanie, Arkadjuszu Iwanowiczu!" Naprawdę tak powiedziała. Pan nie wierzy, że tak powiedziała? A wie pan: byłem na wsi porządnym gospodarzem, znają mnie w okolicy. Sprowadzałem książki. Marcie Pietrownie podobało się to z początku, potem lękała się że będę przemądrzały.

— Mam wrażenie, że pan bardzo tęskni za Martą Piotrowną?

— Ja? Możliwe. Bardzo możliwe. A propos, wierzy pan w duchy?

— W jakie duchy?

— Jakto w jakie? W zwyczajne duchy!

— A pan wierzy?

— Przypuśćmy, że nie, pour vous plaire... A właściwie, to niezupełnie nie...

— Czyżby? Ukazują się panu?

Swidrygajłow dziwnie jakoś popatrzał na niego.

— Marta Pietrowna raczy mnie nawiedzać, — powiedział, wykrzywiając usta w dziwnym uśmiechu.

— Cóż to znaczy „raczy nawiedzać".

— Przychodziła już trzy razy. Pierwszy raz zobaczyłem ją w dzień pogrzebu, w godzinę po powrocie z cmentarza. W przeddzień mego wyjazdu stamtąd. Drugi raz — onegdaj, w podróży, o świcie, na stacji Mała Wiszera. A trzeci raz — przed dwiema godzinami, w hotelu gdzie mieszkam w pokoju; byłem sam.

— Na jawie?

— Ależ tak. Za każdym razem na jawie. Przyjdzie, chwilę porozmawia i wychodzi drzwiami, zawsze drzwiami. Wydaje mi się nawet, że słyszę jak wychodzi.

— Dziwne, odrazu byłem pewny, że z panem dzieje się coś w tym rodzaju! — nagle odezwał się Raskolnikow. I w tej samej chwili zdziwił się, że to powiedział. Był bardzo zdenerwowany.

— Doprawdy! Pan się domyślał? — zapytał ze zdziwieniem Swidrygajłow. — Czy być może? — A mówiłem panu, że jest jednak coś wspólnego między nami, prawda?

— Nigdy pan tego nie powiedział! — ostro i zapalczywie odrzekł Raskolnikow.

— Nie powiedziałem?

— Nie!

— Zdawało mi się, że powiedziałem. Jakem wszedł i zobaczył, że pan leży z zamkniętemi oczami i tylko udaje śpiącego, odrazu powiedziałem sobie: „To jest właśnie ten"!

— Co to ma znaczyć „właśnie ten"? O czem pan właściwie mówi? — krzyknął Raskolnikow.

— O czem? Właściwie, to nie wiem o czem... — szczerze, jakby zbity z tropu, wybąkał Świdrygajłow.

Chwilę trwało milczenie. Obydwaj bacznie się sobie przyglądali.

— To wszystko bzdury! — zawołał ze złością Raskolnikow. — O czem ona mówi do pana, kiedy przychodzi?

— Ona niby? Niech pan sobie wyobrazi, że o najgłupszych drobiazgach i, śmiej się pan ze mnie, ale to właśnie mnie gniewa. Za pierwszym razem weszła (zmęczony byłem, rozumie pan: ceremonja pogrzebowa, msza, stypa, nareszcie zostałem sam w gabinecie, zapaliłem cygaro, zamyśliłem się), weszła drzwiami, „Arkadjuszu Iwanowiczu, — powiada — z tego wszystkiego nie nakręciłeś zegara w jadalni". Rzeczywiście. W ciągu siedmiu lat co tydzień nakręcałem go sam, a gdy czasem zapomniałem, to zawsze przypominała mi o tem. Następnego dnia jadę tutaj. O świcie wychodzę na stację, noc przedrzemałem, kości mnie łamią, oczy mi się kleją — piję kawę. Patrzę: Marta Pietrowna siada nagle obok mnie, w ręku ma talję kart. „Może ci powróżyć na drogę"? Świetnie kładła karty. Nie daruję sobie, że nie skorzystałem z tej propozycji. Zląkłem się, uciekłem, zresztą dzwonek już był. Dzisiaj, po ohydnym obiedzie z garkuchni, z kamieniem wprost w żołądku, siedzę palę, wtem znowu Marta Pietrowna. Wchodzi wystrojona, w nowej jedwabnej zielonej sukni z olbrzymim trenem. „Jak się masz, Arkadjuszu Iwanowiczu! Podoba ci się moja suknia? Aniska takiejby nie uszyła"! (Aniska — to krawcowa od nas ze wsi, z pańszczyźnianych chłopów, uczyła się w Moskwie, ładna dziewucha. Stoi, kryguje się przede mną. Obejrzałem suknię, a potem badawczo, uważnie, spojrzałem jej w oczy. „Że też ci się chce fatygować i przychodzić do mnie z takiemi głupstwami"! „Boże święty! Nawet odezwać się do niego nie można"! Żeby ją podraż-

nić, powiadam: „Mam zamiar się żenić“. — Można się było tego po tobie spodziewać. Nie czyniło to panu honoru, iż zaledwie żonę pochowałeś, już za inną się rozglądasz. Żebyś przynajmniej dobrze wybrał. Znam cię przecież: ani tobie, ani jej, tylko djabłu na pociechę“. Zabrała się i poszła, tylko tren za nią jakby zaszeleściał. Dobre bzdury, co?

— A może pan poprostu kłamie? — odezwał się Raskolnikow.

— Ja rzadko kłamię, — odpowiedział Swidrygajłow w zamyśleniu, jakgdyby nie zauważył brutalności pytania.

— Czy poprzednio, przedtem, nigdy pan duchów nie widywał?

— No... nie, widziałem, raz w życiu, sześć lat temu. Hajduka miałem, Filkę. Tylko co go pochowali, zawołałem, zapominając o tem: „Filka, fajkę“! Wszedł i idzie prosto do serwantki w której leżały fajki. Siedzę i myślę: „Chce się zemścić na mnie“, bo przed samą śmiercią porządnie go zwymyślałem. „Jak śmiesz, — powiadam, — wchodzić do mnie z taką dziurą na łokciu! Wynoś się durniu jeden“! Odwrócił się, wyszedł i więcej się nie zjawił. Marcie Pietrownie nic o tem nie wspomniałem. Chciałem początkowo dać na mszę za jego duszę, ale jakoś wstyd mi było.

— Niech pan idzie do doktora.

— Sam dobrze wiem, że coś mi dolega, ale doprawdy nie wiem co. A właściwie, to dziesięć razy zdrowszy jestem od pana. Ja się pana nie pytałem, czy pan wierzy w ukazywanie się duchów, czy nie. Pytałem, czy pan wierzy w duchy.

— Nie, nigdy w życiu! — z pasją już krzyknął Raskolnikow.

— Jak się to zwykle mówi? — bąkał Swidrygajłow. jakby do siebie, patrząc w bok z pochyloną głową. — Mówią, „Jesteś chory, więc masz jakieś przywidzenia, to wszystko tylko błędne majaczenie“. A przecież te rzeczy nie podlegają jedynie rozumowi. Zgadzam się z tem, że duchy zjawiają się tylko chorym, ale to dowodzi jedynie tego, że zjawiają się wyłącznie chorym, a nie tego, że nie egzystują wogóle.

— Ależ nie istnieją! — nalegał z rozdrażnieniem Raskolnikow.

— Nie? Tak pan sądzi? — ciągnął spoglądając nań Świdrygajłow. — A jeżeli sprobujemy tak rozumować, (pomóż-no mi pan). Duchy są, że tak powiem cząstkami, strzępami innych światów, niejako wstępem do nich. Człowiek zdrowy nie może ich dojrzeć, bo człowiek zdrowy jest najbardziej przyziemnym człowiekiem i porządek rzeczy wymaga aby żył wyłącznie życiem doczesnem. Ale kiedy zachoruje, gdy w organizmie jego normalny porządek doczesny zostaje naruszony, wtedy zaczyna się ujawniać możliwość istnienia innego świata. W miarę postępu choroby styczność z tym innym światem wzrasta tak, że w chwili śmierci przechodzi sobie człowiek poprostu odrazu do tamtego świata. O ile pan wierzy w życie pozagrobowe, to powinien się pan zgodzić z mojem rozumowaniem.

— Nie wierzę w życie pozagrobowe, — rzekł Raskolnikow.

Swidrygajłow siedział zamyślony.

— A nuż tam są tylko pająki, lub coś w tym rodzaju, — powiedział niespodzianie.

„Warjat"! — pomyślał Raskolnikow.

— Wieczność jest dla nas zawsze pojęciem, którego nie można określić, czemś potężnem, wielkiem. Dlaczego właściwie wielkiem? A nuż zamiast tego wszystkiego, (niech pan posłucha), jest jedna tylko izba, coś w rodzaju łaźni wiejskiej, zakopcona, z pająkami we wszystkich kątach, a nuż to jest właśnie wieczność. Wie pan, wydaje mi się chwilami, że tak właśnie jest naprawdę.

— I naprawdę, naprawdę, nie wyobraża pan sobie nic wznioślejszego, sprawiedliwszego! — zawołał Raskolnikow ze ściśniętem sercem.

— Sprawiedliwszego? A kto wie, że tak właśnie nie jest sprawiedliwie? Wie pan, jabym tak naumyślnie urządził, — odpowiedział Swidrygajłow, uśmiechając się niewyraźnie.

Raskolnikowa przeszedł nagły dreszcz, gdy usłyszał tę potworną odpowiedź, Swidrygajłow podniósł głowę, spojrzał na niego badawczo i nagle roześmiał się.

— Niechno pan tylko nad jednem się zastanowi, — zawołał, — przed pół godziną nie znaliśmy się, uważamy się za wrogów, mamy pewną niezałatwioną sprawę, a o sprawie ani dudu, tylko wjechaliśmy na literaturę i to jaką! Czy nie miałem racji, żeśmy się dobrali jak w korcu maku?

— Bardzo pana przepraszam, — rzekł Raskolnikow w podnieceniu, — ale może pan zechce łaskawie wyjaśnić mi nareszcie, dlaczego właściwie zaszczycony zostałem jego odwiedzinami i... i... spieszę się, nie mam czasu, muszę wyjść z domu...

— Proszę bardzo, bardzo proszę. Siostra pana, Awdotja Romanowna, wychodzi zamąż za pana Łużyna, Piotra Piotrowicza Łużyna.

— Czy nie możnaby dać spokój mojej siostrze i nie wymawiać nawet jej imienia! O ile pan rzeczywiście jest Swidrygajłowem, to poprostu nie rozumiem, jak pan śmie mówić ze mną o niej.

— Właśnie o niej przyszedłem z panem pomówić, nie mogę więc nie wymawiać jej imienia.

— Więc dobrze, proszę mówić, byle prędzej!

— Przekonany jestem, że jeśli pan choć pół godziny rozmawiał z Łużynem, lub ma o nim ścisłe informacje, to wyrobił już pan sobie o nim właściwe zdanie. To daleki krewny mojej żony. To nie mąż dla Awdotji Romanowny. Jestem zdania, że Awdotja Romanowna poświęca się szlachetnie i bezinteresownie dla... dla swojej rodziny. Zdawało mi się, na podstawie tego, co o panu słyszałem, że byłby pan zadowolony, gdyby to małżeństwo nie doszło do skutku, bez uszczerbku dla interesów. Dziś, po poznaniu pana osobiście, jestem tego pewny.

— Bardzo pan jest naiwny, przepraszam, chciałem powiedzieć bezczelny, — rzekł Raskolnikow.

— Chce pan powiedzieć, że mam na widoku własny interes. Może pan być spokojny, gdyby mi szło o siebie, nie byłbym tak otwarty, zupełnie głupi nie jestem. Przy sposobności zwierzę się panu z pewnej psychologicznej osobliwości. Przed chwilą usprawiedliwiając swoją miłość dla Awdotji Romanowny, twierdziłem, że jestem ofiarą. Wiedz

pan zatem, że nie mam żadnego dla niej uczucia, żadnego. Sam się temu dziwię, bo przecież naprawdę czułem coś dla niej...

— Przez lenistwo i rozpustę, — przerwał mu Raskolnikow.

— W istocie jestem leniwy i rozpustny. Zresztą pańska siostra ma tyle zalet, że i ja nie mogłem pozostać obojętny. Ale to wszystko głupstwo, jak się zresztą sam przekonałem.

— Dawno się pan o tem przekonał?

— Zauważyłem to już przedtem, ostatecznie przekonałem się trzy dni temu prawie w chwili przyjazdu do Petersburga. W Moskwie przekonany byłem, że jadę dobijać się o rękę Awdotji Romanówny i rywalizować z panem Łużynem.

— Przepraszam, że przerwę. Czy nie byłby pan tak uprzejmy i zechciał się streszczać? Pomówmy wprost o celu pańskich odwiedzin. Bardzo się spieszę, muszę wyjść z domu...

— Z największą przyjemnością. Kiedy przyjechałem tu i postanowiłem przedsięwziąć pewien wojaż, zapragnąłem poczynić nieodzowne, wstępne rozporządzenia. Dzieci moje mieszkają u ciotki, są bogate, osobiście nie jestem im potrzebny. A zresztą, jaki tam ze mnie ojciec! Dla siebie wziąłem tylko to, co mi rok temu ofiarowała Marta Pietrowna. To mi wystarczy. Przepraszam, zaraz przystępuję do samej sprawy. Chciałbym przed wojażem, który może dojdzie do skutku zakończyć porachunki z panem Łużynem. Nie mogę powiedzieć, żebym go tak dalece nie znosił, ale właściwie to on był przyczyną mojej kłótni z Martą Pietrowną, kiedy dowiedziałem się, że ona kleciła to małżeństwo. Chciałbym teraz przy pańskiej pomocy i w pańskiej zresztą obecności zobaczyć się z Awdotją Romanowną i wytłumaczyć jej po pierwsze, że z Łużyna nie będzie miała żadnej pociechy, lecz przeciwnie, na pewno będzie stratna. Następnie, poprosiwszy ją o przebaczenie za niedawne przykrości, ośmieliłbym się zaproponować jej dziesięć tysięcy rubli, aby tym sposobem ułatwić zerwanie z panem Łużynem. Zerwanie, którego

pewny jestem, sama pragnęłaby, gdyby widziała możliwość po temu.

— Ale pan jest naprawdę obłąkany! — zawołał Raskolnikow nietyle zły, ile zdumiony. — Jak pan śmie tak przemawiać.

— Byłem pewny, że pan się oburzy. Ale po pierwsze, chociaż nie jestem bogaty, nie zależy mi na tych dziesięciu tysiącach. Są mi zupełnie niepotrzebne. O ile Awdotja Romanówna nie przyjmie ich, to prawdopodobnie zużytkuję je w sposób znacznie głupszy. To jedno. Powtóre, mam zupełnie czyste sumienie. Nie mam w tem żadnego wyrachowania. Może mi pan wierzyć, lub nie wierzyć ale w przyszłości przekona się o tem i pan i Awdotja Romanowna. Chodzi o to, że rzeczywiście sprawiłem pańskiej wielce szanownej siostrze sporo kłopotów i przykrości; ponieważ szczerze tego żałuję, więc bardzo pragnę — nie wykupić się pieniędzmi, czy zapłacić za przykrości, lecz poprostu zrobić dla niej coś dobrego, wychodząc z założenia, że nie mam przecież przywileju na wyrządzanie jedynie krzywd. Nie stawiałbym przecież mojej propozycji tak otwarcie, gdyby kryła się w niej choćby miljonowa cząstka wyrachowania. Nie proponowałbym zresztą zaledwie dziesięciu tysięcy rubli, wobec tego, że pięć tygodni temu, proponowałem znacznie więcej. Poza tem, bardzo możliwe, że się wkrótce ożenię, tem tem samem wszystkie podejrzenia co do mych zakusów względem Awdotji Romanowny muszą upaść. Wkońcu zaznaczam, że Awdotja Romanowna, wychodząc za mąż za Łużyna otrzymuje te same pieniądze tylko z innej ręki... Niech pan się nie irytuje, lecz zastanowi się nad tem poważnie i spokojnie.

Swidrygajłow mówiąc to, sam był niezwykle spokojny i opanowany.

— Proszę, skończ pan już, — odezwał się Raskolnikow. — W każdym bądź razie wszystko to jest niedopuszczalnem zuchwalstwem.

— Bynajmniej. Wobec powyższego na tym świecie wolno tylko krzywdzić swych bliźnich, i przeciwnie: zakazuje się wyświadczenia choćby odrobiny dobra ze względu

na głupie formy. To nonsens. Gdybym naprzykład umarł i zapisał w testamencie ten kapitał siostrze pańskiej, czy i wtedy zrzekłaby się przyjęcia?

— Bardzo być może.

— No, co to, to nie. Zresztą jak nie, to nie, niech będzie. A jednak dziesięć tysięcy — to wspaniała rzecz w razie potrzeby. W każdym bądź razie proszę o powtórzenie tego Awdotji Romanownie.

— Nie, nie powtórzę.

— W takim razie, będę musiał sam starać się osobiście pomówić z Awdotją Romanowną i co zatem idzie, niepokoić ją.

— A gdybym spełnił pańską prośbę, to nie będzie pan się starał o spotkanie z nią?

— Sam nie wiem, co panu odpowiedzieć. Chciałbym chociaż raz z nią się zobaczyć.

— Na to niech pan nie liczy.

— Szkoda. Zresztą pan mnie nie zna, może się jeszcze zbliżymy.

— Sądzi pan, że się zbliżymy?

— Dlaczegóżby nie? — uśmiechając sie, powiedział Świdrygajłow. Wstał i wziął kapelusz. — Nie powiem, żebym specjalnie miał ochotę pana trudzić, nie liczyłem na to, idąc tutaj. Coprawda, fizjonomja pańska uderzyła mnie jeszcze wczoraj rano...

— A gdzie pan mnie widział wczoraj rano? — zapytał Raskolnikow niespokojnie.

— O, przypadkiem... Ciągle mi się zdaje, że w panu jest coś podobnego do mnie... Niech pan się nie lęka, nie jestem natarczywy: z szulerami żyłem w zgodzie, nie naprzykrzałem się księciu Swirbejowi, memu dalekiemu krewnemu i magnatowi, umiałem napisać w albumie pani Prylukowej o rafaelowskiej madonnie, z Martą Pietrowną siedem lat kamieniem siedziałem, w domu Wiaziemskiego na Siennej przed laty nocowałem, a może i z Bergiem polecę balonem.

— No, dobrze: wolno wiedzieć, kiedy pan wybiera się w podróż?

— W jaką podróż?

— W ten „wojaż“ przecież... Sam mi pan mówił.

— W wojaż? Ach, tak rzeczywiście, mówiłem panu o wojażu... No, to jest szerokie zagadnienie... Gdyby pan wiedział, o co pan właściwie pyta! — dodał roześmiawszy się nagle głośno i urywanie. — Możliwe, że zamiast wojażować, ożenię się, swatają mi pannę.

— Tutaj?

— Tak.

— Kiedy pan zdążył?

— Lecz Awdotję Romanownę raz jeden ujrzeć nader pragnąłbym. Poważnie o to proszę. No, do widzenia... Byłbym zapomniał! Niech pan powie siostrze, że Marta Pietrowna zapisała jej trzy tysiące. To fakt. Miało to miejsce na tydzień przed śmiercią, w mojej obecności. Za dwa — trzy tygodnie Awdotja Romanowna będzie mogła odebrać pieniądze.

— Mówi pan prawdę?

— Tak. Niech pan to powtórzy. Sługa. Mieszkam bardzo blizko od pana.

Wychodząc Swidrygajłow spotkał się w drzwiach z Razumichinem.

## II.

Dochodziła ósma. Szli pospiesznie do Bakalejewa, chcąc przyjść przed Łużynem.

— Kto to był — zapytał Razumichin, gdy tylko znaleźli się na ulicy.

— Swidrygajłow. Ten ziemianin, który obraził moją siostrę, kiedy była u nich guwernantką. Prześladował ją miłosnemi wyznaniami. Na skutek jego miłosnych prześladowań opuściła ich dom, wypędzona przez jego żonę Marję Pietrownę. W następstwie owa Marja Pietrowna prosiła Dunię o przebaczenie, obecnie zaś zmarła nagle. To o niej mówiło się wczoraj. Nie wiem dlaczego lękam się bardzo tego człowieka. Przyjechał natychmiast po pogrzebie żony. Dziwnie się zachowuje i jest na coś zdecydowany...

Należy strzec Dunię przed nim... To właśnie chciałem ci powiedzieć, słyszysz?

— Strzec? Cóż on może jej zrobić? Dziękuję ci, że zwracasz się z tem do mnie... Będziemy jej pilnowali, będziemy!... Gdzie on mieszka?

— Nie wiem.

— Dlaczegoś się nie zapytał? Szkoda! Zresztą dowiem się.

— Widziałeś go? — zapytał Raskolnikow po chwili milczenia.

— Tak, zauważyłem, dobrze zauważyłem.

— Przyjrzałeś mu się? Przyjrzałeś mu się dokładnie? — nalegał Raskolnikow.

— Tak, zapamiętałem go. W tłumie byłbym go rozpoznał. Pamiętam dobrze twarze.

Zamilkli znowu.

— Hm, bo widzisz, — mruknął Raskolnikow, — myślę... zdawało mi się.. ciągle mi się wydaje, — że to może tylko złudzenie.

— O czem ty mówisz, nie rozumiem?

— Wszyscy mówicie, — ciągnął Raskolnikow z wymuszonym uśmiechem, — że jestem obłąkany. Zdawało mi się teraz, że może naprawdę jestem obłąkany i widziałem widmo?

— Cóż ci to znowu?

— Zresztą, kto wie! Może w istocie jestem obłąkany i wszystko, co przeżyłem w ciągu ostatnich dni, było tylko grą wyobraźni...

— Ach, Rodia, znów cię zdenerwowali!... Co on mówił, poco przyszedł?

Raskolnikow nie odpowiedział. Razumichin zamyślił się na chwilę.

— Wysłuchaj mojej relacji, — zaczął. — Byłem u ciebie, spałeś, zjadłem obiad i poszedłem do Porfirego. Zamietow przesiaduje u niego. Chciałem zacząć, ale nie udało mi się. Nie mogłem postawić kwestji, jak należało. Oni, zdawałoby się, nie rozumieją i nie mogą zrozumieć, ale wcale się tem nie detonują. Odszedłem z Porfirym do

okna, zacząłem mówić, ale znów z tego nic nie wyszło: spogląda w boki i ja spoglądam w bok. Wkońcu podsunąłem mu pięść pod nos i powiedziałem, że mu łeb po przyjacielsku rozwalę. Tylko spojrzał na mnie. Splunąłem i wyszedłem, to wszystko. Bardzo głupio. Do Zamietowa się nie odezwałem. Zrozum: myślałem, że coś zepsułem, a potem, kiedy schodziłem ze schodów, przyszła mi wspaniała myśl do głowy, olśniła mnie wprost: o co się właściwie kłopoczemy? Gdyby ci groziło niebezpieczeństwo, czy coś podobnego, to co innego. Ale tak! Nie masz z tem nic wspólnego, więc gwiżdż na wszystko. Będziemy drwili z nich później. Na twojem miejscu, zacząłbym ich mistyfikować. Dopieroż to najedzą się wstydu w przyszłości! gwiźnij na to, potem będzie można ich wyłoić, tymczasem zaś możemy się śmiać!

— Oczywiście! — odpowiedział Raskolnikow. „Ciekawym, co powiesz jutro"? — pomyślał następnie. Rzecz dziwna, ani razu nie przyszło mu na myśl, „co pomyśli Razumichin, kiedy się dowie?" Myśląc o tem Raskolnikow patrzał na niego badawczo. Relacja Razumichina o jego bytności u Porfirego nie zainteresowała go zbytnio: tak wiele się już zmieniło...

W korytarzu napotkali Łużyna: przyszedł punktualnie o ósmej i właśnie szukał numeru drzwi, więc weszli wszyscy razem, nie patrząc jednak na siebie i nie witając się. Młodzieńcy poszli naprzód, Łużyn zaś, dla przyzwoitości, zatrzymał się chwilę w przedpokoju, zdejmując palto. Pulcherja Aleksandrowna powstała, by go powitać w progu. Dunia witała się z bratem.

Łużyn wszedł do pokoju i dosyć grzecznie, chociaż ze zdwojoną godnością, skłonił się paniom. Robił wrażenie człowieka stropionego, który nie zdołał się jeszcze opanować. Pulcherja Aleksandrowna również nieco zażenowana, pospiesznie usadowiła wszystkich wokół okrągłego stołu, na którym gotował się już samowar. Dunia i Łużyn usiedli naprzeciw siebie na dwuch końcach stołu. Razumichin i Raskolnikow siedzieli nawprost Pulcherji Aleksandrowny: Razumichin obok Łużyna, a Raskolnikow przy siostrze.

Zaległa chwilowa cisza. Łużyn wyjął powoli chusteczkę, od której wionął zapach perfum. Wytarł nos z miną

człowieka aczkolwiek wspaniałomyślnego, lecz dotkniętego w swej godności i który postanowił żądać wyjaśnień. Jeszcze w przedpokoju miał zamiar wyjść, nie zdejmując palta, by w ten sposób ostro a dotkliwie ukarać obie panie, dając im odrazu wszystko do zrozumienia. Nie zdecydował się jednak. Przytem wogóle lękał się niepewności. W danym zaś wypadku należało wyjaśnić, z jakiej właściwie przyczyny tak demonstracyjnie nie usłuchano jego rozkazu. Na karę zawsze będzie czas; i tak ma je przecież w rękach.

— Mam nadzieję, że miały panie dobrą podróż? — oficjalnie zwrócił się do Pulcherji Aleksandrowny.

— Bogu dzięki.

— Jest mi nader miło. A Awdotja Romanowna, czy nie zmęczona?

— Jestem młoda i zdrowa. Nie męczę się, ale mama źle znosiła drogę, — odpowiedziała Dunieczka.

— Cóż robić! Nasze rodzime drogi są nader ale to nader długie. Rozległa jest tak zwana „Mateczka Rosja“... Mimo najszczerszych chęci nie mogłem pospieszyć paniom na spotkanie. Mam jednak nadzieję, że specjalnych kłopotów panie nie miały?

— O, nie! byłyśmy ogromnie zniechęcone, — znacząco podkreśliła Pulcherja Aleksandrowna — i gdyby nam Bóg nie zesłał pana Razumichina, — nie dałybyśmy sobie rady. Oto właśnie on, Dymitr Prokofjewicz Razumichin, — dadała, przedstawiając go Łużynowi.

— A jakże, już miałem przyjemność.. wczoraj, — mruknął Łużyn, popatrzywszy wrogo na Razumichina, poczem zasępił się i zamilkł. Łużyn wogóle należał do rzędu ludzi sprawiających wrażenie nadzwyczaj uprzejmych w towarzystwie i mających specjalne pretensje do uprzejmości, którzy jednak, jeśli coś nie dzieje się po ich myśli, natychmiast tracą kontenans i raczej przypominają nieruchawe woły, niźli obytych, mogących rozruszać towarzystwo młodzieńców.

Wszyscy znowu zamilkli: Raskolnikow milczał uparcie, Awdotja Romanowna nie chciała do czasu przerywać milczenia, Razumichin nie miał nic do powiedzenia, wobec czego Pulcherja Aleksandrowna znowu się zaniepokoiła.

— Czy słyszał pan, że Marta Pietrowna umarła? — zaczęła, uciekając się do swego zasadniczego tematu.

— A jakże, słyszałem, słyszałem. Odrazu mnie zawiadomiono. A nawet przyjechałem, aby zawiadomić panie, że Arkadjusz Iwanowicz Świdrygajłow natychmiast po pogrzebie żony wyjechał do Petersburga. Tak przynajmniej słyszałem z najpewniejszego źródła.

— Do Petersburga? Tutaj, — z lękiem zapytała Dunieczka i zamieniła spojrzenie z matką.

— Istotnie tak. I, oczywiście, nie bez celu, zważywszy na nagłość wyjazdu i wogóle poprzedzające go wypadki.

— Boże drogi, czy i tu nie zostawi Duni w spokoju! — zawołała Pulcherja Aleksandrowna.

— Zdaje mi się, że specjalnie niema powodów do obawy ani dla pani, ani dla Awdotji Romanowny. Naturalnie o ile panie same nie zechcą nawiązać z nim jakichkolwiek stosunków. Co do mnie, to czuwam i teraz właśnie staram się dowiedzieć, gdzie on mieszka...

— Nie uwierzy pan, jak pan mnie przeraził, — mówiła dalej Pulcherja Aleksandrowna, — widziałam go tylko dwa razy i wydał mi się potworny, potworny. Jestem pewna, że był przyczyną śmierci nieboszczki Marty Pietrowny.

— Co do tego, niema pewności. Mam ścisłe informacje. Nie będę się spierał. Być może, przyczynił się do przyspieszenia biegu rzeczy moralnem działaniem krzywdy, że tak powiem. Natomiast zgadzam się zupełnie, co do oceny zachowania się i moralnej charakterystyki tego człowieka. Nie wiem, czy teraz ma pieniądze i co właściwie odziedziczył po żonie. Będę miał dane w tej sprawie w najbliższym czasie. Lecz bezwzględnie tu, w Petersburgu, posiadając bodaj najmniejszy zasób pieniędzy wróci do dawnego trybu życia. To najrozpustniejszy i najbardziej upadły z ludzi tego pokroju. Mam wszelkie dane do sądzenia, że Marta Pietrowna, która na swoje nieszczęście osiem lat temu pokochała go tak bardzo, iż wykupiła go z więzienia za długi, oddała mu jeszcze jedną przysługę: jedynie dzięki

jej staraniom i ofiarom stłumiono w zarodku karną sprawę o zwierzęce, a nawet fantastyczne morderstwo, za które z wszelką pewnością przespacerowałby się na Syberję. Taki to jest człowiek, jeśli chcecie wiedzieć!

— Boże drogi! — zawołała Pulcherja Aleksandrowna.

Raskolnikow słuchał uważnie.

— Czy pan rzeczywiście ma o tem wszystkiem ścisłe informacje? — zapytała Dunia surowo i poważnie.

— Powtarzam tylko to, co mi zwierzyła w sekrecie nieboszczka Marta Pietrowna. Należy zaznaczyć, że z prawnego punktu widzenia sprawa jest nader ciemna. W Petersburgu mieszkała, a może i dotychczas mieszka niejaka Resslich, cudzoziemka i pozatem drobna lichwiarka, trudniąca się jeszcze innemi sprawami. Z ową Resslich łączyły pana Swidrygajłowa odawna nader bliskie i tajemnicze stosunki. Mieszkała u niej daleka krewna, zdaje się siostrzenica, głuchoniema dziewczynka piętnasto czy nawet czternastoletnia, której owa Resslich bezgranicznie nienawidziła, wymawiała jej każdy kęs, a nawet nieludzko biła. Znaleziono ją powieszoną na strychu. Uznano, że było to samobójstwo. Po zwykłej procedurze na tem sprawę zakończono. Dopiero później wpłynęło doniesienie, że dziecko... okrutnie skrzywdził Swidrygajłow. Coprawda, wszystko to było ciemne. Doniesienie pochodziło od innej Niemki, wściekłej baby, nie cieszącej się zaufaniem. W rezultacie właściwie nawet doniesienie nie wpłynęło, dzięki staraniom i pieniędzom Marty Pietrowny. Krążyły tylko plotki. Jednakże same te plotki są wielce znamienne. Pani, Awdotjo Romanowno, napewno słyszała u nich historję o parobku Filce, który sześć lat temu, jeszcze w czasie pańszczyzny umarł skutkiem znęcania się nad nim.

— Przeciwnie. Słyszałam, że ten Filka sam powiesił się.

— Tak jest. Ale zmusił go, albo raczej doprowadził do gwałtownej śmierci system prześladowań i znęcania się pana Swidrygajłowa.

— Nic o tem nie wiem, — odpowiedziała oschle Dunia. — Słyszałam tylko niezwykle dziwną historję o tym

Filce, który miał być podobno hipochondrykiem, domorosłym filozofem; ludzie utrzymywali, że się „przemądrzył" i że przyczyną samobójstwa były raczej drwiny, niż razy pana Swidrygajłowa. Zauważyłam, że Swidrygajłow dobrze obchodził się z ludźmi, którzy go nawet lubili, jakkolwiek, rzeczywiście przepisywano mu śmierć Filki.

— Jak widzę, pani skłania się do usprawiedliwienia go, — zauważył Łużyn krzywiąc się w dwuznacznym uśmiechu. — Rzeczywiście, to człowiek sprytny i umie starać się o względy dam, czego opłakanym przykładem jest tak zagadkowo zmarła Marta Pietrowna. Chciałbym tylko służyć pani i jej mamusi radą, a to ze względu na to, że niewątpliwie spodziewać się należy jakichś nowych jego wystąpień. Co do mnie, to jestem przekonany, że osobnik ten bezwątpienia ugrzęźnie nanowo w więzieniu za długi. Żona jego w żadnym razie nie miała zamiaru, ze względu na dzieci, zabezpieczyć go, a gdyby nawet mu coś zostawiła, to chyba tylko na pierwsze potrzeby, coś niewielkiego, efemerycznego, co nawet na rok nie starczy dla człowieka z jego narowami.

— Proszę pana, — powiedziała Dunia, — proszę bardzo, dajmy pokój panu Swidrygajłowowi. To mnie nuży.

— Właśnie przed chwilą był u mnie, — powiedział nagle Raskolnikow, odzywając się po raz pierwszy.

Ze wszystkich stron rozległy się okrzyki, wszyscy zwrócili się do niego, nawet Łużyn był poruszony.

— Półtorej godziny temu, kiedym spał, wszedł, obudził mnie i przedstawił się, ciągnął dalej Raskolnikow, — był dosyć swobodny i wesoły i jest przekonany, że dojdzie ze mną do porozumienia. Między innemi bardzo pragnie zobaczyć się z tobą i szuka po temu sposobności, Duniu. Mnie zaś prosił o pośrednictwo przy tem widzeniu. Ma dla ciebie propozycję, a jaką — powiedział mi nawet. Poza tem kategorycznie oświadczył, że Marta Pietrowna na tydzień przed śmiercią w testamencie zapisała ci trzy tysiące rubli, które możesz odebrać w najbliższym czasie.

— Bogu niech będą dzięki! — zawołała Pulcherja Aleksandrowna i przeżegnała się. — Módl się za nią, Duniu, módl się.

— Rzeczywiście, to prawda, — wyrwało się Łużynowi.

— Co dalej, co dalej? — niecierpliwiła się Dunia.

— Potem powiedział, że sam jest niebogaty, że cały majątek przechodzi na dzieci, które są teraz u ciotki. Wreszcie, że zamieszkał niedaleko ode mnie, gdzie, nie wiem, nie pytałem...

— Ale co, co on chce zaproponować Duni? — zapytała przerażona Pulcherja Aleksandrowna. — Czy ci powiedział?

— Tak, powiedział.

— Więc co?

— Powiem później.

Raskolnikow umilkł i zabrał się do herbaty.

Łużyn spojrzał na zegarek.

— Mam coś pilnego do załatwienia, więc nie będę przeszkadzał, — dodał z nieco obrażoną miną i zabierał się do wyjścia.

— Niech pan nie odchodzi, — powiedziała Dunia,— przecież pan zamierzał przepędzić z nami wieczór. Poza tem pisał pan, że chce się pan porozumieć z mateczką.

— Tak jest, — znacząco wyrzekł Łużyn, siadając ale nie wypuszczając kapelusza z ręki. — Rzeczywiście miałem zamiar pomówić z panią i z jej wielce szanowną mamusią o sprawach nader ważnych. Ale podobnie, jak brat pani nie może przy mnie wyjawić pewnych propozycyj pana Swidrygajłowa, ja również nie chcę i nie mogę wyjawić... wobec osób trzecich... pewnych rzeczy nader, ale to nader ważnej treści. Przytem zasadnicza i gorąca prośba moja nie została spełniona...

Łużyn zrobił rozgoryczoną minę i pompatycznie umilkł.

— To ja nalegałam, żeby brat był przy naszem widzeniu, wbrew pańskiej prośbie, — powiedziała Dunia. — Pisał pan, że brat pana obraził, sądzę, że należy to natychmiast wyjaśnić i musicie się pogodzić. Jeżeli Rodia rzeczywiście pana obraził, to *powinien* przeprosić i *przeprosi* pana.

To dodało Łużynowi pewności siebie.

— Są pewne obelgi, o których przy najlepszych chę-

ciach zapomnieć nie można. Istnieje granica, którą niebezpiecznie jest przekraczać, bowiem, gdy się ją przekroczy, odwrót staje się niemożliwy.

— Ależ ja nie o tem mówiłam, — przerwała z lekkiem zniecierpliwieniem Dunia, — niech pan zrozumie, że cała nasza przyszłość zależy od tego czy się jak najprędzej wszystko wyjaśni i ułoży, czy nie. Na początku już zaznaczam, że mój pogląd się nie zmieni i o ile panu choć trochę na mnie zależy, to chociaż z trudem, ale musi pan tę sprawę dziś zakończyć. Powtarzam, o ile mój brat zawinił, to przeprosi.

— Dziwię się, że pani tak stawia kwestję, — coraz bardziej niecierpliwił się Łużyn, — ceniąc i że tak powiem, wielbiąc panią mogę nader, ale to nader nie lubić kogoś z rodziny. Pretendując do szczęścia posiadania pani ręki, nie mogę jednocześnie przyjmować na siebie obowiązków, niezgodnych...

— Niech pan nie będzie tak przeczulony, — z przejeciem przerwała Dunia, — niech pan pozostanie tym mądrym i szlachetnym człowiekiem, za jakiego pana uważałam i pragnę uważać. Dałam panu wielką obietnicę, jestem pańską narzeczoną, niech mi pan zaufa i niech mi pan wierzy, że potrafię bezstronnie rozstrzygnąć tę sprawę. To, że biorę na siebie rolę sędziego, jest taką samą niespodzianką dla mego brata, jak i dla pana. Prosząc go po otrzymaniu pańskiego listu, aby koniecznie przyszedł, nie mówiłam mu o swych zamiarach.. Niech pan zrozumie, że jeżeli się nie pogodzicie, będę przecież musiała wybierać między wami: albo pan, albo on. Tak została postawiona kwestja przez was obu. Nie chcę i nie wolno mi pomylić się w wyborze, dla pana muszę zerwać z bratem, dla brata muszę zerwać z panem. Chcę i mogę przekonać się teraz na pewno, czy jest mi bratem. A o panu: czy zależy panu na mnie, czy pan mnie kocha, czy może pan być moim mężem.

— Awdotjo Romanowno, — zmarszczywszy się niechętnie powiedział Łużyn, — pani słowa są zbyt ważkie dla mnie, powiem więcej: nawet obraźliwe z uwagi na stanowisko, jakie mam honor w stosunku do pani zajmować.

Pomijając zupełnie obraźliwy i dziwaczny sposób stawiania mnie na jednym poziomie z... zapalczywym młodzieńcem, słowa pani pozwalają wnosić o możliwości złamania danego mi przyrzeczenia. Mówi pani: „pan albo on". Tem samem daje mi pani do zrozumienia, jak mało dla niej znaczę... Nie mogę pozwolić na to wobec stosunków i... zobowiązań, istniejących między nami.

— Jakto! — wybuchnęła Dunia. — Ja stawiam pański interes na równi z tem wszystkiem, co mi było dotychczas w życiu najdroższe, z tem, co stanowiło dotychczas całe moje życie, a pan obraża się, że go zbyt mało cenię!

Raskolnikow milczał, uśmiechając się zjadliwie, Razumichin aż się wzdrygnął, Łużyn jednak, nie bacząc na słowa Duni, stawał się coraz bardziej przykry i napastliwy, jakby się tem delektował.

— Miłość ku przyszłemu towarzyszowi życia, mężowi, powinna przewyższać miłość dla brata, — przemówił sentencjonalnie, — a w żadnym razie nie mogę być stawiany na jednym poziomie... Chociaż utrzymywałem poprzednio, że w obecności brata pani nie chcę i nie mogę wyjaśniać sprawy, w jakiej przyszedłem, tem niemniej jednak zdecydowałem się teraz zwrócić się do wielce szanownej mamusi pani celem wyświetlenia pewnej zasadniczej, a nader przykrej dla mnie sprawy. Syn pani, — zwrócił się do Pulcherji Aleksandrowny, — wczoraj w obecności pana Razsudkina czy też... zdaje się, że tak? przepraszam, zapomniałem nazwiska, — skłonił się uprzejmie w stronę Razumichina, obraził mnie, przeinaczając mój pogląd, który zakomunikowałem pani wtedy w prywatnej rozmowie przy kawie. Mianowicie, że ze względów moralnych małżeństwo z biedną panną, znającą niedostatek, według mnie, jest korzystniejsze z punktu widzenia związku małżeńskiego, niż małżeństwo z panną, która zakosztowała zbytku. Syn pani rozmyślnie przesadził aż do absurdu znaczenie moich słów, przypisując mi złośliwe zamiary, opierając się, jak sądzę, na własnej pani korespondencji. Będę się czuł szczęśliwy, jeśli zdoła pani upewnić mnie, że się mylę uspokajając mnie w ten sposób w znacznej mierze. Zechce pani może uwia-

domić mnie, jakich zwrotów użyła pani w liście do syna, powtarzając mu moje słowa?

— Nie pamiętam, — zmieszała się Pulcherja Aleksandrowna, — powtórzyłem tak, jak zrozumiałem. Nie wiem, co powiedział panu Rodia... Może coś przesadził.

— Bez pani wpływu nie mógł przesadzić.

— Piotrze Piotrowiczu, — z godnością oświadczyła Pulcherja Aleksandrowna, — to, że jesteśmy tutaj, najwymowniej świadczy, że ja i Dunia nie wzięłyśmy słów pańskich z najgorszej strony.

— Słusznie, mamo! — z uznaniem powiedziała Dunia.

— Więc to ja jestem winien, — oburzył się Łużyn.

— Bo, widzi pan, pan zwala winę na Rodiona, a sam napisał pan o nim w liście nieprawdę, — dorzuciła, ośmieliwszy się Pulcherja Aleksandrowna.

— Nie pamiętam, żebym napisał nieprawdę.

— Napisał pan, — ostro przemówił Raskolnikow, nie patrząc na Łużyna, — że oddałem wczoraj pieniądze nie wdowie po stratowanym urzędniku, jak było w rzeczywistości, tylko jego córce, której do dnia wczorajszego nie znałem. Napisał pan to, aby poróżnić mnie z rodziną i w tym celu dodał pan obelżywe słowa o prowadzeniu się dziewczyny, której pan nie zna. Wszystko to plotki i podłość.

— Przepraszam, szanowny panie, — trzęsąc się ze złości, odpowiedział Łużyn, — jeżeli w liście swym rozpisywałem się o pańskim charakterze i o pańskiem zachowaniu się, to jedynie, aby zadość uczynić życzeniu pańskiej siostry i mamusi, które prosiły mnie o doniesienie im, w jakim pan jest stanie i jakie pan na mnie zrobił wrażenie. Co zaś się tyczy treści mego listu, to niech mi pan wskaże choć jeden wiersz nie zgodny z prawdą. Czy pan nie zmarnował pieniędzy i czy we wspomnianej rodzinie, jakkolwiek rzeczywiście nieszczęśliwej, niema osób niegodnych?

— A ja uważam, że pan wraz ze swemi zaletami nie wart jest małego palca tej nieszczęśliwej dziewczyny, w którą pan rzuca kamieniem.

— Zatem zdecydowałby się pan wprowadzić ją do towarzystwa swojej matki i siostry?

— Już to zrobiłem, o ile pan chce wiedzieć. Siedziała dziś obok mamy i Duni.

— Rodia! — krzyknęła Pulcherja Aleksandrowna.

Dunia zaczerwieniła się, Razumichin zmarszczył brwi, Łużyn uśmiechał się zjadliwie i wyniośle.

— Raczy pani sama skonstatować, — czy tu może być mowa o zgodzie? Mam nadzieję, że teraz sprawa już jest skończona i wyjaśniona raz na zawsze. Odchodzę, aby nie psuć przyjemnego nastroju tego rodzinnego zebrania i nie przeszkadzać w wyjawianiu tajemnic. — Wstał z krzesła i wziął kapelusz. — Pozwolę sobie jednak zauważyć na odchodnem, że wolno mi chyba liczyć na to, że w przyszłości nie będę narażany na podobne spotkania i, że tak powiem, kompromisy. Specjalnie panią o to proszę, szanowna Pulcherjo Aleksandrowna, list mój bowiem skierowany był pod pani, a nie czyimkolwiek innym adresem.

Pulcherja Aleksandrowna czuła się dotknięta.

— Jak widzę, pan już zupełnie zagarnia nas pod swoją władzę. Dunia odpowiedziała panu, dlaczego nie spełniono pańskiego życzenia, miała ona najlepsze chęci. Pisze pan do mnie w dodatku w tonie rozkazującym. Cóż-to, czy każde pańskie życzenie ma być dla nas rozkazem? Uważam, że przeciwnie: powinien pan być teraz w stosunku do nas specjalnie delikatny i pobłażliwy, bośmy przecież wszystko rzuciły i przyjechały tutaj, ufając panu i przez to samo już wystarczająco jesteśmy od pana zależne.

— No, to nie jest zupełnie słuszne, zwłaszcza w danej chwili, po otrzymaniu wiadomości o zapisaniu przez Martę Pietrownę, trzech tysięcy rubli, których zjawienie się jest, jak przypuszczam, nader pożądane, o ile sądzić mogę ze zmiany tonu w stosunku do mnie, — dodał zjadliwie.

— Sądząc z tej uwagi, — zauważyła rozdrażniona Dunia, — rzeczywiście możnaby przypuścić, że pan liczył na naszą bezradność.

— Ale teraz już nie mogę liczyć, a zwłaszcza nie chciałbym przeszkadzać w podaniu do wiadomości tajem-

niczych propozycyj pana Arkadjusza Świdrygajłowa, do zakomunikowania których upoważniony jest pani brat, a które, jak widzę, mają dla pani, zasadnicze, a być może i nader miłe znaczenie.

— Ach, Boże święty! — krzyknęła Pulcherja Aleksandrowna.

Razumichin nie mógł usiedzieć na krześle.

— I nie wstyd ci teraz, siostrzyczko? — zapytał Raskolnikow.

— Wstyd mi, Rodia, — powiedziała Dunia. — Panie Łużyn, proszę stąd wyjść, — zwróciła się doń blada z gniewu.

Zdawało się, że Łużyn nie spodziewał się zupełnie takiego zakończenia. Był zbyt pewny siebie, swojej władzy i bezradności swych ofiar. Nie wierzył własnym uszom. Pobladł i usta mu się trzęsły.

— Awdotjo Romanowno, o ile teraz zamknę za sobą drzwi po takiem pożegnaniu, to proszę sobie dobrze to zważyć, iż nie powrócę już nigdy. Niech się pani zastanowi! Ja się, nie cofam.

— Cóż za bezczelność! — krzyknęła Dunia, zrywając się z krzesła. — Nie życzę sobie, aby pan kiedykolwiek wrócił!

— Tak! To to ta-a-k! — zawołał Łużyn, który do ostatniej chwili, nie wierzył w możliwość podobnego zakończenia sprawy i teraz zupełnie stracił głowę. — To to ta-a-k jest! A czy zdaje sobie pani sprawę, że miałbym prawo zaprotestować?

— Jakiem prawem pan tak się do niej odzywa? — gorąco ujęła się za córką Pulcherja Aleksandrowna. — W jaki sposób może pan protestować? Jakie ma pan prawo? Pan sądzi, że oddam moją Dunię takiemu człowiekowi? Niech pan sobie idzie i zostawi nas w spokoju! Same jesteśmy sobie winne, żeśmy się dały wciągnąć do złej sprawy, a ja najbardziej...

— Jednakże, — wściekał się Łużyn, — jestem związany danem słowem, którego się pani teraz tak zarzeka...

i wreszcie... wreszcie... w związku z powyższem miałem, że tak powiem, wydatki.

Ta ostatnia pretensja była tak typową dla Łużyna, że Raskolnikow blady z gniewu i panowania nad sobą, nie wytrzymał i nagle wybuchnął śmiechem.

Pulcherja Aleksandrowna zirytowała się.

— Wydatki? Jakie pan miał wydatki? Czy pan ma na myśli kufer? Konduktor go panu darmo przewiózł. Mój Boże, to myśmy pana związały? Niechże pan oprzytomnieje, człowieku! To pan nam skrępował ręce i nogi, a nie my panu!

— Dosyć, mameczko, proszę cię, dosyć! — prosiła Dunia. — Panie Łużyn, niech pan z łaski swojej wyjdzie!

— Pójdę, ale jeszcze to jedno powiem, — rzekł, nie panując nad sobą. — Pani matka zapomniała widocznie o tem zupełnie, że zdecydowałem się pojąć panią mimo miejskich plotek, krążących o jej, że tak powiem, reputacji po całej okolicy. Pomijając dla pani opinję publiczną i rehabilitując pani reputację, zdawałoby się mogłem liczyć na uznanie, a nawet żądać wdzięczności pani! Dopiero teraz otwarły mi się oczy... Widzę, że postąpiłem nader, ale to nader lekkomyślnie, lekceważąc głos opinji...

— Na co on sobie pozwala! — krzyknął Razumichin, zrywając się z krzesła, gotów rzucić się na Łużyna.

— Podły i zły z pana człowiek powiedziała Dunia.

— Milcz i nie ruszaj się! — krzyknął Raskolnikow, powstrzymując Razumichina.

Potem stanąwszy tuż przy Łużynie, rzekł spokojnie i dobitnie: — Zechce pan wyjść i ani słowa więcej, bo...

Łużyn patrzał nań przez chwilę blady z wykrzywioną złością twarzą, poczem odwrócił się i wyszedł. Rzecz prosta, że trudno było mieć w sercu więcej nienawiści do kogoś, niż on miał jej do Raskolnikowa. Jego jedynego obwiniał o to wszystko. Ciekawe, że nawet schodząc ze schodów, ciągle jeszcze wierzył, że sprawa nie jest całkowicie stracona i że, o ile idzie o same kobiety, to da się „nader, ale to nader“ łatwo załagodzić.

## III.

Sednem sprawy było dlań to, że do ostatniej chwili nie spodziewał się takiego rozwiązania. Naigrywał się do ostatniej chwili, nie dopuszczając nawet możliwości, żeby dwie biedne i bezbronne kobiety mogły wymknąć mu się z rąk. W przekonaniu tem utrzymywała go pycha i owa pewność siebie, którą najlepiej określa miano samouwielbienia. Łużyn, dorobiwszy się z niczego, przywykł do chorobliwego wprost podziwu dla siebie, cenił wysoko swój rozum i zdolności, a nawet czasami w samotności zachwycał się swą twarzą w lustrze. Lecz nadewszystko w świecie kochał i cenił swoje pieniądze, zdobyte pracą i najróżnorodniejszemi sposobami: stawiały go bowiem narówni z tem wszystkiem, co było wyższe od niego.

Wypominając z goryczą Duni to, że zdecydował się poślubić ją wbrew złej opinji, Łużyn mówił zupełnie szczerze, a nawet był głęboko oburzony tak „czarną niewdzięcznością". A jednak starając się o Dunię, był wtedy już przekonany o bezpodstawności plotek, które odwołała publicznie sama Marta Pietrowna i o których zapomniało już nędzne miasteczko, gorąco usprawiedliwiając Dunię. Zresztą sam nie wyparłby się tego, że wiedział o tem i wtedy, lecz mimo to wszystko cenił swoją stanowczą decyzję podniesienia Duni do swego poziomu i uważał to za bohaterstwo. Wymawiając to Duni, zdradził swą najtajniejszą starannie wyhodowaną myśl, którą już nieraz się pieścił. Poprostu zrozumieć nie mógł, że inni mogą nie podziwiać jego bohaterstwa. Odwiedzając wówczas Raskolnikowa, wszedł z uczuciem dobroczyńcy, gotowego zebrać owoce i wysłuchać najsłodszych pochwał. I, oczywiście, teraz, schodząc ze schodów, uważał się za człowieka w najwyższym stopniu skrzywdzonego i zapoznanego.

Dunia była dlań wprost niezbędna: nawet nie dopuszczał myśli o wyrzeczeniu się jej. Dawno już, od szeregu lat z lubością myślał o małżeństwie, ale wciąż czekał i ciułał pieniądze. W najgłębszej tajemnicy, z upojeniem myślał o kobiecie czystej i biednej (nieodzownie biednej) bardzo młodziutkiej, bardzo ładnej, z dobrej rodziny, wykształco-

nej, bardzo zahukanej, nadzwyczaj ciężko doświadczonej przez los, bardzo pokornej, któraby przez całe życie uważała go za swoje zbawienie, ubóstwiała go, podporządkowywała mu się, podziwiała jego i tylko jego. Ileż scen, ileż lubych epizodów na ten kuszący i drastyczny temat stworzył w wyobraźni, odpoczywając po pracy. I oto marzenie tylu lat prawie się urzeczywistniało: uroda i wykształcenie Awdotji Romanowny uderzyło go, beznadziejność jej losu rozzuchwaliła do ostateczności. To przewyższało jego marzenia: spotkał dziewczynę dumną, z charakterem, cnotliwą, przewyższającą go wychowaniem i rozwojem umysłowym (zdawał sobie z tego sprawę). I to stworzenie będzie mu całe życie niewolniczo wdzięczne za jego czyn bohaterski i z rozmodleniem zaprze się siebie dla niego, on zaś będzie panował absolutnie i samowładnie!...

Zbiegiem okoliczności przed samemi zaręczynami, po długiem wyczekiwaniu i namyśle, postanowił wkońcu zmienić ostatecznie karjerę i wystąpić na szerszą arenę, jednocześnie zaś powoli wejść w wvższe sfery towarzyskie, o czem oddawna marzył z utęsknieniem... Słowem postanowił spróbować szczęścia w Petersburgu. Wiedział dobrze, że przy pomocy kobiet można wygrać „nader, ale to nader dużo". Urok prześlicznej, cnotliwej, wykształconej kobiety mógł zadziwiająco ozdobić jego drogę, wabić, otoczyć go aureolą... I oto wszystko przepadło! Jak piorun uderzyło w niego to nagłe, bezsensowne zerwanie. Był to jakiś potworny żart, nonsens! On się tylko odrobinę ośmielił, nie zdążył się nawet wypowiedzieć, żartował tylko, uniósł się, a tak się to na serjo skończyło. W końcu przecież on nawet już po swojemu kochał Dunię, panował już nad nią w swych marzeniach — i oto nagle!... Nie! Jutro, jutro należy wszystko odrobić, załagodzić, naprawić, a przedewszystkiem — zgnębić tego zuchwałego młokosa, smarkacza, który był winien wszystkiemi. Z przykrością przypominał sobie mimowoli Razumichina, choć zresztą uspakajał się łatwo w tym względzie: „Także pomysł stawiać nas na równi"! Ale jeżeli się bał kogoś naprawdę, to jedynie tylko Swidrygajłowa. Jednem słowem czekało go wiele kłopotów.

. . . . . . . . . . . . . . . . .

— Nie, ja, to ja najbardziej zawiniłam, — mówiła Dunia, obejmując i całując matkę. — Skusiły mnie jego pieniądze, ale przysięgam ci braciszku, nie zdawałam sobie sprawy z tego, że to taki marny człowiek. Gdybym poznała się na nim odrazu, nic w świecie by mnie nie skusiło! Nie wiń mnie, proszę cię.

— Bóg strzegł! Bóg strzegł! — mruczała Pulcherja Aleksandrowna, ale tak machinalnie, jakgdyby nie zdawała sobie sprawy z tego, co zaszło.

Wszyscy się cieszyli, po pięciu minutach nawet się śmiano. Niekiedy tylko przypominając sobie o tem, co zaszło, Dunia ściągała brwi i bladła. Pulcherja Aleksandrowna nie spodziewała się wcale, że się również cieszyć będzie: jeszcze rano tegoż dnia zerwanie z Łużynem uważałaby za straszną katastrofę. Zato Razumichin był uszczęśliwiony. Nie odważył się jeszcze z tem zdradzić, ale trząsł się jak w febrze, jakby pięciopudowy ciężar spadł mu z serca. Teraz ma prawo poświęcić im życie, służyć im... Zresztą któż to może wiedzieć, co się teraz jeszcze zdarzy! Lecz ze wzmożonym lękiem odpędzał wszelkie marzenia, bojąc się swej wyobraźni. Jeden tylko Raskolnikow nie ruszył się z miejsca, niemal ponury i roztargniony. On, który najbardziej nalegał na zerwanie z Łużynem, teraz zdawał się najmniej interesować tem, co zaszło. Dunia mimowoli pomyślała, że ciągle jest jeszcze zły na nią, zaś Pulcherja Aleksandrowna przyglądała mu się lękliwie.

— Cóż powiedział ci Swidrygajłow? — podeszła doń Dunia.

— Ach, prawda! — zawołała Pulcherja Aleksandrowna.

Raskolnikow podniósł głowę.

— Koniecznie chce ci ofiarować dziesięć tysięcy rubli i pragnie się raz z tobą w mojej obecności zobaczyć.

— Zobaczyć się! Za nic w świecie! — krzyknęła Pulcherja Aleksandrowna. — Jak on śmie proponować jej pieniądze!

Następnie Raskolnikow powtórzył (dosyć sucho zresztą) rozmowę swą ze Swidrygajłowem. Nie wspomniał nic o zjawianiu się ducha Marty Pietrowny, nie chcąc wdawać

się w zbyteczne szczegóły i mając wstręt do jakiejkolwiek teraz zbytecznej rozmowy.

— Cóżeś mu odpowiedział? — zapytała Dunia.

— Początkowo powiedziałam, że nic ci nie będę powtarzał. Wówczas oświadczył mi, że sam wszelkiemi sposobami będzie dążył do widzenia się z tobą. Zapewniał, że namiętność jego była przelotna i że obecnie nic już do ciebie nie czuje... Nie chce, byś wyszła zamąż za Łużyna. Wogóle był niewyraźny.

— Co ty sądzisz o nim, Rodia? Jakim ci się wydał?

— Przyznaję, że dokładnie nic nie rozumiem. Proponuje dziesięć tysięcy, twierdził zaś, że nie jest bogaty. Opowiada, że wybiera się w jakąś podróż, i po dziesięciu minutach nie pamięta, że mówił o tem. Potem nagle powiada, że ma zamiar się ożenić i że mu już kogoś swatają... Zapewne ma jakieś cele na widoku i najprawdopodobniej — złe cele. Z drugiej strony dziwnie byłoby przypuścić, żeby tak głupio zabrał się do rzeczy, jeżeliby rzeczywiście miał jakieś złe zamiary... Naturalnie odmówiłem raz na zawsze w twojem imieniu przyjęcia tych pieniędzy... Wogóle wydał mi się bardzo dziwny, a... nawet... zauważyłem objawy jakby pomieszania zmysłów. Może się jednak mylę. Może to jest jakieś swoiste krętactwo. Śmierć Marty Pietrowny, zdaje się, zrobiła na nim wrażenie...

— Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie — zawołała Pulcherja Aleksandrowna. — Całe życie będę się za nią modliła. Coby się z nami stało, Duniu, bez tych trzech tysięcy! Mój Boże, niczem z nieba nam spadły. Wiesz, Rodia, dziś rano miałyśmy zaledwie trzy ruble przy duszy i tylkośmy kombinowały, żeby jak najprędzej zastawić zegarek, żeby uniknąć pożyczki od tego tam, póki się sam nie domyśli.

Dunia zdawała się być pod silnem wrażeniem propozycji Swidrygajłowa. Stała zamyślona.

— On coś strasznego zamierza! — powiedziała szeptem do siebie, wzdrygając się niemal.

Raskolnikow spostrzegł ten jej niezwykły strach.

— Myślę, że będę musiał się jeszcze raz z nim zobaczyć, — rzekł do Duni.

— Będziemy go śledzili! Ja go wyśledzę! — energicznie zawołał Razumichin. — Oka z niego nie spuszczę, Rodia mi pozwolił. Powiedział mi: „Pilnuj siostry!" A pani pozwoli, Awdotjo Romanowno?

Dunia uśmiechnęła się i podała mu rękę, ale troska nie schodziła z jej twarzy. Pulcherja Aleksandrowna spoglądała na nią nieśmiało, zresztą te trzy tysiące widocznie podziałały na nią uspokajająco.

Po kwadransie rozmowa była powszechna i ożywiona. Nawet Raskolnikow, choć sam się nie odzywał, czas jakiś przysłuchiwał się uważnie. Zato Razumichin perorował.

— I pocóż, pocóż panie mają wyjeżdżać! Co panie będą robiły w tej mieścinie? A co najważniejsze to, że — bylibyście tu wszyscy razem, bardzo sobie wzajemnie potrzebni — wierzcie mi — bardzo potrzebni! Choćby na czas jakiś... Przyjmijcie mnie na przyjaciela, na wspólnika, zapewniam, założymy jakieś doskonałe przedsiębiorstwo. — Posłuchajcie, państwo, wytłumaczę wam dokładnie, o co chodzi — mam myśl! Dziś rano już o tem myślałem, kiedy się jeszcze nic nie zdarzyło... Sprawa jest tego rodzaju: mój wuj (zapoznam was z nim: czcigodny i bardzo do rzeczy starowina!) ma kapitalik, tysiąc rubli, żyje z emerytury i na niczem mu nie zbywa. Od dwuch lat już mnie zanudza, żebym wziął te tysiąc rubli i płacił mu po sześć procent. Wiem, o co mu chodzi: chciałby mi pomóc. W zeszłym roku nie potrzebowałem pomocy, ale w tym roku zdecydowałem się wziąć i tylko czekałem na jego przyjazd. Panie dadzą drugi tysiąc z tych trzech, na początek to wystarczy. Zrobimy spółkę. A oto czem się zajmiemy...

Razumichin począł rozwijać swój projekt. Dowodził obszernie, że wszyscy prawie księgarze i wydawcy pojęcia nie mają o swoim towarze, a zatem są złymi fachowcami. Tymczasem porządne wydawnictwa zawsze się opłacają i dają zyski, czasami nawet poważne. Razumichin marzył o działalności wydawniczej, pracując od dwuch lat dla różnych wydawnictw i znając nieźle trzy europejskie języki. Wprawdzie sześć dni temu powiedział Raskolnikowowi, aby skłonić go do przyjęcia połowy tłumaczenia i trzech rubli

zadatku, że z niemieckim jest klapa, lecz było to kłamstwo i Raskolnikow dobrze o tem wiedział.

— Dlaczego mamy nie wykorzystać okoliczności? — gorączkował się Razumichin. — Gdy mamy w rękach najważniejszy środek — własne pieniądze! Naturalnie, trzeba w to włożyć dużo pracy, ale będziemy pracowali, i pani, i ja, i Rodjon... Niektóre wydawnictwa przynoszą teraz porządne zyski. Zaś podstawą przedsiębiorstwa będzie to, że będziemy wiedzieli, co należy właściwie tłomaczyć. Będziemy tłomaczyli, wydawali, uczyli się, wszystko razem. Teraz mogę się przydać, bo mam doświadczenie. Już dwa lata pętam się po wydawcach i znam wszystkie ich kawały: nie święci garnki lepią, wierzcie mi! I dlaczego, dlaczego dla kogoś kasztany z ognia wyciągać! Znam dobrze i trzymam w tajemnicy kilka takich dzieł, że za sam pomysł przetłomaczenia i wydania ich możnaby wziąć po sto rubli za tom. Zaś za jedno z nich nawetbym i pięciuset nie wziął. I wyobraźcie sobie, że gdybym to komuś zaproponował, jeszczeby mieli wątpliwości, takie to zakute łby. Wszystkie troski fachowe, drukarnie, papier, sprzedaż możecie mnie pozostawić. Znam wszystkie dziury. Zaczniemy ostrożnie i dojdziemy do wielkich rzeczy. W najgorszym razie będziemy mieli z czego żyć, a już bez wątpienia wyjdziemy na swojem.

Duni błyszczały oczy.

— Bardzo mi się podoba pański projekt, — powiedziała.

— Ja, naturalnie, na niczem się nie znam, — odezwała się Pulcherja Aleksandrowna, — może to i dobre, zresztą Bóg raczy wiedzieć. Nazbyt nowe dla mnie, nieznane. Naturalnie, musimy tu pozostać choćby na krótki czas...

Spojrzała na Rodię...

— Co o tem myślisz? — powiedziała Dunia.

— Sądzę, że to bardzo dobry pomysł, — odpowiedział Raskolnikow. — O samodzielnem przedsiębiorstwie oczywiście nie należy jeszcze myśleć, ale pięć — sześć książek można wydać z niewątpliwem powodzeniem. Sam znam jedno dzieło, któreby na pewno poszło. Jeśli zaś cho-

dzi o to, czy on potrafi poprowadzić interes, to niema najmniejszych wątpliwości — zna się na tem... Zresztą znajdziecie jeszcze czas by omówić sprawę...

— Hurra! — wykrzyknął Razumichin. — Teraz czekajcie: wasi gospodarze mają w tym samym domu jeszcze jedno mieszkanie, samodzielne, umeblowane, nie łączy się z hotelem, cena umiarkowana, trzy pokoiczki. Na początek radzę je wynająć. Zastawię paniom jutro zegarek, przyniosę pieniądze i wszystko się urządzi. A co najważniejsze, będziecie mogli wszyscy troje mieszkać razem — Rodia z wami. Rodia, a ty dokąd się wybierasz?

— Jakto, Rodia, już odchodzisz? — prawie ze strachem zapytała Pulcherja Aleksandrowna.

— W takiej chwili! — zawołał Razumichin.

Dunia patrzała na brata z niedowierzaniem i zdziwieniem: miał czapkę w rękach, gotował się do wyjścia.

— Cóż to, przecież nie umieram i nie żegnam was na wieki, — wyrzekł jakoś dziwnie.

Uśmiechnął się niby, choć właściwie nie był to uśmiech.

— Zresztą, kto wie, może widzimy się ostatni raz... — dodał niebacznie.

Pomyślał o tem w duchu i wbrew woli wypowiedział głośno.

— Co się z tobą dzieje! — krzyknęła matka.

— Dokąd ty idziesz, Rodia? — zapytała Dunia zdziwiona.

— Tak, muszę odejść, — odpowiedział niewyraźnie, jakby nie wiedząc, co ma powiedzieć, ale na jego bladej twarzy malowała się stanowcza decyzja.

— Chciałem powiedzieć... idąc tutaj... chciałem powiedzieć wam, tobie, mamo, i tobie, Duniu, że lepiej będzie, jeżeli się na pewien czas rozstaniemy. Źle się czuję, jestem niespokojny... Przyjdę później, sam przyjdę, kiedy... będzie można. Pamiętam o was i kocham... Zostawcie mnie! Zostawcie mnie samego. Już dawno tak postanowiłem... To mocne postanowienie. Cokolwiek się ze mną stanie, zginę czy nie, chcę być sam. Zapomnijcie o mnie zupełnie. Tak będzie lepiej... Nie dowiadujcie się o mnie. Jak będzie trzeba, przyjdę sam, albo... was zawezwę. Może jeszcze wszyst-

ko będzie dobrze!... Teraz, jeśli mnie kochacie, wyrzeknijcie się mnie... inaczej znienawidzę was, czuję to... Żegnajcie!

— O, Boże! — krzyknęła Pulcherja Aleksandrowna.

Matkę i siostrę opanowało przerażenie, Razumichina również.

— Rodia, Rodia! Pogódź się z nami! Niech będzie jak dawniej! — krzyknęła biedna matka.

Raskolnikow powoli obrócił się i szedł ku drzwiom. Dunia dopędziła go.

— Rodia, co robisz z matką! — szepnęła z oczyma, płonącemi oburzeniem.

Spojrzał na nią ponuro.

— To nic, przyjdę, będę przychodził! — mruknął półgłosem, jakby niedokładnie wiedząc, co chce powiedzieć, i wyszedł z pokoju.

— Egoista, zły i bez serca! — krzyknęła Dunia.

— Obłąkany, nie bez serca! On jest obłąkany, czy pani tego nie widzi? Sama pani jest bez serca!... — z przejęciem szeptał jej do ucha Razumichin, ścisnąwszy mocno za rękę.

— Zaraz wrócę! — krzyknął, zwracając się do struchlałej Pulcherji Aleksandrowny i wybiegł z pokoju.

Raskolnikow czekał na niego na końcu korytarza.

— Wiedziałem, że przyjdziesz, — powiedział. — Wróć do nich i zostań z niemi. Bądź z niemi jutro... i zawsze. Ja... może przyjdę... jeśli się da. Żegnaj! — I nie podając mu ręki. odszedł.

— Ale dokąd? Co to? Co się z tobą dzieje? Czy to tak wolno!... — bąkał zupełnie oszołowiony Razumichin.

Raskolnikow zatrzymał się raz jeszcze.

— Raz na zawsze: nigdy nie pytaj mnie o nic. Nie mam dla ciebie odpowiedzi. Nie przychodź do mnie. Możliwe, że przyjdę tutaj. Zostaw mnie... Ale ich nie opuszczaj. Rozumiesz?

Korytarz był ciemny. Stali pod lampą. Przez chwilę patrzeli na siebie w milczeniu. Razumichin do końca życia pamiętał tę chwilę. Palące, przenikliwe spojrzenie Raskolnikowa, potężniejąc z każdą chwilą przenikało jego duszę

i świadomość. Nagle Razumichin drgnął, jakgdyby coś nieokreślonego stanęło między nimi... Jakaś myśl zamajaczyła, jakby jakiś refleks, coś strasznego, potwornego, co obaj nagle pojęli... Razumichin zbladł, jak trup.

— Rozumiesz teraz?! — zapytał nagle Raskolnikow z boleśnie wykrzywioną twarzą. — Wróć, idź do nich, — dodał, odwrócił się szybko i wyszedł.

Nie będę opisywał, co działo się tego wieczora z Pulcherją Aleksandrowną, kiedy Razumichin wrócił, jak uspakajał je, przysięgał, że Rodi trzeba dać odpocząć, przysięgał, że Rodia napewno przyjdzie, będzie przychodził codziennie, że jest bardzo, bardzo zdenerwowany i że nie należy go drażnić. On, Razumichin, będzie czuwał nad nim, sprowadzi mu dobrego doktora, najlepszego, zwoła konsyljum... Jednem słowem od tej chwili począwszy, Razumichin stał się synem i bratem.

## IV.

Raskolnikow zaś poszedł prosto do domu nad kanałem kędy mieszkała Sonia. Dom był dwupiętrowy, stary, pomalowany na kolor zielony. Z trudem odnalazł stróża i został mniej więcej poinformowany, gdzie mieszka krawiec Kapernaumow. Wyszukawszy w kącie podwórza wejście na wąskie i ciemne schody, wdrapał się na drugie piętro i wszedł na otaczającą podwórze galerję. Gdy tak błądził w ciemności, nie mogąc się zorjentować, gdzie właściwie jest wejście do Kapernaumowa, nagle o trzy kroki od niego otworzyły się jakieś drzwi; odruchowo przytrzymał je.

— Kto tam? — zapytał niespokojnie głos kobiecy.

— To ja... Do pani, — odpowiedział Raskolnikow i wszedł do maleńkiego przedpokoiku.

Na wygniecionem krześle stała świeca w pogiętym, mosiężnym lichtarzu.

— To pan! O Boże! — krzyknęła Sonia słabym głosem, stając, jak wryta.

— Do pani — którędy? Tutaj?

Raskolnikow szybko wszedł do pokoju, starając się nie patrzeć na nią.

Po chwili weszła ze świecą Sonia, postawiła lichtarz. Stała przed Raskolnikowem zmieszana, nieprawdopodobnie zdenerwowana i widocznie przestraszona jego niespodziewanemi odwiedzinami. Wtem fala krwi uderzyła do jej bladej twarzy, a nawet łzy stanęły jej w oczach... Dławiło ją coś w gardle, ogarnęła ją odraza i wstyd i lubość. Raskolnikow odwrócił się szybko i usiadł przy stole. Przelotnem spojrzeniem obrzucił pokój.

Pokój był duży, ale bardzo niski. Zamknięte drzwi w lewej ścianie prowadziły do Kapernaumowych, którzy też jeden tylko pokój odnajmowali lokatorom. Drzwi w przeciwległej ścianie — prawej, były zabite. Wiodły do drugiego, sąsiedniego mieszkania, noszącego już inny numer. Pokój Soni przypominał szopę: miał kształt nieprawidłowego czworokąta i to nadawało mu ten niezdarny wygląd. Ściana o trzech oknach, wychodzących na kanał, przecinała pokój jakoś naukos, wskutek czego jeden kąt, bardzo ostry, ginął gdzieś w głębi, tak że przy słabem świetle nie było go można dojrzeć, drugi zaś kąt był nieforemnie rozwarty. W całym tym wielkim pokoju prawie nie było mebli. W kącie, na prawo stało łóżko, obok niego, bliżej drzwi, krzesło. Przy tej samej ścianie, co łóżko, tuż obok drzwi, wiodących do cudzego mieszkania, stał zwyczajny nieheblowany stół, pokryty niebieskim obrusem. Przy stole — dwa wyplatane krzesła. Następnie, u przeciwległej ściany, w pobliżu ostrego kąta pokoju, niewielka niemalowana komoda, która zdawała się ginąć w pustce. I to wszystko. Żółtawe obdarte i zafolowane obicia były zczerniałe we wszystkich kątach. Prawdopodobnie w zimie panowała tu wilgoć i czad. Nędza rzucała się w oczy: nawet przy łóżku nie było firanek.

Sonia w milczeniu patrzała na swego gościa, tak uważnie i bez ceremonii oglądającego jej pokój. Zaczęła wreszcie drżeć ze strachu, jakgdyby stała przed sędzią, od którego zależały jej losy.

— Ja... tak późno... Czy jest juz jedenasta? — zapytał Raskolnikow, ciągle jeszcze nie patrząc na nią.

— Jest, — wybąkała Sonia. — Tak, tak, już wybi-

ła! — zaczęła nagle mówić szybko, jak gdyby uważała to za wyjście z sytuacji. — U gospodarzy tylko co zegar wybił... Słyszałam... Już wybiła.

— Przyszedłem do pani po raz ostatni, — ponuro ciągnął Raskolnikow, jakkolwiek był u niej po raz pierwszy. — Być może, nie zobaczymy się więcej...

— Pan... wyjeżdża?

— Nie wiem... Wszystko jutro...

— Nie będzie pan jutro u Katarzyny Iwanowny? — drżącym głosem zapytała Sonia.

— Nie wiem. Wszystko jutro rano... Nie o to chodzi: chciałem pani coś powiedzieć...

Podniósł na nią zamyślone oczy i dopiero teraz spostrzegł, że on siedzi, a ona ciągle jeszcze stoi przed nim.

— Dlaczego pani stoi? Niech pani usiądzie, — powiedział zmienionym, cichym i miękkim głosem.

Sonia usiadła. Raskolnikow serdecznie i ze współczuciem patrzał na nią przez chwilę.

— Jaka pani szczuplutka! Co za ręka, zupełnie przezroczysta. Palce jak u umarłej. — Ujął jej rękę. Sonia blado się uśmiechnęła.

— Zawsze byłam taka, — powiedziała.

— I wtedy, gdy mieszkała pani u rodziców?

— Tak.

— No, tak, naturalnie! — powiedział urywając raptownie. Wyraz jego twarzy i dźwięk głosu znowu się zmieniły.

Jeszcze raz rozejrzał się wokoło.

— Pani odnajmuje ten pokój od Kapernaumowa?

— Tak.

— On tam mieszka, za temi drzwiami?

— Tak... Mają taki sam pokój.

— Wszyscy w jednym?

— W jednym.

— W nocy bałbym się spać w tym pokoju, — zauważył ponuro.

— Moi gospodarze to dobrzy ludzie, bardzo serdeczni, — odpowiedziała Sonia, która jeszcze nie przyszła do siebie i nie oprzytomniała. — I wszystkie meble i wszystko...

to ich. Oni są bardzo dobrzy, a dzieci do mnie często przychodzą...

— To jąkały?

— Tak... On się jąka i jest kulawy. Żona także... Właściwie nie jąka się, ale jakby nie wymawia wszystkiego. Jest bardzo dobra. On jest z chłopów. Mają siedmioro dzieci... Tylko najstarsze się jąka, inne są tylko chore... ale się nie jąkają... Skąd pan wie coś o nich? — dodała z pewnem zdziwieniem.

— Ojciec pani mi opowiedział. Opowiedział mi wszystko o pani... I o tem, jak pani wyszła o godzinie szóstej, a wróciła o dziewiątej i o tem, jak Katarzyna Iwanowna klęczała przy pani łóżku.

Sonia zmieszała się.

— Dziś wydało mi się, że go widzę, — wyszeptała nieśmiało.

— Kogo?

— Ojca. Szłam przez ulicę, tamtędy na rogu o dziewiątej, a on niby sobie idzie przede mną. Całkiem jakby to był on. Już chciałam nawet wstąpić do Katarzyny Iwanówny.

— Spacerowała pani.

— Tak, — krótko szepnęła Sonia ze spuszczonemi oczami, znowu zmieszana.

— Katarzyna Iwanowna omal nie bijała pani tam u ojca?

— Ależ skąd! Co pan mówi! Jak pan może! Wcale! — ze strachem popatrzała nań Sonia.

— Tak ją pani kocha?

— Ją? Czyż może być inaczej? — rzekła Sonia, załamawszy ręce z żalem i męką. — Ale pan jej... Gdyby pan ją znał. To zupełne dziecko... Jest zupełnie jak obłąkana... ze zmartwień. A taka mądra była... Taka szlachetna... taka dobra! Pan o niczem, o niczem nie wie... Ach!

Sonia powiedziała to z rozpaczą, wzruszona, z bólem łamiąc ręce. Blade policzki znowu spłonęły rumieńcem, w oczach była męka. Widocznem było, że ją bardzo dotknięto, że gorąco pragnęła coś sformułować, wypowiedzieć,

obronić. Bezgraniczna litość, jeśli tak można powiedzieć, rozlała się nagle na jej twarzy.

— Biła mnie! Jak pan mógł! Boże mój, — biła! A gdyby nawet biła, no to co? No to co? Nic, nic pan nie wie. Ona taka nieszczęśliwa, ach, jaka nieszczęśliwa! I chora... Szuka sprawiedliwości... Ona jest czysta. Tak wierzy, że wszystko powinno być sprawiedliwe i żąda... Choćby ją torturowano nic niesprawiedliwego nie zrobi. Nie rozumie, że to jest niemożliwe, żeby ludzie byli sprawiedliwi i denerwuje się... Jak dziecko, jak dziecko! Ona jest sprawiedliwa, sprawiedliwa.

— A co się stanie z panią?

Sonia spojrzała pytającym wzrokiem.

— Zostały przecież na pani opiece. Prawda, że przedtem też wszystko było na pani głowie, nieboszczyk również do pani przychodził po pieniądze na pijaństwo. A teraz, co będzie dalej?

— Nie wiem, — smutnie powiedziała Sonia.

— Zostaną tam?

— Nie wiem, winni są za mieszkanie. Podobno gospodyni powiedziała dzisiaj, że nie chce ich trzymać, zaś Katarzyna Iwanówna sama mówi, że tam ani chwili nie zostanie.

— Z czegóż to takiej odwagi nabrała? Liczy na panią?

— Niech pan tak nie mówi!... Żyjemy w zgodzie — odezwała się Sonia znowu nagle zaniepokojona i podrażniona, jak rozgniewany kanarek, lub inny jakiś mały ptaszek. — Co ona ma zrobić ze sobą? Co mamy robić? — pytała gorączkując się. — Ile ona się dzisiaj napłakała! Przecież ona zmysły traci, czy nie zauważył pan tego? Traci zmysły: to kłopocze się, jak mała dziewczynka, czy aby jutro wszystko będzie w porządku, przekąski i wszystko... To ręce łamie, krwią pluje, płacze, nagle w rozpaczy zaczyna bić głową o ścianę. A potem znowu się uspakaja, liczy na pana: mówi, że pan teraz będzie jej pomagał, że pożyczy sobie gdzieś pieniądze, wyjedzie ze mną do swego rodzinnego miasta i założy tam pensję dla panien dobrze urodzonych, że ja będę pomocnicą wychowawczyni, że zaczniemy nowe, piękne życie. Całuje mnie, obejmuje, pociesza i tak wierzy, tak wierzy

w te swoje rojenia! Czy można jej przeczyć? Sama dzisiaj przez cały dzień myje, szoruje, naprawia; taka bezsilna, a nieckę sama dziś wciągnęła do pokoju... zdyszała się i padła na łóżko. Bośmy jeszcze dziś rano były na targu, kupić buciczki dla Polci i Lenki, bo stare już im się rozleciały. Zabrakło nam przy płaceniu pieniędzy, dużo zabrakło. Takie milutkie buciczki wybrała, ma gust, pan o tęm nie wie... W sklepie, przy kupcach rozpłakała się, że zabrakło... Ach, jak żal było patrzeć na to.

— Tak, wobec tego rozumiem, że pani... tak żyje... — z gorzkim uśmiechem powiedział Raskolnikow.

— A panu może nie żal? Nie żal? — porwała się znów Sonia. — Wiem, że pan wszystko oddał, choć pan nie widział. A gdyby pan to wszystko zobaczył, o, Boże! Ileż to razy, ile razy doprowadzałam ją do łez! Jeszcze w zeszłym tygodniu! Tak, ja! Na tydzień przed jego śmiercią. Okrutnie się zachowałam. Ile, ile razy to się zdarzyło! Cały dzień dzisiaj dręczyły mnie te wspomnienia!

Sonia załamywała ręce przy tych bolesnych wspomnieniach.

— To pani ma być okrutnicą?

— Tak, ja, ja! Przyszłam wtedy, — ciągnęła płacząc, — a nieboszczyk powiedział: „przeczytaj, Soniu", powiada, „głowa jakoś mnie boli, przeczytaj... masz tu książkę", podaje mi książkę, od Andrzeja Semenowicza sobie pożyczył, od Lebieziatnikowa, tu mieszka, zawsze pożyczał od niego takie zabawne książki. A ja odpowiadam: „muszę już iść" i nie chciałam czytać. Przyszłam do nich głównie po to, żeby Katarzynie Iwanownie pokazać kołnierzyk, co mi go Lizawieta handlarka przyniosła. I mankieciki, bardzo tanio, ładniutkie, nowiutkie z hafcikiem. Katarzynie Iwanownie bardzo się podobały. Ubrała się w to, przejrzała się w lustrze i ogromnie jej się spodobały. „Podaruj mi je", powiada, „Soniu proszę cię". „Proszę cię" powiedziała, taką miała na nie ochotę. I gdzieby ona to włożyła? Tak tylko, dawne, dobre czasy jej się przypomniały. Przegląda się w lustrze, zachwyca się, żadnych sukien przecież nie ma, nic, od tylu lat! Nigdy nikogo o nic nie prosiła. Dumna jest, raczej by wszystko swoje oddała... A teraz poprosiła — tak jej

się podobały! Mnie było szkoda oddawać. „Na co ci to", mówię. Tak właśnie powiedziałam: na co. Nie trzeba było jej tak mówić. Popatrzała na mnie, ciężko, tak jej się na sercu zrobiło, że jej odmówiłam, aż żal było patrzeć... Nie o kołnierzyk jej szło, ale o tę moją odmowę; widziałam to. Ach, gdybym mogła wszystko odwołać, wszystko odrobić, to wszystko, co powiedziałam... Ach, ja... ale cóż tam, co pana to obchodzi!

— Pani znała Lizawietę, handlarkę?

— Tak... A pan ją znał? — z pewnem zdziwieniem spytała Sonia.

— Katarzyna Iwanowna ma galopujące suchoty, umrze niedługo, — rzekł po chwili milczenia Raskolnikow, nie odpowiadając na pytanie.

— Nie, nie, nie! — Sonia nieświadomym ruchem chwyciła go za obie ręce, jakby prosząc, żeby nie.

— Przecież to lepiej żeby umarła.

— Nie, nie lepiej, wcale nie lepiej! — powtarzała machinalnie, przerażona.

— A dzieci? Dokąd je pani zabierze, jak nie do siebie?

— Sama nie wiem! — krzyknęła Sonia w rozpaczy, chwytając się za głowę. Widocznie myśl o tem nieraz przychodziła jej do głowy, a on teraz wywołał ją tylko znowu.

— A jeżeli pani jeszcze za jej życia, teraz, zachoruje i będzie w szpitalu, to co wtedy? — nalegał nielitościwie.

— Co pan mówi, co pan mówi! To niemożliwe. — Twarz Soni wykrzywiła się w bezgranicznem przerażeniu.

— Dlaczego niemożliwe? — ciągnął Raskolnikow z twardym uśmiechem. — Czy pani jest zaasekurowana? Co się wtedy z niemi stanie? Całą gromadą pójdą na ulicę, ona będzie kaszlać i żebrać, o mur gdzieś głową bić, jak dzisiaj, dzieci będą płakały... Padnie gdzieś, do cyrkułu zabiorą, do szpitala, umrze, a dzieci...

— Ach, nie! Bóg do tego nie dopuści! — wyrwało się wreszcie udręczonej Soni. Słuchała, patrząc nań błagalnie, składając ręce w niemej prośbie, jakgdyby to od niego wszystko zależało.

Raskolnikow wstał i zaczął chodzić po pokoju. Upły-

nęło kilka chwil. Sonia stała z opuszczoną głową i rękoma, strasznie zgnębiona.

— Nie może pani oszczędzać? Odkładać na czarną godzinę? — zapytał, raptem zatrzymując się przed nią.

— Nie, — szepnęła Sonia.

— No, naturalnie! A próbowała pani przynajmniej? — dodał niemal drwiąco.

— Próbowałam.

— I nie udało się! No, tak, rozumie się, nie warto pytać.

Znowu zaczął chodzić po pokoju. Przeszło jeszcze parę chwil.

— Niecodziennie pani zarabia?

Sonia zmieszała się jeszcze bardziej, krew uderzyła jej do twarzy.

— Nie, — szepnęła z męczeńskim wysiłkiem.

— Z Polcią na pewno będzie to samo, co z panią, — odezwał się nagle.

— Nie, nie. To niemożliwe, nie! — jak szalona krzyczała głośno Sonia niby nożem pchnięta. — Bóg, Bóg na taką potworność nie pozwoli!

— Względem innych zezwala.

— Nie, nie! Pan Bóg ją obroni, Bóg!... — powtarzała nieprzytomnie.

— A nuż żaden Bóg nie istnieje, — odpowiedział Raskolnikow złośliwie, roześmiał się i spojrzał na nią.

Twarz Soni zmieniła się; przebiegały po niej drgawki. Spojrzała na niego z niewysłowionym wyrzutem, chciała coś powiedzieć, ale słowa nie mogła wydobyć z gardła, raptem rozpłakała się gorzko, kryjąc twarz w dłoniach.

— Pani mówi, że Katarzyna Iwanówna ma pomieszanie zmysłów, zaś pani samej rozum się miesza — powiedział Raskolnikow po chwili milczenia.

Przeszło znów kilka minut. Raskolnikow ciągle chodził tam i z powrotem, nie patrząc na nią, wreszcie podszedł do niej, oczy mu błyszczały. Ujął ją obiema rękami za ramiona i spojrzał prosto w zapłakane oczy. Spojrzenie miał suche, palące, ostre, usta mu się trzęsły... Nagle

szybko się schylił i ukląkłszy ucałował jej stopy. Sonia odskoczyła od niego przerażona, jak od szalonego. Rzeczywiście wyglądał zupełnie, jak szaleniec.

— Co to? Co pan robi? Przede mną! — wyjąkała, pobladła z boleśnie ściśniętem sercem.

Raskolnikow wstał natychmiast.

— Nie przed tobą zgiąłem kolana, lecz przed ludzkiem cierpieniem, — powiedział z pasją i odszedł do okna. — Słuchaj, dodał, wróciwszy do niej po chwili, — powiedziałem, niedawno jednemu oszczercy, że nie wart jest twojego małego palca... i że zrobiłem dziś zaszczyt mojej siostrze, sadzając ją obok ciebie.

— Pan tak powiedział! I przy niej? — przerażona krzyknęła Sonia. — Siedzieć zemną! Zaszczyt! Przecież ja jestem... upadła... Ach, co pan powiedział!

— Nie dlatego to powiedziałem, żeś upadła i grzesznica, ale że cierpisz nad miarę. Tak, jesteś wielka grzesznica, to prawda, — dodał uroczyście. — A największym twoim grzechem jest to, żeś napróżno zatraciła siebie i sprzedała. Czy to nie okropne! Czy to nie jest okropne, że żyjesz w błocie, którego tak nienawidzisz i że sama rozumiesz (gdy tylko chcesz oczy na to otworzyć), że nikomu tem dobrze nie robisz i nikogo tem nie ratujesz! Powiedz mi nareszcie, jak się to dzieje, że w tobie taka hańba i podłość godzą się z innemi świętemi uczuciami? Przecież słuszniejby było, tysiąc razy słuszniej i mądrzej skoczyć do wody i raz z tem skończyć.

— A co się stanie z niemi? — nieśmiało spytała Sonia, spojrzawszy nań z męką w oczach, jednocześnie jednak jakby wcale nie zdziwiona jego przypuszczeniem.

Raskolnikow dziwnie popatrzał na nią.

Wyczytał wszystko w jej jednem spojrzeniu. Więc rzeczywiście sama już zastanawiała się nad tem. Możliwe, że już nieraz myślała w rozpaczy, żeby odrazu skończyć ze sobą, tak dalece na serjo, że teraz nie ździwiły jej jego słowa. Nie zauważyła nawet ich okrucieństwa (nie zrozumiała również znaczenia jego wyrzutów i jego specjalnego poglądu na jej upadek, to było widoczne). Ale on zrozumiał do jakiego stopnia zgnębiła ją już oddawna bolesna

myśl o jej niecnotliwem, haniebnem życiu. Co właściwie wstrzymywało ją do tej chwili, myślał, że nie zdecydowała się raz już skończyć z sobą? I dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę, ile znaczyły dla niej te biedne, małe sierotki i ta nieszczęsna, pół-obłąkana suchotnica, bijąca głową o mur.

Tem niemniej rozumiał doskonale, że Sonia ze swojem usposobieniem i z pewnem wykształceniem, jakie otrzymała, w żadnym razie nie zniesie dłużej takiej sytuacji. Zagadką tylko było: jak mogła wytrzymać tak długo i nie zwarjować, gdy nie starczyło jej sił na to, by skoczyć do rzeki? Rozumiał, że sytuacja, w jakiej się znalazła, jest w społeczeństwie zjawiskiem przypadkowem, choć niestety, nie odosobnionem i nie wyjątkowem. Ale właśnie ta wypadkowość, pewne jej wykształcenie, całe poprzednie życie powinny były ją przecież zabić przy pierwszym kroku, postawionym na tej ohydnej drodze. Co jej dodawało sił? Czy rozpusta? Hańba dotknęła ją raczej czysto mechanicznie. Prawdziwe zepsucie nie przeniknęło wcale do jej serca. Zdawał sobie z tego sprawę: poznał ją przecież taką, jaką była w rzeczywistości...

„Ma trzy drogi przed sobą“, myślał, „utopić się w rynsztoku, skończyć w domu obłąkanych, albo... wreszcie rzucić się w wir rozpusty, odurzającej mózg i wysuszającej serce“. Ostatnia ewentualność była dlań najwstrętniejsza, ale że był już sceptykiem, teoretykiem życia, młodym i dlatego okrutnym, przeto wierzył, że właśnie rozpusta była najprawdopodobniejsza.

„Czy to możliwe, — myślał, — że to stworzenie, które zachowało jeszcze czystą duszę z całą świadomością ugrzęźnie w końcu w ohydnem cuchnącem śmietnisku? Czy może już zaczęła grzęznąć i właśnie dlatego dotychczas wytrzymała, że grzech nie wydaje się jej już tak odrażający? Nie, nie, to nie jest prawdopodobne! — wołał, jak poprzednio Sonia.

Nie, przed rynsztokiem broniła ją dotychczas myśl o grzechu i one, te... A jeżeli nie zwarjowała dotychczas... ale kto powiedział, że nie zwarjowała? Czy jest przy zdrowych zmysłach? Czy można tak mówić, jak ona? Czy przy zdrowych zmysłach można tak rozumować? Czy można trwać tak nad brzegiem przepaści, nad cuchnącem bagni-

skiem, w którem już się grzęznąć zaczyna i bronić się wszelkiemi siłami i zatykać uszy, gdy się ją ostrzega przed niebezpieczeństwem? Na co ona liczy, czy czeka na cud? Chyba tak. I czy to nie dowodzi pomieszania zmysłów?"

Uporczywie obstawał przy tej myśli. Takie rozwiązanie podobało mu się nawet najlepiej. Zaczął przyglądać się jej uważniej.

— Więc ty się często modlisz, Soniu? — zapytał.

Sonia milczała, on stał obok i czekał odpowiedzi.

— Czemże byłabym bez Boga? — szepnęła prędko i energicznie, rzuciła na niego przelotnie spojrzenie nagle rozbłysłych oczu i mocno ścisnęła jego rękę.

„Miałem rację!", pomyślał.

— I cóż masz za to od Boga? — zapytał, badając dalej.

Sonia długo milczała, jakgdyby głosu nie mogła wydobyć. Wątła jej pierś falowała wzruszeniem.

— Niech pan przestanie! Niech pan nie pyta! Pan nie wart... — krzyknęła surowo z oburzeniem patrząc nań.

„Mam rację! Mam rację"! uporczywie powtarzał Raskolnikow w myśli.

— Wszystko mam! — szepnęła prędko i znowu opuściła głowę.

„Oto rozwiązanie! I wyjaśnienie rozwiązania" pomyślał i przyglądał jej się z zachłanną ciekawością.

Z innem teraz, dziwnem, prawie bolesnem uczuciem przyglądał się tej bladej, szczupłej, nieregularnie kanciastej twarzyczce, łagodnym niebieskim oczom, które umiały zapłonać takim ogniem, taką surową, żywiołową namiętnością, drobnej figurce, drżącej jeszcze z oburzenia i gniewu. Cała historja zaczęła wydawać mu się dziwna, niemal nieprawdopodobna. „Opętana, opętana"! powtarzał w myśli.

Na komodzie leżała jakaś książka. Zauważył ją, chodząc po pokoju, teraz wziął ją do ręki. Był to Nowy Testament w rosyjskim przekładzie. Książka była stara, zniszczona, w skórzanej oprawie.

— Skąd to masz? — krzyknął z drugiego końca pokoju. Stała wciąż w tem samem miejscu, o trzy kroki od stołu.

— Dostałam, — odpowiedziała niechętnie, nie patrząc nań.

— Od kogo dostałaś?

— Lizawieta przyniosła, prosiłam ją.

„Lizawieta! Dziwne"! pomyślał: Sonia stawała się dlań z każdą chwilą coraz dziwniejsza i coraz osobliwsza. Przyniósł książkę do światła i począł przewracać kartki.

— Gdzie tu jest o Łazarzu? — zapytał.

Sonia uporczywie patrzała w podłogę i nie odpowiedziała. Stała nieco bokiem do stołu.

— O wskrzeszeniu Łazarza? Znajdź mi Soniu.

Spojrzała nań zukosa.

— Źle pan szuka... w czwartej Ewangelji... — surowo szepnęła, nie zbliżając się doń.

— Odszukaj i przeczytaj mi, — powiedział, usiadł, łokcie oparł na stole, ujął rękami głowę i posępnie wpatrzył się gdzieś w bok, gotów do słuchania.

Sonia wahając się, podeszła do stołu, z niedowierzaniem wysłuchawszy dziwnej propozycji Raskolnikowa. Wzięła książkę.

— Czy pan tego nie czytał? — zapytała, spojrzawszy nań przez stół zukosa. Głos jej stawał się coraz surowszy.

— Czytałem dawno temu, kiedy się uczyłem. Czytaj!

— W cerkwi pan nie słyszał?

— Ja... nie chodzę. A ty, często chodzisz?

— N-nie... — szepnęła Sonia.

Raskolnikow uśmiechnął się.

— Rozumiem. Zatem na pogrzeb ojca jutro też nie pójdziesz?

— Pójdę. W zeszłym tygodniu też byłam... na mszy żałobnej.

— Za kogo?

— Za Lizawietę. Zabili ją — siekierą.

Nerwy grały w nim coraz bardziej. W głowie zaczęło mu się mącić.

— Przyjaźniłaś się z Lizawietą?

— Tak... Ona była sprawiedliwa... przychodziła...

rzadko... nie mogła... Czytywałyśmy i... rozmawiały. Ona stanie przed obliczem Boga wszechmogącego.

Dziwne wydało mu się to książkowe wyrażenie i znowu niespodzianka: jakieś tajemnicze schadzki z Lizawietą, obie opętane.

„I mnie ogarnia tutaj opętanie! To zaraźliwe", pomyślał.

— Czytaj! — nalegał rozdrażniony.

Sonia wahała się jeszcze. Serce jej biło. Nie mogła się odważyć — ona jemu ma czytać. Patrzał w męce niemal na „nieszczęśliwą obłąkaną".

— Poco to panu? Przecież pan jest niewierzący? — szepnęła przerywanym głosem.

— Czytaj! Chcę tego! — nalegał. — Czytałaś przecież Lizawiecie.

Sonia otworzyła książkę i wyszukała miejsce. Ręce jej się trzęsły, głosu brakło. Dwa razy zaczynała czytać i nie mogła dokończyć pierwszego wyrazu.

— „Zasię był chory niejaki Łazarz z Betanji" — zaczęła wreszcie z wysiłkiem, lecz po trzecim wyrazie głos jej drgnął i urwał się nagle, jak pęknięta struna. Dławiła się, ciężar przygniatał jej piersi.

Raskolnikow rozumiał poniekąd dlaczego Sonia nie mogła się przemóc, by mu czytać. Im bardziej rozumiał, tem brutalniej nalegał, by czytała. Zbyt dobrzę odczuwał, jak trudno jej przychodziło teraz zdradzenie i uzewnętrznienie swego j a. Rozumiał, że te uczucia rzeczywiście stanowiły jej prawdziwą, dawną t a j e m n i c ę, jeszcze z czasów młodości, gdy mieszkała z rodziną, przy nieszczęśliwym ojcu i obłąkanej przez nieszczęścia macosze, pośród głodnych dzieci, potwornych wrzasków i wymawiań. Zarazem jednak przekonał się napewno, że chociaż zabierając się do czytania Sonia dręczyła się i bała się czegoś bardzo, mimo to pragnęła gorąco przeczytać, nie zważając na udrękę swoją i obawę. I właśnie j e m u, żeby słyszał. I właśnie t e r a z, cokolwiek ma się stać potem!... Ujrzał to w jej oczach, zrozumiał z radosnego wzruszenia!... Przemogła się, opanowała ściskający jej gardło spazm, który przerwał jej w połowie

wiersza i czytała dalej jedenasty rozdział Ewangelji św. Jana. Doczytała do dziewiętnastego wiersza:

„I przyszło było wiele Izraelczyków do Marty i Marji, iżby je pocieszali w strapieniu po bracie ich. Marta tedy, słysząc, jako Jezus idzie, bieżała przeciwko Niemu, aleć Marja w domu ostała. Zasię rzekła Marta do Jezusa: Panie! byś tu był, nie umarłby był brat mój. Aleć i teraz wiem, że o cokolwiekbyś prosił Boga, wierę da ci owo Bóg".

Tu przerwała, czując ze wstydem, że głos jej znowu drgnął i może się załamać...

„Rzekł jej Jezus: Zaprawdę, zmartwychwstanie brat twój. Rzekła mu Marta: „Wiem, iże zmartwychwstanie w dniu sądu ostatecznego. I rzekł jej Jezus: Jam jest zmartwychwstanie i żywot, ktokolwiek we mnie uwierzy, chociaby umarł, żyć będzie. A wszelki, który żyje, a wierzy we mnie nie umrze na wieki. Zali wierzysz temu"? „Rzekła mu:"...

(Ciężko dysząc Sonia dobitnie i silnie przeczytała, jakgdyby to ona sama czyniła publicznie wyznanie wiary):

„Wierę Panie, jam uwierzyła, żeś Ty jest Chrystus, Syn Boży, który na ziemię zstąpił".

Zatrzymała się, spojrzała na niego przelotnie, ale czemprędzej opanowała się i czytała dalej. Raskolnikow siedział oparty na stole, słuchał w milczeniu, nieruchomo, patrząc w bok. Dobiegła do trzydziestego drugiego wiersza:

„Zasię Marja, zaledwiech tam przyszła, kędy był Jezus, uźrzawszy Go, przypadła do nóg Jego i rzekła Mu: Panie! Byś tu był, nie umarłby brat mój. Jezus owo, uźrzawszy ją płaczącą i Izraelczyki, którzy byli z nią przyszli, płaczące, zasmęcił się i zafrasował. I rzekł: Kędyście go złożyli? Rzekli Mu: Panie! Pójdź a oglądaj. I zapłakał Jezus. Tedy rzekli Izraelczykowie: Baczcie! Jakoż go miłował. A niektórzy z nich mówili: Zali nie mógł - że Ten, który otworzył oczy ślepego, uczynić, iżby ten był nie umarł"?

Raskolnikow zwrócił się do niej i patrzał ze wzruszeniem. Naprawdę! Sonia trzęsła się w prawdziwej, rzeczywistej gorączce. Spodziewał się tego. Zbliżyła się do słów o największym, niesłychanym cudzie i opanowało ją uczucie

triumfu. Głos jej stał się dźwięczny, jak metal, triumf i radość brzmiały w nim i potęgowały go. Wiersze pisma zacierały się, w oczach jej ciemniało, ale i tak umiała na pamięć to, co czytała. Przy ostatnim wierszu: „Zali nie mógł, Ten który otworzył oczy ślepego...“—zniżywszy głos, gorąco i namietnie oddała zwątpienie i zuchwalstwo niedowierzających, zaślepionych Izraelczyków, którzy za chwilę upadną, niczem gromem rażeni, zapłaczą i uwierzą. „I on, on — również zaślepiony i niewierzacy, on także za chwilę usłyszy, także uwierzy, tak, tak! Zaraz, natychmiast!“, marzyła i drżała w radosnem oczekiwaniu.

„Zasię Jezus, zasmęciwszy się w duchu podążył ku grobowi; a byłać owo jaskinia, a kamień był położon na niej. I rzekł Jezus: Odejmijcie kamień. Rzekła Mu Marja, siostra onego umarłego: Panie! Jużci cuchnie; bo już jest cztery dni w grobie“.

Energicznie zaakcentowała słowo c z t e r y.

„Powiedział jej Jezus: Azalim ci nie rzekł, iż, jeśli uwierzysz, oglądasz chwałę Bożą? Odjęli tedy kamień, kędy był umarły położony. Zasię Jezus podniósłszy oczy Swe w górę, rzekł: Ojcze! Dziekuję Tobie, iżeś mnie wysłuchał. A Jamci wiedział, jako Mię zawdy wysłuchiwasz; alem to rzekł dla ludu wokoło stojącego, aby wierzyli, iżeś Ty Mnie zesłał. A to rzekłszy wstał, zawołał głosem wielkim: Łazarzu! Wynijdź sam! I w y s z e d ł t e n k t ó r y b y ł u m a r ł“...

(Głośno z triumfem przeczytała, drżąc i truchlejąc, jakgdyby sama oglądała to własnemi oczami).

„...mając związane ręce i nogi chustami, zasię oblicze jego było chustą obwiązane. Rzekł im Jezus: Rozwiążcie go, iżby mógł odejść“.

„W i e l e t e d y I z r a e l c z y k ó w, k t ó r z y b y l i p r z y s z l i d o M a r j i, a w i d z i e l i t o, c o u c z y n i ł J e z u s, u w i e r z y ł o w e ń“.

Nie czytała dalej i czytać nie mogła, zamknęła książkę i pospiesznie wstała z krzesła.

— To już wszystko o Łazarzu, — szepnęła urywanie

i surowo. Stała nieruchomo, odwróciwszy się, nie śmiejąc spojrzeć na niego, jakby zawstydzona. Ciągle jeszcze wstrząsało nią gorączkowe drżenie. Ogarek świecy dogasał już oddawna w krzywym lichtarzu, mętnie oświetlając w tym nędznym pokoiku zabójcę i jawnogrzesznicę, których tak dziwnie zbliżyła wieczna księga. Przeszło z pięć minut.

— Przyszedłem pomówić o pewnej sprawie, — zasępiwszy się raptem odezwał się Raskolnikow, wstał i podszedł do Soni.

Milcząc, podniosła na niego oczy. Spojrzenie jej było szczególnie surowe, jakaś dzika stanowczość malowała się w niem.

— Rzuciłem dziś moją rodzinę, — powiedział Raskolnikow, — matkę i siostrę. Nie pójdę już do nich. Zerwałem zupełnie.

— Dlaczego? — zapytała jakby oszołomiona Sonia.

Wczorajsze spotkanie z jego matką i siostrą wywarło na niej niezwykłe wrażenie, choć nie zdawała sobie z niego sprawy. Wiadomości o zerwaniu wysłuchała z przerażeniem.

— Mam teraz tylko ciebie jedną, — dodał Raskolnikow. — Chodźmy razem... Przyszedłem do ciebie. Oboje jesteśmy przeklęci, chodźmy więc razem!

Oczy mu błyszczały. „Zupełnie, jak niespełna rozumu“! pomyślała zkolei Sonia.

— Dokąd pójdziemy? — zapytała przerażona, cofając się mimowoli.

— Skądże mam wiedzieć? Wiem tylko, że pójdziemy tą samą drogą, wiem napewno — to wszystko. Mamy jeden cel!

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. To jedno tylko pojmowała, że jest strasznie, nieskończenie nieszczęśliwy.

— Nikt z nich nic nie rozumie, gdybyś im powiedziała, — ciągnął dalej Raskolnikow, — ale ja zrozumiałem. Jesteś mi potrzebna, dlatego przyszedłem do ciebie.

— Nie rozumiem... — szepnęła Sonia.

— Zrozumiesz później. Czy nie uczyniłaś tego samego? Ty też jesteś występna, popełniłaś występek. Targnęłaś się

na swe życie, zmarnowałaś życie... własne (a to wszystko jedno)! Mogłabyś żyć duchem i rozumem, zaś skończysz na Siennej... Ale to jest ponad twoje siły i jeśli zostaniesz s a m a, zwarjujesz, jak i ja. Teraz już wyglądasz, jak obłąkana, więc powinniśmy iść razem, jedną drogą. Chodźmy!

— Dlaczego? Dlaczego to wszystko! — powiedziała Sonia, dziwnie zaniepokojona i przejęta jego słowami.

— Dlaczego? Dlatego, że tak dalej być nie może — oto dlaczego! Należy wreszcie ocenić wszystko poważnie i poprostu, nie zaś jak dziecko płakać i wołać, że Bóg nie dopuści! A co będzie, jeżeli rzeczywiście jutro odwiozą cię do szpitala? Tamta, nieprzytomna, suchotnica, umrze niedługo, a dzieci? Czy Polcia się nie zmarnuje? Przecież widywałaś tutaj, po rogach ulic dzieci, które matki wysyłają na żebraninę? Dowiadywałem się, gdzie mieszkają takie matki i w jakich warunkach. Tam dzieci nie mogą być dziećmi, tam siedmiolatek jest rozpustnikiem i złodziejem. A przecież dzieci to wzór i podobieństwo Boga: „ich jest Królestwo Niebieskie". Chrystus kazał je czcić i kochać, są one przyszłą ludzkością...

— Cóż więc, cóż więc robić? — z histerycznym płaczem, łamiąc ręce, powtarzała Sonia.

— Co robić? Skruszyć, co należy, raz na zawsze, — to wszystko, a cierpienie wziąć na siebie! Co? Nie rozumiesz? Zrozumiesz później... Wolności i władzy, a przedewszystkiem władzy! Nad wszystkiemi drżącemi stworzeniami, nad całem mrowiskiem! Oto cel! Zapamiętaj to sobie! To jest moje dla ciebie błogosławieństwo na drogę! Być może, że rozmawiam z tobą po raz ostatni. Jeżeli jutro nie przyjde, dowiesz się o wszystkiem sama! Przypomnisz sobie wtedy, co ci dziś mówiłem. I kiedyś, później, po latach, może zrozumiesz znaczenie moich słów. Jeżeli przyjdę jutro, to powiem ci, kto zabił Lizawietę. Żegnaj!

Sonia zadrżała z przerażenia.

— A czy pan wie, kto zabił? — zapytała, lodowaciejąc ze strachu, dziko patrząc na niego.

— Wiem i powiem... Tobie, tobie jednej. Ciebie wybrałem. Nię przyjdę prosić o przebaczenie, poprostu powiem. Dawno cię wybrałem, żeby ci to powiedzieć jeszcze wtedy, kiedy mi ojciec twój o tobie opowiadał, a Lizawieta żyła, — postanowiłem to sobie. Żegnaj! Nie podawaj mi ręki. Jutro.

Wyszedł. Sonia patrzała za nim, jak za obłąkańcem, ale i ona sama była półprzytomna i wyczuwała to. Kręciło jej się w głowie. „Boże! Skąd on wie, kto zabił Lizawietę? Co znaczyły jego słowa? To straszne! Lecz mimo to myśl nie przychodziła jej do głowy, zupełnie nie. „O, on musi być bardzo nieszczęśliwy! Rzucił matkę i siostrę. Dlaczego? Co się stało? Jakie ma właściwie zamiary? Ucałował mi nogi i mówił... Mówił (tak, wyraźnie to powiedział), że nie może beze mnie żyć... O, Boże".

Całą noc Sonia przepędziła w gorączce, majacząc. Zrywała się czasami, płakała, łamała ręce, to znów zapadała w gorączkowy sen, śniły jej się Polcia, Katarzyna Iwanowna, Lizawieta czytanie Ewangelji i on... On, blady, z płonącemi oczyma... Całuje jej nogi, płacze. O, Boże!

Za drzwiami naprawo, za temi samemi drzwiami, które dzieliły mieszkanie Soni od mieszkania Gertrudy Resslich, znajdował się pokój przejściowy, oddawna niezamieszkany, należący do mieszkania pani Resslich i odnajmowany przez nią, jak głosiły tabliczki na bramie i ogłoszenia, naklejone na szybach okien, wychodzących na kanał. Sonia przekonana była, że pokój ten jest oddawna pusty. Tymczasem, przez tę godzinę, przy drzwiach niezamieszkanego pokoju, stał Swidrygajłow i, zaczaiwszy się, słuchał. Kiedy Raskolnikow wyszedł, Swidrygajłow postał jeszcze chwilę, pomyślał, poszedł na palcach do swego pokoju, sąsiadującego z pustym, wziął krzesło i pocichu przystawił je do samych drzwi pokoju Soni. Rozmowa wydała mu się zajmująca i pełna znaczenia. I bardzo, bardzo mu się podobała, tak dalece, że przyniósł krzesło, żeby na przyszłość, choćby naprzykład jutro, nie narażać się na niewygodę stania przez całą godzinę i by urządzić się „bardziej komfortowo", tak, żeby być zadowolonym pod każdym względem...

## V.

Kiedy następnego dnia rano, punktualnie o jedenastej, Raskolnikow wszedł do biura wydziału śledczego N — tego komisarjatu i zameldował się do Porfirego Piotrowicza, zdziwił się, gdy kazano mu czekać: przynajmniej dziesięć minut upłynęło, zanim go wpuszczono. Według jego przewidywań, powinni byli odrazu poprostu rzucić się na niego, tymczasem zaś stał w poczekalni, a obok niego kręcili się ludzie, najwidoczniej zupełnie się nim nie interesujący. W następnym pokoju, wyglądającym na kancelarję, siedziało i pisało kilku pisarzy i widać było, że żaden z nich pojęcia nie miał, kim jest Raskolnikow. Niespokojnie i podejrzliwie rozglądał się naokoło, wypatrując, czy nie znajdzie koło siebie jakiegoś konwojenta, czy nie obserwuje go jakieś badawcze oko, pilnując , by nie uciekł. Ale nic nie zauważył. Widział tylko typowe, kancelaryjne, zmęczone drobnemi troskami, twarze i jeszcze jakichś ludzi. Nikt nie zwracał na niego uwagi, mógłby nawet iść sobie na cztery wiatry. Upewniał się coraz mocniej, że gdyby ten wczorajszy, tajemniczy gość, to widmo, które zjawiło się, jak z pod ziemi, rzeczywiście wszystko widział i wszystko wiedział, to jemu, Raskolnikowowi, nie danoby teraz tak spokojnie stać i czekać... Czy czekanoby na niego do jedenastej godziny aż się sam raczy pofatygować? Wobec tego albo ten człowiek o niczem nie doniósł, albo... albo poprostu nie wie o niczem i nic na własne oczy nie widział (zresztą, jak mógłby widzieć) ? Czyli, że wszystko, co się z nim, Raskolnikowem. wczoraj działo było złudzeniem, wyolbrzymionem przez jego podniecone i chorą wyobraźnię. To domniemanie zaczęło się umacniać w nim wczoraj jeszcze, w czasie największej trwogi i rozpaczy. Przemyślawszy to wszystko teraz raz jeszcze i gotując się do nowej walki, poczuł nagle, że drży i zawrzał oburzeniem na myśl, że drży ze strachu przed nienawistnym Porfirym Pietrowiczem. Ponowne spotkanie z tym człowiekiem było dla niego czemś najstraszniejszem. Nienawidził go niezmiernie, bezgranicznie i aż lękał się, że zdradzi się ze swą nienawiścią. Oburzenie jego było tak silne, że powstrzymało drżenie. Przygotowywał się aby wejść

z zimną i zuchwałą twarzą i dał sobie słowo, że będzie się starał milczeć, patrzeć i słuchać i chociaż tym razem za wszelką cenę zapanować nad swojemi chorobliwie napiętemi nerwami. W tej chwili wezwano go do Porfirego Pietrowicza.

Tak się zdarzyło, że w danym momencie Porfiry Pietrowicz był sam w swoim gabinecie. Gabinet ów był to pokój średniej wielkości. Stało w nim wielkie biurko przed kanapą obitą ceratą, stół kancelaryjny, w kącie szafa, kilka krzeseł, — wszystkie te rzeczy były skarbowe z żółtego, politurowanego drzewa. W kącie, w tylnej ścianie, albo raczej w przepierzeniu, znajdowały się zamknięte drzwi: widocznie za przepierzeniem, dalej były jeszcze jakieś pokoje. Po wejściu Raskolnikowa Porfiry Pietrowicz zamknął drzwi wejściowe i zostali sami. Porfiry Pietrowicz przyjął Raskolnikowa wesoło i uprzejmie i dopiero po jakimś czasie Raskolnikow z pewnych oznak wywnioskował, że Porfiry Pietrowicz jest zmieszany, jakby nagle zbity z tropu, albo złapany na czemś intymnem i ukrywanem.

— Szacuneczek! I pan... na naszych śmieciach... — zaczął Porfiry Pietrowicz, wyciągając doń obie ręce. — Siadaj, dobrodziej! A może pan nie lubi, jak się mówi szacuneczek i... i dobrodziej — tout court? Niech się pan nie obraża za poufałość. Tutaj, na kanapkę.

Raskolnikow usiadł, nie spuszczając zeń oczu.

„Na naszych śmieciach", przeprosiny za poufałość, francuskie zdańko „tout court" i tak dalej i tak dalej, wszystko to było charakterystyczne. — „Wyciągnął do mnie obie ręce, ale żadnej mi nie podał, w porę je cofnął", pomyślał podejrzliwie. Obaj obserwowali się wzajemnie, lecz gdy tylko spojrzenia ich się spotykały, błyskawicznie odwracali oczy.

— Przyniosłem panu notatkę... o zegarze... Oto ona. Czy dobrze, czy znowu trzeba przerobić?

— Co? Notateczka? Tak, tak, bądź pan spokojny, to w porządku, — powiedział, jakby spiesząc się dokądś Porfiry Pietrowicz i powiedziawszy to, wziął dopiero notatkę i przeczytał. — Tak, w porządeczku. Nic więcej nie trzeba,—potwierdził równie pospiesznie i położył kartkę na stół.

Potem, po chwili, mówiąc już o czemś innem, przełożył ją ze stołu do siebie na biurko.

— Pan, zdaje się, wspominał wczoraj, że pragnąłby zapytać mnie... formalnie... o znajomość moją z tą zabitą? — zaczął Raskolnikow. „Poco wstawiłem to *zdaje się?*" przeleciało mu jak błyskawica przez głowę. „Dlaczego tak niepokoję się o to, że wstawiłem zdaje się?", przeleciała mu znowu myśl, jak błyskawica.

Zdał sobie nagle sprawę, że niepewność jego przy pierwszem zaraz zetknięciu się z Porfirym, na skutek dwuch jego wyrazów, dwuch tylko spojrzeń, rozrosła się w jednej chwili do potwornych rozmiarów... Że jest to bardzo niebezpieczne: nerwy rozprzęgają się, wzruszenie wzrasta. „Źle, źle, znów powiem za dużo!"

— Tak, tak, tak! Bądź pan spokojny! Co się odwlecze, to nie uciecze, — mruczał Porfiry Pietrowicz, chodząc wokoło stołu, jakby bez celu, kierując się to ku oknu, to do biurka, to znów do stołu. To unikał podejrzliwego spojrzenia Raskolnikowa, to znów sam stawał i patrzał mu prosto w oczy. Nadzwyczaj zabawnie wyglądała przytem jego mała, tłuściutka i okrągła figurka, która, jak piłka, toczyła się w różne strony i odskakiwała od wszystkich ścian i kątów.

— Zdążymy, zdążymy!... Pan pali? Ma pan papierosy? Proszę papierosika, — ciągnął podając gościowi papierosy. — Przyjmuję pana tutaj, ale wszak moje mieszkanie jest tuż obok za przepierzeniem... Skarbowe. Narazie mieszkam prywatnie. Trzeba było pewien remoncik przeprowadzić. już prawie skończony... Wie pan, skarbowe mieszkanie, to doskonała rzecz, co? Jak pan myśli?

— Tak, doskonała rzecz, — odpowiedział Raskolnikow, patrząc na niego niemal drwiąco.

— Doskonała rzecz, doskonała rzecz... — powtarzał Porfiry Pietrowicz, jakby nagle zamyślił się o czemś zupełnie innem. — Tak, doskonała rzecz! — wkońcu krzyknął prawie, spojrzawszy nagle na Raskolnikowa, zatrzymawszy się o dwa kroki przed nim. Uporczywe, głupawe powtarzanie, że skarbowe mieszkanie to doskonała rzecz, stało w zbyt jaskrawej sprzeczności z poważnem, myślącem i zagadko-

wem spojrzeniem, jakie rzucił teraz Porfiry Pietrowicz na swego gościa.

Podnieciło to wściekłość Raskolnikowa. Nie mógł powstrzymać się od drwiącego i dosyć nieostrożnego wyzwania:

— A czy pan wie, — zapytał nagle, patrząc nań niemal zuchwale i upajając się jakby swą zuchwałością, że istnieje, zdaje się, takie prawnicze prawidło, taki sposób prawniczy przy wszelkiego rodzaju dochodzeniach: zacząć zdaleka od drobiazgów, albo zresztą i od rzeczy poważnych, ale zupełnie obojętnych, żeby jak to się mówi, dodać otuchy badanemu, a właściwie, aby rozproszyć jego uwagę, uśpić czujność, a potem nagle najnieoczekiwaniej palnąć mu prosto w łeb jakiemś najfatalniejszem i najniebezpieczniejszem pytaniem, czy tak? Wszelkie regulaminy i rozporządzenia do dziś dnia, zdaje się, święcie się przytrzymują tego.

— Tak, tak... Więc pan sądzi, że ja pana tem skarbowem mieszkaniem, tego... co? — Powiedziawszy to Porfiry Pietrowicz, przymknął oczy i mrugnął porozumiewawczo. Coś wesołego i chytrego błysnęło mu w twarzy, zmarszczki nawet mu się wygładziły, twarz się wyciągnęła, oczki przymknął i nagle zaniósł się długim, nerwowym śmiechem. Trzęsąc się i kołysząc całem ciałem, patrzał prosto w oczy Raskolnikowowi. Ten zaś zaczął się równie śmiać z przymusem, lecz gdy Porfiry Pietrowicz, widząc to wybuchnął takim śmiechem, że aż spurpurowiał, wstręt przemógł w Raskolnikowie przezorność, przestał się śmiać, nasępił się i długo i z nienawiścią patrzał na Porfirego Pietrowicza, nie spuszczając wzroku przez cały czas jego długiego, jakby rozmyślnie nieprzerywającego się śmiechu. Nieostrożności dopuściły się jednak obie strony: wyglądało to tak, jakby Porfiry Pietrowicz w oczy wyśmiewał się z Raskolnikowa i nic sobie z tego nie robił, że ten odnosi się do niego z nienawiścią. Raskolnikow uważał tę okoliczność za wiele znaczącą. Zrozumiał, że Porfiry Pietrowicz poprzednio również nic sobie z niego nie robił, przeciwnie, że to on właśnie, Raskolnikow, wpadł w pułapkę, że kryje się tu oczywiście coś, o czem nie wie, jakiś cel, że być może wszystko już jest uplanowane i lada chwila wykryje się i zwali...

Wstał, wziął czapkę i przystąpił wprost do rzeczy:

— Porfiry Pietrowiczu, — zaczął zdecydowanym, choć dosyć podrażnionym tonem. — Wczoraj wyjawił pan życzenie, abym przyszedł do pana na jakieś badanie. — Zaakcentował specjalnie wyraz *badanie*. — Przyszedłem. Jeżeli panu to potrzebne, proszę pytać, o ile nie, niech mi pan pozwoli odejść. Nie mam czasu, mam coś do załatwienia... Muszę iść na pogrzeb tego urzędnika, stratowanego przez konie, o którym pan również wie, — dodał, zły zaraz na siebie za ten dodatek i ciągnął z większem jeszcze uniesieniem. — Już mi zbrzydło to wszystko, słyszy pan, i to już od dawna... to również przyczyniło się do mojej choroby, słowem, — prawie krzyknął, zdając sobie sprawę z tego, że zdanie o chorobie jest jeszcze bardziej niewłaściwe, — słowem, zechce pan pytać mnie, lub zwolnić i to zaraz... O ile zaś ma pan pytać, to nie inaczej jak formalnie. Inaczej się nie zgodzę. Tymczasem zatem żegnam pana, nie mamy tu wspólnie nic do roboty.

— Boże! O co panu chodzi! O cóż mam pana pytać, — zagdakał nagle Porfiry Pietrowicz, zmieniając natychmiast i ton i wyraz twarzy i momentalnie przestając się śmiać. — Niechże pan się uspokoi! — Zaaferowany, to miotał się znów na wszystkie strony, to zabierał się do usadawiania Raskolnikowa. — Co się odwlecze, to nie uciecze i wszystko to są głupstwa! Przeciwnie, cieszę się, że pan nas nareszcie odwiedził. Traktuję pana, jako gościa. Pan mi wybaczy ten przeklęty śmiech, Rodionie Romanowiczu, dobrodzieju mój? Jestem nerwowy, rozśmieszył mnie pan swoją dowcipną uwagą. Czasami, słowo daję, trzęsę się z pół godziny, jak gumelastyka... Skłonny jestem do śmiechu. Przy mojej kompleksji boję się nawet udaru. Niechże pan siada, co się z panem dzieje? Proszę, dobrodzieju, bo pomyślę żeś się obraził...

Raskolnikow słuchał, milczac i obserwował go, ciągle jeszcze gniewnie zasępiony. Usiadł wprawdzie, ale nie wypuszczał czapki z rąk.

— Proszę ja pana, dobrodzieju mój, powiem panu pewną rzecz o sobie, że tak powiem, przyczynek do mojej charakterystyki, — ciągnął Porfiry Pietrowicz, krzątając się

po pokoju i unikając w dalszym ciągu spojrzenia swego gościa. Jestem, widzi pan, człowiek nieżonaty, nieświatowy i nieznany i do tego człowiek skończony, skostniały, przejrzały i... i... Czy pan zauważył, proszę pana, że gdy u nas, to jest w Rosji, a zwłaszcza w naszych sferach petersburskich, spotkają się dwaj dobrzy ludzie, jeszcze się dobrze nie znający, ale, że tak powiem, szanujący się wzajemnie, to przez całe pół godziny nie mogą znaleźć tematu do rozmowy: siedzą sztywni i krępują się wzajemnie. Wszyscy znajdują temat do rozmowy, kobiety naprzykład... ludzie światowi naprzykład, ludzie wyższego tonu, zawsze mają temat, c'est de rigueur, a ludzie przeciętni, jak my — zawsze są onieśmieleni i małomówni... ludzie myślący, chciałem powiedzieć. Dlaczegoż to tak jest, panie dobrodzieju? Nie interesujemy się sprawami ogólnemi, czy też jesteśmy aż zbyt uczciwi i nie chcemy się oszukiwać wzajemnie, nie wiem. Co? Jak pan sądzi? Niech no pan czapeczkę odłoży, bo to wygląda jakby pan miał już odejść, naprawdę przykro mi... Ja przeciwnie przecież cieszę się...

Raskolnikow odłożył czapkę i w dalszym ciągu milcząc, poważny i zasępiony, przysłuchiwał się beztreściwej i mętnej gadaninie Porfirego Pietrowicza. „Czy on rzeczywiście zamierza rozproszyć moją uwagę tą swoją głupią gadaniną"?

— Kawą pana nie częstuję, tu nie miejsce po temu, ale dlaczego nie mam sobie zrobić przyjemności i nie posiedzieć pięciu minut z przyjacielem, — bez przerwy paplał Porfiry Pietrowicz. — I wie pan, te wszystkie obowiązki służbowe... ale niech-no pan się nie gniewa, dobrodzieju, że ja tak ciągle chodzę tam i zpowrotem, przepraszam, bardzo się boję pana obrazić, dobrodzieju, a tę trochę ruchu jest mi niezbędnie potrzebne. Ciągle siedzę i zadowolony jestem, że z pięć minut mogę pochodzić... hemoroidy... zamierzam się leczyć gimnastyką. Mówią, że podobno radcy stanu, rzeczywiści radcy stanu, a nawet tajni radcy, chętnie przez sznureczek sobie skaczą. Oto co nauka, w naszych czasach... tak... Co zaś się tyczy moich obowiązków, badania i różnych tam formalności... pan sam, dobrodzieju, był łaskaw tylko co wspomnieć o badaniu... to wie pan, panie dobrodzieju, że czasami, doprawdy, badający bardziej się plącze niż bada-

ny... Łaskawa uwaga pańska na ten temat była, panie dobrodzieju, zupełnie słuszna i przenikliwa (Raskolnikow nie zrobił wcale podobnej uwagi). Plącze się! Naprawdę plącze się człowiek! Ciągle jedno i to samo, jak w kołowrotku! Reforma ma być i przynajmniej nazwę mają nam zmienić, he, he, he! Co zaś się tyczy naszych prawniczych sposobów, jak pan raczył się dowcipnie wyrazić, zgadzam się z panem w zupełności. Niech mi pan powie, czy między wszystkimi podsądnymi znajdzie się ktoś, choćby najciemniejszy chłop, ktoby nie wiedział, że zacznie się naprzykład, usypiać jego czujność obojętnemi pytaniami ( według trafnego pańskiego wyrażenia), a potem nagle palnie prosto w łeb obuchem, he, he, he! Prosto w łeb, według trafnego pańskiego porównania. He, he! Więc pan w istocie myślał, że ja pana chciałem tem mieszkaniem... he, he! Złośliwy z pana człowiek. No, już nie będę. Ale, ale jedno słówko drugie woła, jedna myśl drugą wywołuje — pan był łaskaw poprzednio wspomnieć również o formalności, a propos badańka... Cóż to znaczy „formalnie"! Forma w wielu wypadkach, wie pan, to drobiazg. Nieraz rozmawia się tylko po przyjacielsku, bo wygodniej. Forma nigdy nie ucieknie, niech pan pozwoli uspokoić siebie na ten temat. I cóż to jest właściwie forma, pytam pana? Nie można prowadzącego śledztwo krępować formą na każdym kroku. Praca śledcza jest przecież, że tak powiem, w swoim rodzaju sztuką wyzwoloną, lub czemś zbliżonem... he, he, he!

Porfiry Pietrowicz odetchnął na chwilę. Wciąż sypał bez przerwy bezmyślnemi, pustemi frazesami, to znów nagle wtrącał słowa zagadkowe i znów przechodził do błahostek. Formalnie biegał teraz po pokoju, coraz szybciej i szybciej, poruszając tłustemi nóżkami, patrzał w ziemię, prawą rękę założył na plecy, a lewą wymachiwał, wykonywując różne gesty, zupełnie nie odpowiadające temu, co w danej chwili mówił. Raskolnikow zauważył, że biegając po pokoju, dwa razy jakby zatrzymał się na krótki moment przy drzwiach i jakby nadsłuchiwał... „Czyżby czekał na kogoś"?

— Ma pan zupełną słuszność, — podjął znowu Porfiry Pietrowicz, patrząc na Raskolnikowa wesoło i niezwykle dobrodusznie (skutkiem czego ten drgnął i miał się na bacz-

ności), — zupełną słuszność racząc się łaskawie tak dowcipnie wyśmiewać z form prawniczych, he, he! A już to nasze (niektóre, naturalnie) głęboko-psychologiczne sposoby są nadzwyczaj śmieszne, a zresztą, powiedzmy, bezcelowe w tych wypadkach, kiedy to formy je krępują. Ta-ak! Znów wróciłem do formy: gdybym uważał, albo powiedzmy lepiej, podejrzewał, że ktoś, ten, tamten, czy ów popełnił, że tak powiem, przestępstwo w jakiejś sprawie, mnie powierzonej... Pan zamierza wszak zostać prawnikiem?

— Tak zamierzałem...

— Zatem dam panu przykładzik, że tak powiem, na przyszłość. Tylko niech pan nie sądzi, że ośmieliłbym się pana uczyć: pana, publikującego takie artykuły o przestępstwach! Nie-e! Tak tylko, w formie faktu pozwolę sobie przytoczyć przykładzik. A zatem, gdybym naprzykład uważał, że ten, tamten, czy ów popełnił przestępstwo, to w jakim celu pytam, miałbym go niepokoić przed czasem, nawet gdybym miał dowody przeciwko niemu? Niejednego powinienem zaaresztować, naprzykład, jak najprędziej, a inny może mieć doprawdy tego rodzaju usposobienie, że można mu pozwolić spacerować sobie po mieście. He, he! Widzę, że pan niezupełnie mnie rozumie, wytłumaczę więc to panu jaśniej: jeżeli go naprzykład wsadzę zbyt wcześnie, mogę mu tem dać oparcie, że tak powiem moralne, he, he! Pan się śmieje? — (Raskolnikow ani myślał się śmiać: siedział, zaciąwszy zęby i nie spuszczał z Porfirego Pietrowicza gorączkowego spojrzenia). — A jednak tak jest właśnie, zwłaszcza z niektórymi osobnikami, ludzie bowiem bywają bardzo różni i we wszystkiem tylko praktyka służy pomocą. Pan był łaskaw wspomnieć teraz o poszlakach. Powiedzmy, że poszlaki, ale przecież poszlaki, dobrodzieju mój, miewają zwykle dwa końce i ja sędzia śledczy, a więc człowiek słaby, wyznaję ze skruchą: chciałbym śledztwo przeprowadzić tak matematycznie ściśle, pragnąłbym wydostać taką poszlakę, żeby było jak dwa razy dwa cztery! Żeby udowodnienie było bezsporne i jasne! A jak go wsadzę zawcześnie, choćbym był nawet pewny, że to on, przecież sam sobie umniejszę środki ostatecznego zdemaskowania,

a dlaczego? Bo określę mu, że tak powiem, jego sytuację, psychologicznie, że tak powiem, określę i uspokoję go, schowa się w swojej skorupie przede mną, zrozumie wreszcie że jest więźniem. Opowiadają, że w Sebastopolu, zaraz po bitwie nad Alną, mądrzy ludzie ogromnie się obawiali, że nieprzyjaciel już, już atakuje i zdobędzie Sebastopol szturmem. Kiedy zaś zobaczyli, że nieprzyjaciel zdecydował się na prawidłowe oblężenie i przeciągnął pierwszą linję okopów, to się podobno ci mądrzy ludzie bardzo ucieszyli i uspokoili: sprawa zatem przeciągnie się conajmniej ze dwa miesiące, bo kiedyż to nas zdobędą przez prawidłowe oblężenie? Pan się znowu śmieje, znowu pan nie wierzy? Naturalnie i pan ma słuszność. Ma pan słuszność, ma! Zgadzam się z panem — to są wszystko wyjątkowe przypadki, mój przykład, to rzeczywiście przypadek wyjątkowy! Ale należy przytem zwrócić uwagę, drogi panie, że przecież przypadek typowy, a takie właśnie mają na myśli wszystkie formy i reguły prawnicze, taki właśnie przewidują, o takim właśnie piszą, — taki nie istnieje wcale. A to dlatego, że każda sprawa, każda, weźmy naprzykład przestępstwo, kiedy zaistnieje w rzeczywistości, zaraz się staje zupełnie poszczególnym przypadkiem, tak, i to czasami przypadkiem, absolutnie niepodobnym do żadnego z poprzednich. Czasem zdarzają się bardzo zabawne rzeczy w tym rodzaju. Nieraz, gdybym zostawił takiego jegomościa samemu sobie, nie aresztował go i nie niepokoił, ale gdyby on wiedział, lub przynajmniej domyślał się w każdej godzinie i minucie, że ja wiem o wszystkiem, o najmniejszym szczególe, dzień i noc śledzę bez przerwy, pilnuję, gdyby miał pełną świadomość i obawę, że go ciągle podejrzewam, to przecież, jak Boga kocham, musiałby stracić głowę, naprawdę, i samby przyszedł, a nawet zrobiłby coś takiego co już będzie dowodem jak dwa razy dwa — cztery, będę miał matematycznie ścisłą pewność, a to jest przyjemne. Może się to zdarzyć najgłupszemu chłopu, a cóż tu mówić dopiero o którymkolwiek z nas, o dzisiejszym inteligencie, zwłaszcza z pewnemi charakterystycznemi cechami, to już napewno! Dlatego, kochanie, wielka to sztuka poznać charakterystyczne cechy człowieka. A nerwy! Za-

pomniał pan o nerwach! Przecież wszystko to takie chore dziś, marne, nerwowe!... A żółć, jakie to wszystko żółciowe. To swego rodzaju istna kopalnia, mówię panu przy okazji. Czego się mam obawiać, że taki chodzi nieskrępowany po mieście! A niech sobie pochodzi, niech. Wiem dobrze, że to moja ofiara i nigdzie mi nie ucieknie! I dokąd ma uciec, he, he! Zagranicę? Polak ucieknie zagranicę, ale nie on, tem ci bardziej, że ja pilnuję, przedsięwziąłem odpowiednie środki! Ucieknie w głąb kraju ojczystego, co? Ale przecież tam chłopi mieszkają, prawdziwi, rdzenni rosyjscy. Wszak po dzisiejszemu wykształcony człowiek woli raczej więzienie, niż życie z takimi cudzoziemcami, jak nasi kmiotkowie, he, he! Ale to wszystko głupstwo i pozory. Co to znaczy: ucieknie? To tylko forma, a nie rzecz zasadnicza. Nie dlatego tylko nie ucieknie przedemną, że niema dokąd uciekać: *psychologicznie* uciec przede mną nie może, he, he! Ładne wyrażeńko, co! Prawo natury nie pozwoli mu uciec przede mną, choćby miał dokąd. Wdział pan motyla przy świecy? I on tak samo będzie się koło mnie kręcił, będzie się ciągle kręcił, jak wokół świecy, wolność mu się sprzykrzy, będzie się zamyślał, wikłał, sam się uwikła, jak w sieci, zagnębi się na śmierć! Mało tego: przygotuje mi własnoręcznie jakiś matematyczny kawał, jakieś dwa razy dwa, cztery — trzeba mu tylko dać dłuższy antrakt... I będzie, ciągle będzie zataczał kręgi dookoła mnie, coraz mniejsze i buch! prosto w usta mi wpadnie, zaś ja go połknę, a to już jest bardzo przyjemne, he, he! Pan nie wierzy?

Raskolnikow nie odpowiadał. Siedział blady i nieruchomy, wpatrując się ciągle z jednakowem natężeniem w twarz Porfirego.

„Dobra lekcja!" myślał lodowaciejąc. „To już nawet nie jak kot z myszką, jak to było wczoraj. Nie chce przecież demonstrować mi niepotrzebnie swojej siły i... podpowiadać, za mądry jest na to... Ma inny cel, ale jaki? Głupstwo, bracie, straszysz mnie i kręcisz! Nie masz dowodów i żaden wczorajszy człowiek nie istnieje! Chcesz mnie stropić, chcesz mnie przedwcześnie zdenerwować i w tym stanie złapać, ale hola! — spudłujesz! Ale poco mi, poco tak

mocno podpowiada?... Liczy na moje chore nerwy!... Nie, bracie, hola! — spudłujesz, chociaż przygotowałeś sobie coś... No, zobaczymy, coś ty sobie takiego przygotował".

Raskolnikow zebrał się w sobie, przygotowując się do strasznej i nieznanej katastrofy. Chwilami miał ochotę rzucić się i na miejscu zadusić Porfirego. Już wchodząc tu, obawiał się takiej pasji. Czuł, że wargi ma suche, serce mu bije i piana występuje na usta. Mimo to postanowił milczeć i narazie słowa nie powiedzieć. Zrozumiał, że to będzie najlepsza taktyka w jego położeniu, bo nie tylko sam się nie zdradzi, ale rozdrażniwszy milczeniem swego wroga, kto wie, czy nie doprowadzi go do zdradzenia się. Przynajmniej liczył na to.

— Nie, widzę,że pan nie wierzy, myśli pan, że ja panu takie niewinne dowcipki opowiadam, — ciągnął Porfiry, coraz weselszy, bez przerwy chichocząc z zadowoleniem i znowu krążąc po pokoju. — Owszem, ma pan rację. Sam Pan Bóg dał mi taką postać, która tylko rozśmiesza ludzi, wesołek jestem. Ale, widzi pan muszę powiedzieć i nie raz powtórzyć, że pan, panie dobrodzieju, proszę wybaczyć staremu człowiekowi, jest jeszcze młody, że tak powiem, pierwszą młodością i dlatego rozum ceni pan, jakto wogóle młodzież, ponad wszystko. Bystry dowcip i teoretyczne dowody rozsądku nęcą pana. Zupełnie, jak naprzykład dawna austryjacka Hofkriegsrat, o ile mogę coś sądzić o wypadkach wojennych: na papierze już Napoleona rozbili i wzięli go w jasyr, u siebie, w gabinecie wszystko bardzo sprytnie wyliczyli i obliczyli, a tu masz: generał Mack poddaje się z całą swoją armją, he, he! Widzę, widzę, dobrodzieju, wyśmiewa się pan ze mnie, że ja, taki cywil, wybieram przykłady z historji wojen. Cóż robić, to słabostka, lubię wojenne rzemiosło, a szczególnie lubię czytać wszelkie relacje o wojnie... rzeczywiście minąłem się z powołaniem. Powinienem był w wojsku służyć, naprawdę. Do Napoleona, możebym nie dociągnął, ale majora i owszem, he, he! więc teraz powiem panu, drogi panie, całą prawdę, tyczącą tego, to jest *poszczególnego przypadku:* rzeczywistość i natura rzeczy, łaskawco, to są ważne czynniki i czasami taki zadają kłam najbystrzejszym prze-

widywaniom, że proszę siadać! Niech pan posłucha starego człowieka, mówię poważnie, — (mówiąc to trzydziestopięcio-letni zaledwie Porfiry Pietrowicz starzał się jakgdyby rzeczywiście: głos mu się zmieniał i cała postać się kuliła) — a przytem człowieka szczerego... Czy ja jestem szczery, czy nie? Jak pan sądzi? Zdaje się, że chyba zupełnie tak: udzielam panu darmo takich wiadomości, nie żądam żadnego wynagrodzenia, he, he! Zatem idę dalej: uważam, że bystry dowcip to wspaniała rzecz, to kwiat natury i ozdoba życia. I jakież to sztuczki można przy jego pomocy wykonywać. Czasami zdaje się, że to niemożliwe, żeby taki sędzia śledczy mógł się w tem połapać, biedaczysko. Zwłaszcza, że jak to zwykle bywa, daje się unosić swojej fantazji, też jest człowiekiem. I tu temu biedakowi śledczemu natura przychodzi na ratunek, w tem sęk! A młodzież, przeceniającą znaczenie dowcipu, krocząca poprzez wszelkie przeszkody (jak pan się był łaskaw wczoraj bardzo mądrze i dowcipnie wyrazić) nie domyśla się nawet tego. Przypuśćmy, że on nawet skłamie, on, to jest człowiek z *poszczególnego przypadku*, owe incognito, skłamie przytem doskonale, jaknajsprytniej. Zdawałoby się, — triumf, rozkoszuje się owocami swego dowcipu, a tu buch! W najciekawszem miejscu, w najskandaliczniejszym momencie — mdleje! Może i choroba , to prawda, że nieraz bywa w pokoju bardzo duszno, ale jednak! Ale jednak nasuwa się przypuszczenie! Zełgał pierwszorzędnie, a nie umiał przewidzieć natury! Oto, gdzie tkwi przewrotność! Czasami znowu, zachęcony bystrością swego dowcipu zaczyna robić durnia z człowieka, który go podejrzewa, zblednie, jak naumyślnie, jakby nie udawał, ale zblednie *zbyt naturalnie*, za dobrze, znowu nasuwa się przypuszczenie! Chociaż narazie, uda mu się oszukać, ale przez noc tamten skombinuje, jeżeli ma głowę na karku. Sam zacznie uprzedzać wypadki, będzie się pchał, gdzie go nie proszą, będzie gadał o rzeczach, o którychby właśnie należało milczeć, będzie różne bajdy plótł, he, he, przyjdzie sam i zacznie się dopytywać: dlaczego właściwie nie zabierają mnie jeszcze? He, he, he! To się może zdarzyć najsprytniejszemu człowiekowi, psychologowi, literatowi! Natura ludzka to lustro, najdoskonalsze lustro! Należy

patrzeć w nie i zachwycać się, w tem właśnie sęk! Dlaczego pan tak pobladł, Rodionie Romanowiczu, czy panu nie duszno, może okienko otworzyć?

— Niech pan się nie niepokoi, proszę bardzo,—krzyknął Raskolnikow i nagle się roześmiał. Proszę bardzo, niech pan się nie niepokoi!

Porfiry stanął nawprost niego, przeczekał chwilkę i sam roześmiał się również. Raskolnikow wstał z kanapy, ostro urwawszy swój całkowicie histeryczny śmiech.

— Porfiry Piotrowiczu, — powiedział głośno i dobitnie, choć ledwo trzymał się na nogach, — widzę wreszcie wyraźnie, że pan formalnie podejrzewa mnie o zamordowanie tej staruszki i siostry jej, Lizawiety. Oświadczam więc panu, ze swej strony, że mi się to już dawno sprzykrzyło. Jeżeli pan uważa, że pan ma podstawy do prawnego ścigania mnie, niech pan ściga, do aresztowania — niech pan aresztuje. Ale śmiać mi się w nos i męczyć się nie pozwolę...

Nagle usta mu zadrżały, w oczach błysnęła wściekłość i opanowany dotychczas głos zagrzmiał.

— Nie pozwolę! —krzyknął, bijąc z całej siły pięścią w stół. — Czy pan słyszy?? Nie pozwolę!

— Ach, Boże! Co się znowu stało! — krzyknął widocznie przestraszony Porfiry. — Dobrodzieju mój, Rodionie Romanowiczu! Ojcze kochany. Co się z panem dzieje?

— Nie pozwolę! — krzyknął raz jeszcze Raskolnikow.

— Ciszej, dobrodzieju! Ludzie usłyszą, przylecą! Co im wtedy powiemy, niech no pan pomyśli! — szeptał przerażony Porfiry, przysuwając twarz do samej twarzy Raskolnikowa.

— Nie pozwolę, nie pozwolę! — powtarzał machinalnie Raskolnikow, ale tym razem już szeptem.

Porfiry szybko odwrócił się i pobiegł otworzyć okno.

— Nieco świeżego powietrza! Wody trzeba dać się panu napić, kochanie, przecież to atak! Rzucił się do drzwi, aby zawołać o wodę, ale akurat w kącie znalazł karafkę.

— Pij, dobrodzieju, — szeptał, rzucając się do Raskolnikowa z karafką, — może pomoże... — Przestrach i współczucie Porfirego były tak dalece naturalne, że Raskolnikow zamilkł i z dziką ciekawością począł mu się przyglądać. Wody jednak nie przyjął.

— Panie kochany! Przecież w ten sposób pan się doprowadzi do obłędu, zapewniam pana! Ach! Niech-no pan wypije! Napijże się pan trochę.

Zmusił go do wzięcia sklanki. Raskolnikow machinalnie podniósł ją do ust, lecz oprzytomniawszy, ze wstrętem postawił na stole.

— Tak, miał pan ataczek! W ten sposób, kochanie, pan się znowu nabawi dawnej choroby, — z przyjacielskiem współczuciem zagdakał Porfiry, ciągle jeszcze jakoś zmieszany. — Boże mój, jakto można tak się nie szanować? I Dymitr Prokofjewicz był u mnie — wczoraj, zgadzam się, zgadzam się, mam uszczypliwy, zły charakter, a on wyciągnął z tego Bóg wie jakie wnioski!... Mój Boże! Przyszedł wczoraj, po panu, jedliśmy obiad, mówił, mówił, a ja tylko ręce rozkładałem. Boże mój, myślę... Czy to pan go przysłał? Niech pan usiądzie, siadaj pan, na Boga!

— Nie, nie przysyłałem go! Ale wiedziałem, że poszedł do pana i wiedziałem poco, — ostro odpowiedział Raskolnikow.

— Wiedział pan?

— Wiedziałem. Cóż z tego?

— A to, że ja, Rodionie Romanowiczu, dobrodzieju, wiem jeszcze o innych pańskich czynach. O wszystkiem, wiem! Wiem, jakto pan chodził *najmować mieszkanie*, prawie w nocy, o zmierzchu, szarpał pan za dzwonek, dopytywał się o krew, zawrócił głowę robotnikom i stróżom. Ja przecież rozumiem pański nastrój wtedy... Tylko, że pan w ten sposób doprowadzi się do obłędu, jak Boga kocham! Uwikła się pan! Wre pan zbyt gwałtownie oburzeniem, szlachetnem oburzeniem, bo pan był krzywdzony najpierw przez los, a potem przez rewirowych. Miota się więc pan to tu, to tam, żeby zmusić, że tak powiem, wszystkich do szybszego zajęcia się panem, żeby już raz z tem wszystkiem zrobić koniec, bo już się panu uprzykrzyły te głupstwa, i te

wszystkie podejrzenia. Czy tak? Odgadłem nastroik, co? Tylko, że w ten sposób pan nie tylko siebie, ale i Razumichina tu u mnie uwikła. A on jest *za dobry* na to, pan wie o tem. Pan jest chory, a on miłosierny, więc skłonny do zarażenia się... Ja panu, dobrodzieju, jak pan się uspokoi, opowiem... Siadaj-że, dobrodzieju, na Boga Jedynego! Proszę bardzo, niech-że pan odpocznie, jak pan wygląda, niech pan siada.

Raskolnikow usiadł, dreszcze ustępowały, gorąco rozchodziło się po całem ciele. Z głębokiem zdziwieniem, z natężeniem, słuchał wystraszonego i po przyjacielsku krzątającego się przy nim Porfirego. Nie wierzył w żadne jego słowo, jakkolwiek odczuwał dziwną chęć uwierzenia. Niespodziewane słowa Porfirego o mieszkaniu zaskoczyły go zupełnie. „Cóż to znaczy, że on wie o mieszkaniu? — myślał, „i sam opowiada o tem“?

— Tak, mieliśmy prawie taki sam przypadek psychologiczny w naszej praktyce sądowej, taki chorobliwy przypadek, — ciągnął szybko Porfiry. — Pewien gość również oskarżył się o morderstwo i to w jaki sposób: całą halucynację opowiedział, przedstawił fakty, opowiedział okoliczności, poplątał, zdezorjentował wszystkich i każdego z osobna, a dlaczego? W pewnej mierze, zupełnie mimowoli, stał się przyczyną morderstwa, ale tylko w pewnej mierze. Kiedy się dowiedział, że to on podsunął myśl mordercom, zaczął się dręczyć, zamroczyło go, miał halucynację, zmarnował się zupełnie i sam siebie przekonał w końcu, że to on zamordował! Senat wkońcu sprawę rozpatrzył. Nieszczęśliwego uniewinniono i oddano pod dozór. Dzięki senatowi. Ach, jej, aj, aj! Co to ma za sens, dobrodzieju? W ten sposób można się nabawić gorączki, gdy się oddaje swoje nerwy na pastwę takich pomysłów, chodzić po nocy, za dzwonki ciągnąć, wypytywać się o krew! Taką psychologję poznałem już podczas swojej praktyki. W ten sposób człowiek ma czasem chęć rzucić się z okna, albo skoczyć ze szczytu dzwonnicy, czuje się wtedy taką silną pokusę. Tosamo było z tym dzwonkiem... To choroba, proszę pana, to choroba! Zaczął pan zbytnio zaniedbywać swoją chorobę. Możeby pan się poradził ja-

kiegoś doświadczonego medyka, bo z panem jest źle!... Pan bredzi! To wszystko dzieje się u pana w malignie!...

Raskolnikowowi przez chwilę pociemniało w oczach.

„Czyżby on i teraz, czyżby on i teraz kłamał? Niepodobieństwo, niepodobieństwo“! odtrącał od siebie tę myśl, zdając sobie sprawę do jakiej wściekłości i furji może go ona doprowadzić, więcej nawet — doprowadzić do obłędu.

— To się nie działo w malignie, to się działo na jawie! — krzyknął, natężając wszystkie władze mózgu, by przejrzeć grę Porfirego. — Na jawie, na jawie, słyszy pan?

— Ależ tak, rozumiem i słyszę! Pan wczoraj także mówił, że to nie było w malignie, specjalnie to pan nawet podkreślał! Ja wszystko wiem i rozumiem, co mi pan może powiedzieć! Ech, ech!... Niech-no pan posłucha tylko Rodionie Romanowiczu, łaskawco mój, choćby tylko naprzykład, taka okoliczność. Gdyby pan był rzeczywiście, naprawdę przestępcą, lub był wmieszany w jakikolwiek sposób w tę przeklętą sprawę, to przecież nie twierdziłby pan chyba sam, że pan nie działał w gorączce, lecz zupełnie na trzeźwo. I to tak stanowczo, z takim specjalnym uporem. Czy toby mogło mieć miejsce, no czy mogłoby to wtedy mieć miejsce? Mojem zdaniem, byłoby wprost przeciwnie: gdyby pan miał cośkolwiek na sumieniu, toby pan utrzymywał, że właśnie w malignie nie inaczej! Wszak tak? Pawda?

Wydawało się, że jakiś podstęp tkwi w tem pytaniu. Raskolnikow odsunął się od nachylonego nad nim Porfirego aż na oparcie kanapy i, milcząc, patrzał mu z niedowierzaniem prosto w oczy.

— Albo sprawa z panem Razumichinem, to jest właściwie kwestja tego, czy przyszedł on wczoraj z własnej inicjatywy, czy z pańskiej namowy? Powinienby pan powiedzieć, że z własnej inicjatywy i ukryć, że to pan go namówił! A pan nie ukrywa tego. Twierdzi pan, że właśnie był przez pana namówiony!

Raskolnikow nigdy nic podobnego nie twierdził. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

— Pan ciągle kłamie — powiedział wolno z wysiłkiem, ze skrzywionemi bolesnym uśmiechem ustami, — znowu chce mi pan dowieść, że pan przejrzał moje zamiary, że pan zgóry wie, co będę panu opowiadał, ciągnął, zdając sobie sprawę, że nie waży tak słów, jakby należało.

Mówiąc to, patrzał mu ciągle prosto w twarz i nagle bezgraniczna wściekłość błysnęła mu w oczach.

— Kłamie pan ciągle! — krzyknął. — Pan wie doskonale, że najlepszym wykrętem dla przestępcy jest mówienie prawdy... o ile tylko się da, nieukrywanie tego, czego można nie ukrywać! Nie wierzę panu!

— Akurat, ładny z pana krętacz! — zachichotał Porfiry. — Nie można z panem dojść do ładu, dobrodzieju, owładnęła panem panem jakaś monomanja. Więc nie wierzy mi pan? A ja panu mówię, że pan już wierzy, doprowadzę do tego, że pan uwierzy zupełnie, bo naprawdę lubię pana i szczerze pragnę jego dobra.

Raskolnikowowi zatrzęsły się usta.

— Tak, pragnę. A na zakończenie powiem panu — ciągnął, ująwszy lekko, po przyjacielsku ramię Raskolnikowa powyżej łokcia, — powiem panu na zakończenie: niech pan uważa na swoją chorobę. Przytem zjechała teraz do pana pańska rodzina, — niech pan pamięta o niej. Trzeba się niemi opiekować, troszczyć się o nie, a pan je tylko niepokoi...

— Co to pana obchodzi? Skąd pan wie o tem? Czy to pańska rzecz? A więc pan mnie śledzi i chce mi pan to dać do zrozumienia?

— Dobrodzieju! Przecież wiem to od pana samego! Pan sobie już nie zdaje sprawy, że pan w zdenerwowaniu zdradza się ze wszystkiem i przedemną i przed innymi. Od pana Razumichina również dowiedziałem się wczoraj wielu ciekawych szczegółów. Pan mi przerwał, a chciałem panu właśnie powiedzieć, że przez swoją podejrzliwość, mimo całej swojej bystrości stracił pan zdrowy sąd o rzeczach. Naprzykład, że wrócę do tego samego tematu: sprawa z dzwonkiem: taki drogocenny szczegół, taki fakt (przecież to już jest gotowy fakt!) zdradziłem, wydałem panu, tak, z rękami i nogami, ja, sędzia śledczy! I panu to nic nie mó-

wi? Gdybym pana choć trochę podejrzewał, czy powinieniem był to zrobić? Przeciwnie: początkowo należało uśpić pańskie podejrzenia i nie zdradzić się, że ja już o tym fakcie wiem. Należało odwrócić pańską uwagę, potem nagle, jak obuchem w łeb palnąć (według własnego pańskiego wyrażenia): „A co to pan robił, łaskawco, w mieszkaniu zamordowanej, o godzinie dziesiątej, czy nawet o jedenastej wieczorem? A dlaczego pan szarpał dzwonek? A dlaczego pan się wypytywał o krew? A dlaczego pan zawracał głowę stróżom i chciał posłać ich do cyrkułu, do rewirowego?“ Gdybym choć odrobinę pana podejrzewał, to tak właśnie powinienem był się zachować. Należałoby ściągnąć z pana zeznanie według wszelkich prawideł, zrobić rewizję, a może nawet aresztować... Zatem, jeżeli postąpiłem inaczej, to znaczy, że nie żywię w stosunku do pana żadnych podejrzeń! A pan stracił zdrowy rozsądek i nic pan nie rozumie, powtarzam!

Raskolnikow drgnął całem ciałem. Porfiry wyraźnie to zauważył.

— Pan ciągle kłamie! — krzyknął Raskolnikow, — nie wiem, jaki pan ma cel w tem, ale ciągle pan kłamie... Poprzednio mówił pan coś zupełnie innego — nie mylę się... Pan kłamie.

— Ja kłamię? — podchwycił Porfiry, widocznie podniecony, ale zachowując nadal minę pozornie wesołą i drwiącą i, zdaje się, nic sobie nie robiąc z opinji pana Raskolnikowa o sobie, — ja kłamię? A jak ja się zachowałem wczoraj wobec pana (ja, sędzia śledczy)? Podpowiadałem panu, podsuwałem środki obrony, zwracałem uwagę na tę całą psychologję: „Choroba widocznie, gorączka, był pokrzywdzony, melancholja i rewirowi i inne rzeczy!“ Co? he, he... Choć prawdę powiedziawszy, to te wszystkie psychologiczne środki obrony, wymówki i wykręty są bardzo ryzykowne i, jak kij, mają dwa końce: „Choroba widocznie, gorączka, zjawy, majaczyłem, nie pamiętam...“ wszystko to prawda, ale dlaczego to, dobrodzieju, w tej chorobie, w gorączce, akurat majaczyły mu się takie właśnie zjawy, nie inne? Bo mogły się przecież majaczyć inne, wszak prawda? He, he, he...

Raskolnikow spojrzał na niego z dumą i pogardą.

— Słowem, — powiedział głośno i z naciskiem, wstając i odpychając przytem nieco Porfirego, — słowem, chcę wiedzieć: uznaje mnie pan ostatecznie za wolnego od podejrzeń, czy *nie?* Niech pan powie, Porfiry Pietrowiczu, niech mi pan powie kategorycznie, jasno i prędko, zaraz!

— Co to za historja! Ładny los ja mam z panem, — zawołał Porfiry z miną wesołą, chytrą i zupełnie spokojną. — Poco pan ma wiedzieć, poco pan chce tyle wiedzieć, kiedy pana nikt wcale jeszcze nie zaczął niepokoić! Pan jest jak dziecko: daj, dawaj mi ognia do zabawy! Dlaczego pan tak się niepokoi? Dlaczego pan się sam do nas wprasza, z jakiego powodu? Co? He, he, he...

— Powtarzam panu! — krzyknął z furją Raskolnikow, — że nie mogę już tego wytrzymać!

— Czego? Czy niepewności? — przerwał Porfiry.

— Niech pan mnie nie dręczy! Nie chcę!... Mówię panu, że ja nie chcę!... Nie mogę i nie chcę!... Słyszy pan, czy pan słyszy! — krzyczał znowu bijąc pięścią w stół.

— Ciszej, proszę ciszej! Ludzie usłyszą! Mówię poważnie: niech pan się strzeże. Ja nie żartuję! — powiedział szeptem Porfiry, ale tym razem nie miał już w twarzy wyrazu przestrachu i babskiej dobroduszności. Przeciwnie, teraz poprostu *rozkazywał*, surowo ściągnąwszy brwi i jakby odrazu odrzucając wszelkie tajemnice i dwuznaczniki. Ale trwało to tylko chwilę. Raskolnikow, zaskoczony zrazu, wpadł nagle w istny szał. Co jednak było dziwne przytem, to to, że znowu posłuchał rozkazu, aby mówić ciszej, chociaż trząsł się w najsilniejszym paroksyzmie wściekłości.

— Ja nie pozwolę się męczyć! — szeptał, jak poprzednio, z bólem i nienawiścią, zdając sobie nagle sprawę, że nie może się oprzeć rozkazowi, co doprowadzało go do większej jeszcze pasji. — Niech pan mnie aresztuje, niech pan mnie rewiduje, ale niech pan zechce działać formalnie, a nie bawić się ze mną. Niech pan się nie waży...

— O formalności niech pan będzie spokojny, — przerwał Porfiry z chytrym uśmieszkiem, jakby z lubością obserwując Raskolnikowa, — tym razem zaprosiłem pana, dobrodzieju mój, tak, prywatnie, zupełnie po przyjacielsku.

— Nie chcę pańskiej przyjaźni, pluję na pańską przyjaźń! Słyszy pan! Dosyć, biorę czapkę i wychodzę. No a co teraz powiesz, jeżeli masz zamiar mnie aresztować?

Chwycił czapkę i skierował się ku drzwiom.

— Nie ma pan ochoty zobaczyć niespodzianki? — zachichotał Porfiry, znowu chwytając go za łokieć i zatrzymując przy drzwiach. Najwidoczniej był coraz weselszy i żartobliwszy, co ostatecznie wyprowadziło Raskolnikowa z równowagi.

— Co za niespodzianka? Co takiego? — zapytał, zatrzymując się i ze strachem patrząc na Porfirego.

— Niespodzianka, siedzi tutaj za drzwiami, he, he, he! (wskazał palcem na zamknięte drzwi w przepierzeniu, wiodące do skarbowego mieszkania). — Zamknąłem ją na klucz, żeby nie uciekła.

— Co takiego? Gdzie? Co?...

Raskolnikow podszedł do drzwi, chciał je otworzyć, ale były zamknięte na klucz.

— Zamknięte, a oto klucz!

Rzeczywiście Porfiry wyjął z kieszeni klucz i pokazał go.

— Ciągle kłamiesz! — zawył Raskolnikow, nie panując już zupełnie nad sobą. — Łżesz, przeklęty błaźnie! — i rzucił się na cofającego się ku drzwiom, ale zupełnie nieprzestraszonego Porfirego.

— Rozumiem wszystko, rozumiem! — skoczył do niego. — Łżesz i drażnisz mnie, żebym się zdradził...

— Rodionie Romanowiczu, dobrodzieju szanowny, bardziej już chyba nie możesz się zdradzić. Przecież pan wpadł w szał. Niech pan nie krzyczy, bo zawołam ludzi.

— Łżesz, nic się nie stanie! Wołaj sobie ludzi! Wiedziałeś, że jestem chory i chciałeś mnie rozdrażnić do szaleństwa, żebym się zdradził, to był twój cel! Nigdy! Przedstaw mi fakty! Ja wszystko zrozumiałem! Nie masz faktów, masz tylko głupie, marne poszlaki, od Zamietowa!... Znałeś moje usposobienie, chciałeś mnie doprowadzić do furji, a potem nagle oszołomić popami i delegatami... Czekasz na nich! Co? Dlaczego czekasz? Gdzie są? Dawaj ich tu!

— Jacy znów delegaci, dobrodziejku! Co się temu

człowiekowi majaczy! Ależ bo przy takiem postępowaniu nie można nawet działać formalnie, jak się pan wyraża, pan się nie zna na rzeczy, kochanie... A formalności nie uciekną, sam się pan o tem przekona... — bąkał Porfiry, nadsłuchujc pode drzwiami.

W istocie, w drugim pokoju pod samemi drzwiami słychać było jakiś hałas.

— Aha, idą! — krzyknął Raskolnikow, — posłałeś po nich!... Czekałeś na nich!... Obliczyłeś sobie... No, dawaj ich tu wszystkich: delegatów, świadków, kogo chcesz... Dawaj! Jestem gotów! Gotów!

W tej chwili zdarzyło się coś dziwnego, coś tak w zwykłych warunkach nieoczekiwanego, że rzecz jasna, ani Raskolnikow, ani Porfiry nie mogli byli spodziewać się podobnego rozwiązania.

## VI.

Później na wspomnienie tego momentu, przed oczami Raskolnikowa stawała następująca scena.

Hałas pode drzwiami nagle szybko wzmógł się i drzwi się uchyliły.

— Co to takiego? — krzyknął z irytacją Porfiry Pitrowicz. — Uprzedzałem przecież...

Przez chwilę nie było odpowiedzi, lecz widoczne było, że za drzwiami kilku ludzi z kimś się szamotało.

— A cóż tam takiego? — powtórzył zaniepokojony Porfiry.

— Przyprowadziliśmy aresztanta, Mikołaja, — odezwał się jakiś głos.

— Nie potrzeba! Precz! czekać... Poco on tutaj wlazł, co za porządki! — krzyczał Porfiry, rzucając się do drzwi.

— Bo on... — zaczął ten sam głos i nagle urwał.

Przez parę sekund, nie dłużej, miała miejsce prawdziwa walka. Nagle usłyszano, jak ktoś kogoś odepchnął z siłą i bezpośrednio potem, wprost do gabinetu Porfirego, wpadł jakiś bardzo blady człowiek.

Wyglądał ten człowiek na pierwszy rzut oka bardzo

dziwnie. Patrzył wprost przed siebie, lecz zdawał się nikogo nie widzieć. W oczach błyszczała decyzja, ale zarazem bladość śmiertelna pokrywała twarz, jakgdyby przyprowadzono go na miejsce kaźni. Zupełnie białe usta drżały mu zlekka.

Był jeszcze bardzo młody, odziany jak człowiek z ludu, średniego wzrostu, szczupły, z włosami przystrzyżonemi nad czołem, z delikatnemi, trochę ostremi rysami twarzy. Odepchnięty przez niego niespodzianie człowiek, pierwszy wpadł za nim do pokoju i zdołał chwycić go za ramię: był to konwojent. Ale Mikołaj szarpnął ręką i wyrwał mu się raz jeszcze.

W drzwiach stłoczyło się kilku ciekawych. Niektórzy z nich chcieli również wejść do pokoju. Wszystko to trwało tylko chwilę.

— Precz! Jeszcze za wcześnie! Czekaj, póki się ciebie nie wezwie!... Dlaczego go przyprowadzono tak wcześnie? — bąkał Porfiry Pietrowicz, bardzo niezadowolony i zbity z tropu. Mikołaj nagle padł na kolana.

— Co ci jest? — krzyknął Porfiry zdumiony.

— Moja wina! Mój grzech! Ja zabiłem! — nagle wyrzekł zdławionym nieco, lecz dość donośnym głosem Mikołaj.

Z dziesięć sekund trwało milczenie. Wszystkich ogarnęło osłupienie; cofnął się nawet konwojent i już nie zbliżał się do Mikołaja, lecz zrejterowawszy machinalnie ku drzwiom, znieruchomiał.

— Co takiego! — krzyknął Porfiry, otrząsając się z osłupienia.

— Ja... zabiłem... — po chwili milczenia powtórzył Mikołaj.

— Jakto?... Ty?... Jakto?... Kogoś ty zabił?

Porfiry Pietrowicz widocznie stracił głowę.

Mikołaj znowu milczał przez chwilę.

— Alenę Iwanownę i siostrunię jej, Lizawietę, ja... zabiłem... siekierą. Zamroczyło mnie... — dodał i znowu zamilkł. Wciąż jeszcze klęczał.

Porfiry Pietrowicz kilka chwil stał, jakby się zastanawiając, lecz nagle drgnął i machnął ręką na nieproszonych świadków, którzy momentalnie zniknęli, zamykając za sobą drzwi. Następnie spojrzał na stojącego w kącie Raskolnikowa, błędnym wzrokiem przypatrującego się Mikołajowi, zwrócił się w jego stronę, lecz nagle zatrzymał się, przeniósł spojrzenie na Mikołaja, potem znów spojrzał na Raskolnikowa, znów na Mikołaja i jakby go coś poderwało, wpadł raptownie na Mikołaja.

— Ty czego mi się wyrywasz z tem twojem zamroczeniem! — krzyknął nań prawie ze złością. — Jeszcze się ciebie nie pytałem, czy cię zamroczyło, czy nie... Gadaj: tyś zabił?

— Ja zabiłem... meldować przyszedłem... — przemówił Mikołaj.

— E-ech! Czem zabiłeś?

— Siekierą. Narychtowałem sobie.

— A to się spieszy! Sam?

Mikołaj nie zrozumiał pytania.

— Sam zabiłeś?

— Sam. A Mitka niewinien i nic nie ma do tego.

— Nie spiesz się tak z tym z Mitką. E-ech!...

— Więc jakżeś ty, jakżeś ty to zbiegał wtedy ze schodów? Przecież stróże spotkali was obu?

— Dla niepoznaki ino... wtedy... biegłem z Mitką, — rzekł Mikołaj, jakby spiesząc się z uprzednio przygotowaną odpowiedzią.

— No, tak, naturalnie! krzyknął ze złością Porfiry. — Powtarza cudze słowa, — mruknął jakby do siebie i nagle znowu spostrzegł Raskolnikowa.

Widać było, że tak zajął go Mikołaj, że na chwilę zapomniał o Raskolnikowie. Raptem zdał sobie z tego sprawę i zmieszał się nawet...

— Rodionie Romanowiczu, dobrodzieju! Przepraszam! — rzucił się ku niemu, — to niepodobieństwo, proszę bardzo... pan tu nie może... ja sam... widzi pan, jakie

niespodzianki. Proszę bardzo!... — ująwszy Raskolnikowa za rękę, wskazywał drzwi.

— Pan, zdaje się, nie spodziewał się tego? — rzekł Raskolnikow, dobrze jeszcze nie pojmując sytuacji, ale zdążywszy już nabrać odwagi.

— A i pan, dobrodzieju, nie spodziewał się. Jakto rączuchna panu drży! Che, che!

— I pan drży, Porfiry Pietrowiczu.

— I ja drżę, nie spodziewałem się!...

Stali już we drzwiach. Porfiry niecierpliwie czekał wyjścia Raskolnikowa.

— Zatem niespodzianki pan mi nie pokaże? — spytał drwiąco Raskolnikow.

— Mówi, a ząbki to mu w ustach jeszcze dzwonią, jeden o drugi che, che! Złośliwy z pana człowiek! No, do widzenia.

— Według mnie: *żegnam!*

— Jak Bóg da, jak Bóg da! — mruknął Porfiry z jakimś krzywym uśmiechem.

Przechodząc przez kancelarję, Raskolnikow zauważył, że sporo osób uważnie mu się przypatruje. W poczekalni zdążył dostrzec w tłumie obu stróży z tego domu, których wtedy w nocy sprowadził do rewirowego. Stali czekając na coś. Jednak, zaledwie tylko zdążył wyjść do sieni, usłyszał znowu za sobą głos Porfirego Pietrowicza. Odwróciwszy się, zobaczył, że ten, zadyszany, dogania go.

— Jedno słóweczko, proszę pana. Tam z tą całą sprawą, jak Bóg da, ale jednak będę musiał o coś nie coś formalnie przepytać pana, więc się jeszcze zobaczymy, tak!

Porfiry z uśmiechem, zatrzymał się przed nim.

— Więc tak — dodał raz jeszcze.

Odnosiło się wrażenie, że miał ochotę jeszcze coś powiedzieć, ale jakoś mu nie szło.

— Niech mi pan wybaczy, Porfiry Pietrowiczu, to co zaszło między nami... uniosłem się, — zaczął Raskolnikow, który już tak dalece nabrał odwagi, że nie mógł wyzbyć się chęci pobrawurowania.

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi, — podchwycił prawie z radością Porfiry, — bo to i ja sam również... Mam złośliwe usposobienie, kajam się, kajam! Zobaczymy się zatem. Jak Bóg da, to nawet bardzo, bardzo się zobaczymy!

— I wzajemnie poznamy się ostatecznie? — dodał Raskolnikow.

— I ostatecznie poznamy się wzajemnie, — potakiwał Porfiry, przymrużywszy oczy i spojrzawszy nań bardzo poważnie. — Teraz pan idzie na imieniny?

— Na pogrzeb.

— Ach, tak, prawda, na pogrzeb! Niech pan szanuje swoje zdrowie, niech pan szanuje zdrowie...

— Nie wiem doprawdy, czego mam ze swej strony życzyć panu! — rzekł Raskolnikow, schodząc już ze schodów i zwróciwszy się nagle do Porfirego. — Życzyłbym panu większego powodzenia, albo sam pan rozumie, jakie pan ma śmieszne zajęcie!

— Dlaczego śmieszne — momentalnie nastawił uszu Porfiry, który już też zabierał się do odejścia.

— No, jakto, przecież tego biednego Mikołaja pan prawdopodobnie dręczył i męczył psychologicznie, po swojemu tak długo, dopóki się nie przyznał. Na pewno mu pan dowodzi dzień i noc: „Tyś zabił! Ty zabiłeś!"... a teraz, kiedy się nareszcie przyznaje, znowu zaczyna go pan maglować: „Kłamiesz, bracie, to nie ty zabiłeś! Nie mogłeś zabić! Powtarzasz cudze słowa!" No co, czy to nie śmieszne zajęcie?

— Che, che, che! A jednak zauważył pan, że powiedziałem Mikołajowi, że on powtarza „cudze słowa"?

— Czyż można było nie zauważyć?

Che, che! Pan jest sprytny, sprytny! Pan wszystko sobie zauważył! Prawdziwie lotny umysł! I zawsze załapie pan rzecz z najśmieszniejszej strony... che, che!... Wszak to Gogol podobno, miał ten dar rozwinięty w wysokim stopniu?

— Tak właśnie, Gogol... do najmilszego zobaczenia.

— Do najmilszego zobaczenia.

Raskolnikow poszedł prosto do domu. Był oszołomiony do tego stopnia i zbity z tropu, że przyszedłszy do siebie i rzuciwszy się na kanapę, siedział z kwadrans odpoczywając i starając się choć trochę uporządkować myśli. Na temat Mikołaja nie próbował się nawet zastanawiać: był zdumiony. Było w tem przyznaniu się coś zagadkowego, zadziwiającego, coś, czego teraz w żaden sposób nie mógł zrozumieć. Jednak przyznanie się Mikołaja do zbrodni było niezbitym faktem. Następstwa tego faktu były dlań odrazu jasne: kłamstwo musi się wydać i wtedy znów zabiorą się do niego. W każdym razie, tymczasem, jest wolny i powinien bezwarunkowo coś przedsięwziąć, gdyż niebezpieczeństwo jest nieuniknione.

Ale jak dalece nieuniknione? Sytuacja zaczęła się wyjaśniać. Przypominając sobie mniej więcej, w ogólnych zarysach, niedawną scenę z Porfirym, nie mógł powstrzymać pewnego dreszczu zgrozy. Coprawda nie znał jeszcze wszystkich zamierzeń Porfirego, nie przeniknął całego jego wyrachowania. Jednak częściowo karty zostały otwarte i nikt nie był w stanie lepiej od niego zrozumieć, jak groźne dlań było to „wyjście" w grze Porfirego. Jeszcze chwila i byłby się zdradził całkowicie. Porfiry, znając jego chorobliwe usposobienie i przeniknąwszy go i oceniwszy trafnie od pierwszego wejrzenia, działał może zbyt ostro, ale prawie na pewno. Niema dwuch zdań, Raskolnikow zdążył się już dostatecznie skompromitować, lecz mimo to do *faktów* jeszcze nie doszło, wszystko było jeszcze względne. Ale czy jednak rozumie on to, jak należy? Czy się nie myli? Do czego właściwie dążył dziś Porfiry? Czy rzeczywiście miał coś przygotowanego na dzisiaj? I co właściwie? Czy rzeczywiście czekał na coś, czy nie? Jak wyglądałoby ich dzisiejsze rozstanie, gdyby nie nieoczekiwana katastrofa z Mikołajem?

Porfiry otworzył prawie wszystkie swoje karty, ryzykował, to prawda, ale otworzył i gdyby wiedział coś więcej (Raskolnikow był ciągle tego mniemania), zdradziłby się z tem również. Co to była za „niespodzianka"? Drwiny,

czy co? Czy to miało jakieś znaczenie, czy nie? Czy mogło się pod tem kryć coś podobnego do faktu, do konkretnego oskarżenia? Wczorajszy gość? Gdzież on przepadł? Gdzie był dzisiaj? Jeżeli jednak Porfiry wie coś konkretnego, to to musi mieć związek z wczorajszym gościem...

Raskolnikow siedział na kanapie, spuściwszy głowę, łokciami wsparty na kolanach, z twarzą ukrytą w dłoniach. Drżał jeszcze nerwowo całem ciałem. Wreszcie wstał, wziął czapkę, zastanowił się chwilę i skierował się ku drzwiom.

Miał przeczucie, że przynajmniej dziś nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Nagle ucieszył się niemal serdecznie: miał ochotę pójść zaraz do Katarzyny Iwanowny. Na pogrzeb, naturalnie, spóźnił się, ale na stypę jeszcze zdąży i tam zaraz zobaczy Sonię.

Zatrzymał się, pomyślał i bolesny uśmiech rozchylił mu usta.

— Dzisiaj! Dzisiaj! — powtarzał sobie. — Tak, jeszcze dzisiaj! Tak trzeba...

Chciał właśnie otworzyć drzwi, gdy nagle zaczęły uchylać się same. Zadrżał i odskoczył wtył. Drzwi odchylały się wolno i spokojnie i nagle stanęła przed nim postać— wczorajszego człowieka z pod ziemi.

Człowiek ten zatrzymał się na progu, spojrzał na Raskolnikowa i wszedł do pokoju. Był zupełnie taki sam, jak wczoraj: ta sama postać, tak samo ubrany, ale twarz i spojrzenie bardzo się zmieniły: wyglądał na zgnębionego i, zatrzymawszy się na chwilę, westchnął głęboko. Gdyby jeszcze podparł twarz dłonią i przekrzywił głowę na bok, wyglądałby zupełnie, jak stara baba.

— Czego pan chce?—zapytał Raskolnikow i struchlał.

Człowiek milczał i nagle pokłonił mu się głęboko, prawie do ziemi, przynajmniej palcami prawej ręki dotknął podłogi.

— Czego pan chce? — krzyknął Raskolnikow.

— Zawiniłem, — cicho wyrzekł człowiek.

— W jaki sposób?

— Niesłusznie podejrzewałem.

— O co?

— O złe zamiary.

Przyglądali się sobie wzajemnie.

— Złość mnie wzięła. Kiedy to pan wtedy przyszedł, może trynknięty, wzywał stróży do cyrkułu i pytał się o krew, złość mnie wzięła, że z pana głupiego zrobili i wzięli za pijanego, taka złość, że nawet od spania mnie chęć odeszła. A przyuważywszy adres, przychodziło się tu wczoraj i pytało...

— A kto przychodził? — przerwał Raskolnikow, zaczynając sobie przypominać.

— A niby ja, ukrzywdziłem pana.

— To pan jest z tamtego domu?

— Ja tam wtedy z niemi w bramie stojałem, pan nie pamięta? Ma tam człowiek i swoją warsztacinę nie od wczoraj. Kuśnierze jezdeśmy, miastowi, chałupnicy... A już najbardziej złość mnie o to wzięła...

I nagle Raskolnikow przypomniał sobie wyraźnie całą onegdajszą scenę pod bramą. Uprzytomnił sobie, że prócz stróży stało tam jeszcze kilka osób, jakieś kobiety. Przypomniał sobie głos proponujący, aby go odrazu odprowadzić do cyrkułu, twarzy mówiącego nie zapamiętał i teraz jej nie poznawał, ale przypomniał sobie, że wtedy zwrócił się do niego i coś mu odpowiedział.

A więc tak wygląda powód wczorajszej zgrozy! Na tem się skończy to całe wczorajsze przerażenie. Najstraszniejsza była myśl, że rzeczywiście omal nie zginął, omal nie zgubił się przez taką marną okoliczność. Zatem, poza sprawą wynajmu mieszkania i rozmów o krwi, człowiek ten o niczem powiedzieć nie może. Zatem Porfiry również nic nie wie poza tą gorączką, nie wie o żadnych faktach, prócz tej psychologji, która, jak kij, ma dwa końce, nic konkretnego. A więc, o ile nie będą ujawnione żadne nowe fakty (a nie powinny się dalej ujawnić, nie powinny, nie powinny...), to... co mu mogą zrobić? W jaki sposób mogą go zdemaskować, gdyby go nawet zaaresztowano? Zatem Porfiry dopiero teraz dowiedział się o mieszkaniu, a dotychczas nie wiedział o niczem.

— To pan powiedział dziś Porfiremu, że ja... byłem? — krzyknął, olśniony nagłym pomysłem.

— Jakiemu Porfiremu?

— Sędziemu śledczemu.

— Ja powiedziałem. Stróże wtedy nie poszli, to ja poszedłem.

— Dzisiaj?

— Momencik przed panem byłem. I wszystko słyszałem, jak to on pana męczył.

— Gdzie? Co? Kiedy?

— A tam, u niego, za przepierzeniem cały czas przesiedziałem.

—Jakto, to pan był tą niespodzianką? Jak to się mogło stać? Zlituj-że się pan!

— Jakem zobaczył, — zaczął rzemieślnik, — że stróże na moje powiedzenie iść nie chcą, bo to — mówią jest późno, jeszcze zeklnie, że wtedyśma nie przyszli, tak mnie złość wzięła i spać już nie chciałem i zacząłem się przepytywać. A jakiem się wczoraj wywiedział, to dziś przyszedłem. Najsamprzód przyszedłem — nie było go, za godzinkem przyszedł — nie przyjął, trzecim raz przyszedł — dopuścił. Zacząłem mu meldować, że tak i tak, jak zaczął po pokoju latać i w piersi się bić: „Co wy ze mną, zbóje, robicie? Żebym ja taką rzecz wiedział, tobym go pod strażą tu sprowadził!". Potem wyleciał, kogoś tam zawołał, w kącie z nim pogadał, a potem znów do mnie i pyta się i klnie. Naprzeklinał się, a ja mu wszystko powiedziałem i mówiłem, że pan mi wczoraj nic nie miał śmiałości odpowiedzieć i że pan mnie nie poznał. I jak zaczął znowu biegać i ciągle się w piersi bił, i zły był, i biegał, a jak pana zameldowali, — no, powiada, właźże za przepierzenie, nie ruszaj się, żebyś tam nie wiem co usłyszał. Sam mi tam krzesło przyniósł i zamknął mnie. Może — mówi, — i ciebie będę pytać. A jak przyprowadzili Mikołaja, to mnie zaraz po panu wprowadził: ja cię, — powiada, — jeszcze każę wezwać i jeszcze będę pytać...

— Mikołaja badał przy tobie?

— Jak pana wyprowadził, to i mnie zaraz wyprowadził, a Mikołaja pytać zaczął.

Mieszczanim umilkł i nagle znowu ukłonił się w pas, dotknąwszy palcami podłogi.

— Niech już pan mi wybaczy tę moją obmowę i złość.

— Niech ci Bóg przebaczy, — odpowiedział Raskolnikow.

Gdy tylko to powiedział, mieszczanin znów zgiął się w ukłonie, tym razem już nie do ziemi, lecz tvlko do pasa, odwrócił się wolno i wyszedł z pokoju. „Wszystko ma teraz dwa końce, wszystko ma dwa końce", powtarzał Raskolnikow i, bardziej niż kiedykolwiek pewny siebie, wyszedł z pokoju.

„Teraz spróbujemy się jeszcze" powiedział ze złym uśmiechem, schodząc ze schodów. Złość skierowana była do niego samego: ze wstydem i pogardą przypomniał sobie swoje „tchórzostwo".

---

# CZĘŚĆ PIĄTA

I.

Ranek, który nastąpił po fatalnem zajściu z Dunią i Pulcherją Aleksandrowną, przyniósł Łużynowi otrzeźwienie. Ku wielkiemu swemu zmartwieniu zaczął powoli oswajać się z myślą, że to, co jeszcze wczoraj wydawało mu się czemś fantastycznem, było jednak rzeczywistością nie do naprawienia, jakkolwiek ciągle jeszcze niezupełnie prawdopodobną. Czarny wąż podrażnionej miłości własnej całą noc gryzł mu serce. Zaraz po wstaniu z łóżka Łużyn przejrzał się w lustrze. Obawiał się, czy mu się wypadkiem w nocy żółć nie rozlała. Pod tym względem jednak wszystko było na razie w porządku. Obejrzawszy starannie swoją godną, białą, ostatnio nieco nalaną twarz, Łużyn nabrał na chwilę otuchy, w pełni przekonania, że potrafi znaleźć sobie inną narzeczoną, kto wie nawet, czy nie odpowiedniejszą. W tej samej chwili jednak zamyślił się i splunął energicznie, wywołując tem milczący, lecz sarkastyczny uśmiech swego przyjaciela i współlokatora, Andrzeja Lebieziatnikowa. Uśmiech ten Łużyn zauważył i postanowił zanotować dobrze w pamięci. W ostatnich czasach wiele sobie notował w pamięci na rachunek swego młodego przyjaciela. Gniew jego wzmógł się jeszcze, gdy zorjentował się nagle, że nie powinien był opowiadać Andrzejowi o wczorajszych wypadkach. To był drugi błąd, popełniony wczoraj w uniesieniu, w rozdrażnieniu, przez zbyteczną ekspansywność... Następnie w ciągu całego tego rana przykrości szły jedna za drugą. Nawet w senacie nie powiodła mu się pewna sprawa, którą tam załatwiał. Najbardziej jednak zdenerwo-

wał go gospodarz domu, od którego, w przewidywaniu bliskiego ślubu, wynajął mieszkanie. Mieszkanie to Łużyn odnawiał na własny rachunek. Gospodarz, wzbogacony Niemiec, za nic nie chciał zwolnić go z zawartego kontraktu i żądał wypłaty całego przewidzianego odszkodowania, bez względu na to, że Łużyn oddawał mu lokal niemal zupełnie odnowiony. Zupełnie zresztą podobnie w składzie mebli za nic nie chciano zwrócić choćby rubla z zadatku, danego na kupione, lecz jeszcze nie zabrane, meble. „Nie mogę się przecież ożenić specjalnie dla mebli!", zgrzytał zębami Łużyn i w tej samej chwili raz jeszcze błysnęła mu rozpaczliwie nadzieja: „Czy rzeczywiście wszystko bezpowrotnie przepadło i skończyło się? A może raz jeszcze spróbować?". Myśl o Duni raz jeszcze zapaliła pokusą jego serce. Z męką zniósł tę myśl i gdyby można było samem tylko życzeniem zabić Raskolnikowa, Łużyn napewnoby to życzenie teraz wypowiedział.

„Błąd mój polegał jeszcze na tem, że nie dawałem im wcale pieniędzy", myślał z przygnębieniem, wracając do pokoiku Lebieziatnikowa, „i przez co u djabła tak zżydziałem? Przecież to było nawet złe wyrachowanie! Chciałem, żeby je dobrze bieda przycisnęła, żeby doprowadzić do tego, by patrzyły na mnie, jak na swoją opatrzność, a one za to!... Tfu!... Nie, żebym tak wydał przez ten cały czas naprzykład z tysiąc pięćset rubli na wyprawę, na prezenty, na różne bombonierki, nesesery, biżuterje, materjały i na inne śmiecie od Knopa i z angielskiego magazynu, to byłoby przyzwoiciej i... zręczniej! Nie zerwałaby teraz tak łatwo ze mną! To są tego rodzaju ludzie, że uważaliby za swój moralny obowiązek zwrócić wszystko przy zerwaniu i prezenty i pieniądze. A zwracać byłoby i trudno i przykro! Bo to mieliby i wyrzuty sumienia: jakżeż można tak nagle wypędzić człowieka, dotychczas tak szczodrego i delikatnego? Hm! Palnąłem głupstwo!". Zgrzytnąwszy raz jeszcze zębami, Łużyn nawymyślał sobie od głupców — w myśli, naturalnie.

Przyszedłszy do tego wniosku, wrócił do domu, bardziej jeszcze zły i zdenerwowany. Zaciekawiła go, przygotowywana w pokoju Katarzyny Iwanowny, stypa. Już

wczoraj słyszał coś o tem, przypominał sobie, że go nawet zaproszono, lecz, zajęty własnemi sprawami, zapomniał o wszystkiem. Zasiągnąwszy informacyj u pani Lippewechsel, krzątającej się około nakrywania stołu, w czasie nieobecności Katarzyny Iwanowny, która była na cmentarzu, dowiedział się, że stypa będzie uroczysta, że zaproszeni są wszyscy lokatorzy, nawet ci, którzy nieboszczyka nie znali, że zaproszono również Andrzeja Lebieziatnikowa, bez względu na dawną jego kłótnię z Katarzyną i że wreszcie jego samego, Łużyna, nie tylko proszą, ale oczekują z wielką niecierpliwością, jako najważniejszego gościa z pośród lokatorów. Pani Amalja, pomimo poprzednich nieporozumień, była zaproszona również z wielkiemi honorami, dlatego więc gospodarowała i krzątała się teraz niemal w upojeniu. Była przytem wystrojona, wprawdzie w żałobie, ale w całkowicie nowej, w jedwabiach, prosto z igły, co ją napawało dumą. Wszystkie te dane i wiadomości nasunęły Łużynowi pewną myśl, przeszedł wiec zamyślony do swego pokoju, to jest, do pokoju Andrzeja Lebieziatnikowa, dowiedział się bowiem, że w liczbie zaproszonych gości był również i Raskolnikow.

Andrzej, nie wiadomo dlaczego, całe rano siedział w domu. Z jegomościem tym łączyły Łużyna dziwne jakieś stosunki, co było zresztą zupełnie naturalne: Łużyn, niemal od dnia, w którym u niego zamieszkał, nienawidził go i pogardzał nim, lecz równocześnie jakby się go nieco obawiał. Przyjechawszy do Petersburga zamieszkał u niego nietylko wskutek obrzydliwego skąpstwa. Było to główną przyczyną, lecz były i inne. Jeszcze na prowincji słyszał o swym byłym wychowańcu, Andrzeju Semenowiczu, że zaliczał się do czołowych, młodych postepowców, a nawet podobno odgrywał ważną rolę w pewnych ciekawych i tajemniczych kołach. Uderzyło to Łużyna. Koła te, wszechpotężne, wszechwiedzące, pogardzające wszvstkimi i wszystkich demaskujące, oddawna już napawały Łużyna jakiemś dziwnem, zupełnie zresztą niedającem się określić, przerażeniem. Naturalnie, on sam, żyjąc na prowincji, nie mógł wyrobić sobie o czemś w tym rodzaju choćby przybliżonego pojęcia. Słyszał, jak i inni, że istnieją, zwłaszcza w Petersburgu, ja-

cyś postępowcy, nihiliści, wywrotowcy i t. d. i t. d., ale również, jak i inni, do absurdu przesadzał i przeistaczał sens i znaczenie tych nazw. Od kilku lat najbardziej obawiał się zdemaskowania i to było głównem źródłem jego przesadnego niepokoju, zwłaszcza na myśl przeniesienia swej działalności do Petersburga. Pod tym względem był, jak to się mówi, wystraszony podobnie, jak bywają czasami wystraszone małe dzieci. Kilka lat temu na prowincji, był jeszcze w zaraniu swej karjery, dwukrotnie świadkiem bezlitosnego zdemaskowania dość znacznych dygnitarzy gubernjalnych, których się czepiał i którzy go protegowali. Jeden z tych wypadków skończył się wyjątkowo skandalicznie, drugi zaś o mały włos nie zakończył się nadzwyczaj nieprzyjemnie. Oto dlaczego Łużyn postanowił natychmiast po przyjeździe do Peterburga dowiedzieć się, o co chodzi i, o ile to okaże się potrzebne, zabezpieczyć się na wszelki wypadek, szukając oparcia w „naszem młodem pokoleniu". W tym względzie liczył na Andrzeja Semenowicza i, odwiedzając naprzykład Raskolnikowa, umiał już jako tako wtrącać do rozmowy pewne zasłyszane niedawno frazesy...

Jakkolwiek szybko zauważył, że Andrzej Semenowicz jest człowiekiem nadzwyczaj poziomym i prostakiem, lecz to go zupełnie nie rozczarowało, ani nie uspokoiło. Gdyby przekonał się, że wszyscy postępowcy są takimi samymi głuptasami, to i wtedy nawet nie uciszyłby się jego niepokój. Właściwie, wszystkie nauki, myśli i systematy, jakiemi zarzucił go Andrzej Semenowicz, nic a nic go nie obchodziły. Miał swoje własne cele. Chciał się jedynie jak najprędzej, natychmiast, dowiedzieć: co i w jaki sposób tutaj się dzieje? Czy ci ludzie posiadają siłę, czy nie? Czy ma się czego obawiać, czy też nie? Zdemaskują go, gdyby to a to przedsięwziął, czy nie zdemaskują? O ile zaś zdemaskują go, to za co właściwie i co mianowicie dziś się demaskuje? Nie koniec na tem, chciał wiedzieć, czy nie można się do nich dzisiaj wkręcić jakim sposobem i otumanić ich, jeżeli rzeczywiście są silni? Czy należałoby to zrobić, czy też nie? Czy nie dałoby się zużytkować ich pośrednictwa przy robieniu własnej karjery? Słowem, nasuwały się setki pytań.

Ów Andrzej Semenowicz był to szczapowaty i skrofuliczny jegomość, małego wzrostu. Miał jakąś tam posadę, przedziwne jasno blond włosy i kotletowate bokobrody, z których był bardzo dumny. Pozatem zawsze niemal bolały go oczy. Miał dosyć dobre serce, lecz mówił zwykle z wybitną pewnością siebie, a nieraz nawet niezwykle zuchwale, co przy jego chuderlawej figurce prawie zawsze robiło śmieszne wrażenie. Amalja Iwanowna zaliczała go jednak do liczby porządniejszych lokatorów, ponieważ nie upijał się i płacił regularnie za mieszkanie. Mimo tych wszystkich zalet, Andrzej Semenowicz w istocie był głupkowaty. Przystał do postępu i do „naszego młodego pokolenia" ze szczerego zamiłowania. Był jednym z tego niezliczonego i różnorodnego legjonu miernot, poronionych zdechlaków, niedouczonych zarozumialców, którzy czepiają się najmodniejszych, mających największe powodzenie, idei, aby je natychmiast poniżyć, żeby wykoszlawić to wszystko, czemu nieraz służą jak najszczerzej.

Lebieziatnikow choć bardzo dobry z natury, zaczął jednakże nieznosić swego współlokatora i dawnego opiekuna, Łużyna. Doszli wzajemnie do tego zupełnie niepostrzeżenie. Przy całej swej głupocie Andrzej Semenowicz zaczął się jednak powoli orjentować, że Łużyn w głębi duszy oszukuje go, pogardza nim i że jest „zupełnie innym człowiekiem". Usiłował wyłożyć mu zasady Fourrier'a i teorję Darwina, ale Łużyn, zwłaszcza ostatnio, zaczął się odnosić do tych wywodów zbyt sarkastycznie, a wkońcu nawet wymyślał mu. Instynktownie bowiem przeczuwał, że Lebieziatnikow jest nie tylko marnym głupcem, ale prawdopodobnie i blagierem i że niema żadnych poważniejszych stosunków nawet w swojem kole, lecz że zaledwie słyszał coś nie coś od osób trzecich. Ponadto zdawało się, że nie zna dobrze swej roli *propagatora*, bo wikłał się bardzo w swoich wywodach. I czyż taki potrafiłby demaskować? Mimochodem należy tu zauważyć, że Łużyn wysłuchiwał chętnie przez półtora tygodnia (zwłaszcza z początku) niezwykle dziwnych pochwał Andrzeja Semenowicza. To znaczy, że nie protestował i milczał, gdy ten wmawiał weń naprzykład, że gotów jest popierać w przyszłości rychłe

urządzenie nowej „komuny“, gdzieś na ulicy Mieszczańskiej, albo, że zamierza nie przeszkadzać Duni, jeżeli będzie miała ochotę zaraz w pierwszym miesiącu po ślubie wziąć sobie kochanka, albo że nie będzie chrzcił swych przyszłych dzieci i t. d. i t. d., wszystko w tym rodzaju. Łużyn zwykle nie protestował przed przypisywaniem mu takich zalet i przyjmował nawet tego rodzaju pochwały, tak dalece lubił każde pochlebstwo.

Sprzedawszy tego rana kilka pięcioprocentowych obligacyj, w tylko jemu wiadomych celach, Łużyn siedział przy stole i przeliczał plik banknotów i obligacyj. Andrzej Semenowicz, który prawie zawsze był bez pieniędzy, chodził po pokoju i udawał, że patrzy na to obojętnie, a nawet z pogardą. Łużyn za nic w świecie nie uwierzyłby, że Lebieziatnikow może patrzeć obojętnie na tyle pieniędzy. Lebieziatnikow zaś z goryczą zastanawiał się nad tem, że Łużyn zdolny jest prawdopodobnie do takiego poglądu, a może nawet pragnąłby ukłuć i podrażnić swego młodego przyjaciela widokiem rozłożonych paczek banknotów, przypominając mu w ten sposób całą jego nicość i całą różnicę, która ich jakoby dzieli.

Uważał, że tym razem Łużyn jest niezwykle rozdrażniony i nieuważny, mimo, że on, Andrzej Semenowicz, począł rozwijać przed nim swój ulubiony plan urządzenia nowej specjalnej „komuny“. W krótkich odpowiedziach i uwagach, które się wyrywały Łużynowi w przerwach między szczękaniem gałek liczydła, dźwięczały zupełnie wyraźne i celowo niegrzeczne drwiny. Ale „humanitarny“ Lebieziatnikow przypisywał nastrój Łużyna wrażeniom wczorajszego zerwania z Dunieczką i płonął pragnieniem, jak najprędszego porozumienia się na ten temat: miał coś postępowego i uświadamiającego do powiedzenia w tej sprawie, co mogłoby pocieszyć jego szanownego przyjaciela i „bezwątpienia“ wpłynęłoby dodatnio na dalszy jego rozwój.

— Cóż to za stypę urządzają u tej... wdowy? — zapytał nagle Łużyn, przerywając Andrzejowi Semenowiczowi w najbardziej zajmującem miejscu jego wywodu.

— Niby pan nie wie! Przecież wczoraj jeszcze mó-

wiłem z panem na ten temat i wykładałem swój pogląd na tego rodzaju obrządki... Wszak ona zaprosiła również i pana, jak słyszałem. Sam pan z nią wczoraj rozmawiał...

— Nie przypuszczałem, że ta głupia żebraczka wpakuje w stypę całe pieniądze, jakie dostała od tego drugiego głupca... Raskolnikowa. Przechodząc przed chwilą, podziwiałem nawet, jakie tam robią przygotowania, wino... Zaproszono kilka osób, djabli wiedzą, co to znaczy! — ciągnął dalej Łużyn, wypytując się i nawiązując jakby celowo rozmowę na ten temat. — Co? Pan twierdzi, że ja również byłem zaproszony? — dodał nagle, podnosząc głowę. — Kiedy mianowicie? Nie pamiętam. Zresztą, nie pójdę. Co ja tam będę robił? Powiedziałem jej tylko wczoraj w przejściu, że jako uboga wdowa po urzędniku, może otrzymać jednorazową zapomogę w wysokości rocznej pensji męża. Czy czasami nie dlatego właśnie mnie zaprasza? He, he, he!

— Ja również nie mam zamiaru tam pójść, — powiedział Lebieziatnikow.

— Myślę sobie! Wytłukł pan ją własnoręcznie. Zrozumiałe, że pan się wstydzi, he, he!

— Kto wytłukł? Kogo? — oburzył się nagle Lebieziatnikow i nawet poczerwieniał.

— Pan — Katarzynę Iwanownę, miesiąc temu, zdaje się! Właśnie wczoraj słyszałem o tem... Tak, tak, tak to bywa z przekonaniami! Dobrze się pan obszedł z kwestją kobiecą, he, he, he!

— Wszystko to fałsz i oszczerstwo! — wybuchnął Lebieziatnikow, który ciągle obawiał się wspomnienia o tej sprawie. — Było zupełnie inaczej! To było co innego!... Źle panu powtórzono, to plotka. Poprostu broniłem się wtedy. Ona pierwsza rzuciła się na mnie z pazurami... Cały bak mi wydarła... Mam wrażenie, że każdy ma prawo do obrony swojej osoby. Nikomu nie pozwolę dokonywać gwałtu nade mną... Z zasady. Bo to już jest niemal despotyzm. Cóż miałem robić? Stać sobie przed nią spokojnie? Odepchnąłem ją tylko.

— Hę, he, he! — złośliwie wyśmiewał się dalej Łużyn.

— Czepia się pan tylko dlatego, bo sam pan jest zły i wścieka się... A to było głupstwo i nic nie ma wspólnego z kwestją kobiecą! Pan mnie źle zrozumiał; sądziłem, że stając na stanowisku, że kobieta jest równa mężczyźnie, nawet pod względem sił fizycznych (a tak już dziś uważają), musimy uważać, że i w podobnym wypadku musi być równouprawnienie. Potem, naturalnie, doszedłem do wniosku, że w zasadzie możliwość tego rodzaju wypadku nie powinna być rozpatrywana, bowiem bójki nie powinny mieć miejsca i są nie do pomyślenia w przyszłem społeczeństwie... i, że wogóle jest jakoś niezręcznie doszukiwać się równości w bijatyce. Nie jestem taki głupi... chociaż bójki właściwie się zdarzają... tfu, do djabła!... to jest w przyszłości nie będą się zdarzały, tylko teraz jeszcze się zdarzają... Z panem nie można dojść do ładu! Nie pójdę na stypę nie ze względu na to zajście. Poprostu nie pójdę z zasady, żeby nie brać udziału we wstrętnym zabobonie. A zresztą możnaby właściwie pójść, tak tylko, żeby się uśmiać. Szkoda, że nie będzie popów, bo wtedy na pewnobym poszedł.

— To znaczy, że poszedłby pan na przyjęcie po to, by opluć i przyjęcie i gospodarzy, czy tak?

— Wcale nie poto, żeby pluć, tylko żeby protestować. Poszedłbym w dobrym celu. Miałbym okazję, aby bezpośrednio przyczynić się do kształcenia i uświadamiania. Każdy ma obowiązek kształcić i uświadamiać i im ostrzej, tem lepiej. Mogę rzucić myśl, ziarno... Z ziaren wschodzą fakty. Nie skrzywdziłbym nikogo. Początkowo będą się może czuli urażeni, ale potem zobaczą sami, że przyszedłem im z pomocą. U nas naprzykład miano za złe Tieriebiewoj, (tej, co teraz jest w komunie), że kiedy wyszła z domu i... oddała się, to napisała do rodziców, że nie chce żyć wśród przesądów i zawiera wolny związek. Uważano, że obejście się z rodzicami było zbyt brutalne, że mogła była ich oszczędzić napisać delikatniej. Ja uważam to za głupstwo, wcale nie trzeba było delikatniej, przeciwnie, należy protestować. Naprzykład Warencowa żyła z mężem siedem lat, rzuciła dwoje dzieci i palnęła w liście mężowi prosto z mostu: „Zrozumiałam, że z tobą nie mogę być szczęśliwa. Nigdy ci nie wybaczę,

żeś mnie oszukiwał, ukrywając przede mną istnienie innego ustroju społecznego, to jest komuny. Niedawno dowiedziałam się o tem od pewnego szlachetnego człowieka, któremu się oddałam i z którym zakładam komunę. Mówię bez ogódek, bo uważam, że nieszlachetnie byłoby cię oszukiwać. Rób ze sobą co uważasz za stosowne. Nie licz na mój powrót, jest już zapóźno. Bądź szczęśliwy". Tak się pisze takie listy!

— Czy to jest ta sama Tieriebiewa, o której pan opowiadał, że zawarła już trzeci z rzędu wolny związek?

— Dopiero drugi, licząc jak należy. A niechby nawet i czwarty, czy piętnasty, to wszystko głupstwo! Teraz dopiero żałuję, że moi rodzice nie żyją. Marzyłem nieraz o tem, że gdyby żyli, tobym im dopiero palnął protest! Naumyślniebym coś takiego wyszukał... Jakiś „darowany kęs chleba", tfu! Jabym im pokazał! Jabym im dopiero zaimponował! Naprawdę, szkoda, że nie mam nikogo!

— Żeby mu zaimponować! He, he! Nie, niech tam sobie będzie, jak się panu podoba, — przerwał Łużyn. — Lepiej niech mi pan powie, zna pan przecież córkę nieboszczyka, taką szczuplutką! Czy to prawda, co o niej mówią? co?

— O co właściwie chodzi? Według mnie to jest zgodne z mojem osobistem przekonaniem, to jest właśnie normalny sposób bycia kobiety. We współczesnem społeczeństwie to nie jest zupełnie normalne, bo jest wymuszone, lecz w przyszłem stanie się całkowicie normalne, bo będzie swobodne. Ona nawet i teraz miała prawo: cierpiała, a to był jej fundusz zakładowy, kapitał, którym miała zupełne prawo rozporządzać. Naturalnie, w przyszłem społeczeństwie fundusze zakładowe nie będą potrzebne. Ale jej rola byłaby wytknięta w innym kierunku, uzasadniona harmonijnie i racjonalnie. Co się zaś tyczy osobiście Sofji Semenowny, to becnie uważam jej postępowanie za ucieleśniony, energiczny protest przeciwko ustrojowi społecznemu i głęboko ją za to szanuję. Cieszę się nawet, patrząc na nią!

— Opowiadano mi jednak, że właśnie przez pana musiała się usunąć z pokojów umeblowanych!

Lebieziatnikow formalnie wpadł we wściekłość.

— To nowa plotka! — ryczał. — Sprawa się miała zupełnie, zupełnie inaczej! No, to już całkowicie nieprawda! To Katarzyna Iwanowna wtedy skłamała, bo nic nie zrozumiała! I wcale się do Sofji Semenówny nie przystawiałem! Poprostu kształciłem ją zupełnie bezinteresownie, starając się podnieść ją do wyżyn protestu... Potrzebny mi był tylko protest, a Sofja Semenowna już wogóle nie mogła zostać w tym hoteliku!

— Namawiał ją pan może, żeby do komuny wstąpiła?

— Pozwoli pan sobie zwrócić uwagę, że pan ciągle dowcipkuje i to nieudanie. Nic pan nie rozumie! W komunie niema takich ról. Komunę urządza się właśnie poto, żeby wogóle takie role nie istniały. W komunie ta rola zmieni całą swą obecną istotę, to, co tu jest w niej głupie, to tam będzie mądre, to, co tu, w obecnych warunkach, jest nienaturalne, to tam będzie zupełnie naturalne. Wszystko zależy od otoczenia i środowiska, w jakiem człowiek żyje. Środowisko to wszystko, człowiek jest niczem. Zaś z Sofją Semenowną jestem zawsze w zgodzie, co może panu służyć za dowód, że nigdy nie uważała mnie za wroga i krzywdziciela. Zachęcam ją teraz do przystąpienia do komuny, ale na zupełnie, zupełnie innych zasadach! Dlaczego pana to bawi? Chcemy założyć własną komunę, oddzielną, na szerszych, niż poprzednie, podstawach. Poszliśmy dalej w swoich przekonaniach. Więcej negujemy! Gdyby Dobrolubow wstał z grobu, podyskutowałbym z nim. A Bielińskiego starłbym w proch! Narazie kształcę w dalszym ciągu Sofję Semenownę. To piękny, piękny człowiek!

— Używa więc pan sobie z tym pięknym człowiekiem, co? Che, che!

— Nie, nie! O, nie! Przeciwnie!

— No, zaraz przeciwnie! Che, che, che! Też pan powiedział!

— Niech mi pan wierzy! Bo niechże pan powie z jakiej racji miałbym to ukrywać przed panem? Przeciwnie, sam się temu dziwię: ze mną ona jest uporczywie, ostrożnie wstydliwa i cnotliwa.

— A pan, rozumie się, kształci... che, che! Dowodzi pan jej, że ten cały wstyd to głupstwo?...

— Wcale nie! Wcale nie! O, jak pan brutalnie i — przepraszam — głupio rozumie wyraz: kształcenie! N-ni-c pan nie rozumie! O, Boże, jak bardzo pan jest jeszcze... nie przygotowany! My dążymy do wolności kobiety, a pan jedno tylko ma na myśli. Pomijając zupełnie zagadnienie cnoty i kobiecego wstydu, jako rzeczy w istocie swej niepotrzebnych, nawet jako przesądów, ja całkowicie dopuszczam jej cnotliwość w stosunku do mnie, bo w tem przejawia się jej wola, to jest jej prawo. Naturalnie, gdyby mi sama powiedziała „chcę cię mieć", uważałbym to za wielką wygraną, bo ta dziewczyna bardzo mi się podoba. Ale teraz, w każdym razie przynajmniej nikt nigdy nie traktował jej grzeczniej i uczciwiej ode mnie, z większym szacunkiem dla jej zalet... Czekam i mam nadzieję — to wszystko!

— Niech-no pan jej da jakiś prezent. Założyłbym się, że o tem pan nie pomyślał.

— Nn—nic pan nie rozumie, powtarzam! To prawda, taki już jej los, ale tu idzie o coś innego! Zupełnie o coś innego! Pan poprostu pogardza nią! Stwierdzając fakt, który pan błędnie uważa za godny pogardy, odmawia pan istocie ludzkiej prawa do humanitarnego na nią poglądu. Pan nie wie jeszcze, jaki to charakter! Gniewa mnie tylko, że w ostatnich czasach przestała jakoś czytać i nie pożycza już ode mnie książek. Poprzednio pożyczała. Szkoda również, że przy całej swej energji i chęci protestu, czego już raz dowiodła, jest ciągle jakby zamało samodzielna, zamało, że tak powiem, niezależna, zbyt mało negująca, aby mogła ostatecznie wyzbyć się pewnych przesądów i... głupstw. Mimo to doskonale rozumie pewne zagadnienia. Naprzykład wspaniale pojęła sprawę całowania w rękę, to jest, że mężczyzna poniża kobietę, całując ją w rękę. Dyskutowano u nas na ten temat i zaraz jej to powtórzyłem. Słuchała również uważnie o stowarzyszeniach robotniczych we Francji. Teraz tłumaczę jej sprawę wolnego wstępu do mieszkania w przyszłem społeczeństwie.

— A to co znów takiego?

— Dyskutowano ostatnio nad następującą sprawą: czy członek komuny ma prawo wejść o każdej porze do

mieszkania, d pokoju innego członka, mężczyzny lub kobiety. Zdecy owano, że ma...

— A żeli ten lub ta zajęty jest w danej chwili załatwianiem naturalnej potrzeby, che, che!

Andrzej rozgniewał się.

— Pan ciągle w kółko jedno i to samo! Tylko o jednem pan myśli, ciągle o tych przeklętych „potrzebach“! — krzyknął z nienawiścią. — Tfu! Zły, wściekły jestem, że wtedy, zapoznając pana z naszym programem, wspomniałem przytem zbyt wcześnie o tych przeklętych potrzebach. Niech djabli porwą! To przedewszystkiem kole w oczy wszystkich, podobnych panu, zwłaszcza na tem ostrzą sobie zęby, jeszcze zanim raczą się dowiedzieć o co idzie! I jeszcze mają rację! Mają też być z czego dumni! Tfu! Kilkakrotnie już stwierdziłem, że to całe zagadnienie można wykładać nowicjuszom dopiero w samym końcu, kiedy już wierzą w nasz system, gdy człowiek jest już ukształcony i pokierowany. Bo niech mi pan powie, proszę, co pan właściwie widzi tak haniebnego i niegodnego naprzykład w gnojówkach? Ja pierwszy gotów jestem czyścić jakie pan tylko chce gnojówki! To nie jest nawet żadne poświęcenie! To poprostu robota, szlachetna, przynosząca korzyść społeczeństwu praca, nie gorsza od innych, a napewno lepsza od działalności jakiegoś naprzykład Puszkina, czy Rafaela, bo pożyteczniejsza.

— I szlachetniejsza, szlachetniejsza, che, che, che!

— Co to znaczy szlachetniejsza? Nie rozumiem podobnych wyrażeń przy określaniu działalności człowieka. „Szlachetniej“, „godniej“ — to wszystko głupstwa, nonsensy, stare przesądy, których nie uznaję. Wszystko to, co jest p o ż y t e c z n e dla ludzkości, jest szlachetne. Jeden tylko wyraz rozumiem: p o ż y t e c z n i e! Niech pan sobie chichocze, ile się panu podoba, ale tak jest!

Łużyn śmiał się głośno. Skończył liczyć i schował pieniądze, których część zostawił jednak w jakimś celu na stole. Owo „zagadnienie o gnojówkach“, mimo swej błahości, dawało już kilkakrotnie powód do kłótni i zrywania stosunków między Łużynem a jego młodym przyjacielem, Andrzej Semenowicz bowiem irytował się rzeczywiście, Łużyn

zaś nie posiadał się skutkiem tego z radości. Tym razem miał ochotę szczególnie zirytować Lebieziatnikowa.

— To przez swoje wczorajsze niepowodzenie jest pan dziś tak zły i czepia się, — wyrwał się wkońcu Lebieziatnikow, który zasadniczo, pomimo swej „niezależności" i wszystkich swoich „protestów" nie śmiał oponować Łużynowi i przez przyzwyczajenie z dawnych lat odnosił się doń jeszcze z pewnym szacunkiem.

— Niech-no mi pan powie, — przerwał Łużyn zgóry z rozdrażnieniem, — czy pan może... albo inaczej powiedziawszy, czy rzeczywiście stosunki pańskie ze wspomnianą poprzednio osobą są tak bliskie, że możnaby ją poprosić na chwilę teraz do naszego pokoju? Zdaje się, że wszyscy już wrócili z cmentarza... Słyszę, że zaczął się tam ruch... Chciałbym zobaczyć tę osobę.

— A poco właściwie? — zapytał ze zdziwieniem Lebieziatnikow.

— A tak, mam interes. Dziś-jutro wyprowadzę się stąd i dlatego chciałbym jej zakomunikować... Zresztą, może pan zostać tutaj podczas rozmowy. Bo to mógłby pan sobie Bóg wie co pomyśleć.

— Nic sobie nie pomyślę... Tak się tylko pytałem i jeżeli pan ma do niej interes, to nic łatwiejszego, jak ją tu sprowadzić. Zaraz pójdę. I może pan być pewny, że nie będę przeszkadzał.

Rzeczywiście, po pięciu minutach Lebieziatnikow wrócił z Sonią. Weszła bardzo zdziwiona i jak zwykle zażenowana. W podobnych wypadkach czuła się zawsze skrępowana, lękała się bardzo nowych ludzi i nowych znajomości, lękała się i dawniej jeszcze w dzieciństwie, a teraz bardziej jeszcze... Łużyn przyjął ją „łaskawie i grzecznie", z pewnym nawet odcieniem wesołej poufałości, odpowiedniej, według niego, dla tak czcigodnego i solidnego człowieka, jak on, w stosunku do tak młodego i pod pewnym względem interesującego stworzenia, jak ona. Postarał się ją „ośmielić" i posadził przy stole, nawprost siebie. Sonia usiadła popatrzała wokoło, — na Lebieziatnikowa, na pieniądze, leżące na stole, potem znowu na Łużyna i już nie odrywała odeń oczu, jakby przykuta do niego. Lebieziatni-

kow skierował się ku drzwiom. Łużyn wstał, gestem poprosił Sonię, aby pozostała na miejscu i zatrzymał Lebieziatnikowa we drzwiach.

— Czy jest tam Raskolnikow? Przyszedł? — pytał go szeptem.

— Raskolnikow? Jest. Bo co? Tak, jest. Tylko co przyszedł, widziałem... Bo co?

— Wobec tego, specjalnie proszę pana o pozostanie tutaj z nami i o niezostawianie mnie samego z tą... panną. Idzie o drobiazg, a zrobią z tego Bóg wie co. Nie chcę, aby Raskolnikow powtórzył tam... Pan rozumie, co mam na myśli?

— A, rozumiem, rozumiem! — nagle domyślił się Lebieziatnikow, — tak, ma pan prawo... Wprawdzie, sądzę, że pan się posuwa zbyt daleko w swych obawach, ale... ma pan jednak prawo. Dobrze, zostanę. Stanę tutaj przy oknie i nie będę panu przeszkadzał... Uważam, że ma pan prawo...

Łużyn wrócił do kanapy, usiadł na wprost Soni, spojrzał na nią uważnie i nagle zrobił nadzwyczaj poważną, nawet nieco surową minę: „Żebyś sobie czasem sama czegoś nie wyobraziła, moja panno". Sonia zmieszała się do reszty.

— Po pierwsze proszę panią o wytłumaczenie mnie przed szanowną mamusią. Nie mylę się chyba? Katarzyna Iwanowna zastępuje pani matkę? — zaczął Łużyn nader poważnie, choć dość łaskawie. Widać było, że ma zupełnie przyjacielskie zamiary.

— Tak jest, tak, zastępuje mi matkę, — szybko i trwożliwie odpowiedziała Sonia.

— Zatem, niech pani wytłumaczy mnie przed nią, że wskutek okoliczności, niezależnych ode mnie, muszę zrobić zawód i nie przyjdę do państwa na bliny, to jest na stypę, mimo miłego zaproszenia pani mamusi.

— Tak... powiem... zaraz.

Sonia z pośpiechem zerwała się z krzesła.

— To j e s z c z e nie wszystko, — zatrzymał ją Łużyn, uśmiechnąwszy się na widok jej prostoduszności i braku wychowania. — Źle mnie pani zna, łaskawa Sofjo Semenowno, jeżeli pani sądzi, że pofatygowałbym i prosił

o osobiste przyjście taką osobę, jak pani, dla tak nieważnego i mnie tylko dotyczącego powodu. Mam inne przyczyny.

Sonia usiadła skwapliwie. Szare i tęczowe banknoty, niesprzątnięte ze stołu, mignęły jej przed oczami, lecz zaraz odwróciła od nich wzrok i spojrzała na Łużyna. Wydało jej się nagle, że to jest bardzo nieprzyzwoicie, zwłaszcza z jej strony przyglądać się cudzym pieniądzom. Następnie wzrok jej się zatrzymał na złotem face a main, którą Łużyn trzymał w lewej ręce i jednocześnie na wielkim, masywnym bardzo ładnym pierścieniu z żółtym kamieniem na serdecznym palcu tejże ręki. Znowu odwróciła oczy, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić w rezultacie utkwiła wzrok wprost w oczach Łużyna.

Łużyn milczał przez chwilę z jeszcze poważniejszą miną, poczem mówił dalej:

— Wczoraj, w przejściu miałem sposobność zamienić z Katarzyną Iwanowną dwa słowa. Te dwa słowa wystarczyły mi, aby się przekonać, że znajduje się ona, jeżeli tak można powiedzieć, w stanie nienormalnym...

— T—ak... w nienormalnym, — skwapliwie potakiwała Sonia.

— Lub powiedziawszy prościej i zrozumialej — jest chora.

— T—ak, prościej i zroz... T—ak, jest chora.

— T—ak. Zatem, powodowany humanitarnem uczuciem i, że tak powiem, współczuciem, przewidując jej los, pragnąłbym ze swej strony być jej w czemś pożyteczny. Zdaje się, że troska o tę nieszczęśliwą rodzinę spoczywa na pani jednej.

— Przepraszam pana, że zapytam, — nagle podniosła się Sonia, — co pan był łaskaw powiedzieć jej wczoraj o możliwości otrzymania emerytury? Jeszcze wczoraj powiedziała mi, że pan obiecał wystarać się jej o emeryturę. Czy to prawda?

— Ależ skąd! To jest nawet poniekąd nonsens. Wspomniałem tylko o zapomodze dla wdowy po zmarłym czynnym urzędniku, którąby można otrzymać przy pewnej protekcji. Ale, zdaje się, że nieboszczyk rodzic pani nie tylko nie wysłużył odpowiedniej ilości lat, ale w ostatnich cza-

sach nawet wcale nie urzędował. Słowem, gdyby nawet była jakaś nadzieja, to bardzo efemeryczna, bo w zasadzie w danym wypadku żadne prawa do zapomogi nie przysługują, a nawet przeciwnie... A ona już myślała o emeryturze, che, che, che! Przedsiębiorcza dama!

— T—ak, o emeryturze... Bo ona jest łatwowierna i dobra, przez dobroć wierzy we wszystko i... i... i... taka już jest T—ak... przepraszam powiedziała Sonia i znowu zabierała się do wyjścia.

— Przepraszam, pani nie wysłuchała do końca.

— T—ak, nie wysłuchałam, — bąknęła Sonia.

— Zatem, niech pani siada.

Sonia, strasznie zmieszana po raz trzeci usiadła znowu.

— Widząc jej położenie, i nieszczęsne, małoletnie dzieci, pragnąłbym, jak już powiedziałem, dopomóc jej w miarę możności, tak jest, w miarę możności, nie więcej. Możnaby urządzić naprzykład zbiórkę na jej korzyść, albo, że tak powiem, loterję... lub coś w tym rodzaju, jak to zwykle robią w podobnych wypadkach ludzie bliscy albo nawet i obcy, lecz pragnący nieść pomoc. O tem właśnie chciałem pani powiedzieć. To dałoby się urządzić.

— T—ak, to dobrze... Bóg panu za to, — bąkała Sonia, wpatrując się w Łużyna.

— Dałoby się, ale... o tem zresztą później... to jest dałoby się nawet dzisiaj. Wieczorem się zobaczymy, rozmówimy i ustalimy, że tak powiem, zasady. Niech pani przyjdzie do mnie, tak o godzinie siódmej. Andrzej Semenowicz, mam nadzieję, weźmie udział wraz z nami... Ale... jest pewna okoliczność, którą należy uprzednio dobrze rozważyć. Właśnie dlatego panią trudziłem, wzywając tutaj. Mianowicie, uważam, że samej Katarzynie Iwanównie nie należy, że to niebezpieczne, dać pieniędze do ręki. Najlepszy dowód — ta dzisiejsza stypa. Nie mając, że tak powiem, kęsa powszedniego chleba na dzień jutrzejszy, no i... obuwia i wogóle, kupuję dzisiaj rum Jamajka, nawet, zdaje się, maderę i — i — i kawę. Jutro zaś znowu wszystko spadnie na panią, każdy kęs chleba. To przecież nie ma sensu. Widziałem, przechodząc. Dlatego więc zbiórka, ja tak przynajmniej uważam, powinna być tak przeprowadzona, aby

nieszczęśliwa wdowa, że tak powiem, nie wiedziała nic o pieniądzach, a wiedziałaby o tem naprzykład tylko pani. Czy mam słuszność?

— Ja — nie wiem. Ona tylko dzisiaj tak... tak raz w życiu... tak bardzo chciała okazać pamięć, uczcić... ona jest bardzo mądra. Zresztą, jak pan uważa, ja będę bardzo bardzo, bardzo... oni wszyscy będą panu... i Bóg panu... i sieroty...

Sonia urwała i rozpłakała się.

— T—aak. Zatem, niech pani ma to na uwadze. A narazie zechce pani łaskawie przyjąć dla swojej rodziny na pierwsze potrzeby, pewną sumę ode mnie osobiście. Bardzo a bardzo pragnąłbym, żeby przy tem nie było wymieniane moje nazwsiko. Oto proszę... sam jestem w kłopotach, nie mogę więcej...

Łużyn podał Soni banknot dziesięciorublowy, starannie go rozwinąwszy. Sonia przyjęła, zaczerwieniła się, zerwała się z miejsca, wybełkotała coś i pospiesznie zaczęła się żegnać, Łużyn uroczyście odprowadził ją do drzwi. Wybiegła wreszcie z pokoju, zdenerwowana, zmęczona, nadzwyczajnie zmieszana i wróciła do Katarzyny Iwanówny.

Podczas tej całej sceny Andrzej Semenowicz stał przy oknie, lub chodził po pokoju, nie chcąc przerywać rozmowy. Kiedy Sonia wyszła, podszedł do Łużyna i uroczyście uścisnął mu rękę:

— Wszystko słyszałem i wszystko w i d z i a ł e m, — rzekł, akcentując z naciskiem ostatni wyraz. — To było szlachetne, to jest chciałem powiedzieć, ludzkie! Pan chciał uniknąć podziękowań, zauważyłem to! I chociaż przyznaję się, że z zasady nie pochwalam prywatnej dobroczynności, bo ona nie tylko nie tępi zła radykalnie, ale je nawet podtrzymuje, to jednak nie mogę nie przyznać, że z zadowoleniem patrzałem na pański postępek. Tak, tak, to mi się podobało.

— Ech, to głupstwo, — mruknął Łużyn niespokojnie, przyglądając się Lebieziatnikowowi.

— Nie, to nie jest głupstwo. Człowiek dotknięty i obrażony, jak pan wczorajszą historją, a jednocześnie zdolny do pamiętania o nieszczęściu innych, taki człowiek... na-

wet, gdy popełnia błąd społeczny — niemniej godzien jest poważania! Nie spodziewałem się tego po panu, tembardziej, że z pańskiemi przekonaniami, ach! Jak bardzo szkodzą panu pańskie przekonania! Jak pana denerwuje naprzykład wczorajszy zawód, — wykrzykiwał dobry z natury Lebieziatnikow, czując znowu przypływ sympatji dla Łużyna. — Poco panu, poco panu to małżeństwo, to legalne małżeństwo, szanowny kochany Piotrze Pietrowiczu? Na co panu koniecznie ta legalność w małżeństwie. Może mnie pan bić, a ja będę mimo to utrzymywał, że się cieszę, cieszę, że to nie doszło do skutku, że pan jest wolny, że pan nie jest jeszcze zupełnie stracony dla ludzkości, cieszę się z tego... No, widzi pan, wypowiedziałem się!

— Poto, że nie mam ochoty być rogaczem w pańskim wolnym związku i niańczyć cudzych dzieci, poto potrzebne mi jest legalne małżeństwo, — odpowiedział Łużyn tylko, aby cośkolwiek odpowiedzieć. Absorbowało go coś i był zamyślony.

— Dzieci? Pan wspomniał o dzieciach? — drgnął Andrzej Semenowicz, jak koń wojskowy, który usłyszał pobudkę. — Dzieci — to zagadnienie społeczne pierwszorzędnej wagi, zgadzam się. Lecz zagadnienie to będzie inaczej rozwiązane. Są tacy, którzy zupełnie odmawiają dzieciom racji bytu, podobnie jak wszystkiemu, co przypomina rodzinę. O dzieciach pomówimy później, teraz zajmiemy się sprawą rogów. Przyznam się panu, że to jest moja słaba strona. To wstrętne, huzarskie wyrażenie Puszkina jest nie do pomyślenia w słowniku przyszłości. Właściwie, co to są rogi? O, cóż to za nieporozumienie! Jakie rogi? Poco rogi?... Cóż za głupstwa! Myli się pan, właśnie w wolnym związku nie będzie na nie miejsca! Rogi — to jedynie logiczny skutek każdego legalnego małżeństwa, są one, że tak powiem, jego ulepszeniem, protestem, zatem, w tem rozumieniu, nie są nawet niczem poniżającem... Jeżeli kiedykolwiek, gdyby można było przypuścić możliwość takiego nonsensu, zawrę legalne małżeństwo, to nawet będę się cieszył z tych rogów, które pan uważa za taką hańbę. Powiem wtedy swej żonie: „Mój przyjacielu, do tej chwili kochałem cię tylko, teraz cię szanuję, bo zdobyłaś się na protest“. Pan

się śmieje! Dlatego, bo pan nie potrafi zerwać z przesądami! Niech djabli porwą, rozumiem przecież, na czem polega właściwie przykrość, gdy zdradza legalna małżonka: ale wszak to jest tylko podły skutek podłego faktu, który obie strony jednakowo poniża. Kiedy zaś sprawę rogów stawia się zupełnie szczerze, jak w wolnym związku, przestają one istnieć, są nie do pomyślenia i tracą nawet swą nazwę. Przeciwnie, żona pańska dowiedzie panu jedynie swego szacunku, uważając pana za niezdolnego do kładzenia tamy jej szczęściu i za stojącego dość wysoko na to, aby nie mścić się na niej za nowego męża. Niech djabli porwą, marzę czasami, że gdyby mnie wydano zamąż, tfu! gdybym zawarł związek małżeński, wszystko jedno wolny, czy legalny, to sam sprowadziłbym żonie kochanka, gdyby się zbyt długo nie mogła nań zdobyć. „Mój przyjacielu", powiedziałbym jej, „kocham cię, lecz nadewszystko pragnę, żebyś ty mnie szanowała!" Tak! Może nie mam racji, nie mam racji?

Łużyn słuchał, chichocząc, lecz nie przejmował się zbytnio. Nawet nie bardzo uważnie słuchał. W rzeczywistości myślał o czemś innem i Lebieziatnikow zauważył to wkońcu. Łużyn był czemś zaniepokojony, zacierał ręce, zamyślał się. To wszystko Andrzej później przypomniał sobie i wytłumaczył.

## II.

Trudno było określić, jakie właściwie pobudki zrodziły w skołatanej głowie Katarzyny Iwanówny myśl urządzenia tej bezsensownej stypy. Rzeczywiście z dwudziestu przeszło rubli, ofiarowanych przez Raskolnikowa głównie na pogrzeb Marmeladowa, wydano na stypę blisko dziesięć. Możliwe, że Katarzyna Iwanowna, poczuwała się względem nieboszczyka do obowiązku uczczenia jego pamięci „jak należy", żeby wszyscy lokatorzy, a zwłaszcza Amalja Iwanówna, wiedzieli, że on był „nie tylko nie gorszy od nich, ale może nawet znacznie lepszy" i żeby się nikt wobec niego nie ośmielał „zadzierać nosa". Możliwe, że wpłynęła na to ta specjalna „d u m a l u d z i b i e d n y c h", przez

którą przy pewnych ceremonjach publicznych, obowiązujących w życiu wszystkich i każdego z osobna, wielu biedaków wyłazi wprost ze skóry, wysupłuje ostatni zaoszczędzony grosz, żeby tylko było „nie gorzej niż u innych" i żeby ci inni czasami ich nie „obgadali". Być może również, że Katarzyna Iwanowna zapragnęła właśnie przy tej okazji, w chwili, kiedy zdawałoby się, że jest zupełnie przez wszystkich opuszczona, dowieść tym „marnym i złym lokatorom", że ona nie tylko umie „żyć i przyjmować", ale że wogóle taki marny los jej się wcale nie należał, bo była wychowana „w porządnym, ba, nawet, arystokratycznym domu ojca-pułkownika" zupełnie nie poto, żeby samej zamiatać i prać szmaty dzieciom po nocach. Takie paroksyzmy dumy i próżności zdarzają się czasem najbiedniejszym i najbardziej zgnębionym ludziom, nieraz zaś stają się ich nerwową i nieposkromioną potrzebą. Przytem Katarzyna wcale nie należała do liczby zgnębionych: okoliczności mogły ją zabić, ale nie mogły jej z g n ę b i ć moralnie, to jest przerazić i złamać jej woli. Poza tem Sonia zupełnie słusznie o niej mówiła, że jej się rozum miesza. Nie można było wprawdzie zawyrokować o tem konkretnie i ostatecznie, ale, rzeczywiście, w ciągu ostatniego roku biedny jej mózg zniósł zbyt wiele, aby to mogło pozostać bez wpływu. Silnie rozwinięte suchoty również przyczyniają się, zdaniem lekarzy, do pomieszania zmysłów.

W i n w liczbie mnogiej i w licznych gatunkach nie było, m a d e r y również: była to przesada, ale wino było. Pozatem: wódka i rum, wszystko w najgorszym gatunku, ale w dostatecznej ilości. Potraw, prócz kutji, było trzy czy cztery dania (w tem również i bliny), wszystko z kuchni Amalji Iwanowny, ponadto nastawiono równocześnie dwa samowary na projektowaną po obiedzie herbatę i poncz. Zakupy poczyniła sama Katarzyna Iwanowna przy pomocy jednego z lokatorów, jakiegoś zabiedzonego Polaka, który Bóg wie poco mieszkał u pani Lippewechsel. Przydzielił on się odrazu do Katarzyny Iwanowny na posyłki i biegał na złamanie karku przez cały wczorajszy dzień i całe dzisiejsze rano zziajany, jakby się umyślnie starał, by ten ostatni szczegół nie uszedł uwagi. Przybiegał co chwilę o każde głup-

stwo do Katarzyny Iwanówny, szukał jej nawet w Gościnnym Dworze, nazywał bez przerwy „panią chorążyną“ wkońcu znudził ją jak lukrecja, choć początkowo twierdziła, że nie dałaby sobie rady bez tego „usłużnego i szlachetnego człowieka“. Był to bowiem charakterystyczny rys Katarzyny Iwanowny, że w pierwszym lepszym odkrywała nagle najwspanialsze zalety i wychwalała go tak, że czasami wstyd było słuchać, zmyślała różne, nieistniejące szczegóły, malujące go w nader pochlebnem świetle i zupełnie szczerze i naiwnie wierzyła sama w te szczegóły. Potem znów nagle zniechęcała się do niego, rozczarowywała, mieszała z błotem i przepędzała bez litości człowieka, którego przed kilkoma godzinami formalnie czciła. Miała usposobienie z natury żywe, wesołe i zgodne. Jednak wskutek ciągłych nieszczęść i niepowodzeń zapałała tak namiętną żądzą, aby wszyscy żyli w zgodzie i radości i aby nie pozwalali sobie żyć inaczej, że najlżejszy dysonans najdrobniejsze niepowodzenie życiowe doprowadzało ją natychmiast do furji, w której bezpośrednio po najpiękniejszych marzeniach i fantazjach, przeklinała swój los rzucała, tłukła wszystko, co jej wpadło pod rękę i biła głową o mur. Amalja Iwanowna również nagle nabrała w jej oczach niezwykłego znaczenia i powagi. Być może jedynie dlatego, że gdy zaprojektowano stypę, bardzo serdecznie postanowiła wziąć udział we wszystkich przygotowaniach: podjęła się nakryć do stołu, dostarczyć obrusów i serwetek, naczyń itd. itd., oraz zgotować potrawy u siebie w kuchni. Katarzyna Iwanowna zdała na nią wszystko i, udając się na cmentarz, zostawiła ją w swojem mieszkaniu. Rzeczywiście, wszystko przygotowane było bez zarzutu: stół był nakryty dosyć nawet porządnie, naczynia, widelce, noże, kieliszki, szklanki, filiżanki — wszystko różnorodnych kształtów i wielkości, zbieranina od rozmaitych sąsiadów. Ale wszystko w oznaczonej godzinie było na swojem miejscu i Amalja Iwanowna w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, z pewną dumą wyszła na spotkanie wracających z cmentarza, wystrojona, w czepcu z nowemi żałobnemi wstążkami i w czarnej sukni. Ta duma, choć uzasadniona, nie podobała się Katarzynie Iwanownie: „jakby to bez niej nikt nie po-

trafił stołu nakryć"! Czepiec z czarnemi wstążkami nie podobał się jej również: „Bóg raczy wiedzieć, może się jeszcze ta głupia Niemka pyszni, że ona, gospodyni, z litości pomaga biednym lokatorom? Z litości! Proszę bardzo! U ojczulka, który był pułkownikiem, i omal nie został gubernatorem, nakrywało się nieraz stół na czterdzieści osób, a jakiejś tam Amalji Iwanówny, lub wyrażając się ściślej Ludwigowny nie wpuszczonoby nawet do kuchni..." Jednakże Katarzyna Iwanowna zdecydowała nie zdradzać się narazie ze swemi uczuciami, choć w głębi duszy uważała, że Amalję Iwanownę należałoby koniecznie dziś jeszcze utemperować i przypomnieć jej, gdzie jest jej właściwe miejsce, w przeciwnym bowiem razie gotowa jest Bóg wie co o sobie sądzić. Narazie zaś, potraktowała ją jedynie ozięble. Do zdenerwowania Katarzyny Iwanowny przyczyniła się inna jeszcze niemiła okoliczność. Na pogrzebie nie było prawie nikogo z sąsiadów, prócz Polaka, który mimo wszystko zdążył jednak wpaść na cmentarz. Na stypę natomiast zjawili się tylko najmniej znaczni i najbiedniejsi, niektórzy nawet po pijanemu, sama hołotka. Nikt ze starszych i stateczniejszych nie przyszedł, jak naumyślnie, jakby się umówili. Nie przyszedł naprzykład Piotr Piotrowicz, Łużyn, najsolidniejszy, rzec można, z lokatorów. Tymczasem, wczoraj wieczorem Katarzyna Iwanowna zdążyła już opowiedzieć wszystkim, to jest Amalji Iwanownie, Polci, Soni i Polakowi, że to jest najszlachetniejszy, najgodniejszy człowiek, że ma wielkie stosunki i majątek, był przyjacielem jej pierwszego męża, bywał w domu jej ojca i obiecał, że poruszy wszystkie sprężyny, aby wystarać się dla niej o znaczną emeryturę. Zauważyć należy, że gdy Katarzyna Iwanówna pyszniła się nawet czyimś majątkiem lub stosunkami, to robiła to bez żadnego wyrachowania, nie dla osobistych korzyści, lecz jedynie z dobrego serca, dla samej przyjemności chwalenia kogoś i nadania mu większej wartości. Prócz Łużyna, prawdopodobnie, „wzorując się na nim", nie przyszedł również „ten wstrętny łajdak Lebieziatnikow". A ten, co sobie myśli? Przecież zaproszono go tylko z łaski, bo mieszka w jednym pokoju z Łużynem, jest jego znajomym i jakoś, niezręcznie było go nie prosić". Nie przyszła również pewna

zmanierowana dama ze swoją córką „przejrzałą panicą“. Mieszkały w hoteliku Amalji Iwanowny dopiero dwa tygodnie, lecz już kilkakrotnie skarżyły się na hałasy i krzyki, dochodzące z pokoju Marmeładowych, zwłaszcza gdy nieboszczyk wracał pijany do domu. Katarzyna Iwanówna dowiedziała się o tem od gospodyni, gdy ta w kłótni krzyczała na całe gardło, że przepędzi całą rodzinę zakłócającą spokój „porządnym lokatorom“, którym „do pięt nie dorasta“. Katarzyna Iwanowna umyślnie teraz zaprosiła ową damę z córką, którym podobno „do pięt nie dorasta“, tembardziej, że ta, przy przypadkowych spotkaniach, wyniośle odwracała głowę. Niech więc wie, że tu „szlachetnie myślą i czują i zapraszają, wybaczając krzywdy“ i że Katarzyna Iwanówna ongiś do innej doli była przyzwyczajona. W tym celu zamierzała podać jej przy obiedzie do wiadomości, że ojczulek jej omal nie został gubernatorem, dodając przytem, że nie należy się odwracać przy spotkaniach i że to jest bardzo głupie. Nie przyszedł również gruby pułkownik (w rzeczywistości dymisjonowany sztabs kapitan), lecz okazało się, że jest „urżnięty“ jeszcze od wczoraj. Słowem stawili się jedynie: Polak, pewien niechlujny urzędniczyna milczący, w zatłuszczonym fraku, wągrowaty i wstrętnie cuchnący, i głuchy i prawie ślepy staruszek, były urzędnik jakiejś tam poczty, którego ktoś od niepamiętnych czasów, nie wiadomo poco, utrzymywał u Amalji Iwanówny. Zjawił się również pijany porucznik, a właściwie dymisjonowany urzędnik prowiantowy, który śmiał się bardzo nieprzyzwoicie i głośno i był „wyobraźcie sobie państwo“ bez kamizelki! Jakiś jegomość zasiadł sobie bez ceremonji do stołu, nie przywitawszy się nawet z Katarzyną Iwanowną. Wreszcie jakiś osobnik, nie mający ubrania, przyszedł w szlafroku, ale to już było tak dalece nieprzyzwoite, że Amalji Iwanownie i Polakowi udało się go jakoś wyprowadzić. Polak przyprowadził zresztą dwuch innych Polaków, którzy nigdy u Amalji Iwanówny nie mieszkali i których nikt dotychczas na oczy nie widział. Wszystko to w bardzo przykry sposób zdenerwowało Katarzynę Iwanównę. „Wobec tego, dla kogo właściwie robiło się to całe przyjęcie?“ Nawet dzieci, żeby było więcej miejsca umieszczono nie przy stole, tylko w kącie,

przyczem obydwuch malców posadzono na ławeczce, Polcia zaś jako najstarsza miała ich pilnować i wycierać im noski „jak dzieciom dobrze urodzonym". Słowem, Katarzyna Iwanówna mimowoli musiała traktować wszystkich ze zdwojoną wyniosłością i nawet pogardliwie. Niektórych zwłaszcza gości obrzuciła wyjątkowo surowem spojrzeniem i z godnością poprosiła do stołu. Uważając niewiadomo dlaczego, że to Amalja Iwanowna jest winna, że tylu gości nie przyszło, zaczęła traktować ją wyjątkowo niegrzecznie, co ta odrazu zauważyła i czem czuła się szczególnie dotknięta. Tego rodzaju początek nie wróżył dobrego końca. Zasiedli wreszcie do stołu. Raskolnikow wszedł prawie jednocześnie z powrotem rodziny Marmeładowych z cmentarza. Katarzyna Iwanówna ogromnie się ucieszyła, po pierwsze dlatego, że to był jedyny „wykształcony gość" wśród przybyłych i „jak wiadomo za dwa lata zamierzał objąć katedrę profesorską na tutejszym uniwersytecie", po drugie zaś dlatego, że przyszedłszy, przeprosił ją natychmiast z uszanowaniem, za to, że pomimo chęci nie mógł być na pogrzebie. Formalnie rzuciła się na niego, posadziła obok siebie na lewo (z prawej strony siedziała Amalja) i bez przerwy zwracała się do niego, mimo, że pochłaniała ją ciągła troska, aby porządnie rozdzielono i roznoszono wszystkim potrawy. Nie zwracała uwagi na kaszel, który co chwila przerywał jej mowę i dusił ją, wzmógłszy się jakby umyślnie w ciągu ostatnich dwuch dni. Szeptem wylewała przed nim wszystkie, nagromadzone żale i oburzenie na nieudaną stypę, przyczem oburzenie przechodziło często w wesołe, niepowstrzymane drwiny z zebranych gości, zwłaszcza zaś z samej gospodyni.

— Wszystkiemu to ziółko winne. Pan wie, o kim mówię: o niej, o niej! — Katarzyna Iwanowna wskazała palcem gospodynię. — Spójrz pan na nią: wytrzeszczyła oczy, domyśla się, że o niej mówimy, ale nie dosłyszy i oczy jej wyłażą. Tfu, sowa! ha, ha, ha!... Ech, ech, ech! I co właściwie ma znaczyć ten czepiec? Ekch, ekch, ekch! Zauważył pan, jak to chce, żeby się wszystkim zdawało, że ona mnie proteguje i zaszczyt mi robi swoją obecnością. Prosiłam ją, jak kogoś dobrego, żeby zaprosiła porządniejszych ludzi, czyli właśnie znajomych nieboszczyka, a patrz pan

kogo nasprowadzała: błaznów jakichś! Hołota! Niech pan spojrzy na tego wągrowatego, jakiś smark na dwóch nogach! A ci Polacy... cha, cha, cha! Ekch, ekch, ekch! Nikt, ich tutaj nie widział i ja ich na oczy nie widziałam. Poco przyszli, pytam się pana? Jakto sobie siedli rzędem. Panie, hej! — krzyknęła nagle do jednego z nich, — jadł pan bliny? Weź pan jeszcze! Piwa niech się pan napije, piwa! Wódki pan nie chce? Niech-no pan zobaczy: zerwał się, kłania się, patrz pan: pewno są zupełnie zagłodzeni, biedacy! Nic nie szkodzi, niech się najedzą. Nie hałasują przynajmniej, tylko... doprawdy boję się o srebrne łyżki gospodyni!... Amaljo Iwanówno, — zwróciła się nagle do niej, prawie głośno, — uprzedzam zgóry, w razie gdyby rozkradziono pani łyżki, to ja za to nie odpowiadam! Cha, cha, cha! — zaniosła się śmiechem, znowu zwracając się do Raskolnikowa wskazując mu gospodynię, ciesząc się ze swego dowcipu. — Nie zrozumiała, znowu nie zrozumiała! Siedzi z rozdziawionemi ustami, patrz pan, sowa, zupełnie sowa, sowisko z nowemi wstążkami, cha, cha, cha!

Śmiech jej przeszedł w dokuczliwy atak kaszlu, trwający prawie pięć minut. Na chustce zostały plamy krwi, na czoło wystąpiły krople potu. W milczeniu pokazała krew Raskolnikowowi i, ledwo odetchnąwszy, zaczęła znowu szeptać z wielkiem ożywieniem, z wypiekami na policzkach.

— Proszę pana, powierzyłam jej najdelikatniejszą, rzec można, misję zaproszenia tej damy z córką, pan wie, o kim mówię? W tej sprawie należało się zachować z całą delikatnością, działać z niezwykłą zręcznością, a ona to tak urządziła, że ta przejezdna gapa, ta zuchwała kreatura, ta marna prowincjałka, tylko dlatego, że jest wdową po jakimś majorze i przyjechała starać się o emeryturę i szargać spodnicę po urzędach, że się przy swoich pięćdziesięciu pięciu latach maluje, pudruje i różuje (to znana rzecz...) taka kreatura nietylko nie raczyła się pofatygować, ale nie przyszła nawet przeprosić, że nie może przyjść, jak tego wymaga najprostsza przyzwoitość. Nie rozumiem również dlaczego nie przyszedł Piotr Pietrowicz? Gdzie jest Sonia? Dokąd ona poszła? A, jest nareszcie! Gdzieś była, Soniu? Dziwne, że nawet na pogrzebie ojca nie możesz być punktualna.

Rodionie Romanowiczu, niech pan jej zrobi miejsce, Soniu... Weź sobie co chcesz. Napij się nalewki, jest lepsza. Zaraz przyniosę bliny. Czy dzieci dostały? Polciu, macie tam wszystko? Ekch, ekch, ekch! No, dobrze. Bądź grzeczna, Lenko, a ty Kola, nie machaj nóżkami, siedź jak grzeczne dziecko powinno siedzieć. Co mówisz Soniu?

Sonia powtórzyła jej zaraz przeprosiny Łużyna, starając się mówić głośno, dobierając wyrażeń pełnych szacunku i wykwintności, ubarwiając je nawet umyślnie i przypisując je Łużynowi. Dodała, że Łużyn prosił specjalnie o powtórzenie, że gdy tylko będzie mógł, przyjdzie, aby pomówić w cztery oczy o *interesach* i zdecydować, co będzie można zrobić i przedsięwziąć na przyszłość i t.d. i t.d.

Sonia wiedziała, że to ułagodzi i uspokoi Katarzynę Iwanownę, pochlebi jej, zwłaszcza zaś zadowoli jej ambicję. Usiadła przy Raskolnikowowie, przywitawszy się z nim krótko i obrzuciła go ciekawem, przelotnem spojrzeniem. Pozatem przez cały czas starała się nie patrzeć na niego i unikała rozmowy z nim. Ani ona, ani Katarzyna Iwanowna nie nosiły, z braku odpowiednich sukien, żałoby. Sonia miała jakąś suknię ciemno-bronzową, zaś Katarzyna Iwanowna jedyną swą suknię perkalową, ciemną w paski. Wiadomości od Łużyna zostały dobrze przyjęte. Wysłuchawszy Soni z bardzo godną miną, Katarzyna Iwanowna, również godnie zapytała o zdrowie Piotra Pietrowicza. Bezpośrednio potem, prawie głośnym *szeptem* zakomunikowała Raskolnikowowi, że rzeczywiście pomimo jego przywiązania do rodziny i dawnej przyjaźni z jej ojczulkiem, dziwnieby wyglądała obecność takiego poważnego i solidnego człowieka, jak Piotr Pietrowicz, wśród tak „niezwykłego towarzystwa".

— Dlatego jestem panu specjalnie wdzięczna, że pan nie pogardził moim chlebem i solą, nawet w takiem otoczeniu, — dodała niemal głośno. — Pewna jestem, że jedynie przez niezwykłą przyjaźń, jaką pan żywił dla mego biednego nieboszczyka, dotrzymał pan swego przyrzeczenia.

Następnie raz jeszcze dumnie i z godnością popatrzała na swoich gości poczem troskliwie zapytała głośno przez stół głuchego staruszka: „Czy nie życzy sobie pieczystego

i czy częstowano go winem?" Staruszek nie odpowiedział i długo nie mógł zrozumieć o co go pytano, choć sąsiedzi zaczęli go dla zabawy trącać. Oglądał się tylko wokoło z otwartemi ustami, czem wywoływał większą jeszcze wesołość.

— To dopiero gawron! Patrz pan, patrz pan! Poco go sprowadzono? Co się tyczy Piotra Pietrowicza, to zawsze wierzyłam w niego, — mówiła dalej Katarzyna Iwanowna do Raskolnikowa, — bo naturalnie on jest zupełnie inny niż... — ostro, głośno i bardzo surowo zwróciła się do Amalji, którą zmieszało to wystąpienie, — zupełnie inny, niż te pani wypapuzione lafiryndy, którym nieboszczyk mąż zaszczytby zrobił, gdyby je przyjął u siebie dzięki swej bezgranicznej dobroci.

— Tak, lubił się napić, lubił i pijał! — krzyknął nagle dymisjonowany prowiantowy, wychylając dwunasty kieliszek wódki.

— Nieboszczyk mąż rzeczywiście miał tę słabość, o tem wszyscy wiedzą, — rzuciła się na niego Katarzyna Iwanowna, — ale był człowiekiem dobrym i porządnym, kochał i szanował swoją rodzinę. Miał tylko tę wadę, że w dobroci swej zbytnio ufał wszelkim rozpustnikom. Bóg jeden wie, z kim mu się zdarzało pić, z takimi nawet co podeszwy jego nie byli warci! Niech pan sobie wyobrazi, Rodionie Romanowiczu, znaleziono u niego w kieszeni piernikowego kogutka: upił się do utraty przytomności, ale o dzieciach pamiętał!

— Ko-gut-ka? Powiedziała pani ko-gut-ka? — krzyknął pan prowiantowy.

Katarzyna Iwanowna nie raczyła mu odpowiedzieć. Zamyśliła się i westchnęła.

— Pan napewno myśli, jak wszyscy, że obchodziłam się z nim zbyt surowo, mówiła, zwracając się do Raskolnikowa, — To nieprawda! On mnie szanował, on mnie bardzo, bardzo szanował. Piękną duszę miał ten człowiek! Czasami bardzo mi go żal było! Nieraz siedzi, patrzy na mnie z kąta, żal mi go, chciałabym powiedzieć coś dobrego, ale myślę sobie: „Będę dobra, to pójdzie znowu pić". Tylko surowością można było go jakoś powstrzymać.

— T-a-k, zdarzało się darcie czupryny, zdarzało się nieraz! — zaryczał znowu prowiantowy i osuszył jeden kieliszek wódki.

— Nietylko darcie czupryny, ale i miotła przydałaby się pewnym głupcom. Nie o nieboszczyku teraz mówię! — odpaliła Katarzyna Iwanowna prowiantowemu.

Wypieki na jej policzkach były coraz mocniejsze i jaskrawsze, pierś falowała. Jeszcze chwila i byłaby wszczęła awanturę. Wiele osób śmiało się, wielu sprawiało to widoczną przyjemność. Prowiantowego zaczęto poszturchiwać i szeptać mu coś. Oczywiście, zamierzano poszczuć ich na siebie.

— Czy wolno z-a-apytać pod czyim to pani adresem? — zaczął prowiantowy, — to jest pod czyim... szanownym adresem... pani była łaskawa te... zresztą nie trzeba! Głupstwo! Wdowa! Wdówka! Przebaczam... pasuję i...

I golnął znowu wódki.

Raskolnikow siedział i słuchał, milcząc z obrzydzeniem. Jadł tylko przez grzeczność, żeby nie obrazić Katarzyny Iwanowny, ledwo dotykał porcyj, które mu co chwila nakładała. Uważnie przyglądał się Soni, coraz bardziej zakłopotanej i wystraszonej. Sonia również przeczuwała, że stypa nie skończy się spokojnie i ze strachem śledziła wzrastające rozdrażnienie Katarzyny Iwanowny. Wiedziała, że była główną przyczyną tego, iż obie przyjezdne damy tak pogardliwie potraktowały zaproszenie Katarzyny. Słyszała od samej Amalji, że matka czuła się nawet dotknięta temi zaprosinami i zapytała: „Czyż można przypuścić, by ona zgodziła się posadzić swoją córkę obok *tej panny*". Sonia domyślała się, że Katarzyna Iwanowna już w jakiś sposób dowiedziała się o tem. Zaś obraza Soni znaczyła dla Katarzyny Iwanowny więcej, niż jej osobista obraza, jej dzieci, ojczulka, słowem była śmiertelną obrazą i Sonia wiedziała, że Katarzyna Iwanowna nie uspokoi się teraz dopóty „dopóki nie pokaże tym flądrom, że one obie" i t. d. i t. d. Jak naumyślnie z drugiego końca stołu przesłał ktoś Soni na talerzu ulepione z razowego chleba dwa serca, przebite strzałą. Katarzyna Iwanowna oburzyła się i głośno zauwa-

żyła przez stół, że przysłał to „pijany osioł". Pani Amalja również miała złe przeczucia, przytem, obrażona do głębi wyniosłością Katarzyny Iwanowny, chciała przerwać przykry nastrój i odwrócić uwagę towarzystwa w swoją stronę. Ni z tego, ni z owego zaczęła zatem opowiadać, że jakiś jej znajomy „Karl z apteki" jechał w nocy dorożką i że „Dorożkarz chciał go zapijać i Karl go barso, barso prosil, szeby on go nie zapijal i plakal i rence sloszyl i wistraszyl i se stracha jemu serce skoszylo". Katarzyna Iwanowna wprawdzie uśmiechnęła się, ale zaraz dodała, że Amalja nie powinna opowiadać anegdotek po rosyjsku. Ta obraziła się jeszcze bardziej i odpowiedziała, że jej „Vater aus Berlin byl barso, barso waszny czlowiek i siągle rence do kieszeń wlazil". Skłonna do śmiechu Katarzyna Iwanowna nie wytrzymała i roześmiała się serdecznie, tak że Amalja poczęła ostatecznie tracić cierpliwość i ledwo już się hamowała.

— „To dopiero sowa! — szepnęła znowu Katarzyna Iwanowna do Raskolnikowa, prawie rozbawiona. — Chciała powiedzieć: chodził z rękoma w kieszeniach, a powiedziała, że do kieszeni je czyjejś wkładał. Ekch, ekch! Czy pan zwrócił uwagę, że wogóle ci wszyscy petersburscy cudzoziemcy, zwłaszcza zaś Niemcy, którzy do nas skądciś przyjeżdżają, wszyscy są od nas głupsi! Zgódź się pan! Czy można opowiadać, że „Karlowi z apteki ze strachu serce skoszylo" i ile że on (smarkul)! zamiast związać dorożkarza rence sloszyl i plakal i barso, barso prosil". Ach, idjotka! Myśli, że to jest bardzo wzruszające i nie wie, jaka jest głupia! Uważam, że ten pijany prowiantowy jest mądrzejszy od niej, przynajmniej widać, że hulaka, przepity do szpiku kości, a tamci wszyscy są spokojni i zrównoważeni... Jakto siedzi, oczy wybałuszyła. Gniewa się! Gniewa się! Ha, ha, ha! Ekch, ekch, ekch!

Rozbawiona Katarzyna Iwanowna wdała się w różne szczegóły i wreszcie opowiadać zaczęła, jak, dzięki otrzymanej emeryturze, bezwarunkowo założy w swem rodzinnem mieście T... pensjonat dla panien dobrze urodzonych. Ponieważ dotychczas sama jeszcze nie mówiła o tem Raskolnikowowi, więc teraz roztaczała przed nim z zapałem

najponętniejsze szczegóły. Niewiadomo skąd znalazł się w jej ręku ten sam „list pochwalny“, o którym wspominał Raskolnikowowi, nieboszczyk Marmeładow, wyjaśniając mu w knajpie, że żona jego, Katarzyna, kończąc instytut, tańczyła z szalem „przed gubernatorem i innemi osobami“. Oczywiście, list pochwalny miał teraz posłużyć, jako dowód, że Katarzyna Iwanowna ma prawo do założenia pensji. Ale przedewszystkiem był przygotowany dla ostatecznego pognębienia „obydwu wypapuzionych ladacznic“ na wypadek, gdyby przyszły na stypę. Miał im wyraźnie dowieść, że Katarzyna pochodzi z bardzo porządnego, „nawet arystokratycznego domu, córka pułkownika, a już na pewno porządniejsza od jakichś awanturnic, których się tyle zjawiło w ostatnich czasach“. List pochwalny zaczął krążyć wśród pijanych gości, bez protestu ze strony Katarzyny Iwanowny, gdyż rzeczywiście wymieniono w nim en toutes lettres, że jest ona córką radcy dworu i kawalera orderów, a zatem, w samej rzeczy córką niemal pułkownika. Katarzyna Iwanowna w zapale wykładała wszystkie szczegóły przyszłego, pięknego i spokojnego życia w T...; mówiła o nauczycielach gimnazjalnych, którym powierzy wykłady na pensji, o czcigodnym staruszku Francuzie Mangaut, który ją samą uczył francuskiego w instytucie, a który mieszka jeszcze dotychczas w T... i na pewno przyjmie u niej lekcje na umiarkowanych warunkach. Przyszła kolej i na Sonię, „która uda się do T... wraz z Katarzyną Iwanowną i będzie jej tam we wszystkiem pomagać“. W tem miejscu ktoś przy końcu stołu parsknął śmiechem. Katarzyna Iwanowna, jakkolwiek starała się udać, że nie zwróciła na to z pogardą uwagi, jednak umyślnie podniesionym głosem poczęła z zapałem mówić o niewątpliwych danych, jakie Sonia miała na jej pomocnicę. O „jej dobroci, cierpliwości i zaparciu się siebie, szlachetności i wykształceniu“, przyczem poklepała policzek Soni i, uniósłszy się, dwa razy ją gorąco pocałowała. Sonia zaczerwieniła się, zaś Katarzyna Iwanowna nagle się rozpłakała, mówiąc o sobie, że jest „głupia, nerwowa i już zbyt rozstrojona, że czas już, ponieważ obiad zjedzono, podać herbatę“. W tej chwili Amalja Iwanowna, oburzona do ostateczności tem, że nie brała naj-

mniejszego udziału w rozmowie i że jej nawet nikt nie słuchał, nagle zaryzykowała jeszcze jedną próbę i z rozpaczą w sercu pozwoliła sobie zrobić Katarzynie Iwanownie nader rzeczową i głęboką uwagę. Mianowicie że na przyszłej pensji należałoby się specjalnie troszczyć o czystą bieliznę panien (die Wäsche) i „że koniecznie musi być taki jeden dobry dam (die Dame), coby topsze patrzil na bielisnę“, a następnie „szeby szatna mloda siewica nie cital szaden romans w nosy“. Katarzyna Iwanowna, która rzeczywiście była zdenerwowana, bardzo zmęczona i znużona stypą, z miejsca „odpaliła“ Amalji, że plecie głupstwa“ i „nic nie rozumie“. Troska o „die Wäsche“, to rzecz gospodyni, a nie przełożonej porządnej pensji, co się zaś tyczy czytania romansów, to jest to poprostu nieprzyzwoitość i ona bardzo prosi, żeby Amalja Iwanowna zamilkła. Amalja oburzyła się i oznajmiła ze złością, że ona „chcial tobsze“, że ona „barso tuszo tobsze chcial“ i że jej „za mieszkanie dawno już Geld nie placil“. Katarzyna Iwanowna w tej chwili ją „utemperowała“ powedziawszy, że ona łże, mówiąc, że „chcial tobsze“, bo jeszcze wczoraj wieczorem, kiedy nieboszczyk leżał na katafalku, męczyła ją o komorne. W odpowiedzi na to Amalja zupełnie konsekwentnie zauważyła, że ona „ten dam prosila ale tych dam nie prziszed, bo to dam, posządny dam i nie mogą przichodzić do nieposządna dam“. Katarzyna Iwanowna natychmiast „zaznaczyła“, że taki niechluj nie może sądzić o tem, kto jest naprawdę porządny. Amalja nie wytrzymała i oświadczyła, że jej „Vater aus Berlin byl barso, barso waszny czlowiek i obie rence do kieszeń wlazil i ciągle robil tak: Puf, puf!“ Żeby dać dokładne pojęcie jak wyglądał jej Vater, Amalja zerwała się z krzesła, wpakowała obie ręce do kieszeni, wydęła policzki i wydawała nieokreślone dźwięki, podobne do puf, puf, przy akompanjamencie głośnego śmiechu wszystkich lokatorów, którzy zachęcali ją aprobatą w przekonaniu, że dojdzie do bójki. Tego było już za wiele dla Katarzyny Iwanowny i z miejsca na cały pokój „rąbnęła“, że Amalja Iwanowna może „wogóle wcale Vater‘a nie miała, że jest sobie zwyczajną, pijaną petersburską czuchonką, zaś poprzednio na pewno była kucharką, albo jeszcze gorzej“.

Amalja zaczerwieniła się jak rak i piszczała, że to może Katarzyna Iwanowna „całkiem Vater nie mieć, a ja mieć, Vater aus Berlin i dlugi surdut nosil i robil puf, puf, puf!“ Katarzyna Iwanowna zauważyła pogardliwie, że jej pochodzenie jest dobrze znane i że w tym właśnie liście pochwalnym drukowanemi literami zaznaczono, że ojciec jej był pułkownikiem. Zaś ojciec pani Amalji (o ile wogóle miała ojca) z pewnością był jakimś petersburskim czuchną i sprzedawał mleko. Ale najprawdopodobniej wcale nie istniał, bo do dziś dnia niewiadomo, czy mu było na imię Iwan czy Ludwik? Amalja, w ostatecznej pasji, zaczęła bić pięścią w stół i piszczeć, że jej Vater „nasywal Johan i on byl Bürgermeister“, a że Vater Katarzyny Iwanowny „zupełnie nigdy nie był Bürgermeister“. Katarzyna Iwanowna wstała z krzesła i surowo i spokojnie (chociaż blada i z mocno falującą piersią) oznajmiła, że jeżeli Amalja jeszcze choć raz ośmieli się porównać swego parszywego faterzynę z jej ojczulkiem, to ona, Katarzyna Iwanowna, zerwie jej czepek z głowy i podepcze go nogami“. Usłyszawszy to, Amalja zaczęła biegać po pokoju i krzyczeć z całej siły, że ona tu jest gospodynią, więc żeby Katarzyna Iwanowna „w ta chwila poszła z mieszkania“, poczem rzuciła się do zbierania ze stołu srebrnych łyżek. Wszczął się gwałt i krzyk, dzieci zaczęły płakać. Sonia mitygowała Katarzynę, ale gdy Amalja krzyknęła coś nagle o żółtej książce, Katarzyna Iwanowna odepchnęła Sonię i rzuciła się na nią, aby natychmiast wprowadzić w czyn swą obietnicę, dotyczącą czepka. W tej chwili otworzyły się drzwi i na progu stanął Piotr Piotrowicz Łużyn. Stał i surowem spojrzeniem obrzucił całe towarzystwo. Katarzyna Iwanowna skoczyła do niego.

## III.

— Piotrze Piotrowiczu! — krzyczała, — niechże choć pan mnie obroni. Niech pan wytłumaczy tej głupiej kreaturze, że nie ma prawa tak się obchodzić z dobrze urodzoną damą w nieszczęściu, że na to jest sąd... Ja do same-

go generał-gubernatora... Ona mi za to odpowie... Na chleb i sól mego ojca zaklinam, broń pan sieroty!

— Przepraszam, łaskawa pani... Ależ przepraszam, przepraszam panią, — bronił się Łużyn — ojczulka pani, jak pani o tem wiadomo, nie miałem zaszczytu znać... Daruje pani — (Ktoś roześmiał się głośno). — zaś w ustawicznych nieporozumieniach pani z Amalją Iwanowną nie mam zamiaru brać udziału... Mam tu interes... i chciałbym porozumieć się bezzwłocznie z pasierbicą pani, Sofją Iwanowną... Tak, zdaje się? Zechce mnie pani przepuścić...

Łużyn, przesunąwszy się obok Katarzyny Iwanowny, skierował się do przeciwległego kąta, gdzie stała Sonia.

Katarzyna Iwanowna stała w tem samem miejscu, jak rażona piorunem. Nie mogła zrozumieć, jak Łużyn mógł zaprzeć się soli i chleba jej ojczulka. Wymyśliwszy ten chleb i sól, zaczęła w to sama święcie wierzyć. Uderzył ją również ton Łużyna, rzeczowy, suchy, pełen nawet jakiejś wzgardliwej groźby. Wszyscy przy pojawieniu się Łużyna stopniowo zamilkli. Ten „rzeczowy i poważny człowiek" zbyt jaskrawo nie licował z całem towarzystwem, ponadto było widoczne, że przyszedł z czemś ważnem, że jakieś niezwykłe powody sprowadziły go do takiego towarzystwa, zatem coś się zaraz stanie, coś nastąpi. Raskolnikow, stojący obok Soni, odsunął się i przepuścił Łużyna, który, jak się zdawało, nie zauważył go zupełnie. Za chwilę na progu ukazał się również Lebieziatnikow, nie wszedł jednak do pokoju, lecz stanął we drzwiach zaciekawiony niezmiernie, prawie zdumiony. Słuchał, lecz odnosiło się wrażenie, że długo nie mógł czegoś zrozumieć.

— Przepraszam, że przeszkadzam, lecz sprawa jest dość ważna, — rzekł Łużyn, nie zwracając się właściwie do nikogo. — Rad jestem nawet, że będą świadkowie. Amaljo Iwanowno, uprzejmie proszę, aby pani w charakterze gospodyni zechciała zwrócić uwagę na rozmowę moją z Sofją Iwanowną. Proszę pani — zwrócił się wprost do Soni, niezwykle zdziwionej i przerażonej, — ze stołu w pokoju mojego przyjaciela, Andrzeja Lebieziatnikowa, zaraz po wyjściu pani, zniknął, należący do mnie, banknot pań-

stwowy wartości stu rubli. O ile pani skądkolwiek wie i wskaże nam, gdzie on się obecnie znajduje, to daję słowo honoru, biorąc wszystkich na świadków, że sprawa nie będzie miała dalszych następstw. W przeciwnym zaś razie będę zmuszony uciec się do środków bardzo poważnych, tedy... niech pani ma już do siebie tylko pretensję.

Zupełna cisza zaległa pokój. Nawet rozpłakane dzieci umilkły. Sonia, trupio blada, patrzała na Łużyna i nie mogła wymówić słowa. Nie rozumiała jeszcze o co chodzi. Upłynęło kilka chwil.

— Zatem, jak będzie? — zapytał Łużyn, wpatrując się w nią.

— Ja nie wiem... Ja o niczem nie wiem... słabym głosem powiedziała wreszcie Sonia.

— Nie? Pani nie wie? — zapytał raz jeszcze Łużyn, poczem milczał znowu przez parę sekund. — Niech się pani zastanowi, mademoiselle, — zaczął surowym, lecz ciągle jeszcze ostrzegawczym tonem, — niech pani pomyśli, zgadzam się dać pani trochę czasu do namysłu. Zechce pani zrozumieć: gdybym nie był tak bardzo pewny, to na pewno z mojem doświadczeniem nie zaryzykowałbym tak jawnego oskarżenia. Gdyby bowiem podobne jawne i publiczne oskarżenie okazało się fałszem, lub choć tylko omyłką, byłbym poniekąd osobiście odpowiedzialny. Wiem o tem. Dzisiaj rano sprzedałem na swoje potrzeby kilka pięcioprocentowych obligacyj na nominalną sumę trzech tysięcy rubli. Obrachunek mam zapisany w notatniku. Przyszedłszy do domu zacząłem liczyć pieniądze, co może zaświadczyć pan Lebieziatnikow, odliczywszy dwa tysiące trzysta rubli, włożyłem je do pugilaresu, ten zaś do bocznej kieszeni. Na stole zostało około pięciuset rubli, w tej liczbie trzy banknoty, po sto rubli każdy. W tej chwili weszła pani (na moje wezwanie). W ciągu całej wizyty pani była ogromnie zmieszana, tak dalece, że podczas rozmowy wstawała pani trzykrotnie, zamierzając z jakiegoś powodu wyjść, jakkolwiek rozmowa nie była jeszcze skończona. To wszystko pan Lebieziatnikow również może poświadczyć. Prawdopodobnie sama pani nie zechce przeczyć i potwierdzi, że wzywałem ją za pośrednictwem pana Lebieziatnikowa jedynie

w celu omówienia krytycznej, sierocej doli pani krewnej, Katarzyny Iwanowny, (do której nie mogłem przyjść na stypę), oraz potrzeby urządzenia na jej korzyść jakiejś zbiórki, loterji, lub czegoś w tym rodzaju. Pani mi dziękowała, nawet ze łzami, (powtarzam wszystko, jak było, po pierwsze, aby przypomnieć pani, po drugie zaś aby dowieść, że sam nie zapomniałem o najdrobniejszym szczególe). Następnie wziąłem ze stołu banknot dziesięciorublowy i dałem go pani, jako pierwszą zapomogę ode mnie na potrzeby pani krewnej. Wszystko to pan Lebieziatnikow widział. Następnie odprowadziłem panią do drzwi, przyczem ciągle pani była zmieszana. Potem zostawszy sam z panem Lubieziatnikowem i porozmawiawszy z nim z dziesięć minut, wróciłem do stołu, na którym leżały pieniądze, aby, jak zamierzałem poprzednio przeliczyć je i schować oddzielnie. Ku zdziwieniu memu zabrakło jednego storublowego banknotu. Zechce się pani zastanowić: pana Lebieziatnikowa podejrzewać nie mogłem w żaden sposób, wstydzę się nawet takiego przypuszczenia. Omylić się w rachuku również nie mogłem, bowiem na chwilę przed pani przyjściem, skończywszy obliczenia, stwierdziłem ich zgodchunku również nie mogłem, bowiem na chwilę przed pani zmieszanie, chęć odejścia, to, że pani czas jakiś trzymała ręce na stole, biorąc pod uwagę wreszcie pani stanowisko społeczne i związane z niem nałogi, z przerażeniem, że tak powiem, i wbrew woli, *musiałem* dojść do wniosku, okrutnego, ale słusznego! Dodam jeszcze i powtórzę: nie bacząc na całą *słuszność* mego przekonania, rozumiem, że mimo to, w oskarżeniu mojem tkwi pewne dla mnie ryzyko. Ale, jak pani widzi, nie zawahałem się, nie puściłem tego płazem i powiem pani dlaczego: jedynie, łaskawa pani, jedynie przez pani czarną niewdzięczność! Jakto? Ja panią zapraszam w sprawie pani biednej krewnej, daję pani dobrowolną dziesięciorublową ofiarę, a pani zaraz, z miejsca, odwdzięcza mi się podobnym czynem! Nie to nieładnie! Nauczka jest niezbędna: jeszcze, jak prawdziwy jej przyjaciel, (bo lepszego przyjaciela nie może pani mieć w tej chwili), proszę panią, niech się pani opamięta! Bo będę nieubłagany. A więc, zatem?

— Nic panu nie wzięłam, — szepnęła przerażona Sonia, — dał mi pan dziesięć rubli, niech pan je sobie weźmie. Sonia wyjęła z kieszeni chustkę, odszukała supełek, rozwiązała go, wyjęła papierek dziesięciorublowy i podała Łużynowi.

— Do stu rubli zatem pani się jednak nie przyznaje? — nalegał z wyrzutem, nie przyjmując banknotu.

Sonia obejrzała się wokoło. Wszyscy patrzyli na nią ponuro, surowo, drwiąco i z nienawiścią. Spojrzała na Raskolnikowa... Stał pod ścianą, skrzyżowawszy ręce i przeszywał ją palącem spojrzeniem.

— O, Boże, — jęknęła Sonia.

— Amaljo Iwanowno, trzeba będzie dać znać na policję, zatem, proszę panią uprzejmie o posłanie narazie po stróża, — spokojnie i uprzejmie powiedział Łużyn.

— Got der barmherzige. Wiedziałem, że ona kradl! — plasnęła w ręce Amalja.

— Pani wiedziała? — podchwycił Łużyn. — Zatem już poprzednio miała pani pewne podstawy do takiego wniosku. Proszę więc panią, by szanowna pani zechciała zapamiętać to, co powiedziała przy świadkach zresztą.

Wszyscy zaczęli głośno mówić. Nastąpiło ogólne poruszenie.

— Co-o-o— krzyknęła, nagle oprzytomniawszy, Katarzyna Iwanowna i jak szalona rzuciła się do Łużyna. — Co-o-o! Pan ją oskarża o kradzież? Sonię? Ach, podli, podli! — Dopadłszy do Soni, objęła ją suchemi rękami, jak kleszczami.

— Soniu! Jakeś śmiała wziąć od niego te dziesięć rubli! O, głupia! Dawaj tu! Dawaj tu te dziesięć rubli!

Wyrwawszy Soni papierek, zmięła go i rzuciła na odlew prosto w twarz Łużynowi. Zwitek trafił go w oko i odskoczył na podłogę. Amalja rzuciła się, aby go podnieść. Łużyn rozgniewał się.

— Trzymajcie tę warjatkę! — krzyknął.

W tej chwili, w drzwiach, obok Lebieziatnikowa, ukazało się jeszcze kilka osób, pomiędzy niemi również obydwie przyjezdne damy.

— Co! Warjatkę! To ja jestem warjatka? Du-reń! — wrzasnęła Katarzyna Iwanowna, — sam jesteś dureń, krętaczu sądowy, podły człowieku! Sonia, Sonia by wzięła jego pieniądze! To Sonia ma być złodziejką! Jeszcze ci ona da, durniu! — Katarzyna Iwanowna roześmiała się histerycznie. — Widzieliście durnia? — rzucała się na wszystkie strony, wskazując na Łużyna. — Jakto i ty także? — spostrzegła nagle gospodynię, — i ty także, kiełbasiarko, potwierdzasz, że ona „kradl"? Ty podła pruska mordo w krynolinie! Ach, pan! Ach, pan też! Przecież ona wcale nie wychodziła z pokoju, od czasu, jak wróciła od ciebie, podlecu. Usiadła obok mnie, wszyscy widzieli! Obok pana Rodiona usiadła!... Zrewidujcie ją! Ponieważ nigdzie nie wychodziła powinna mieć pieniądze przy sobie! Szukaj więc szukaj, szukaj! Ale jak nie znajdziesz to, daruj, kochaneczku, ale wtedy nam za to odpowiesz! Do najjaśniejszego pana pójdę, do najjaśniejszego pana, do samego miłościwego cara pobiegnę, do nóg mu padnę, zaraz, dziś jeszcze! Sierota jestem! Wpuszczą mnie! Myślisz, że nie wpuszczą? Łżesz, dostanę się! Dostanę się! Toś ty liczył na jej dobre serce? Na toś liczył? Zato ja, bracie, jestem energiczna! Wpadniesz! No, szukaj! Szukaj, szukaj, no, szukaj!

Katarzyna w zacietrzewnieniu szarpała Łużyna, ciągnąc go ku Soni.

— Ja się zgadzam i odpowiadam... Ale niech się pani uspokoi, szanowna pani, niech się pani uspokoi. Aż nadto dobrze widzę, że pani jest energiczna... To... to... to jakto? — bąkał Łużyn. — To należałoby właściwie przy policji... Chociaż zresztą i teraz świadków jest aż nadto... Zgadzam się... Ale w każdym razie nie wypada, aby mężczyzna... ze względu na płeć... Może z pomocą Amalji Iwanowny... chociaż przecież tak się tego nie załatwia... Jak to właściwie?

— Jak pan chce! Kto chce, niech rewiduje! — krzyczała Katarzyna Iwanowna — Sonia wywróć kieszenie! Tak, tak! Patrz, potworze, pusta, tutaj leżała chusteczka, kieszeń jest pusta, widzisz! A tu druga kieszeń, o tak, tak! Widzisz, widzisz!

Katarzyna Iwanowna nie wywróciła, lecz formalnie wyszarpała na wierzch obie kieszenie, jedną po drugiej. Lecz z drugiej, prawej kieszeni nagle wyleciał papierek i, opisawszy łuk w powietrzu, upadł pod nogi Łużyna. Wszyscy to zauważyli, wiele osób krzyknęło. Łużyn schylił się, podniósł dwoma palcami papierek z podłogi, uniósł w górę, aby wszyscy widzieli i rozwinął. Był to banknot sturublowy, złożony w ośmioro. Łużyn zatoczył krąg ręką, pokazując go wszystkim.

— Złodziejka! Precz z mieszkanie! Polic! Polic! — zawyła Amalja — Ich tszeba Sybir wiganiać! Presz!

Ze wszech stron rozlegały się wykrzykniki. Raskolnikow milczał, nie spuszczał oczu z Soni, zrzadka tylko rzucając szybkie spojrzenia na Łużyna. Sonia stała w tem samem miejscu, nawet prawie że nie była zdziwiona. Nagle krew uderzyła jej do twarzy, krzyknęła i zasłoniła się rękoma.

— Nie, to nie ja! Ja nie wzięłam! Ja nie wiem! — krzyczała z rozdzierającym serce jękiem i rzuciła się do Katarzyny Iwanowny. Ta schwyciła ją i mocno przycisnęła ją do siebie, jakby chcąc zasłonić ją własną piersią.

— Sonia, Sonia! Ja nie wierzę! — krzyczała ( bez względu na oczywistość) Katarzyna, kołysząc ją w ramionach, jak dziecko, obsypując pieszczotami, chwytając jej ręce i wpijając się w nie pocałunkami. — Czy tybyś wzięła? Cóż to za głupcy! O, Boże! Głupcy jesteście, głupcy! — krzyczała, zwracając się do wszystkich, — bo jeszcze nie wiecie, co to za serce, co to za dziewczyna! Ona by wzięła, ona! Przecież ona swoją ostatnią koszulę zdejmie, sprzeda, bosa pójdzie i wam odda, kiedy będziecie potrzebowali, taka ona jest! żółtą książkę dostała, bo moje dzieci ginęły z głodu, sprzedawała się dla nas... Ach, mój mężu, mój mężu! Ach, mój mężu, mój mężu! To masz dopiero stypę! Boże! Brońcieżeż jej, czego stoicie wszyscy! Panie Rodionie! Dlaczego pan jej nie broni? Czyżby pan też nie wierzył? Jej małego palca nie jesteście warci, wszyscy, wszyscy! Boże! Brońże jej wkońcu!

Płacz biednej, suchotniczej, osieroconej Katarzyny Iwanowny wywarł silne wrażenie na obecnych. Tyle było

żalu, tyle cierpienia w wykrzywionej bólem, wyschłej, suchotniczej twarzy, w zaschłych, pokrytych spieczoną krwią, ustach, w ochrypłym krzyku, w łkaniu, podobnem do płaczu dziecka, w tej ufnej, dziecięcej, a rozpaczliwej prośbie o obronę, że zdawało się, że wszystkim zrobiło się żal nieszczęśliwej. Łużyn zwłaszcza zaraz *ulitował* się:

— Łaskawa pani! Łaskawa pani! — wołał przekonywującym tonem, pani to nie dotyczy! Nikt się nie odważy winić pani o namowę lub współudział, tembardziej, że to pani przecież wykryła, wywracając kieszeń, a zatem pani niczego nie podejrzewała. Bardzo a bardzo gotów jestem żałować, jeżeli, że tak powiem, nędza zmusiła Sofję Semenownę, ale dlaczego pani, mademoiselle, nie chciała się przyznać? Bała się pani wstydu? Pierwszy krok? Może straciła pani głowę? Rzecz zrozumiała, bardzo zrozumiała... Jednak, poco się było puszczać na takie historje! Panowie! — zwrócił się do wszystkich obecnych, — panowie! Litując się i, że tak powiem, współczując, owszem, jestem gotów przebaczyć, nawet teraz, nie zważając na to, że mnie osobiście obrażono. Niech ten wstyd, mademoiselle, będzie dla pani nauką na przyszłość, — zwrócił się do Soni, — ja puszczam to płazem, niech się na tem skończy. Dosyć.

Łużyn spojrzał zezem na Raskolnikowa. Spojrzenia ich spotykały się. Gorejący wzrok Raskolnikowa zdawał się go palić. Tymczasem Katarzyna Iwanowna nic już nie słysząc, jak szalona obejmowała i całowała Sonię. Dzieci również ze wszystkich stron objęły Sonię rączkami, zaś Polcia, niezupełnie zresztą rozumiejąca o co chodzi, formalnie tonęła we łzach i, dławiona łkaniem, chowała spuchniętą od łez, ładniutką twarzyczkę na ramieniu Soni.

— Co za podłość! — nagle rozległo się głośno ode drzwi.

Łużyn szybko się odwrócił.

— Co za podłość! — powtórzył Lebieziatnikow, patrząc mu badawczo w oczy.

Łużyn drgnął. Wszyscy to zauważyli. (Potem przypomniano to sobie). Lebieziatnikow wszedł do pokoju.

— I pan ośmielił się mnie wymienić, jako świadka?— powiedział, zbliżając się do Łużyna.

— Co to znaczy? O czem pan mówi? — bąknął Łużyn.

— To znaczy, że pan jest... oszczerca, to właśnie znaczy! — gorąco powiedział Lebieziatnikow, surowo wpatrując się w niego swemi krótkowzrocznemi oczkami. Był bardzo rozgniewany. Raskolnikow wpił się w niego wzrokiem, jakby chwytając i ważąc każde słowo. Znowu zaległo milczenie. Łużyn zupełnie niemal stracił głowę, zwłaszcza w pierwszej chwili.

— Jeżeli pan to do mnie... — zaczął, jąkając się. — Co się z panem dzieje? Czy pan jest zupełnie przytomny?

— Jestem zupełnie przytomny, a pan jest... szubrawiec! Jaka to podłość! Ciągle słuchałem, umyślnie cały czas czekałem, żeby dobrze zrozumieć, bo, przyznaję, że do tej chwili, to nie jest zupełnie logiczne... Ale pocóż pan to wszystko zrobił? — nie rozumiem.

— Co ja takiego zrobiłem! Może pan przestanie mówić głupiemi zagadkami! Albo może pan jest pijany?

— To może pan, nędzniku, pije, a nie ja! Nigdy wódki nie pijam, bo to nie zgadza się z mojemi przekonaniami! Wyobraźcie sobie, że to on sam, własnoręcznie dał tę sturublówkę Sofji Semenownie, ja widziałem, byłem świadkiem, mogę przysięgać! On, on! — powtarzał Lebieziatnikow, zwracając się do wszystkich i do każdego z osobna.

— Pan chyba zwarjował, młokosie! — wrzasnął Łużyn. Przecież ona sama w pańskiej obecności, sama, teraz, tutaj, potwierdziła przy wszystkich, że prócz dziesięciu rubli nic ode mnie nie dostała. W jaki więc sposób wobec tego, jej dałem?

— Widziałem, widziałem! — krzyczał Lebieziatnikow, — i, jakkolwiek to jest wbrew moim przekonaniom, gotów jestem, chociażby w tej chwili złożyć w sądzie przysięgę, bo widziałem, jak jej pan pokryjomu podrzucił. A ja, głupiec, myślałem, że pan to z litości zrobił! W drzwiach żegnając się z nią, kiedy się odwróciła i kiedy pan ściskał

jej rękę, to drugą ręką, lewą, włożył jej pan do kieszeni pokryjomu papierek. Widziałem! Widziałem!

Łużyn zbladł.

— Co pan tam kłamie! — krzyknął hardo. — Jak pan mógł rozpoznać papierek, stojąc pod oknem! Przywidziało się panu... temi ślepawemi oczami. Pan bredzi.

— Nie, nie przywidziało mi się! Chociaż stałem daleko, ale wszystko, wszystko widziałem. Z pod okna trudno było rozpoznać papierek — pan ma rację — ale dzięki zbiegowi okoliczności wiedziałem napewno, że to była właśnie sturublówka, bo kiedy pan dawał jej papierek dziesięciorublowy, to pan wziął również ze stołu sturublówkę (widziałem to, bo wtedy stałem blisko stołu, a ponieważ przyszła mi do głowy pewna myśl, więc zapamiętałem, że pan miał w ręku ten papierek). Złożył go pan i trzymał go cały czas w zaciśniętej ręce. Potem, narazie, zapomniałem o tem, ale kiedy pan, wstając, przełożył go z prawej ręki do lewej i omało nie upuścił na podłogę, znowu sobie przypomniałem, bo mi ta sama myśl przyszła do głowy, mianowicie, że pan w tajemnicy przede mną chce zrobić dobry uczynek. Może pan sobie wyobrazić, jak bardzo zacząłem uważać, no i widziałem, jak się panu udało włożyć jej do kieszeni. Widziałem, widziałem, przysięgnę.

Lebieziatnikow dławił się niemal. Ze wszystkich stron rozlegały się różne wykrzykniki, przeważnie, wyrażające zdziwienie, lecz słychać też już było pogróżki. Wszyscy tłoczyli się wokół Łużyna. Katarzyna Iwanowna rzuciła się do Lebieziatnikowa.

— Andrzeju Semenowiczu! Źle pana osądziłam! Broń ją pan! Pan jeden po jej stronie! To sierota! Pana Bóg zesłał! Andrzeju Semenowiczu kochany, dobrodzieju!

Prawie nie wiedząc, co czyni, padła przed nim na kolana.

— Bzdury! — wył w dzikiej pasji Łużyn. — Bzdury pan plecie, łaskawco... „Zapomniałem, przypomniałem, przypomniałem, zapomniałem"" co to ma znaczyć! To znaczy, że ja jej umyślnie podrzuciłem? Poco? W jakim celu? Co ja mam wspólnego z tą...

— Poco? Właśnie tego nie rozumiem, a że powtarzam to, co rzeczywiście było, to fakt! Tak dalece się nie mylę, wstrętny, występny człowiek, że właśnie pamiętam, że mi się z tego powodu nasunęło wtedy pytanie, wtedy, kiedy panu dziękowałem i ściskałem pańską rękę. Dlaczego pan jej włożył ukradkiem do kieszeni? To jest, dlaczego właściwie ukradkiem? Czy dlatego, by ukryć to przede mną, wiedząc, że nie uznaję prywatnej dobroczynności, niczego nie leczącej radykalnie? Doszedłem do wniosku, że może naprawdę pan się mnie wstydzi, że pan takie sumy daje i prócz tego pomyślałem: może on chce jej zrobić niespodziankę, żeby się zdziwiła, jak znajdzie u siebie w kieszeni całe sto rubli. (Bowiem niektórzy dobroczyńcy lubią rozkładać na raty swoje dobre uczynki, wiem o tem). Potem pomyślałem, że pan ją chce wypróbować, to znaczy, czy po znalezieniu przyjdzie podziękować, czy nie? Potem, że pan chce uniknąć podziękowań i żeby, no, jak się to mówi, żeby prawica, czy jak tam, żeby nie wiedziała, słowem, coś w tym guście... Ale czy to mało mi wtedy różnych myśli do głowy przychodziło! Postanowiłem więc później się nad tem zastanowić, jednak uważałem, że byłoby niedelikatnie zdradzić się przed panem, że znam tajemnicę. Lecz natychmiast przyszło mi do głowy jeszcze jedno zagadnienie: że Sofja Semenowna, zanim spostrzeże pieniądze, może je wypadkiem zgubić. Dlatego postanowiłem przyjść tutaj, wywołać ją i zawiadomić, że włożono jej do kieszeni sto rubli. Mimochodem wstąpiłem do numeru pań Kobylatnikowych, żeby zanieść im „O g ó l n e w n i o s k i s y s t‘e‘m‘u p‘o‘z‘y t y w n e g o“ i polecić zwłaszcza artykuł Piderit‘a (a również i Wagnera), potem przyszedłem tutaj, a tu już taka awantura? No, czy tego rodzaju myśli i rozważania przyszłyby mi do głowy, gdybym rzeczywiście nie widział, że włożył jej pan do kieszeni sto rubli?

Lebieziatnikow po zakończeniu swego obszernego wywodu, ukoronowanego, tak logicznym wnioskiem, był bardzo zmęczony i pot spływał mu po twarzy. Niestety, nie umiał się dobrze wypowiedzieć po rosyjsku (nie znając zresztą żadnego innego języka), więc odrazu zupełnie się

wyczerpał, zdawało się nawet, iż schudł po tym adwokackiem popisie. Tem niemniej przemowa jego wywarła nadzwyczajne wrażenie. Mówił z takim zapałem, z takiem przekonaniem, że widoczne było, że wszyscy mu uwierzyli. Łużyn zorjentował się, że sprawa stoi źle.

— Co mnie to obchodzi, że panu przyszły do głowy jakieś głupie rozważania? — krzyknął. To niczego nie dowodzi! Mogło się to panu wszystko przyśnić — i kwita! A ja panu mówię, że pan kłamie, łaskawco! Kłamie i oczernia mnie przez jakąś złość, przez złość, że nie zgadzałem się na pańskie społeczne wolnomyślne i bezbożne projekty — ot, co jest!

Ale ten wykręt nie pomógł Łużynowi. Przeciwnie, szemrania rozlegały się ze wszystkich stron.

— Z takiej beczki zaczynasz! — krzyknął Lebieziatnikow. — Łżesz! Wołaj policję, to będę przysięgał! Jednej rzeczy tylko nie rozumiem: dlaczego on się zdecydował na taki podły postępek. O, marny, podły człowieku!

— Ja mogę wyjaśnić, dlaczego on się zdecydował na taki postępek i, gdyby było trzeba, również przysięgnę! — mocnym głosem odezwał się wreszcie Raskolnikow i wystąpił naprzód.

Był widocznie pewny siebie i spokojny. Patrząc nań wszyscy zrozumieli, że rzeczywiście wie, o co idzie i że sprawa się zaraz wyjaśni.

— Teraz wszystko jest dla mnie zupełnie zrozumiałe, — ciągnął Raskolnikow, zwracając się do Lebieziatnikowa. — Od pierwszej chwili podejrzewałem, że w tej całej historji tkwi jakiś wstrętny podstęp. Podejrzewałem na skutek pewnych okoliczności, mnie jednemu tylko znanych i o których w tej chwili powiem: w tem leży sedno sprawy. Pan, Andrzeju Semenowiczu, przez swoje nieocenione zeznanie wyjaśnił mi ostatecznie wszystko. Proszę, aby wszyscy, wszyscy słuchali. Ten pan — (wskazał na Łużyna), starał się niedawno o rękę pewnej panny, a mianowicie siostry mojej, Awdotji Romanowny Raskolnikowej. Po przyjeździe do Petersburga, onegdaj, przy pierwszem widzeniu, pokłócił się ze mną i wyrzuciłem go za drzwi, na co mam dwuch świad-

ków. Ten człowiek jest wściekły... Onegdaj, nie wiedziałem jeszcze, że on tu mieszka u pana, Andrzeju Semenowiczu. Zatem nie wiedziałem, że tego samego dnia, kiedy pokłóciliśmy się, to jest onegdaj, był świadkiem, jak wręczałem Katarzynie Iwanownie, w charakterze przyjaciela nieboszczyka pana Marmeładowa, pewną sumę na pogrzeb. Natychmiast napisał kartkę do mojej matki z zawiadomieniem, że dałem pieniądze nie Katarzynie Iwanownie, lecz Sofji Semenownie, używając przytem najnikczemniejszych określeń o... charakterze tej ostatniej, to jest napomknął o charakrerze stosunku mego do niej. Wszystko to było zrobione, celem poróżnienia mnie z matką i z siostrą, wmawiał im bowiem, że ich ostatni grosz, którym się ze mną dzielą, wyrzucam na złe cele. Wczoraj wieczorem przy matce i siostrze, w jego obecności, ustaliłem prawdę, dowiódłszy, że pieniądze dałem na pogrzeb Katarzynie Iwanownie, zaś nie Sofji Semenownie, której onegdaj nie znałem, nawet nie widziałem na oczy. Dodałem przy tem, że on, Piotr Łużyn, nie wart jest małego palca Sofji Semenowny, o której się tak źle wyraża. Na pytanie jego, czy posadziłbym Sofję Semenownę obok swej siostry, odpowiedziałem, że już to zrobiłem tegoż właśnie dnia. Zły, że matka i siostra nie chcą ulec jego namowom i zerwać ze mną, zaczął prawić im niewybaczalne grubjaństwa. Nastąpiło ostateczne zerwanie i wyrzucono go z domu. Wszystko to miało miejsce wczoraj wieczorem. Teraz proszę o specjalną uwagę: wyobraźcie sobie, że udałoby mu się dowieść, że Sofja Semenowna jest złodziejką, wówczas, po pierwsze dowiódłby matce mojej i siostrze, że podejrzenia jego były słuszne, że miał rację, oburzając się, iż stawiam moją siostrę narówni z Sofją Semenowną, że, napadając zatem na mnie, strzegł i bronił honoru mojej siostry, a swej narzeczonej. Słowem, dzięki temu, mógłby znowu poróżnić mnie z rodziną i miał nadzieję, że znowu wkradnie się w jej łaski. Nie wspominam nawet o tem, że mścił się zarazem na mnie, miał bowiem podstawy, by przypuszczać, że honor i szczęście Sofji Semenowny są mi bardzo drogie. Oto jego wyrachowanie! Oto jak ja rozumiem tę sprawę. Oto cała przyczyna, prócz której innej niema.

W ten czy też podobny sposób, zakończył Raskolnikow swoją przemowę, przerywaną często okrzykami obecnych, słuchających zresztą bardzo uważnie. Nie zważając na przerywania, Raskolnikow mówił ostro, spokojnie, dokładnie, jasno, z pewnością siebie. Ostry głos jego, pewny siebie ton i surowy wyraz twarzy zrobiły na wszystkich nadzwyczajne wrażenie.

— Tak, tak, tak jest! — potwierdzał Lebieziatnikow, zachwycony. To musi być prawda, bo jak tylko Sofja Semenowna weszła do pokoju, to zapytał mnie o pana: czy pan tam jest? Czy nie widziałem pana między gośćmi Katarzyny Iwanowny? Odwołał mnie w tym celu do okna i tam pocichu zapytał. Widać więc, że zależało mu na tem, aby pan tu koniecznie był! Tak, to wszystko tak jest!

Łużyn milczał i uśmiechał się pogardliwie. Był jednak bardzo blady. Obmyślał widocznie, jak się z tego wykręcić. Być może, że z przyjemnością machnąłby ręką na wszystko i wyszedł, ale w danej chwili było to niemożliwe: równałoby się bowiem otwartemu przyznaniu, że oskarżenia, wytoczone przeciwko niemu, są słuszne i że w istocie rzucił na Sonię oszczerstwo. Przytem, towarzystwo, które już przedtem wystarczająco sobie podpiło, zbyt było wzburzone. Prowiantowy, nie zdając sobie zresztą całkowicie sprawy ze wszystkiego, krzyczał najgłośniej i proponował różne nader dla Łużyna nieprzyjemne sposoby zlikwidowania zajścia. Lecz w pokoju byli nie tylko sami pijani. Zeszli się i zebrali lokatorzy ze wszystkich pokojów. Wszyscy trzej Polacy ogromnie się irytowali i bez przerwy krzyczeli na Łużyna „panie łajdak“, dodając jeszcze jakieś groźby po polsku. Sonia słuchała z natężoną uwagą, lecz zdawało się, że nie wszystko rozumie, że dopiero budzi się z omdlenia. Nie spuszczała oczu z Raskolnikowa, czując, że on jest jedyną jej obroną. Katarzyna Iwanowna dyszała ciężko i ochryple i padała wprost z wyczerpania. Najgłupszą minę miała Amalja, stała z otwartemi ustami i nic nie rozumiała. Widziała tylko, że Łużyn w jakiś sposób wpadł. Raskolnikow znów chciał mówić, lecz nie dano mu dojść do słowa, wszyscy krzyczeli i tłoczyli się około Łużyna z wymysłami

i groźbami. Lecz Łużyn nie stchórzył. Zdając sobie sprawę, że oskarżenie Soni wzięło w łeb, uciekł się poprostu do zuchwalstwa:

— Za pozwoleniem, państwo, za pozwoleniem, proszę się nie tłoczyć, dajcie mi przejść, — mówił, przeciskając się przez tłum. — I bardzo proszę nie grozić. Zapewniam, że nic nie będzie, nic mi nie zrobicie, nie jestem lękliwy, a wy, panowie, możecie odpowiadać za usiłowania bronienia gwałtem sprawy kryminalnej. Złodziejka jest aż nadto zdemaskowana, ja zaś będę ją ścigał. W sądzie będą mniej ślepi i... nie uwierzą dwum zdeklarowanym bezbożnikom, buntownikom i wolnomyślicielom, oskarżającym mnie z zemsty osobistej, do czego zresztą sami się przez głupotę przyznają... Więc, za pozwoleniem!

— Żeby śladu po panu nie zostało w moim pokoju! Zechce pan się wyprowadzić! Wszystko między nami skończone! Pomyśleć tylko, że ze skóry wyłaziłem, żeby go uświadomić... Całe dwa tygodnie!

— Ja sam panu przecież mówiłem poprzednio, że się wyprowadzam, chociaż pan mnie zatrzymywał. Teraz dodam tylko, że pan jest głupiec! Życzę panu wyleczenia rozumu i ślepawych oczu. Za pozwoleniem!

Przecisnął się przez tłum. Ale prowiantowy nie miał ochoty wypuścić go tak łatwo; nie zadawalniając się samemi wymysłami porwał szklankę ze stołu, zamierzył się i cisnął nią w Łużyna. Szklanka jednak trafiła w Amalję Iwanownę. Niemka wrzasnęła, prowiantowy zaś, straciwszy w czasie rzutu równowagę, potoczył się ciężko pod stół. Łużyn przemknął się do swego pokoju i po upływie pół godziny już go nie było w kamienicy. Nieśmiała z natury Sonia dawno zdawała sobie sprawę z tego, że łatwiej jest ją całkowicie pogrzebać, niż kogokolwiekbądź, skrzywdzić zaś mógł ją bezkarnie prawie każdy. Jednak do chwili obecnej przypuszczała, że przy pomocy ostrożności, łagodności i pokory wobec wszystkich i wszystkiego, uda jej się jakoś uniknąć nieszczęścia. Rozczarowanie jej było nazbyt ciężkie. Oczywiście, mogła cierpliwie, bez szemrania, znieść wszystko, nawet i to, ale narazie było jej strasznie ciężko. Pomimo

zwycięstwa i usprawiedliwienia jej, kiedy minął pierwszy strach i osłupienie, kiedy zrozumiała i uzmysłowiła sobie wszystko wyraźnie, poczucie bezradności i krzywdy boleśnie ścisnęło jej serce. Dostała histerycznego ataku. Nie mogąc dalej wytrzymać, wybiegła z pokoju i uciekła do domu, prawie zaraz po wyjściu Łużyna. Amalja Iwanowna, w którą przy głośnym śmiechu obecnych trafiła szklanka, również nie wytrzymała dalej w roli kozła ofiarnego. Jak szalona rzuciła się z piskiem do Katarzyny Iwanowny, uważając ją za winną wszystkiemu:

— Precz z mieszkania! Saras! Marsz!

Mówiąc to, chwytała wszystkie rzeczy Katarzyny Iwanowny, które jej wpadły w ręce i rzucała je na podłogę. Katarzyna Iwanowna i tak już zgnębiona, prawie nieprzytomna, dusząca się i blada, zerwała się z łóżka, (na które padła była w wyczerpaniu) i rzuciła się na Amalję, Ale walka była zbyt nierówna: została odrzucona, jak piórko.

— Jakto! Mało tych bezbożnych oszczerstw, jeszcze i ta kreatura na mnie! Jakto! W dzień pogrzebu męża, wyrzucać z mieszkania! Po moim chlebie i soli, na ulicę z sierotami! Dokądże pójdę! — zawodziła, łkając i dusząc się, biedna kobieta. — Boże! — krzyknęła nagle z błyskiem w oczach, — czy niema już sprawiedliwości! Kogo masz bronić, jeśli nie nas, sieroty? No, zobaczymy! Są na świecie sądy i sprawiedliwość, poszukam! Zaraz, poczekaj, bezbożna kreaturo! Polciu, zostań z dziećmi, ja wrócę. Czekajcie na mnie, choćby na ulicy! Zobaczymy, czy jest na świecie sprawiedliwość!

Zarzuciwszy na głowę zieloną, wełnianą chustkę, o której wspominał w opowiadaniu nieboszczyk Marmeładow, Katarzyna Iwanowa przecisnęła się przez bezładny, pijany tłum lokatorów, tłoczących się w pokoju i zawodząc, wybiegła na ulicę z nieokreślonym celem, by gdzieś zaraz, natychmiast, za wszelką cenę, znaleźć sprawiedliwość. Polcia, w strachu, zaszyła się z dziećmi w kąt, objęła obu malców i, drżąc czekała na kufrze na powrót matki. Niemka miotała się po pokoju, wrzeszczała, ciskała

wszystkiem, co wpadło jej w ręce, na podłogę i awanturowała się. Lokatorzy darli się ten do lasa, a ten do Sasa, jedni dorzucali, co wiedzieli na temat zajścia, drudzy kłócili się i urągali sobie, inni wreszcie śpiewali...

„Czas i na mnie!“ — pomyślał Raskolnikow. „No, zobaczymy Sofjo Semenowna, co pani teraz zaśpiewa!“.

I skierował się do mieszkania Soni.

## IV.

Raskolnikow, pomimo że był zgnębiony własnym lękiem i cierpieniem, potrafił jednak czynnie i energicznie obronić Sonię przed Łużynem. Przecierpiawszy tyle rankiem tego dnia, zadowolony był nawet ze zmiany wrażeń, które stawały się już nie do zniesienia, nie mówiąc już o tem, że, porywając się do obrony Soni, kierował się osobistemi, uczuciowemi względami. Męczyła go chwilami zwłaszcza myśl o widzeniu się z Sonią: musiał powiedzieć jej, kto zabił Lizawietę, przeczuwał, że będzie bardzo cierpiał i wzdrygał się na myśl o tem. I dlatego, gdy wychodząc od Katarzyny Iwanowny zawołał: „No, zobaczymy, Sofjo Semenowno, co pani teraz powie!“, to widocznie był jeszcze powierzchownie podniecony swym wybuchem energji i zwycięstwem, odniesionem nad Łużynem. Zaszła w nim jednak dziwna zmiana. Gdy doszedł do mieszkania Kapernaumowa, ogarnęła go niemoc i strach. Zamyślony, zatrzymał się przed drzwiami z dziwnem pytaniem: „Czy należy wyjawiać, kto zabił Lizawietę?“. Pytanie było dziwne, gdyż jednocześnie czuł, że nietylko nie może nie powiedzieć, ale nie wolno nawet odwlec tej chwili. Nie wiedział wprawdzie, dlaczego nie wolno, wyczuł to tylko, i przygniatało go to dręczące poczucie bezsilności wobec musu. Aby przerwać te rozważania i nie męczyć się dłużej, szybko otworzył drzwi i, stojąc w progu spojrzał na Sonię. Siedziała oparta łokciami na stole, z twarzą, ukrytą w dłoniach. Zobaczywszy Raskolnikowo, zerwała się i podążyła ku niemu, jakby czekała na jego przyjście.

— Coby się ze mną stało, gdyby nie pan! — powiedziała spotkawszy go na środku pokoju.

Widocznie tylko to chciała mu jaknajprędzej powiedzieć. Na to tylko czekała.

Raskolnikow podszedł do stołu; usiadł na krześle, z którego przed chwilą wstała Sonia. Stała teraz o dwa kroki przed nim, tak jak wczoraj.

— Cóż, Soniu? — powiedział, czując, że głos mu drży. — Przecież cała sprawa polega na „stanowisku społecznem i związanemi z niem nawyknieniami!". Czy pani zdała sobie z tego sprawę?

Na jej twarzy malowało się cierpienie.

— Tylko niech pan nie mówi ze mną tak, jak wczoraj! — przerwała mu. — Proszę, niech pan da spokój. I tak dosyć już tych męczarni...

Uśmiechnęła się jednak zaraz, obawiając się, aby jej nie wziął za złe tego wyrzutu.

— Uciekłam stamtąd przez głupotę. Co się tam teraz dzieje? Chciałam zaraz wrócić, ale myślałam, że a nuż... pan przyjdzie.

Raskolnikow opowiedział jej, że Amalja wyrzuca wszystkich z mieszkania i że Katarzyna Iwanowna pobiegła dokądś „szukać sprawiedliwości".

— Boże mój! — porwała się Sonia — Chodźmy prędzej.

Złapała mantylkę.

— Zawsze to samo! — krzyknął zniecierpliwiony Raskolnikow. — Pani zawsze o nich myśli! Niech pani zostanie ze mną.

— A... Katarzyna Iwanowna?

— Katarzyna Iwanowna napewno pani nie minie. Kiedy już wyszła z domu, wstąpi do pani, — dodał opryskliwie. — A jak pani nie zastanie, to kto będzie winien?

Sonia przysiadła na krześle w męczącem niezdecydowaniu. Raskolnikow milczał i, zastanawiając się nad czemś, patrzał w ziemię.

—Przypuśćmy, że Łużyn tym razem nie chciał, — zaczął, nie patrząc na Sonię — ale gdyby chciał, gdyby

miał w tem jakieś wyrachowanie, to przecież wpakowałby panią do więzienia, żeby nie ja, no i Lebieziatnikow, co?

— Tak, — odpowiedziała słabym głosem, — tak — powtórzyła wystraszona i roztargniona.

— Rzeczywiście, mogło się zdarzyć, że mnieby nie było! Lebieziatnikow również nawinął się zupełnie przypadkowo.

Sonia milczała.

— A żeby tak do więzienia, to co? Pamięta pani co powiedziałem wczoraj?

Sonia znowu nie odpowiedziała. Raskolnikow czekał chwilę.

— Myślałem, że pani znowu zawoła: „Niech pan milczy, niech pan przestanie“ — roześmiał się nieszczerze. Pani znów milczy? — zapytał po chwili. —Trzeba przecież o czemś rozmawiać. Ciekaw jestem, naprzykład, jakby pani rozwiązała pewne „zagadnienie“, jak mówi Lebieziatnikow. (Raskolnikow zdawał się być zbitym z tropu). — Nie, mówmy poważnie. Niech pani sobie wyobrazi, że pani wiedziała zgóry o zamiarach Łużyna, pani wiedziała, że on zgubi Katarzynę Iwanownę, dzieci i panią również na dodatek (pani siebie przecież wogóle nie liczy, więc powiedzmy na dodatek). Polcię również... bo ten sam los ją czeka. Zatem, gdyby pani sama miała zdecydować: czy on ma ocaleć, czy oni, to znaczy, czy Łużyn ma żyć i robić świństwa, czy też Katarzyna Iwanowna ma umrzeć? Jakby pani zdecydowała: kto z nich ma zginąć? Pytam panią?

Sonia spojrzała nań niespokojnie: Coś niesamowitego dźwięczało w tych niepewnych i ostrożnie do jakiegoś celu zmierzających słowach.

— Przeczuwałam, że pan zapyta o coś w tym rodzaju, — powiedziała patrząc nań badawczo.

— Dobrze, zgoda, ale jednak jakby się pani zdecydowała?

— Dlaczego pan pyta o rzeczy niemożliwe? — ze wstrętem powiedziała Sonia.

— Zatem lepiej byłoby, gdyby Łużyn żył i robił świństwa! Nawet tego się pani nie odważy rozstrzygnąć?

— Ale przecież ja nie mogę przeniknąć wyroków Opatrzności... Dlaczego pyta pan o rzeczy o które pytać nie wolno? Nacóż takie beztreściwe pyt[illegible]? Czy to może zależeć od mojej woli? Kto mi d[illegible]awo sądzić, kto ma żyć, a kto nie?

— Tak, naturalnie, [illegible] się gdzieś Opatrzność Boska przyplącze, to już nie[illegible] rady, — warknął ponuro Raskol[illegible]ikow.

[illegible] Niech[illegible] powie lepiej odrazu, o co panu właściwie ch[illegible]rzyknęła z wyrzutem Sonia. — Znowu pan zaczyna do czegoś zmierzać... Czy pan tylko po to przyszedł, żeby mnie dręczyć!

Nie mogła się powstrzymać i raptem gorzko rozpłakała się. Raskolnikow, ponury, patrzył na nią z bólem. Upłynęło kilka chwil.

— Jednak, masz rację, Soniu, — powiedział wreszcie łagodnie. Zmienił się nagle: znikł sztuczny, drwiący i bezsilnie wyzywający ton. Zniżył głos. — Powiedziałem wczoraj, że nie przyjdę cię prosić o przebaczenie, a właśnie niemal od tego zacząłem... To co mówiłem o Łużynie i Opatrzności, to ze względu na siebie, mówiłem... To była prośba o przebaczenie, Soniu...

Chciał się uśmiechnąć, lecz jakaś dziwna słabość i niedomówienie było w tym półuśmiechu. Pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

Nagle, niespodzianie uczucie ostrej nienawiści do Soni, przeszyło mu serce. Zdziwiony i przerażony tem uczuciem, podniósł głowę i spojrzał na nią badawczo. Spotkał jej serdeczne i współczujące niespokojne spojrzenie. To była miłość; nienawiść jego rozwiała się, niczem fantom. A więc to było co innego. Omylił się widocznie co do tego uczucia. Znaczyło to widocznie tylko, że ta chwila już nastąpiła.

Znowu ukrył twarz w dłoniach i spuścił głowę. Nagle pobladł, wstał z krzesła i, nic nie mówiąc, machinalnie przesiadł się na łóżko.

Chwila, ta była ogromnie podobna, gdyby chodziło o kategorję przeżyć, do owej, w której Raskolnikow stał za starą, z przygotowaną już siekierą i czuł, że „nie wolno stracić ani sekundy“.

— Co panu jest? zapytała Sonia, bardzo strwożona.

Nie mógł wymówić ani słowa. Zupełnie inaczej zamierzał zakomunikować i nie rozumiał, co mu się stało. Sonia cicho podeszła do niego, siadła obok na łóżku i czekała, nie spuszczając zeń oczu. Serce jej biło i zamierało. Sytuacja stawała się nie do zniesienia. Zwrócił ku niej trupio-bladą twarz, krzywił bezsilnie usta, usiłując coś powiedzieć. Przerażenie przeszyło serce Soni.

— Co panu jest? — powtórzyła, odsuwając się zlekka od niego.

— Nic Soniu. Nie bój się... Głupstwo! Rzeczywiście, o ile się nad tem zastanowić, — bąkał, jak człowiek nieprzytomny w gorączce. — Tylko poco właściwie przyszedłem ciebie męczyć? — dodał, popatrzywszy na nią. — Naprawdę poco... Wciąż zadaję sobie to pytanie, Soniu...

Być może, że przed kwadransem naprawdę zadawał sobie to pytanie, lecz teraz mówił zupełnie bezładnie, półprzytomny, ciągle wstrząsany przeszywającemi całe ciało, dreszczami.

— Jak pan się męczy! — powiedziała Sonia, patrząc nań ze współczuciem.

— To głupstwo!... Słuchaj, Soniu (uśmiechnął się nagle bez powodu, blado i bazbarwnie), czy pamiętasz co chciałem ci wczoraj powiedzieć?

Sonia czekała z niepokojem.

— Wychodząc powiedziałem, że prawdopodobnie żegnamy się na zawsze, albo gdybym przyszedł dzisiaj, to powiem ci... kto zabił Lizawietę.

Sonia zadrżała całem ciałem.

— A więc, przyszedłem ci powiedzieć.

— To pan wczoraj naprawdę... — szepnęła z wysiłkiem. — Skąd pan wie? — zapytała szybko, jakby oprzytomniawszy nagle.

Oddychała z trudem. Twarz jej bladła coraz bardziej.

— Wiem.

Sonia milczała przez chwilę.

— Więc złapali go? — zapytała nieśmiało.

— Nie, nie złapali.

— Skąd więc pan o tem wie? — zapytała po chwili milczenia ledwie dosłyszalnym szeptem.

Zwrócił się do niej i spojrzał na nią badawczo.

— Zgadnij, — powiedział z takim samym bezsilnym, krzywym uśmiechem.

Zadrżała konwulsyjnie całem ciałem.

— Przecież pan... mnie.... dlaczego pan mnie tak... straszy? — zapytała, uśmiechając się, jak dziecko.

— Widocznie jestem z nim w wielkiej przyjaźni... skoro wiem, — ciągnął Raskolnikow, nie przestając patrzeć na nią, jakgdyby już nie mógł oderwać od niej oczu.— On tej Lizawiety... nie chciał zabijać. On ją zabił wbrew woli... On chciał tylko starą zabić... kiedy była sama... i przyszedł... Nagle weszła Lizawieta... i ją zabił też.

Upłynęła jeszcze jedna straszna chwila. Patrzyli oboje na siebie.

— Więc nie możesz odgadnąć? — zapytał, mając wrażenie, że rzuca się w dół, ze szczytu dzwonnicy.

— N-nie, — ledwie dosłyszalnie szepnęła Sonia.

— Przypatrz-no mi się dobrze.

Gdy tylko to powiedział, poprzednie znane już wrażenie, ścięło mu krew w żyłach: patrzał na nią i w twarzy jej zamajaczyły mu rysy Lizawiety. Wrył mu się w pamięć wyraz twarzy Lizawiety, kiedy zbliżał się do niej, wtedy, z siekierą. Cofała się przed nim do ściany, wyciągnęła przed siebie rękę z dziecinnem przerażeniem w oczach, zupełnie, jak małe dziecko, gdy zlęknie się czegoś, patrzy niespokojnie szeroko rozwartemi oczami na przedmiot napawający je lękiem, cofa się i wyciąga przed siebie rączyny, gotowe do płaczu. Coś podobnego działo się teraz z Sonią: bezradna, z lękiem patrzyła na niego, wyciągnęła lewą rękę i dotykając końcami palców jego piersi, powoli podnosiła

się z łóżka. Odsuwała się coraz dalej od Raskolnikowa, a wpatrzone w niego oczy, rozszerzało przerażenie. Strach jej udzielał mu się: przerażenie odmalowało się i w jego oczach. Spojrzał na nią tem samem spojrzeniem, nawet z takim samym dziecinnym uśmiechem.

— Zgadłaś? — szepnął wreszcie.

— O, Boże! — straszny jęk wyrwał się z piersi Soni. Bez sił padła na łóżko, kryjąc twarz w poduszki. Ale po chwili podniosła się, przysunęła się doń gwałtownie, chwyciła cienkiemi palcami obie jego ręce i ściskając je, jak w kleszczach, znowu wpiła się w twarz jego nieruchomem spojrzeniem. Tem ostatniem, rozpaczliwem spojrzeniem chciała dostrzec i uchwycić jakiś cień nadziei dla siebie. Lecz nie było żadnej nadziei! Nie miała wątpliwości: to była prawda! Później, gdy przypomniała sobie tę chwilę, dziwiła się sobie: dlaczego właściwie odrazu wtedy zrozumiała, że nie można mieć żadnych wątpliwości? Przecież nic podobnego nie przeczuwała! A jednak, gdy tylko to jej powiedział, odniosła wrażenie, że właśnie to przeczuwała.

— Daj spokój Soniu, dosyć już! Nie męcz mnie! — prosił Raskolnikow w męce.

Zupełnie inaczej zamierzał jej to wyznać, a właśnie tak się stało.

Sonia zerwała się, jak nieprzytomna i łamiąc ręce doszła do środka pokoju, poczem zaraz wróciła i znowu usiadła przy nim dotykając go ramieniem. Nagle drgnęła, jak rażona piorunem, krzyknęła, i nie zdając sobie sprawy dlaczego, padła przed nim na kolana.

— Co pan zrobił, co pan zrobił ze sobą! — powiedziała z rozpaczą. Zerwawszy się z kolan, rzuciła mu się na szyję, oplotła go rękami i bardzo mocno ścisnęła.

Raskolnikow żachnął się i spojrzał na nią ze smutnym uśmiechem.

— Dziwna jesteś, Soniu, — obejmujesz mnie i całujesz, gdy ci o tem powiedziałem? Chyba nie wiesz, co robisz!

— Niema nieszczęśliwszego od ciebie człowieka na całym świecie, niema! — krzyknęła Sonia, nie słysząc wcale jego uwagi. Wybuchnęła histerycznym płaczem.

Fala oddawna nieznanego uczucia zalała jego duszę i rozrzewniła go. Nie bronił się; dwie łzy zawisły mu na rzęsach.

— Więc nie opuścisz mnie Soniu? — powiedział, patrząc na nią z ufnością.

— Nie, nie, nigdy i nigdzie! — krzyknęła — pójdę z tobą wszędzie! O, Boże!... O, ja nieszczęśliwa! Dlaczego, dlaczego przedtem nie znałam ciebie! Dlaczegoś dawniej nie przychodził? O, Boże...

— Przecież przyszedłem.

— Ale teraz dopiero! Ach, co robić!... Razem! Razem! — powtarzała nieprzytomnie i objęła go znowu. — Pójdę z tobą razem na katorgę! — Raskolnikow zatrząsł się, dawny, pełen nienawiści, szyderczy prawie uśmiech ukazał mu się na ustach.

— Możliwe, Soniu, że jeszcze nie mam wcale ochoty iść na katorgę, — powiedział.

Sonia spojrzała nań badawczo.

Po pierwszy mnamiętnym odruchu współczucia dla nieszczęśliwego, uzmysłowiła sobie teraz straszliwy fakt morderstwa. W zmienionym tonie, jakim się do niej odezwał, usłyszała nagle głos zabójcy. Patrzała nań zdumiona. O niczem jeszcze nie wiedziała: poco, dlaczego, jak się to stało. Wszystkie te pytania naraz zakłębiły się w jej świadomości. I nagle zwątpiła: „on, on — on mordercą? Czy to możliwe?"

— Co to znaczy? — Co się ze mną dzieje? — powtarzała, jak nieprzytomna. — Jak pan mógł, Pan taki... mógł się na to zdecydować? Jak pan mógł?

— No tak, dla rabunku. Przestań Soniu! — odpowiedział zmęczonym i zniecierpliwionym tonem. Sonia stała oszołomiona, nagle krzyknęła:

— Byłeś głodny! Ty... żeby pomóc matce? Tak?

— Nie, Soniu, nie, — bełkotał, odwróciwszy gło-

wę, — taki głodny nie byłem... rzeczywiście chciałem pomóc matce, ale... i nie oto chodzi, bo... nie męcz mnie, Soniu.

Sonia załamała ręce.

— Czy to prawda, czy to prawda! Panie Święty czy to być może? Kto w to uwierzy? Jakto, swoje pan wszystko rozdaje, a zabija dla rabunku! Ach!... — krzyknęła. — Te pieniądze, które pan dał Katarzynie Iwanownie... Te pieniądze... Boże, czyżby i te pieniądze...

— Nie, Soniu, — przerwała skwapliwie, — to były nie te pieniądze, uspokój się! Te pieniądze przysłała mi matka, przez jednego kupca. Otrzymałem je, kiedy byłem chory i tego samego dnia dałem Katarzynie Iwanownie.... Razumichin widział... on właśnie za mnie je odbierał.... to moje własne pieniądze.

Sonia słuchała z niedowierzaniem, z wysiłkiem starając się zdać sobie z czegoś sprawę.

— T a m t e pieniądze... zresztą, nawet nie wiem, czy tam były pieniądze, — dodał cicho, zamyślony, — zdjąłem jej wtedy woreczek z szyi, zamszowy... pełny był... wypchany, nawet nie zaglądałem do środka, pewno nie zdążyłem... A rzeczy, same jakieś spinki i łańcuszki, wszystko razem z woreczkiem schowałem następnego dnia rano, pod kamieniem, w podwórku jednego domu, w alei W-ej... Leży tam wszystko teraz...

Sonia słuchała z wytężoną uwagą.

— Więc w takim razie, dlaczego... Sam pan powiedział, że dla rabunku, a nic pan nie wziął? — zapytała szybko, jak tonący, chwytając się źdźbła nadziei.

— Nie wiem.... nie zdecydowałem się jeszcze, czy wezmę, czy nie te pieniądze, — powiedział zamyślony, i nagle oprzytomniał, uśmiechnął się. — Ach, dobre głupstwo palnąłem teraz, co?

„Może to obłąkany“, — błysnęła myśl Soni. Ale odrzuciła zaraz to przypuszczenie: „Nie, to chyba co innego“. Nic nie rozumiała.

— Czy wiesz, Soniu, — zaczął Raskolnikow, z uniesieniem, — Wiesz co ci powiem? Gdybym zabił dlatego

tylko, że byłem głodny, to czułbym się teraz szczęśliwy! Wiedz o tem! — powiedział, akcentując każde słowo. — I cóż ci na tem zależy, co ci zależy, — zawołał, po chwili z rozpaczą, — co ci zależy na tem, żebym przyznał się, że źle zrobiłem! Co ci zależy na tym triumfie nade mną? Ach, Soniu, czy po to do ciebie przyszedłem?

Sonia znowu chciała coś powiedzieć, lecz powstrzymała się.

— Dlatego przecież wczoraj wzywałem cię, byś poszła ze mną, bo ty jedna mi pozostałaś.

— Dokąd żebym poszła?

— Nie kraść i nie zabijać, nie bój się, nie poto, — uśmiechnął się gorzko, — jesteśmy odrębni ludzie... Wiesz, Soniu, dopiero teraz zrozumiałem, dokąd wzywałem cię wczoraj. Kiedy to mówiłem, sam nie wiedziałem jeszcze dokąd. O jedno mi szło tylko, w tym tylko celu przyszedłem: nie opuszczaj mnie. Nie opuścisz, Soniu?

Ścisnęła jego rękę.

— Poco, poco ja jej powiedziałem, poco wyznałem— krzyknął po chwili, patrząc na nią z niewysłowionym bólem. — Czekasz na wyjaśnienia, Soniu, siedzisz i czekasz, widzę to, a co ja ci mam, właściwie, powiedzieć? Przecież ty nic z tego nie zrozumiesz, będziesz cierpiała... przeze mnie! No, właśnie płaczesz i znowu mnie obejmujesz, powiedz, dlaczego mnie obejmujesz? Czy za to, że nie wytrzymałem i przyszedłem zwalić na kogo innego swoją mękę: „Cierp i ty, to mnie będzie lżej“ — Czy możesz kochać takiego łotra?

— A czy ty się nie męczysz? — krzyknęła Sonia.

Znowu fala tamtego uczucia owładnęła nim i zmiękł na chwilę.

— Zauważ Soniu, ja mam złe serce: to wiele ci wytłumaczy. Dlatego właśnie przyszedłem do ciebie, że jestem niedobry. Inny na mojem miejscu by nie przyszedł. Jestem tchórz i... podlec! Ale... niech tam! Nie o to idzie... Należy teraz coś ci powiedzieć, a ja nie wiem od czego zacząć...

Przerwał i zamyślił się.

— Ach, jacy my jesteśmy różni ludzie! — zawołał znowu. — Nie pasujemy do siebie. Poco, poco ja przyszedłem tutaj! Nigdy sobie tego nie daruję!

— Nie, nie, to dobrze, żeś przyszedł! — Wołała Sonia. — To lepiej, że ja będę wiedziała, o wiele lepiej!

Spojrzał na nią z bólem.

— A w samej rzeczy! — powiedział, jakby doszedłszy wreszcie do wniosku, — przecież tak właśnie było! Chciałem zostać Napoleonem, dlatego zabiłem, tak jest... Zrozumiałaś teraz?

— N-nie, — naiwnie i nieśmiało szepnęła Sonia, — tylko... mów, mów! Zrozumiem, ja po swojemu wszystko zrozumiem! — prosiła go.

— Zrozumiesz? No dobrze, zobaczymy!

Milczał, długo zastanawiał się.

— Sprawa polega na tem: postawiłem raz sobie takie pytanie: coby uczynił na mojem miejscu naprzykład Napoleon, gdyby dla zrobienia karjery, miał pod ręką nie Tulon, Egipt, przejście przez Mont-Blanc, czy inne pomnikowe i piękne dzieła, lecz poprostu jakąś śmieszną starowinę, registraturową, którą w dodatku trzeba zabić, żeby jej z kuferka zabrać pieniądze (dla tej karjery, rozumiesz?), czyby się Napoleon na to zdecydował, gdyby nie miał innego wyjścia? Czy powstrzymałoby go przeświadczenie, że to już jest dzieło zbyt mało pomnikowe i... występne? Zatem, oświadczam ci, że nad tem „zagadnieniem" męczyłem się bardzo długo, tak, że mi w końcu było wstyd przed sobą samym. Bo zrozumiałem wreszcie (tak jakoś nagle), że nie tylkoby się nie wahał, ale wogóle nie przyszłoby mu do głowy, że to jest nie pomnikowe dzieło... Nie miałby żadnych skrupułów. I gdyby nie miał innego wyjścia, to zadusiłby ją tak, że nie zdążyłaby nawe pisnąć, bez namysłu! A więc i ja... przestałem się namyślać... zadusiłem ją... zgodnie z autorytatywnym przykładem. Naprawdę to tak właśnie się rzecz miała. Wydaje ci się to śmieszne? Tak, Soniu, najśmieszniejsze jest to, że może właśnie tak się rzecz miała w istocie...

Soni wcale nie wydawało się to śmieszne.

— Niech mi pan lepiej powie poprostu... bez przykładów; — poprosiła jeszcze nieśmielej i ciszej.

Spojrzał na nią ze smutkiem i ujął jej ręce.

— Znowu masz rację, Soniu. To jest wszystko głupia gadanina! Widzisz, wiesz przecież, moja matka prawie nic nie posiada. Siostra tylko przypadkiem otrzymała wykształcenie i skazana jest na poniewierkę, jako guwernantka. Ja byłem jedyną nadzieją, uczyłem się, ale nie mogłem się utrzymać na uniwersytecie i musiałem go narazie opuścić. No, a gdybym nawet pozostał? To mogłem liczyć, że po jakichś dziesięciu, czy dwudziestu latach (gdyby się wszystko pomyślnie układało), najwyżej zostanę nauczycielem, czy urzędnikiem, z tysiąc-rublową pensją — (recytował, jak wyuczoną lekcję). — A do tego czasu matka zmarniałaby ze zmartwień i kłopotów, siostra zaś... z siostrą mogłoby być jeszcze gorzej!... I w imię czego całe życie mam się wszystkiego wyrzekać, z wszystkiego rezygnować, zapomnieć o matce, patrzeć obojętnie na krzywdy siostry? W imię czego? Poto, żeby pochowawszy matkę i siostrę, mieć znowu żonę i dzieci i te, zkolei, zostawić bez grosza i kawałka chleba? Więc... postanowiłem, że za pieniądze tej baby, nie szarpiąc matki, będę się utrzymywał na uniwersytecie i przez pierwsze lata po ukończeniu. Postanowiłem działać z rozmachem, zdecydowanie, żeby utorować sobie drogę do karjery, żeby stanąć na nowej, niezależnej drodze... oto... oto wszystko... A, że zabiłem tę starą, to naturalnie rozumie się źle zrobiłem... ale już dosyć!

Bez sił skończył opowiadanie i spuścił głowę.

— Ach, to jest jakoś inaczej, to jest coś nie tak, nie! — wołała z rozpaczą Sonia. — Czy to tak wolno... nie, tak nie można, nie!

— Widzisz, więc sama, że coś jest nie tak, a jednak powiedziałem ci całą prawdę!

— Cóż to za prawda! Mój Boże.

— Zabiłem przecież tylko wesz, Soniu, niepotrzebną, wstrętną, szkodliwą.

— Pan człowieka nazywa wszą!

— Wiem przecież, że właściwie to nie wesz, — odpowiedział, patrząc na nią dziwnie. — Zresztą, ja kłamię, Soniu, cały czas kłamię... To było zupełnie inaczej, masz rację. Zupełnie, zupełnie, całkiem inne były powody! Dawno już z nikim nie rozmawiałem, Soniu, głowa mnie bardzo boli!

Oczy błyszczały mu gorączkowo. Majaczył niemal, niespokojny uśmiech błądził mu po ustach. Pomimo podniecenia, znać było, że opadł z sił. Sonia widziała, jak bardzo się męczył. Ona również dostawała zawrotu głowy, a on przytem, tak jakoś dziwnie mówił: niby zrozumiale, a jednak... „Jakto! Jakto! O Boże!“ Łamała ręce z rozpaczy.

— Nie, Soniu, to nie to! — zaczął Raskolnikow, znowu podnosząc głowę, jakby go nagle uderzyła i podnieciła nowa myśl. To nie jest to! Lepiej... wyobraź sobie (tak, rzeczywiście będzie lepiej!), wyobraź sobie, że jestem samolub, zazdrosny, zły, wstrętny, mściwy, a poza tem... może nawet na drodze do obłędu. (Niech już będzie wszystko razem! O obłędzie mówiłaś już poprzednio, pamiętam!) A więc, powiedziałem ci już, że nie mogłem utrzymać się na uniwersytecie. A jednak, wiesz, możebym mógł? Na wszelkie opłaty matkaby mi przysyłała, a na obuwie, ubranie i życie zarobiłbym napewno sam! Proponowano mi lekcje — po pół rubla za godzinę. Razumichin przecież pracuje. Rozzłościłem się i nie chciałem. Tak, tak właśnie r o z z ł o ś c i ł e m  s i ę (to dobre wyrażenie!! Jak ślimak schowałem się w swoim kącie. Byłaś w mojej norze, widziałaś... A czy wiesz, Soniu, że niskie sufity i ciasne pokoiki przytłaczają duszę i mózg! O, jak ja nienawidziłem tej nory! A jednak nie chciałem się z niej ruszyć. Uparłem się i nie chciałem! Całemi dniami nie wychodziłem. Nie chciałem pracować, nawet jeść mi się nie chciało, wylegiwałem się na łóżku. Jeżeli Nastka przyniosła obiad, to zjadłem, jeżeli nie przyniosła, nie jadłem wcale, cały dzień przechodził i na złość nie pytałem o jedzenie. Wieczorami nie miałem światła, leżałem pociemku, a nie chciałem zarobić na świecę. Powinienem był się uczyć, tymczasem sprze-

dałem wszystkie książki. Na stole, notatkach i zeszytach zebrał się i leży jeszcze pokład kurzu. Najchętniej leżałem i myślałem. Ciągle myślałem... Miewałem sny, różne dziwaczne sny, nie warto ich powtarzać. Wtedy zaczęło mi się również majaczyć, że... Nie, to nie tak było! Znowu coś kręcę! Rozumiesz, pytałem wtedy ustawicznie siebie: dlaczego jestem tak głupi, że wiedząc napewno, że inni są głupi, nie chcę być od nich mądrzejszy? Później, zdałem sobie sprawę, Soniu, że zadługo trzebaby czekać na to aż wszyscy zmądrzeją... Dalej zrozumiałem, że to się nigdy nie stanie, że ludzie się nie zmienią, że nikt nie jest w stanie ich przerobić i że nawet nie warto się trudzić! Tak, tak jest!... To ich prawo... prawo, Soniu! Tak jest! Teraz wiem, że włada nimi ten, kto ma siłę ducha i rozum! Kto się na wiele waży, ten ma rację! Kto się ośmiela opluć najwięcej rzeczy, ten jest ich prawodawcą, kto się na więcej niż inni waży, ten ma największą rację! Tak było dotychczas i tak będzie zawsze! Tylko ślepiec nie widzi tego!

Raskolnikow, mówiąc to, patrzał wprawdzie na Sonię, ale nie troszczył się już o to, czy ona rozumie go, czy nie. Owładnęła nim gorączka. Był w jakiemś ponurem uniesieniu (rzeczywiście zbyt długo z nikim nie rozmawiał). Sonia zrozumiała, że ten ponury katechizm stał się jego wiarą i prawem.

— Pojąłem wtedy, Soniu, — ciągnął uroczyście dalej, — że władzę posiada tylko ten, kto się odważy schylić po nią i ująć ją w ręce. Tylko to jedno, jedno: należy się odważyć! I wtedy zrodziła się we mnie myśl, po raz pierwszy w życiu, myśl, której nikt nigdy nie miał przede mną! Nikt! Nagle stał mi się jasnym jak słońce fakt, że dotychczas nie było i niema nikogo, ktoby się odważył, przechodząc obok tego całego nonsensu, wziąć wszystko poprostu za łeb i wyrzucić do djabła! Ja... ja chciałem się o d w a ż y ć i zabiłem... chciałem się tylko odważyć, Soniu, oto wszystko!

— Niech pan milczy, niech pan milczy! — krzyknęła Sonia, załamawszy ręce. — Wyrzekł się pan Boga i Bóg pana ukarał i wydał na pastwę szatana!

— A tak właśnie, Soniu, kiedy leżałem pociemku i majaczyłem, to przecież djabeł mnie kusił! Prawda!

— Niech pan przestanie! Niech pan nie drwi, bluźnierco! Nic, nic pan nie rozumie! O, Boże! On nic, nic nie jest w stanie zrozumieć!

— Milcz, Soniu, ja wcale nie drwię, ja wiem, że to djabeł mnie kusił. Milcz, Soniu, milcz! — powtarzał z uporem, ponuro. — Wiem wszystko. Wszystko przemyślałem wtedy, gdy leżałem w ciemnościach... Wszystko sam ze sobą przedyskutowałem do najdrobniejszych szczegółów i wiem wszystko. Tak mi się sprzykrzyło to ględzenie wtedy! Chciałem o wszystkiem zapomnieć i zacząć wszystko na nowo i przestać analizować, Soniu! I cóż ty myślisz, że ja poszedłem, jak głupi, na złamanie karku? Nie, poszedłem, jak mędrek i to mnie właśnie zgubiło. I czy ty myślisz, że nie zdawałem sobie sprawy z tego, że o ile zrodziło się we mnie pytanie, o ile zacząłem sam siebie badać: czy mam prawo sięgnąć po władzę? — to już to samo dowodziło, że właśnie nie mam tego prawa. Albo to, że pytam: czy człowiek jest wszą? Dowodzi to, że dla mnie człowiek wszą nie jest, a jest nią dla tego, kto się nad takiem pytaniem nie zastanawia, kto się decyduje poprostu, bez żadnych zagadnień... Dręcząc się zaś przez tyle dni pytaniem, czy Napoleon by się na taki czyn zdecydował zrozumiałem, że właśnie dlatego się tem pytaniem dręczę, że nie jestem Napoleonem... Przeszedłem całą mękę takiego analizowania się ciągłego i zapragnęłem pozbyć się jej: zapragnąłem, Soniu, zabić bez żadnej kazuistyki, zabić dla siebie samego! Nie chciałem się oszukiwać! Zabiłem, nie żeby pomóc matce — to nonsens! zabiłem, nie dlatego, żeby zdobyć pieniądze i stać się dobroczyńcą ludzkości — to głupstwo! Poprostu zabiłem dla siebie samego. Było mi całkowicie obojętne, czy zostanę czyimś dobroczyńcą, czy też przez całe życie będę pająkiem, wysysającym żywą krew ze swych omotanych ofiar!... Pieniądze nie były również głównym motywem zabójstwa, Soniu! Co innego było mi potrzebne, nie pieniądze... Wszystko teraz zrozumiałem... Słuchaj: gdybym dalej poszedł tą drogą, to pewno nigdy-

bym już nie zabił więcej. Chciałem się o czemś przekonać, pchała mnie chęć dowiedzenia się, natychmiastowego przekonania się, czy jestem, jak inni, wszą, czy też człowiekiem. Czy potrafię przekroczyć, czy nie? Czy się odważę schylić i ująć władzę, czy nie? Czy jestem drżącem, nędznem stworzeniem, czy też mam p r a w o...

— Zabijać? Pan ma prawo zabijać? — załamała ręce Sonia.

— A-ach Soniu! — zawołał Raskolnikow zniecierpliwiony. Chciał jej coś odpowiedzieć, ale zamilkł pogardliwie. — Nie przerywaj mi, Soniu! Chciałem ci dowieść tylko, że to djabeł właśnie mnie wtedy skusił, po to, żeby mi pokazać, że nie miałem prawa i że jestem taka sama wesz, jak wszyscy. Zadrwił sobie ze mnie, a ja, widzisz, przyszedłem do ciebie! No, baw-że swego gościa! Gdybym nie był wszą, czybym przyszedł do ciebie? Słuchaj: gdy wtedy poszedłem do starej, poszedłem tylko wypróbować, więdz o tem...

— I zabił pan, zabił!

— Ale jak zabiłem? Czy tak się zabija? Czy tak się idzie mordować, jak poszedłem? Opowiem ci kiedyś, jak się przygotowywałem. Czy ja zabiłem tę starowinę? Nie, siebie zamordowałem, a nie ją! Ze sobą zrobiłem koniec, raz na zawsze!... Tę babę djabeł zabił, a nie ja... Dosyć już, dosyć, Soniu, dosyć! Zostaw mnie! — krzyknął nagle z nerwowym jękiem, — zostaw mnie!

Oparł łokcie na kolanach i niczem kleszczami ściskał głowę dłońmi.

— Co za męka! — jęknęła boleśnie Sonia.

— I cóż mam teraz począć ze sobą, mów? — zapytał, podniósłszy głowę i patrząc na nią z twarzą wykrzywioną rozpaczą.

— Co zrobić! — zawołała Sonia, zerwawszy się z miejsca, z błyskiem w oczach pełnych łez. — Wstań! — (chwyciła go za ramię, a on podniósł się, patrząc na nią ze zdziwieniem). — Idź zaraz, w tej chwili, stań na rozstajnych drogach, najprzód ucałuj ziemię, którą splugawiłeś, a potem bij pokłony na cztery strony świata i wołaj, głośno

wołaj ludziom: „zabiłem". Wtedy Bóg znowu tchnie w ciebie życie. Pójdziesz? Zrobisz tak? — pytała, drżąc jak w febrze, mocno ściskając jego ręce i przeszywając go palącem spojrzeniem.

Raskolnikow był zdumiony i przerażony jej nagłem uniesieniem.

— Co to, czy ty mówisz o katordze, Soniu? Powinienem sam się oskarżyć? — zapytał ponuro.

— Powinieneś wziąć na siebie krzyż i odpokutować. Tak, powinieneś.

— Nie, nie pójdę do nich, Soniu.

— A żyć, będziesz mógł tak żyć? Czem będziesz żył? Czy odważysz się spojrzeć w oczy matce? (co z nią będzie, co się z nią teraz stanie?) Ale co ja mówię! Przecież tyś porzucił matkę i siostrę. Przecież tyś już je rzucił! O, Boże! On sam zrozumiał już to! Jak ty będziesz mógł żyć taki samotny? Co się z tobą teraz stanie?

— Nie bądź dzieckiem, Soniu, — odezwał się Raskolnikow łagodnie. — Cóż ja im zawiniłem? W jakim celu mam pójść do ludzi? Co im powiem? Wszystko to tylko jakaś zmora... Sami gubią miljony ludzi, za cnotę to sobie w dodatku poczytując. Oszuści i nikczemnicy!... Nie pójdę! I cóż powiem, że zabiłem i bałem się wziąć pieniądze i ukryłem je pod kamieniem? — dodał ze zgryźliwą ironją. — Wyśmieją mnie, powiedzą: a to głupiec dopiero, pieniędzy nie wziął. Tchórz i głupiec! Nic nie zrozumieją, Soniu, i nie warci są tego, żeby zrozumieć. Pocóż mam iść? Nie pójdę. Nie bądź dzieckiem, Soniu...

— Zadręczysz się, zamęczysz — powtarzała z rozpaczliwą prośbą, wyciągając doń ręce.

— A może ja się za surowo sądzę, — zauważył Raskolnikow, zamyślony. — Może jestem jednak człowiekiem, a nie wszą, może się zbyt pośpiesznie potępiłem. Będę jeszcze walczył.

Uśmiechnął się zarozumiale.

— Tak się męczyć! Całe życie przecież, całe życie...

— Przyzwyczaję się, — odezwał się ponuro. — Słuchaj, — zaczął po chwili, — dosyć tego płaczu, przystąpmy

do rzeczy, przyszedłem ci powiedzieć, że mnie szukają, ścigają...

— Ach! — krzyknęła przerażona Sonia.

— Czego krzyczysz? Zlękłaś się, a przecież sama chcesz, żebym poszedł na katorgę? Ale nie dam się wziąć. Będę jeszcze walczył, nic mi nie zrobią. Nie mają dowodów. Wczoraj groziło mi wielkie niebezpieczeństwo, myślałem, że jestem zgubiony. Dzisiaj rzeczy lepiej stoją. Wszelkie dowody, jakie mogą mieć przeciw mnie — mają dwa końce, to znaczy, że mogę je obrócić na swoją korzyść, rozumiesz? I zrobię tak, nauczyłem się, jak to się robi... Ale do więzienia mnie wsadzą napewno. Gdyby nie pewien wypadek, jużbym siedział, napewno. Zresztą może dziś jeszcze mnie zamkną... Ale to głupstwo, Soniu, posiedzę i wypuszczą mnie... bo nie mają żadnego oczywistego dowodu i nie będą go mieli, daję ci słowo. Na podstawie tego, co wiedzą, nie można skazać człowieka. Ale dosyć... Mówię to, żebyś tylko wiedziała!... Postaram się tak jakoś przedstawić sprawę siostrze i matce, żeby uwierzyły w moją niewinność i nie obawiały się... Zdaje się, że siostra jest teraz zabezpieczona... matka zatem również... Oto wszystko. Bądź ostrożna. Będziesz przychodziła do mnie do więzienia, gdy będę siedział?

— O, będę, będę!

Siedzieli obok siebie, zgnębieni i przybici, jak rozbitkowie, wyrzuceni na pusty brzeg przez burzę. Raskolnikow patrzał na Sonię i czuł ile w niej było miłości dla niego. Dziwnie bolesna i przykra była mu świadomość, że jest tak kochany: tak, to była przykra świadomość. Idąc do Soni, zdawał sobie sprawę, że ona jest jego jedyną nadzieją i ocaleniem. Pragnął pozbyć się choć części swego cierpienia. Tymczasem teraz, kiedy była z nim całem sercem, poczuł i zdał sobie sprawę, że jest stokroć nieszczęśliwszy, niż poprzednio.

— Soniu, — rzekł, — lepiej nie przychodź do mnie do więzienia.

Sonia nie odpowiedziała nic, płakała. Upłynęło kilka chwil.

— Czy ty nosisz krzyżyk na szyi? — zapytała niespodzianie, jakby sobie nagle przypomniała.

Raskolnikow zrazu nie zrozumiał pytania.

— Nie, prawda, że nie? Masz, weź mój z cyprysowego drzewa. Mam drugi miedziany, od Lizawiety. Zamieniłam się z nią: ona mi dała swój krzyżyk, a ja jej szkaplerz. Będę nosiła krzyżyk Lizawiety, a ten weź sobie. Weź... przecież to mój! Mój! — prosiła. — Będziemy razem cierpieli, razem będziemy dźwigali krzyż!...

— Daj! — powiedział Raskolnikow.

Nie chciał jej robić przykrości. Ale zaraz cofnął wyciągniętą po krzyż rękę.

— Nie teraz, Soniu. Lepiej później, — dodał, aby ją uspokoić.

— Tak, tak, lepiej później, — podchwyciła z uniesieniem, włożysz, gdy będziesz szedł na mękę. Przyjdziesz do mnie, ja ci go włożę, pomodlimy się i pójdziemy.

W tej chwili zastukał ktoś trzy razy do drzwi.

— Czy można? — odezwał się grzecznie jakiś dobrze znany głos.

Sonia przestraszona rzuciła się do drzwi. W pokoju ukazała się blond głowa pana Lebieziatnikowa.

## V.

Lebieziatnikow miał minę wystraszoną.

— Ja do pani, Sofjo Semenowno. Przepraszam... Pewny byłem, że pana tu zastanę, — zwrócił się do Raskolnikowa, — to jest właściwie, ja nic nie myślałem... w tym rodzaju... tylko właśnie myślałem... A tam Katarzyna Iwanowna dostała pomieszania zmysłów, — wypalił nagle, odwracając się od Raskolnikowa.

Sonia krzyknęła.

— To jest przynajmniej, tak to wygląda. Zresztą... Nie wiemy tam, co z tem zrobić, o to idzie! wróciła skądeś, zdaje się wyrzucili ją, może nawet pobili, tak nam się przynajmniej zdaje... Pobiegła do naczelnika męża, nie zastała

go w domu, był na obiedzie u jakiegoś generała... Wyobraźcie sobie, że ona się i tam machnęła, gdzie był ten obiad, do tego drugiego generała. I wyobraźcie sobie — dopięła swego, wywołali tego naczelnika, od stołu zdaje się. Możecie sobie wyobrazić, co się tam działo. Naturalnie wyrzucono ją za drzwi. Ona mówi, że to ona jemu nawymyślała i czemś mu rzuciła w głowę. To jest nawet prawdopodobne... Nie rozumiem, że jej nie aresztowano! Teraz opowiada o tem wszystkim, Amalji Iwanownie również, ale nic nie można zrozumieć, krzyczy i rzuca się... Ach prawda: mówi i wykrzykuje, że ponieważ wszyscy ją opuścili, więc ona weźmie dzieci i będzie chodzić po ulicach z katarynką. Dzieci będą śpiewały i tańczyły, ona również, i będzie zbierała pieniądze i codziennie będzie chodziła pod okna generała... „Niech — powiada — widzą, jak dobrze urodzone dzieci urzędnika, żebrzą po ulicach!" Dzieci bije — płaczą wszystkie. Lenkę zaczęła uczyć śpiewać „Chałupeczkę", chłopca — tańczyć, Paulinę Michajłownę również. Drze ubrania i robi dla nich jakieś czapeczki, jak dla aktorów. Chce wziąć miskę, będzie w nią bębniła, — zamiast muzyki... Nie daje do siebie mówić... Cóż wy na to? Przecież to jest poprostu niemożliwe!

Lebieziatnikow nie zamierzał przerwać opowiadania, ale Sonia, słuchająca go z zapartym oddechem, nagle porwała mantylkę, kapelusz i wybiegła z pokoju, ubierając się po drodze. Raskolnikow i Lebieziatnikow podążyli za nią.

— Napewno zwarjowała! — powiedział Lebieziatnikow do Raskolnikowa, wychodząc z nim na ulicę. — Nie chciałem przerażać Sofji Semenowny i dlatego powiedziałem „zdaje się", ale niema najmniejszej wątpliwości. To podobno, przy gruźlicy takie gruzełki tworzą się w mózgu. Szkoda, że nie znam się na medycynie. Próbowałem, zresztą, uspokoić ją, ale nie chce wcale słuchać.

— Pan jej mówił coś o gruzełkach?

— O gruzełkach — nie zupełnie. I tak nie zrozumiałaby. Mam tylko na myśli: jeżeli dowieść człowiekowi logicznie, że w zasadzie nie ma powodu do płaczu, to czło-

wiek taki przestanie płakać. To oczywiste. A pan sądzi, że nie przestanie?

— Zbyt łatwoby było wtedy żyć, — odpowiedział Raskolnikow.

— Przepraszam, przepraszam. Bezwątpienia, Katarzyna Iwanowna nie może tego zrozumieć. Ale, czy pan wie, że w Paryżu przeprowadzano poważne doświadczenia w sprawie możliwości leczenia obłąkanych wyłącznie za pomocą logicznego oddziaływania? Jeden z tamtejszych profesorów, niedawno zmarły, bardzo poważny uczony, uważał to za możliwe. Wychodził z założenia, że organizm obłąkanych bynajmniej nie podlega rozstrojowi, obłąkanie zaś jest poprostu błędem logicznym, błędnem rozumowaniem, fałszywym poglądem na rzeczy. Stopniowo prostował choremu te błędne poglądy i, niech pan sobie wyobrazi, mówią, że osiągał dobre rezultaty! Ale ponieważ jednocześnie posługiwał się również prysznicami, więc rezultaty jego metody poddawane są naturalnie krytyce... przynajmniej tak się zdaje...

Raskolnik dawno go już nie słuchał. Doszedłszy do domu, w którym mieszkał, kiwnął Lebieziatnikowowi głową i wszedł do bramy. Lebieziatnikow ocknął się, obejrzał się i pobiegł dalej.

Raskolnikow wszedł do swej komórki i stanął na środku. „Poco tu wrócił?“ Obejrzał pożółkłe, obszarpane obicia, kurz, kozetkę... Z podwórka dochodziło ostre, bezustanne stukanie: gdzieś coś jakby wbijano, jakiś gwóźdź... Podszedł do okna, wspiął się na palce i z wielką uwagą rozglądał się po podwórku. Było puste, nie było widać kto stukał. Na lewo, w oficynie, kilka okien było otwartych, stały w nich doniczki nędznych geranij. Suszyła się bielizna... Umiał to wszystko na pamięć. Odwrócił się i usiadł na kanapie.

Nigdy jeszcze nie był tak bardzo osamotniony!

Uczuł znowu, że rzeczywiście może znienawidzieć Sonię właśnie teraz, gdy ją bardziej jeszcze unieszczęśliwił. „W jakim celu właściwie poszedłem żebrać jej łez? Co mi przyjdzie z marnowania jej życia? Co za... nikczemność!“

— Pozostanę samotny! — powiedział zdecydowanym tonem, — nie będzie przychodziła do więzienia!

Po chwili podniósł głowę i uśmiechnął się do dziwnej myśli: „Może jednak na katordze rzeczywiście byłoby lepiej".

Nie pamiętał, jak długo tak przesiedział, z kłębiącemi się po głowie niejasnemi myślami. Wtem drzwi się otworzyły i weszła jego siostra. Zatrzymała się na progu i popatrzała nań tak, jak on wczoraj na Sonię. Potem usiadła na krześle, wprost niego, jak wczoraj. Raskolnikow milczał i przyglądał się jej bezmyślnie.

— Nie gniewaj się, ja tylko na chwilę, — powiedziała Dunia. Była zamyślona, lecz bynajmniej nie surowa. Spojrzenie jej było jasne i łagodne. Zrozumiał, że ją sprowadziła do niego miłość.

— Słuchaj, wiem o wszystkiem. Dymitr Prokofjewicz wszystko mi opowiedział i wytłumaczył. Gnębią cię i męczą głupiem i podłem podejrzeniem... On uważa, że nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo i że niepotrzebnie tak bardzo się tem przejmujesz. Jestem innego zdania, doskonale rozumiem, jak bardzo jesteś wstrząśnięty i obawiam się, że to ci może pozostawić na zawsze ślady. Za to, żeś nas porzucił nie potępiam cię i nie mam prawa potępiać! Wybacz, że ci robiłam o to wyrzuty. Zdaję sobie sprawę, że gdyby mnie spotkało jakieś wielkie nieszczęście, również uciekłabym od wszystkich. Matce nic o tem nie powiem. Będę z nią ciągle o tobie rozmawiała i w twojem imieniu obiecam, że wrócisz bardzo niedługo. Nie martw się o nią, ja ją uspokoję. Ale nie męcz jej, — przyjdź choć raz. Pamiętaj, że to matka przecież! A teraz chciałam ci powiedzieć tylko, — (Dunia wstała), — że gdybym kiedykolwiek była ci potrzebna, gdybyś potrzebował... choćby całego mego życia, albo... zawołaj mnie, przyjdę. Żegnaj!

Szybko się odwróciła i skierowała ku drzwiom.

— Duniu! — zatrzymał ją Raskolnikow, wstając i zbliżając się do niej. — Ten Razumichin, to bardzo porządny człowiek.

Dunia zarumieniła się.

— Więc? — zapytała po chwili pauzy.

— To człowiek serjo, pracowity, uczciwy, zdolny do wielkiego uczucia... Żegnaj, Duniu.

Dunia, oblana ponsem, nagle zaniepokoiła się:

— Co to, czy doprawdy rozstajemy się na zawsze, że mi... ostatnią wolę objawiasz?

— To nic niema do rzeczy... Żegnaj...

Odwrócił się i odszedł do okna. Dunia stała jeszcze chwilę, patrzała nań stroskana i wyszła bardzo niespokojna.

Bynajmniej nie był obojętny dla niej. Był moment (przy końcu rozmowy), że bardzo pragnął uściskać ją mocno, p o ż e g n a ć się z nią, a nawet powiedzieć jej. Jednak nie zdecydował się nawet na podanie ręki.

„Wstrząśnie się może potem, gdy sobie przypomni, że ją obejmowałem, powie, że ukradłem jej pocałunek!"

„Czy ta wytrzyma, czy nie?" — pomyślał jeszcze po chwili. — „Nie, nie wytrzyma, t a k i e nie mogą wytrzymać! Takie nie wytrzymują nigdy"...

Pomyślał o Soni.

Od okna powiał chłód. Słońce nie świeciło już tak jasno. Raskolnikow wziął czapkę i wyszedł.

Oczywiście nie mógł i nie chciał zastanawiać się nad swym chorobliwym stanem. Ciągły niepokój jednak, wszystkie te cierpienia, nie mogły przejść bez śladu. Że nie zmogła go dotąd prawdziwa choroba, to może dla tego właśnie, iż ów ciągły wewnętrzny niepokój narazie dodając mu sił, sztucznie go podtrzymywał.

Błąkał się po ulicach bez celu. Słońce zachodziło. Jakiś dziwny niepokój ogarniał go w ostatnich czasach. Nie zawierał on w sobie nic żrącego, przepalającego. Lecz mieściło się w nim przeczucie czegoś stałego, wiekuistego, przeczucie beznadziejnych lat zabójczej martwej rozpaczy, przeczucie całej wieczności, zamkniętej w metrowej przestrzeni. O zmierzchu, nastrój taki zwykle mocniej go jeszcze dręczył.

— Czy można nie zrobić głupstwa, przy takich czysto fizycznych przypadłościach, zależnych od jakiegoś zachodu

słońca! Nietylko do Soni, nawet do Duni mógłbym pójść! — mruknął z nienawiścią.

Zawołał go ktoś. Obejrzał się: gonił go Lebieziatnikow.

— Niech pan sobie wyobrazi, że byłem u pana, szukam pana. Niech pan sobie wyobrazi, że wykonała swój plan i zabrała dzieci! Ledwieśmy je znaleźli z Sofją Semenowną. Bije w patelnię, a dzieciom każe tańczyć. Dzieci płaczą. Zatrzymują się na rogach i przed sklepikami. Tłum gapiów za nimi biega. Chodźmy.

— A Sonia? — zapytał niespokojnie Raskolnikow, podążając za Lebieziatnikowem.

— Oszalała poprostu. To jest, nie Sonia oszalała, tylko Katarzyna Iwanowna, zresztą Sofja Semenowna też szaleje. A Katarzyna Iwanowna zupełnie oszalała. Mówię panu, zupełna warjatka. Policja ją zatrzyma. Może pan sobie wyobrazić, jak to na nią podziała... są teraz nad kanałem, przy moście, bardzo niedaleko od mieszkania Sofji Semenowny. Blisko.

Nad kanałem, nieopodal mostu, o dwa domy od mieszkania Soni, zgromadził się tłum ludzi, złożony przeważnie z wyrostków i dziewcząt. Ochrypły rozbity głos Katarzyny Iwanowny słychać było przy moście. Rzeczywiście to dziwaczne widowisko mogło zainteresować uliczną publiczność. Katarzyna Iwanowna w zniszczonej sukni, w chustce, w połamanym słomkowym kapeluszu, opadającym na bok głowy, jak bezkształtna szmata, naprawdę szalała. Była zmęczona i zdyszana. Jej zbolała, suchotnicza twarz miał wyraz bardziej jeszcze cierpiący, niż zazwyczaj (na ulicy, w słońcu, suchotnik zawsze wygląda gorzej niż w mieszkaniu). Jej podniecenie nie zmniejszało się jednak, zdenerwowanie wzmagało się z każdą chwilą. Rzucała się na dzieci, krzyczała na nie, uczyła na miejscu wobec wszystkich, jak tańczyć i co śpiewać, tłumaczyła im dlaczego muszą to robić, wpadała w rozpacz, że jej nie rozumieją, biła je... Potem, nie kończąc, rzucała się na publiczność. Gdy zobaczyła wśród widzów kogoś choć trochę lepiej ubranego, natychmiast zaczynała mu tłumaczyć, do czego doprowadzono

dzieci ze „szlacheckiego, a nawet arystokratycznego domu". Gdy w tłumie się ktoś roześmiał, lub zadrwił, rzucała się na śmiałków z wymysłami. Jedni się śmieli, inni kręcili głowami, wszyscy jednak patrzyli z ciekawością na obłąkaną kobietę i wystraszone dzieci. Patelni, o której mówił Lebieziatnikow, nie miała, przynajmniej Raskolnikow jej nie zauważył. Katarzyna Iwanowna zmuszając Polcię do śpiewu, a Leńkę i Kolę do tańca, zamiast w patelnię, biła w takt w wyschłe dłonie. Próbowała również nucić sama, ale za każdym razem ostry kaszel przerywał jej przy drugim takcie, co doprowadzało ją znowu do rozpaczy, a nawet do łez. Najwięcej denerwował ją płacz i przerażenie Koli i Lenki. Rzeczywiście próbowała ubrać dzieci w stroje ulicznych śpiewaków. Chłopiec, w turbanie zrobionym z jakiejś czerwonej z białem materji udawał Turka, dla Lenki nie starczyło na kostjum, miała tylko na głowie czerwoną, włóczkową czapeczkę (a właściwie szlafmycę) nieboszczyka ojca, z wetkniętym w nią kawałkiem białego pióra strusiego, które, jako pamiątka rodzinna jeszcze po babce Katarzyny Iwanowny, przechowywane było dotychczas w kufrze. Polcia była w swej codziennej sukience. Spoglądała nieśmiało na matkę, zdając sobie sprawę z jej szaleństwa, nie odchodziła od niej, straciła głowę i, ocierając ukradkiem łzy, oglądała się niespokojnie dookoła. Tłum i ulica przerażały ją. Sonia nie odstępowała od Katarzyny Iwanowny, płakała i zaklinała ją co chwilę, aby wróciła do domu. Ale ta była nieubłagana.

— Daj spokój, Soniu, — zostaw mnie! — wołała prędko, dysząc i kaszląc. — Jak dziecko nie rozumiesz o co idzie! Powiedziałam ci już raz, że nie wrócę do tej pijanej Niemki. Niech wszyscy zobaczą, cały Petersburg, jak żebrzą dzieci szlachetnego ojca, który całe życie uczciwie i wiernie służył i umarł, rzec można, na posterunku. — (Katarzyna Iwanowna zdążyła już sobie wymyślić tę historję i ślepo w nią uwierzyć). — Niechno, niech zobaczy ten marny generał. Głupia jesteś, Soniu: z czego mamy żyć teraz, powiedz? Dosyć już szarpaliśmy ciebie, nie chcę dłużej! Ach, to pan, Rodionie Romanowiczu! — krzyknęła,

zobaczywszy Raskolnikowa. — Niech pan wytłomaczy tej gapie, — rzuciła się do niego, — że nic mądrzejszego nie można było wymyśleć! Kataryniarze dobrze zarabiają, a nas wszyscy wyróżnią, kiedy się dowiedzą, że jesteśmy biedną, szlachetną, osieroconą rodziną, a ten podły generał napewno wyleci z posady, zobaczy pan! Codziennie będziemy chodzili do niego pod okna, a kiedy będzie przejeżdżał najjaśniejszy pan, padnę na kolana, wypchnę dzieci naprzód i wskażę na nich: „Broń ich ojcze!" On jest ojcem dla sierot, jest miłosierny, obroni, zobaczy pan, a tego marnego generała... Lena! Tenez vous droite! Kola, zaraz będziesz znowu tańczył. Czego chlipiesz? Znowu chlipie. Czego się boisz głuptasku? O, Boże, Rodionie Romanowiczu, co ja mam z niemi zrobić? Żeby pan wiedział, jakie to niezdarne! Czy można z niemi coś zrobić!...

Sama prawie płacząc (co nie przeszkadzało jej zresztą w wyrzucaniu bez przerwy potoku słów), wskazywała mu chlipiące dzieci. Raskolnikow próbował namówić ją do powrotu do domu. Chcąc oddziałać na jej ambicję, zauważył nawet, że nie wypada, aby chodziła po ulicach, jak kataryniarz, skoro zamierza zostać przełożoną pensji dla panien dobrze urodzonych.

— Pensji, cha, cha, cha! Dobry gołąb na dachu! — krzyknęła Katarzyna, po wybuchu śmiechu, zaniósłszy się kaszlem. — Nie, proszę pana, skończyły się marzenia. Wszyscy nas opuścili!... A ten marny generał... Wie pan, rzuciłam w niego kałamarzem, stał akurat w poczekalni na stole, przy arkuszu, na którym się interesanci podpisywali, i ja się podpisałam, rzuciłam i uciekłam. O, podli, podli! Pluję na nich, teraz sama będę utrzymywała dzieciaki, obejdę się bez łaski! Dosyć już wymęczyliśmy ją — (wskazała na Sonię). — Polciu, ileśmy zebrali, pokaż! jakto? dwie kopiejki? O nikczemnicy! Nic nie dają, biegają tylko za nami z wywieszonemi językami! Czego się ten dureń śmieje? — (wskazała na kogoś w tłumie). — To wszystko dlatego, że ten Kola jest taki niezdarzony, kram z nim mam tylko! Czego chcesz, Polciu? Mów ze mną po francusku, parlez moi français. Uczyłam cię przecież, umiesz kilka

zdań!... Inaczej nie odróżnią was, dzieci z dobrej rodziny, dobrze wychowane od zwykłych kataryniarzy. Nie przedstawiamy przecież jakiegoś tam „Czarnego Piotrusia“, tylko zaśpiewamy szlachetny romans... Ach, prawda! Coby tu zaśpiewać? Przeszkadzacie mi ciągle, a my... rozumie pan, zatrzymaliśmy się tu, aby wybrać coś takiego do śpiewu, żeby Kola mógł przy tem tańczyć... Bo to my, jak pan widzi, wszystko bez przygotowania. Trzeba się umówić, żeby wszystko szło składnie, to pójdziemy na Newski, tam jest o wiele więcej ludzi z dobrego towarzystwa, zaraz nas zauważą. Lenka umie „Chałupeczkę“... Ciągle tylko „Chałupeczka“ i „Chałupeczka“, wszyscy tylko to śpiewają! Musimy zaśpiewać coś o wiele szlachetniejszego... No, Polciu, wymyśliłaś coś, mogłabyś ty przynajmniej pomóc matce! Pamięci nie mam, pamięci mi brak, bobym sama sobie coś przypomniała! Nie możemy przecież śpiewać „Gdy huzar, wsparty na szabli!“ Ach, zaśpiewamy po francusku „Cinq Sous“! Uczyłam was tego, uczyłam. A co najważniejsze, to jest po francusku, odrazu wszyscy się przekonają, że jesteście dziećmi ze szlacheckiej rodziny i będzie bardzo wzruszające... Możnaby nawet „Malborough s'en va-t-en guerre!“, bo to piosenka dla dzieci i we wszystkich arystokratycznych domach śpiewają ją dzieciom do snu:

Malborough s'en va-t-en guerre
Ne sait quand reviendra...

zaczęła śpiewać. — Nie, lepiej niech będzie“ „Cinq sous“! No Kola, weź się pod boki, prędzej, a ty, Lenko, kręć się w drugą stronę, a ja z Polcią będę nucić i klaskać!

Cinq sous, sinq sous
Pour monter notre ménage.

Ekch, ekch, ekch! — (zaniosła się kaszlem). — Popraw sukienkę, Polciu, ramiączka opadły, — zauważyła, dysząc ciężko. — Teraz właśnie powinniście się starać o przyzwoity wygląd i zachowanie, żeby wszyscy widzieli, że jesteście szlacheckie dzieci. A mówiłam wtedy, żeby krajać dłuższe staniki i przytem z dwuch brytów. To ty, Soniu, wtedy,

z twojemi radami. „Krócej i krócej“ i w rezultacie oszpecili dzieciaka... Znowu płacz! Czego gapy jedne? No, Kola, zaczynaj prędzej, prędzej — ach, cóż to za nieznośny dzieciak!...

Cinq sous, cinq sous.

Znowu żołnierz! Czego tu chcesz?

W istocie przez tłum przeciskał się policjant. Lecz w tej samej chwili zbliżył się jakiś jegomość w mundurze i płaszczu, poważny pięćdziesięcioletni urzędnik z orderem na szyi (co sprawiło specjalną przyjemność Katarzynie Iwanownie i mitygowało policjanta) i w milczeniu podał jej trzyrublowy, zielony banknot. Na twarzy jego malowało się szczere współczucie. Katarzyna Iwanowna przyjęła pieniądze i podziękowała grzecznie, skłoniła się nawet ceremonjalnie.

— Dziękuję panu, szanowny panie, — zaczęła górnolotnie, — pobudki, które skłoniły nas... weź pieniądze, Polciu. Widzisz, są jeszcze porządni i szlachetni ludzie, gotowi pośpieszyć z pomocą biednej szlachciance, dotkniętej nieszczęściem. Widzi pan tutaj, szanowny panie, szlacheckie dzieci, nawet bardzo arystokratycznie ustosunkowane... A ten marny generał siedział sobie i jarząbki zajadał... zaczął tupać nogami, że mu przeszkodziłam... „Ekscelencjo, powiadam, znałeś tak dobrze męża mego nieboszczyka, broń teraz sieroty i córkę jego rodzoną, którą najpodlejszy z podłych w dzień śmierci ojca oczernił...“ Znowu ten żołnierz! Niech pan mnie broni! — wołała do urzędnika. — Czego ten żołnierz mnie się czepia? Z ulicy Mieszczańskiej uciekliśmy już tutaj przed jednym... O co ci idzie, głupcze!

— Bo po ulicach niewolno. Proszę bez nieporządków.

— To ty sam robisz nieporządek! Ja tak samo, jakbym chodziła z katarynką, co ciebie to obchodzi?

— Na katarynkę trzeba mieć pozwolenie, a pani tu swoją osobą i temi sposobami zbiegowisko robi. Gdzie pani zamieszkuje?

— Jakie pozwolenie! — ryknęła Katarzyna Iwa-

nowna. — Męża dziś pochowałam, co tu ma być za pozwolenie.

— Niech się pani uspokoi, — zaczął urzędnik, — chodźmy, odprowadzę panią... Tak nie wypada w tłumie... pani jest chora...

— Panie szanowny, pan o niczem nie wie! — wołała Katarzyna Iwanowna. — Pójdziemy na Newski... Soniu! Soniu! Gdzie ona się podziała? Co, ona także płacze? Co się z wami stało!... Kola, Lenka, a wy dokąd? — krzyknęła nagle przestraszona. — Głupie dzieciaki! Kola, Lenka, dokąd oni biegną!...

Kola i Lenka, wystraszeni przez tłum i zachowanie się obłąkanej matki, zobaczywszy wreszcie żołnierza, który chciał ich zabrać dokądś, schwycili się za ręce i rzucili się do ucieczki. Katarzyna Iwanowna z krzykiem i płaczem zaczęła ich gonić. Żal było patrzeć na nią, gdy biegła, płacząc, zdyszana. Sonia i Polcia pobiegły za nią.

— Zatrzymaj ich, zatrzymaj Soniu! Głupie niewdzięczne dzieci!... Pola! Trzymaj ich... Przecież ja dla was...

Potknęła się i upadła.

—Potłukła się do krwi! O, Boże! — krzyknęła Sonia nachylając się nad nią.

Wszyscy się zbiegli i okrążyli leżącą.

Raskolnikow przybiegł z Lebieziatnikowem pierwszy, za nimi śpieszył urzędnik i policjant, który machnął zniecierpliwiony ręką i urągał pod nosem, czując, że będzie miał kram.

— Proszę się rozejść! — rozpędzał gromadzący się tłum.

— Umiera! — krzyknął jakiś głos.

— Zwarjowała! — odezwał się inny.

— O Boże, zmiłuj się! — powiedziała jakaś kobieta, żegnając się. — Czy złapali dziewczynę i chłopaka? Acha! Prowadzą ich, starsza dziewczyna złapała... A to dopiero!

Po bliższem przyjrzeniu się okazało się, że Katarzyna Iwanowna nie zraniła się padając, jak myślała Sonia, lecz, że krew, czerwieniąca bruk, płynie jej z gardła.

— Znam już takie rzeczy, widziałem, — powiedział urzędnik do Raskolnikowa i Lebieziatnikowa, — to suchoty: krew bucha z gardła i dusi. Byłem niedawno świadkiem, moja krewna, tak z półtory szklanki... niespodzianie... Jednakże, co z nią zrobić, umrze zaraz.

— Do mnie, tutaj, tutaj! błagała Sonia. — Ja tutaj mieszkam!... W tym domu, druga brama... Prędzej, prędzej!... rzucała się do wszystkich. — Trzeba posłać po doktora... Mój Boże!

Urzędnik zajął się wszystkiem, nawet policjant pomagał przy przenoszeniu Katarzyny Iwanowny. Przeniesiono ją do mieszkania Soni i pół-żywą położono na łóżku. Krwotok nie ustawał, lecz zaczynała odzyskiwać przytomność. Do pokoju weszli, prócz Soni, Raskolnikowa i Lebieziatnikowa, urzędnik i policjant, który rozpędził przedtem gapiów, tłoczących się do samych drzwi. Przyszedł również Kapernaumow, kulawy, krzywy, o dziwnym wyglądzie człowiek ze szczeciniastą, sterczącą czupryną i bokobrodami, żona jego z wiecznie wystraszoną miną i kilkoro ich dzieci ze skamieniałemi w wiecznem zdziwieniu twarzami i otwartemi ustami. Zjawił się również niewiadomo skąd, Swidrygajłow. Raskolnikow patrzał nań zdziwiony, nie rozumiejąc, w jaki sposób ten się tu znalazł i nie przypominając sobie, aby go widział w tłumie.

Wspomniano o kapłanie i doktorze. Urzędnik szepnął wprawdzie Raskolnikowowi, że uważa obecność doktora już za zbyteczną, lecz jednak polecił go sprowadzić. Zajął się tem Kapernaumow.

Tymczasem Katarzyna Iwanowna oprzytomniała, krwotok ustał narazie. Obrzuciła cierpiącym, lecz badawczym i przenikliwym wzrokiem Sonię, obcierającą jej chustką krople potu z czoła. Prosiła, aby ją podnieść. Podtrzymując z obu stron, posadzono ją na łóżku.

— Gdzie są dzieci? — zapytała drżącym głosem. — Przyprowadziłaś je, Polciu? Głuptasy!... Dlaczego uciekały... Ach!...

Krew pokrywała jeszcze jej spieczone usta. Obejrzała się wokoło.

— To ty tu mieszkasz, Soniu! Nie byłam nigdy u ciebie... no i wybrałam się...

Popatrzała na nią ze współczuciem.

— Wyssaliśmy ciebie, Soniu... Pola, Lenka, Kola chodźcie tutaj... Masz je, Soniu, weź je... z rąk do rąk... ja mam już dosyć!... Już po balu!... Ha... Połóżcie mnie, dajcie mi choć umrzeć spokojnie...

Ułożono ją znowu na łóżku.

— Co? popa?... Nie potrzeba... Nie macie pieniędzy do wyrzucenia!... Nie mam żadnych grzechów na sumieniu!... I tak mnie Pan Bóg rozgrzeszy... On wie jak ja cierpiałam! A jak nie rozgrzeszy, to mniejsza z tem!...

Coraz bardzie traciła przytomność. Chwilami wstrząsała się, rozglądała się wokoło, poznawała wszystkich, lecz zaraz znowu zaczynała majaczyć. Oddech stawał się ciężki i chrapliwy, coś bulgotało jej w gardle.

— Mówię mu: „ekscelencjo..." — wykrzykiwała ciężko dysząc, po każdym wyrazie. — To Amalja... ach! Lenka, Kola! Wziąć się pod boki, prędzej, prędzej glissé-glissé, pas de basque! Wybijaj takt nóżkami... Z gracją.

Du hast Diamanten und Perlen...

Jak to idzie dalej? O, toby można zaśpiewać...

Du hast die schönsten Augen...
Mädchen, was willst du mehr?...

No tak, czy może być inaczej! was willst du mehr, — czego się jeszcze durniowi zachciewa!... Ach, prawda, jeszcze to:

Raz, w południowy żar, w dolinie Dagestanu...

Ach, jak ja to lubiłam... Zachwycałam się tym romansem, Polciu!... Wiesz, twój ojciec... jeszcze jako narzeczony to śpiewał... Były czasy!... To powinniśmy zaśpiewać! Ale, jak to idzie, tak tam... zapomniałam... no, przypomnij, jak tam?

Raz, w południowy żar!... w dolinie!... Dagestanu!...
Z ołowiem w sercu!...

Ekscelencjo! — jęknęła nagle rozdzierającym głosem zalewając się łzami. — Broń sieroty! W imię zasług ich nieboszczyka ojca...! Rzec można, nawet arystokraty!... Ha.— Nagle drgnęła, oprzytomniała i patrzała na wszystkich z przerażeniem. Poznała Sonię. — Soniu! Soniu! — powiedziała miękko i łagodnie, jakby zdziwiona, że ją widzi. — Soniu kochana i ty tu jesteś?

Podniesiono ją znowu..

— Koniec!... Już czas!... Żegnaj, nieszczęsna!... Zajeździli klacz!... Padła-a-a! — krzyknęła rozpaczliwie z nienawiścią i gruchnęła głową, ale już nie na długo. Głowę o bladej, pożółkłej, wyschłej twarzy, odrzuciła wtył, na wznak, usta się rozwarły, nogi wyprostowały się kurczowo. Odetchnęła głęboko i umarła.

Sonia rzuciła się na ciało, objęła je ramionami i znieruchomiała z twarzą na wyschłej piersi nieboszczki. Polcia przypadła do nóg matki i całowała je, łkając. Kola i Lenka, nie rozumiejąc jeszcze, co się stało, ale przeczuwając coś strasznego, objęli się ramionami i patrząc na siebie, jednocześnie otworzyli usta i zaczęli krzyczeć. Obydwoje byli jeszcze w kostjumach: on w turbanie, a ona w czapeczce ze strusiem piórem.

W jaki sposób ów„ list pochwalny" znalazł się na łóżku, przy Katarzynie Iwanownie? Leżał przy poduszce, Raskolnikow go zauważył.

Odszedł do okna. Podbiegł doń Lebieziatnikow.

— Umarła! — powiedział.

— Rodionie Romanowiczu, mam panu kilka słów do powiedzenia, zbliżył się Swidrygajłow.

Lebieziatnikow odsunął się dyskretnie. Swidrygajłow odprowadził Raskolnikowa w dalszy jeszcze kąt.

— Cały ten kram, to jest pogrzeb i resztę, biorę na siebie. Potrzebne są pieniądze, a ja mam zbyteczne, jak już powiedziałem. Tych dwoje piskląt i tę Polcię, umieszczę w jakimś porządniejszym zakładzie dla sierot. Złożę dla każdego z nich kapitał, do pełnoletności, po tysiąc rubli. Niech już Sofja Semenowna ma zupełny spokój. Ją również wyciągnę z otchłani, to dobra dziewczyna, prawda? Więc,

niech pan zatem powtórzy Awdotji Romanownie, jaki użytek zrobiłem z jej dziesięciu tysięcy rubli.

— W jakim celu, właściwie, pan się zrobił taki dobroczynny? — zapytał Raskolnikow.

— A-ach! podejrzliwy człowieku! — roześmiał się Swidrygajłow. — Przecież powiedziałem, że mam zbyteczne pieniądze. A jeżeli, tak sobie, poprostu, przez poczucie ludzkości, pan sobie tego nie wyobraża? Przecież ona nie była „wszą" — (wskazał palcem na łóżko, na którem leżała zmarła), — jak jakaś starowina-lichwiarka. No niechże się pan zgodzi, czy „Łużyn ma żyć i robić świństwa, czy też ona ma zginąć?" Gdyby nie moja pomoc, to „Polcię także ten sam los czeka"...

Powiedział to jakimś wesołym, porozumiewawczym i łobuzerskim tonem, nie spuszczając wzroku z Raskolnikowa. Ten zbladł, przeszedł go zimny dreszcz, gdy usłyszał swoje własne słowa, użyte w rozmowie z Sonią. Cofnął się gwałtownie i obrzucił Swidrygajłowa dzikiem spojrzeniem.

— Pan skąd... skąd pan wie? szepnął, ledwie chwytając oddech.

— A ja tutaj przecież, przez ścianę, u madame Resslich mieszkam. Tutaj mieszka Kapernaumow, a tam madame Resslich, moja dawna, najwierniejsza przyjaciółka. Jestem sąsiadem.

— Pan?

— A ja, — ciągnął Swidrygajłow, — trzęsąc się ze śmiechu, — i daję panu słowo honoru, kochany Rodionie Romanowiczu, że pan mnie bardzo zainteresował. A mówiłem panu, że pasujemy do siebie, przepowiadałem to panu, — i dopasowaliśmy się. Zobaczy pan, jaki ze mnie zgodny człowiek. Zobaczy pan, że ze mną można się zżyć...

# CZĘŚĆ SZÓSTA

# I.

Dziwnem życiem żył teraz Raskolnikow: zdawało mu się, że ogarnęła go gęsta mgła, izolując od wszystkiego, w ciężkiej samotności, bez wyjścia. Gdy, znacznie już później przypomniał sobie ten okres, zdawał sobie sprawę, że przez cały czas do ostatecznej katastrofy, doznawał niejako zamroczenia świadomości. Pewny był naprzykład, zupełnie, że nie orjentował się wtedy w czasie i mylił daty rozmaitych wypadków. Gdy przypominał sobie różne fakty i chciał się w nich zorjentować, musiał opierać się na wiadomościach, dostarczonych mu o sobie przez osoby trzecie. Mieszał zdarzenia, różne rzeczy uważał za wynik wypadków, istniejących naprawdę tylko w jego wyobraźni. Chwilami ogarniał go chorobliwy, męczący lęk przechodzący niekiedy w paniczny strach. Pamiętał również, że w przeciwieństwie do takiego stanu, zapadał na godziny całe, a nawet dnie, w zupełną apatję,przypominającą przedśmiertną obojętność chorych. Zasadniczo, w ciągu ostatnich dni unikał wyraźnego zdawania sobie sprawy ze swej sytuacji. Zwłaszcza pewne fakty, któreby należało natychmiast wyświetlić, bardzo mu ciążyły. Starał się unikać kłopotów, których omijanie, groziło nieuchronną zgubą w jego położeniu.

Niepokoił go zwłaszcza Swidrygajłow. Bieg jego myśli urywał się właśnie na bardzo dla niego groźnych i zupełnie niedwuznacznych słowach Swidrygajłowa, wypowiedzianych w mieszkaniu Soni, w chwili śmierci Katarzyny Iwanowny. Mimo to Raskolnikow nie starał się wyjaśnić sprawy. Czasami, znalazłszy się w jakiejś oddalonej dzielni-

cy miasta, w nędznym szynku, sam jeden przy stole, nie pamiętając prawie, jak się tam dostał, przypominał sobie nagle Swidrygajłowa. Powstawała w nim wtedy wyraźna myśl, że powinien jaknajprędzej rozmówić się z tym człowiekiem i, że możliwe jest dojście z nim do ostatecznego porozumienia. Pewnego razu, gdy zawlókł się gdzieś za rogatki, zdawało mu się nawet, że czeka na Swidrygajłowa i że tam się z nim umówił. Innym razem, obudził się o świcie, gdzieś na ziemi, w krzakach, zupełnie nie wiedząc skąd się tam wziął. Zresztą w ciągu dwuch, czy trzech dni od śmierci Katarzyny Iwanowny, spotykał Swidrygajłowa w mieszkaniu Soni, do której Raskolnikow wstępował bez celu, zawsze tylko na chwilę. Zamieniali wtedy ze sobą kilka słów, nigdy jednak nie poruszając sprawy najważniejszej, jakby było umówione między nimi, że o tem należy milczeć do czasu. Ostatni raz spotkali się przed pogrzebem Katarzyny Iwanowny. Sonia była bardzo zajęta. Swidrygajłow krzątał się i wydawał różne polecenia, tyczące pogrzebu. Zakomunikował Raskolnikowowi, że udało mu się pomyślnie załatwić sprawę losu dzieci; dzięki swoim stosunkom, znalazł osoby, które dopomogły do natychmiastowego umieszczenia całej trójki w bardzo porządnych zakładach. Ułatwiły sprawę sumy złożone przez niego na imię dzieci, bo sieroty, posiadające kapitalik, daleko łatwiej jest umieścić, niż zupełnie biedne. Mówił coś także o Soni, obiecał, że wstąpi w tych dniach do Raskolnikowa i wspomniał, że „chciałby się poradzić, że trzebaby się rozmówić, że są pewne sprawy"... Rozmowa powyższa toczyła się w sieni, na schodach. Swidrygajłow badawczo patrzył Raskolnikowowi w oczy i nagle, zniżywszy głos, zapytał po chwili namysłu:

— Dlaczego pan jest taki jakiś nieswój, Rodionie Romanowiczu? Naprawdę! Patrzy pan i słucha, jakby pan nic nie rozumiał. Niech się pan otrząśnie z tego. Pogadajmy sobie. Szkoda tylko, że mam tyle spraw na głowie, własnych i cudzych... Ach, proszę pana, — dodał, — wszyscy ludzie potrzebują powietrza, powietrza, powietrza... Przedewszystkiem!

Swidrygajłow odsunął się, przepuszczając wchodzące-

go popa z djakiem, którzy przyszli odprawić nabożeństwo żałobne, polecił on bowiem, aby nabożeństwa odprawiano dwa razy dziennie. Swidrygajłow wyszedł na ulicę, Raskolnikow zaś zastanowił się przez chwilę, poczem wszedł za popem do mieszkania Soni.

Stanął we drzwiach. Nabożeństwo zaczęło się cicho, uroczyście, smutno. Myśl o śmierci i przeczucie jej obecności zawsze, od dzieciństwa, wywierały na Raskolnikowie przykre, mistyczne i przerażające wrażenie. Dawno już przytem nie słuchał żałobnego nabożeństwa, a tutaj było coś szczególnie strasznego i niepokojącego. Spojrzał na dzieci: klęczały wszystkie przy trumnie, Polcia płakała. Za niemi, płacząc cicho, modliła się Sonia. „Przecież ona w ciągu tych kilku dni nie spojrzała na mnie ani razu, nie powiedziała do mnie ani słowa“, pomyślał Raskolnikow. Słońce jasno oświetlało cały pokój, kłębił się dym z kadzielnicy, kapłan zaintonował „Wieczny odpoczynek“. Raskolnikow był na całej mszy do końca. Błogosławiąc i żegnając się, kapłan dziwnie się jakoś rozglądał. Po nabożeństwie Raskolnikow podszedł do Soni. Wzięła go za obie ręce i położyła mu głowę na ramieniu. Ten przyjacielski odruch zdziwił go, nie rozumiał, jakto? Ani odrobiny wstrętu, ani trochę obrzydzenia dla niego, ręka jej nawet nie drgnęła! Zrozumiał to, jako ostateczne poniżenie się z jej strony. Sonia nie powiedziała ani słowa. Raskolnikow uścisnął jej rękę i wyszedł. Było mu bardzo ciężko na sercu. Czułby się szczęśliwy, gdyby mógł w tej chwili odejść gdzieś i zostać sam jeden, choćby na całe życie. W ostatnich czasach bowiem, jakkolwiek prawie ciągle był sam, nie czuł się jednak samotny. Zdarzało się, że wychodził za miasto, na szosę, raz nawet wszedł w jakiś zagajnik, ale im odludniejsze było to miejsce, tem silniej odczuwał czyjąś niepokojącą obecność, nie tyle straszną, ile dokuczliwą. Z pośpiechem wracał do miasta, mieszał się z tłumem na targach, wstępował do szynków, traktjerni. Czuł się wtedy lepiej i bardziej samotny. W jakiejś traktjerni siedział raz przed wieczorem, całą godzinę. Śpiewano i było mu nawet przyjemnie. W końcu jednak zaniepokoił się, wyrzuty sumienia zaczęły go mę-

czyć: „Siedzę sobie i słucham piosenek, czy powinienem teraz tak czas przepędzać!“, pomyślał. Zresztą, domyślał się, że nie tylko to go niepokoi. Coś domagało się natychmiastowego rozstrzygnięcia. Ale co? Nie mógł zdać sobie z tego sprawy, nie mógł tego sformułować. „Nie, lepszaby już była walka! Lepszy byłby znowu Porfiry... lub Swidrygajłow... Ach, żeby tylko prędzej, jakieś nowe wyzwanie, czy atak... Tak! Tak! — myślał. Wyszedł z traktjerni i prawie biegł przez ulicę. Myśl o matce i Duni napełniła go nagle — niewiadomo czemu — panicznym przerażeniem. Tej właśnie nocy, nad ranem obudził się w krzakach, na wyspie Krestowskiej, zziębnięty, w gorączce. O świcie już wrócił do domu. Po kilku godzinach snu gorączka przeszła. Obudził się późno: była druga po południu.

Przypomniał sobie, że to dziś właśnie miał być pogrzeb Katarzyny Iwanowny i ucieszył się, że nie był na nim. Anastazja przyniosła mu obiad, jadł i pił z apetytem, niemal żarłocznie. Umysł miał świeższy i był spokojniejszy, niż kiedykolwiek w ciągu tych trzech dni. Dziwił się nawet na przelotne wspomnienie swego niedawnego, panicznego przerażenia. Drzwi otworzyły się i wszedł Razumichin.

— Aha, jesz, więc nie jesteś chory! — zawołał siadając przy stole naprzeciwko Raskolnikowa.

Razumichin był niespokojny i nie starał się tego ukryć. mówił z wyraźnem rozdrażnieniem, choć nie spiesząc się i nie podnosząc głosu. Widoczne było, że przyszedł z jakimś zupełnie określonym celem. — Słuchaj, — zaczął stanowczym tonem,—do djabła wy mnie tak wszyscy obchodzicie, wiem dokładnie teraz tylko tyle, że nic nie mogę zrozumieć. Tylko proszę cię, nie myśl, że przyszedłem cię badać. Gwiżdżę sobie! Ani myślę! Nawet kiedy sam będziesz chciał mi się zwierzać z temi waszemi tajemnicami, to nie będę słuchał, plunę na wszystko i wyjdę, przyszedłem po to, by się ostatecznie osobiście przekonać: po pierwsze, czy to prawda, żeś zwarjował? Sądzą o tobie, rozumiesz, (no, tam, gdzie wiesz), że albo już jesteś obłąkany, albo coś bardzo blisko tego. Muszę ci się przyznać, że ja sam bardzo byłem skłonny do zgodzenia się na ten pogląd, po pierwsze, sądząc z twoich głupich,

a częstokroć podłych, postępków, po drugie zaś ze względu na twoje zachowanie się w stosunku do matki i siostry. Tylko wyrodek i podlec mógłby przy zdrowych zmysłach tak z niem postąpić, jak ty, a więc musisz być obłąkany...

— Dawno się z niemi widziałeś?

— Tylko co. Ty od tego czasu wcale ich nie widziałeś? Powiedz mi, proszę cię, gdzie ty się włóczysz, trzy razy już wstępowałem do ciebie. Twoja matka od wczoraj jest poważnie chora. Wybierała się do ciebie. Awdotja Romanowna nie dawała jej pójść, ale nie chciała nawet słuchać: „Jeżeli on jest chory, — powiada, — jeżeli jest obłąkany, to kto mu pomoże, jak nie matka?“ Przyszliśmy tutaj razem we trójkę, nie można było przecież jej puścić samej. Do samych drzwi prosiliśmy ją, żeby dała spokój. Weszliśmy, ciebie nie było, tutaj usiadła. Siedziała tak z dziesięć minut staliśmy przy niej w milczeniu. Potem wstała, mówiąc: „Jeżeli on wychodzi z domu, to znaczy, że jest zdrów i zapomniał o matce, i mnie nie wypada, wstydem jest dla mnie prosić go o łaskę, jak o jałmużnę“. Wróciła do domu i położyła się chora, gorączkuje: „Widzę, — powiada, — że dla tej s w o j e j to on ma czas“. „Dla s w o j e j“ to ma znaczyć dla Sofji Semenowny, ona myśli, że to twoja narzeczona czy kochanka, a bo ja wiem zresztą. W tej chwili poszedłem do niej, bo widzisz, bracie, chciałem się nareszcie czegoś dowiedzieć. Przychodzę, patrzę: stoi trumna, dzieci płaczą, Sofja Semenowna przymierza im żałobne sukienki. Ciebie niema. Popatrzyłem, przeprosiłem i wyszedłem. Powtórzyłem to Awdotji Romanownie. Więc myślę sobie, wszystko to jest tylko gadanie, niema żadnej s w o j e j, najprawdopodobniej jest obłąkany. A ty tu sobie siedzisz, żresz „sztukamięs“, jakbyś trzy dni nic w ustach nie miał. Warjaci także jedzą, to prawda, ale choćbyś słowem się do mnie nie odezwał, to ty... obłąkany nie jesteś. Na to mogę przysiąc. W każdym razie nie obłąkany. Pal więc was wszystkich djabli, tutaj jest jakaś tajemnica, jakiś sekret, nie myślę sobie łamać głowy nad waszemi tajemnicami. Wstąpiłem tylko, żeby sobie ulżyć i nawymyślać, — dodał, podnosząc się. — Wiem już jak mam postąpić.

— Co więc zamierzasz teraz robić?

— A ciebie co to obchodzi?

— Zobaczysz, zaczniesz pić!

— Dlaczego... skąd o tem wiesz?

— Bo wiem.

Razumichin milczał przez chwilę.

— Zawsze byłeś bardzo rozsądny, nigdy nie byłeś obłąkany, — dodał gorąco. — Masz rację: Będę pił! Żegnaj!

Skierował się ku wyjściu.

— Wiesz, Razumichin, rozmawiałem o tobie z moją siostrą, onegdaj zdaje się.

— O mnie! Ale... gdzieś ty ją mógł widzieć onegdaj? — zastanowił się nagle Razumichin, blednąc.

Łatwo się można było domyśleć, że serce zaczęło mu mocno bić.

— Była tu u mnie, sama, siedziała, rozmawialiśmy.

— Ona!

— Tak, ona!

— Coś ty jej mówił... to jest chciałem zapytać, coś jej powiedział o mnie?

— Powiedziałem, że jesteś bardzo dobry, porządny i pracowity człowiek. Nie mówiłem, że ją kochasz, bo ona i tak wie o tem.

— Ona i tak wie?

— A coś ty myślał? Dokądkolwiek pójdę, cokolwiek się zemną stanie, ty zostałbyś ich opatrznością. Powierzam ci je, Razumichin. Mówię to, bo wiem napewno, że ty ją naprawdę kochasz i wierzę w twoją szlachetność. Wiem również, że ona może ciebie pokochać, a może nawet już kocha. Teraz decyduj sam, jak uważasz, czy powinieneś zalewać robaka, czy nie?

— Rodionie... Widzisz... No... Ach do djabła! Dokąd ty się wybierasz? Widzisz, jeżeli to tajemnica, to niech już sobie będzie! Ale ja... ja się dowiem o co idzie... Jestem pewny, że to napewno jakieś straszne głupstwo, zupełna bagatelka i to ty sam coś takiego zamierzasz. Zresztą, zacny człowiek z ciebie! Jesteś zacny człowiek!...

— Właśnie chciałem ci jeszcze powiedzieć, tylko przerwałeś mi, że poprzednio miałeś zupełną rację, uważając, że się nie należy starać odgadnąć tej tajemnicy. Zostaw to na razie, bądź spokojny. Dowiesz się w swoim czasie, właśnie wtedy, kiedy będzie potrzeba. Wczoraj powiedział mi ktoś, że człowiekowi potrzebne jest powietrze, powietrze! Chcę teraz pójść do niego i dowiedzieć się, co miał na myśli, mówiąc to.

Razumichin, zdenerwowany, zastanawiał się.

„To polityczny spiskowiec! Napewno! W obliczu jakiegoś decydującego kroku — napewno! Nic innego nie może być i... Dunia o tem wie"... doszedł do wniosku.

— Więc, — powiedział, akcentując każde słowo, — Awdotja Romanowna do ciebie przychodzi, a chcesz się zobaczyć z człowiekiem, który mówi, że potrzeba więcej powietrza, powietrza i... i, zatem, ten list... także ma coś z tem wspólnego, — dodał, jakby do siebie.

— Jaki list?

— Dostała dziś list jakiś, bardzo ją zaniepokoił. Bardzo, nawet za bardzo. Zacząłem mówić o tobie. Prosiła, żebym przestał. Potem... potem powiedziała, że się może niedługo rozstaniemy, potem zaczęła mi za coś dziękować, a potem zamknęła się w swoim pokoju.

— Dunia odebrała list? — zapytał powtórnie Raskolnikow zamyślony.

— Tak, list. Nie wiedziałeś o tem? Hm!...

Zamilkli obaj na chwilę.

— Do widzenia, Rodionie. Ja, bracie... był taki moment, a zresztą, dowidzenia, widzisz był taki moment... No bądź zdrów! Muszę już iść. Pić nie będę. Po co mi teraz... właśnie!

Śpieszył się, wyszedł i zamknął już za sobą drzwi, gdy nagle znowu je otworzył i powiedział, patrząc gdzieś w bok:

— A propos! Czy pamiętasz to zabójstwo, no co to Porfiry, ta stara? No to, żebyś wiedział, że morderca się znalazł, sam przyznał się i dowiódł wszystkiego. To jeden z tych robotników, wyobraź sobie, przecież ja ich broniłem,

pamiętasz? Nie do uwierzenia, ale on tę scenę bójki i śmiechu ze swoim kolegą na schodach umyślnie urządził, w chwili gdy nadchodził stróż i dwuch świadków, żeby zmylić poszlaki. Jaki spryt, ile zimnej krwi miał ten szczeniak! Trudno w to uwierzyć, ale sam to opowiedział, sam się przyznał! A ja dobrze wpadłem! Ale niema się czemu dziwić, bo według mnie to przecież genjusz obłudy i sprytu, genjusz mylenia poszlak prawnych. Czy tacy się nie zdarzają? A że nie wytrzymał do końca i przyznał się, tembardziej mu wierzę. To dodaje prawdopodobieństwa całej historji. Ależ ja się wtedy wkopałem! Ze skóry wyłaziłem w ich obronie!

— Powiedz mi, z łaski swojej, skąd ty o tem wiesz i dlaczego cię to tak interesuje? — z widocznem zdenerwowaniem zapytał Raskolnikow.

— Dobry jesteś! Dlaczego mnie to interesuje? Także pytanie!... Między innemi dowiedziałem się od Porfirego. Zresztą, prawie o wszystkiem wiem od niego...

— Od Porfirego?

— Od Porfirego.

— A on co... on co? — zapytał z lękiem Raskolnikow.

— Doskonale mi wszystko wytłumaczył. Tak po swojemu, psychologicznie.

— On ci tłumaczył? Sam?

— Tak, sam, sam, dowidzenia! Później opowiem ci jeszcze szczegóły, a teraz muszę uciekać. A jednak... był taki moment, że myślałem... Ale mniejsza z tem, o tem później!... Poco mam się teraz upijać? Upiłeś mnie bez wódki. Przecież ja jestem pijany, Rodionie! Nie piłem i jestem pijany. No, bądź zdrów, wpadnę do ciebie niedługo.

Razumichin wyszedł.

„To napewno działacz polityczny, napewno, napewno!“ — zdecydował, schodząc ze schodów. — „Siostrę w to wciągnął, to bardzo wygląda na Awdotję Romanowną. Zaczęły się schadzki!... Przecież ona też robiła jakieś aluzje... Z całego szeregu jej słów... wyrażeń, uwag... to się właśnie zgadza! Inaczej nie można wytłumaczyć tej krę-

taniny. Hm! A ja już myślałem... O, Boże! Co też mi przyszło do głowy! Tak, to było jakieś zamroczenie, zawiniłem w stosunku do niego. Ale to on sam, wtedy w korytarzu, zawrócił mi głowę. Tfu! To wstrętne, podłe, chamskie z mojej strony, że tak mogłem pomyśleć! Zuch z tego Mikołaja, że się przyznał... A jak to tłumaczy rozmaite dawne rzeczy: jego chorobę wtedy, dziwne zachowanie i dawniej, jeszcze w uniwersytecie, kiedy stale był taki ponury, posępny... Tylko co znaczy ten list? W tem, jednak coś musi być. Od kogo jest ten list? Przypuszczam... Hm! Nie! Trzeba się będzie dowiedzieć".

Przypomniał sobie Dunię, uprzytomnił sobie wszystko i serce mu zamarło. Porwał się i pobiegł.

Raskolnikow po wyjściu Razumichina wstał, przeszedł kilka razy po pokoju z takim rozmachem, jakgdyby zapomniał o jego szczupłych rozmiarach i... usiadł znowu na kanapie. Czuł przypływ nowych sił, czekała go znowu walka — zatem było jeszcze wyjście.

„Tak, znalazło się jeszcze wyjście! To dobrze, bo już dusił się, zaczadział formalnie z tego, że się nic nie działo, że wypadki zatrzymały się w miejscu. Od sceny z Mikołajem u Porfirego poczucie bezradności dławiło go. Potem tego samego dnia miała miejsce rozmowa z Sonią. Odbyła się i zakończyła zupełnie inaczej, niż to sobie przedtem ułożył... załamał się więc wtedy całkowicie i odrazu! Odrazu! Zgodził się z Sonią, sam się zgodził, zupełnie szczerze, że nie będzie mógł żyć w samotności z taką sprawą na sercu! A Swidrygajłow? To zagadka... Niepokoi go, coprawda, ale to nie jest takie ważne. Może i tu czeka go walka, może tu być rozwiązanie, ale to jednak nie to, co Porfiry.

„Zatem Porfiry tłumaczył Razumichinowi, tłumaczył mu p s y c h o l o g i c z n i e! Znowu się zaczyna pchać ze swoją przeklętą psychologją! Porfiry? Przecież to niemożliwe, żeby on choć na chwilę uwierzył w winę Mikołaja, po tej scenie jaka bezpośrednio poprzedziła owo przyznanie się, scenie pomiędzy nimi, nastręczającej j e d e n tylko wniosek. (Raskolnikow kilkakrotnie w ciągu tych

paru dni mgliście przypominał sobie epizody tej sceny z Porfirym, całości jednak nie mógł odtworzyć w pamięci). Padły wtedy takie wyrazy, miały miejsce takie ruchy i gesty, wymieniono takie spojrzenia, powiedziano różne rzeczy takim tonem, że po tem wszystkiem przyznanie się Mikołaja (którego Porfiry przejrzał odrazu nawskroś), nie mogło zachwiać prawdziwego poglądu na sprawę.

„Dobrze jest! Nawet Razumichin zaczął podejrzewać! Scena na korytarzu nie przeszła więc wtedy bez wrażenia. Pobiegł do Porfirego... Ale z jakiej racji ten zaczął Razumichina oszukiwać? W jakim celu skierował uwagę jego na Mikołaja? W tem był przecież jakiś cel, jakiś zamiar, ale jaki? To prawda, że od owego poranku przeszło już dużo czasu, — bardzo dużo, za dużo, a Porfiry nie dawał znaku życia. Tem gorzej, bezwątpienia"... Raskolnikow wziął czapkę i skierował się ku wyjściu. Pierwszy raz, w przeciągu całego tego czasu, odzyskał przynajmniej pewną równowagę umysłową. „Trzeba skończyć ze Swidrygajłowem, — myślał, — i to jak najprędzej, zdaje się, że on czeka, żebym ja przyszedł do niego". W tej chwili taka fala nienawiści zalała jego udręczone serce, że czuł, że mógłby zabić któregoś z nich: Swidrygajłowa, lub Porfirego. Jeżeli nie teraz, zaraz, to przyjdzie jednak moment, kiedy będzie to w stanie zrobić. „Zobaczymy, zobaczymy" — powtarzał sobie.

Otworzył drzwi do sieni i natknął się na Porfirego, który wchodził do jego pokoju. Raskolnikow osłupiał na chwilę, ale tylko na chwilę. Nie zdziwił się, ani nawet prawie się nie przeląkł. Drgnął tylko, poczem zaraz się opanował. „A może to będzie rozwiązanie! Jak to on się cicho skradał, jak kot, nic nie słyszałem. Czyżby podsłuchiwał?"

— Nie spodziewał się pan gościa! — zawołał, śmiejąc się Porfiry. — Już dawno miałem ochotę wstąpić do pana, przechodzę tędy i myślę — a możeby wpaść na parę minut, odwiedzić go? Wybiera się pan dokądś? Nie będę zatrzymywał. Tylko pozwoli pan, że papierosika...

— Niech pan siada, proszę bardzo, — przyjął gościa Raskolnikow, z taką zadowoloną i przyjacielską miną, że

samby się sobą zachwycał, gdyby się mógł zobaczyć. Gonił ostatkami sił! Czasami zdarza się, że człowiek w ciągu pół-godziny umiera ze strachu przed rozbójnikiem, a gdy poczuje już nóż na gardle, nagle trwoga go opuszcza i przestaje się bać. Raskolnikow usiadł nawprost Porfirego i patrzał nań bez zmrużenia powiek. Porfiry zapalał papierosa.

„No mów-że, mów-że", omal nie wyrwało się Raskolnikowowi. „Dlaczego, dlaczego nie mówisz?"

## II.

— Ach, z temi papierosami, — zaczął nareszcie Porfiry, zapaliwszy papierosa i odsapnąwszy. — Szkodliwe to, bardzo szkodliwe, a nie mogę się odzwyczaić! Kaszlę, mam zgagę, astmę. Tchórz jestem wie pan, poszedłem do doktora B-na, każdego chorego minimum pół godziny bada. Śmiał się, patrząc na mnie: wystukał, wysłuchał, — palenie panu szkodzi, powiedział, nawiasem mówiac, ma pan rozdmę płuc. Czy ja mogę przestać palić? Czem ja to zastąpię? Nie piję, w tem sęk, che, che, che, że nie piję! Wszystko przecież jest względne, proszę pana, wszystko jest względne!

„Ten znowu zaczyna mi pleść o czemś w rodzaju skarbowego mieszkania, czy co!" — z obrzydzeniem pomyślał Raskolnikow. Przypomniał sobie nagle podobną scenę z ostatniego ich spotkania i zawrzał, jak wtedy, nienawiścią.

— A ja byłem u pana onegdaj wieczorem, nie wie pan o tem? — ciągnął dalej Porfiry, rozglądając się po pokoju. — Tu byłem, w tym pokoju. Tak, jak dziś przechodzę i myślę sobie, — złożę mu wizytę. Przychodzę, drzwi otwarte na rozcież, obejrzałem się, poczekałem, służącej nawet nie szukałem i wyszedłem. Pan nie zamyka pokoju?

Raskolnikow posępniał coraz bardziej. Porfiry jakby odgadł jego myśli.

— Przyszedłem się wytłumaczyć, kochany panie Rodionie Romanowiczu, wytłumaczyć się! Winienem panu,

należy się panu wytłumaczenie, — mówił z uśmieszkiem i klepnął Raskolnikowa po kolanie. Prawie jednocześnie jednak twarz jego nabrała wyrazu powagi i troski, a nawet jakby smutku. Raskolnikow zdziwił się: nie widział dotychczas i nie przypuszczał, że Porfiry może mieć taki wyraz twarzy. — Przykra scena miała miejsce między nami, proszę pana, podczas ostatniego widzenia. Prawdę powiedziawszy, to i przy pierwszem spotkaniu też była dziwna scena, ale ostatnio... Lecz teraz, zastanówmy się! Bardzo być może zatem, że zawiniłem w stosunku do pana, zdaje sobie z tego sprawę. Pamięta pan jakeśmy się rozstali: pan był zdenerwowany, kolana panu drżały i ja byłem zdenerwowany, kolana mi się trzęsły. I wie pan, tak jakoś źle się coś wtedy stało między nami, nie po dżentelmeńsku. A przecież mimo wszystko jesteśmy dżentelmenami, to jest w każdym razie, przedewszystkiem jesteśmy dżentelmenami, chciałem powiedzieć. Pamięta pan do czego to doszło... to było nawet, powiedzmy otwarcie — nieprzyzwoicie.

— „Czego on chce, za kogo on mnie ma?" — pytał siebie zdumiony Raskolnikow podniósłszy głowę i szeroko otwartemi oczami przyglądając się Porfiremu.

— Doszedłem do wniosku, że lepiej będzie zagrać w otwarte karty, — mówił dalej Porfiry, odwracając głowę i spuszczając oczy, jakby zaniechał swych dotychczasowych sposobów i sztuczek i nie chciał paraliżować wzrokiem swej ofiary. — Tak, takie sceny i tego rodzaju podejrzenia, nie mogą trwać długo. Żeby nie Mikołaj, to nie wiem, doprawdy, do czegoby wtedy doszło między nami. A ten przeklęty mieszczuch siedział cały czas za przepierzeniem, no niech pan sobie wyobrazi! Zresztą, pan wie zapewne o tem, tak jak ja wiem, że on był później u pana. Ale nie było tak, jak pan przypuszczał: po nikogo nie posyłałem i żadnych rozporządzeń nie wydałem. A wie pan dlaczego nie wydałem rozporządzeń? Bo, jakby to panu powiedzieć: sam byłem tem wszystkiem zaskoczony. Tylko po stróży kazałem posłać (zauważył ich pan chyba, przechodząc). Jak błyskawica błysnęła mi pewna myśl, byłem wtedy, widzi pan, głęboko przekonany. Spróbujmy, myślę, chociaż jedno

wypuszczę tymczasem z ręki, to za to co innego złapię za ogon, a swego, swego przynajmniej nie stracę. Bardzo pan jest nerwowy, Rodionie Romanowiczu. To już wrodzone widocznie. Za bardzo pan jest przeczulony przy całym szeregu innych cech swego charakteru i serca, które, pochlebiam sobie, zdążyłem już poznać. Naturalnie, powinienem był i wtedy zdać sobie sprawę, że niezawsze się zdarza, że przyjdzie człowiek i odrazu tak wywali całą prawdę na stół. Zdarza się to wprawdzie, zwłaszcza, gdy się kogoś przydusi do ostatnich granic ciepliwości, ale bądź co bądź rzadko. O tem powinienem był pamiętać. Myślałem sobie: no nie, żeby chociaż troszeczkę! Żeby chociaż najmniejszą odrobinę, tylko żeby można było schwycić coś w ręce, a nie ciągle ta psychologja. Bo jeżeli człowiek jest winien, myślałem, to bezwarunkowo, w każdym razie można oczekiwać, że w końcu zdradzi się z czemś istotnem. Wolno nawet liczyć na jakieś zupełnie niespodziewane wyniki. Liczyłem na pańskie usposobienie wtedy, Rodionie Romanowiczu, głównie na pańskie usposobienie! Bardzo na to liczyłem.

— Bo pan... bo o czem pan tak znowu jakoś mówi, — bąknął Raskolnikow, nie zastanawiając się nawet nad pytaniem. „O czem on mówi, — gubił się w domysłach, — czyżby naprawdę uważał, że jestem niewinny?"

— O czem mówię? Wytłumaczyć się przyszedłem, uważałem to, że tak powiem, za swój święty obowiązek. Chcę panu dokładnie wyjaśnić, wszystko jak było, całą historję tamtej, że tak powiem, kołowacizny. Wiele pan wycierpiał przeze mnie, Rodionie Romanowiczu. Nie jestem potwór. Rozumiem, co to znaczy dźwigać taki ciężar dla człowieka zgnębionego, ale dumnego, niezależnego i niecierpliwego, zwłaszcza niecierpliwego! W każdym razie uważam pana za najporządniejszego człowieka, nawet z pewnemi zadatkami wspaniałomyślności, choć nie zgadzam się ze wszystkiemi pańskiemi poglądami. Uważam to za swój obowiązek zaznaczyć zgóry, otwarcie i zupełnie szczerze, bo przedewszystkiem nie mam zamiaru pana oszukiwać. Poznawszy pana bliżej, poczułem do niego sympatję. Może pan się będzie śmiał z tego? Może pan się śmiać. Wiem,

że pan mnie nie polubił od pierwszego wejrzenia. Za cóż zresztą miałby pan mnie lubić. Jak pan sobie chce, lecz ja mam zamiar, ze swojej strony, zrobić wszystko, by zatrzeć niemiłe wrażenie i dowieść panu, że mam serce i sumienie. Mówię szczerze.

Porfiry zamilkł z godnością. Raskolnikowa nanowo objęło przerażenie. Lękał się teraz myśli, że Porfiry uważa go za niewinnego.

— Opowiadanie wszystkiego po kolei, od czego to się zaczęło, jest chyba niepotrzebne, — mówił dalej Porfiry, — a nawet, sądzę, że zbyteczne. Bo jak to właściwie ująć? Początkowo były jakieś pogłoski. Nad tem jakie to były pogłoski, od kogo, kiedy... z jakiego powodu zaczęło się mówić o panu, również uważam, że nie potrzeba się rozwodzić. Ja, osobiście, wpadłem na to zupełnie wypadkowo, mówię panu, najzupełniejszy wypadek, mógł się równie dobrze zdarzyć, jak i nie. Jaki? Hm! Sądzę, że niewarto o tem mówić. Wszystko to razem, te pogłoski i ten wypadek, zrodziły we mnie pewną myśl. Przyznam się szczerze, bo jak się przyznawać, to już do wszystkiego, że to ja pierwszy zwróciłem na pana uwagę. Te tam inicjały starej na rzeczach i tak dalej i tak dalej, to wszystko głupstwo. Takie kawałki, na setki można liczyć. Zdarzyło mi się również dowiedzieć, szczegółowo o scenie, jaka się odbyła w biurze policji, również wypadkowo, ale nie tak sobie, mimochodem, lecz z opowiadania jednego kapitalnego gościa, który mimowoli oddał tę scenę nadzwyczajnie. I tak, jedno z drugiem, jedno z drugiem, Rodionie Romanowiczu kochany! No, czy mogłem nie zwrócić się w pewnym kierunku? Ze stu królików nigdy nie uda się zrobić konia, ze stu poszlak nigdy nie uda się złożyć dowodu, jak mówi angielskie przysłowie. Tyle o rozsądku; a namiętności? Z namiętnościami niech-no pan sobie da radę, bo to i sędzia śledczy jest człowiekiem. Przypomniałem sobie wtedy również i pański artykulik w gazecie, pamięta pan, podczas pierwszej pańskiej wizyty mówiliśmy o nim szczegółowo. Kpiłem sobie wtedy, ale tylko dlatego, żeby pana sprowokować. Powtarzam, bardzo pan jest niecierpliwy i przeczu-

lony, proszę pana. Oddawna już wiedziałem, że pan jest odważny, zapalczywy, poważny i... myślący, pan bardzo dużo już przemyślał i przebolał. Znam takie typy, pański artykulik czytałem, jak coś już dobrze mi znanego. Obmyślał pan go z zaciętością, podczas bezsennych nocy, z biciem serca, ze zdławionym entuzjazmem. A jakie to niebezpieczne dla młodzieży, taki dławiony, dumny entuzjazm! Wtedy drwiłem, ale teraz powiem panu, że wogóle bardzo lubię, jako miłośnik, takie pierwsze, młode, gorące próby pióra. Dym, mgła, dźwięczą struny we mgle. Artykuł pański jest fantastyczny i bez sensu, ale przebija w nim tyle szczerości, jest w nim młodzieńcza, nieprzekupna hardość, zuchwałość rozpaczy, to dobrze. Ponury jest ten artykuł. Przeczytałem go i odłożyłem i... pomyślałem sobie: „no, ten człowiek nie przejdzie spokojnie przez życie!" No i niech-że pan powie, po takim wstępie, czy można się było nie zainteresować dalszym ciągiem! Ach, mój Boże, czy ja coś mówię? Czy ja coś stwierdzam? Taką tylko wtedy zrobiłem uwagę. Co z tego, myślę? Nic tu takiego niema, całkiem nic, absolutnie nic z tego nie wynika. Nawet nie wypada, żebym ja — sędzia śledczy — tak dalece się tem interesował: mam przecież w ręku Mikołaja, fakty. Jak pan sobie chce, ale to są fakty! Ma on też swoją psychologję, muszę się czemś zająć, bo to sprawa życia i śmierci. Poco ja panu wszystko to teraz wykładam? Żeby pan o wszystkiem wiedział i nie miał do mnie żalu za moją złośliwość wtedy. To nie była złośliwość, mówię szczerze, che-che! A pan myśli, że nie zrobiłem wtedy u pana rewizji? Zrobiłem, zrobiłem, che-che! Zrobiłem, jak pan sobie tutaj chory leżał, w łóżeczku. Nie oficjalnie i nie osobiście, ale zrobiłem. Z miejsca przeszukano pańskie mieszkanie, każdą dziurę przeszukano: ale umsonst! Myślę sobie: teraz ten człowiek przyjdzie do mnie, przyjdzie sam i to niedługo, jeśli jest winien, to napewno przyjdzie. Kto inny by nie przyszedł, ale ten przyjdzie. A pamięta pan, jak to pan Razumichin zaczął z panem o tej sprawie mówić? To my urządziliśmy celowo, aby pana zdenerwować. Puściło się umyślnie plotkę, żeby ją panu powtórzył, zaś pan Razumichin to człowiek, który

nie potrafi ukryć swego oburzenia. Panu Zamietowowi pierwszemu rzuciły się w oczy pański gniew i pańska zuchwałość: no jakżeż to można było, w traktjerni tak nagle wypalić: „ja zabiłem!“. To za śmiało, to zbyt zuchwale! Jeżeli on jest winien, pomyślałem, o! to groźny przeciwnik! Tak sobie wtedy pomyślałem. Czekam. Czekam na pana z niecierpliwością. Zamietowa to pan wtedy poprostu zgnębił, bo... w tem właśnie sęk, że ta przeklęta psychologja ma dwa końce! Więc czekam, wyglądam pana, patrzę, Bóg pana prowadzi, idzie pan! Serce we mnie zamarło. Ech! I poco właściwie pan wtedy przyszedł? A ten śmiech pana, ten śmiech, z którym pan wszedł, pamięta pan, przecież przez ten śmiech, jak przez szybę, zobaczyłem wszystko. Gdybym nie był czekał na pana z takiem napięciem, to możebym nie zwrócił uwagi na ten śmiech. Oto co znaczy być w nastroju. A pan Razumichin wtedy — ach! A kamień, kamień, czy pan pamięta ten kamień, pod którym są ukryte rzeczy? Jakbym go widział przed sobą, w ogrodzie. Pan Zamietowowi mówił przecież, że w ogrodzie, tak jak zresztą i mnie potem? Wreszcie zaczęliśmy wtedy rozstrząsać pański artykuł. Kiedy pan go zaczął analizować, każde pańskie słowo zrozumiałem dwuznacznie, w każdem doszukiwałem się ukrytego sensu! I tak, proszę pana, w taki to sposób doszedłem do słupów granicznych i dopiero kiedy huknąłem w nie głową, to oprzytomniałem. Nie, powiadam, co to się ze mną dzieje! Przecież to wszystko, przy dobrej woli, można wytłumaczyć zupełnie odwrotnie i będzie jeszcze prawdopodobniej. Sam otwarcie przyznaję, że będzie prawdopodobniej. To męka! „Nie, myślę, wolałbym już jednak coś konkretnego!...“ Jak się więc dowiedziałem o tym dzwonku, to zamarłem, dreszcz mnie przeszedł. No, myślę, mamy coś konkretnego! Nawet już przestałem rozumować, odechciało mi się poprostu. Dałbym wtedy tysiąc rubli z własnych pieniędzy, żebym tylko mógł widzieć pana własnemi oczami: jak pan przeszedł sto kroków z tym mieszczuchem, potem kiedy on panu rzucił w twarz „morderca“ i przez całe sto kroków nie ośmielił się go pan o nic zapytać!... A ten chłodek, który przebiegał panu po

krzyżu? A ten dzwonek, w chorobie, w pół-majaczeniu? Zatem, proszę pana, nie dziwi się już pan chyba, że sobie wtedy pozwoliłem na takie kawały? I poco pan sam, właśnie w tej chwili, przyszedł? Zupełnie jakby pana coś pchało, jak Boga kocham. A gdyby nie przeszkodził Mikołka, to... pan pamięta Mikołkę wtedy? Dobrze pan zapamiętał? Przecież to był piorun! Przecież to piorun z nieba uderzył! A jak się wobec niego zachowałem? Ani na tyle nie uwierzyłem temu piorunowi, raczył pan zapewne zauważyć. Ale gdzie tam! A później, kiedy pan wyszedł, a on zaczął tak składnie odpowiadać na różne pytania, że aż ja sam się zdziwiłem, to też mu nie uwierzyłem ani za grosz! Co to znaczy mieć taką murowaną pewność. Nie, myślę, Morgen früh! Jaki tam znowu Mikołka!

— Razumichin mi mówił, że pan w dalszym ciągu oskarża Mikołaja i nawet przekonywa...

Zapierało mu oddech i nie skończył. Z niesłychanem zdenerwowaniem słuchał, jak ten człowiek, który go przejrzał nawskroś, zaparł się samego siebie. Bał się uwierzyć i nie wierzył. W dwuznacznikach doszukiwał się gorączkowo ukrytego sensu i starał się uchwycić coś wyraźniejszego, coś stanowczego.

— Pan Razumichin! — zawołał Porfiry, jakby się ucieszył, że milczący dotąd Raskolnikow wreszcie się odezwał. — Che, che, che! Bo pana Razumichina trzeba było odstawić: to piąte koło u wozu. Pan Razumichin nic tu niema do roboty, to człowiek postronny, przybiegł do mnie taki blady... Niech idzie z Bogiem, poco go w to mieszać! Chciałby pan wiedzieć, jak wygląda sprawa z Mikołajem, przynajmniej jak ja ją rozumiem? Po pierwsze, to jest nieletni dzieciak, wcale nie tchórz, tylko coś jakby w rodzaju artystycznej natury. Naprawdę, niech pan się nie śmieje, że tak go określam. Jest niewinny i bardzo na wszystko wrażliwy. Ma serce, jest fantastą. Umie śpiewać, tańczyć, bajki podobno tak opowiada, że ludzie się schodzą, żeby go słuchać. Chodzi do szkoły, pęka ze śmiechu, gdy ktoś palec wystawi, upija się do nieprzytomności, nie żeby był zepsuty, tylko od czasu do czasu, kiedy go ktoś wciągnie, tak po

dziecinnemu. Ukradł wtedy, ale nie zdaje sobie z tego sprawy: „jak z ziemi podniosłem, to ma być kradzież?“ A czy pan wie, że on jest sekciarzem, były wypadki odszczepieństwa w jego rodzinie, a on sam niedawno całe dwa lata spędził na wsi, u jakiegoś starca, uczył się wiedzy duchownej. Wszystkiego tego dowiedziałem się od niego i od jego sąsiadów. Ba, poprostu chciał uciec na pustynię! Czuł powołanie, modlił się po nocach, zaczytywał się w starych „prawdziwych“, księgach. Petersburg oddziałał na niego bardzo, zwłaszcza płeć piękna, no i wódka. Ulega wpływom, zapomniał o starcu i o wszystkiem. Wiem o tem, że pewien artysta tutejszy polubił go, zaczął do niego przychodzić. Zdarzył się ten wypadek, zląkł się — tylko się powiesić! Uciekać! Cóż poradzić z tą opinją, jaka utarła się u ludu o naszem sądownictwie. Są ludzie, których sam wyraz „sąd“ napawa przerażeniem. Kto jest temu winien? Zobaczymy co zrobią nowe sądy. Daj Boże, żeby było lepiej! Zatem, w więzieniu przypomniał sobie widocznie prawego starca. Biblja znowu się pojawiła. Czy pan wie, Rodionie Romanowiczu, co dla pewnych typów znaczy „cierpienie“?. To nie znaczy, żeby cierpieć za kogoś, czy za coś, tylko poprostu „trzeba pocierpieć“, to jest wziąć na siebie cierpienie, a jeżeli owo cierpienie ma pochodzić od jakiejś władzy, to tem lepiej. Za moich jeszcze czasów siedział w więzieniu przez cały rok pewien nader spokojny i pokorny aresztant, na piecu całemi nocami czytał Biblję, tak się rozczytał, tak ją pochłaniał, wie pan, do utraty przytomności, że w końcu, ni z tego ni z owego, złapał cegłę i rzucił nią w naczelnika, bez żadnego powodu. I jak rzucił! umyślnie o arszyn od niego, żeby czasami nie trafić! Wiadoma rzecz, co czeka aresztanta, który rzuca się z bronią na przełożonych, zatem: wziął na siebie cierpienie“. Otóż, przypuszczam, że Mikołaj właśnie chce „wziąć cierpienie“, czy coś w tym rodzaju. Jestem tego pewny, mam na to dowody. Tylko, że on nie wie o tem, o czem ja wiem. Co, nie przypuszcza pan, żeby wśród takiego ludu mogli istnieć tego rodzaju fanatycy? Ależ, masami. A ów starzec znowu teraz zaczął działać. Zresztą sam mi wszystko

opowie, przyjdzie. Pan myśli, że wytrzyma? Niech pan poczeka, jeszcze odwoła. Z godziny na godzinę czekam, że przyjdzie odwołać zeznania. Polubiłem tego Mikołaja i wybadam go porządnie. Co pan o tem sądzi? Che, che! Na niektóre pytania odpowiadał mi zupełnie do rzeczy, oczywiście dowiedział się, czego potrzeba, zręcznie był przygotowany. A inne znów pytania poprostu jak groch o ścianę, nic absolutnie nie wie, nie rozumie, nie przypuszcza nawet, że nie wie! Nie, Rodionie Romanowiczu, dobrodzieju kochany, to nie Mikołka! To sprawa fantastyczna, ponura, sprawa współczesna, wypadek z naszych czasów, kiedy wzburzyło się serce człowieka, kiedy cytuje się frazes, że krew „odradza", gdy się propaguje komfort życiowy. Tutaj znać literaturę, teoretycznie wezbrane oburzeniem serce. Widoczne jest zdecydowanie na pierwszy krok. Ale zdecydowanie specjalnego rodzaju: zdecydował się, jakgdyby spadł z wierzchołka góry, albo jakby zleciał ze szczytu wieży i poszedł zabijać nieprzytomny. Zapomniał zamknąć za sobą drzwi, zabił, dwie osoby zabił dla zasady. Zabił, zaś pieniędzy wziąć nie umiał, co zdążył zabrać, to ukrył pod kamieniem. Mało mu było męki, którą zniósł, kiedy siedział za drzwiami, a do drzwi się dobijano i dzwonek dzwonił. Nie, wraca jeszcze raz do pustego już mieszkania, pół-przytomny, żeby ten dzwonek sobie przypomnieć, zapragnął jeszcze raz zaznać zimnego dreszczu... Powiedzmy, że to się odbyło w gorączce, ale tu jest jeszcze coś innego: zabił, lecz uważa się za uczciwego człowieka, gardzi ludźmi, chodzi jak jagnię niewinne, — nie, dajmy spokój Mikołce, dobrodzieju mój, Rodionie Romanowiczu, to nie Mikołka!

Po wszystkiem, co było powiedziane poprzednio, a co tak bardzo wyglądało na zaprzeczenie winy Raskolnikowa, takie zakończenie było zgoła nieoczekiwane. Raskolnikow zatrząsł się jak w febrze.

— Więc... zatem... kto... zabił?... — zapytał, nie mogąc się powstrzymać, urywanym głosem.

Porfiry osunął się na oparcie krzesła, jakby niespodziewanie zaskoczyło go zdumiewające pytanie.

— Jakto, kto zabił?... — powiedział, jakby nie dowierzając własnym uszom. — Przecież to p a n zabił, Rodionie Romanowiczu! Właśnie pan zabił... — dodał prawie szeptem, tonem zupełnego przekonania.

Raskolnikow zerwał się z kanapy, postał chwilę i usiadł znowu, nie mówiąc ani słowa. Konwulsyjny skurcz wykrzywił mu twarz.

— Jak to usteczka drżą, zupełnie jak wtedy, — bąknął ze współczuciem Porfiry. — Pan mnie widocznie źle zrozumiał, Rodionie Romanowiczu, dlatego się pan tak zadziwił, — dodał po chwili milczenia. — Przyszedłem właśnie po to, żeby wszystko powiedzieć i zagrać w otwarte karty.

— To nie ja zabiłem, — szepnął Raskolnikow, jak wystraszone dziecko, złapane na gorącym uczynku.

— A nie, to pan, proszę pana, pan, nikt inny, — surowo i z przekonaniem szepnął Porfiry.

Obaj zamilkli i milczenie trwało nieprawdopodobnie długo: przez jakieś dziesięć minut. Raskolnikow oparł się łokciami o stół i targał sobie włosy. Porfiry siedział spokojnie i czekał. Nagle Raskolnikow spojrzał nań z pogardą.

— Pan znowu zaczyna swoje dawne historje, Porfiry Piotrowiczu! Znowu te same kawały! Naprawdę, że też się to panu nie sprzykrzy?

— Niechże pan da spokój, po co mi teraz jakieś kawały? Co innego, gdyby ta rozmowa odbywała się przy świadkach, ale szepcemy przecież tutaj sam na sam. Widzi pan przecież, że nie po to przyszedłem, żeby pana gonić i łapać, jak zająca. Czy się pan przyzna, czy nie — w tej chwili jest mi to obojętne. Osobiście jestem zupełnie przekonany.

— A więc poco pan przyszedł? — zapytał Raskolnikow. — Powtarzam panu moje pytanie: o ile pan uważa mnie za winnego, dlaczego mnie pan nie wsadzi do więzienia?

— Dobre pytanie! Odpowiem panu na to szczegółowo: po pierwsze, aresztowanie pana tak z miejsca byłoby dla mnie bez korzyści.

— Co to znaczy bez korzyści? Skoro pan jest zupełnie przekonany, to pańskim obowiązkiem...

— Ba, cóż z tego, że ja jestem przekonany? Narazie to tylko moje marzenia. Zresztą, mam pana wsadzać na odpoczynek? Pan o tem dobrze wie, skoro pan się sam naprasza. Skonfrontuję pana, naprzykład, z tym mieszczuchem, a pan mu powie: „Cóż to, pijany jesteś? Kto mnie z tobą widział? Wziąłem cię poprostu za pijaka i byłeś pijany", — no i co ja wtedy panu odpowiem, tem bardziej, że pańskie twierdzenie jest prawdopodbniejsze od jego. Bo w jego zeznaniu tkwi sama psychologja, która do takiej mordy nawet nie pasuje, a pan trafia w sedno, bo drań chla wódkę, za dobrze o tem wiadomo. Przyznałem przecież panu szczerze kilka razy, że ta psychologja ma dwa końce i że ten drugi koniec, pański, jest większy i o wiele prawdopodobniepszy. A pozatem nie mam narazie dowodów przeciwko panu. I jakkolwiek zamknę pana mimo wszystko i, widzi pan, sam przyszedłem nawet (choć tak ludzie zwykle nie robią) uprzedzić pana o wszystkiem, to jednak mówię panu szczerze (tak również się nie robi), że nie będzie to z korzyścią dla mnie. Po drugie przyszedłem dlatego...

— No, tak, a po drugie? — (Raskolnikow ciągle jeszcze nie mógł złapać tchu).

— Dlatego, że, jak już powiedziałem, uważam, że winienem panu wyjaśnienie. Nie chcę, żeby pan mnie miał za potwora tembardziej, że czuję do pana szczerą sympatję, może pan w to wierzyć, lub nie. Wobec tego, po trzecie, przyszedłem do pana z otwartą, wyraźną propozycją — niech pan się zgłosi i przyzna. To będzie nieskończenie korzystniej dla pana, no i dla mnie, bo nareszcie pozbędę się tej sprawy. A więc, czy to jest otwartość z mojej strony?

Raskolnikow zastanawiał się przez chwilę.

— Niech pan posłucha. Sam pan powiada, że to jest tylko psychologja, a wjechał pan na matematykę. A co, jeśli pan się teraz myli?...

— Nie, proszę pana, ja się nie mylę. Mam pewien punkt zaczepienia. Znalazłem go przecież wtedy, z Boską pomocą!

— Jaki punkt?

— Nie powiem, Rodionie Romanowiczu. W każdym razie teraz nie mam już prawa dłużej zwlekać — zamknę pana. Niech więc pan się zastanowi: teraz jest mi już wszystko jedno, zatem szło mi tylko o pana. Słowo honoru, tak będzie lepiej.

Raskolnikow uśmiechnął się złośliwie.

— Przecież to jest nietylko śmieszne, ale nawet bezwstydne. Przypuśćmy nawet, że jestem winien (czego wcale nie mówię), z jakiej racji mam się zgłaszać do pana z przyznaniem, jeżeli pan sam powiada, że pójdę tam do pana na odpoczynek?

— Ach, Rodionie Romanowiczu, nie należy brać wszystkiego dosłownie, może to będzie niezupełny odpoczynek! Przecież to tylko teorja, w dodatku moja, a czy ja jestem dla pana autorytetem? A może jeszcze coś ukrywam przed panem, nawet teraz? Nie mogę przecież tak wziąć i wyłożyć wszystkiego przed panem, che, che! Inna rzecz znowu, jaką pan odniesie z tego korzyść. Czy pan nie wie, jakie zmniejszenie kary pociąga takie przyznanie? W jakiej chwili pan się zgłosi z przyznaniem? Niech pan tylko pomyśli: Wtedy kiedy ktoś inny wziął już winę na siebie i pogmatwał całą sprawę. A ja przysięgam panu na Boga, że tak „tam" wszystko obrobię i urządzę, że pańskie wyznanie będzie wyglądało na zupełną niespodziankę. Całe to psychologiczne dociekanie zniszczę, wszystkie podejrzenia w stosunku do pana sprowadzę do zera, tak, że pańskie przestępstwo będzie wyglądało, jak jakiś rodzaj chwilowego obłędu, bo między nami mówiąc, wszak to był naprawdę obłęd. Jestem uczciwym człowiekiem i dotrzymuję słowa.

Raskolnikow milczał ponury, ze zwieszoną głową. Długo się zastanawiał, poczem znowu się uśmiechnął, lecz tym razem łagodnie i smutno:

— Ach, nie trzeba! — powiedział, jakby zupełnie już nie usiłując maskować się przed Porfirym, — nie warto, nie potrzebuję waszego zmniejszenia kary!

— No, tak, właśnie tego się obawiałem! — zawołał gorąco Porfiry. — Tego właśnie się obawiałem, że pan nie będzie potrzebował naszego zmniejszenia kary.

Raskolnikow popatrzał nań smutno i przenikliwie.

— Niech pan nie gardzi życiem! — ciągnął dalej Porfiry. — Dużo lat będzie pan miał jeszcze przed sobą. Niepotrzebne panu zmniejszenie kary, no to nie! Co za niecierpliwy człowiek z pana!

— Jakich lat będę miał dużo przed sobą?

— No, życia! Cóż to, pan jest prorokiem, dużo pan wie? szukajcie, a znajdziecie. Może Bóg pana tak doświadcza. Przecież nie na wieki pan pójdzie pod klucz...

— Zwłaszcza przy zmniejszeniu kary... — roześmiał się Raskolnikow.

— A co, zląkł się pan burżuazyjnej opinji? Bardzo być może, że pan się przestraszył, nie wiedząc nawet o tem, młody pan jest! A jednak, właśnie pan nie powinien się lękać, czy tam wstydzić przyznać się do winy.

— E-ech, gwiżdżę sobie! — szepnął Raskolnikow pogardliwie i z obrzydzeniem, jakby uważał, że nawet mówić o tem nie warto.

Wstał, jakgdyby chcąc wyjść dokądś, lecz zaraz usiadł z powrotem. Widoczne było, że miota nim rozpacz.

— A tak, gwiżdżę sobie! Zawiódł się pan na sobie i myśli pan, że panu pochlebiam. Dużo pan przeżył niby? Dużo pan wie? Teorję sobie wykombinował i wstyd mu, że go zawiodła, że już zbyt banalnie wypadła ta cała historja! Podle wypadła, to prawda, mimo to jednak pan nie jest beznadziejnym łajdakiem. Wcale nie jest pan takim łajdakiem. Przynajmniej pan sobie długo głowy nie za-

wracał, odrazu pan poszedł do końca. Za kogo ja pana biorę? Uważam pana za człowieka, który, gdy odnajdzie swego Boga lub wiarę, to pozwoli sobie kiszki wypruwać i będzie stał i z uśmiechem patrzał na swoich katów. Zatem, niech pan odnajdzie, a będzie pan żył. Przedewszystkiem, już dawno potrzebna panu zmiana powietrza. Cóż, cierpienie to także dobra rzecz. Niech pan pocierpi. Może Mikołka ma rację, kiedy chce cierpieć. Wiem, że pan jest niedowiarkiem, ale niech pan nie mędrkuje przewrotnie, niech pan bierze życie poprostu, bez zastanawiania się. Może pan być spokojny — wyrzuci ono pana prosto na brzeg i postawi na nogi. Na jaki brzeg? Skądżeż ja mogę wiedzieć? Wierzę tylko, że pan ma dużo życia przed sobą. Wiem, że pan bierze to, co mówię, za zgóry przygotowaną orację. Ale to nic, przyjdzie czas, potem pan sobie przypomni, może się panu przyda, dlatego właśnie to mówię. Dobrze jeszcze, że pan tylko taką starowinę zabił. Bo mógł pan przecież wykombinować sobie jakąś inną teorję i zmajstrować coś stokroć potworniejszego. A może pan powinien dziękować Bogu, skąd pan wie: może Bóg oszczędza pana dla jakiegoś celu. Niech pan będzie wielkiego serca i niech pan się mniej lęka. Zląkł się pan nadchodzącej godziny odkupienia? Nie, teraz już wstyd się bać. Skoro pan się odważył na taki krok, teraz musi pan być silny. To już wchodzi w grę sprawiedliwości. Niech pan spełni to, czego żąda sprawiedliwość. Wiem, że pan nie wierzy, ale przysięgam panu, że pan wypłynie. I dobrze panu jeszcze będzie. Teraz potrzebne jest panu tylko powietrze, powietrze, powietrze!

Raskolnikow drgnął.

— A pan co za jeden! — krzyknął, — co z pana za prorok? Z jakich to wzniosłych wyżyn objawia mi pan te proroctwa?

— Kto jestem? Człowiek, który się skończył, nic więcej. Człowiek, może czujący i współczujący, powiedzmy, coś nie coś umiejący, ale zupełnie skończony. A z panem inna sprawa: przed panem jest całe życie (kto wie, może jednak przejdzie ono panu sennie i nic się w niem nie

stanie). I cóż z tego, że pan przejdzie do innej kategorji ludzi? Przecież pan, z pańskiem sercem, nie będzie chyba żałował komfortu? Co z tego, że być może, przez długi czas, nikt pana nie zobaczy? Czas nie ma znaczenia, pan sam powinien mieć znaczenie. Niech pan będzie jak słońce, a wszyscy pana zobaczą. Znowu się pan uśmiecha, że taki Schiller ze mnie? Mogę się założyć, że pan przypuszcza, że chcę się panu przypodchlebić! No i co, być może, że naprawdę się przypodchlebiam, che-che-che! Niech mi pan, proszę pana, na słowo nie wierzy, powiedzmy nawet, niech mi pan wogóle nie wierzy, zgadzam się na to w zupełności, taki już mój zwyczaj. Dodam panu tylko: ile we mnie złośliwości, a ile — uczciwości, sam pan może osądzić!

— Kiedy pan mnie zamierza aresztować?

— Tak półtora dnia, dwa dni, mogę jeszcze pozwolić panu spacerować. Niech pan się zastanowi, kochany panie, niech pan się pomodli. Tak jest lepiej, jak panu radzę, słowo honoru, że lepiej.

— A jeżeli ucieknę? — z dziwnym uśmiechem zapytał Raskolnikow.

— Nie, nie ucieknie pan. Chłop-by uciekł, sekciarz ucieknie — sługa cudzych myśli: wystarczy mu pokazać tylko koniec palca, a uwierzy na całe życie, w co pan tylko zechce. A pan nie wierzy już w swoją teorję — z czem pan będzie uciekał? I co panu przyjdzie z ucieczki? Życie uciekiniera jest ciężkie i wstrętne, a pan przedewszystkiem chce żyć, mieć określone stanowisko, odpowiednią atmosferę. Czy ucieczka da to panu? Jeżeli pan ucieknie, to pan sam wróci. Bez nas już pan się nie może obejść. Gdybym zaś pana posadził pod kluczem, posiedzi pan miesiąc, dwa, no, powiedzmy trzy i nagle, wspomni pan moje słowa, przyzna się pan, niespodzianie nawet dla siebie samego. Godzinę przedtem nie będzie pan wiedział, że się pan przyzna. Pewny jestem, że pan się zdecyduje „wziąć na siebie cierpienie“. Pan mi teraz nie wierzy, ale na tem się skończy. Bo cierpienie, proszę pana, to wielka rzecz.

To nie ma znaczenia, że obrosłem tłuszczem, mimo to wiem, niech się pan nie śmieje, że w cierpieniu jest pewna idea, Mikołka ma rację. Nie, pan nie ucieknie, Rodionie Romanowiczu.

Raskolnikow podniósł się i wziął czapkę. Porfiry wstał również.

— Na spacer pan się wybiera? Wieczór będzie ładny, żeby tylko burzy nie było. Zresztą odświeżyłoby się powietrze...

Wziął również czapkę.

— Tylko proszę pana bardzo, niech pan sobie nie wmawia czasem, że ja się dziś panu przyznałem, — powiedział Raskolnikow z ponurym uporem. Pan jest interesujący człowiek i słuchałem pana tylko przez ciekawość. I do niczego się panu nie przyznałem... Niech pan to sobie zapamięta.

— No już dobrze, wiem, zapamiętam, — jak to pan się trzęsie. Niech pan będzie spokojny, dobrodzieju, stanie się, jak pan sobie życzy. Niech pan się trochę przejdzie, za dużo nie można spacerować. Na wszelki wypadek, mam do pana jeszcze jedną maleńką prośbę — dodał zniżywszy głos. Drażliwą prośbę i bardzo ważną: gdyby, tak w razie czego (w co, zresztą, nie wierzę i do czego uważam pana za niezdolnego), no tak, w razie gdyby przyszła panu ochota, w ciągu tych czterdziestu — pięćdziesięciu godzin, zakończyć jakoś inaczej tę sprawę, w jakiś fantastyczny sposób — popełnić zamaszek samobójczy (przypuszczenie bezsensowne, niech już mi pan daruje), to niech pan zostawi krótką, ale treściwą notateczkę. Tak ze dwa wiersze, tylko dwa wiersze, o kamieniu niech pan wspomni, to będzie przyzwoiciej. No, dowidzenia... Dobrych myśli, dobrych poczynań.

Porfiry wyszedł, zgarbiony, starając się nie patrzeć na Raskolnikowa. Raskolnikow podszedł do okna i z niecierpliwością przeczekał chwilę, przez którą, według jego wyliczenia, Porfiry mógł zejść ze schodów i oddalić się od domu. Poczem sam wyszedł pospiesznie.

## III.

Podążył do Swidrygajłowa. Czego się mógł spodziewać od tego człowieka, — nie wiedział sam. Ale człowiek ten miał nad nim jakąś władzę. Skoro raz dał sobie z tego sprawę, nie mógł się już otrząsnąć, zwłaszcza zaś teraz.

Po drodze męczyło go przedewszystkiem pytanie, czy Swidrygajłow był u Porfirego.

Sądził i mógł na to przysiąc, że nie był. Zastanowił się raz jeszcze, przypomniał sobie szczegóły wizyty Porfirego i doszedł do wniosku, że nie, napewno nie był.

Ale o ile nie był dotychczas, to czy pójdzie, czy nie?

Narazie sądził, że chyba nie pójdzie. Dlaczego? Nie potrafiłby wytłumaczyć, zresztą nie chciał teraz łamać sobie nad tem głowy. Męczyło go to i właściwie nie obchodziło tak dalece. Rzecz dziwna i trudna do uwierzenia: o swoim nieuniknionym bliskim losie ledwo myślał i to z roztargnieniem. Męczyło go coś innego, daleko ważniejszego, nadzwyczajnego, tyczącego jego samego. Czuł się przytem nadzwyczajnie moralnie przemęczony, jakkolwiek umysł jego pracował tego dnia sprawniej niż kiedykolwiek.

Czy warto było po tem wszystkiem, co się stało, zajmować się różnemi drobiazgami? Czy warto, naprzykład, intrygować, aby Swidrygajłow nie chodził do Porfirego, zastanawiać się, badać, tracić czas na jakiegoś tam Swidrygajłowa!

O, jak mu się to wszystko sprzykrzyło!

A jednak, mimo to, szedł do Swidrygajłowa. Czyżby oczekiwał od niego czegoś nowego, wskazówki, wyjścia? Tonący brzytwy się chwyta! Czy to przeznaczenie, instynkt prowadził go do niego? A może tylko zmęczenie, rozpacz. Być może, że przydałby mu się ktoś inny, a do Swidrygajłowa idzie, bo ten się tak jakoś nawinął. Sonia? Pocóżby miał teraz iść do Soni? Prosić znowu o jej litość? Sonia przerażała go. Była wcieleniem nieubłaganego wyroku, niewzruszonego postanowienia. Nie był w stanie zobaczyć się z nią. Nie, lepiej zbadać Swidrygajłowa: co

się tam kryje? Zdawał sobie sprawę, że dawno już był mu bardzo do czegoś potrzebny.

Jednak, co oni mogą mieć ze sobą wspólnego? Nawet zbrodnie ich nie mogły być do siebie podobne. Przytem ten człowiek był niesympatyczny, bardzo — widocznie, — zepsuty, napewno chytry i obłudny, prawdopodobnie bardzo zły. Opowiadają o nim takie rzeczy. Zajął się dziećmi Katarzyny, to prawda, ale kto wie po co i dlaczego to zrobił? Widocznie ma jakieś zamiary i plany.

Bardzo niepokoiła go i ani na chwilę nie opuszczała jeszcze jedna myśl, którą starał się odpędzić, tak dalece była dlań straszna. Swidrygajłow kręcił się koło niego i kręcił się dalej. Swidrygajłow zna jego tajemnicę, Swidrygajłow miał zamiary w stosunku do Duni. A jeżeli jeszcze je ma? Z całą niemal pewnością powiedzieć można, że ma. A jeżeli, znając jego tajemnicę i zdobywając przez to władzę nad nim, zechce jej użyć za broń przeciwko Duni?

Myśl ta męczyła go nawet we śnie, lecz po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego tak jaskrawo, właśnie teraz, gdy szedł do Swidrygajłowa. Doprowadzało go to do pasji. Po pierwsze — cała sytuacja się zmieni: trzeba będzie teraz wtajemniczyć we wszystko Dunię. Może będzie należało poświęcić się, aby uchronić Dunię od jakiegoś nierozważnego kroku. List? Dziś rano Dunia dostała jakiś list! Kto w Petersburgu mógł do niej pisać? (Może Łużyn?). Razumichin pilnuje, to prawda, ale on o niczem nie wie. Może trzeba będzie wtajemniczyć i Razumichina. Raskolnikow pomyślał o tem ze wstrętem.

W każdym razie należy jak najprędzej zobaczyć się ze Swidrygajłowem. Dzięki Bogu, w tym wypadku szczegóły nie będą miały znaczenia, lecz tylko sama istota rzeczy. Ale jeżeli Swidrygajłow intryguje przeciwko Duni, jeżeli jest zdolny do tego, — to...

Raskolnikow był tak dalece zmęczony i wyczerpany przejściami ostatniego miesiąca, że tego rodzaju zagadnień nie umiał rozwiązywać inaczej, jak decyzją: „wtedy go zabiję". Tak też pomyślał i teraz z rozpaczliwym spokojem.

Serce mu się ścisnęło. Stanął na środku ulicy i zaczął się rozglądać: którędy idzie i dokąd doszedł? Był na bulwarze N-skim, o trzydzieści, czterdzieści kroków od Siennej, przez którą przeszedł. Całe pierwsze piętro domu na lewo zajęte było przez traktjernię. Wszystkie okna roztwarte były naoścież, traktjernia, sądząc z poruszających się w oknach postaci, była przepełniona. Dochodził śpiew, dźwięki klarnetu, skrzypiec i grzmiał bęben. Słychać było piski kobiet. Raskolnikow chciał już zawrócić, nie rozumiejąc poco skręcił na bulwar N-ski, gdy nagle, w jednem z otwartych okien, zobaczył siedzącego przy stole z fajką w zębach Swidrygajłowa. Przeraziło go to formalnie. Swidrygajłow obserwował go w milczeniu i co uderzyło Raskolnikowa, chciał się podnieść prawdopodobnie, żeby odejść nim będzie zauważony. Raskolnikow natychmiast udał, że go nie widzi i że patrzy zamyślony w inną stronę. Przyglądał mu się jednak ukradkiem. Serce mu biło. Tak jest, Swidrygajłow oczywiście nie chciał być widziany. Wyjął z ust fajkę i już miał się schować, gdy, odsuwając krzesło, zauważył zapewne, że Raskolnikow widzi go i obserwuje. Rozegrała się pomiędzy nimi scena, podobna do pierwszego widzenia się ich u Raskolnikowa. Swidrygajłow uśmiecha się przebiegle, coraz szerzej. Obaj wiedzieli, że się widzą i obserwują wzajemnie. Wreszcie Swidrygajłow roześmiał się głośno.

— No, no! Jak pan chce, to proszę wejść, jestem tutaj — zawołał przez okno.

Raskolnikow wszedł do traktjerni.

Znalazł go w maleńkim pokoiku, o jednem oknie, za wielką salą, w której przy dwudziestu małych stolikach, wśród przeraźliwego krzyku śpiewającego chóru, zapijali herbatę kupcy, urzędnicy i cała masa różnych osobników. Z daleka dochodził stuk kul bilardowych. Na stole przed Swidrygajłowem stała butelka szampana i do połowy opróżniona szklanka. Prócz niego w pokoju był jeszcze chłopak z kataryunką, akompanjujący osiemnastoletniej rumianej dziewczynie w kusej pasiastej spódniczce i tyrolskim kapeluszu z wstążkami, która, nie zważając na chór w przyle-

głym pokoju, śpiewała ochrypłym kontr-altem, jakąś wulgarną piosenkę.

— No, dość! — przerwał jej Swidrygajłow, widząc wchodzącego Raskolnikowa.

Dziewczyna urwała natychmiast i zatrzymała się w pełnem szacunku oczekiwaniu. Swoją rymowaną bzdurę śpiewała z poważną i również pełną szacunku miną.

— Hej, Filip, szklankę! — zawołał Swidrygajłow.

— Ja nie będę pił wina, — powiedział Raskolnikow.

— Jak pan sobie życzy, ja nie dla pana. Pij, Katia. Dziś już cię nie będę potrzebował.

Nalał jej całą szklankę i położył na stole rubla. Katia wypiła wino, tak jak piją kobiety, dwudziestoma haustami, nie odejmując szklanki od ust, wzięła rubla, pocałowała Swidrygajłowa w rękę, który dał się pocałować z całą powagą i wyszła z pokoju wraz z chłopcem z katarynką. Obydwoje byli sprowadzeni z ulicy. Swidrygajłow przebywał dopiero od tygodnia w Petersburgu, lecz tu już był zupełnie zadomowiony. Kelner Filip już był jego dobrym „znajomym" i nadskakiwał mu. Drzwi do sali zamykały się, Swidrygajłow był w tym pokoju, jak u siebie. Prawdopodobnie całe dnie spędzał w tej traktjerni, marnej brudnej i gorzej niż trzecio-rzędnej.

— Szedłem do pana, — zaczął Raskolnikow. — Ale dlaczego nagle skręciłem z Siennej na bulwar N-ski! Nigdy tu nie bywam. Skręcam zwykle z Siennej na prawo. Przytem do pana nie idzie się tędy. Jak tylko skręciłem, zaraz wpadłem na pana! To dziwne!

— Dlaczego pan nie powie poprostu: to cud!

—Bo, być może, że to był przypadek.

— Jacy dziwni są ludzie! — roześmiał się Swidrygajłow. Nie przyzna się taki, choć w gruncie rzeczy, uwierzy w cud! Sam pan przecież powiedział „być może" tylko przypadek. I jak tu się wszyscy strasznie boją swojego własnego zdania, nie może pan sobie wyobrazić, Rodionie Romanowiczu! Nie o panu mówię. Pan ma swoje własne zdanie i nie uląkł się pan go mieć. Dlatego mnie pan zainteresował.

— Dla niczego więcej?

— To mi wystarczy.

Swidrygajłow był widocznie podniecony, ale tylko roszeczkę, wypił zaledwie pół szklanki wina.

— Zdaje mi się, że pan był u mnie przedtem, zanim an się dowiedział, że zdolny jestem mieć to, co pan nazywa łasnem zdaniem, — zauważył Raskolnikow.

— Wtedy, to było co innego. Każdy ma swój cel. A propos cudu, powiem panu, że pan chyba spał przez te wa dni. To ja sam podałem panu adres tej traktjerni i żadego niema w tem cudu, że pan tu przyszedł. Powiedziaem panu którędy tu się idzie, w którem to jest miejscu, o jaiej godzinie mnie tu można zastać. Pamięta pan?

— Zapomniałem, — odpowiedział Raskolnikow, zduiony.

— Wierzę. Powtarzałem panu dwa razy. Adres wbił ę panu mechanicznie w pamięć. Skręcił pan tu mechaniczie, a jednak kierował się pan według adresu, nie wiedząc awet o tem. Mówiąc wtedy do pana, nie liczyłem, że an mnie rozumie. Pan się bardzo zdradza, Rodionie Roanowiczu. Przekonałem się, że w Petersburgu wiele osób nówi do siebie głośno na ulicy. To miasto pół-obłąkańców. Gdyby wiedza u nas była dobrze postawiona, to lekarze, rawnicy i filozofowie, każdy w swojej specjalności, mogliy porobić w Petersburgu nader cenne spostrzeżenia. Rzadko tóre miasto ma tyle ponurych, ostrych i dziwnych wpływów na duszę ludzką, co Petersburg. Sam klimat jaki ma vpływ! A tu jest siedlisko władz całej Rosji i charakter ego miasta powinien wpływać na wszystko. Ale nie o to danej chwili idzie. Obserwowałem pana kilkakrotnie. Wychodząc z domu, trzyma pan jeszcze głowę do góry. Po dwudziestu krokach opuszcza ją pan, ręce zakłada pan wtył. Patrzy pan, ale rzuca się w oczy, że pan nic wokoło siebie ie widzi. Potem zaczyna pan poruszać ustami i mówić do iebie, przyczem czasami gestykuluje pan jedną ręką. Wreszie zatrzymuje się pan i stoi na ulicy, nieraz dosyć długo. To bardzo niedobrze. Może, prócz mnie, ktoś zwraca na

pana uwagę, a to już jest gorzej dla pana. Mnie tam, w gruncie rzeczy, jest wszystko jedno, ja pana nie wyleczę, ale, naturalnie, pan rozumie o co mi idzie.

— Czy pan wie, że jestem śledzony? — zapytał Raskolnikowa, patrząc nań badawczo.

— Nie, o niczem nie wiem, — odparł ze zdziwieniem Swidrygajłow.

— Zatem, zostawmy moją osobę w spokoju, — mruknął Raskolnikow, zasępiwszy się.

— Dobrze. Zostawmy pana w spokoju.

— Niech mi pan lepiej powie: skoro pan tu stale bywa i dwa razy wyznaczył mi tu miejsce spotkania, to dlaczego przed chwilą, gdy zobaczyłem pana w oknie, chciał się pan ukryć? Doskonale to zauważyłem.

— Che-che! A dlaczego pan, leżąc na kanapie, udawał śpiącego, gdy ja wtedy stałem na progu pańskiego pokoju? Doskonale zauważyłem, że pan wcale nie spał.

— Mogłem mieć... powody... pan dobrze wie o tem.

— I ja mogłem mieć powody, chociaż pan nic o tem nie wie.

Raskolnikow oparł się łokciem na stole, ujął podbródek palcami i badawczo wpatrzył się w Swidrygajłowa. Przyglądał się tej twarzy, która zawsze dotychczas go uderzała. Była to dziwna twarz, jak maska: biała, rumiana, z mocno czerwonemi ustami, jasno blond i dosyć jeszcze gęstemi jasno-blond włosami. Oczy miał jakieś zbyt niebieskie o spojrzeniu ciężkiem i nieruchomem. Było coś wyjątkowo niesympatycznego w tej twarzy ładnej i bardzo młodej, jak na jego lata. Swidrygajłow ubrany był w wytworny, lekki, letni garnitur, nosił szczególnie wytworną bieliznę. Na palcu miał wielki pierścień z kosztownym kamieniem.

— Czy rzeczywiście panem także mam sobie jeszcze głowę zawracać, — odezwał się nagle Raskolnikow, który drżąc z niecierpliwości, dążył wprost do celu. — Chociaż, pan jest zapewne człowiekiem bardzo niebezpiecznym, gdy pan chce szkodzić, to jednak nie mam zamiaru grać z panem komedji. Zaraz panu dowiodę, że nie trzęsę się tak

nad sobą, jak się panu zdaje. Niech pan wie, że przyszedłem panu wprost powiedzieć, że jeżeli pan ma jeszcze dawne zamiary w stosunku do mojej siostry i jeżeli w tym celu ma pan zamiar zużytkować swoje ostatnie odkrycie, to zabiję pana, zanim pan mnie zdąży wsadzić do więzienia. Pan wie, że na mojem słowie można polegać. Po drugie — jeżeli pan ma podać mi coś do wiadomości, a tak mi się przynajmniej dotychczas zdawało, to niechże pan mówi zaraz, bo czas jest drogi i wkrótce może już być zapóźno.

— Dokąd się pan właśnie tak śpieszy? — zapytał Swidrygajłow, patrząc nań z ciekawością.

— Każdy ma swój cel, — ponuro i z niecierpliwością, odpowiedział Raskolnikow.

— Odwoływał się pan do mojej szczerości, a sam odmawia pan odpowiedzi na pierwsze zaraz pytanie, — zauważył z uśmiechem Swidrygajłow. — Ciągle się panu zdaje, że mam jakiś cel i dlatego patrzy pan na mnie podejrzliwie. Cóż, to zupełnie zrozumiałe w pańskiej sytuacji. Jakkolwiek bardzo mi zależy na tem, żeby zbliżyć się do pana, to jednak nie będę się trudził, żeby pana przekonywać, że jest inaczej. Słowo daję, że gra nie warta świeczki, zresztą nie miałem wcale zamiaru mówić z panem o czemś specjalnem.

— Do czego, w takim razie, byłem panu potrzebny? Przecież pan zabiegał koło mnie?

— Poprostu interesował mnie pan, jako ciekawy objekt do obserwacji. Podobała mi się niezwykłość pańskiej sytuacji — tak, panie! Pozatem, jest pan bratem osoby, która mnie bardzo obchodziła, wreszcie od tej właśnie osoby tyle i tak często o panu słyszałem, że doszedłem do wniosku, że pan ma duży wpływ na nią. Czy to nie wystarcza? Che-che-che! Zresztą, przyznaję, że pytanie pańskie nie jest dla mnie zupełnie proste i dlatego trudno mi na nie odpowiedzieć. Teraz, naprzykład, przyszedł pan do mnie, nietylko w pewnej sprawie, ale również, żeby się czegoś nowego dowiedzieć? Wszak prawda? Wszak prawda? — nalegał Swidrygajłow z szelmowskim uśmiechem. — No więc, niechże pan sobie wyobrazi, że ja sam, jadąc tutaj,

jeszcze w wagonie, liczyłem na pana, że pan mi również powie coś nowego i że będę mógł od pana coś skorzystać. Tacy to z nas bogacze!

— Co znów skorzystać?

— Cóż mam panu odpowiedzieć? Czy ja wiem? Widzi pan, całe dnie przesiaduję w takiej knajpie i dobrze mi z tem. To jest, właściwie, nietyle dobrze, ile przecież trzeba coś z sobą zrobić. Albo choćby taka biedaczka Katia— widział pan?... Żebym przynajmniej był żarłokiem klubowym, smakoszem, ale ja takie rzeczy mogę jeść! (Wskazał palcem na stojący w kącie mały stolik, na którym, na blaszanym półmisku, widniały resztki bardzo podejrzanego befszty ka z kartoflami). — A propos, czy pan jest po obiedzie? Ja przekąsiłem tylko i nie mam chęci na więcej. Wina również nie piję. Żadnego, prócz szampana, nawet tego jedną szklankę w ciągu całego wieczora i też mnie głowa boli. Teraz kazałem sobie podać, dla nabrania animuszu, bo wybłeram się w pewnej sprawie i, jak pan widzi, jestem w szczególnym nastroju. Dlatego też, początkowo, zamierzałem się ukryć, bo obawiałem się, że mi pan przeszkodzi. Zdaje się jednak — (spojrzał na zegarek) — że mogę poświęcić panu godzinę czasu, jest dopiero wpół do piątej. Ach, wie pan, żebym miał jakiekolwiek zajęcie, gdybym był choć ziemianinem, ojcem, ułanem, fotografem, dziennikarzem... N-nic, żadnej specjalności. Czasami to jest bardzo nudne. Naprawdę, myślałem, że mi pan coś nowego powie.

— Co pan jest za jeden i po co pan przyjechał?

— Co ja jestem za jeden? Pan wie: szlachcic, służyłem dwa lata w kawalerji, potem włóczyłem się sobie tu, po Petersburgu, potem ożeniłem się z Martą Pietrowną i mieszkałem na wsi. Oto moja biografja!

— Pan zdaje się jest graczem?

— No, jakim tam graczem. Szuler jestem, nie gracz.

— Czy pan był szulerem?

— Tak, byłem również szulerem.

— I cóż, bywał pan bity?

— Zdarzało się. Bo co?

— Zatem, mógł pan wyzywać na pojedynek.... I wogóle to jest pewne urozmaicenie.

— Nie będę panu przeczył, nie umiem filozofować. Przyznam się panu, że głównie przyjechałem tu właściwie dla kobiet.

— Tylko co pan żonę pochował!

— No tak, — uśmiechnął się Swidrygajłow, z rozbrajającą szczerością. — Więc co z tego? Zdaje się, że pan mi ma za złe, że tak się o kobietach wyrażam?

— To jest, mam panu za złe rozpustę.

— Rozpustę! Zaraz rozpustę! Zresztą mówmy pokolei, najpierw odpowiem panu na kwestję kobiet zasadniczo, lubię, wie pan, tak sobie pogawędzić. Niech mi pan powie, dlaczego nie mam właściwie sobie pozwolić? Dlaczego mam unikać kobiet, kiedy jestem ich amatorem? Mam przynajmniej zajęcie.

— Więc przyjechał pan tu wyłącznie na rozpustę?

— No więc co z tego? Powiedzmy, że na rozpustę. Uczepił się pan tej rozpusty. Lubię takie pytania, przynajmniej bez obwijania w bawełnę. W tej rozpuście jest przynajmniej coś stałego, opartego nawet na prawach natury, nie podlegającego fantazjom, coś, co wiecznie, jak rozżarzony węgiel, pali we krwi, coś wiecznie podniecającego, czego czas bardzo długo, nawet lata całe, nie może ugasić. Niech się pan zgodzi, że to jest w swoim rodzaju zajęcie?

— Ma się też pan z czego cieszyć! To niebezpieczna choroba.

— Jaki pan jest krańcowy! Zgadzam się z tem, że to choroba, jak wszystko, co przekracza miarę, — a tu zawsze się ją przekracza, — ale, po pierwsze, z jednym bywa tak, z drugim inaczej, a po drugie, należy, naturalnie, we wszystkiem utrzymać miarę. Chociaż to wstrętne wyrachowanie, ale co robić? Gdyby nie to, to przecież trzebaby się chyba zastrzelić. Zgadzam się z tem, że porządny człowiek powinien się nudzić, ale jednak...

— A pan mógłby się zastrzelić?

— Także coś! — żachnął się Swidrygajłow ze wstrętem. Niech pan, z łaski swojej, nie mówi o tem, — dodał

skwapliwie, bez fanfaronady, cechującej wszystkie poprzednie jego powiedzenia. Zmienił mu się wyraz twarzy. — Przyznaję się, że to jest moja słaba strona, cóż robić: boję się śmierci i nie lubię, kiedy się o niej mówi. Wie pan, że jestem potrosze mistykiem?

— Ach prawda! Widmo Marty Pietrowny! Czy ciągle się jeszcze ukazuje panu?

— Niech pan nawet nie przypomina, w Petersburgu się jeszcze nie ukazywało, niech je djabli wezmą! — krzyknął ze złością. — Nie, mówmy lepiej o..., a zresztą... Hm! Mało mam czasu, nie mogę długo zostać z panem, a szkoda! Miałbym o czem pomówić.

— Co takiego, jakaś historja z kobietą?

— Tak z kobietą, niespodziewana przygoda... nie, nie o tem chciałem mówić.

— A ohyda, cała ohyda tego wszystkiego już pana nie razi? Nie ma pan już siły, by się zatrzymać?

— Pan do siły też ma pretensje? Che-che-che! Zdumiał mnie pan teraz, Rodionie Romanowiczu, chociaż zgóry wiedziałem, że się tem skończy. Pan przecież rozprawia o rozpuście i estetyce! Pan — Schiller, pan — idealista! Wszystko jest tak, jak naturalnie powinno być i byłoby dziwne, gdyby było inaczej, a jednak jakie to ciekawe w rzeczywistości... Ach, jaka szkoda, że mam tak mało czasu, bo pan jest nadzwyczajnie interesujący osobnik! A propos, czy pan lubi Schillera? Ja go bardzo lubię.

— Jaki z pana, swoją drogą, pozer! — odezwał się Raskolnikow, z pewnym wstrętem.

— No, słowo daję, że nie! — odpowiedział Swidrygajłow, śmiejąc się. A zresztą, nie będę się sprzeczał, niech będzie pozer. Dlaczego właściwie nie mam być pozerem, kiedy to jest takie niewinne. Siedem lat przesiedziałem u Marty Pietrowny na wsi i dlatego, natrafiwszy na tak mądrego i ciekawego człowieka, jak pan, poprostu cieszę się, że mogę pogawędzić. Wypiłem przytem pół-szklanki wina i trochę uderzyło mi do głowy. Głównie zaś podnieca mnie bardzo pewna okoliczność, o której... zamilczę. A pan dokąd? — zapytał nagle przestraszony.

Raskolnikow podniósł się. Zrobiło mu się duszno, przykro i jakoś niezręcznie, że tu przyszedł. Przekonał się, że Swidrygajłow jest najmniejszy i najgłupszy hultaj na świecie.

— Niech pan jeszcze zostanie, niech pan posiedzi, — prosił Swidrygajłow. Niech pan chociaż herbaty sobie każe podać. Niech pan posiedzi, ja przestanę ględzić głupstwa, opowiem panu coś. Chce pan, to, naprzykład, opowiem panu, jak mnie pewna kobieta, mówiąc pańskim stylem, „ratowała"? Będzie to jednocześnie odpowiedź na pierwsze pańskie pytanie, ta kobieta bowiem — to siostra pana. Czy mogę opowiedzieć? Zabijemy sobie czas.

— Niech pan mówi, ale mam nadzieję, że pan...

— O, niech pan będzie spokojny! Awdotja Romanowna nawet w takim złym i pustym człowieku, jak ja, może wzbudzić jedynie najgłębszy szacunek.

## VI.

Prawdopodobnie pan wie o tem (zresztą, zdaje się, że sam panu to powiedziałem), że siedziałem tutaj w więzieniu za długi. Szło o bardzo dużą sumę i nie miałem żadnych widoków, że ją będę mógł zapłacić. Niema co się rozwodzić nad tem, jak mnie wtedy wykupiła Marta Pietrowna. Pan wie, do czego może dojść czasami kobieta zakochana? To była kobieta uczciwa, zupełnie niegłupia, choć bez żadnego wykształcenia. Niechże pan sobie wyobrazi, że ta zazdrosna i uczciwa kobieta zdecydowała się po szeregu strasznych sprzeczek i wyrzutów poniżyć się do zawarcia ze mną pewnego rodzaju umowy, której przestrzegała przez cały czas naszego małżeństwa. Była bowiem znacznie starsza ode mnie i wiecznie w ustach przeżuwała jakieś goździki. Byłem na tyle podły i w swoim rodzaju uczciwy, że oznajmiłem otwarcie, że nie mogę być jej zupełnie wierny. Doprowadziło ją to do szału, ale moja brutalna otwartość do pewnego stopnia jej się podobała: „To znaczy, że nie chce mnie oszukiwać, skoro zgóry o tem uprze

dza", zaś dla zazdrosnej kobiety to jest najważniejsze. Po długich płaczach, stanęła między nami następująca ustna umowa: po pierwsze, nigdy jej nie porzucę i zawsze będę jej mężem, po drugie, nie wyjadę nigdzie bez jej pozwolenia, po trzecie, nigdy nie będę miał stałej kochanki, po czwarte, Marta Pietrowna pozwala mi za to zająć się czasami którąś z dziewcząt ze służby, lecz nie inaczej, jak w poufnem porozumieniu z Martą Pietrowną, po piąte, Boże zachowaj, żebym się ośmielił zainteresować kobietą z naszej sfery, po szóste, o ile, broń Boże, obudzi się we mnie jakaś wielka, poważna namiętność, to natychmiast mam się jej z tem zwierzyć. O ostatni zresztą punkt była przez cały czas dosyć spokojna. Bo to była mądra kobieta, a więc musiała mnie uważać za rozpustnika i włóczykija niezdolnego do poważnego uczucia. Ale całe nieszczęście polegało na tem, że mądra kobieta a zazdrosna kobieta, to dwie rzeczy różne. Zresztą, żeby móc objektywnie oceniać pewnych ludzi, należy wyrzec się zgóry uprzedzeń i tego przyzwyczajenia, jakie wyrabiamy sobie w stosunku do naszego codziennego otoczenia. Na pański sąd mam prawo bardziej liczyć, niż czyjkolwiek inny. Być może, słyszał pan o Marcie Pietrownie wiele głupstw i śmiesznostek. Rzeczywiście, miała sporo nader śmiesznych przyzwyczajeń. Ale powiem panu otwarcie, że szczerze żałuję, że wyrządzałem jej tyle niezliczonych przykrości. No, dosyć chyba będzie, jak na zupełnie przyzwoitą oraison funaibre najczulszego męża dla najczulszej żony. Podczas naszych kłótni, najczęściej milczałem i nie denerwowałem się i ta dżentelmenerja nigdy prawie nie chybiała celu. Działało to na nią i podobało się jej, nieraz była nawet dumna ze mnie. Ale mimo to siostry pańskiej nie wytrzymała. I jak to się stało, że ona się zdecydowała wziąć do domu za guwernantkę taką prześliczną dziewczynę! Tłumaczę to sobie tem, że sama była kobietą gorącą i wrażliwą i poprostu zakochała się, dosłownie zakochała w pańskiej siostrze. No, a Awdotja Romanowna! Od pierwszego rzutu oka doskonale zrozumiałem, że tu się nic nie da zrobić i — wie pan?, postanowiłem nawet nie spojrzeć na nią. Ale sama zrobiła pierwszy krok, czy

wierzy pan w to? Czy pan wierzy, że doszło do tego, że Marta Pietrowna była na mnie z początku zła, że nic o pańskiej siostrze nie mówiłem i że pomijałem milczeniem jej ciągłe zachwyty nad nią? Nie rozumiem o co jej szło. No, naturalnie, Marta Pietrowna opowiedziała Awdotji Romanownie wszystko o mnie ze szczegółami. Miała nieszczęsny zwyczaj opowiadania naszych tajemnic rodzinnych absolutnie wszystkim i ciągle się na mnie skarżyła. Czy mogła ominąć taką nową, nadzwyczajną przyjaciółkę? Przypuszczam, że wogóle o niczem innem nie mówiły tylko o mnie i bezwątpienia Awdotja Romanowna została wtajemniczona w te wszystkie ponure bajdy, które o mnie krążyły... Za łożę się, że pan również słyszał już o czemś w tem rodzaju.

— Słyszałem. Łużyn oskarżył pana o spowodowanie śmierci dziecka. Czy to prawda?

— Niech pan z łaski swojej zostawi w spokoju tego rodzaju świństwa, — z obrzydzeniem i niechęcią odpowiedział Swidrygajłow. Jeżeli pan koniecznie chce wiedzieć coś o tej bzdurze, to kiedyś opowiem panu, a teraz...

— Słyszałem również o jakimś służącym na wsi, że pan także coś tam zawinił.

— Bardzo pana proszę, dosyć! — przerwał Swidrygajłow z wyraźnem zniecierpliwieniem.

— Czy to czasami nie był ten sam służący, który po śmierci przychodził panu napychać fajkę... jak mi pan tam opowiadał?—denerwował się coraz bardziej Raskolnikow.

Swidrygajłow spojrzał uważnie na Raskolnikowa, któremu się zdawało, że w spojrzeniu tem błysnął drwiący uśmiech, ale Swidrygajłow pohamował się i odpowiedział bardzo grzecznie:

— Właśnie ten sam. Widzę, że pana również wszystko to bardzo interesuje i będę uważał za swój obowiązek przy pierwszej sposobności zadowolić pod każdym względem pańską ciekawość. Niech djabli porwą! Konstatuję, że rzeczywiście mogłem się komuś wydać romantyczną postacią. Niech więc pan osądzi jak dalece winieniem wdzięczność Marcie Pietrownie za to, że naopowiadała o mnie siostrze pana tyle ciekawych i tajemniczych historyj. Nie

ośmielę się oceniać wrażenia, jakie to wywarło, w każdym razie było dla mnie korzystne. Przy całym zrozumiałym wstręcie Awdotji Romanowny do mnie, bez względu na mój ówczesny ponury i odpychający wygląd, zrobiło jej się wkońcu żal zmarnowanego człowieka. A gdy młoda dziewczyna żałuje kogoś, to jest dla niej najgroźniejsze. Wtedy napewno zechce i „ratować" i nawrócić, odrodzić i wskazać szlachetniejsze cele i skierować na nowe życie, do nowej działalności. Wiadoma rzecz, to wszystko można sobie wymarzyć. Odrazu zrozumiałem, że ptak sam wpada w sidła i z kolei byłem przygotowany. Pan, zdaje się, marszczy brwi. Głupstwo, pan wie przecież, że się skończyło na niczem. (Do licha, ile ja tego wina piję!). Wie pan, zawsze żałowałem, od pierwszej chwili, że pańska siostra nie urodziła się w drugim, czy trzecim wieku naszej ery, jako córka jakiegoś książątka, czy namiestnika lub konsula w Małej Azji. Bezwarunkowo zostałaby męczenniczką i napewno z uśmiechem zniosłaby szarpanie piersi rozpalonemi obcęgami. Poszłaby dobrowolnie na ofiarę, a w czwartym albo piątym wieku uciekłaby na pustynię egipską i tam żywiła się korzonkami, ekstazami i widzeniami. Marzy tylko o tem, żeby już nareszcie cierpieć za kogoś, a jak się jej nic takiego nie zdarzy, to się jeszcze z okna gotowa rzucić. Słyszałem coś o niejakim panu Razumichinie. To podobno chłopak rozsądny (jak świadczy samo nazwisko, pewno seminarzysta), niech więc pilnuje pańskiej siostry. Jednem słowem, zdaje mi się, że się na niej poznałem, co poczytuję sobie za zaszczyt. Ale wtedy, na początku naszej znajomości, pan wie, jak to bywa, byłem lekkomyślniejszy i głupszy, źle patrzałem, źle widziałem. Niech djabli wezmą, dlaczegóż ona jest taka ładna! Ja nie jestem winien! Krótko mówiąc, zaczęło się to u mnie od ataku szalonej namiętności. Awdotja Romanowna jest strasznie, nieprawdopodobnie, niesłychanie cnotliwa. (Niech pan zauważy, że podaję to panu o siostrze, jako fakt. Cnotliwa jest aż chorobliwie, mimo swej otwartej głowy i to jej zaszkodzi). Służyła u nas wtedy jedna dziewczyna, Paraszka, czarnooka, tylko co sprowadzona z innej wsi, której jeszcze nie widywałem.

Bardzo była ładna, ale niemożliwie głupia: rozryczała się, uczyniła wrzask na całe podwórko i zrobił się skandal. Raz, po obiedzie, Awdotja Romanowna umyślnie odszukała mnie, gdy byłem sam w ogrodzie, i zażądała, z błyszczącemi oczami, żebym zostawił w spokoju biedną Paraszkę. To była pierwsza niemal nasza rozmowa w cztery oczy. Ja, naturalnie, uważałem za zaszczyt zadośćuczynić jej żądaniu, udałem skruszonego, zmieszanego, jednem słowem, dobrze odegrałem swoją rolę. Zbliżyliśmy się, zaczęły się tajemnicze rozmowy, nauki moralne, prośby, błagania, nawet łzy — czy pan wierzy, nawet łzy! Jaką to siłę ma u niektórych dziewcząt namiętność do propagandy! Rozumie się, że zwaliłem wszystko na swój los, udawałem spragnionego i garnącego się do światła i wreszcie użyłem najsilniejszego i niezawodnego środka podbijania serc kobiecych, środka, który jeszcze nigdy nikogo nie zawiódł i który działa na wszystkie, bez żadnego wyjątku. To znany środek — pochlebstwo. Niema nic trudniejszego na świecie, niż szczerość i niema nic łatwiejszego, niż pochlebstwo. Jeżeli w szczerości zabrzmi choć odrobina fałszu, to momentalnie zachodzi dysonans i po nim — skandal. Jeżeli w pochlebstwie wszystko nawet jest fałszem, to jest ono również przyjemne i słucha go się z przyjemnością, wprawdzie z dosyć prymitywną przyjemnością, ale z przyjemnością. I w każdem najordynarniejszem pochlebstwie napewno przynajmniej połowa wydaje się prawdą. I to bez względu na stopień rozwoju człowieka i sferę. Nawet westalkę można uwieść pochlebstwem, cóż dopiero zwykłego śmiertelnika. Śmiech mnie zawsze ogarnia, ilekroć przypomnę sobie, jak uwiodłem raz pewną damę, bardzo przywiązaną do swego męża, do swoich dzieci i do swoich cnót. Jakie to było zabawne i jak mało było przytem zachodu! Dama zaś rzeczywiście była cnotliwa, przynajmniej po swojemu. Cała moja taktyka polegała na tem, że poprostu byłem stale olśniony i korzyłem się przed jej cnotą. Schlebiałem jej wprost bezbożnie, doprowadziłem, naprzykład, do uścisku ręki, czy nawet tylko spojrzenia i natychmiast zaczynałem robić sobie głośno wyrzuty, że zdobyłem to siłą, że ona się

broniła, broniła tak, że napewno nicbym nie wskórał, gdyby nie moje zepsucie, że ona w swej niewinności nie przewidziała podstępu i uległa niechcący, nie wiedząc o tem — nie zdając sobie sprawy i tak dalej, i tak dalej. W końcu osiągnąłem wszystko, a moja dama była, w dalszym ciągu głęboko przekonana, że jest niewinna i cnotliwa, że spełnia wszystkie swoje obowiązki i powinności, a upadła zupełnie niechcący. Jaka ona była wściekła na mnie, kiedy koniec końcem oznajmiłem jej, że tak samo szukała upojenia, jak ja. Biedna Marta Pietrowna też była ogromnie wrażliwa na pochlebstwa i gdybym tylko chciał, to napewno, jeszcze za życia, przepisałaby na mnie cały majątek. (A jednak, ja bardzo dużo piję wina i gadam). Przypuszczam, że się pan nie obrazi, gdy powiem, że podobnie dziać się zaczęło z Awdotją Romanowną. Tylko, że byłem głupi i niecierpliwy i zepsułem całą sprawę. Już kilkakrotnie poprzednio Awdotji Romanownie nie podobał się wyraz moich oczu, czy pan da wiarę? Coraz nieostrożniej i coraz mocniej zapalał się w nich jakiś ogień, który przerażał i który w końcu znienawidziała. Nie ma co się wdawać w szczegóły, dość, że się odsunęła ode mnie. Tutaj znowu palnąłem głupstwo. Zacząłem w brutalny sposób znęcać się nad tą propagandą i nawracaniem. Paraszka znowu wystąpiła na widownię i nie ona jedna. Jednem słowem zaczęła się Sodoma. Ach, gdyby pan widział, Rodionie Romanowiczu, choć raz w życiu, jak pańska siostra potrafi błyskać oczami! To nic, że jestem teraz pijany i całą szklankę wina wypiłem, mówię prawdę zapewniam pana, że śniło mi się to spojrzenie. Nie mogłem już wytrzymać szelestu jej sukni. Naprawdę myślałem, że mnie apopleksja trafi, nigdy nie wyobrażałem sobie, że mogę dojść do takiego zapamiętania. Krótko mówiąc, należało się pogodzić, ale to już było niemożliwe. I niech pan sobie wyobrazi, co ja wtedy zrobiłem? Do jakiego stopnia pasja może człowieka zaślepić! Niech pan nigdy nie zabiera się w pasji do niczego, Rodionie Romanowiczu! Uważając, że Awdotja Romanowna w gruncie rzeczy jest przecież nędzarką (ach, przepraszam, nie to chciałem... czy to zresztą nie wszystko jedno, skoro

oznacza to samo pojęcie?), jednem słowem, żyje z pracy rąk, że utrzymuje i matkę i pana (ach, do djabła, znowu mi się plącze...), postanowiłem zaproponować jej wszystkie moje pieniądze (mogłem mieć wtedy z trzydzieści tysięcy), aby uciekła ze mną, choćby tutaj, do Petersburga. Samo przez się rozumie się, że z miejsca zaprzysiągłbym jej wieczną miłość, wierność i tak dalej, Czy da pan wiarę, że tak dalece byłem wzięty, że gdyby mi wtedy powiedziała: zarżnij czy otruj Martę Pietrownę i ożeń się ze mną, — zaraz byłoby zrobione! Ale skończyło się wszystko katastrofą, jak panu wiadomo. Może pan sobie wyobrazić w jaką wściekłość wpadłem, dowiedziawszy się, że Marta Pietrowna wydostała skądś tego nikczemnika Łużyna i omal-że nie zmajstrowała małżeństwa, które, w gruncie rzeczy, byłoby takie samo jak to, które ja proponowałem. Czyż nie tak? Czy nie tak? Wszak tak? Zauważyłem, że pan zaczął słuchać bardzo uważnie... interesujący młodzieniec...

Swidrygajłow w podnieceniu uderzył pięścią w stół. Był czerwony, Raskolnikow widział, że szklanka, czy półtora szampana, którą wypił małemi łykami, uderzyła mu do głowy, — i postanowił skorzystać z okazji. Swidrygajłow wydawał mu się bardzo podejrzany.

— Po tem wszystkiem, pewny jestem teraz, że pan tu przyjechał wyłącznie dla mojej siostry, — powiedział otwarcie, bez ogródek, aby go bardziej jeszcze sprowokować.

— E, niech pan da spokój, — Swidrygajłow jakby się opamiętał, — przecież mówiłem panu... a pozatem pańska siostra mnie nie znosi.

— Tego jestem pewny, ale nie o to idzie w tej chwili.

— Pan jest pewny, że mnie nie znosi? — (Swidrygajłow przymrużył oczy i uśmiechnął się drwiąco). — Ma pan rację — nie lubi mnie. Ale niech pan nigdy nie ręczy w sprawach pomiędzy małżeństwem, lub kochankami. Tam zawsze jest jakiś kącik, o którym nikt nie wie, prócz tych dwojga. Pan ręczy, że Awdotja Romanowna patrzyła na mnie ze wstrętem?

— Z niektórych pańskich słów i powiedzeń w toku

opowiadania, wnioskuję, że pan i teraz nie wyrzekł się widoków i stanowczych zamiarów w stosunku do Duni, rozumie się — podłych zamiarów.

— Jakto? Wyrwały mi się takie jakieś powiedzenia? — zląkł się nadzwyczaj naiwnie Swidrygajłow, nie zauważywszy nawet epitetu określającego jego zamiary.

— I teraz się panu wyrywają. Dlaczego, naprzykład, tak się pan boi? Czego się pan tak przestraszył teraz?

— Ja się przestraszyłem, ja się boję? Boję się pana? To pan się mnie powinien raczej bać, cher ami. Co za dziki pomysł... A zresztą, pijany jestem, widzę to, znowu omal się nie wygadałem. Do djabła z winem. Hej, wody podać!

Złapał butelkę i bez ceremonji wyrzucił ją przez okno. Filip przyniósł wodę.

— To głupstwo wszystko,—mówił Swidrygajłow, umoczywszy serwetę i przyłożywszy ją do czoła, — jednem słowem zamknę panu usta i wszystkie pańskie podejrzenia zetrę na miazgę. Czy wiadomo panu, naprzykład, że ja się żenię?

— Już dawno mi pan o tem mówił.

— Mówiłem? Zapomniałem. Ale wtedy nie mogłem mówić napewno, bo nawet panny jeszcze nie widziałem. Miałem dopiero zamiar. A teraz mam już narzeczoną, wszystko załatwione i gdyby nie pilne sprawy, których nie mogę odłożyć, bezwarunkowo zabrałbym pana i zaraz zawiózł do niej. Bo chcę się pana poradzić. Ach do djabła! Mam tylko dziesięć minut czasu. Niech pan spojrzy na zegarek. Zresztą powiem panu, że to bardzo ciekawa sprawa, to moje małżeństwo, to jest w swoim rodzaju, — a pan dokąd? Znowu pan chce odejść?

— Nie, teraz już nie odejdę.

— Wcale pan nie odejdzie? Zobaczymy! Zawiozę tam pana, coprawda, pokażę panu narzeczoną, ale nie teraz, teraz będzie czas na pana. Pan na prawo, a ja na lewo. Czy pan zna tę Resslich? Tę Resslich, u której ja teraz mieszkam, — co? Słyszy pan? Nie, co pan sobie myśli? To ta sama, o której mówią, że ta dziewczyna co to w wodzie zimą, — słyszy pan? Czy pan słucha? Więc to ona mnie to wszystko urządziła, smutno ci jest, powiada, rozerwij się.

Bo ja jestem człowiek ponury, smutny. Pan myśli, że ja jestem wesoły? Nie, smutny: krzywdy nikomu nie robię, siedzę w kącie, czasami przez trzy dni nie odzywam się słowem. A ta szelma Resslich, mówię panu, co ona ma na myśli: znudzę się, rzucę żonę i wyjadę, a żona jej w łapy wpadnie, puści ją w ruch, pomiędzy naszemi, albo i wyżej. Więc powiada, jest tu jeden emerytowany urzędnik, sparaliżowany, trzeci rok siedzi w fotelu, bez władzy w nogach. Żona jego, powiada, to dama, syn jest na służbie, gdzieś na prowincji — rodzicom nie pomaga. Córka wyszła zamąż i nie bywa u nich. Na karku mają dwuch małych siostrzeńców (własnych dzieci było im zamało) i odebrali teraz z gimnazjum, przed ukończeniem, dziewczynę, swoją ostatnią córkę. Za miesiąc skończy dopiero szesnaście lat. Za miesiąc więc będzie można ją wydać za mąż. I to za mnie. Pojechaliśmy tam. Tak, jakoś u nich zabawnie, przedstawiam się: ziemianin, wdowiec, ze znanej rodziny, ustosunkowany, bogaty. Co z tego, że ja mam pięćdziesiątkę, a ona niema jeszcze szesnastu? Kto na to zwraca uwagę? A rzecz nęcąca, co? Przecież nęcąca? Cha-cha! Żeby pan widział, jak ja rozmawiałem z tatusiem i mamusią! Zapłacić warto, żeby mnie zobaczyć wtedy. Wchodzi ona, dyga, no niech pan sobie wyobrazi, jeszcze w krótkiej sukience, pączek nierozwinięty, czerwieni się i płonie, jak zorza (powiedziano jej, rozumie się). Nie wiem, jaki pan ma gust, co do kobiecych twarzy, ale według mnie, takie szesnaście lat, takie jeszcze dziecinne oczy, taka nieśmiałość i łzy wstydu w oczach, to jest lepsze od piękności, a przytem ta jest śliczna, jak obrazek. Jasne włoski w drobnych loczkach, kędzierzawe, usteczka pulchniutkie, ponsowe, nóżki rozkosz!... Poznaliśmy się, powiedziałem, że muszę załatwić sprawy rodzinne, a na drugi dzień, to jest onegdaj, były zaręczyny. Teraz, jak tam przychodzę, to zaraz ją na kolana i już nie puszczam... No, płonie, jak zorza, a ja całuję co chwila. Mamusia, a jakże, perswaduje jej, że to twój mąż i, że tak być powinno, jednem słowem, sama rozkosz! I takie narzeczeństwo, to chyba, naprawdę, jest przyjemniejsze od małżeństwa. W tem jest to, co się nazywa la nature et la vérité! Cha-cha! Dwa

razy z nią rozmawiałem — wcale niegłupia dziewczyna, czasami spojrzy na mnie ukradkiem, aż mnie ciarki przejdą. A wie pan, twarzyczka, jak Madonny Rafaela. Bo przecież Madonna Sykstyńska ma cierpiącą twarz opętanej, nie zauważył pan tego? No, więc coś w tym rodzaju. Na drugi dzień po zaręczynach przyniosłem prezentów za jakieś tysiąc pięćset rubli: garnitur brylantowy jeden, z pereł-drugi, srebrną szkatułkę z toaletowemi przyborami, o, takiej wielkości, że aż twarzyczka jej, Madonny, stanęła w ponsach. Wziąłem ją wczoraj na kolana, widocznie już zbyt bezceremonjalnie — łzy jej stanęły w oczach, ale stara się je ukryć, cała płonie. Wyszli wszyscy na chwilę z pokoju, zostaliśmy sami, nagle rzuca mi się na szyję (pierwszy raz z własnej inicjatywy), obejmuje mnie obudwiema rączkami całuje i przysięga, że będzie mi posłuszną i dobrą i wierną żoną, że mnie uszczęśliwi, że poświęci mi całe życie, każdą minutę swego życia, wszystko, wszystko, wszystko, a wzamian pragnie abym ją t y l k o  s z a n o w a ł  i więcej, powiada „nie potrzebuje nic, nic, nic, żadnych prezentów!" Musi pan się zgodzić, że wysłuchać podobnego wyznania, takiego szesnastoletniego aniołeczka, w tiulowej sukience, z loczkami, z dziewiczym rumieńcem na twarzy, łezką entuzjazmu w oczach, musi pan przyznać, że to jest chyba dosyć przyjemnie! Prawda, że przyjemnie? Przecież to jest coś warte? Jest coś warte, co? No... no, niechże pan słucha... pojedzie pan ze mną do mojej narzeczonej... tylko nie teraz!

— Jednem słowem, ta potworna różnica wieku i rozwoju podnieca pana. I czy, rzeczywiście, pan się zamierza ożenić?

— A co? Naturalnie. Każdy o sobie myśli, a najmądrzejszy jest ten, kto umie żyć i oszukiwać raczej innych, niż siebie samego. Cha-cha! A pan co tak w cnotę po uszy wjechał? Proszę mnie nie potępiać, dobrodzieju, ja jestem grzeszny człowiek. Che-che!

— A jednak zajął się pan dziećmi Katarzyny Iwanowny. Zresztą... zresztą, miał pan w tem swoje wyrachowanie. Teraz zrozumiałem wszystko.

— Wogóle lubię dzieci, bardzo lubię, — roześmiał się Swidrygajłow. Na ten temat mogę panu opowiedzieć nadzwyczaj ciekawą historję, która dotychczas jeszcze się ciągnie. Pierwszego dnia po przyjeździe obszedłem różne tutejsze spelunki, po siedmiu latach nieobecności poprostu rzuciłem się na to. Zauważył pan zapewne, że nie szukam spotkania ze swoją dawną kompanją, dawnymi przyjaciółmi i towarzyszami. Tak, i jak najdłużej będę się starał bez nich obejść. Wie pan, na wsi dręczyły mnie śmiertelnie wspomnienia o tych wszystkich tajemniczych miejscach i dziurach, w których, kto się na tem zna, dużo może znaleźć. Niech djabli porwą! Lud się rozpija, wykształcona młodzież z bezczynności marnuje się w nierealnych snach i marzeniach, karykaturuje w teorjach, nazjeżdżało się skądś żydów, zbijają pieniądze, zaś wszyscy pozostali oddają się rozpuście. Odrazu powiało na mnie od tego miasta znajomym zapachem, wpadłem na jakiś tak zwany tańcujący wieczorek — spelunka straszna (a ja właśnie lubię specjalnie brudne spelunki), naturalnie kankan odchodzi niebywały. Za moich czasów takich nie widziałem, w tem jest postęp. Patrzę, dziewczynka trzynastoletnia, ładniutko ubrana, tańczy z takim „wirtuozem", a drugi przed nią, na vis-à-vis. Pod ścianą siedzi jej matka. No może pan sobie wyobrazić, co to był za kankan! Dziewczyna się wstydzi, czerwieni się, wreszcie obraża i zaczyna płakać. „Wirtuoz" obejmuje ją, kręci nią, wykrzywia się przed nią, wszyscy wokoło śmieją się i krzyczą: „Słusznie, ma rację! A nie przyprowadzać dzieci!" Lubię w takich chwilach tę naszą publiczkę, choćby kankanową. Mnie, co tam w gruncie rzeczy obchodzi, czy to jest słuszne, czy nie. Wiedziałem, co mam zrobić. Przysiadłem się do matki, zaczynam od tego, że jestem przyjezdny, że to są gbury, nieumiejące poznać się na prawdziwych cnotach i oddać należnego szacunku. Dałem do zrozumienia, że mam dużo pieniędzy, zaproponowałem, że odwiozę je swoją karetą. Odstawiłem je do domu, zapoznałem się z niemi (odnajmują jakąś klitkę, tylko co przyjechały). Oświadczyły mi, że znajomość ze mną może być dla nich tylko zaszczytem. Dowiedziałem się, że nic absolutnie nie

posiadają, że przyjechały starać się o coś u jakichś władz. Ofiarowałem swoje pieniądze. Opowiadają, że przez omyłkę dostały się na ów wieczór, że myślały, że to naprawdę jest szkoła tańców. Proponuję ze swej strony pomóc młodej pannie w kształceniu się w tańcach i języku francuskim, co zostaje przyjęte z zachwytem, jako zaszczyt. Znajomość — do tej chwili... Chce pan, pójdziemy tam razem, tylko nie teraz.

— Niech pan przestanie, niech pan mi nie opowiada tych swoich podłych, nikczemnych historyjek, rozpustny, marny, lubieżny człowieku!

— Schiller, nasz Schiller, zupełnie Schiller! Ou va-t-elle la vertu se nicher? A ja właśnie będę panu umyślnie takie historyjki opowiadał, żeby się napawać pańskiemi wykrzyknikami. Rozkosz!

— A jakże! Przecież ja tu durnia ze siebie robię, — mruknął ze złością Raskolnikow.

Swidrygajłow pękał ze śmiechu. Zawołał wreszcie Filipa, zapłacił i zabierał się do odejścia:

— No tak, ależ jestem pijany, assez causé! — powiedział. — Rozkosz!

— Myślę, że to rozkosz dla pana! — zawołał Raskolnikow, podnosząc się również. — To rozkosz dla takiego zszarganego rozpustnika opowiadać tego rodzaju przygody, zwłaszcza gdy planuje jakąś nową potworność w tym rodzaju i opowiada takiemu jak ja człowiekowi w podobnych okolicznościach... To podnieca!

— No, kiedy tak, — odpowiedział Swidrygajłow, ze zdziwieniem przyglądając się Raskolnikowi, — kiedy tak, to z pana porządny cynik. Przynajmniej ma pan dużo materjału na cynika. Pan dużo wie, dużo umie... ale zrobić też pan wiele potrafi. Dość jednak. Szczerze żałuję, że tak krótko mogłem z panem porozmawiać, ale nie ucieknie mi pan... Niech-no pan poczeka tylko...

Wyszli z traktjerni. Swidrygajłow był jednak nie bardzo podchmielony. Wino uderzyło mu tylko do głowy, a teraz trzeźwiał prędko. Był zamyślony i bardzo czemś zaaferowany. Szykował się, widocznie do czegoś, co go de-

nerwowało i niepokoiło. W stosunku do Raskolnikowa zmienił ton i był coraz bardziej opryskliwy i drwiący. Raskolnikow zauważył to i przejęła go trwoga. Swidrygajłow był mu bardzo podejrzany. Postanowił go śledzić.

Wyszli na ulicę.

— Pan na prawo, a ja na lewo, lub odwrotnie, — powiedział Swidrygajłow, — ale tylko adieu, mon plaisir, do miłego zobaczenia!

Skręcił na prawo, w Sienną.

## V.

Raskolnikow poszedł za nim.

— A co to znowu! — krzyknął Swidrygajłow, odwracając się. — Zdaje się, że powiedziałem...

— To znaczy, że ja pana teraz nie opuszczę.

— Co-o-o?

Obaj zatrzymali się i patrzyli na siebie, mierząc się oczami.

— Z całej pańskiej pół-pijanej gadaniny, — zaczął ostro Raskolnikow, — doszedłem do zupełnego przekonania, że pan nie tylko nie zaniechał swoich zamiarów w stosunku do mojej siostry, ale że pan jest niemi bardziej, niż kiedykolwiek zajęty. Wiem, że siostra odebrała dziś rano jakiś list. Pan przez cały czas był bardzo podniecony... Przypuśćmy nawet, że pan sobie, po drodze, znalazł tymczasem jakąś żonę, ale to jest rzecz bez znaczenia. Chcę się przekonać osobiście...

Należy wątpić w to, czy Raskolnikow sam wiedział dobrze, o co mu idzie i o czem się chce przekonać osobiście.

— Ach tak! Chce pan, żebym zawołał policję?

— A wołaj sobie!

Stali przez chwilę nawprost siebie. Wreszcie Swidrygajłow, przekonawszy się, że Raskolnikow nie zląkł się groźby, zmienił ton i zawołał wesoło i po przyjacielsku:

— Dobry pan jest! umyślnie nie mówiłem z panem

o pańskiej sprawie, choć dręczy mnie ciekawość. Fantastyczna historja! Odłożyłem to sobie na drugi raz, ale, naprawdę, pan może umarłego zniecierpliwić... Więc chodźmy, ale uprzedzam zgóry: teraz wpadnę tylko na chwilkę do domu po pieniądze, potem zamykam mieszkanie, biorę dorożkę i na cały wieczór jadę na Wyspy. No i pocóż pan ma chodzić ze mną?

— A ja tymczasem wstąpię do Sofji Semenowny przeprosić ją, że nie byłem na pogrzebie.

— Jak pan chce, lecz Sofji Semenowny niema w domu. Poszła ze wszystkiemi dziećmi do pewnej ważnej damy, mojej dawnej znajomej, staruszki, opiekunki jakichś zakładów dla sierot. Oczarowałem tę damę, wpłacając pieniądze za trzy sierotki po Katarzynie Iwanownie, dając prócz tego ofiarę na zakład, wreszcie opowiadając jej ze wszystkiemi szczegółami historję Sofji Semenowny. Efekt był niesłychany. I dlatego Sofję Semenowną wezwano dzisiaj do hotelu, gdzie owa dama tymczasowo urzęduje, po powrocie z letniska.

— Nic nie szkodzi, mimo to wstąpię.

— Jak pan sobie życzy, lecz ja z panem nie pójdę, nie mam poco! Otóż już jesteśmy. Niech-no mi pan powie, jestem pewny, że pan dlatego patrzy tak na mnie podejrzliwie, bo byłem na tyle delikatny, że dotychczas nie niepokoiłem pana pytaniami... pan rozumie? Wydaje się to panu czemś niezwykłem, założę się, że mam rację! No, i bądź tu delikatny.

— I podsłuchuj pod drzwiami!

— Acha, o to panu chodzi! — roześmiał się Swidrygajłow. — Dziwiłbym się, gdyby po tem wszystkiem, nie poruszył pan i tego tematu. Cha-cha! Jakkolwiek coś niecoś zrozumiałem z tego, co pan tam... wtedy... nabroił i sam Sofji Semenownie opowiadał, ale jednak nie wszystko i niezupełnie. Może jestem zupełnie zacofany i nic już zrozumieć nie mogę. Niech mi pan wytłumaczy, kochanie! Niech pan mnie oświeci najnowszemi zasadami.

— Nic pan nie mógł słyszeć, kłamie pan!

— Ależ ja nie o tem mówię, nie o tem (choć zresztą, coś nie coś jednak słyszałem), nie, nie o tem. Mam na myśli te pańskie ciągłe jęki i rozpacze! To Schiller oburza się w panu co chwilę. Teraz znowu nie podsłuchuj pod drzwiami. Jeżeli tak, to niech pan idzie i zawiadomi władze, że oto właśnie tak i tak się stało, przytrafił mi się taki casus: w teorji znalazła się malutka omyłeczka. Jeżeli zaś pan jest pewien, że pod drzwiami nie wolno podsłuchiwać, a natomiast wolno łupić, czem się tylko da stare baby, dla swojej przyjemności, to niech pan wyjedzie jaknajprędzej do Ameryki! Niech pan ucieka, młody człowieku! Może jest jeszcze czas. Szczerze panu mówię. Nie ma pan pieniędzy? Dam panu na drogę.

— Zupełnie o tem nie myślę, — przerwał Raskolnikow ze wstrętem.

— Rozumiem, (niech pan się zresztą nie trudzi: jeśli pan nie chce, może pan mi dużo nie mówić), wiem, jakie pan zagadnienia obrabia: moralne, co? Zagadnienia obywatela i człowieka? A niech pan im da po karku, poco to panu teraz? Che-che! Ciągle się pan jeszcze czuje obywatelem i człowiekiem? Jeśli tak, to poco się było pchać, nie trzeba się było brać do nie swego interesu. Niech pan się zastrzeli ,co, nie ma pan ochoty?

— Pan, zdaje się, celowo mnie drażni, żebym tylko zostawił pana teraz samego...

— Dziwak z pana! No, jesteśmy już na schodach. Widzi pan, to jest wejście do mieszkania Sofji Semenowny, niech pan zobaczy, że nikogo niema. Nie wierzy pan? Kapernaumów panu powie, ona tam klucz zostawia. A oto właśnie sama madame de Kapernaumów, co? Co? (ona jest trochę głucha). Wyszła? Dokąd? Słyszał więc pan? Niema jej i nie będzie, aż późno wieczorem. Chodźmy teraz do mnie. Pan przecież chciał iść i do mnie? Zatem jesteśmy u mnie. Madame Resslich niema w domu. Ta kobieta ma wiecznie jakieś kłopoty, ale to dobra kobieta, zapewniam pana... Napewnoby się panu przydała, gdyby pan chciał być być rozsądniejszy. Niechże pan zechce zauważyć: biorę z biurka tę oto pięcio-procentową obliga-

cję (widzi pan ile ich mam jeszcze!), pójdzie dziś do wymiany. Widział pan? Niema co tracić więcej czasu. Zamyka się biurko, zamyka się mieszkanie i znowu jesteśmy na schodach. Chce pan, weźmiemy dorożkę? Jadę przecież na Wyspy. Może pan się przejedzie? Biorę tę dorożkę na Ełagińską Wyspę, co? Nie chce pan? Nie wytrzymał pan, sprzykrzyło się panu? Nic nie szkodzi, przejedziemy się. Deszcz zdaje się będzie padał, nic nie szkodzi, spuścimy budę...

Swidrygajłow siedział już w dorożce. Raskolnikow uznał, że przynajmniej w danym momencie, niema powodów do podejrzeń. Nie mówiąc ani słowa, odwrócił się i poszedł w drugą stronę, do Siennej. Gdyby się był choć raz obejrzał, to zdążyłby zauważyć, że Swidrygajłow przejechawszy niespełna sto kroków, zapłacił dorożkarzowi i znalazł się na chodniku. Lecz Raskolnikow nie widział tego i skręcił już za róg. Czuł głęboki wstręt do Swidrygajłowa. „Czego ja się mogłem, choć przez chwilę, spodziewać po tym ordynarnym łotrze, lubieżnym rozpustniku i podlecu!“ — krzyknął mimowoli. Opinję swą, coprawda, wypowiedział Raskolnikow zbyt pospiesznie i lekkomyślnie. W całem zachowaniu się Swidrygajłowa było coś, co nadawało mu conajmniej pewną oryginalność, jeżeli nie tajemniczość. Co zaś się tyczyło jego siostry, to Raskolnikow był jednak zupełnie pewny, że Swidrygajłow nie zostawi jej w spokoju. Ale nie miał już sił i ochoty, żeby o tem wszystkiem myśleć i zastanawiać się!

Zostawszy sam, uszedłszy dwadzieścia kroków, jak zwykle zamyślił się głęboko. Wszedł na most, oparł się o poręcz i patrzał na wodę. A tymczasem, za nim stała Awdotja Romanowna.

Minął ją, wchodząc na most, i nie zauważył. Dunia, która jeszcze nie widziała brata tak wyglądajęcego na ulicy, była wprost przerażona. Zatrzymała się, nie wiedząc, czy go zawołać, czy nie. Nagle zauważyła szybko nadchodzącego od strony Siennej Swidrygajłowa.

Nie dochodząc do mostu Swidrygajłow zatrzymał się, i stanął na uboczu, starając się, by go Raskolnikow nie zobaczył. Dunię zauważył odrazu i zaczął dawać jej znaki.

Wydało jej się, że prosił ją znakami, aby nie wołała brata i nie zbliżała do niego, przywoływał ją do siebie.

Dunia tak właśnie zrobiła. Ostrożnie minęła brata i podeszła do Swidrygajłowa.

— Chodźmy prędzej, — szepnął jej. — Nie chcę, aby Rodjon Romanowicz wiedział o naszem spotkaniu. Uprzedzam panią, że siedziałem z nim w traktjerni, niedaleko stąd. Sam mnie tam odszukał i ledwo go się pozbyłem. Nie wiem, skąd wie o moim liście do pani i coś podejrzewa. Pani chyba mu o tem nie powiedziała? Więc kto?

— Jesteśmy już za rogiem, — przerwała Dunia, — brat nie może już nas zobaczyć. Oświadczam, że dalej z panem nie pójdę. Tutaj może mi pan wszystko powiedzieć, na ulicy.

— Po pierwsze, — tego na ulicy w żaden sposób powiedzieć nie można, po drugie — powinna pani wysłuchać również i Sofję Semenownę, po trzecie — pokażę pani pewne dokumenty... Wreszcie, jeżeli pani nie zgodzi się iść do mnie, to ja odmawiam wszelkich wyjaśnień i natychmiast odchodzę. Przytem, niech pani nie zapomina, że bardzo interesująca tajemnica pani ukochanego braciszka znajduje się całkowicie w mojem ręku.

Dunia stała niezdecydowana i patrzała przenikliwie na Swidrygajłowa.

— Czego się pani boi! — zauważył spokojnie. — Miasto to nie wieś. I na wsi pani mnie raczej wyrządziła większą krzywdę, niż ja pani, a tutaj...

— Czy Sofja Semenowna jest uprzedzona?

— Nie, nic jej nie wspominałem i nawet nie jestem pewny, czy jest teraz w domu. Zresztą, pewno jest. Chowała dziś swoją krewną, więc chyba nie poszła z wizytami. Do czasu, nie chcę nikomu o tem mówić i robię sobie nawet wyrzuty, że pani powiedziałem. Najmniejsza nieostrożność równa się tu doniesieniu. Mieszkam tutaj, w tym domu, do którego się zbliżamy. To jest stróż tego domu, zna mię bardzo dobrze, o, kłania się. Widzi, że idę z damą i napewno zdążył zauważyć, jak pani wygląda, a to może się pani przydać, jeżeli się pani bardzo boi i podejrzewa mnie.

Przepraszam, że wyrażam się trochę ostro. Odnajmuję pokój od lokatorów, Sofja Semenowna, moja sąsiadka przez ścianę, również. Całe to piętro pełne jest lokatorów. Czego się pani lęka, jak dziecko? Czy naprawdę jestem taki straszny?

Swidrygajłow uśmiechnął się pobłażliwie, ale wcale nie miał już chęci do śmiechu. Serce mu biło i oddech zamierał w piersi. Umyślnie mówił głośniej, by ukryć swe wzrastające zdenerwowanie, którego zresztą Dunia wcale nie zauważyła, oburzona jego uwagą, że się go boi, jak dziecko.

— Chociaż wiem, że pan jest człowiekiem... bez czci i wiary, ale nie boję się pana zupełnie. Niech pan idzie naprzód, — powiedziała spokojnie, choć twarz jej była bardzo blada.

Swidrygajłow zatrzymał się u drzwi mieszkania Soni.

— Pozwoli pani, że zobaczę, czy jest w domu... Niema. Szkoda! Ale wiem, że powinna niedługo wrócić. Wyjść mogła tylko do pewnej damy, w sprawie swoich sierot. Matka ich umarła... I w to się wplątałem, zająłem się. Gdyby Sofja Semenowna nie wróciła w ciągu dziesięciu minut, to przyślę ją dziś jeszcze do pani, jeśli pani sobie życzy. Oto moje mieszkanie, te dwa pokoje. Za temi drzwiami mieszka moja gospodyni, pani Resslich. Teraz, niech pani wejdzie tutaj, pokażę pani moje najważniejsze dokumenty: z mojej sypialni te oto drzwi prowadzą do dwuch pustych pokojów, które są do wynajęcia. To są właśnie one... temu powinna się pani uważniej przyjrzeć...

Swidrygajłow zajmował dwa, dosyć obszerne, umeblowane pokoje. Dunia przyglądała się z niedowierzaniem, ale nie zauważyła nic specjalnego, ani w urządzeniu, ani w rozkładzie pokojów. A jednak możnaby było na coś niecoś zwrócić uwagę, choćby, naprzykład, na to, że pokoje Swidrygajłowa mieściły się pomiędzy dwoma prawie niezajętemi mieszkaniami. Wejście było nie wprost z korytarza, lecz przez dwa, niemal puste, pokoje gospodyni. Z sypialni zaś Swidrygajłow, otworzywszy drzwi z klucza, pokazał Duni również pusty pokój do wynajęcia. Dunia stała na progu, nie rozumiejąc w jakim celu pokazuje jej to, Swidrygajłow pośpieszył z wyjaśnieniem.

— Niech pani spojrzy na ten drugi duży pokój. Widzi pani te drzwi, zamknięte na klucz? Przy drzwiach stoi krzesło, jedno jedyne krzesło w obu pokojach. Przyniosłem je od siebie, żeby było wygodniej słuchać. Zaraz za temi drzwiami stoi stół Sofji Semenowny, przy którym ona rozmawiała z Rodionem Romanowiczem. A ja, siedząc na krześle, podsłuchiwałem przez dwa wieczory z rzędu, za każdym razem po dwie godziny. Mogłem chyba się czegoś dowiedzieć, jak pani sądzi?

— Pan podsłuchiwał?

— Tak, podsłuchiwałem. Teraz wróćmy do mnie, tutaj niema nawet na czem usiąść.

Zaprowadził Awdotję Romanownę do swego pierwszego pokoju, służącego za salon. Poprosił ją, żeby usiadła, sam usiadł przy drugim końcu stołu, przynajmniej na sążeń od niej. Prawdopodobnie w oczach miał już ten płomień, który w swoim czasie tak przerażał Dunię, drgnęła bowiem i raz jeszcze obejrzała się niespokojnie. Był to gest mimowolny, nie chciała zdradzać swego niedowierzania. Jednak izolowane położenie mieszkania Swidrygajłowa uderzyło ją wreszcie. Miała ochotę zapytać się, czy przynajmniej gospodyni jest w domu, lecz duma nie pozwoliła jej na to. Zresztą, coś innego bardziej ją niepokoiło, nie lęk o siebie. Cierpiała bardzo.

— Oto pański list, — zaczęła, kładąc list na stole. — Czy to prawda, co pan napisał? Pan napomyka o przestępstwie, dokonanem jakoby przez mego brata. Zbyt wyraźnie pan napomyka, aby pan ośmielił się teraz zaprzeczać. Zatem, niech pan wie, że już przedtem słyszałem o tej głupiej bajdzie i nie uwierzyłam w nią, ani przez chwilę. To podłe i śmieszne podejrzenie. Wiem dlaczego i skąd to się wzięło. Nie może pan mieć żadnych dowodów. Obiecał pan dowieść: proszę bardzo! Ale zgóry uprzedzam, że nie wierzę panu! Nie wierzę!...

Dunia powiedziała to jednym tchem i na chwilę krew uderzyła jej do twarzy.

— Gdyby mi pani nie wierzyła, toby pani chyba nie zaryzykowała przyjść tu do mnie sama? Po co pani przyszła? Tylko przez ciekawość?

— Niech pan mnie nie męczy, niechże pan mówi, mówi!

— Niema co mówić, odważna z pani dziewczyna. Słowo honoru, myślałem, że pani weźmie ze sobą pana Razumichina. Ale nie było go ani z panią, ani w pobliżu — oglądałem się: to dzielnie, chciała pani oszczędzić Rodiona Romanowicza. Zresztą, wszystko w pani jest boskie... Co zaś do pani brata, to co ja mam pani powiedzieć? Widziała go pani sama przed chwilą. No co, jak wygląda?

— Chyba nie opiera się pan tylko na jego wyglądzie?

— Nie, nie na wyglądzie, lecz na jego własnych słowach. Był przez dwa wieczory z rzędu u Sofji Semenowny. Pokazywałem pani gdzie siedzieli. Wyznał jej wszystko. Jest mordercą. Zabił staruszkę, wdowę po urzędniku, lichwiarkę, u której sam również pożyczał pod zastaw. Zabił również jej siostrę, handlarkę Lizawietę, która weszła przypadkiem, gdy zabijał tamtą. Zabił je przyniesioną przez siebie siekierą. Zabił dla rabunku i obrabował je. Wziął pieniądze i jeszcze jakieś rzeczy... Słowo w słowo opowiadał to Sofji Semenownie, ona jedna zna tajemnicę, ale w zabójstwie nie brała udziału, przedtem nie wiedziała o niczem i przeraziła się, gdy o niem usłyszała, tak jak pani teraz. Może być pani spokojna, że ona go nie zdradzi.

— To niemożliwe! — bełkotała Dunia zbielałemi ustami. Dławiło ją w gardle. — Nie może być, niema żadnego, najmniejszego powodu, żadnej racji. To kłamstwo, kłamstwo!

— Rabunek, to jest powód. Zabrał pieniądze i rzeczy. Nie skorzystał, co prawda, jak mówił, ani z rzeczy, ani z pieniędzy, lecz ukrył je gdzieś pod kamieniem i leżą tam dotychczas. Ale to dlatego, że bał się z nich skorzystać.

— To nieprawdopodobne, żeby on mógł kraść, rabować! Żeby mógł choćby pomyśleć o tem! — zawołała Dunia, zrywając się z krzesła. — Przecież pan go zna, widział go pan? Czy on może być złodziejem?

Zapomniała o strachu, wprost jakby błagała Swidrygajłowa.

— Zdarzają się rozmaite rzeczy, proszę pani, różne bywają kombinacje. Złodziej kradnie i sam przytem wie, że jest łotrem, a ja znowu słyszałem o pewnym porządnym człowieku, który obrabował pocztę. Może ten naprawdę myślał, że dobrze robi! Naturalnie, gdybym był słyszał od kogoś trzeciego, to możebym nie uwierzył, tak jak pani. Ale własnym uszom uwierzyłem. On tłumaczył Sofji Semenownie również powody swego czynu i ona z początku długo własnym uszom wierzyć nie chciała. A przecież on sam jej mówił.

— Jakież... to były przyczyny?

— To długa historja, proszę pani. To jest, jakby tu pani powiedzieć, swojego rodzaju teorja, coś podobnego, jak ja, naprzykład, uważam, że jednostka może popełnić zbrodnię, o ile ona prowadzi do dobrego celu. Jedna zbrodnia i sto dobrych uczynków. Niby to prawda, że młodego człowieka, bardzo zdolnego i nadzwyczajnie ambitnego, może boleć i drażnić świadomość, że jakieś trzy tysiące stanowią o jego całej karjerze i przyszłości i tych właśnie trzech tysięcy mu brak. Niech pani doda do tego zdenerwowanie z głodu, złego mieszkania, wkuwania się, ze świadomości swego społecznego stanowiska. A przytem sytuacja matki i siostry. Przedewszystkiem zaś zarozumiałość, duma i zarozumiałość. Kto go tam wie, zresztą, może przy dobrych skłonnościach... Ja go przecież nie winię, niech pani nie myśli, to nie moja rzecz. On miał również swoją teoryjkę, taka sobie teorja, która dzieli ludzi, widzi pani, na glinę i na ludzi specjalnych, to jest takich, których nietylko prawo nie obowiązuje, ale którzy układają je dla pozostałych, dla tej gliny, tych śmieci. Niczego sobie teoryjka: une theorie comme une autre. Ogromnie się interesuje Napoleonem, to jest właściwie, interesuje go to, że wielu genjalnych ludzi nie obchodziło zupełnie zło indywidualne i przechodzili ponad niem bez wahania. Zdaje się, że wyobraził sobie, że i on jest genjuszem, przynajmniej był tego przez czas jakiś pewny. Bardzo cierpiał i cierpi na myśl, że potrafił stworzyć teorję, a nie umiał przejść ponad złem bez wahania, skąd wniosek, że nie jest genjuszem. No, a to jest poniża-

jąca świadomość dla zarozumiałego młodzieńca, zwłaszcza w naszych czasach.

— A wyrzuty sumienia? Pan mu zatem zupełnie odmawia poczucia moralności? Czy on jest taki?

— Ach, Awdotjo Romanowno, teraz wszystko jest naopak. Zresztą, nigdy nie było w specjalnym porządku. Rosjanie to wogóle szerokie natury, szerokie, Awdotjo Romanowno, jak ich kraj. I nadzwyczajnie skłonni do wszystkiego, co jest fantastyczne, bezładne. Ale szeroka natura bez genjuszu daje złe rezultaty. Pamięta pani ile to razy na podobne tematy rozmawialiśmy zawsze po kolacji, siedząc wieczorami na tarasie w ogrodzie. Wyrzucała mi pani ustawicznie tę szeroką naturę, kto wie, może, gdy pani rozprawiała, on już to sobie obmyślał. U nas, w sferze ludzi wykształconych, niema przecież żadnych, szczególnie szanowanych tradycyj. Czasami ktoś stworzy je sobie z literatury... czy tam z książek sobie wykombinuje. Ale to są zwykle ludzie uczeni i przytem, wie pani, swego rodzaju niedołęgi, tak że dla światowego człowieka byłoby to wprost nieprzyzwoitością. Zresztą, zna pani moje poglądy. Nie mam zwyczaju winić kogokolwiek. Ja jestem sobie tylko sybaryta i trzymam się tego. Mówiliśmy o tem nieraz. Miałem nawet szczęście zainteresować panią swemi zasadami... Pani jest bardzo blada, Awdotjo Romanowno.

— Ja znam tę jego teorję. Czytałam w gazecie jego artykuł o ludziach, którym wszystko wolno... Razumichin mi pokazywał.

— Pan Razumichin? Artykuł pani brata? W gazecie? Jest taki artykuł? Nie wiedziałem. To musi być dopiero ciekawe! Pani dokąd idzie, Awdotjo Romanowno?

— Chciałabym zobaczyć Sofję Semenownę, — odezwała się słabym głosem Dunia. — Jak tu przejść do niej? Może już wróciła. Chcę koniecznie zaraz się z nią zobaczyć. Niech ona...

Nie mogła dokończyć, dusiła się.

— Sofja Semenowna wróci dopiero późno wiecze-

rem. Tak sądzę. Powinna była wrócić zaraz, o ile zaś nie przyszła, to znaczy...

— A więc ty kłamiesz! Rozumiem... kłamałeś... — wszystko skłamałeś!... Nie wierzę ci! Nie wierzę! — krzyczała Dunia, jak szalona, zupełnie tracąc głowę.

Osunęła się prawie zemdlona na podsunięte przez Swidrygajłowa krzesło.

— Awdotjo Romanowno, co się z panią dzieje, niech pani oprzytomnieje! Niech pani się napije wody...

Prysnął jej w twarz wodą. Dunia wzdrygnęła się i oprzytomniała.

— Mocne wrażenie to zrobiło! — mruknął do siebie Swidrygajłow, marszcząc się. — Niech się pani uspokoi! Wie pani, że on ma przyjaciół. Uratujemy go, ocalimy. — Chce pani, wywiozę go zagranicę? Mam pieniądze, w trzy dni będę miał bilet. A że zabił — zrobi jeszcze wiele dobrego i to się zrównoważy: niech pani będzie spokojna. Może być jeszcze wielkim człowiekiem. No, jak pani jest? Jak się pani czuje?

— Podły człowiek! Jeszcze drwi sobie. Proszę mnie puścić...

— Dokąd pani idzie? Dokąd pani chce iść?

— Do niego. Gdzie on jest? Czy pan nie wie? Dlaczego te drzwi są zamknięte? Tędy weszliśmy przecież, temi drzwiami, a teraz są zamknięte na klucz. Kiedy pan je zdążył zamknąć?

— Tego, o czemśmy mówili, nie można było wykrzykiwać na całe mieszkanie. Wcalę nie drwię, tylko sprzykrzyło mi się już mówić tym językiem. Dokąd pani tak pójdzie? Chce go pani wydać? Doprowadzi go pani do szaleństwa i sam się zadenuncjuje. Czy wie pani, że go śledzą, że już są na tropie? Niech pani czeka: widziałem go i mówiłem z nim niedawno. Jeszcze go można uratować. Niech pani poczeka, usiądzie, pomyślmy razem. Poto właśnie wzywałem panią, żeby pomówić o tem w cztery oczy i dobrze wszystko obmyślić. Niechże pani siada!

— W jaki sposób może go pan ocalić? Czy można go uratować?

Dunia usiadła. Swidrygajłow usiadł obok niej.

— Wszystko zależy od pani, od pani jednej, — zaczął prawie szeptem z błyszczącemi oczami, plącząc się i połykając często wyrazy, ze zdenerwowania.

Dunia, przestraszona, odsunęła się od niego. Swidrygajłow trząsł się.

— Pani... jedno pani słowo, a on jest uratowany! Ja... ja go ocalę. Mam pieniądze i przyjaciół. Wyślę go natychmiast, a sam wyrobię paszport, dwa paszporty. Jeden dla niego, drugi dla mnie. Mam przyjaciół, znam urzędników... Chce pani? Wyrobię paszport i dla pani... dla pani matki... poco pani Razumichin? Ja także panią kocham... Ja panią kocham bezgranicznie. Niech mi pani pozwoli rąbek swojej sukni ucałować, niech pani pozwoli! Niech pani pozwoli! Nie mogę słuchać szelestu pani sukni. Zrobię wszystko, co pani każe! Zrobię wszystko! Zrobię rzeczy niemożliwe! Uwierze w to, w co pani wierzy! — Zrobię wszystko, wszystko! Niech pani tak nie patrzy, niech pani tak nie patrzy na mnie! Czy pani wie, że pani mnie zabija...

Zaczął poprostu bredzić. Robił wrażenie człowieka, który nagle oszalał. Dunia zerwała się i rzuciła się do drzwi.

— Otworzyć! Proszę otworzyć! — wołała przez drzwi, szarpiąc je i wzywajac pomocy. — Otwórzcie! Czy tam niema nikogo?

Swidrygajłow oprzytomniał, podniósł się. Na drżących jeszcze ustach ukazał się uśmiech złośliwy i drwiący.

— Nikogo niema w domu, — powiedział cicho i dobitnie, — gospodyni wyszła, napróżno pani krzyczy i niepotrzebnie się denerwuje.

— Gdzie jest klucz? Otwórz natychmiast drzwi, zaraz, ty łotrze!

— Zgubiłem klucz i nie wiem, gdzie jest.

— Ach! To gwałt! zawołała Dunia i blada, jak trup, pobiegła do końca pokoju, by zastawić się stojącym tam stolikiem.

Nie krzyczaał, utkwiła spojrzenie w swoim dręczycielu i śledziła każde jego drgnienie. Swidrygajłow nie ruszał

się z miejsca i stał nawprost niej w drugim końcu pokoju. Opanował się już, przynajmniej pozornie, ale blady był, jak poprzednio. Nie przestawał się drwiąco uśmiechać.

— Powiedziała pani, Awdotjo Romanowno, że to gwałt. Skoro gwałt, to rozumie pani chyba, że przygotowałem wszystko odpowiednio. Sofji Semenowny niema w domu, do Kaparnaumowych jest bardzo daleko, dzieli nas pięć zamkniętych pokojów. Wreszcie, jestem dwa razy silniejszy od pani i przytem nie mam się czego obawiać, bo potem pani mnie przecież nie oskarży: chyba nie będzie pani chciała zdradzać brata? Nikt pani zresztą nie uwierzy: no bo z jakiej racji młoda dziewczyna poszłaby sama do mieszkania samotnego mężczyzny? A nawet gdyby pani poświęciła brata, to też nic pani nie wskóra: trudno jest dowieść gwałtu, Awdotjo Romanowno.

— A, podły! — szepnęła Dunia z oburzeniem.

— Jak pani sobie życzy, tylko proszę zauważyć, że narazie zrobiłem dopiero propozycję. Według mnie zaś, ma pani słuszność: gwałt to nikczemność. Szło mi tylko o to, by dowieść, że nie bedzie pani sobie miała nic do wyrzucenia, nawet gdyby... gdyby zechciała pani dobrowolnie uratować brata, w sposób przeze mnie proponowany. Poprostu uległaby pani okolicznościom, no, powiedzmy — sile, jeżeli już bez tego wyrazu nie można się obejść. Niech się pani zastanowi: losy pani brata i matki są w pani ręku. A ja będę pani niewolnikiem... całe życie... będę tutaj czekał...

Swidrygajłow usiadł na otomanie o osiem kroków od Duni. Ta nie wątpiła ani na chwilę w stanowczość jego decyzji. Znała go dobrze.

Nagle, wyjęła z kieszeni rewolwer, podniosła kurek i oparła rękę z rewolwerem na stoliku. Swidrygajłow zerwał się z miejsca.

— Aha, to to tak! — krzyknął zdumiony, uśmiechając się złośliwie. — No, to już zmienia postać rzeczy! Pani mi nadzwyczajnie ułatwia sytuację. A skąd pani wydostała rewolwer? Czy to nie pan Razumichin? Ba! Przecież to mój rewolwer! stary znajomy! A ja go kiedyś tak szu-

kałem!... Nasze lekcje strzelania, których miałem zaszczyt udzielać pani na wsi, nie poszły napróżno.

— To nie twój rewolwer, lecz Marty Pietrowny, którą zabiłeś, łotrze! Nic nie miałeś własnego w jej domu. Wzięłam go, gdy tylko zorjentowałam się, do czego jesteś zdolny. Ośmiel się zrobić chociaż jeden krok, a przysięgam, że cię zabiję!

Dunia wpadła w szał. Rewolwer trzymała w pogotowiu.

— A braciszek? Tak, przez ciekawość się pytam! — powiedział Swidrygajłow, wciąż jeszcze nie ruszając się z miejsca.

— Denuncjuj sobie, jeśli chcesz! Ani kroku! Nie rusz się! Strzelę! Otrułeś żonę, ja wiem, sam jesteś mordercą!...

— Pani jest zupełnie pewna, że ja otrułem Martę Pietrownę.

— Ty! Sam mi dawałeś do zrozumienia, tyś mi mówił o truciźnie... wiem, jeździłeś po nią... miałeś przygotowaną... To ty... Napewno ty... łotrze!

— Jeżeli to nawet prawda, to przez ciebie... jednak ty byłaś powodem.

— Łżesz! Ja cię zawsze nienawidziłam. Zawsze...

— Ehe, Awdotjo Romanowno! Zapomniała już pani, jak to w zapale propagandy miękła pani i już ulegała... Po oczętach widziałem, pamięta pani ten księżycowy wieczór, słowiki śpiewały?

— Łżesz (wściekłość błysnęła w oczach Duni), łżesz, oszczerco!

— Łżę? Niech będzie, że łżę. Skłamałem. Nie należy kobietom przypominać o takich rzeczach, — (uśmiechnął się). — Wiem, że strzelisz, prześliczne zwierzątko. No, strzelaj więc!

Dunia podniosła rewolwer i trupio-blada, z trzęsącą się dolną wargą, błyszczącemi wielkiemi czarnemi oczami patrzała nań, zdecydowana, oczekując na pierwszy ruch z jego strony. Nigdy nie wydawała mu się tak piękna. Płomienie jej oczu, gdy podnosiła rewolwer, paliły go po-

prostu, serce ściskało mu się boleśnie. Posunął się o krok i huknął strzał. Kula musnęła jego włosy i utkwiła w ścianie. Zatrzymał się i roześmiał cicho.

— A, ugryzła osa! Celuje prosto w głowę... Co to? krew!

Wyjął chusteczkę, żeby otrzeć krew, cienkim strumieniem spływającą mu wzdłuż prawej skroni. Prawdopodobnie kula drasnęła skórę na czaszce. Dunia opuściła rewolwer i przyglądała się Swidrygajłowi trochę z lękiem, trochę z niedowierzaniem. Zdawało się, że straciła świadomość tego, co zrobiła i co się dzieje.

— No i cóż, pudło! Niech pani strzela dalej, czekam, — spokojnie odezwał się Swidrygajłow, uśmiechając się ponuro. — No bo tak, to zdążę obezwładnić panią, nim pani podniesie kurek!

Dunia drgnęła, szybko podniosła kurek i wycelowała.

— Niech pan mi da spokój! — odezwała się z rozpaczą w głosie. — Przysięgam, że będę znowu strzelać... Ja... zabiję...

— No tak... o trzy kroki nie można chybić. Ale jak pani nie zabije... to wtedy...

Oczy mu błysnęły i zrobił jeszcze dwa kroki.

Dunia przycisnęła cyngiel, spaliło się na panewce!

— Niestarannie pani nabiła. Nic nie szkodzi! Ma tam pani jeszcze kapiszon. Niech pani poprawi, poczekam.

Stał o dwa kroki przed nią, czekał i patrzał na nią z dziką, namiętną stanowczością w oczach.

Dunia zrozumiała, że on raczej umrze, niż ją wypuści. „I... chyba go zabiję teraz, o dwa kroki"!...

Nagle, Dunia rzuciła rewolwer.

— Rzuciła! — odezwał się ze zdziwieniem Swidrygajłow i odetchnął głęboko.

Odrazu zrobiło mu się lżej na sercu, nie dlatego tylko, że opuścił go lęk przed śmiercią, nie lękał się właściwie przed chwilą. Pozbył się raczej innego uczucia ponurego i upakarzającego, z którego sam nie mógł sobie zdać sprawy. Podszedł do Duni i łagodnie objął ją w pół. Nie opierała się, lecz drżała, jak liść i patrzała na niego błagalnie. Chciał

coś powiedzieć, lecz krzywił tylko usta, a wyrazy więzły w ściśniętem gardle.

— Puść mnie! — błagalnym tonem powiedziała Dunia.

Swidrygajłow drgnął: tym razem to „ty" brzmiało inaczej.

— Więc nie kochasz? — zapytał cicho.

Dunia zrobiła przeczący ruch głową.

— I... nie możesz?... Nigdy? — szepnął z rozpaczą.

— Nigdy!

W duszy Swidrygajłowa rozegrała się straszna, milcząca walka. Trudno opisać spojrzenie, którem ją obrzucił. Opuścił ramię, odwrócił się, szybko odszedł do okna.

Przeszła chwila.

— Proszę klucz! (wyjął go z lewej kieszeni palta i położył na stole, nie odwracając się i nie patrząc na Dunię. — Proszę wziąć. Niech pani zaraz wyjdzie!...

Uporczywie patrzał przez okno.

Dunia podeszła do stołu i wzięła klucz.

— Prędzej! Prędzej! — powtarzał Swidrygajłow, ciągle jeszcze nie odwracając się i nie ruszając się z miejsca.

W tem „prędzej" wyraźnie brzmiało coś groźnego.

Dunia zrozumiała to, chwyciła klucz, rzuciła się do drzwi, otworzyła je szybko i wybiegła z pokoju. Po kilku chwilach, jak nieprzytomna, była już na ulicy i biegła w kierunku mostu.

Swidrygajłow stał jeszcze czas jakiś przy oknie, wreszcie odwrócił się powoli, obejrzał, przeciągnął ręką po czole. Żałosny, smutny, słaby uśmiech wykrzywił mu usta, uśmiech rozpaczy. Na dłoni zaschła krew. Spojrzał na nią z nienawiścią, umoczył ręcznik i obmył sobie skroń. Zauważył rewolwer, porzucony przez Dunię pod drzwiami. Podniósł go i obejrzał. Był to mały, kieszonkowy, trzystrzałowy rewolwer starego systemu. Zostały w nim jeszcze dwa naboje i jeden kapiszon. Można było dać jeszcze jeden strzał. Zastanowił się, włożył rewolwer do kieszeni, wziął kapelusz i wyszedł.

## VI

Cały wieczór do godziny dziesiątej Swidrygajłow spędził w różnych traktjerniach i spelunkach, przechodząc od jednej do drugiej. Natrafił gdzieś również na Katię, która śpiewała inną znowu piosenkę o tem, jak jakiś „łotr i tyran“

„Zaczął Katię całować“.

Swidrygajłow częstował Katię i kataryniarza, chórzystów, kelnerów, oraz dwuch jakichś pisarczyków. Zapoznał się z tymi pisarczykami głównie dlatego, że uderzyło go, że jeden z nich miał zakrzywiony nos w lewą, drugi zaś w prawą stronę. Zaciągnęli go wreszcie na jakąś zabawę ogrodową, gdzie zapłacił za nich wejście. Ogród składał się z mizernej trzy-letniej jodełki i trzech krzaczków. Prócz tego urządzony tam był „pawilon“, w rzeczywistości zaś szynk, w którym można było dostać również herbaty. Stało tam kilka zielonych stolików i krzeseł. Bardzo kiepski chór i jakiś pijany monachijski Niemiec, coś w rodzaju arlekina, z czerwonym nosem i nadzwyczajnie ponury, mieli bawić publiczność. Pisarczyki posprzeczali się z jakimiś innymi pisarczykami i omal nie doszło do bójki. Swidrygajłow wybrany został na arbitra. Godził ich przez cały kwadrans, ale uczynili taki wrzask, że trudno było cośkolwiek zrozumieć. W każdym razie można się było domyśleć, że jeden z nich ukradł coś i zdążył nawet sprzedać to na miejscu jakiemuś żydowi, który się zaraz nawinął, sprzedawszy zaś, nie chciał podzielić się ze swym kolegą. Wreszcie okazało się, że skradziono łyżeczkę do herbaty, należącą do „pawilonu“. Kradzież została zauważona i sprawa poczęła przyjmować nieprzyjemny obrót. Swidrygajłow zapłacił za łyżeczkę, wstał i wyszedł z ogrodu. Dochodziła godzina dziesiąta. Swidrygajłow przez cały wieczór nie pił ani kropli alkoholu i tylko w „pawilonie“ kazał sobie podać herbatę wyłącznie dla przyzwoitości zresztą. Wieczór był duszny i ponury. Około dziesiątej zebrały się wielkie chmury, zagrzmiało i deszcz lunął jak z cebra. Woda lała się formalnie strumieniami z nieba. Błyskało co chwila i można było przeliczyć do pięciu podczas trwania

każdej błyskawicy. Przyszedł do domu przemoknięty do nitki, zamknął się w pokoju, otworzył biurko, wyjął wszystkie pieniądze, zniszczył kilka papierów. Potem wsunął pieniądze do kieszeni, chciał początkowo zmienić ubranie, ale, spojrzawszy przez okno i słysząc deszcz i grzmoty, machnął ręką, wziął kapelusz i wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi. Poszedł wprost do Soni. Była w domu.

Nie była sama: dawała herbatę zgromadzonym około niej czworgu dzieciom Kapernaumowych. W milczeniu i z szacunkiem powitała Swidrygajłowa. Ze zdziwieniem patrzała na jego przemoczone ubranie, lecz nie odezwała się słowem. Dzieci w tej chwili uciekły w nieopisanym popłochu.

Swidrygajłow usiadł przy stole, prosił Sonię, by usiadła również. Nieśmiało czekała, co on jej powie.

— Wyjeżdżam prawdopodobnie do Ameryki, — powiedział Swidrygajłow, — i ponieważ widzimy się chyba po raz ostatni, chciałbym załatwić jeszcze pewne sprawy. Z tą damą zatem widziała się dziś pani? Wiem, co pani powiedziała, może pani nie powtarzać. (Sonia drgnęła i zaczerwieniła się). Takie już mają zwyczaje tego rodzaju typy. Co się tyczy siostrzyczek i braciszka pani, to z nimi sprawa jest naprawdę załatwiona i pieniądze, które się za nich należały, zostały przeze mnie wpłacone gdzie należy, w pewne ręce za pokwitowaniem. Zresztą, na wszelki wypadek, niech pani te kwity weźmie do siebie. Proszę, oto są! No, zatem to jest załatwione. Teraz, tu są trzy pięcio-procentowe obligacje, ogółem na sumę trzech tysięcy rubli. To niech pani weźmie dla siebie, dla siebie osobiście i niech to zostanie między nami, żeby nikt o tem nie wiedział, bez względu na to, co pani usłyszy. Przydadzą się pani, bo nie powinna pani żyć tak źle, jak dawniej, zresztą nie ma pani już wcale potrzeby.

— Tyle od pana dobrodziejstw doznałam, i sieroty i nieboszczka, — powiedziała pospiesznie Sonia, — że jeżeli dotychczas tak mało okazałam wdzięczności to... niech pan nie sądzi...

— Ach, niema o czem mówić, niech pani da spokój.

— A te pieniądze, bardzo panu jestem wdzięczna, ale przecież teraz są mi niepotrzebne. Ja na siebie samą zawsze zarobię, niech pan nie sądzi, że jestem niewdzięczna, ale jeżeli pan jest taki dobroczynny, to te pieniądze...

— Są dla pani, dla pani, Sofjo Semenówno i proszę bardzo bez długich rozpraw, bo nie mam nawet na to czasu. Przydadzą się pani. Rodion Romanowicz ma dwie drogi do wyboru: kula w łeb, albo Sybir. — (Sonia spojrzała na niego z przerażeniem i zadrżała). — Niech się pani uspokoi, wiem o wszystkiem, od niego samego, nie jestem plotkarz, nie powiem nikomu. Bardzo dobrze mu pani radziła wtedy, żeby się sam przyznał. Takby było lepiej dla niego. A jak mu dadzą Sybir — i pani za nim tam pojedzie? Przecież tak? Wszak tak? No, a zatem pieniądze się przydadzą. Jemu będą potrzebne, rozumie pani? Dając pani, jakbym jemu dawał. Prócz tego, słyszałem, przecież, że obiecała pani zapłacić dług Amalji Iwanownie. Że też pani, tak nierozważnie bierze na siebie ciągle jakieś kontrakty i zobowiązania? Przecież to Katarzyna Iwanówna została winna tej Niemce, a nie pani, trzeba było plunąć na Niemkę. W ten sposób pani sobie nie da rady w życiu. No więc, gdyby kto panią jutro, czy pojutrze o mnie zapytał (a będą panią pytali), to niech pani nie wspomina, że u niej byłem. Pieniędzy, broń Boże niech pani nie pokazuje i niech pani nie opowiada nikomu, że ja pani dałem! A teraz dowidzenia — (wstał z krzesła) — Rodionowi Romanowiczowi proszę się pokłonić. Ale, ale, niech pani da pieniądze choć tymczasem do schronienia panu Razumichinowi. Zna pani pana Razumichina? Naturalnie, musi go pani znać. To niezły chłopak. Niech mu pani odniesie jutro lub... kiedy będzie czas. A tymczasem proszę dobrze schować.

Sonia zerwała się z krzesła i patrzyła na niego przerażona. Miała wielką ochotę coś powiedzieć, o coś zapytać, ale nie śmiała i nie wiedziała jak zacząć.

— Jak to pan tak... jak to, pan teraz wyjdzie w taki deszcz?

— No, wybieram się do Ameryki, a deszczu mam się obawiać, che-che! Żegnam panią, kochanie! Niech pani będzie zdrowa i żyje długo, potrzebna pani innym. A praw-

da... niech pani powie panu Razumichinowi, że kazałem mu się kłaniać. Koniecznie proszę powtórzyć: Arkadjusz Swidrygajłow kazał się panu pokłonić. Bardzo proszę o tem pamiętać.

Wyszedł, zostawiwszy Sonię zdumioną, przerażoną i pełną niewyraźnych, złych przeczuć.

Potem okazało się, że tego samego wieczora, o godzinie dwunastej w nocy, Swidrygajłow złożył jeszcze jedną bardzo ekscentryczną i niespodziewaną wizytę. Deszcz nie przestał padać. Cały przemoczony przyszedł na dwadzieścia minut przed dwunastą do małego mieszkanka rodziców swej narzeczonej, na Małym bulwarze, na wyspie Wasiljewskiej. Ledwo się dostukał do nich i początkowo wywołał wielki popłoch. Ale Arkadjusz Iwanowicz, kiedy chciał, potrafił być nader ujmujący, tak że pierwotne (jakkolwiek zresztą bardzo dowcipne) przypuszczenie rodziców narzeczonej, że upił się gdzieś do utraty przytomności, upadło samo przez się. Sparaliżowanego rodzica wyciągnęła do Swidrygajłowa na fotelu czuła, a rozsądna rodzicielka i natychmiast, jak to było w jej zwyczaju, rozpoczęła wypytywać go ostrożnie i z daleka, (kobieta ta nigdy nie zadawała bezpośrednich pytań). Zaczynała od uśmieszków, pocierania rąk, a potem, gdy chciała koniecznie dowiedzieć się napewno na kiedy, naprzykład, Swidrygajłow zamierza wyznaczyć ślub, to zarzucała go gorączkowemi pytaniami o Paryż, o tamtejsze stosunki dworskie i później dopiero, po kolei dochodziła do Wasiljewskiej wyspy i Małego bulwaru. Zwykle wzbudzało to naturalnie wielki respekt, ale tym razem Swidrygajłow zdradzał jakieś szczególne zniecierpliwienie i kategorycznie zażądał natychmiastowego widzenia się z narzeczoną, jakkolwiek zawiadomiono go na wstępie, że panienka już śpi. Rozumie się, że narzeczona się zjawiła. Swidrygajłow oświadczył jej bez ogródek, że w pewnej bardzo ważnej sprawie musi na czas dłuższy wyjechać z Petersburga i dlatego przyniósł jej piętnaście tysięcy rubli w różnych papierach wartościowych, dawno już bowiem zamierzał ofiarować jej tę drobnostkę przed ślubem. Wyjaśnienie to nie wykazało wprawdzie szczególnie logicznego związku pomiędzy wyjazdem a prezentem i koniecznością ofiarowania go o półno-

cy, w ulewę, ale zostało przyjęte nader przychylnie. Najkonieczniejsze ach! i och!, pytania i zdumienie odbyły się nawet w nader umiarkowanych rozmiarach, zato wdzięczność była ogromnie gorąca i poparta łzami czułej, a rozsądnej matki. Arkadjusz Iwanowicz wstał, roześmiał się, poklepał narzeczoną po policzku, powtórzył, że wróci niedługo i, zauważywszy w jej oczach, prócz dziecinnej ciekawości, jakieś bardzo poważne pytanie, zamyślił się i pocałował ją znowu. Był w duszy szczerze zły, że jego podarunek przejdzie natychmiast pod opiekę najrozsądniejszej z matek. Wyszedł zostawiwszy całą rodzinę w niezwykłem podnieceniu. Czuła mamusia natychmiast jednym tchem, szeptem wyjaśniła pewne ważniejsze wątpliwości, a mianowicie, że Arkadjusz Iwanowicz to wielki człowiek, ma na głowie ważne sprawy, jest ustosunkowany, bogaty. Bóg wie, jakie on ma plany, postanowił sobie i wyjechał, a że dał pieniądze, więc niema się czemu dziwić. Naturalnie, trochę to dziwne, że przyszedł taki przemoczony, ale Anglicy są jeszcze bardziej ekscentryczni, a zresztą wszyscy ludzie z wyższej sfery nie zwracają uwagi na to, co o nich powiedzą i są bezceremonjalni. A może on nawet umyślnie tak chodzi, żeby pokazać, że się niczego nie lęka. Najważniejsze zaś, żeby nikomu nic nie mówić, bo Bóg wie co z tego może jeszcze wyniknąć, a pieniądze trzeba jaknajprędzej schować. A co się już najlepiej stało, to to, że kucharka była cały czas w kuchni, głównie zaś, żeby za nic, za nic nie wspominać ani słowa tej szelmie Resslich i tak dalej. Naradzano się i szeptano do drugiej w nocy. Narzeczona zresztą, poszła spać znacznie wcześniej, zdumiona tem wszystkiem i trochę smutna.

Tymczasem Swidrygajłow o samej północy przeszedł most N—ski w kierunku dzielnicy Petersburskiej. Deszcz nie padał już, lecz dął wiatr. Swidrygajłowa przechodziły dreszcze, przez chwilę ze szczególną ciekawością patrzał na czarną wodę małej Newy. Lecz zimno mu było stać nad wodą, odwrócił się więc i poszedł nad bulwar N—ski. Szedł długim bulwarem prawie pół godziny, potykał się nieraz na drewnianym chodniku, lecz nie przestawał wypatrywać czegoś z ciekawością po prawej stronie bulwaru.

Kiedyś przejeżdżając tędy, zauważył pewien obszerny, drewniany hotel, który o ile przypominał sobie, nosił nazwę „Adrjanopol". Nie mylił się: hotel ten na tem pustkowiu był budową tak rzucającą się w oczy, że trudno jej było nie zauważyć nawet w ciemnościach. Był to długi, poczerniały budynek, mimo późnej godziny oświetlony jeszcze i dosyć ożywiony. Swidrygajłow wszedł i zapytał o pokój spotkanego na korytarzu oberwusa. Oberwaniec obejrzał go i zaprowadził do ciasnego, dusznego numeru, na samym końcu korytarza, w kącie pod schodami. Innego pokoju nie było— wszystkie były zajęte. Oberwus spojrzał pytającym wzrokiem.

— Herbata jest?—Zapytał Swidrygajłow.

— Może być.

— Co jeszcze?

— Cielęcina, wódka, przekąska.

— Przynieś cielęcinę i herbatę.

— Nic więcej pan sobie nie życzy?—zapytał ze zdziwieniem oberwus.

— Nie, nic!

Oberwaniec odszedł, zupełnie rozczarowany.

„To musi być dopiero dobry zakład, — pomyślał Swidrygajłow, — że też tu dotychczas nie byłem. Zresztą muszę mieć wygląd gościa, który wraca z café-chantan'u, a po drodze również miał przygody. Ciekawe, kto też tu bywa i nocuje"?

Zapalił świecę i obejrzał dokładnie pokój. Była to klitka o jednem oknie, tak mała, że poprostu ledwie się w niej mógł poruszać, pościel na łóżku była niesłychanie brudna, zwyczajny malowany stół i krzesło zajmowały niemal całą przestrzeń poza łóżkiem. Ściany wyglądały jak zbite z desek, obicia były tak zniszczone i zakurzone, że chociaż było można jeszcze rozpoznać ich dawny kolor (żółty), ale deseń był już zupełnie niewidoczny. Część ściany i sufitu była przecięta na ukos, jak zwykle w mansardach, lecz tutaj nad ukosem znajdowały się schody. Swidrygajłow postawił świecę, usiadł na łóżku i zamyślił się. Dziwny, nieustanny szept, w sąsiednim pokoju, dochodzący chwilami do krzyku, zwrócił wreszcie jego uwagę. Szept

ten nie urywał się od chwili, gdy wszedł do numeru. Zaczął nadsłuchiwać: ktoś wymyślał i robił wyrzuty drugiemu, słychać było tylko jeden głos. Swidrygajłow wstał, zasłonił ręką świecę — na ścianie błysnęła szpara, podszedł i spojrzał. W pokoju, większym nieco od zajmowanego przezeń, było dwuch gości. Jeden z nich, bez marynarki, o bardzo kędzierzawej głowie i czerwonej, rozpalonej twarzy, stał w oratorskiej pozie, szeroko rozstawiwszy nogi dla zachowania równowagi. Bił się pięścią w piersi i patetycznie wyrzucał drugiemu, że tamten jest nędzarzem, bez rangi, że on go wyciągnął z błota i może go wypędzić i, że to wszystko widzi oko Opatrzności. Poniewierany przyjaciel siedział na krześle i wyglądał jak człowiek mający ogromną ochotę kichnąć i któremu to się w żaden sposób nie udaje. Od czasu do czasu spoglądał na mówcę baranim, mętnym wzrokiem, ale widoczne było, że nie wie o co idzie i prawdopodobnie nawet nie słyszy. Na stole dopalała się świeca, stała prawie opróżniona karafka z wódką, kieliszki, chleb, szklanki, ogórki i czajnik po herbacie. Przyjrzawszy się uważnie temu wszystkiemu, Swidrygajłow odszedł od szpary i obojętnie usiadł na łóżku.

Oberwus przyniósł herbatę i cielęcinę i nie mógł się powstrzymać od zapytania raz jeszcze, czy „nie będzie czegoś jeszcze potrzeba“? Dowiedziawszy się, że nie, odszedł wreszcie. Swidrygajłow rzucił się na herbatę, żeby się rozgrzać, wypił szklankę, ale nie mógł się zmusić do zjedzenia choćby kawałka mięsa, — stracił zupełnie apetyt. Zaczął widocznie gorączkować. Zdjął palto, marynarkę, owinął się kołdrą i położył się do łóżka. Zły był na siebie: „w tej chwili lepiejby było, gdybym był zdrów“, pomyślał i uśmiechnął się. W pokoju było duszno, świeca dawała zamglone światło, za oknem szumiał wiatr, gdzieś w kącie chrobotała mysz, w całym pokoju zresztą czuć było myszami i stęchłą skórą. Swidrygajłow leżał i jakby majaczył, myśli mu się plątały. Czuł wielką ochotę zatrzymania na czemśkolwiek swej wyobraźni. „Za oknem musi być jakiś ogród,—myślał,—szumią liście drzew. Nie lubię szumu liści w nocy, w ciemności, podczas burzy, to nieprzyjemne wrażenie“! Przypomniał sobie, jak mijał poprzednio Pio-

trowski park i pomyślał o nim ze wstrętem, przypomniał sobie również małą Newę i poczuł chłód, jak wtedy, gdy stał nad wodą. „Nigdy w życiu nie lubiłem wody, nawet w krajobrazie“ — pomyślał i uśmiechnął się do dziwnej myśli: „Komfort i estetyka powinnyby być mi teraz przecież obojętne, a właśnie teraz zacząłem być wybredny, jak zwierz, który wybiera sobie starannie miejsce... w podobnym wypadku. Właśnie powinienem był wtedy iść przez park Piotrowski! Cóż to, zląkłem się ciemności i chłodu, che, che! Zachciało mi się niemal przyjemnych wrażeń!... A propos, dlaczego nie zgasiłem świecy? (zgasił światło). U sąsiadów już śpią, nie widać światła przez szparę. I cóż, Marto Pietrowno, możeby się pani teraz ukazała: jest ciemno, miejsce odpowiednie i moment ciekawy. A przecież właśnie teraz nie przyjdziesz“.

Niewiadomo dlaczego przypomniał sobie nagle, jak na godzinę przed widzeniem się z Dunią polecił Raskolnikowowi oddać ją pod opiekę Razumichinowi. „W rzeczywistości to właściwie dla brawury to wtedy powiedziałem, jak słusznie domyślił się Raskolnikow. To szelma jednak ten Raskolnikow! Ładną historję ściągnął sobie na głowę. Może zostać z czasem wielkim łotrem, kiedy zmądrzeje, teraz zabardzo jeszcze rwie się do życia. Jeżeli o to chodzi, to ludzie są tacy podli. Zresztą, niech go djabli wezmą, niech sobie robi, co chce, co mnie to obchodzi“.

Nie mógł zasnąć. Powoli obraz Duni zamajaczył przed jego oczyma, przeszedł go dreszcz. „Nie, z tym trzeba już skończyć“, pomyślał, ocknąwszy się, trzeba myśleć o czemś innem. Jakie to dziwne i śmieszne: do nikogo nigdy nie żywiłem szczególnej nienawiści, nawet mścić się nigdy mi się nie chciało, a to zły znak, zły znak, zły znak. Nie lubiłem się również kłócić i nie unosiłem się nigdy — to także zły znak. A czego ja jej wtedy nie naobiecywałem — tfu, do djabła! A możeby jednak udało się jej przerobić mnie“... Zacisnął zęby: znowu zjawiła się przed nim Dunia jak żywa, z tym samym wyrazem twarzy, jaki miała w chwili, gdy wystrzeliwszy po raz pierwszy, zlękła się, opuściła rewolwer, i zmartwiała, patrząc na niego. Mógł ją wtedy z łatwością schwytać, nie ruszyłaby nawet ręką

w swojej obronie, gdyby sam nie przypomniał jej o tem. Przypomniał sobie, że w tej chwili zrobiło mu się jej żal, serce mu się ścisnęło... „E—ch do djabła! Znowu te same myśli, trzeba z tem skończyć, skończyć“!...

Zasypiał, gorączkowe dreszcze przestały nim wstrząsać. Nagle zdawało mu się, że coś przebiegło po nim pod kołdrą, po ręce i nodze. Drgnął: „Tfu, do djabła! To chyba mysz“!—pomyślał. — „Zostawiłem cielęcinę na stole“... Strasznie nie chciało mu się ściągnąć kołdry, wstać, ziębnąć, ale coś znowu szybko przebiegło mu po nodze. Zerwał z siebie kołdrę i zapalił świecę. Drżąc gorączkowo, nachylił się i obejrzał pościel—nic nie znalazł. Wstrząchnął kołdrę i na prześcieradło wyskoczyła mysz. Chciał ją złapać, ale mysz biegała wciąż zygzakami po łóżku, wymykała mu się z palców, przebiegała po ręce i wreszcie wślizgnęła się pod poduszkę. Zrzucił poduszkę, lecz w tej samej chwili poczuł, że coś wskoczyło mu za koszulę i łaskocze po plecach. Wzdrygnął się nerwowo i obudził się. W pokoju było ciemno, leżał na łóżku, zawinięty w kołdrę. Za oknem wył wiatr. „Co za świństwo“! — pomyślał ze złością.

Podniósł się i usiadł na brzegu łóżka, odwrócony plecami do okna „Lepiej wcale nie spać,“ — postanowił. Od okna powiało chłodem i wilgocią. Owinął się kołdrą, nie zapalił świecy. Nie myślał o niczem i nawet nie chciał myśleć. Majaki ukazywały mu się jeden po drugim, po głowie błądziły mu strzępy myśli, bez początku, końca i związku. Zapadał w drzemkę. Niewiadomo, czy to chłód, ciemności, wilgoć, czy wiatr, wyjący za oknem i kołyszący drzewami, wywoływały w nim to fantastyczne pragnienie, ale ciągle ukazywały mu się kwiaty. Przed oczyma stanął mu prześliczny, kwitnący krajobraz: jasny, ciepły, niemal upalny dzień, dzień świąteczny, dzień Zielonych Świątek. Zamożny, wspaniały, wiejski cottage, w angielskim stylu, otoczony klombami pachnących kwiatów, ganek opleciony pnącemi roślinami, okolony krzakami róż, zalane słońcem schody, zasłane wspaniałym dywanem, obstawione rzadkiemi kwiatami w chińskich wazonach. Zwrócił zwłaszcza

uwagę na stojące w oknach w wazonach więzie delikatnych, białych narcyzów, gnących się na jaskrawo-zielonych soczystych wysmukłych łodygach i rozsiewających silny, aromatyczny zapach. Nie mógł oderwać się od nich, przeszedł jednak schody i wszedł do wysokiego, wielkiego salonu, w którym również pełno było kwiatów. Stały wszędzie na oknach, u wejścia na taras i na samym tarasie. Podłogi zasypane były świeżo skoszoną, pachnącą trawą, przez otwarte okna przenikał lekki, świeży, chłodny powiew. Ptaki świergotały pod oknami, a na środku salonu stała trumna na katafalku, pokrytym białym atłasem. Trumna obita była białą materją jedwabną i oszytą gęstą białą koronką tiulową. Girlandy kwiatów owijały ją. Leżała w niej dziewczynka, zasypana kwiatami, w białej tiulowej sukni, ze złożonemi na piersi rękoma, jakby wytoczonemi z marmuru. Jej rozplecione włosy, włosy jasnej blondynki były mokre, wianek z róż okalał jej skronie. Surowy i już skostniały jej profil wyglądał również jak wykuty w marmurze, ale uśmiech na bladych ustach miał wyraz jakiejś zupełnie nie dziecinnej, bezgranicznej goryczy i wielkiej skargi. Swidrygajłow znał tę dziewczynkę. Nie było ani krzyża, ani świec zapalonych u tej trumny, nie słychać było słów modlitwy: ta dziewczynka była samobójczynią, topielicą. Miała dopiero czternaście lat i już rozbite serce. Poszło ono na zatracenie, złamane krzywdą, która przeraziła i zdziwiła tę młodą, dziecięcą świadomość, zalała niezasłużoną hańbą jej anielsko-czystą duszę i wyrwała ostatni krzyk rozpaczy. Krzyk, który nie doszedł nikogo, lecz został podle zdławiony w ciemną noc, na zimnie, w wilgotną odwilż, kiedy wył wiatr...

Swidrygajłow ocknął się, wstał z łóżka i podszedł do okna, poomacku odnalazł zasuwkę i otworzył je. Wiatr wdarł się do jego ciasnej komórki i jakby mroźnym szronem przysypał mu twarz i pierś okrytą tylko koszulą. Pod oknem rzeczywiście było coś w rodzaju ogrodu i, zdaje się nawet, rozrywkowego. Prawdopodobnie we dnie śpiewał tam chór i podawano herbatę. Teraz z drzew i krzaków padały w okno krople deszczu, było ciemno, jak w piwnicy, tak, że z trudem rozróżnić można było tylko ciemne masy,

zdradzające obecność jakichś przedmiotów. Swidrygajłow nachylony, oparty rękami o parapet, przez pięć minut patrzał w mgłę. Wśród nocnych cieniów rozległ się nagle armatni wystrzał, potem drugi.

„Acha, sygnał! Rzeka przybiera“ — pomyślał. — „Nad ranem woda zaleje niżej położone miejsca, piwnice i suteryny i potopi szczury piwniczne. Wśród deszczu i wiatru przemoczeni ludzie, wymyślając, poczną przenosić swe śmieci na wyższe piętra. A która to może być teraz godzina?“ W chwili gdy to pomyślał, gdzieś blisko, jakby w pośpiechu, zegar ścienny uderzył trzy razy. „A-a, za godzinę będzie już dniało! Naco mam czekać? Wyjdę zaraz, pójdę prosto do Piotrowskiego parku: wyszukam sobie jakiś wielki krzak, zroszony deszczem tak, że ledwo go dotknąć ramieniem miljony kropel posypią się na głowę...“ Odszedł do okna, zamknął je, zapalił świecę, włożył marynarkę, palto, kapelusz i wyszedł ze świecą na korytarz, aby odnaleźć oberwusa śpiącego prawdopodobnie gdzieś w komórce pomiędzy rupieciami i ogarkami świec. Chciał zapłacić za pokój i wyjść z hotelu. „To najlepsza chwila, lepiej nie można wybrać!“

Długo chodził po wąskim korytarzu, nie znajdując nikogo i już chciał zawołać, gdy nagle, w ciemnym kącie, pomiędzy starą szafą, a drzwiami zauważył jakiś dziwny przedmiot, jakby coś żywego. Pochylił się i zobaczył dziecko: dziewczynkę, najwyżej pięcioletnią, w przemoczonej, jak szmata sukienczynie, drżącą i zapłakaną. Nie przestraszyła się Swidrygajłowa, lecz spojrzała na niego z tępem zdziwieniem w wielkich, czarnych oczach, pochlipując, jak dziecko, które po długim płaczu zaczyna się już uspakajać i nagle przypomina sobie o swojem zmartwieniu. Twarzyczka dziewczynki była blada i zmęczona. „Skąd ona się tu wzięła? Schowała się tu chyba i nie spała całą noc“. Zaczął ją wypytywać. Dziewczynka ożywiła się i szybko zaszczebiotała coś po dziecinnemu. Było tam coś o „mamusi“ i „że mamusia wybije“, o „jakiejś filiżance, którą stłukła“. Dziewczynka mówiła bez przerwy, z tego opowiadania można było coś-nie-coś skombinować, było to dziecko

niekochane, którego matka, jakaś wiecznie pijana kucharka prawdopodobnie z tego hotelu, ciągle biła i wystraszyła, że dziewczynka stłukła mamusi filiżankę i tak się tego zlękła, że uciekła jeszcze wieczorem, kryła się na podwórku, na deszczu, wreszcie zakradła się tutaj, schowała się za szafą i siedziała w tym kącie całą noc, płacząc z zimna i strachu, że ją za to wszystko obiją. Wziął ją na ręce, zaniósł do swego, pokoju, posadził na łóżku i zaczął rozbierać. Na bosych nóżkach, miała dziurawe trzewiczki tak mokre, jakgdyby przez całą noc przeleżały w wodzie. Rozebrawszy, Swidrygajłow ułożył małą w łóżku, okrył i otulił z głową w kołdrę. Zasnęła natychmiast. Swidrygajłow znowu zamyślił się ponuro.

„Też musiałem się wplątać“ — doszedł do tego wniosku ze złością. „Co za głupstwo!“ Wziął świecę, żeby wyjść i poszukać oberwusa i opuścić nareszcie ten hotel. „Też dziewczyna!“ — pomyślał z przekleństwem, otwierając drzwi, lecz zawrócił, by jeszcze raz spojrzeć na dziecko i przekonać się, czy śpi. Ostrożnie odchylił kołdrę. Dziewczynka była pogrążona w głębokim i słodkim śnie. Rozgrzała się pod kołdrą i na bladą twarzyczkę wystąpiły rumieńce. Dziwna rzecz jednak: rumieńce te były jaskrawsze i mocniejsze, niż zwykle kolory u dzieci. „To gorączkowy rumieniec — pomyślał Swidrygajłow, — to są jakby wypieki od wina, jakby wypiła całą szklankę“. Ponsowe usta płoną, lecz co to? Nagle długie czarne rzęsy dziecka zaczęły drgać, jakby mrugała porozumiewawczo, z pod powiek błysnęło ostre, przebiegłe spojrzenie zupełnie nie dziecięcych oczu, jakby dziewczynka nie spała lecz tylko udawała sen. Ależ tak, usta jej rozchylają się w uśmiechu, kąty warg drżą, jakby hamowała śmiech. Ale oto przestała go powstrzymywać: to już był śmiech, wyraźny śmiech. W tej zupełnie nie dziecinnej twarzy błysnęło coś zuchwałego i wyzywającego: to rozpusta, to twarz kokoty, zuchwała twarz francuskiej kokoty. Oto, nie kryjąc się już zupełnie, otwarła oczy: obrzucają go palącem i bezwstydnem spojrzeniem, wabią, śmieją się... Było coś niewysłowienie potwornego i obrażającego w tym śmiechu, w tych oczach

i w całej tej ohydzie w twarzy dziecka. „Co? Pięcioletnia!“—szepnął z prawdziwem przerażeniem Swidrygajłow, „to... cóżto jest takiego?“ Ale oto ona zwraca ku niemu pałającą twarzyczkę, wyciąga ręce... „Ach ty przeklęta!“ — krzyknął ze zgrozą Swidrygajłow, zamierzając się na nią ręką... W tej chwili obudził się.

Leżał na łóżku, tak samo otulony kołdrą, świeca nie paliła się już, był jasny dzień.

„Zmora przez całą noc!“ Wstał zły, rozbity, kości łamały go. Przez okno widział gęstą mgłę, nie pozwalającą nic dojrzeć. Minęła piąta godzina. Zaspał! Włożył wilgotne jeszcze ubranie i palto. Namacawszy w kieszeni rewolwer, wyjął go, poprawił kapiszon. Potem usiadł, wyjął z kieszeni notatnik i na pierwszej stronicy napisał kilka wierszy dużemi literami. Przeczytawszy je, zamyślił się i siedział chwilę z łokciami opartemi na stole. Rewolwer i notes znajdowały się przy łokciu. Zbudzone muchy obsiadły nietkniętą porcję cielęciny. Patrzał na nie długo i wreszcie zaczął łapać jedną z nich. Męczył się długo, lecz nie udawało mu się to w żaden sposób. Wreszcie, zorjentowowszy się w swem zajęciu, ocknął się, drgnął, wstał i wyszedł z pokoju. Po chwili był już na ulicy.

Była mleczna, gęsta mgła. Swidrygajłow szedł po śliskim, brudnym, drewnianym bruku w stronę małej Newy. Majaczyły mu jej przez noc wezbrane wody. Piotrowska wyspa, mokre ścieżki, wilgotna trawa, mokre drzewa i krzaki i wreszcie ten właściwy krzak... Zniecierpliwiony, chcąc myśleć o czemś innem, zaczął przyglądać się domom. Bulwar był pusty. Jaskrawo żółte, drewniane domki z zamkniętemi okiennicami miały wygląd ponury i brudny. Chłód i wilgoć przenikały go, przebiegały go dreszcze. Od czasu do czasu napotykał szyldy, które uważnie odczytywał. Oto skończył się już drewniany bruk. Swidrygajłow doszedł do dużego murowanego domu, brudny, drżący psiak z podkulonym ogonem przebiegł mu drogę. Jakiś czowiek, pijany do utraty przytomności, leżał twarzą w dół wpoprzek chodnika. Popatrzał na niego i poszedł dalej. Na lewo mignęła mu wieża strażacka.

„Ba!“ pomyślał — „doskonałe miejsce! Poco mi Piotrowski park? Przynajmniej odbędzie się przy urzędowym świadku...“

Uśmiechnął się niemal do tej nowej myśli i skręcił w boczną ulicę. Tutaj wznosił się wielki gmach z wieżą. O zamkniętą bramę domu opierał się niewielki człowieczek, otulony w szary płaszcz żołnierski, w mosiężnym, achillesowym hełmie na głowie. Sennem spojrzeniem obojętnie obrzucił zbliżającego się Swidrygajłowa. Na twarzy jego widniał ten odwieczny, pełen urazy, żal, którym zawsze odznaczają się wszystkie bez wyjątku twarze Żydów. Obydwaj, Swidrygajłow i Achilles przez czas jakiś milcząc, przyglądali się sobie. Wreszcie, Achilles uznał, że to nie jest zupełnie w porządku, że człowiek ten nie jest pijany, a stoi przed nim o trzy kroki, patrzy mu prosto w nos i nic nie mówi.

— Co to? Czego to? Tu nie trzeba! — odezwał się, nie ruszając się z miejsca i nie zmieniając pozycji.

— A no, nic, bracie, jak się masz! — odpowiedział Swidrygajłow.

— Tu nie trzeba.

— Ja, bracie, wyjeżdżam w obce kraje.

— W obce kraje?

— Do Ameryki.

— Do Ameryki?

Swidrygajłow wyjął rewolwer i odwiódł kurek. Achilles podniósł brwi.

— Co to? Czego to? To żarty... tu nie miejsce!..

— Dlaczego właściwie tu nie miejsce?

— A dlatego, że nie.

— No, bracie, to wszystko jedno. Doskonałe miejsce. Jak się ciebie będą pytali, to odpowiedz, że właśnie pojechał do Ameryki.

Przyłożył lufę rewolweru do prawej skroni.

— A że tu nie trzeba, tu nie miejsce! — zaniepokoił się Achilles, którego źrenice rozszerzyły się gwałtownie.

Swidrygajłow pociągnął cyngiel.

## VII.

Tego samego dnia, o godzinie siódmej wieczorem, Raskolnikow szedł do matki i siostry, które mieszkały w domu Bakalejewa, gdzie je umieścił Razumichin. Na schody wchodziło się wprost z ulicy. Raskolnikow zbliżył się, zwalniając kroku i jakby wahając się jeszcze, czy ma wejść, czy nie? Nie wróciłby jednak za nic, postanowił to sobie święcie.

„One, przecież o niczem nie wiedzą", — myślał — „a przyzwyczajone są do moich dziwactw"... Ubranie jego było w strasznym stanie: zabłocone, przemoczone (był całą noc na deszczu), podarte i poszarpane. Twarz miał zmienioną z bezsenności, zmęczenia fizycznego i dwudziestoczterogodzinnej walki ze sobą. Całą noc spędził sam, Bóg wie gdzie. Ale się przynajmniej zdecydował.

Zastukał do drzwi, otworzyła mu matka. Duni nie było w domu. Nawet służąca wychodziła zwykle o tej porze. Pulcherja Aleksandrowna oniemiała narazie, radośnie zdumiona. Potem chwyciła go za rękę i wciągnęła do pokoju.

— Jesteś więc nareszcie! — zaczęła, jąkając się z radości. — Nie gniewaj się, Rodia, że cię tak głupio witam, ze łzami, ale ja się śmieję, nie płaczę. Myślisz, że ja płaczę? Nie, ja się cieszę, to tylko takie głupie usposobienie, że mi łzy z oczu płyną. Od śmierci twego ojca tak płaczę, z byle czego. Siadaj, kochanie, widzę, że musisz być zmęczony. Ach, jakeś ty się wybrudził.

— Przemokłem wczoraj, mamo... — zaczął Raskolnikow.

— Ach, nie, nie! — przerwała mu Pulcherja Aleksandrowna, — Tyś myślał, że zacznę cię badać, według swego dawnego babskiego zwyczaju, nie bój się. Ja przecież rozumiem, poznałem tutejsze zwyczaje i widzę naprawdę, że są daleko rozsądniejsze. Doszłam do wniosku, że przecież nie mogę się znać na twoich zamierzeniach i żądać od ciebie żebyś się tłumaczył. Bóg wie, jakie ty masz plany i sprawy na głowie, jakie myśli w tobie nurtują i czyż mogę cię ciągle szarpać za połę: o czem ty właściwie myślisz? Właśnie

więc... Ach, mój Boże! A cóż ja tak plotę, jak nieprzytomna... Czytałam, przecież, Rodia, twój artykuł w gazecie, przeczytałam go trzy razy, Dymitr Prokofjewicz przyniósł mi. Krzyknęłam, jak zobaczyłam. Głupia jestem, pomyślałam, oto czem on się zajmuje, na tem polega cała tajemnica. Uczeni zawsze są tacy. On sobie coś obmyśla, ma w głowie jakieś nowe pomysły, a ja go męczę i zawracam mu głowę. Czytałam, mój drogi, wielu rzeczy nie zrozumiałam naturalnie, ale tak musi być: skądżebym mogał zrozumieć wszystko?

— Pokażno to, mamo.

Raskolnikow wziął gazetę i rzucił okiem na swój artykuł. Choć to było w przeciwieństwie z całą jego sytuacją i nastrojem, miał jednak to dziwne i przyjemne uczucie autora, który po raz pierwszy widzi swoje myśli w druku. Dwadzieścia trzy lata mają swoje prawa. Ale trwało to tylko chwilę. Przeczytawszy kilka wierszy, zasępił się, straszna rozpacz ścisnęła jego serce. Przypomniał sobie odrazu całą walkę wewnętrzną, jaką stoczył z sobą, w ciągu ostatnich miesięcy. Ze wstrętem i złością rzucił gazetę na stół.

— Chociaż jestem głupia, Rodia, to jednak zdaję sobie sprawę z tego, że ty bardzo niedługo będziesz jednym z pierwszych, o ile nie pierwszym, wśród świata naszych uczonych. I o tobie ośmielili się powiedzieć, żeś zwarjowa! Ty nie wiesz o tem — ale tak myślano! Cha-cha-cha. Ach, nędzne robaki, czyż oni potrafią poznać się na prawdziwym rozumie! I Dunia, przecież sama Dunia, omal nie uwierzyła — dobre, co? Twój nieboszczyk ojciec dwa razy posyłał swoje utwory do gazet — raz wiersze (chowam cały kajet, pokażę ci kiedyś), a drugi raz — powieść (sama ją przepisywałam). Jakeśmy się obydwoje modlili, żeby przyjęli, ale nie przyjęto! Tydzień temu, Rodia, zamartwiałam się, patrząc na twoje ubranie, na to, jak ty żyjesz, co jesz i w czem chodzisz. Teraz widzę, że też byłam głupia, bo gdy zechcesz, to wszystko odrazu zdobędziesz rozumem i talentem. Tylko ty tymczasem nie chcesz, bo zajęty jesteś ważniejszemi sprawami.

— Duni niema w domu, mamo?

— Niema. Bardzo często wychodzi i zostawia mnie samą. Dobrze jeszcze, że Dymitr przychodzi posiedzieć ze mną i ciągle mówi o tobie. On ciebie lubi i szanuje, mój drogi. Nie mówię, żeby znów Dunia była taka bardzo niedobra dla mnie. Ja się przecież nie skarżę. Ona ma inne usposobienie niż ja. Ma tam jakieś swoje tajemnice, ja nie miewam przed wami sekretów. Jestem, naturalnie, mocno przekonana, że Dunia jest mądra i, nas kocha... ale nie wiem doprawdy do czego to wszystko doprowadzi. Tyle mi radości dałeś, Rodia, żeś teraz przyszedł, a ona sobie spaceruje. Jak przyjdzie, to jej powiem: był tu twój brat, a ty gdzieś się podziewała? Nie psuj mnie, Rodia, za bardzo. Gdy masz czas, to wpadnij, jesteś zajęty — to trudno, ja poczekam. Przecież ja i tak wiem, że ty mnie kochasz i to mnie wystarcza. Będę sobie czytała twoje utwory, będę od wszystkich słyszała o tobie, a czasami przyjdziesz mnie odwiedzić, czyż może być lepiej. Przecież przyszedłeś teraz pocieszyć matkę, ja to przecież widzę...

Pulcherja Aleksandrowna rozpłakała się raptownie.

— Znowu zaczynam. Nie zwracaj na mnie, głupią, uwagi! Ach, mój Boże, czegoż ja tak siedzę, — zawołała, zrywając się z miejsca, — przecież jest kawa, a ja cię nie częstuję! Ach, co znaczy taki starczy egoizm. Zaraz, zaraz.

— Zostaw mamo, zaraz odchodzę, nie poto przyszedłem. Proszę cię, wysłuchaj mnie.

Pulcherja Aleksandrowna podeszła doń nieśmiało.

— Mamo, cokolwiek się stanie, bez względu na to cobyś o mnie słyszała, coby ci o mnie powiedziano, — czy będziesz mnie zawsze kochała tak, jak teraz? — zapytał serdecznie, bez namysłu, nie ważąc słów.

— Rodia, Rodia, co się z tobą dzieje? Jak możesz o coś takiego pytać! Co mi kto może o tobie powiedzieć? Ależ ja nikomu nie uwierzę, żeby nie wiem kto przyszedł, wyrzucę go poprostu.

— Przyszedłem, żeby cię zapewnić, że zawsze cię kochałem i cieszę się nawet, że jesteśmy sami, że Duni niema, — ciągnął dalej w serdecznym porywie, — przyszedłem ci powiedzieć, że chociaż będziesz nieszczęśliwa, ale

pamiętaj, że syn twój kocha cię nad życie i że to była nieprawda coś myślała, że cię nie kocham i że jestem dla ciebie okrutny. Nigdy nie przestanę cię kochać... Ale dosyć, zdawało mi się, że to właśnie powinienem był powiedzieć i od tego zacząć...

Pulcherja Aleksandrowna obejmowała go, przyciskała do piersi i cicho płakała.

— Nie wiem, Rodia, co się z tobą dzieje, powiedziała wreszcie. — Cały ten czas, myślałam, że poprostu naprzykrzamy ci się, teraz zaś widzę, że czeka cię jakieś wielkie nieszczęście, dlatego jesteś taki zatroskany. Przebacz mi, że o tem zaczęłam mówić, lecz ciągle o tem myślę, nie śpię po nocach. Całą tę noc twoja siostra ciągle majaczyła i mówiła przez sen o tobie. Coś nie coś słyszałam, ale nic zrozumieć nie mogłam. Cały ranek chodziła jak struta, na coś czekała, coś przeczuwała i oto doczekała się! Rodia, Rodia, co z tobą będzie? Czy wyjeżdżasz dokądś?

— Wyjeżdżam.

— Tak sobie właśnie myślałam! O ile musisz wyjechać, to przecież ja mogę pojechać z tobą. I Dunia, ona ciebie tak kocha, bardzo cię kocha i nawet Sofja Semenowna niech sobie z nami jedzie, jeśli to jest potrzebne, widzisz ja chętnie przyjmę ją za córkę. Dymitr Prokofjewicz pomoże nam się wszystkim wybrać... ale dokąd ty... jedziesz?

— Żegnaj mamo!

— Jakto już dzisiaj! — krzyknęła, jakby traciła go na zawsze.

— Nie mogę już, czas na mnie, śpieszę się bardzo...

— A ja nie mogę z tobą?

— Nie. Uklęknij, mamo, i módl się. Może Bóg wysłucha twojej modlitwy.

— Chodź, przeżegnam cię, pobłogosławię! O tak, o, tak. O Boże, co się z nami stanie.

Tak, cieszył się, bardzo był zadowolony, że nikogo nie było, że był sam na sam z matką. Po tych wszystkich strasznych przejściach teraz zmiękło mu serce. Padł przed nią na kolana, całował jej nogi. Objąwszy się, oboje płakali.

Nie dziwiła się i nie wypytywała go tym razem. Oddawna przeczuwała, że z synem dzieje się coś strasznego, a teraz widziała, że nadchodzi dla niego najgorsza chwila.

— Rodia, mój kochany, mój pierworodny, — mówiła łkając, — teraz jesteś taki, jak byłeś maleńki, taksamo przychodziłeś do mnie, taksamo obejmowałeś i całowałeś. Kiedyśmy jeszcze razem z ojcem żyli i biedowali, pociechą nam było już to, że ty z nami jesteś, a gdy pochowałam ojca — to ileż to razy, objęci, jak teraz, płakaliśmy, na jego mogile. A, że ja ciągle płaczę, to dlatego, że serce matki przeczuwało nieszczęście. Pierwszv raz, jak cię zobaczyłem tego wieczora, kiedyśmy przyjechały tutaj, to ze spojrzenia twego wszystko odgadłam. Serce mi się wtedy ścisnęło, a dziś kiedy ci otworzyłam, spojrzałam, no, myślę sobie, nadeszła fatalna chwila. Rodia, Rodia, ty przecież nie zaraz wyjeżdżasz?

— Nie.

— Przyjdziesz jeszcze?

— Tak... przyjdę.

— Rodia, nie gniewaj się, nie śmiem ciebie wypytywać. Wiem, że nie powinnam, tylko tak, tylko powiedz mi dwa słowa, czy ty daleko jedziesz?

— Bardzo daleko.

— Czy będziesz tam służył, czy to jakaś karjera dla ciebie?

— Jak Bóg da... módl się tylko za mnie...

Raskolnikow skierował się ku drzwiom, lecz ona uchwyciła się go i z rozpaczą patrzała mu w oczy. Twarz jej wykrzywiło przerażenie.

— Dosyć już, mamo, — powiedział Raskolnikow, który w tej chwili szczerze żałował, że tu przyszedł.

— Przecież nie na zawsze? Wszak nie na zawsze? Przyjdziesz jeszcze, przyjdziesz jutro?

— Przyjdę, przyjdę, żegnaj.

Wyrwał się jej wreszcie.

Wieczór był pogodny, ciepły i jasny. Od rana się już wypogodziło. Raskolnikow szedł do swego mieszkania, spieszył się. Chciał zakończyć wszystko przed zachodem słońca. Tymczasem nie miał chęci widzieć się z kimkol-

wiek. Idąc po schodach, zauważył, że Nastka, podnosząc oczy od samowara, śledzi go i patrzy w ślad za nim. „Czyżby ktoś był u mnie?“ — pomyślał i ze wstrętem wyobraził sobie Porfirego. Lecz otworzywszy drzwi do swego pokoju, ujrzał Dunię. Siedziała sama jedna, w głębokiem zamyśleniu i oddawna, zdaje się, czekała na niego. Raskolnikow zatrzymał się na progu. Dunia podniosła się z kanapy i stała przed nim wyprostowana. Spojrzenie jej wyrażało przestrach i niewypowiedziany żal. Po tem jednem spojrzeniu poznał, że wie o wszystkiem.

— I cóż, mam wejść do ciebie, czy odejść? — zapytał nieufnie.

— Cały dzień przesiedziałam u Sofji Semenowny, czekałyśmy na ciebie. Myślałyśmy, że napewno tam przyjdziesz.

Raskolnikow wszedł do pokoju i osunął się bezsilnie na krzesło.

— Taki jestem osłabiony, Duniu, bardzo jestem zmęczony, a chciałbym teraz zupełnie panować nad sobą.

Spojrzał na nią nieufnie.

— Gdzieś ty był całą noc?

— Nie pamiętam dobrze. Widzisz, Duniu, chciałem się już raz na coś zdecydować. Kilkakrotnie wracałem nad Newę, to przypominam sobie. Chciałem skończyć ze sobą, ale... nie mogłem się zdecydować... — szepnął, znowu spoglądając na Dunię z nieufnością.

— Dzięki Bogu! Tego właśnie obawiałyśmy się z Sofją Semenowną. Zatem wierzysz w to, że życie jest jeszcze przed tobą, dzięki Bogu, dzięki Bogu!

Raskolnikow gorzko się uśmiechnął.

— Nie wierzyłem, tylko co płakałem razem z matką w jej objęciach. Nie wierzę, a prosiłem ją, żeby modliła się za mnie. Bóg wie, co się ze mną dzieje, Duniu, i nic z tego nie rozumiem.

— Byłeś u matki? Powiedziałeś jej? — z przerażeniem zawołała Dunia. — Czyżbyś odważył się jej powiedzieć?

— Nie, nie powiedziałem jej... wyraźnie. Ale ona dużo zrozumiała. Słyszała, jakeś ty majaczyła w nocy. Jestem pewny, że przynajmniej połowy się domyśla. Może źle zrobiłem, że poszedłem do niej. Nawet nie wiem poco to zrobiłem. Jestem podły człowiek, Duniu.

— Podły? A gotów jesteś dobrowolnie się oskarżyć? Przecież uczynisz to?

— Tak. Zaraz. I właśnie, by uniknąć tej hańby, chciałem się utopić. Ale, stojąc nad wodą, pomyślałem sobie, że jeżeli dotychczas uważałem, że jestem silny, to i tej hańby nie powinienem się teraz ulęknąć. To jest duma, Duniu.

— Tak, Rodia, duma.

Jej przygasłe oczy rozbłysły na chwilę, jakby jej to przyjemność zrobiło, że on jest jeszcze dumny.

— A czy ty nie sądzisz, że poprostu strach mnie zdjął przed wodą? — zapytał, patrząc jej w oczy, z brzydkim uśmiechem.

— Och, Rodia, przestań! z wyrzutem zawołała Dunia.

Na chwilę zaległo milczenie. Raskolnikow patrzał w podłogę. Dunia stała przy drugim końcu stołu i z bólem przyglądała się bratu. Nagle podniósł się:

— Już późno, czas na mnie! Zaraz idę się zadenuncjować. I nie wiem dlaczego właściwie to robię.

Wielkie łzy spływały po policzkach Duni.

— Płaczesz, siostrzyczko, a czy możesz podać mi rękę?

— Wątpiłeś o tem?

Mocno go uściskała.

— Czyż biorąc na siebie cierpienie, nie odkupujesz przynajmniej częściowo swojej zbrodni? — wołała, ściskając go w objęciach i całując.

— Zbrodnia? Jaka zbrodnia! — krzyknął nagle Raskolnikow, w przystępie niespodziewanej furji. — Czy to ma być zbrodnią, że zabiłem wstrętną, szkodliwą wesz, babę-lichwiarkę, nikomu niepotrzebną, za zgładzenie której powinny być wszystkie grzechy odpuszczone, która z biedaków żywą krew ssała? Nie myślę o tem i ani mi się śni odkupywać tej zbrodni. I co mi tak wytykają ze wszystkich

stron: „zbrodnia, zbrodnia"! Dopiero teraz widzę wyraźnie cały nonsens mojej małoduszności, teraz, kiedy się już zdecydowałem ponieść tę niepotrzebną hańbę! Zdecydowałem się poprostu dlatego, że jestem podły i głupi, no i dlatego jeszcze, że tak dla mnie będzie lepiej, jak to twierdził... ten... Porfiry!...

— Rodionie, Rodia, co ty mówisz! Przecież tyś krew przelał! — z rozpaczą zawołała Dunia.

— Którą wszyscy przelewają — podchwycił w uniesieniu, — która się leje i która się lała zawsze na świecie strumieniami, którą przelewają jak szampan i za którą wieńczą na Kapitolu i dają tytuł dobroczyńcy ludzkości. Zastanów się tylko i przyjrzyj uważnie. Chciałem dobra dla ludzi i uczyniłbym setki, tysiące dobrych uczynków, zamiast tego jednego głupstwa, a właściwie nawet nie głupstwa, lecz tylko niezręczności, bowiem cały ten pomysł był wcale nie taki głupi, jak to się teraz wydaje, gdy się nie udał... (przy braku powodzenia wszystko wydaje się głupie)! Tem głupstwem chciałem tylko zdobyć sobie niezależność, zrobić pierwszy krok, znaleźć środki, a potem wszystkoby się wyrównało przez osiągnięcie niewspółmiernie wielkich korzyści... Ale ja, ja się już przy pierwszym kroku załamałem, bo jestem marny człowiek! Na tem polega cała rzecz! Mimo to nie uznam waszych poglądów: gdyby mi się udało, tobym został wieńczony, a tak — do lochu!

— Ależ nie o to idzie, zupełnie nie o to! O czem ty właściwie mówisz!?

— Acha! Forma była nieodpowiednia, za mało estetyczna! Absolutnie już tego nie rozumiem, dlaczego walenie w ludzi granatami podczas regularnego oblężenia ma być formą bardziej szanowną? Lęk przed estetyką jest pierwszą oznaką bezsilności!... Nigdy, nigdy w życiu nie zdawałem sobie z tego sprawy lepiej, niż w tej chwili i bardziej, niż kiedykolwiek nie rozumiem na czem polegała moja zbrodnia! Nigdy, nigdy nie byłem silniejszy i bardziej pewny siebie!

Krew uderzyła mu do bladej, zmęczonej twarzy. Lecz wykrzykując ostatnie zdanie, spotkał się ze spojrzeniem Duni

i tyle bólu było w jej oczach, że mimowoli zastanowił się. Zdał sobie sprawę, że mimo wszystko unieszczęśliwił te dwie biedne kobiety. Mimo wszystko z jego winy...

— Duniu kochana! Jeżeli zawiniłem, to przebacz mi (chociaż, gdy zawiniłem, to chyba nie można mi przebaczyć). Żegnaj! Nie będziemy się sprzeczali! Już czas, wielki czas. Nie chodź za mną, błagam cię, muszę jeszcze gdzieś wstąpić... Idź natychmiast do matki. Zaklinam cię o to! To jest ostatnia, największa moja prośba do ciebie. I nie odchodź od niej! Zostawiłem ją w takiej trwodze, że wątpię, czy wytrzyma: umrze lub dostanie pomieszania zmysłów. Bądź przy niej! Razumichin was nie opuści, mówiłem mu już... Nie płacz nade mną: postaram się być odważny i uczciwy przez całe życie, choć jestem mordercą. Może kiedyś usłyszysz jeszcze o mnie. Nie będziecie potrzebowały wstydzić się mnie, zobaczysz. Ja jeszcze dowiodę... a tymczasem dowidzenia, — zakończył prędko, zauważywszy znowu dziwny wyraz oczu Duni, gdy dawał te obietnice. — Czego ty tak płaczesz? Nie płacz, nie płacz, przecież nie rozstajemy się na zawsze! Ach, prawda! Czekaj, zapomniałem jeszcze!

Podszedł do stołu, wziął grubą, zakurzoną książkę i wyjął włożoną pomiędzy stronice maleńką miniaturkę na słoniowej kości. Był to portret córki gospodyni, jego zmarłej narzeczonej, tej dziwnej dziewczyny, która chciała wstąpić do klasztoru. Patrzał przez chwilę na tę wyrazistą, chorowitą twarzyczkę, pocałował portrecik i wręczył go Duni.

— Wiele z nią rozmawiałem, również i o tem, z nią jedną, — powiedział zamyślony. — Zwierzyłem jej wiele z tego, co się teraz tak potwornie urzeczywistniło. Bądź spokojna, — zwrócił się do Duni, — nie zgadzała się ze mną, jak i ty. Cieszę się, że tego nie dożyła. Najważniejsze jest to, że teraz wszystko zacznę na nowo, teraz będzie przełom, — krzyknął nagle, wracając — do nurtującej go rozpaczy. — A czy jestem do tego przygotowany? Czy pragnę tego? Powinienem jakoby przejść przez tę próbę! W jakim celu, poco mi te bezmyślne próby? Po co? Czy po dwudziestu latach katorgi, złamany cierpieniem, w star-

czem ogłupieniu i słabości będę miał lepszy światopogląd, niż teraz? Czy będę zdolny jeszcze do życia? Dlaczego się właściwie na to godzę? O, jak dobrze wiedziałem, co ze mnie za marny człowiek, gdy dziś o świcie stałem nad brzegiem Newy!

Wreszcie wyszli razem. Ciężko było Duni, ale kochała go. Rozstali się. Oddaliwszy się o pięćdziesiąt kroków, Dunia odwróciła się, aby raz jeszcze spojrzeć na brata. Doszedłszy do rogu i on również się odwrócił. Po raz ostatni spotkały się ich spojrzenia, lecz zauważywszy, że ona patrzy na niego, Raskolnikow z niecierpliwością, a nawet ze złością, machnął ręką, aby poszła dalej, sam zaś szybko skręcił za róg.

„Jestem okrutny, widzę to" — pomyślał, zawstydziwszy się po chwili swego gwałtownego gestu w stronę Duni. — „Ale dlaczego one mnie tak kochają, skoro nie jestem wart tego! Ach, gdybym był sam, przez nikogo nie kochany, gdybym nikogo nie kochał! Nie zdarzyłoby się to wszystko! Ciekawe, czy też po tych piętnastu, czy dwudziestu latach spokornieję do tego stopnia, że będę ze czcią skamlał przed ludźmi, nazywając się co słowo mordercą? A właśnie, właśnie! Przecież po to mnie ześlą, to jest im właśnie potrzebne... Jak to sobie łażą po ulicach tam i z powrotem, a każdy z nich z natury łotr i rozbójnik i gorzej jeszcze, bo idjota! A niech-no by skazano mnie tylko na zesłanie, to, oni wszyscy uniosą się szlachetnem oburzeniem! O, jak ja ich nienawidzę".

Zastanawiał się nad tem, jakiż to proces wywoła w nim wreszcie pokorę, pokorę przed tymi wszystkimi, uznanie dla nich bezkrytyczne, płynące z wewnętrznego przekonania. Czemużby to nie miało nastąpić? Właśnie tak być powinno. Czy dwadzieścia lat nieprzerwanej męki nie mogą ostatecznie dobić człowieka? Woda żłobi kamień. „ I poco, poco żyć wobec tego? W imię czego zdecydowałem się teraz, skoro wiem, że wszystko odbędzie się jak w książce, nie inaczej"!

Po raz setny może zadawał sobie od wczoraj to pytanie, lecz mimo to kroczył dalej.

# VIII.

Zmierzch już zapadał, gdy przyszedł do Soni, która przez cały dzień czekała na niego w strasznem zdenerwowaniu. Przez czas jakiś była u niej Dunia. Przyszła rano, przypomniawszy sobie wczorajsze słowa Swidrygajłowa, że Sonia „wie o wszystkiem“. Nie będziemy powtarzali szczegółów rozmowy tych dwuch kobiet, prowadzonej wśród łez, ani tego, jak bardzo się ze sobą zbliżyły. Dunia z widzenia z Sonią wyniosła przynajmniej tę pociechę, że brat jej nie będzie opuszczony. Do Soni pierwszej przyszedł ze swojem wyznaniem, w niej szukał człowieka, gdy człowiek mu był potrzebny i ona też pójdzie z nim tam, dokąd zagna go los. Dunia, nie pytając, wiedziała, że tak będzie. Odnosiła się do Soni nawet z pewnego rodzaju czcią i tak ją tem z początku zażenowała, że ta omal się nie rozpłakała. Bo Sonia ze swej strony uważała się nawet za niegodną podnieść oczu na Dunię. Na zawsze wyrył się w jej pamięci obraz Duni, gdy ta przy pierwszem spotkaniu u Raskolnikowa, przywitała ją tak bardzo uprzejmie i z takiem uszanowaniem. To była jedna z najpiękniejszych i najszczytniejszych chwil w jej życiu.

Wreszcie Dunia nie wytrzymała i zostawiła Sonię, aby czekać na brata w jego mieszkaniu. Miała ciągle wrażenie, że Rodion tam wstąpi najpierw. Sonia zostawszy sama, dręczyć się poczęła myślą, że Raskolnikow rzeczywiście gotów jest popełnić samobójstwo. Dunia również się tego obawiała. Ale przez cały dzień pocieszały się wzajemnie różnemi argumentami, że to jest niemożliwe i póki siedziały razem Sonia była spokojniejsza. Teraz, po wyjściu Duni, tylko o tem myślała. Przypomniała sobie, że Swidrygajłow powiedział jej wczoraj, że Raskolnikow ma dwie drogi do wyboru — Sybir, albo... Pozatem wiedziała przecież, jaki był zarozumiały, zapalczywy, samolubny i przytem niewierzący. „Czyżby tylko strach przed śmiercią i małoduszność trzymały go przy życiu?“ myślała z rozpaczą. Słońce zachodziło. Smutna stała przy oknie, wypatrując, ale przez jej okno widać było tylko niebieloną ścianę sąsiedniego do-

mu. Wreszcie, gdy niemal pewna była śmierci nieszczęśliwego, Raskolnikow wszedł do jej pokoju.

Okrzyk radości wyrwał się z jej ust, lecz spojrzawszy w jego twarz pobladła nagle.

— No tak! — powiedział z uśmiechem Raskolnikow. Przyszedłem po twój krzyż, Soniu. Sama posyłałaś mnie na rozstajne drogi, a teraz, gdy do tego doszło, straciłaś odwagę?

Sonia patrzała na niego zdumiona. Dziwnym wydał się jej jego ton, zimny dreszcz ją przeszył, lecz po chwili domyśliła się, że i ton i to, co powiedział, było tylko brawurowaniem. Mówiąc z nią, patrzał gdzieś w kąt, unikając jej wzroku.

— Doszedłem do wniosku, Soniu, że może tak będzie lepiej. Jest pewna okoliczność... Długoby trzeba o tem mówić, nie warto zresztą. Jedno mnie tylko złości, wiesz! Wściekły jestem, że te wszystkie głupie, zwierzęce gęby obstąpią mnie zaraz dokoła, wywalą na mnie swoje gały, zaczną zadawać idjotyczne pytania, na które trzeba będzie odpowiadać, będą mnie pokazywali sobie palcami... Tfu! Wiesz, nie pójdę do Porfirego, znieść go nie mogę. Pójdę lepiej do swego przyjaciela Porocha, to go dopiero zadziwię, wywołam swego rodzaju wielki efekt. Należałoby tylko mieć więcej zimnej krwi, bardzo żółciowy jestem ostatnio. Czy dasz wiarę, że tylko co pogroziłem siostrze pięścią za to tylko, że się odwróciła, by spojrzeé na mnie po raz ostatni. To świństwo! W takim stanie jestem, do tego doszedłem! A więc, gdzie ten krzyż?

Był bardzo nieswój. Nie mógł ani chwili ustać spokojnie, na niczem nie mógł skupić myśli, które przeskakiwały z przedmiotu na przedmiot. Jąkał się, ręce mu drżały.

Sonia w milczeniu wyjęła z szuflady dwa krzyżyki, cyprysowy i miedziany. Przeżegnała Raskolnikowa i włożyła mu na szyję cyprysowy krzyż.

— Zatem to ma być symbol mego czynu, che che! Bo do tej pory mało cierpiałem! Cyprysowy, to znaczy dla prostaczków, miedziany — to Lizawiety, bierz dla siebie, pokaż-no go! Więc ona go miała na sobie... wtedy? Pamiętam jeszcze podobny krzyżyk srebrny i szkaplerz. Zrzu-

ciłem je wtedy starej na piersi. Te by się przydały teraz, te powinienem włożyć... Ale o czem ja gadam! Zapomnę poco przyszedłem, roztargniony jakiś jestem!... Widzisz, Soniu, właściwie przyszedłem, żeby cię uprzedzić, żebyś wiedziała... To wszystko... Poto tylko przyszedłem. (Hm! Zresztą, myślałem, że ci coś więcej powiem). Przecież ty sama chciałaś, żebym poszedł, no więc będę siedział w więzieniu i spełni się twoje życzenie. Czego płaczesz? Ty także? Przestań, niema czego. Och, jak mnie to wszystko dręczy!

Obudziło się w nim jednak uczucie, serce ściskało mu się, gdy patrzał na nią: „A ta znów czego, czego ta?“ — myślał. „Czem ja jestem dla niej? Czego ona płacze, czego mnie tak odprowadza, jak matka lub Dunia? Niańką będzie moją!“

— Pomódl się, przeżegnaj się choć raz, — drżącym głosem prosiła nieśmiało Sonia.

— Proszę cię bardzo, ile tylko zechcesz! Zupełnie szczerze, Soniu, zupełnie szczerze...

Miał ochotę, zresztą, powiedzieć jej coś innego.

Przeżegnał się kilka razy. Sonia schwyciła swoją chustkę i narzuciła ją na głowę. Była to zielona sukienna chustka, prawdopodobnie ta sama, o której wspominał Marmieładow — „rodzinna“ chustka. Raskolnikowowi przyszło to na myśl, lecz nic się nie odezwał. Rzeczywiście czuł, że jest nadzwyczaj roztargniony i potwornie zdenerwowany. Przeraził się tem. Wstrząsnęło nim raptem to, że Sonia wybiera się z nim razem.

— Co to takiego! Dokąd? Zostań, zostań! Ja sam! — krzyknął niecierpliwie i ze złością skierował się ku drzwiom. — Zbyteczna mi jest cała świta! — mruknął, wychodząc.

Sonia została na środku pokoju. Nie pożegnał się z nią nawet, zapomniał już o niej. Dręczące pełne buntu pytanie zawrzało mu w głowie:

„Czy dobrze robię? Czy to jest w porządku?“ — myślał, schodząc ze schodów. — „Czy nie możnaby się wstrzymać, pokierować wszystko inaczej i... nie pójść?“

Mimo to szedł. Poczuł, że ostatecznie niema poco zadawać sobie tych pytań. Wyszedłszy na ulicę, przypomniał sobie, że nie pożegnał się z Sonią, że zostawił ją na środku pokoju, z jej zieloną chustką, onieśmieloną jego krzykiem. Zatrzymał się na chwilę. W ciągu tej chwili błysnęła mu myśl, jakby czekając na to, by go ostatecznie zgnębić.

W jakim celu, poco przyszedłem do niej teraz? Powiedziałem, że w pewnej sprawie, ale w jakiej sprawie? Nie miałem do niej żadnego interesu! Zawiadomić ją, że idę, więc co z tego? Ogromnie to było potrzebne! Czy ją kocham? Przecież nie, nie? Wszak odpędziłem ją, jak psa. Czyżby naprawdę zachciało mi się jej krzyżyka? Ach, jak ja nisko upadłem! Nie, potrzebne mi były jej łzy, chciałem widzieć jej przerażenie, potrzebny mi był widok jej bólu i cierpienia! Trzeba było się o coś zaczepić, zwlec, popatrzeć na człowieka! I jak ja mogłem tak liczyć na siebie, tak sobie zaufać, ja mizerny, marny człowiek, łotr, łotr!"

Szedł brzegiem kanału i było już niedaleko. Doszedłszy do mostu, zatrzymał się, nagle skręcił na most i wyszedł na Sienną.

Uporczywie rozglądał się na wszystkie strony, wpatrywał się z natężeniem w każdy przedmiot, lecz na niczem nie mógł skupić uwagi. „Za jakiś tydzień, czy miesiąc, będę jechał w więziennej karetce przez ten most, jak też wtedy będę patrzał na ten kanał, trzebaby zapamiętać!" — pomyślał. „Ten szyld, naprzykład, jak ja będę czytał wówczas te litery? O tu napisane: Towarzystwo, trzeba zapamiętać to *a*, literę *a*, spojrzę na nią za miesiąc na to samo *a*, jak będę patrzał wtedy? Co będę czuł i myślał? Boże, jakie mi się wydadzą marne, te moje wszystkie, dzisiejsze... troski! Rozumie się, że to musi być ciekawe... w swoim rodzaju... (cha-cha-cha! O czem ja myślę!) Ja dziecinnieję, sam przed sobą pozuję, poco się zawstydzam? Tfu, jak się pchają! Ten grubas (pewno Niemiec), który mnie potrącił, czy on wie, kogo pchnął? Baba z dzieckiem prosi o jałmużnę, ciekawe, że ona uważa mnie za szczęśliwszego od siebie. Cóż, trzeba — by jej coś dać, to będzie za-

bawne. Ba, pięć kopiejek ocalało mi w kieszeni, skąd? Masz, masz... weź, matko!"

— Niech cię pan Bóg ma w swojej opiece! — rozległ się płaczliwy głos żebraczki.

Poszedł Sienną. Przykra mu była ta ciżba, lecz szedł właśnie tam, gdzie gromadziło się najwięcej ludzi. Dałby wszystko, żeby się znalazł sam, lecz czuł zarazem, że sam nie wytrzymałby ani chwili. W tłumie awanturował się jakiś pijak, chciał tańczyć, ale zataczał się tylko. Raskolnikow przecisnął się przez otaczającą pijaka gromadę ludzi, patrzał nań przez kilka minut i nagle roześmiał się krótko i urywanie. Po chwili zapomniał już o nim, nie widział go nawet, choć patrzył w dalszym ciągu. Odszedł wreszcie, nie pamiętając, gdzie się znajduje, lecz gdy doszedł do środka targowiska nowe uczucie owładnęło nim całym, opanowało myśli jego i ciało.

Przypomniał sobie słowa Soni: „Idź na rozstajne drogi, złóż pokłon, ucałuj ziemię, boś ją splugawił i powiedz na cały głos, wszystkim: „zabiłem!" Zadrżał, przypomniawszy to sobie. Tak dalece zdławiło go beznadziejne przerażenie, i rozpacz tych ostatnich godzin, że kurczowo uchwycił się tego nastręczającego się, pełnego, silnego wrażenia. Był to jakby atak, zatliła mu się w duszy jedna iskra i nagle cały, jakby stanął w płomieniach. Odrazu zmiękło mu serce, polały się łzy. W miejscu na którem stał, padł na kolana...

Klęknął po środku placu, pokłonił się pocałował brudną ziemię z upojeniem i radością. Wstał, pokłonił się raz jeszcze.

— A to się dopiero ululał! — zauważył obok niego jakiś chłopak.

Rozległ się śmiech.

— A to on idzie do Jerozolimy, ludzie moi, żegna się z dziećmi i z ojczyzną, całemu światu się kłania, stołeczne miasto Sankt-Petersburg i jego grunt całuje! — dodał jakiś pijaniuteńki mieszczuch.

— Jeszcze młody chłopak — dodał trzeci.

— Ze szlachty! — zauważył ktoś poważnym głosem.

— Bo to dziś można wiedzieć, kto jest szlachcic, a kto nie.

Wszystkie te wykrzykniki i rozmowy powstrzymały Raskolnikowa i słowo „zabiłem“, które już drżało mu na ustach, zamarło. Spokojnie jednak zniósł wykrzykniki i, nie oglądając się, poszedł prosto przez zaułek do biura policji. Pewna postać mignęła przed nim po drodze, lecz nie zdziwił się, przeczuwał, że tak być powinno. Gdy podnosił się z klęczek, o pięćdziesiąt kroków od siebie nalewo ujrzał Sonię. Chowała się przed nim za jakimś drewnianym barakiem, a więc szła za nim w jego męczeńskiej drodze. Raskolnikow uczuł i zrozumiał w tej chwili, że Sonia jest z nim na zawsze i pójdzie z nim choćby na kraj świata, dokądkolwiek rzuci go los. Serce mu się ścisnęło... ale doszedł oto do fatalnego miejsca.

Dosyć pewnym krokiem wszedł na podwórze. Trzeba było wejść na trzecie piętro. „Zanim dojdę...“ — pomyślał. Wogóle zdawało mu się, że od fatalnego momentu dzieli go jeszcze wiele czasu, o wielu rzeczach będzie mógł jeszcze pomyśleć.

Te same zaśmiecone, kręcone schody, te same drzwi mieszkań otwarte naroścież, te same kuchnie, z których dolatywał czad i zaduch. Raskolnikow od tamtego czasu nie był tu. Nogi się pod nim chwiały, ale szedł. Zatrzymał się na chwilę, żeby odetchnąć, żeby przyjść do siebie, żeby wejść, jak człowiek. „Poco? Dlaczego?“ — pomyślał, zastanowiwszy się nad swoim ruchem. „Jeśli już mam wychylić tę czarę, to czy nie wszystko jedno? Im gorzej, tem lepiej“. Wyobraził sobie w tej chwili postać Ilji Porocha. Czyżby naprawdę należało iść akurat do niego? A może do kogoś innego? Wrócić zaraz i iść do mieszkania samego naczelnika? Przynajmniej odbędzie się wszystko „po domowemu... Nie, nie! Do Porocha! Do Porocha! Jak pić, to pić do dna...

Zmartwiały i ledwo przytomny otworzył drzwi biura. Tym razem było bardzo mało osób: jakiś stróż i jeszcze ktoś z ludu. Strażnik nie wyjrzał nawet z za przepierzenia. Raskolnikow przeszedł do następnego pokoju. „A może będzie można jeszcze nie powiedzieć“ — błysnęła mu myśl. Tutaj

jakiś osobnik w cywilnym tużurku, zabierał się do pisania. W kącie sadowił się jakiś inny pisarz. Zamietowa nie było. Naczelnika, naturalnie, również.

— Niema nikogo? — zapytał Raskolnikow, zwracając się do osobnika przy biurku.

— A kogo pan potrzebuje?

— A-a-a! Oko nie widziało, ucho nie słyszało, a duch rosyjski... czy jak to tam się mówi w bajce... zapomniałem! M-mmoje u-uszanowanie! — zawołał znajomy głos.

Raskolnikow zadrżał. Przed nim stał Poroch, który wyszedł z trzeciego pokoju. „To sam los“, — pomyślał Raskolnikow, — „skąd on tu się wziął?“

— Do nas? Z powodu? — wykrzykiwał Poroch (był widocznie w bardzo różowym humorze, a może nawet odrobinkę zawiany). — Jeżeli w interesie, to zawcześnie pan się pofatygował. Ja sam tu jestem tylko przypadkiem... A zresztą, czem mogę? Przyznam się, panu, panie... jak? Jak? Bardzo przepraszam...

— Raskolnikow.

— Naturalnie, że Raskolnikow! Czy pan przypuszczał, że mogłem zapomnieć! Niech pan, bardzo proszę, nie uważa mnie za takiego... Ro... Ro... Rodionie Rodionowiczu, tak zdaje się?

— Rodion Romanowicz.

— Tak, tak, tak! Rodion Romanowicz Raskolnikow, Rodion Romanowicz Raskolnikow! O to właśnie mi szło. Ile razy się dowiadywałem. Przyznam się panu, że bardzo mi przykro było od tego czasu, żeśmy tak z panem wtedy... potem mi wytłumaczono, dowiedziałem się, że młody literat, a nawet uczony... i, że tak powiem, pierwsze kroki... Mój Boże! Który z literatów i uczonych nie popełniał różnych oryginalnych kroków! Ja i moja żona — obydwoje cenimy literaturę, a żona, to już do szaleństwa!... Literaturę i sztukę! Niech tylko człowiek będzie szlachetny, a wszystko pozostałe można zdobyć talentem, wiedzą, rozumem, geniuszem! kapelusz, — no, co naprzykład, znaczy kapelusz? Kapelusz to jest nic, mogę go sobie kupić u Zimmermanna, ale tego nie kupię, co się pod kapeluszem kryje, tego, co kapelusz przykrywa! Przyznam się panu, że wybierałem się do niego,

aby się wytłumaczyć, ale pomyślałem może pan... Ale, że też się nie zapytam, pan rzeczywiście ma jakąś sprawę? Podobno krewni do pana przyjechali?

— Tak, matka i siostra.

— Miałem nawet zaszczyt i szczęście poznać pańską siostrę, — wykształcona i prześliczna osoba. Przyznam się panu, że żałowałem, żeśmy się wtedy z panem tak rozgorączkowali. Casus! A, że ja pana wtedy, z racji pańskiego omdlenia, obrzuciłem takiem spojrzeniem, — to się potem jak najwspanialej wyjaśniło! Zabobon i fanatyzm! Rozumiem pańskie oburzenie. Może ze względu na przyjazd rodziny, zmienia pan mieszkanie?

— N-nie, ja tylko tak... Wstąpiłem zapytać się... myślałem, że znajdę tu Zamietowa.

— Ach tak! Podobno pan się z nim zaprzyjaźnił, słyszałem. Ale Zamietowa tu niema, nie zastał go pan. Tak, straciliśmy Aleksandra Grygorjewicza! Od wczoraj już niema tu jego osoby, został przeniesiony... i przedtem nawet pokłócił się ze wszystkiemi... to nawet było niegrzecznie... Lekkomyślny smarkacz, nic więcej. Był nawet dosyć obiecujący, ale tak to już bywa z tą naszą obiecującą młodzieżą! Ma któryś z nich jakiś tam egzamin zdawać, to się u nas kończy tylko na pogawędce i fanfaronadzie. To nie to przecież, co, naprzykład, pan albo pański przyjaciel Razumichin! Pan robi karjerę na niwie naukowej i nic panu nie może przeszkodzić! Wszystkie rozkosze życia, to dla pana, że tak powiem, nihil est, asceto, mnichu, pustelniku!... Dla pana — księga, pióro za uchem, badania naukowe — tam jest kraina pańskiej duszy! Ja sam w pewnej mierze... Czy pan czytał pamiętniki Liwingstona?

— Nie.

— A ja czytałem. W dzisiejszych czasach, zresztą, nihilizm nadzwyczajnie się szerzy. Ale to jest zrozumiałe, jakie to mamy czasy, niech mi pan powie! A zresztą, ja z panem... pan przecież nie jest nihilistą? Niech pan mi tak szczerze powie, zupełnie szczerze.

— N-nie...

— Nie, niech pan będzie ze mną szczery, niech się pan nie krępuje, wie pan, jakby pan był sam na sam ze sobą!

Inna to rzecz służba, a inna... pan myślał, że ja powiem — d r u ż b a, a nie, nie zgadł pan! Nie drużba, lecz świadomość obywatela i człowieka, poczucie ludzkości i umiłowanie Najwyższego. Mogę sobie być osobą urzędową i pełnić państwowe funkcje, ale powinienem zawsze czuć się obywatelem i człowiekiem i zdawać sobie z tego sprawę. Pan raczył wspomnieć o Zamietowie. Taki Zamietow zrobi jakiś skandal we francuskim guście w jakimś nieprzyzwoitym zakładzie, przy szklance szampana, czy innego wina i to wszystko co potrafi pański Zamietow! A ja, że tak powiem, a może ja płonę oddaniem i szlachetnemi uczuciami i prócz tego mam znaczenie, rangę, stanowisko! Jestem żonaty i mam dzieci. Wypełniam obowiązki obywatela i człowieka, a on co jest za jeden, pozwoli się pan zapytać? Ja się zwracam do pana, jako do człowieka, uszlachetnionego przez wiedzę. A tych akuszerek co się teraz namnożyło!

Raskolnikow spojrzał na niego pytająco. Gadanina Porocha, który najwidoczniej tylko co oderwał się od kieliszka, obijała mu się o uszy, jak puste dźwięki, lecz coś nie coś rozumiał z niej jednak i nie wiedział, jak się to skończy.

— Ja mówię o tych ostrzyżonych dziewkach, — ciągnął rozmowny Ilja Pietrowicz, — to ja je sam nazwałem akuszerkami i uważam że zupełnie trafnie. Che-che! Pchają się do akademji, uczą się anatomji. No niechże pan powie, czy jak zachoruję, to mogę wezwać taką dziewicę, żeby mnie leczyła? Che-che!

Poroch śmiał się, zachwycony swemi dowcipami.

— Powiedzmy, że to jest taki gorący, niemiarkowany zapał do wiedzy, ale przecież można się oświecić i dosyć. Poco zaraz nadużywać? Dlaczego obrażać porządnych ludzi, jak to robi ten łajdak Zamietow? Dlaczego on mnie obraził, pytam się pana? A ile tych samobójstw się teraz namnożyło, nie może pan sobie wyobrazić. Wszyscy przejadają ostatni grosz i odbierają sobie życie. Dziewczyny, chłopcy, starcy... Nawet dziś rano zawiadomiono nas o jakimś jegomościu, który niedawno przyjechał. Nił Pawłowicz, Nił Pawłowicz! Jakto się on nazywał, ten dżentelmen, o którym zawiadomiono, że się zastrzelił dzisiaj?

— Swidrygajłow, — ochrypłym głosem odpowiedział ktoś obojętnie z drugiego pokoju.

Raskolnikow drgnął.

—Swidrygajłow, Swidrygajłow się zastrzelił! — krzyknął.

— Co? Pan zna Swidrygajłowa?

— Tak... Znam... Niedawno przyjechał...

— No, tak, niedawno przyjechał. Stracił żonę, pierwszorzędny hulaka i nagle się zastrzelił i to jak skandalicznie, wprost trudno sobie wyobrazić... Zostawił w swoim notatniku kilka słów, że odbiera sobie życie w pełni władz umysłowych i prosi nie winić nikogo o jego śmierć. Ten, podobno, miał pieniądze. A pan skąd go znał, jeśli wolno wiedzieć?

— Znałem go... moja siostra była w ich domu guwernantką...

— Ba-ba-ba... Zatem może nam pan coś o nim powiedzieć. Czy pan nic nie podejrzewał?

— Wczoraj się z nim widziałem... on... pił wino... nic nie wiedziałem.

Raskolnikow miał wrażenie, że spadło coś na niego i przytłaczało go.

— Pan jakby pobladł... Tak tu duszno u nas...

— No, czas na mnie, — bąknął Raskolnikow, — przepraszam, zabrałem panu czas...

— Ależ, proszę bardzo, ile pan tylko zechce! Bardzo mi było miło, bardzo się cieszę.

Poroch wyciągnął doń rękę.

— Chciałem tylko... ja do Zamietowa...

— Rozumiem, rozumiem, bardzo mi było miło.

— Ja... bardzo się cieszę... dowidzenia... — uśmiechnął się Raskolnikow.

Wyszedł, chwiejąc się na nogach. W głowie mu się mąciło. Zaczął schodzić ze schodów, opierając się ręką o ścianę. Zdawało mu się, że jakiś stróż, idąc z książką na górę do biura, potrącił go, że jakiś psiak szczekał gdzieś na niższem piętrze i że jakaś kobieta krzyknęła i rzuciła w psiaka kamieniem. Zeszedł na podwórze. Niedaleko od wejścia stała blada, zmartwiała Sonia i spojrzała na niego z dzikiem

przerażeniem. Zatrzymał się przed nią. Ból, rozpacz i męka widniały na jej twarzy. Załamała ręce. Żałosny, słaby uśmiech ukazał się na jego ustach. Postał, uśmiechnął się raz jeszcze i wrócił na górę, do biura.

Poroch siedział i grzebał sie w jakichś papierach. Przed nim stał ten sam stróż, który przed chwilą trącił Raskolnikowa, wchodząc po schodach.

— A-a-a! Pan znowu! Zapomniał pan czegoś?... Ale co panu jest?

Raskolnikow ze zbielałemi ustami, z nieruchomem spojrzeniem, wolno podszedł do niego, do samego stołu, oparł się o stół ręką, chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Tylko dźwięki bez związku wychodziły mu z gardła.

— Panu jest niedobrze, krzesło! Niech pan siada, proszę krzesło, niech pan siada! Wody!

Raskolnikow osunął się na krzesło, lecz nie spuszczał oczu z bardzo nieprzyjemnie zdziwionego Porocha. Patrzyli przez chwilę na siebie i czekali. Przyniesiono wodę.

— To ja... — zaczął Raskolnikow.

— Niech pan się napije wody.

Raskolnikow odsunął szklankę i cicho, z pauzami, ale wyraźnie powiedział:

— To ja zabiłem wtedy siekierą i obrabowałem starą lichwiarkę i jej siostrę.

Poroch otworzył szeroko usta. Ze wszystkich stron zbiegli się ludzie.

Raskolnikow powtórzył swoje zeznanie.

# EPILOG

# I.

Syberja. Nad brzegiem szerokiej rzeki leży miasto, jeden z administracyjnych ośrodków Rosji. W mieście tem jest forteca, w fortecy więzienie. W więzieniu od dziewięciu miesięcy przebywa zesłaniec-katorżnik drugiej kategorji, Rodion Raskolnikow. Od dnia, w którym popełnił zbrodnię, upłynęło półtora roku.

Sprawa jego odbyła się bez większych trudności. Przestępca pewnie, wyraźnie i dokładnie potwierdzał swoje zeznanie. Nie plątał okoliczności, nie łagodził ich na swoją korzyść, nie przekręcał faktów, nie zapominał o najdrobniejszym szczególe. Opowiedział z największą dokładnością cały przebieg zabójstwa, wytłumaczył tajemnicę zagadkowego fantu (drewnianej deseczki z metalowym paskiem) znalezionego w ręku zabitej staruszki. Opowiedział, jak zabrał zamordowanej klucze, opisał jak te klucze wyglądały, opisał kufer i czem był wypełniony, wymienił nawet niektóre leżące w nim przedmioty, wytłumaczył zagadkę zabójstwa Lizawiety, opowiedział, jak przyszedł i stukał Koch, a po nim student, powtórzył o czem ze sobą mówili, jak on, zabójca, zbiegł potem ze schodów i słyszał krzyki Mikołki i Mitki, jak ukrył się w pustem mieszkaniu, przyszedł do domu i wreszcie wskazał kamień na Wozniesieńskim bulwarze, pod bramą, gdzie znaleziono rzeczy i woreczek. Jednem słowem wszystko było jasne. Prowadzący śledztwo i sędziowie dziwili się bardzo, że ukrył pod kamieniem rzeczy i woreczek, nie skorzystawszy z nich, zwłaszcza zaś, że nietylko nie pamiętał jakie rzeczy zrabował, lecz pomylił się na-

wet co do ich liczby. Ta zwłaszcza okoliczność, że ani razu nie otworzył woreczka i nie wiedział ile w nim było pieniędzy, wydawała się nawet nieprawdopodobna. (W woreczku było trzysta siedemnaście rubli srebrem i sześćdziesiąt kopiejek. Od długiego leżenia pod kamieniem niektóre leżące na wierzchu, najbardziej wartościowe banknoty były bardzo uszkodzone). Długo usiłowano się dowiedzieć: dlaczego podsądny przy tej właśnie okoliczności kłamie, gdy zasadniczo przyznaje się do wszystkiego szczerze i dobrowolnie? Wreszcie niektórzy (zwłaszcza psycholodzy) dopuszczali nawet możliwość tego, że on rzeczywiście nie zaglądał do woreczka, a więc nie wiedział, co w nim było i nie wiedząc ukrył go pod kamieniem. Z tego wyciągnięto znów wniosek, że całe przestępstwo mogło mieć miejsce tylko przy pewnego rodzaju czasowym obłędzie, tak zwanej chorobliwej monomanji zabójstwa i rabunku, bez celu i widoków zysku. Przyszła tututaj akurat z pomocą najnowsza, modna teorja czasowego pomieszania zmysłów, którą starają się dziś tak często stosować do niektórych przestępców. Przytem liczni świadkowie, doktór Zosimow, dawni koledzy, gospodyni, służba, z całą pewnością stwierdzili, że Raskolnikow dawniej był hipochondrykiem. Wszystko to bardzo sprzyjało wyrobieniu przekonania, że Raskolnikow nie jest zwykłym mordercą, rozbójnikiem, grabieżcą, lecz, że tkwi tutaj coś innego. Ku wielkiemu niezadowoleniu obrońców tej tezy, sam przestępca prawie nie próbował się bronić. Na ostateczne pytania: co właściwie skłoniło go do popełnienia morderstwa i rabunku, odpowiedział zupełnie wyraźnie, z brutalną dokładnością, że powodem było jego złe położenie materjalne, nędza i bezradność, pragnienie zabezpieczenia pierwszych kroków swej życiowej karjery, przy pomocy trzech tysięcy rubli, na które liczył, że znajdzie u zabitej. Zdecydował się na zabójstwo wskutek swej małoduszności i lekkomyślności, oraz rozdrażnienia, wywołanego przez braki i niepowodzenia. Na pytanie zaś, co skłoniło go do zgłoszenia się z samooskarżeniem, odpowiedział poprostu, że szczera skrucha. Wszystko to było już wprost brutalne...

Wyrok jednak wypadł łagodniej, niż można było się spodziewać z rodzaju popełnionego przestępstwa, być może

dlatego właśnie, że oskarżony nietylko nie chciał się usprawiedliwiać, ale nawet zdradzał pragnienie jeszcze mocniejszego oskarżenia się. Wszystkie dziwne i szczególne okoliczności sprawy wzięte były pod uwagę. Chorobliwy stan oskarżonego i jego nędza przed przestępstwem nie ulegały najmniejszej wątpliwości. To, że nie skorzystał z rzeczy zrabowanych, wytłumaczono częściowo wyrzutami sumienia, częściowo zaś nienormalnym stanem umysłu w czasie dokonania przestępstwa. Okoliczności towarzyszące morderstwu Lizawiety posłużyły nawet, jako dowód, potwierdzający to ostatnie twierdzenie: człowiek dokonywa podwójnego zabójstwa i jednocześnie zapomina, że drzwi stoją otworem! Wreszcie samooskarżenie w tej chwili, kiedy sprawa się niezwykle zagmatwała, wskutek fałszywego zeznania Mikołaja i gdy przeciwko właściwemu sprawcy nie było nietylko dowodów, lecz nawet podejrzeń (Porfiry dotrzymał słowa w zupełności), wszystko to ostatecznie przyczyniło się do złagodzenia losu przestępcy.

Zupełnie niespodziewanie ujawniły się również inne jeszcze okoliczności, bardzo dla podsądnego korzystne. Były student, Razumichin, wydostał skądś i przedstawił dowody, że oskarżony Raskolnikow, podczas studjów swych na uniwersytecie, dzielił się ostatnim groszem z pewnym biednym kolegą, suchotnikiem i prawie utrzymywał go przez pół roku. Gdy zaś ten umarł, pielęgnował sparaliżowanego, starego ojca zmarłego kolegi, umieścił wreszcie tego starca w szpitalu i po jego śmierci urządził mu pogrzeb. Dawna gospodyni Raskolnikowa, matka zmarłej jego narzeczonej, wdowa Zarnicyna zeznała, że gdy mieszkali jeszcze w innym domu, Raskolnikow w czasie pożaru w nocy wyniósł z płonącego mieszkania dwoje małych dzieci i poparzył się przy tem. Fakt ten był należycie zbadany i dostatecznie potwierdzony zeznaniami licznych świadków. Jednem słowem, skończyło się na tem, że przestępcę skazano na ciężkie roboty drugiej kategorji na lat osiem, z uwagi na jego przyznanie się i różne okoliczności łagodzące.

Już na początku procesu matka Raskolnikowa rozchorowała się. Dunia i Razumichin mieli możność wywiezienia jej z Petersburga na cały czas sprawy. Razumichin wybrał

miasto niedaleko od Petersburga, żeby mógł śledzić przebieg procesu, a zarazem, by móc częściej widywać się z Dunią. Nerwowa choroba Pulcherji Aleksandrowny miała dziwny przebieg: połączona była z czemś w rodzaju częściowego pomieszania zmysłów. Dunia, wróciwszy po ostatnim widzeniu się z bratem, zastała matkę już chorą, majaczącą w gorączce. Tego samego wieczoru Dunia umówiła się z Razumichinem, co odpowiadać matce, gdy pyta o brata. Ułożyli razem dla matki historję o wyjeździe Raskolnikowa, gdzieś daleko za granicę Rosji, w sprawach, które przyniosą mu pieniądze i sławę. Uderzyło ich jednak, że Pulcherja Aleksandrowna sama o nic nigdy nie pytała. Przeciwnie, okazało się, że ma ona swój własny pogląd na przyczyny nagłego wyjazdu syna. Ze łzami w oczach opowiadała o pożegnaniu się z synem, robiła przytem aluzje, że ona jedna zna różne bardzo ważne i tajemnicze okoliczności i że Rodia ma wielu niebezpiecznych wrogów tak, że musi się nawet ukrywać. Co zaś się tyczy przyszłości jego, to również była przekonana, że zrobi napewno wspaniałą karjerę, gdy tylko zmienią się owe nieprzychylne okoliczności. Zapewniała Razumichina, że zczasem syn jej będzie nawet mężem stanu, czego dowodzi artykuł i wielki literacki talent. Artykuł Raskolnikowa odczytywała ciągle, czasami nawet głośno, spała niemal z nim razem, lecz mimo to nigdy prawie nie pytała, gdzie mianowicie jest teraz Rodia, jakkolwiek sam fakt, że unikano przy niej rozmów na ten temat, powinien był wzbudzić jej podejrzenia. Wreszcie milczenie jej zaczęło napawać obawą. Nie pytała, naprzykład, nigdy dlaczego Rodia nic nie pisze, gdy poprzednio na wsi żyła tylko oczekiwaniem na list od ukochanego syna. Fakt ten szczególnie niepokoił Dunię. Przychodziło jej na myśl, że może matka przeczuwa straszny los syna i boi się pytać, żeby się czegoś okropnego nie dowiedzieć. W każdym razie, Dunia zdawała sobie sprawę, że matka nie jest przy zdrowych zmysłach.

Raz i drugi zresztą zdarzyło się, że Pulcherja Aleksandrowna tak kierowała rozmową, że odpowiadając jej, nie można było nie wspomnieć, jej gdzie jest teraz Rodia. A kiedy otrzymywała niewystarczające, podejrzane odpo-

wiedzi, zapadała na bardzo długo w ponure, smutne milczenie. Dunia widząc, jak trudno jest kłamać i zmyślać, doszła do wniosku, że pewne kwestje lepiej będzie pomijać milczeniem. Oczywistem stawało się jednak, że nieszczęśliwa matka domyślała się czegoś strasznego. Dunia przypomniała sobie również słowa brata, że matka przysłuchiwała się jej majaczeniom w nocy po scenie ze Swidrygajłowem: może usłyszała coś wtedy? Często po kilku dniach, a nawet tygodniach ponurego milczenia i cichych łez, chora nagle wpadała w histeryczne podniecenie i zaczynała mówić głośno, niemal bez przerwy o swoim synu, o swoich nadziejach, o przyszłości... Fantazje jej były nieraz bardzo dziwaczne. Pocieszano ją, potakiwano, może widziała nawet, że to nie było szczere, lecz mimo to mówiła dalej.

Wyrok zapadł po pięciu miesiącach od dnia przyznania się Raskolnikowa. Razumichin i Sonia odwiedzali go w więzieniu, o ile można było najczęściej. Wreszcie przyszła chwila rozstania. Dunia przysięgała bratu, że nie rozstają się na zawsze. W młodej, gorącej głowie Razumichina powstał projekt, że w ciągu dwuch, trzech lat stworzy choćby podstawy przyszłego dobrobytu, zbierze trochę pieniędzy i wyjadą wszyscy na Syberję, gdzie grunt jest taki podatny pod każdym względem, a brak ludzi i kapitałów. Tam zamieszkają w tem samem mieście, gdzie będzie Rodia i... wszyscy razem rozpoczną nowe życie. Żegnając się wszyscy płakali. Raskolnikow w ciągu ostatnich dni ciągle wypytywał o matkę, bardzo był o nią niespokojny. Wiadomość o jej chorobie przygnębiła go nadzwyczajnie. Męczył się tem tak, że Dunia zaczęła się lękać o niego. Bardzo mało rozmawiał z Sonią, która dzięki pieniędzom Swidrygajłowa była już zupełnie gotowa do wyruszenia w ślad za partją aresztantów, w której on będzie. Nigdy o tem nie było mowy między nią a Raskolnikowem, lecz oboje wiedzieli, że tak się stanie. Podczas ostatniego pożegnania. Raskolnikow uśmiechał się dziwnie, słuchając gorących zapewnień siostry i Razumichina o szczęśliwej przyszłości po wyjściu jego z katorgi i przepowiedział, że choroba matki skończy się katastrofą. Wreszcie wyruszył i Sonia za nim.

W dwa miesiące później Dunia wyszła za mąż za Ra-

zumichina. Ślub był cichy i smutny. Między zaproszonymi gośćmi byli również Porfiry i Zosimow. Wciągu całego ostatniego okresu Razumichin robił wrażenie, człowieka mocno zdecydowanego na przeprowadzenie swojego zamierzenia. Dunia ślepo wierzyła w niego, bo trudno było nie wierzyć; tyle było w tym człowieku żelaznej woli. Rozpoczął znowu chodzić na wykłady, żeby skończyć uniwersytet. Bez przerwy snuli plany na przyszłość. Liczyli napewno, że za lat pięć będą mogli przenieść się na Syberję. Do tego czasu liczyli tam na Sonię.

Pulcherja Aleksandrowna z radością pobłogosławiła związek córki z Razumichinem, lecz po ślubie była jeszcze bardziej smutna i przygnębiona. Żeby jej zrobić przyjemość, Razumichin opowiedział jej fakty o studencie i jego ojcu, o tem, że Rodia poparzył się, ratując w zeszłym roku dwoje dzieci z płomieni. Obie te historje doprowadziły umysł Pulcherji Aleksandrowny i tak już rozstrojony, do stanu niesłychanego podniecenia. Bez przerwy mówiła o tem. Zawiązywała rozmowy na ulicy (chociaż Dunia zawsze jej towarzyszyła). W omnibusach, sklepach chwytała ludzi i opowiadała im o swoim synu, o jego artykule, o tem, jak pomagał studentowi, poparzył się podczas pożaru i tak dalej. Dunia wprost nie wiedziała, jak ją powstrzymać. Poza niebezpieczeństwem, jakiem groził stan takiego chorobliwego podniecenia, groźnem również było to, że ktoś mógł sobie przypomnieć nazwisko Raskolnikowa, w związku z głośnym procesem i zacząć o tem mówić. Pulcherja Aleksandrowna dowiedziała się nawet, gdzie mieszka matka tych dwojga ocalonych z płomieni dzieci i koniecznie chciała pójść do niej. Wreszcie niepokój jej doszedł do ostatecznych granic. Zaczynała nagle płakać, często chorowała i majaczyła w gorączce. Razu pewnego oświadczyła stanowczo, że według jej obliczeń Rodia powinien niedługo powrócić i że przypomina sobie, jak on żegnając się z nią powiedział, że powinna go oczekiwać po dziewięciu miesiącach. Zaczęła porządkować mieszkanie, przygotowywać na jego przyjęcie. Odświeżała pokój dla niego (swój własny), czyściła meble, prała i zakładała firanki i tak dalej. Dunia zaniepokoiła się, lecz nic nie mówiła i pomagała jej nawet w urzą-

dzaniu pokoju dla brata. Po całym dniu gorączkowej krzątaniny spędzonym wśród radosnych marzeń i łez zachorowała w nocy, nad ranem miała już gorączkę i bredziła. Po dwuch tygodniach umarła. Wśród majaczenia wyrywały się jej wyrazy, z których można było wywnioskować, że o wiele więcej wiedziała o strasznym losie syna, niżby się można było spodziewać.

Raskolnikow długi czas nie wiedział o śmierci matki chociaż korespondencja z Petersburgiem nawiązała się od początku jego pobytu na Syberji. Zajęła się tem Sonia, która regularnie co miesiąc pisała do Razumichina i regularnie otrzymywała odpowiedzi. Listy Soni początkowo robiły na Duni i Razumichinie, wrażenie oschłych i nie wystarczały im, lecz później doszli do wniosku, że inaczej nie można było pisać, bo jednak dawały one dokładne wyobrażenie o losie ich nieszczęśliwego brata. Listy te pełne były codziennej rzeczywistości, opisywały w sposób prosty i jasny warunki katorżniczego życia Raskolnikowa. Nie było w nich nic z jej osobistych marzeń, uczuć, nadziei na przyszłość. Zamiast prób wyjaśnienia jego moralnego nastroju i wogóle jego duchowego życia podawała tylko same fakty, to jest własne jego słowa, dokładne szczegóły o stanie jego zdrowia, czego sobie życzył przy widzeniu się z nią, o co ją prosił, co jej polecał i tak dalej. Wszystko to było wymieniane nadzwyczaj dokładnie. Wizerunek nieszczęsnego brata zarysował się sam przez się, wyraźnie i dokładnie. Nie mogło byé nieporozumień, bo były same rzeczywiste fakty.

Niewiele jednak pocieszającego dowiadywała się Dunia z mężem z tych listów, zwłaszcza z początku. Sonia stale pisała, że Raskolnikow jest ciągle ponury, milczący i nawet nie interesuje się wiadomościami z ich listów, które mu ona powtarza. Czasami pytał o matkę, a kiedy widząc, że zaczyna domyślać się prawdy, powiedziała mu o jej śmierci, to wiadomość ta, ku wielkiemu jej zdziwieniu, nie zrobiła na nim, przynajmniej pozornie, szczególnie silnego wrażenia. Donosiła również między innemi, że pomimo iż zamknął się w sobie i odgrodził się jakby od wszystkich, do nowego życia odnosi się z wielką prostotą. Doskonale rozumie swoje położenie, niczego lepszego nie oczekuje, nie ma

żadnych lekkomyślnych nadziei (co byłoby tak naturalne w jego sytuacji) i niczemu się nie dziwi w swojem nowem otoczeniu, tak zupełnie różnem od czegokolwiek, co znał poprzednio. Stan jego zdrowia był zadawalający. Chodził na roboty, od których się nie uchylał i na które się nie napraszał. Do jedzenia odnosi się obojętnie, lecz było ono, z wyjątkiem niedziel i świąt tak złe, że wreszcie chętnie przyjął od Soni nieco pieniędzy, by móc mieć codzienną herbatę. O resztę prosił, by się Sonia nie troszczyła, bo go drażni ciągłe zajmowanie się nim, pisała dalej, że w więzieniu przebywa we wspólnem pomieszczeniu, nie widziała wprawdzie wnętrza tych koszar, ale sądzi, że są ciasne i niezdrowe, że śpi na pryczy, podkładając sobie wojłok i nic innego nie chce sobie urządzić. Żyje tak nędznie nie na skutek jakiegoś zgóry powziętego planu, lecz poprostu dlatego, że nie zwraca na to uwagi i pozornie obojętnie odnosi się do swego losu. Sonia pisała szczerze, że, zwłaszcza z początku, nie tylko nie interesował się jej odwiedzinami, lecz nawet był zły na nią, milczący, nieraz niegrzeczny. Później jednak odwiedziny jej weszły u niego w przyzwyczajenie, a nawet stały mu się potrzebne, tak, tęsknił, gdy przez kilka dni była chora i nie mogła go odwiedzać. Widuje się z nim w święta — przy bramie więziennej, lub w kordegardzie, dokąd go przyprowadzają na kilka minut, w powszednie zaś dnie — na robotach, gdzie przychodzi do niego, w warsztatach, cegielni 'ub szopach nad brzegiem Irtysza. O sobie donosiła, że udało jej się zawrzeć już w mieście pewne znajomości i znaleźć opiekę. Zajmuje się szyciem, a ponieważ w mieście prawie nie było modystek, więc w wielu domach stała się niemal niezbędną. Nie wspominała tylko o tem, że dzięki niej Raskolnikow cieszył się względami władz, że mu ułatwiono pracę i tak dalej. Wreszcie przyszła wiadomość, (Dunia już przedtem zwróciła uwagę na to, że w ostatnich listach przebijał pewien niepokój), że stroni od wszystkich, że w więzieniu go nie lubią, że milczy po całych dniach i jest bardzo blady. W końcu w ostatnim liście Sonia napisała, że poważnie zachorował i leży w szpitalu, na aresztanckim oddziale.

## II.

Dawno już był chory. Ale nie złamały go bynajmniej okropności katorżniczego życia, ani ogolona głowa, wstrętne jadło i łachmany: O! co go obchodziły te wszystkie męczarnie i znęcania się! Przeciwnie rad był nawet gdy się na robotach zmęczył fizycznie: dawało mu to przynajmniej kilka godzin spokojnego snu. I co znaczyło dla niego jedzenie: cienka zupka z karaluchami? W czasach, gdy był studentem, często i tego nawet nie miał. Odzież jego była ciepła i przystosowana do sposobu życia. Kajdan nawet nie czuł na sobie. Miał się wstydzić swej ogolonej głowy i pasiastej kurtki? Ale przed kim? Przed Sonią? Sonia bała się go, czyżby jej miał się wstydzić?

A jednak! Wstydził się nawet Soni i męczył ją za to, traktując pogardliwie i brutalnie. Nie wstydził się ogolonej głowy i kajdan: był głęboko urażony w swej dumie i gnębiła go ta poniżona pycha. O, jakby się czuł szczęśliwy, gdyby się sam mógł uznać za winnego! Wtedy zniósłby wszystko, nawet wstyd i hańbę. Ale choć sądził się surowo, zatwardziałe sumienie nie znajdowało żadnej szczególnej winy w jego przeszłości, prócz tego chyba, że mu się zwyczajnie nie udało, co się może zdarzyć każdemu. Wstydził się właśnie tego, że on, Raskolnikow, zginął tak beznadziejnie, marnie, ślepo, głucho i głupio, z jakiegoś tam wyroku ślepego losu musi się poddać i ukorzyć przed tym „nonsensem“, jeśli chce znaleźć choć trochę usprawiedliwienia dla siebie.

Bezcelowa i bezprzedmiotowa troska teraz, a w przyszłości bezustanne poświęcenie, którem nic nie osiągnie, oto, co go czekało na świecie. I cóż z tego, że za osiem lat będzie miał dopiero trzydzieści dwa lata i będzie mógł zacząć żyć na nowo! Poco ma żyć? Do czego dążyć? Żyć tylko po to, żeby istnieć. Przecież on i dawniej gotów był po tysiące razy oddać swe istnienie za jakąś ideę, nadzieję, lub choćby nawet fantazję. Samo istnienie nigdy mu nie wystarczało, zawsze pragnął czegoś więcej. Być może, że jedynie tylko na podstawie mocy swoich pragnień uznał się wtedy za człowieka, któremu wolno więcej, niż innym.

I gdyby choć los dał mu doznać skruchy, gorącej skruchy, która łamie serce, spędza sen z powiek, takiej skruchy, która stawia przed oczami pętlę i topiel. O jakby był rad wtedy! Męka i łzy, przecież to też jest życie. Ale on nie żałował swego czynu.

Mógł był się wściekać na swoją głupotę, tak jak poprzednio wściekał się, gdy popełniał czyny bez sensu, które zaprowadziły go do więzienia. Ale teraz, w więzieniu, n i e k r ę p o w a n y, osądził powtórnie i przemyślał wszystkie swoje czyny i doszedł do wniosku, że wcale nie były tak głupie i bezsensowne, jak uważał wtedy, w fatalnych dla siebie chwilach.

„W czem, w czem, — myślał, — moja myśl była gorsza i głupsza od innych myśli i teoryj, od których roi się świat od początku swego istnienia? Wystarczy tylko mieć na sprawę pogląd zupełnie niezależny, szeroki, pozbawiony przyziemnych wpływów, a wtedy bezwarunkowo myśl moja nie wyda się wcale tak bardzo... dziwna. O, groszowi wywrotowcy i mędrcy, dlaczego zatrzymujecie się w półdrogi“?

„Dlaczego właściwie mój czyn wydaje im się tak potworny? Czy dlatego, że jest zbrodnią? Co znaczy wyraz zbrodnia? Sumienie mam spokojne. Popełniłem przestępstwo kryminalne — to prawda, naruszyłem literę prawa i przelałem krew. No więc weźcie sobie moją głowę za tę literę prawa... i koniec. W takim razie nawet wielcy dobroczyńcy ludzkości, którzy nie odziedziczyli władzy, lecz sami ją sobie zagarnęli, powinni być straceni zaraz, przy pierwszych swoich poczynaniach. Ale ci ludzie się nie ugięli w swych poczynaniach i dlatego m a j ą r a c j ę, a ia się ugiąłem, a więc nie miałam prawa pozwolić sobie na podobny krok“.

Za przestępstwo uważał więc jedynie to, że się ugiął i sam się oskarżył.

Męczyła go również myśl: dlaczego nie odebrał sobie wtedy życia? Dlaczego, stojąc wtedy nad wodą, wolał samooskarżenie? Czyżby chęć życia miała tak wielką siłę i tak trudno jest ją przezwyciężyć? A jednak przezwyciężył ją Swidrygajłow, który się obawiał śmierci?

Nie mógł zrozumieć tego, że już wtedy, kiedy stał nad rzeką, przeczuwał prawdopodobnie głęboki fałsz tkwiący w nim i w jego przekonaniach. Nie rozumiał, że to przeczucie mogło być zwiastunem przyszłego przełomu w jego życiu, przyszłego odrodzenia, przyszłego nowego na życie poglądu.

Dopuszczał raczej działanie tylko ślepego instynktu, którego nie mógł opanować i przed którym znowu się musiał ugiąć (bo był słaby i marny). Przyglądał się więźniom — swoim towarzyszom i nie mógł wyjść z podziwu: jak ci ludzie kochali życie i jak je cenili! Wydało mu się, że w więzieniu właśnie cenią je i bardziej kochają niż na wolności niektórzy z nich, naprzykład — włóczędzy! Czyżby naprawdę takie znaczenie miał dla nich jakiś promień słońca, gęsty las, źródło w nieznanej gęstwinie, zauważone jeszcze przed laty, o którem włóczęga marzy, jak o kochance, widzi je we śnie, zieloną trawę wokół niego, ptaka śpiewającego w krzakach? Obserwując dalej, spotkał się z jeszcze bardziej niezrozumiałemi przykładami.

Zasadniczo w więzieniu, wśród otaczającego go środowiska, wiele rzeczy uchodziło jego uwadze. Początkowo żył jakby ze spuszczonemi oczami, ze wstrętem i obrzydzeniem nie chciał patrzeć. Wkońcu jednak wiele rzeczy go zainteresowało i mimowoli rzucało mu się w oczy to, czego istnienia dotychczas nie podejrzewał nawet. Szczególnie zastanawiała go wielka przepaść, jaka dzieliła go od wszystkich ludzi. Zdawało się, że należeli do różnych narodowości. Patrzyli na siebie niechętnie i nieufnie. Znał i rozumiał ogólne przyczyny takiej różnicy, ale nie przypuszczał, żeby mogła być taka głęboka. W więzieniu byli również zesłańcy Polacy — przestępcy polityczni. Ci poprostu uważali wszystkich tych ludzi za parobków i chamów i traktowali ich zgóry, pogardliwie. Raskolnikow nie mógł podzielać tego poglądu: zdawał sobie sprawę, że te chamy, pod wieloma względami były mądrzejsze od tychże Polaków. Byli również Rosjanie, którzy zbyt pogardzali tym ludem — były oficer i dwuch seminarzystów. Raskolnikow wiedział, że się mylili.

Jego zaś samego nikt nie lubił i wszyscy unikali. Za-

często go wkońcu nawet nienawidzić — dlaczego? Nie wiedział. Gardzili nim, wyśmiewali się z niego, szydzili z jego przestępstwa ci, którzy o wiele cięższe zbrodnie mieli na sumieniu.

— Te, hrabia! — mówiono mu. Toś ty musiał z siekierą chodzić? To nie hrabiowska robota.

W drugim tygodniu wielkiego postu przypadła na niego kolej postu przed spowiedzią, jak i dla wszystkich mieszkańców koszar. Chodził do cerkwi i modlił się wraz z innymi. Z jakiegoś powodu, nie wiedział sam dlaczego, wynikła razu pewnego sprzeczka. Wszyscy rzucili się na niego z wściekłością.

— Ty, bezbożniku! Ty nie wierzysz w Boga! — krzyczeli. — Zabić go trzeba!

Nigdy nie mówił z nimi o Bogu i wierze, a oni go chcieli zabić, jako bezbożnika. Milczał i nie zaprzeczał. Jeden z katorżników rzucił się na niego z formalną furją. Raskolnikow czekał spokojnie i ani drgnął. Dozorca zdążył w porę stanąć między nimi — inaczej polałaby się krew.

Jeszcze jedna rzecz była dla niego zagadką: dlaczego oni wszyscy tak pokochali Sonię? Nie starała się o ich względy, widywali ją rzadko, czasami tylko na robotach, dokąd przychodziła na chwilę, by zobaczyć Raskolnikowa. A mimo to wszyscy ją znali, wiedzieli, że przyjechała za nim, wiedzieli jak żyje, mieszka. Nie dawała im pieniędzy, ne wyświadczała specjalnych usług. Raz tylko na Boże Narodzenie przyniosła dla całego więzienia pierogi i kołacze. Lecz stopniowo zawiązały się pomiędzy nimi bliższe stosunki: pisała im listy do rodziny i wysyłała je. Krewni ich, przyjeżdżając do miasta, zostawiali dla nich u Soni różne rzeczy, a nawet pieniądze. Ich żony i kochanki znały ją i odwiedzały. Gdy pojawiała się na miejscu robót, lub mijała partję aresztantów, idących do pracy, — wszyscy zdejmowali czapki i kłaniali się: „Sofjo Semenowno, ty nasza opiekunko, matko nasza droga“! — zwracali się ci brutalni, piętnowani ludzie do tego małego, drobnego stworzenia. Odpowiadała na ich ukłony z uśmiechem i wszyscy lubili jej uśmiech. Lubili nawet jej chód, odwracali się, by spojrzeć jak idzie i chwalili ją, chwalili,

nie wiedząc za co już mają ją chwalić, za to, że jest taka drobna. Chodzili nawet leczyć się do niej.

Raskolnikow przeleżał w szpitalu przez koniec postu i całe święta. Jako rekonwalescent przypominał sobie swoje gorączkowe majaczenia. Majaczyło mu się w gorączce, że cały świat ma paść ofiarą jakiejś strasznej, niesłychanej zarazy, idącej na Europę z głębi Azji. Wszyscy, prócz nielicznych wybrańców, mają zginąć. Pojawiły się jakieś nowe bakcyle, mikroskopijne istoty, żyjące w ciele ludzkiem. Były to duchy, obdarzone wolą i rozumem. Ludzie, przez nie zarażeni, wpadali w obłęd i szaleństwo. Uważali się za najmądrzejszych i nieomylnych. Wierzyli w niewzruszoność swoich wywodów naukowych, swoich zasad moralnych i wierzeń. Zarażały się całe wsie, miasta i narody i wpadały w obłęd. Wszyscy byli przerażeni i nie rozumieli się wzajemnie, każdy myślał, że tylko on posiadł prawdę i męczył się, patrząc na innych, płakał i załamywał ręce. Nie wiedziano kogo i jak sądzić, nie można było ustalić różnicy pomiędzy dobrem a złem. Nie wiedziano kogo uniewinnić, a kogo potępić. Ludzie w bezmyślnej złości mordowali się wzajemnie. Tworzyli przeciwko sobie całe armje, lecz armje te już w drodze zaczynały walkę wewnętrzną. Szeregi rozpraszały się, wojownicy rzucali się na siebie, mordowali się i gryźli wzajemnie. W miastach przez cały dzień dzwoniono na trwogę, zwoływano wszystkich, ale nikt nie wiedział, kto i poco zwołuje i wszyscy byli strwożeni. Zaniedbano rzemiosła, bo każdy proponował zmiany i poprawki, a nie można było osiągnąć zgody. Nie uprawiano już ziemi. Gdzie-niegdzie zbierała się gromadka ludzi, zgadzali się wspólnie na coś, przysięgali, że się nie rozstaną, ale natychmiast rozpoczynali robić coś zupełnie innego niż to, co przed chwilą sami postanowili, oskarżali się wzajemnie, bili i mordowali. Wybuchały pożary, zaczął się głód. Wszystko i wszyscy ginęli. Zaraza rozszerzała się coraz bardziej. Ocaleć miało niewielu tylko ludzi, czystych wybrańców, przeznaczonych do poczęcia nowego pokolenia ludzkiego i nowego życia na odrodzonej ziemi, lecz nikt nie widział tych ludzi, nikt nie słyszał ich głosu.

Raskolnikowa męczyło to, że to bezmyślne majaczenie

zostawiło w duszy jego tak długotrwałe ślady i że tak długo nie może uwolnić się z pod wpływu swych gorączkowych bredzeń. Była to druga niedziela po Wielkiej Nocy. Nastały ciepłe, jasne, wiosenne pogody. W aresztanckich koszarach otwarto okna (zakratowane, pod któremi chodziła warta). Sonia tylko dwa razy była u niego w czasie choroby, trzeba bowiem było za każdym razem uzyskiwać pozwolenie, co było dosyć trudne. Często przychodziła jednak na podwórze szpitalne poto tylko, aby choć przez chwilkę popatrzyć na okna. Raz, wieczorem, Raskolnikow, prawie już zupełnie zdrowy, zasnął. Obudziwszy się, podszedł do okna i nagle ujrzał zdaleka Sonię u szpitalnych wrót. Stała, jakby czekając na coś. Nagły ból przeszył mu serce, drgnął i odszedł od okna. Następnego dnia Sonia nie przyszła, trzeciego dnia również. Zauważył, że czeka na nią z niecierpliwością. Wreszcie wypisano go ze szpitala. Przyszedłszy do więzienia, dowiedział się od aresztantów, że Sonia zachorowała i nie wychodzi z domu.

Był bardzo niespokojny. Dowiadywał się o nią. Choroba jej nie była niebezpieczna. Sonia, dowiedziawszy się, że Raskolnikow tęskni i martwi się o nią, przysłała mu kartkę z zawiadomieniem, że jest jej lepiej, że to było tylko zwyczajne przeziębienie i że bardzo niedługo przyjdzie na roboty zobaczyć się z nim. Przy czytaniu tej kartki serce jego biło mocno, a boleśnie.

Dzień był jasny i ciepły. Wczesnym rankiem, o godzinie szóstej, Raskolnikow udał się na robotę, na brzeg rzeki, gdzie w szopie urządzony był piec do wypalania alabastru. Udało się tam tylko trzech robotników. Jeden z aresztantów poszedł z dozorcą do twierdzy po jakieś instrumenty, drugi rąbał drzewo i ładował je do pieca. Raskolnikow wyszedł z szopy na brzeg rzeki, usiadł na złożonych tam klocach drzew i patrzał na szeroką i pustynną rzekę. Z wysokiego brzegu widać było całą okolicę. Z drugiego brzegu dochodziło echo pieśni. Na niezmierzonym, oblanym słońcem, stepie czarniały jurty koczowników. Tam była wolność i żyli zupełnie inni ludzie, tam czas zatrzymał się, jakby nie minął wiek Abrahama i jego stad. Raskolnikow siedział nieruchomo i patrzał, nie odrywając wzroku.

Zatapiał się w marzeniu, o niczem nie myślał, dręczyła go jednak jakaś głucha troska.

Nagle obok niego znalazła się Sonia. Podeszła cicho i usiadła obok niego. Było jeszcze jednak bardzo wcześnie i chłód poranny nie ustąpił. Miała na sobie stary, ubogi płaszcz i zieloną chustkę. Twarz jej, nosząca jeszcze ślady choroby, była wychudła i pobladła. Serdecznie i radośnie uśmiechnęła się do niego i nieśmiało wyciągnęła doń rękę.

Zawsze wyciągała doń rękę nieśmiało, czasami nawet nie podawała mu jej wcale, obawiając się, że ją odtrąci. Raskolnikow ujmował jej rękę jakby z obrzydzeniem, spotykał ją zawsze ze złością, nieraz uporczywie milczał przez cały czas jej odwiedzin. Odchodziła, drżąc, głęboko zatroskana. Tym razem dłonie ich nie rozłączały się. Raskolnikow spojrzał na nią przelotnie, nie odezwał się ani słowem i utkwił wzrok w ziemię. Byli sami, nikt ich nie widział.

Nie wiedział, jak się to stało, lecz nagle znalazł się u jej nóg, płakał i obejmował jej kolana. W pierwszej chwili Sonia przeraziła się. Zerwała się z miejsca i, drżąc, spojrzała na niego. W tej samej chwili jednak zrozumiała wszystko. W oczach jej zabłysło bezgraniczne szczęście, zrozumiała i nie miała już wątpliwości, że ją kocha i że nadeszła wreszcie ta chwila...

Chcieli coś powiedzieć, lecz słowa więzły im w gardle. Łzy stanęły im w oczach. Obydwoje byli bladzi i wychudli, ale w ich chorych i bladych twarzach jaśniała już zorza nowej przyszłości, zmartwychwstania na nowe życie. Wskrzesiła ich miłość, ich serca kryły nieprzebrane źródła życia dla nich obojga.

Postanowili cierpliwie czekać. Mieli przed sobą jeszcze siedem lat niewysłowionej męki i bezgranicznego szczęścia! Ale on zmartwychwstał, wiedział o tem, czuł odnowienie całej swej istoty, a ona — żyła wszak tylko jego życiem!

Wieczorem tegoż dnia, gdy już zamknięto koszary, Raskolnikow, leżąc na pryczy myślał o Soni. Zdawało mu się, że dnia tego wszyscy katorżnicy, dawni jego wrogowie, odnoszą się doń inaczej. Zaczynał nawet rozmawiać z nimi, a oni uprzejmie mu odpowiadali. Przypomniał sobie teraz

o tem, ale przecież tak być musiało: wszak wszystko powinno się teraz zmienić.

Myślał o niej. Przypominał sobie, jak bardzo ją męczył i szarpał jej serce. Myślał o jej bladej, chudej twarzyczce, ale nie bolało go to wspomnienie: wiedział, jak nieskończoną miłością okupi wszystkie jej cierpienia.

I cóż znaczyły te wszystkie, w s z y s t k i e dawne męki! Wszystko, jego zbrodnia, wyrok i zesłanie wydały mu się teraz faktem zewnętrznym, dziwnym, który nawet zda się jego nie dotyczył. Zresztą, nie mógł tego wieczora długo myśleć o czemś, skupić się, nic nie potrafiłby świadomie rozważyć, czuł tylko. Zamiast djalektyki zjawiło się życie i w świadomości jego musiało powstać coś zupełnie nowego.

Pod poduszką jego leżało Pismo Święte. Wziął je machinalnie do ręki. To była jej książka, ta sama, z której czytała mu o zmartwychwstaniu Łazarza. Na początku zesłania sądził, że Sonia zanudzi go religją, będzie mówiła mu o Piśmie Świętem, będzie narzucała mu książki. Ku wielkiemu jednak jego zdziwieniu ani razu nie wspomniała o tem, ani razu nawet nie zaproponowała mu Pisma. Sam poprosił o nie, przed swoją chorobą, ona w milczeniu, przyniosła mu książkę. Dotychczas nie otwierał jej nawet.

Nie otworzył jej i teraz, lecz błysnęła mu myśl: „Czyż jej przekonania mogą nie być mojemi przekonaniami? A przynajmniej jej uczucia i dążenia...“

Sonia również dnia tego była bardzo wzruszona, w nocy zaś nawet gorączkowała. Była tak bardzo szczęśliwa, tak nadspodziewanie szczęśliwa, że prawie lękała się swego szczęścia. Siedem lat, t y l k o siedem lat! W porywie radości w pewnych chwilach obydwoje skłonni byli traktować te siedem lat, jako siedem dni. Raskolnikow nawet sobie nie zdawał sprawy, że to nowe życie nie jest darem, że musi je drogo okupić, zapłacić za nie w przyszłości wielkim wysiłkiem...

Tu jednak zaczyna się już nowa historja — dzieje stopniowego odradzania się człowieka, stopniowego przechodzenia z jednego świata do drugiego, poznawania nowej, nieznanej dotychczas, rzeczywistości. To mogłoby stanowić temat nowego opowiadania, bo niniejsze na tem się kończy.

KONIEC.